

Jane Harris
Obserwacje



Szkocja, rok 1863. Młoda Irlandka, Bessy Buckley, wędruje z Glasgow do Edynburga, by znaleźć pracę i „może, kto wie, poślubić młodego szlachcica lub księcia”. Po drodze trafia przypadkiem do posiadłości zwanej Zamkiem Haivers i zatrudnia się tam jako służąca pięknej Arabelli. Zmuszana do prowadzenia dziennika i wykonywania osobliwych poleceń, Bessy zaczyna prowadzić „śledztwo”: odkrywa coraz to nowe tajemnice swej pani, poznaje zagadkowe dzieje poprzednich służących, w końcu zaś sama przystępuje do działania...

Jane Harris urodziła się w Irlandii Północnej, dzieciństwo spędziła w Szkocji, a obecnie mieszka w Londynie. Jest autorką scenariuszy filmowych i opowiadań publikowanych w antologiach. *Obserwacje* to jej debiut, zabawny i wzruszający zarazem pastisz powieści wiktoriańskiej spod znaku Dickensa i sióstr Brontë, napisany żywym i barwnym językiem, nawiązujący do najlepszych tradycji angielskiej prozy.

www.muza.com.pl

ISBN 978-83-7495-302-3



9 788374 953023

Jane Harris.
Obserwacje

przełożył Lesław Haliński

Warszawskie Wydawnictwo Literackie MUZA SA

W przekładzie zachowano formy gramatyczne i leksykalne oraz interpunkcję
zgodnie z duchem tekstu oryginalnego.

Milady często mi powiadała: - Bessy, nie zwracaj się do mnie milady. - Mówiła to zwłaszcza wtedy, gdy pastor miał przyjść na herbatę. Milady chciała, żebym nazywała ją „proszę pani”, ale ja nigdy o tym nie pamiętałam. Wpierw zapomniałam niechcący, potem umyślnie, bo chciałam oglądać tę jej minę.

Milady zawsze kazała mi wszystko spisywać w brulionie. Dała mi go, do tego pióro i atrament, w dzień mojego do niej przybycia. - Posłuchaj, Bessy - rzuć do mnie. - Chcę, żebyś spisywała wszystkie swoje zajęcia w tym oto brulionie, ja zaś co pewien czas pozwolę sobie do niego zajrzeć. - To było tuż po tym, jak dowiedziała się, że jestem piśmienna. Rozpromieniła się wtenczas, jakby zgubiwszy pensa, znalazła sześciopensówkę. - Naprawdę? - rzekła zdziwiona. - A kto cię nauczył? - Odparłam, że moja biedna matka nieboszczka, co kłamstwem było wierutnym, bo moja matka żyła w najlepsze i zataczała się ani chybi gdzieś na Gallowgate, zresztą nawet kiedy nie miała w czubie, z ledwością podpisywała wezwanie do sądu. Nie, trzeźwa nie była nigdy, chyba że spała. A kiedy spała, była nieprzytomna.

Ale wolnego. Zapędziłam się ciut za daleko. Pozwólcie, że zacznę bliżej początku.

Część pierwsza

Nowa posada

Miałam powody, by uciec z Glasgow, to było lat temu trzy może cztery, i kiedym już jakieś pięć godzin dreptała Wielkim Gościńcem, ujrzałam ścieżkę po lewej i znak z napisem „Zamek Haivers”. Ależ przypadek, myślę sobie, bo szłam przez Szkocję do zamku edynburskiego, żeby tam dostać jakąś pracę i może, kto wie, poślubić młodego szlachcica lub księcia. Lat miałam ledwie piętnaście, pstro w głowie, no i ubrdałam sobie, że będę pracować u wielkich państwa.

Na dobitkę ten młodzian z gór trzymał się mnie przez minioną godzinę, był w moim wieku i właśnie wyrwali mu ząb. Odciągnął nawet dolną wargę, żeby pokazać mi puste miejsce. Miałam go już powyżej uszu, jego szczerzenia i pytań: dzie idziesz? jak sie zowiesz? kcesz ze mno poleżeć? - i tak dalej. Nakłamałam mu sporo, chciałam go spławić, lecz on trzymał się mnie jak końskie gówienko trzyma się czasem buta. Ja zwalniałam, on także, przyśpieszałam, on też, a gdy stawałam, by szal swój poprawić albo pogrzebać w mym zawiniątku, on tylko stał z rękoma w kieszeniach i gapił się na mnie. Gmerał do tego przy swoim obmierzłym ptaku, co sterczał mu pode spodniami, a nogi miał drań ubrudzone.

Wyznać mi trzeba, że jeszcze jedno przywiodło mnie do zejścia z gościńca, to jest para roślących żandarmów, co ku nam śpieszyli na koniach. Dojrzałam ich pięć minut wcześniej, ich czapki wysokie i duże odznaki, i wypatrywałam już jakiejs pomniejszej drogi, byle tylko nie biegła przez pola, bylem nie upaprała się błotem po pachy.

Zatrzymałam się więc i wskazując znak, mówię do mego chwata:

- Ja idę tędy.
- Toż ja z tobo - on na to. - Pierwej ty mnie zrobisz kolacje, zasie potem ja tobie dziecko.
- Świetny pomysł - odparłam, a gdy się przybliżył, jakby do całowania, złapałam go za kłaki i pociągnęłam solidnie. - Samże z sobą rób dzieci - powiadam. - A teraz precz mi stąd, i fajdaj się, krucafuksie.

I poszłam dalej tą samą ścieżką, a gdy za mną ruszył, dałam mu solidnego kułaka, cisnęłam jeszcze kilka krucafuksów i przydepnęłam mu bosą stópkę. I tylem go widziała, przynajmniej na czas jakiś.

Ścieżka do zamku biegła pod górę między dwoma bukowymi żywopłotami. Był wrzesień, niezwykle zresztą ciepły, i dobrze, bo nie miałam wierzchniego okrycia. Szłam już tak sobie ładną minutkę, gdy posłyszałam głuchy tętent kopyt i odwróciłam się, żeby zerknąć na gościniec. Moi wojacy pofrunęli ku Glasgow, a tak im było śpieszno, że mnie nawet nie dostrzegli. Dobra nasza, mówię sobie, do stu krucafuksów. Zawsze powtarzam, że stróżów prawa trzeba unikać, w miarę możliwości.

Jak już zniknęli, stwierdziłam, że rzucę okiem na zamek, a potem znajdę coś do spania, zanim zrobi się ciemno. Miałam przy sobie tylko sześć fiołków i dwa szylingi i Bozia jedna raczyła wiedzieć, kiedy nareszcie zmajętnięję i będę mogła pozwolić sobie na pokój. Teraz wystarczyć musiała stodoła lub szopa, gdzie bym spoczęła na kilka godzin, ażeby o świcie znów ruszyć do Edynburga.

Postąpiłam ledwie dwa kroki, kiedym ujrzała rudą dziewczuchę, w moim wieku na oko, co wychynęła raptem zza węgła. Miała na sobie ciemną sukienkę i szal w szkocką kratę i ciągnęła po ziemi kuferek na skórzanym pasku. Śpieszno jej dokądś było, a chichrała się przy tym niby wariatka. Skóra jej była szorstka i zaczerwieniona, jak gdyby facjatę swą umazała jakąś ostrą przyprawą. Zeszłam jej z drogi i pozdrowiłam ją grzecznie, gdy mnie mijała. Ona wszelako zarechotała mi w twarz i poczłapała dalej w stronę gościńca, ciągnąc za sobą ten swój kuferek. Mało mnie w życiu dziwi, mało dziwiło mnie wtedy, ale ludziska na wsi mogliby więcej dbać o maniery.

Moja ścieżka wiodła potem nieco w dół i na lewo, przez łączkę, następnie znowu pod górę, a po dziesięciu minutach marszu doprowadziła mnie do bramy dużego dworku, gdzie rosło też trochę drzew. Zamku żadnego nie dojrzałam, dojrzałam za to kobietę, co biegła po zwirowanym podjeździe i po trawniku. Kręciła się to tu, to tam, wyrzucając ręce w powietrze i przyklaskując co czas jakiś. Zrazu myślałam, że jest niespełna, lecz kiedym zerknęła ponad murkiem, to się okazało niezbitcie, że ona jedynie ugania się za świniakiem. No, ubaw jak się patrzy.

- Pani poczeka, milady - mówię. - Pomogę.

Czy któryś z Panów próbował kiedy złapać świniaka? To wcale nie jest takie proste. Knur wprowadził nas w ruch obrotowy, po czym dał susa na dziedziniec za domem, no to my za nim w te pędy! Prawie żem go schwyciła, ale drań śliski był, niby namaślony, i wyrwał się z mego uścisku. Byłabym się rzuciła w pościg, wołałam jednak uchronić przed zagładą swoją jedyną przywoitą sukienkę. Kobieta udzielała mi instrukcji: - Szybko! - krzyczała. - Ostrożnie! - Wyczułam, że jest Angielką. Znałam już wcześniej Anglików, ale nigdy prawdziwej Angielki. W końcu osaczyłyśmy knura opodal kurnika i pogoniłyśmy go wzdłuż płotu aż do samego chlewa, którego drzwi, zamknięte dłonią kobiety, skutecznie odcięły mu odwrót.

Stała przez moment, zadyszana, a ja przyglądałam się jej uważnie. Miała na oko dwadzieścia siedem lat. Figury szczupłej, choć raczej nie nosiła gorsetu. Policzki zarumieniły się jej wprawdzie od tej całej bieganiny, wszelako czoło wskazywało, iż skórę miała białą jak śnieg, bez plamki najmniejszej, jak alabaster. Jedwabna jej suknia, barwy wody, więcej niebieska niż zielona, zdumiała mnie jako strój przeznaczony do ugania się za świniami.

Po chwili wrócił jej oddech i wycedziła przez zęby:

- Ty flądro perfidna. - Z początku myślałam, że zwraca się jeszcze do knura, lecz potem dodała: - Jeżeli raz jeszcze się tutaj pojawi, to wtedy ja ją po prostu... - Zacisnęła pięści, nie kończąc zdania.

Oczyrna wyobraźni znowu ujrzałam rudą dziewczuchę z kuferkiem.

- Czy ktoś panią skrzywdził, milady? - spytałam.

Kobieta jakby się wystraszyła, bo zapomniała chyba o mej obecności.

- Nie - odparła. - Drzwi od chlewa były otwarte. Sądzę, że to przy-padek. - Po czym posłała mi chmurne spojrzenie i rzekła: - Kim ty właściwie jesteś?

To mnie co nieco zmieszało.

- Kim jestem? - powiadam. - No... Rzec można, że byłam gos-podynią u...

- Nie, nie - przerwała. - Pytam, czy jesteś z gór?

- W żadnym wypadku - odparłam, wielce urażona. - Ja nawet nigdy nie byłam w górach. - Kobieta dalej gapiła się na mnie, więc dorzu-ciłam: - Z urodzenia jestem Irlandką. Ale teraz już więcej we mnie Szkotki.

Wyglądała na ukontentowaną.

- Irlandka - stwierdziła. W czasie gonitwy za knurem opadły jej na czoło dwa lub trzy kosmyki włosów, a teraz upinając je z powrotem, uważnie się na mnie patrzyła. Zatonać by można w tych oczach szer-okich i jasnozielonych jak woda morska przy brzegu. - I gospodyni?

- Tak, milady. U pana Levyego w Hyndland, opodal Glasgow.

- Jeszcze nigdy nie widziałam gospodyni w takim rażącym stroju. - Jej usta zadrżały, jakby się miała roześmiać, może widok mojego odziewku podzielał na nią rozbawiająco. Bo ta sukienka naprawdę była prześliczna, jaskrawożółta z niebieskimi guzikami i białymi kokardkami z satyny na przedzie, choć pewnie już nie tak czysta jak wtedy gdy rano ruszała w drogę. Brzeżek sukni był poplamio-ny, a koronka podarta, wszystko przez tego wyrostka z gór, który po-walił mnie na ziemię i dopiero kiedy wykręciłam mu ucho, pozwolił mi wstać.

- Jestem w podróży - rzekłam. - Pan Levy odumarł mnie i teraz idę do Edynburga, żeby znaleźć nową posadę.

- Rozumiem - odparła kobieta. Założyła ręce na piersi i obeszła mnie dokoła, by przyjrzeć mi się z różnych stron. Kiedy ponownie stanęła przede mną, jej wzrok wyrażał powątpiewanie. - Zakładam, że nigdy nie pracowałeś na świeżym powietrzu?

- Przeciwnie. - Mówiąc to, wcale nie kłamałam, bo zanim przyjął mnie pan Levy, istotnie dość sporo pracowałam na powietrzu.

Kobieta kiwnęła głową.

- A krowy? - spytała.

- Co krowy?

- Umiesz je doić?

- Rzecz oczywista - odrzekłam bez wahania. - Krowy, jasne, umiem je doić, żaden problem, urodzona ze mnie dojarka.

- Znakomicie. - Kobieta wskazała zabudowania w oddali. - Tam jest nasz folwark. Najpierw się trochę posilisz, a potem sprawdzimy, jak ci idzie dojenie.

- Tylko że - mówię - dawno już nie doiłam.

Chyba mnie jednak nie usłyszała, bo nie doczekałam się odpowiedzi. Zaprowadziła mnie do studni i wręczyła mi blaszany kubek, co wisiał na gwoździu. - Samoobsługa - powiada.

Wypiłam dwa kubki wody, a przez cały ten czas ona gapiła się na mnie tymi swoimi oczami.

- Może już trochę wyszłam z wprawy - powiadam. - Może już tego nie umiem.

- Jesteś głodna? - spytała.

Boziu kochana głodna byłam bardzo, więc przyświadczyłam. Kobieta wskazała drzwi domu.

- Na stole jest chleb - mówi. - Poczęstuj się kromką.

- Pani jest bardzo miła, milady - odparłam. I zrobiłam, co mi kazano.

Kuchnia była pokaźnych rozmiarów, ale Jezusie Marysieński okropny panował w niej bałagan. Na podłodze ujrzałam przewróconą bańkę na mleko i rozsypane ziarenka owsa, a pod ścianą leżał stłuczony imbryk. Gdy weszłam do środka, rozlane mleko chłęptał czarny kot, co na mój widok jęknął przeciągle i wymknął się przez drugie drzwi. Rozejrzałam się wokół siebie. Nic się tam wprawdzie nie paliło, ale w powietrzu czuć było swąd spalenizny. Z początku myślałam, że za ten rozgardiasz odpowiada nasz świniak uciekinier, lecz po dokładniejszym zbadaniu terenu stwierdziłam, że owies rozsypano celowo,

i to tak, by ziarenka ułożyły się w pięć liter alfabetu, co razem wzięte dają wulgarne określenie damskich narządów intymnych, nie przepiężę tego tutaj rzecz jasna. Pomyślałam sobie wówczas, że jeśli autorem napisu jest knur, to nader inteligentna z niego bestia, zaiste.

Nie zastałam żadnej kucharki czy pokojówki, przeto ciachnęłam sobie kawałek z bochenka na stole i zjadłam go, po czym ucięłam jeszcze jedną pajdę, a gdy zaczęłam ją pałaszować, odkroiłam trzecią kromkę i wetknęłam ją za sukienkę, między cycuszki. Chlebek był niedosolony, ale zjadłabym nawet zawiasy okienne, tak bardzo dręczył mnie głód. W czasie posiłku zachodziłam w głowę, jak to będzie z tym dojeniem. Chwytam krowkę za wymiona i ciągnę, jasne, widziałam to na rynku wiele razy, tyle że nie z bliska. Byłam dziewczyną z miasta, tam mleko dowozi się w bańkach, by doprawić nim herbatę. Sama zresztą za mlekiem nie przepadałam, teraz zaś przez swoją głupią dumę będę musiała wycisnąć je z krasuli.

Na wszelki wypadek ukroiłam jeszcze jedną kromkę i wsunęłam ją za sukienkę, po czym wyszłam na zewnątrz. Kobieta dalej tkwiła przy studni.

- No, jesteś - rzekła. - Myślałam, że zabłądziłaś.

- Już jestem, milady, tylko ten chleb tak mi smakował, że chciałam pozuć go trochę dłużej. - Nic na to nie powiedziała, westchnęła, odwróciła się na pięcie i ruszyła przed siebie. - Wspaniały dom - krzyknęłam, idąc za nią. - Dalibóg wspaniały! - Lecz moje słowa do niej nie docierały, nawet nie drgnęła, więc szłam za nią dalej bez słowa.

Oddalałyśmy się od domu, krocząc dróżką wiodącą do folwarku, który kończył się wielką oborą dosłownie zapełnioną krowami. Było ich tam ze dwie dziesiątki, to chyba sporo, jak by na to nie spojrzeć. Śmierdziało przy tym zabójczo. Na przeciwnym krańcu gadały ze sobą dwie dojarki, siostry, jak mniemam, ubrane jak do cepa, w dużych butach i fartuchach w paski. Prawie żem się roześmiała, bo wyglądały jak ostatnie wieśniary, no ale wtedy byłam młoda i na wszystko co wiejskie popatrywałam z góry jako godne szybkiego wykpienia. Kobieta podeszła do nich, coś powiedziała, a wtedy dojarki się odwróciły i wlepiły we mnie swe oczka. Ich czepek były komiczne,

ale spojrzenia - mało przychyłne. Uśmiechnęłam się, pomachałam, ale żadna nie zdobyła się na reakcję. Miały tak kwaśne miny, że chyba cudem jedynie mleko nie kisło tam bezustannie.

Przez cały ten czas jedna z krasulek przysuwała do mnie swój ogromniasty zad, aż w końcu przyparła mnie niemal do ściany. Czym prędzej dałam susa w bok, bo inaczej by mnie zmiażdżyła. Wtedy wróciła kobieta. W rękę trzymała wiadro.

- Ileż tu krów, milady - mówię do niej, a ona milcząc podaje mi wiadro. Spojrzałam na wiadro, potem na krowy, potem na moją panią.

- Jak ci na imię? - spytała.

- Bessy - odparłam. - Bessy Buckley.

- Proszę, Bessy - powiada i daje mi zydę, wskazując krowę, przed którą właśnie umknęłam. - Pokaż, co umiesz.

Na szczęście nie została tam, by mnie kontrolować, tylko wróciła do Sióstr Krasulanek, które zabrały się już do roboty. Słyszałam, jak mleko tryska do ich wiader, a patrząc na nie myślałam: Boziu to takie proste, no i po chwili usiadłam na swoim zydelku.

Gdyby krucafuks spłynęła choć kropelka! Siedziałam tam wieki całe, jedną dłońią trzymałam wiadro, w drugiej tkwił duży różowy cyc, i to bynajmniej nie mój własny. Był to cyc krasulowy, tak napęczniały, że zwisał niemal do samej ziemi. Przysięgam, ścisnęłam z całej siły, aż palce mi prawie odpadły, a z krowki, przez inny co prawda otwór, wypadło jeno cosik ciepłego i parującego, co, gdybym w porę nie zrobiłam uniku, zesześciłoby mi sukienkę. Minęło jakieś dwadzieścia minut, a wiadro dalej było puste.

Wtedy wróciła kobieta, towarzyszyły jej Krasulanki. Zajrzała do wiadra i rzekła:

- Mówiłaś, Bessy, że umiesz wydoić krowę.

- Kłamałam - odparłam i żałowałam już, że rzuciłam się jej na pomoc przy tym pierońskim świniaku.

Krasulanki popatrzyły na siebie, nadęte i zadufane, o proszę, mówiła, że wydoi, a nie doi, tedy kłamię, widział kto coś takiego, i tak dalej i dalej. Zrobiło mi się gorąco. Zerwałam się z zydła, by rzucić: czas na mnie, i odmaszerować dumnie w swoją stronę, lecz wstałam

jakoś zbyt gwałtownie, rzekłam tylko: niech to krucafuks, i padłam jak nieżywa. Jak nic wyładowałam w krowim placku, gdyby milady nie przyskoczyła, by złapać mnie w samą porę.

Pojęcia nie mam jak długo leżałam bez ducha, ale gdy odzyskałam przytomność, okazało się, że ktoś wyniósł mnie ze stodoły. Usadzono mnie na zydelku z głową między nogami, a moja pani gmerała mi ręką na plecach, żeby rozluźnić mój gorset. Miałam dobry widok na staniak, na chlebek między cyckami. Musiałam mocno złożyć ramiona, żeby okruchy nie zleciały na ziemię.

- Nie ruszaj się - rzekła kobieta łagodnym głosem. - Zemdlałaś. Nic zresztą dziwnego, przy tak zawiązanym gorsecie.

Chwilę potem pozwoliła mi usiąść prosto i dała mi kubek mleka, co to je zaczerpnęła z któregoś wiadra. Podparła się pod boki i wlepiła wzrok w moją osobę. Myślałam, że spalę się ze wstydu. Siorbałam mleko, żeby jej zrobić przyjemność, a jak tylko przejaśniło mi się w głowie, podniosłam się, mówiąc: - Czas na mnie. Przepraszam za kłopot, milady.

Kiwnęła głową, machnęła ręką, nie próbowała mnie zatrzymać.

Ruszyłam ścieżką ku wielkiemu domowi. Mój tobołek spoczywał tam, gdzie go wcześniej cisnęła, to znaczy przy kurniku. Właśnie miałam go podnieść, kiedy w zasięgu wzroku znów pojawiła się moja pani. Wtedy coś mi się przypomniało i krzyknęłam:

- Milady, któredy do zamku?

- Do zamku? Jakiego zamku?

- No bo na znaku przy gościńcu pisało, że tędy się idzie do zamku, więc chciałam go sobie obejrzeć.

- Rozumiem - milady pokręciła głową. - Tutaj nie ma żadnego zamku. Zamek Haivers to nazwa tej posiadłości.

- Ach tak - odparłam i schyliłam się po tobołek. - Mówi się trudno.

- Poczekaj! - krzyknęła nagle kobieta.

No, złotko, myślę sobie, milady dostrzegła skradziony chlebek, teraz przepadłaś z kretešem. Wyprostowałam się, a ona, dalej gapiąc się na mnie z lekko przechyloną głową, powiedziała:

- Nie mówiłaś mi, że umiesz czytać.
- Pani mnie o to nie pytała.
- Zakładałam, że... Przecież...

Nie podała powodu, ale sama dobrze wiedziałam. Przecież jestem prostą dziewczuchą z Irlandii, wszyscy myślą tak samo.

Oczy kobiety zabłyśły.

- A pisać umiesz?
- Owszem - odparłam. - Piszę całkiem nieźle.
- Po angielsku?

Spojrzałam na nią.

- A niby jak?
- A kto cię nauczył?
- Moja matka - rzekłam po króciutkim namyśle. - Niech spoczywa w pokoju. - I przeżegnałam się.

Kobieta lekko się wzdrygnęła, jakbym ją czymś uraziła. Pewnie chodziło o znak krzyża, Anglicy też go nie lubią.

- Poczekaj - rzuciła i pobiegła do domu.

Rozejrzałam się dokoła. Co dalej, myślałam, może chce, bym jej coś przeczytała albo skrobnęła jakiś liścik. Po chwili wróciła z kajetem w jednej i piórem w drugiej dłoni.

- Proszę bardzo - powiada. - Pokaż mi teraz, jak piszesz. - Po zajściu z krasulą nie mogła mi wierzyć na słowo, kto by się temu dziwił.

Wzięłam pióro, zanurzone już wprzód w inkauscie, oparłam kajet o kamienny brzeg studni i nakreśliłam szybko kilka słów w stylu *dziękuję za chleb milady przepraszam za hipokryzję* czy coś w ten deseń. Pamiętam, że była tam *hipokryzja*, bo tego słowa nauczyłam się od pana Levyego. Nie umiałam, to prawda, wydoić krowy, lecz znałam tajniki ortografii i byłam z tego dumna.

Kobieta patrzyła mi przez ramię. Napisałabym więcej, ale skończył się atrament, tedy oddałam jej kajet i pióro.

- No, no - roześmiała się wesoło. - Ile masz lat, Bessy?
- Osiemnaście, milady, - Co trudno było poczytać za kłamstwo, bo ja zawsze fałszowałam swój wiek. Tak czy owak nigdy nie miałam pewności, kiedy naprawdę się urodziłam, matka często myliła daty.

- Osiemnaście? - Kobieta wysoko uniosła brwi. - No, nieważne. Daję ci cztery szylingi tygodniówki, do tego wikt i kwaterę. Będziesz u mnie pracować?

- Boziu najmiłsza - powiadam. - Raczej nie. Posady poszukam w Edynburgu, milady.

Roześmiała się.

- Ale teraz nie musisz już iść do Edynburga. Możesz tu zostać, a ja zajmę się tobą i dam ci cztery szylingi tygodniowo.

- Ale... Ja nie potrafię wydoić krowy, milady.

- Masz inne talenty - rzecze. - Pięć szylingów, wobec tego. Zajmę się tobą i dam ci grządkę w ogrodzie, na której będziesz mogła coś zasadzić i patrzeć, jak rośnie.

Odparłam, że może zapomnieć o grządce, bo patrzeć, jak rośnie, to mogę tylko na swój majątek. Na to zaś szanse były marne. Nawet w tamtym okresie pięć szylingów stanowiło dość nędzny grosz, ale wiedziałam, że gdzie indziej dostanę to samo, a tutaj przynajmniej byłam z dala od świata, same grubiańskie krowy plus kilka kopalń węglowych. Nadto coś jeszcze w jej słowach usposobiło mnie przychylnie: zajmę się tobą.

Rzuciłam okiem na dom.

- A ma tam pani jakieś książki, milady? To znaczy książki z przygodami.

- O tak - odparła. - Całkiem sporo.

- Bo ja czytać lubię pasjami - tłumaczę. - Gdybym mogła od czasu do czasu poczytać sobie te książki...

- Hm... - Kobieta westchnęła, postąpiła kilka kroków w przód i do tyłu, i w końcu, nader niechętnie, powzięła chyba jakąś decyzję. - No dobrze - powiada. - Dostęp do książek. I pięć szylingów tygodniowo.

- Zgoda. - Gdy to mówiłam, naszła mnie myśl, że ubiłam dobry interes.

Zaprowadziła mnie do kuchni i nie wspominając ani słowem o bałaganie i swędzie powiodła stopą po ziarenkach owsa, tak że nie dało

się już odcyfrować liter i słowa, w które się wcześniej układały. Następnie usadziła mnie przy stole, ażeby wyłuszczyć mi zakres obowiązków. Gdyby je spisać, ułożyłyby się w długachną listę, lecz były proste, żadnych dziwactw, żadnych powodów do niepokoju. Większość zwierząt hodowano w folwarku, ale świniaka i parę kurek milady trzymała w domu i przy domu, niby jakiego psa czy kota, ja zaś miałam je karmić. Miałam też dbać o czystość i schludność domu, zmywać gotować szorować zamiatać odkurzać trzepać i robić herbatę. Codziennie rozpalać ogień, sprzątać podwórze i pilnować, by zawsze paliło się tam światło. Czyścić buty opróżniać nocniki jej i jej męża. Poza tym, w razie potrzeby, będę może musiała wywozić gnój i targać kamienie z jednego pola na drugie, żeby zbudować dren. Zajmę się też ogródkiem warzywnym, a jeśli zostanie mi trochę czasu, to zawsze znajdzie się coś do zaszycia i zacerowania. Jednym słowem, obarczono mnie każdą możliwą pracą, bo miałam wszak być dziewczyną od wszystkiego, która biega wte i wewte bez przerwy. W folwarku pracowała służba folwarczna, co mieszkała tam właśnie tudzież w czworakach po drugiej stronie lasu. W domu byłam tylko ja. Milady nie wspomniała nic o dojeniu, więc sama ją o to spytałam.

- Nie martw się o to na razie - odparła. - Krowami zajmą się Jessie i Muriel. Ciebie wezwiemy tylko w razie nagłej potrzeby.

To mnie trochę rozbawiło. Niby jak mogłaby taka nagła potrzeba wyglądać? Wyobraziłam sobie, że wszyscy w popłochu wpadają na siebie, żeby tylko wydoić krówki. Pozmywaj, Bessy! Zajmij się drenem! Nie mogę, milady, zaszła nagła potrzeba i trzeba mi doić krowy!

Kobieta patrzyła na mnie badawczo.

- Nam nadzieję, że nie jesteś marzycielką - rzekła.

- W żadnym razie, milady.

- A może lubisz się próżniaczyć? Może miewasz humory?

Pokręciłam głową.

- Nic z tych rzeczy.

- A może jesteś kłamczuchą?

Tu mnie miała, przez te krowy. Ale wolałam się nie przyznawać.

- Nie, milady, nie jestem - odparłam. - Zazwyczaj nie kłamię.

Nie wyglądała na przekonaną.

- Bessy, bardzo cię proszę - powiada. - Mówże prawdę. Kłamstwo ma krótkie nogi.

Matka zawsze mi powtarzała, że nie rozpoznam prawdy nawet kiedy wyfrunie mi spod spódnicy i krzyknie „a kuku”.

- Klnę się na Boga, milady - mówię. - Nie jestem kłamczuchą. - Już miałam splunąć, ażeby przyświadczyć prawdę tych słów, ale byliśmy w domu, więc zrobiłam tylko trzy stosowne gesty, przechylając głowę przez ramię. Kobieta wyglądała na przerażoną, nie wiem, co ją zraziło, przecież i tak było tu brudno jak w chlewie.

- Bessy - powiada. - Nie wiem, czego cię wcześniej uczono, ale nigdy nie zachowuj się tak w tym domu.

- Pani wybaczy, milady. Ale kiedy, milady, mówiłam o dojeniu, to chciałam tylko, żeby pani dobrze o mnie pomyślała.

Westchnęła, po czym pełnym opanowania głosem rzekła:

- Bessy, jak tytułowałaś panią domu w poprzednim miejscu zatrudnienia?

- Nijak - odparłam.

Spojrzała na mnie pytająco.

- No bo - tłumaczę - tam nie było pani domu, tylko mój pan Levy, stary kawaler, bardzo zacny, a do pomocy miał mnie i jednego chłopaka.

- Ale na pewno - rzecze milady, zmarszczywszy brwi - zwracałaś się jakoś do pana Levyego, proszę pana albo sir, prawda?

- Owszem - powiedziałam, bo to właśnie chciała usłyszeć. - Proszę pana, tak go musiałam nazywać. Proszę pana.

- Bessy - rzekła bardzo poważnym głosem. - Życzę sobie, byś zwracała się do mnie proszę pani.

- Oczywiście, proszę pani.

Uśmiechnęła się i kiwnęła głową.

- O, tak jest lepiej. - Zaczepnęła tchu. - Posłuchaj, Bessy. Jest jeszcze jedno zadanie, którym chciałabym cię obarczyć. - Z jej spojrzenia wynikało, że chodzi o rzecz najważniejszą ze wszystkich.

Podeszła do szyfionierki i wyjęła z niej brulion na rachunki. Oż Jezu Marysieński, myślę ja sobie, ona chce mnie za księgową i bardzo

źle trafiła, bo może i umiem pisać, lecz do cyferek głowy nie mam. Myliłam się jednak.

- Ten brulion należy odtąd do ciebie - powiada i wciska mi go w ręce. - Teraz, Bessy, słuchaj uważnie. Dopilnuję starannie, by nauczone cię wszystkiego, co jest potrzebne do pracy w tym domu. Z twojej wszelako strony oczekuję, że co wieczór spiszesz w tym oto brulionie wszystko, czym zajmowałeś się przez cały dzień, od świtu do nocy, niczego przy tym nie pomijając.

- Ale po co, milady? - Patrzyłam na nią, trochę zmieszana. - To znaczy, proszę pani.

Nawet nie mrugnęła.

- Dlatego że takie jest moje życzenie - odparła. - Pamiętaj przy tym, że jest to najważniejszy warunek, pod jakim cię tu zatrudniam. Nie przyjąłabym cię na pewno, gdybyś była niepiśmienna. Nie przyuczałabym cię do tych wszystkich zajęć, o których, jak widzę, nie masz bladego pojęcia.

Od chwili gdy nagryzmoliłam parę słów w kajecie, kobieta wyglądała na wielce podnieconą. Nawet teraz oczy się jej błyszczały i miała ciężki oddech. Zadygotałam, bo zmierzchało już z wolna i robiło się coraz chłodniej.

- Co jakiś czas pozwolę sobie przeczytać wszystko, co napisałeś - powiada. - A jak już wypełnisz cały brulion, dam ci następny. Wyrażam się zrozumiale?

- Tak, mil... To znaczy, proszę pani.

Wlepiłam wzrok w brulion. Składał się ze sztywnej okładki i dużej ilości, może stu poliniowanych kartek, na których wyliczało się i sumowało rozmaite nabytki. W głowie nie mieściło mi się, jak mogłabym wypełnić tyle stron, choćby dano mi na to milion lat. Kobieta podała mi pióro, którym pisałam przy studni, i rzekła:

- Będzie ci potrzebny atrament. Poczekaj. - I wybiegła z kuchni na korytarz, wymiatając ze sobą, brzegiem spódnicy, trochę rozsypanego owsa.

Kiedy zniknęła, rzuciłam okiem do pieca, żeby przekonać się, czy właśnie stamtąd niósł się po kuchni ten straszny śwąd. Nie wiem czemu,

ale zadrżałam, widząc pośród popiołu brulion na rachunki, taki sam jaki dopiero co mi sprezentowano. Brulion w piecu różnił się jednak od mojego, bo był doszczętnie niemal sfajczony, a ostał się z niego zaledwie grzbiet i częściowo zwęglona okładka. Wzięłam świecę i pochylałam się nad paleniskiem. Z bliska stwierdziłam, że wszystkie kartki wyrwano i spopieliły się już na amen. Okładka była wilgotna, jakby ktoś oblał ją wodą, chcąc przygasić płomień, a gdy ją rozwarłam, ujrzałam w środku napis zrobiony dziecięcą dłonią. Słowa były na wpół zamazane, ale zdołałam odczytać „własność Morag Sutherland” i jakąś datę lipcową, wszakże bez podania roku. Któż to taki, ta Morag, myślałam, i dlaczego spalono jej brulion? Miałam już go wyciągnąć z pieca, lecz posłyszałam, że wraca moja pani, toteż podniosłam się szybko.

- Proszę uprzejmie - rzuciła wchodząc. - Wyciągnij ręce, Bessy. - Uczyniłam, co mi kazano, i milady wręczyła mi buteleczkę atramentu oraz drugie pióro na zapas, robiąc to wszystko tak ceremonialnie, jakby chodziło o wręczenie pierwszej nagrody w turnieju.

A potem, zgodnie z zapowiedzią, dała mi coś do czytania, rzecz pod tytułem *Samotnia*, oby nie skazywała mnie tym na samotność, pomyślałam, oby to nie był zły omen. Zwróciła moją uwagę na czarno-białą karteczkę, którą wklejono w środku do książki. Na tej karteczce były dwie damy siedzące pod drzewem i wpatrzone w otwartą księgę. Na krawędziach widniały słowa **EX-BIBLIOTHECA-CASTELLUM-HAIVERS**. Każda z książek milady miała taką samą karteczkę, pewnie po to, żeby ich kto przypadkiem nie buchnął.

Następnie zaprowadziła mnie do mojej sypialni. Wzięła ze sobą świecę, mnie zresztą też jedną dała, i wyszliśmy z kuchni do holu. Nieziemskie panowały tam przeciągi, a pełgające płomyki rzucały wielkie cienie, co tańczyły na wszystkich ścianach. Kiedy wkraczaliśmy na schody, zdążyłam dostrzec ozdobny wieszak i stojący zegar szafkowy.

Na pierwszym piętrze wszystkie drzwi były zamknięte, tedy nie mogłam zapuścić żurawia do żadnego pokoju. Trochę mnie to zasmuciło, bo z chęcią bym ponuchała dokoła. Kiedyśmy doszły do końca

kolejnego wąskiego korytarza, wspięłyśmy się po wąskich schodkach do małego pokoju na poddaszu. W pochyłym suficie widniało nieduże okienko. Miejsca starczało tam ledwie na łożko, krzesło i niewielką komodę, druga osoba już by nie weszła, dlatego milady została na zewnątrz, skąd oświetlała moje nowe królestwo, takie maciupkie, że ogarnąć je mogłam jednym okiem, drugie było już zbędne.

- Otóż i twoja sypialnia - oświadczyła milady.

- Bardzo przytulna - odparłam.

Łóżko było nie zaścienione, a na oknie brak było zasłon czy choćby firanki. Usiłowałam nie myśleć o moim cudnym pokoju u pana Leveyego w Crown House, z marmurowym kominkiem, aksamitnymi zasłonami i tak dalej i dalej. Przeszłość to przeszłość, co było, nie wróci.

- Przez pewien czas będę spożywała posiłki w kuchni, wraz z tobą - oznajmiła moja pani, jakby to była świetna wiadomość dla nas obu.
- Ale rzecz jasna - dodała - po powrocie mojego małżonka jadać będziemy razem, ja z nim, ty zaś będziesz nam usługiwać.

- Oczywiście, milady - powiadam. - A kiedy mąż pani powraca?

Nie udzieliła mi odpowiedzi, uśmiechnęła się tylko i zapytała:

- O której godzinie zaczynały się twoje obowiązki w poprzednim miejscu zatrudnienia?

- O ósmej - rzuciłam na chybił trafił.

- Rozumiem - odparła. - Tu, na wsi, wstajemy dość wcześnie. Obawiam się, że jutro już przed szóstą będziesz musiała rozpaścić ogień i przygotować śniadanie.

Pod koniec pierwszego dnia na tym odludziu miałam więc dalek swoje dwa cycki, do tego dwa pióra, dwie kromki chleba tudzież książkę Karola Dickensa i nie zapisany brulion. Ale na tym bynajmniej nie koniec.

Zanim udałam się na spoczynek, musiałam jeszcze posprzątać w kuchni, nie dotykając wszelako pieca, bo tego zabroniła mi moja pani. Ona zaś poszła już do siebie i zostawiła mnie samą. Sprząatanie

zajął mi wieki całe, bo nie przywykłam do takiej roboty, i na górę wróciłam dopiero po jedenastej. Zmęczenie nie pozwoliło mi rozpakować tobołka, więc odłożyłam to na później i wyciągnęłam tylko nocną koszulę. Dwie kromki chleba, co je byłam zwędziłam z kuchni, zawinęłam w czystą haleczkę i schowałam do komody. Potem zjadłam sześć fiołków parmeńskich, które nosiłam w kieszeni, posłałam łóżko i umościłam się w nim. Materac był twardy, lecz gładki, a koce wyglądały na czyste. Niebo musiało być gęsto pokryte chmurami, bo nie dojrzałam na nim choćby jednej gwiazdki. Długo leżałam w napięciu, albowiem pracę zaczynałam o piątej i bałam się, że nie wstanę na czas. W końcu jednak zmorzył mnie sen. Przespałam chyba kilka minut, gdy nagle coś mnie zbudziło. Otwarłam oczy i zobaczyłam moją panią, która stała za świecą przy łóżku, odziana w nocną koszulę. Nie posiadała się ze wściekłości, twarz miała tak naprężoną, jakby za chwilę miała pęknąć na pół.

- Wstawaj! - syknęła. - Wstawaj natychmiast! - Ściągnęła ze mnie koce i parę razy uderzyła pięścią w materac. - Zejdź na dół, moja panno! - powiada. - Masz na to dwie minuty. Nie musisz się ubierać, po prostu natychmiast zejdź na dół.

I poszła sobie.

Jezusie Marysieński, gdy zapalałam świecę, serducho waliło mi młotem piekielnym, widziałam, jak hycy mi pod koszulą. Myślę sobie: zasnęłam. Wyrzałam przez okno, a tam ciemno choć oko wykol, mogła być piąta lub szósta, może ósma, trudno mi było to orzec, bo nigdy tak wcześnie się nie zrywałam. Ręce mi drżały, gdym zarzucałam na siebie szal, z zimna albo ze strachu. Na bosych stopach zbiegałam do holu. Zegar szafkowy wskazywał dziesięć po drugiej, więc nie zasnęłam. I wtedy uprzytomniłam sobie, dlaczego milady tak się wściekała. Ani chybi przyjrzała się bochenkowi i stwierdziła nadmierny ubytek chleba. Teraz już po mnie, myślałam, rano znów będziesz w drodze, bez pracy i ze zszarganą reputacją, ponieważ kłamczucha z ciebie i złodziejka, i nawet krowy wydoić nie potrafisz.

Z ciężkim sercem otwierałam drzwi do kuchni i weszłam do środka. Moja pani siedziała przy stole, na którym paliła się lampa i dwie

świece. Nie wyglądała na rozgniewaną, już prędzej na nieobecną duchem. Nawet na mnie nie spojrzała, gapiła się tylko w ścianę.

- Wejdz, proszę - mówi mi głosem jakimś takim bezbarwnym.

Zrobiłam kilka niepewnych kroczków.

- Proszę panią o wybaczenie.

Odwróciła się gwałtownie.

- Za co?

- Za... - Przez moment biłam się z myślami. Może wcale nie szło jej o kradzież chleba, tylko o coś zupełnie innego. - Za to - powiadam - czym panią wprawiłam w taką złość.

- Złość? - rzekła. - Ależ ja się na ciebie nie złościę. - Posłała mi szeroki uśmiech, po czym znowu wlepiła wzrok w ścianę i odezwała się tym samym co wcześniej, bezbarwnym głosem: - Na tamtej półce stoi kakao - mówi. - A w dzbanku jest mleko. Przygotuj kubek kakao, proszę.

- Ka... kao, proszę pani?

- Owszem - odparła. - Proszę cię o kubek kakao.

Ta zmiana nastroju, to ciągłe „proszę” i ten bezbarwny głos wprawiły mnie w tęgie zakłopotanie. Zachodziłam w głowę, czy wszystkie panie są takie, bo nie mogłam jej z nikim porównać, może tylko z własną matką. No tak, matka też miewała nastroje i bez wahania mogła wyrzucić mnie z łóżka w środku nocy, wszakże nie po to, bym jej zrobiła kubek kakao, o nie, do stu krucafuksów, na pewno nie po, a po co, o tym napiszę później.

- Dobrze, proszę pani - co rzekłszy, dygnęłam. Nie wiem doprawdy w jakim celu, bo nigdy jeszcze przed nikim nie dygałam, ale tak jakoś wyszło po prostu, bo któraż służąca nie dyga? Następnie wzięłam ze stołu dzbanek i zaczęłam podgrzewać mleko. Wtedy nic jeszcze nie wiedziałam o sprawach, które miałam poznać w kolejnych tygodniach, więc dziwowałam się niepomierne, że choć kobieta mnie obserwuje, nie daje mi przy tym żadnych poleceń. Nie wyrzekła zaiste ani słowa, przyglądając się każdemu mojemu ruchowi, a jej oczy błyszczały się przy tym jak kotu. Mleko się grzało i przez moment nie miałam czym zająć rąk, uznałam jednak, że moja pani woli, bym jeszcze nie siadała

przy stole, wzięłam tedy jakąś szmatkę i jęłam udawać, że ścieram kurze.

Po krótkiej chwili milady wzięła głęboki oddech i rzekła:

- Przed momentem wykonałaś pewien gest. Co to było?

- Nie rozumiem... proszę pani.

Wskazała miejsce, w którym stanęłam po wejściu do kuchni.

- O, tam wykonałaś pewien gest.

- Dygnęłam - tłumaczę. - Tak, proszę pani. - Oż krucafuks, myślę sobie, może lepiej nie dygać, Boziu droga, ja wszystko muszę spar-taczyc.

- Dlaczego dygnęłaś?

- Nie wiem, proszę pani. Tak mnie jakoś samo naszło.

- Rozumiem. - Zatrzepotała powiekami. Myślałam, że się rozbeczy, ale tuż potem pojęłam, że moja pani nie posiada się z radości. - Wróc do swoich obowiązków - odezwała się w końcu i ruchem ręki wskazała słoik z kakao.

Odwrociłam się, zdjęłam z półki kubek, zalałam kakao odrobiną zimnego mleka, po czym dolałam mleka ciepłego i wszystko porządnie zamieszałam. Następnie postawiłam na stole kubek i cukiernicę. Raptem milady pochyliła się, chwyciła mnie za ręce i zamknęła moje dłonie w swoich. I znów twarz tak jej się napięła, choć tym razem w uśmiechu, jakby za chwilę się miała rozpęknąć.

- Dziękuję, Bessy - powiada. - Bardzo dobra z ciebie dziewczyna. Spisałaś się świetnie, wręcz znakomicie.

- Ależ nie ma o czym mówić - odparłam.

Miała zimne dłonie. Chciałam się wyrwać, ale trzymała mnie kur-zowo, popatrując z lubością to na kubek, to na mnie.

- Cudownie - rzecze. - Naprawdę cudownie. Doskonale pod każ-dym względem. I jak szybko, jak sprawnie! Jestem z ciebie dumna, Bessy, bardzo dumna. Dobra z ciebie dziewczyna. Dzięki, dzięki sto-krotnie!

Jezusie Marysieński, to tylko kubek kakao.

- Miło mi, proszę pani. - Nic innego nie przyszło mi do głowy. - Czy coś jeszcze mam zrobić?

- Tak - odparta, nagle spowaźniawszy. - Jest coś jeszcze.

Ciekawe co, pomyślałam, kobitka ma kuku na muniu. Puściła mnie, co za ulga, i zerwała się jak oparzona.

- Usiądź na moim krześle - poleciła, a ja polecenie wykonałam.

Przysunęła do mnie kubek kakao.

- Spisałaś się na medal - mówi. - Wypij, proszę.

Spojrzałam na kubek. A potem na nią.

- Ja, proszę pani?

- Tak. - A potem, z pewnym niepokojem: - Chyba lubisz kakao?

- Nie przepadam za mlekiem - odparłam. - Ale kakao może być.

- No, dobrze - mówi. - Wypij je teraz jak grzeczna dziewczynka, a potem marsz do łóżka, bo rano powinnaś być wyspana.

Wyciągnęła dłoń ku mojej twarzy. Cofnęłam się nieco, lecz ona uśmiechnęła się tylko i pogłaskała mnie po policzku wierzchem dłoni. Potem zgasiła lampę, wzięła jedną ze świec i już bez słowa opuściła kuchnię. Senność odeszła mnie zupełnie. Jeśli dobrze pamiętam, do łóżka poszłam dopiero jakiś czas później. Wydaje mi się, że siedziałam tam długo z kubkiem przed sobą, patrząc jak para unosi się znad kakao i znika w płomieniu świecy.

Nowe odzienie, nowi ludzie

Nazajutrz rano przez kilka chwil po przebudzeniu gapiłam się bezmyślnie w okno, po czym z jękiem zerwałam się z łóżka, bo słońce już stało wysoko na niebie i ani chybi było po piątej. Wrzuciłam na siebie ubranie i popędziłam na dół bez mycia i innych ceregieli, jedynie po drodze uładziłam troszkę włosy. Zegar w holu powiedział mi, że minęła dziewiąta. Spóźniłam się o cztery godziny, Jezusie Marysieński, to pewnie rekord świata. Właściwie sama mogłam się winić. Poprzedniej nocy, gdy siedziałam przy stole, prawie że postanowiłam stamtąd wybyć i spróbować szczęścia gdzie indziej, bo, jak myślałam, nie nadaję się do takiej roboty. Jednakże teraz, kiedy milady mogła mnie odprawić, nim się jeszcze za cokolwiek zabrałam, zaczynały mnie dręczyć wątpliwości, a ja nie należę do wątpiących.

Moja pani była w kuchni, wlewała do spodka mleko dla kota. Miała na sobie prostą szarą suknię i fartuch. Gdy wbiegłam, uniosła wzrok.

- O, Bessy - powiada. - Mam nadzieję, że dobrze ci się spało.

Pomyślałam, że to próbka jej sarkazmu, ale miałam w zanadru szereg wymówek. - Proszę wybaczyć, proszę pani, ja...

Przerwała mi ruchem ręki.

- Tak, tak - mówi. - Zarwałaś noc. To całkowicie moja wina.

Kpi czy o drogę pyta? Nie mogłam się połapać.

- Proszę pani, przepraszam, nie spałabym tak długo, tyle że...

- Cicho, dziecino - powiada. - Pozwoliłam ci dziś się wyspać. W końcu spędziłaś dzień w drodze. Pewnie byłaś zmęczona. No i strąpiona śmiercią swego pana, wiadomo...

Kiwnęłam głową, ogłupiała.

- Tak, Bessy. Mam dziś dla ciebie kilka zadań, nic trudnego. Właściwą pracę rozpoczniesz jutro, gdy już wypoczniesz. O ile, rzecz jasna - spojrzała na mnie uważnie - zamierzasz tutaj pozostać.

Uśmiechała się do mnie serdecznie, jak dobra mama w bajce dla dzieci. Wzrok miała pogodny, lecz czaił się w nim lekki niepokój. Wahałam się nie dłużej niż sekundę.

- Tak, proszę pani. Oczywiście pragnę tu zostać.

- Dobrze - rzekła z wyraźną ulgą. - Za moment dam ci zjeść śniadanie. Ale zacznijmy od spraw najważniejszych. Masz na sobie gorset? Zamrugałam.

- Nie, mila... proszę pani - odparłam. - Nie miałam czasu go włożyć.

- Znakomicie - rzecze ona. - Zatem nie będziesz musiała go zdejmować. - Co powiedziawszy, wyciągnęła z kieszeni centymetr i zaczęła mnie mierzyć, notując wyniki na skrawku papieru. Z początku sądziłam, że rozchodzi się o uszycie stroju zdatnego dla służącej. Pamiętam, jakby to było wczoraj, swoje rozmiary w biuście i całą resztę, ze skromności nie przytoczę ich tutaj, ujmę to tak: w tamtym okresie byłam nader kształtną dziewczyną. Będąc tak blisko mojej pani, czułam jej zapach, olejek różany, tudzież cieplejszą i bardziej swojską własną woń jej ciała. Gdy uporała się już ze zwykłymi pomiarami, biust talia i tak dalej, zabrała się za długość szyi i ramion, co, uznałam, było jej potrzebne do rękawów i kołnierzyków. Potem zmierzyła mi dłoń, długość każdego palca. No, rękawiczki, myślę sobie, dalibóg nieźle, coraz lepiej. Następnie okręciła mi taśmą głowę i zanotowała *czaszka 21 i 1/2 cala*, z czego wywnioskowałam, że dostanę kapelusz, oby porządny, a nie jakąś słomkową tandetę. Po czym zmierzyła mi usta oraz odległość między czołem i brodą, później między oczami, a potem zmierzyła mi nos. Na końcu sprawdziła dystans pomiędzy lewym nozdrzem a lewym uchem i prawym uchem a prawym nozdrzem. Prawdę rzekłszy, czułam się zbita z tropu, lecz byłam jeszcze młoda i próżna, i gdy rzuciłam okiem na tę jej karteczkę, z ulgą stwierdziłam, że obie strony mojej twarzyczki liczą równo po

pięć cali, bo gdyby po jednej stronie było więcej, to mogłabym pewnie dołączyć do teatru osobliwości jako popisowy dziwoląg.

- Skończone - powiada milady, notując coś jeszcze na swoim świstku.

- Jeśli można, proszę pani - ja na to - po co pani...

Wskazała gestem garnek z owsianką.

- Śniadanie - mówi. - A po śniadaniu możesz zebrać jaja. Koszyk stoi tam w rogu. Swoją drogą, mówiłaś, że twój poprzedni pan mieszkał w...

- Hyndland, proszę pani, Crown House - odparłam i prawie że ugryzłam się w język, bo nie podałam jej wcześniej dokładnego adresu, a teraz wygadałam się bez potrzeby dlatego że tak bardzo speszyła mnie tym całym mierzeniem.

- Crown House. - Zanotowała.

- Ale przecież - rzuciłam szybko - nie może pani go prosić o referencje, bo on nie żyje, a dom stoi pusty. - I dodałam: - Niestety.

Spojrzała na mnie surowo.

- Niestety nie żyje? Czy niestety nie mogę prosić go o opinię?

- No... Jedno i drugie, proszę pani. Ale... Proszę mi z łaski swojej powiedzieć, po co pani te wszystkie pomiary?

Uśmiechnęła się i powiada:

- Z czego jest twoja sukienka?

- Z jedwabiu, proszę pani.

- A jakiego jest koloru?

- Jest czerwona, proszę pani.

- A czy masz oprócz niej jakieś inne sukienki, oprócz tej i... tego czegoś, co miałaś na sobie wczoraj?

Pokręciłam głową.

- Tak myślałam - powiada. - Zatem potrzebny ci nowy strój, nieprawdaz? To, co masz, do niczego się nie nadaje.

- Tak, proszę pani, to oczywista. Ale... Chodzi mi o te inne pomiary... Patrzyła na mnie bez wyrazu.

- Jakie inne pomiary? - rzekła, odwróciła się i opuściła kuchnię ze swoim karteluszkim.

Może chciała narysować mój portret i nie chciała pomylić proporcji czy coś w tym rodzaju. Kiedy tak stałam w kuchni zamyślona, milady wchodziła po schodach do swego pokoju. Byłam ciekawa, co ona tam może porabiać, sama jak palec. Posłyszałam słaby odgłos zamykających się drzwi, a potem nastała cisza, jedynie w oddali smutno gwizdał pociąg, bliżej zaś mój żołądek poburkiwał z głodu.

Sięgnęłam po garnek z owsianką i wtedy spojrzałam na palenisko. Ktoś skrupulatnie je wyczyścił i wymył, a nadpalony brulion zniknął z pola widzenia.

Zanim zabrałam się za jajka, rozejrzałam się troszkę po obejściu. Po jednej stronie domu znajdowała się stajnia, po drugiej ogród warzywny. Dalej, na końcu ścieżki, był folwark i obora, z którą zaznałomiłam się wczoraj. Sam dom zbudowano pewnie tysiąc lat temu, ściany z piaskowca szarzały już od starości. Większa część domu miała dwa piętra, w paru miejscach wyrastały też niskie oficynki. Kominy były wysokie, a patrząc na dachy, uznałam, że jest tam jeszcze parę strychów oprócz poddasza, w którym mieści się moja izdebka. W szczycie dachu dojrzałam wycięcia, co wyglądały jak blanki obronnych murów. Kiedyś pewnie to wszystko prezentowało się dostojnie, lecz teraz sprawiało dość przykre wrażenie: pęknięte szyby, łuszcząca się farba i ścieżki zarośnięte chwastami. Albo więc moi państwo nie śmierdzieli groszem, albo też mieli za mało ludzi do pracy.

Poniekąd cieszyłam się, że pozwolono mi dłużej pospać, ale, zabawne, pragnęłam szybko rzucić się w wir pracy, im będzie trudniejsza i brudniejsza, tym lepiej. Wzięłam więc koszyk i poszłam do kur. Jezu Marysieński, kto by pomyślał, że garstka kur może tak bardzo cuchnąć. Musiałam wstrzymywać oddech. Niektóre jajka lepiły się od kurzych odchodów, mało brakowało, a zaczęłabym womitować. Kiedy udało mi się zebrać dziewięć jajeczek, wysunęłam się tyłem z kurnika, niemalże uduszona. Odwróciłam się wtedy i kogóż to widzę, na podwórku stoi mój wczorajszy znajomy, ów górski chwata, gapi się teraz na mnie i szczerzy zębami, z rękami w kieszeniach. Myślałam, że mnie lichy weźmie.

- Co ty tu krucafuks robisz? - krzyczę na niego. - Oż kurka wodna, ty mnie szpiegujesz!

Objasnić muszę, że wystawiałam się nieprzyzwoicie, bo drań wystraszył mnie nie na żarty zjawiając się tak niespodzianie. Nie byłam też nadto rada na jego widok, snuł się za mną jak zaraza, nie ma to jeszcze szesnastu lat, a rozpustne już jak diabli.

- Job twoja mać! - rzecze tym swoim dziwnym językiem. - Toć ty łazisz za mno.

- Precz mi z oczu, ciamajdo - mówię.

- Ja ciebie dam ciamajdę - odparł znów wyszczerzony. Podparł się pod boki i wskazał palcami rosnącego mu wściekle ptaka. - Pójdźże ze mno do stodoły, legniemy tam społem niby chłop z babo.

Postąpił krok przed siebie, toteż cisnęłam w niego jajkiem, trafiło w szcękę i rozsnuło mu się żółtą brodą na szaliku i kamizeli. Było to tak komiczne, że aż się zachichrałam. Chłopczyzna otarł sobie brodę i wytarł rękę o spodnie. Potem wyszczerzył się znów jak wariat i znów uczynił krok w moją stronę. Już miałam rzucić kolejne jajeczko, kiedy ujrzałam śpieszącą ku nam milady. Mówię mu więc:

- No, napytałeś sobie biedy, bo milady zaraz zobaczy, że wtargnąłeś na jej posiadłość.

Obejrzał się przez ramię, ażeby sprawdzić, o kim mowa, po czym wsunął ręce do kieszeni i rozglądając się dokoła, począł gwizdać z wyrazem świętoszka na facjacie.

- Milady - powiadam. - To znaczy, proszę pani. Ten chłystek mnie niepokoi. Snuje się za mną jak zaraza.

Milady spojrzała na smarkacza.

- Czy to prawda, Hectorze?

Hectorze?

Mrugnął do mnie chytrym oczkiem, kontent z siebie, kanalia.

- Niii... pani Reid - zwrócił się do milady. - Ni trochę. Zapytywał ja jeno tom wredno dziewczkę, zaczem kce dziabnoć panine jajca, a ona jednym mie chlaska.

I zrobił niewinną mineczkę, przysiąc by można, że święty. Myślałam, że wyjdę z siebie.

- Łgarz! - rzuciłam i dodałabym co nieco, ale milady przerwała mi szybko.

- Hectorze, to jest Bessy - powiada. - Nowa służąca.

- To być nie może! - Oczy mu się rozszerzyły, lecz w głębi ducha nie zdziwił się bynajmniej. - Nowa służonka? - rzecze. - No, no. - I ogląda mnie niczym krasulę na licytacji.

- To jest Hector - teraz milady zwróciła się do mnie. - Pomaga nam w folwarku przy tym i owym.

Jak się łatwo domyślić, nie ucieszyła mnie ta wiadomość. Zmierzyłam go wzrokiem, jak gdyby był zawartością nocnego naczynia.

- Jak twój ząb, Hectorze? - spytała milady.

- Zara pokaże dziure - odrzekł łobuz i tak jak wczoraj odchylił wargę brudnym paluchem. Milady zasłoniła oczy dłonią, trudno mieć jej to za złe.

- Nie życzę sobie tego oglądać - powiada. - Chcę tylko wiedzieć, czy operacja się udała.

Smarkacz wyciągnął palucha z ust i wytarł go o rękaw.

- A jużci, łudała, pszepani - odrzekł. - Szarpneli zemba i wylecioł jak kartofel, co go z gleby wrywają.

- Dobry Boże. - Milady zrobiła kwaśną minę. - Tak... Wracaj już do pracy.

Chłopiec skłonił się przed nią lekko, przede mną zaś głębiej, sarkastycznie, ma się rozumieć. I znów mrugnął chytrze, i pobiegł sobie. Nie znam się na wrywaniu kartofli, ale na pewno można by je zasadzić między palcami jego stopek.

- Czy on naprawdę cię niepokoił? - spytała milady.

- Tylko troszeczkę, proszę pani - odparłam. - Z czymś takim sama sobie poradzę.

- Mam nadzieję - powiada. - Ale radź sobie bez rzucania jajkami.

- Uśmiechnęła się do mnie. - Wcześniej śpiewałaś ładną piosenkę. Chyba jej wcześniej nie słyszałam.

- Nie, proszę pani - mówię. - Sama ją ułożyłam w głowie.

- Doprawdy? Bystra jesteś. - Pogłaskała mnie po policzku.

- O czym myślisz, Bessy?

- O niczym nie myślę, proszę pani.

A myślałam właśnie, jak by tu przy najbliższej sposobności rozłupać łepetynę Hectorsa. Wolałam jednak tego nie mówić, żeby mnie źle nie oceniła.

- To niemożliwe - stwierdziła milady. - Zawsze o czymś myślimy, każdy z nas. Mniejsza o to. Ile jajek udało ci się zebrać?

- Dziewięć... to znaczy osiem - odparłam.

- Dzielna dziewczyna. - Posłała mi milusi uśmiech, odwróciła się i ruszyła ku domowi. Patrzyłam za nią, jak idzie.

O czym myślisz? Co za pytanie! Nigdy wcześniej nikt mnie o to nie pytał.

Przez pozostałą część poranka milady pokazywała mi, co mam robić, a po lunchu wysłała mnie po podpłomyki do Snatter. Była to najbliższa wieś, której nazwa bardzo mnie śmieszyła, bo brzmiała jak nazwa psiej rasy. Milady przeprowadziła mnie przez ogródek warzywny i wyjaśniła, jak zająć tam najkrócej, ścieżką przez łąkę o nazwie Cowburnhill, a potem drogą do samej wsi, co leżała przy skrzyżowaniu z gościńcem.

- Nie zabaw tam zbyt długo - poleciła. - Muszę mieć podpłomyki już dziś po południu. Kup je i wracaj bez zwłoki.

- Tak tak - mówię do niej. - Na litość boską, kobieto, zrządzisz jak stara baba.

Nie, tego nie powiedziałam. Rzekłam jedynie: - Oczywiście, proszę pani. - Wzięłam od niej trzy pensy, dygnęłam grzecznie i rozpoczęłam swoją wyprawę. Przez cały ranek milady była dla mnie przemiła i prawie już zapomniałam, jak osobliwie zachowywała się minionej nocy.

Łąka Cowburnhill nie zachwycała mnie jakoś, po szyję tonęłam w krowich plackach, lecz krowki pały się szczęściem na łące sąsiedniej. Niebo było barwy owsianki, którą jadałam na śniadanie, wiatr nie wiał i nie było zbyt chłodno. Idąc, śpiewałam sobie piosnkę, co sama ją układałam, ale nie była jeszcze gotowa, miałam tylko dwie zwrotki i refren.

Potem ścieżka biegła przez małe pole, tam zaś, na samym środku, stał schylony mężczyzna i uporczywie wpatrywał się w glebę. Przestałam śpiewać, jak tylko go zobaczyłam, nie chciałam przyciągać do siebie uwagi. Kiedy wszelako go mijałam, wyprostował się i wlepił we mnie swe ślepie. Był mały, chudy i ciągle spluwał. Później oświecono mnie, że to Bocheniek, jeden z parobków w folwarku. Po jego pełnej oburzenia fizys sądzić by można, że beczeszczę jego królestwo. Pozdrowiłam go i pomachałam przyjaźnie, bo to w końcu mógł być nowy mój sąsiad. W odpowiedzi odchrząknął, zebrał się w sobie i splunął siarczysto. Wyglądał na kogoś, kto spluwa przez cały dzień boży, więc skłamałabym twierdząc, że uczynił to specjalnie na moją cześć.

Na szczęście droga, którą szłam, szybko skręcała i zbiegała potem po wzgórzu za żywopłotem. Z ulgą zniknęłam mu z oczu. Wkrótce potem dotarłam do Snatter. W tamtych czasach, przed otwarciem nowej kopalni, była to wioska mniejsza niż obecnie, mieszkali tam przede wszystkim górnicy i tkaczki, a budynki skupiały się wokół rynku i ciągnęły się dalej w obie strony gościńca. Rozglądałam się za jakąś kawiarnią czy innym przybytkiem rozrywek, lecz spotkał mnie srogi zawód. To prawda, na końcu wsi była karczma „Za Węgłem”, a nieopodal rynku, przy samym gościńcu, stała nieduża gospoda o nazwie „Pod Łabędziem”. Prócz tych dwóch miejsc zaciekawić mogły jedynie stara kuźnia i sklepik służący za piekarnię, skład z żywnością i urząd pocztowy zarazem. Na gościńcu bawiło się pół tuzina brudnych dzieciaków. Kręciły się tam też dwa parchate psy i stało kilka zaprzężonych furmanek i dwukótek. Żadnego teatru, żadnej tancbudy, a na jedynym pokaźniejszym gmachu widniała tablica, na której pisało, że spotykają się tam masoni, Wolni Ogrodnicy. Byłam przybita. W oknie sklepiku zapowiadano co prawda jakiś „wieczorek”, lecz kiedy się bliżej przyjrzała, wyszło, że było już po zabawie, ta zresztą odbyła się w innej wiosce o nazwie Smoller. Choć miałam ochotę na jednego głębszego, nie wstąpiłam ani do karczmy, ani do gospody. Mój pierwszy dzień pracy skończyłby się katastrofalnie, gdybym się podchmieliła i straciła władzę nad nogami. Nie wolno mi było rozczarować milady, tak przecie dla mnie wyrozumiałej.

W sklepiku pachniało słodyczami, tabaką i zsiadłym mlekiem. Zastałam tam tylko łysiego człowieka, którym okazał się sam właściciel, imię A.P. Henderson. Kiedy po wejściu powiedziałam mu dzień dobry, on jedynie skrzyżował ramiona, zerknął na swój zegarek z dewizką i ziewając, wlepił wzrok w sufit. Znałam już jegomości takiego pokroju, wiedziałam, że afront trzeba mi zignorować, tedy czym prędzej przeszłam do konkretów.

- Czy ma pan podpłomyki? - spytałam i w tym samym momencie spostrzegłam je na ladzie, gdzie spoczywały pod szklanym kloszem. Zanim jednak zdołałam o nie poprosić, Henderson pokręcił głową.

- Ni - odrzekł. - Ni mom.

Spojrzałam na niego zdziwiona, po czym wskazałam klosz na ladzie.

- A te tutaj?

- Dla inszych klientów - powiada.

- To znaczy dla kogo? - pytam.

- Dla ludzisków zez Snatter i gminy.

- Wobec tego - mówię - może mi pan sprzedać sześć podpłomyków, bo mam je kupić dla mojej pani z Zamku Haivers, który jak miemam leży w tej gminie, ledwie o milę stąd.

To mu dało do myślenia. Przypatrywał mi się przez swój długachny nos.

- A kto ty zac? - spytał w końcu.

- Jestem nową służącą w Zamku Haivers - odrzekłam. - Wczoraj przyjęto mnie do pracy.

Co słysząc, zaśmiał się szyderczo.

- Nowa służka - powiada. - A co zez starom?

Wolałam nie przyznawać się do niewiedzy, więc mówię tylko:

- Wyjechała.

- Jużci, że wyjechała - powiada, a potem (tonem jak na mój gust dosyć dziwnym): - Może wyjechała kolejom? - i zaczął wręcz ryczeć ze śmiechu, tak, ryczeć. Czekałam cierpliwie, aż da sobie folgę. Nie bawiło mnie to wcale, pomyślałam, że jest niespełna. Po dłuższej chwili uspokoił się i wytarł oczy. - Och, niebozontko - rzecze. - Wy-

jechała kolejom, niech mnie! - Oparł się o ladę i mówi do mnie niby to w zaufaniu: - A jak ci tam pikna Arabella?

- Niby kto? - pytam wyniośle.

- No, twoja pani, pani Reid - on na to. - Wiesz ty chyba, że tak się zowi?

- A tak - mówię. - Arabella. Nie usłyszałam dokładnie. Ma się świetnie, dziękuję.

- A łon?

Odgadłam, że idzie mu o małżonka milady, więc mówię:

- Obecnie nie ma go w domu.

- Ano, ano - powiada Henderson. - Pewnikiem ugania się za głó-sami.

- Bez wątpienia - potwierdziłam, nic z tego, rzecz jasna, nie rozumięjąc.

- Ano, ano - powtórzył sklepikarz i uniósł jedną brew. - Samiuteńka tam siedzi pewnikiem w tem ogromniastem domu. I trzeba jej jakiej kompanii?

Polizał się po koniuszkach wąsów, na pewno siebie obsadził już w roli brakującego towarzysza. Odrażą przejęła mnie myśl, że mógłby choć zbliżyć się do milady.

- Bynajmniej - powiadam. - Dom jest właśnie pełen gości.

Zrobił zdziwioną minę.

- O tak - mówię. - Z Anglii przybyli krewni milady. Dlatego potrzeba nam więcej żywności, zjedli już prawie wszystko. A teraz proszę sześć podpłomyków. Muszę wracać, bo na mnie czekają.

Była to chyba najtrudniejsza prośba, jaką spełnił w swym życiu, albowiem zsuwając się ze stołka, wzdychał ciężko i kręcił głową, zdumiony i zrozpaczony oburzającym faktem, że ktoś chce kupić podpłomyki. W końcu zapakował mi sześć placuszków, a ja położyłam przed nim pieniądze. Zgarnął je z lady i wrzucił do swego fartucha, a potem do kasy. Monety ledwie dotknęły jego niepokalanych rącząt, nie chciał wszak złapać jakichś zarazków od prostej irlandzkiej dziewczuchy.

Arabella.

Arabella, Arabella, cudowne imię. Przez całą drogę rozmyślałam o afiszu, który widziałam onegdaj przed Teatrem Królewskim. Widniała na nim balerina w cudownej, bladoróżowej, odstającej na boki sukience, o skórze białej jak mleko, nie wiem dlaczego, ale z tym właśnie kojarzyło mi się imię Arabella, z czymś subtelnym, delikatnym i pięknym.

Inne skojarzenia wywoływał Bocheniek. Z radością stwierdziłam, że nie ma go już na polu z rzepą, pewnie spluwał teraz gdzie indziej.

Moją panią zastałam w kuchni.

- Wróciłaś! - stwierdziła uradowana, jak gdyby spodziewała się, że zemknę z jej dwupensówką. Dałam jej podpłomyki, a ona pokazała mi stertę przygotowanych dla mnie ubrań, które porozkładała na stole. Były tam fartuszki, spódnice, czepki i dwie bawełniane sukienki, jedna w paski, druga zaś ciemnoszara, obie żdziebko wyblakłe. Szybko spostrzegłam, że nie są nowe, bo nowych ubrań nie zdobyłaby w takim tempie. Ajako osoba młoda i wielce dbająca o swą prezencję, byłam ciut ciut rozczarowana na myśl o noszeniu odziewków przechodzonych. Milady zauważyła moją minę.

- Powinny na ciebie pasować, nie sądzisz? - powiada. - To tylko na pewien czas, później sporządzimy coś specjalnie dla ciebie.

Wzięłam do rąk sukienkę w paski i przyjrzałam się uważnie. Wyglądała na czystą i pachniała jak świeżo uprasowana.

- Włóż ją - rzecze Milady.

- Mam przebrać się tutaj, proszę pani?

- Czemu nie?

Zdjęłam swoją sukienkę i założyłam tę w paski. Zapinała się z przodu, od pasa. Z jakiegoś powodu drżały mi palce, więc milady podeszła i zapięła, jeden po drugim, wszystkie guziki. Następnie pogłaskała mnie po włosach, uśmiechnęła się i cofnęła o krok.

- Idealnie - powiada.

- Czy to pani sukienki?

- Nie, nie - odparła. Ale gapiłam się na nią, więc dodała: - Należały do pewnej dziewczyny, która mieszkała tu jakiś czas temu. Od... Odchodząc, zostawiła parę swoich rzeczy. Złożyłam je na strychu, bo... bo może kiedyś powróci.

Było w tym wszystkim coś dziwnego, wahała się i unikała mojego wzroku, czuło się to na miłą z zamkniętymi oczami zatkanym nosem i korkami w uszach. Zanim wszakże zdążyłam rzucić kolejne pytanie, milady klasnęła w dłonie i roześmiała się wesoło.

- No, możemy zaczynać - orzekła, jakby zapraszała mnie do udziału w jakiejś wspaniałej zabawie. - Załóż czepek i fartuch. Odwiedzi mnie dzisiaj pastor Pollock. Chcę, żebyś usługiwała nam w salonie.

- Dobrze, proszę pani - odparłam.

Nie znałam jeszcze pastora Pollocka, ale głowę bym dała, że to prezbiterianin. Ożywiłam się, przyznając, na perspektywę usługiwania prawdziwemu duchownemu, nawet jeżeli był on członkiem opozycji, jak ujmowała to moja matka. Nie żeby była religijna czy jakaś święta, a gdy ostatni raz wybrała się na mszę, to z czubajęj się dymiło i spadała z krzesła, i pękała ze śmiechu, i jechała do Rygi. Tak czy owak, widziałam już wcześniej paru „prezbiterów”, na ich widok nawet święty by splunął.

O trzeciej przemiana się dokonała, byłam służącą jak się patrzy. Miałam na sobie sukienkę w paski, biały fartuszek i czepek z falbankami, włosy gładko zaczesane za uszy i upięte w skromny koczek. Zdążyłam się nawet umyć. Kimkolwiek była dziewczyna, co jej już nie było, musiała mieć kiepską figurę, bo moje cycki spłaszczyły się jak naleśnik, poza tym wszystko grało. Milady zlustrowała mnie dokładnie, i pochwaliła, słusznie zresztą.

Kazała mi potem rozniecić ogień w kominku i zapalić świece w salonie, a potem zabrała mnie znów do kuchni, gdzieżem maśliła podpłomyki, a ona siedziała ze swoją robótką. O wpół do czwartej rozległo się pukanie. Pośpieszyłam do holu, otwierałam i ujrzałam pastora Pollocka. Był to dobrze zbudowany mężczyzna koło pięćdziesiątki, z bokobrodami,

o ładnej fizys starszego pana. Na mój widok zamrugał zdziwiony i aż zatrzęsły mu się kędziory, chyba spodziewał się kogoś innego.

- Na miły Bóg... Hoho! - powiada tonem niby pogodnym, lecz wedle mnie sztucznym okropnie. Dygnęłam i przywitałam go grzecznie, i wpuściłam go do środka, wszystko przykładnie, mucha nie siada.

- Tak tak - rzecze on. - Ja cię tu jeszcze nie widziałem. - Powiedział to nieco karcącym tonem, po czym dobył z siebie coś między chichotem a westchnieniem: - Aha-ha!

- Nie, sir - mówię. - Jestem tu nowa.

- Aha-ha! - zareagował po swojemu i jął badać mnie kątem oka. Ja tymczasem wzięłam od niego kapelusz i płaszcz. Wyczułam już, że pastor Pollock ma się za szczwanego lisa i chce wiedzieć i widzieć wszystko. Roztaczał wokół siebie osobliwy zapaszek parafiny czy czegoś takiego, a buty skrzypiały mu niczym stary galeon.

Powiesiłam płaszcz i odwróciłam się do niego. Dalej przebiegle kiwał głową.

- Aha-ha! - powtórzył swój zaśpiew. - Nowa służąca, tak? - Przez kilka chwil trawił w sobie ten fakt, po czym rzekł: - Zakładam, że masz urocze imię.

- Na imię mi Bessy, sir.

- Hm... No, nieważne. Imiona są bez znaczenia. Trzeba jedynie słuchać Boga i przestrzegać szabat. To oczywista.

- Tak, sir.

- Jestem pewien - powiada - że będziesz tutaj nad wyraz szczęśliwa. Masz doprawdy cudowną panią... Doprawdy... Jesteśmy w bardzo... przyjacielskich stosunkach.

Sprawiał wrażenie człowieka, który szykuje się do rozwlekłej peryory, przerywanej nadto długimi pauzami. Przerwałam mu zatem:

- Uprzejmie proszę tędy, sir. - I ruszyłam śpiesznie ku salonowi. On wszelako dalej stał w tym samym miejscu, uśmiechnięty, kontent z siebie, podparty pod boki, unosząc wysoko ramiona. Nie skończył przecie i idę w zakład, że bylibyśmy tam stali do dzisiaj, gdybym po prostu go nie zlekceważyła i nie zapukała w drzwi salonu.

- Proszę! - rzekła milady.

Gdy weszłam, uniosła wzrok znad robótki. Siedziała przy kominku. Znowu zmieniła suknię, włosy zaś utrefiła tak cudnie, że dalibóg piękna była jak z obrazka, ba, jak z obrazu, co wisi w galerii i podpisany jest „Piękna pani na swoich włościach”.

Już miałam zaanonsować pastora, gdy ten przepchnął się obok mnie z tym samym chełpliwym uśmiechem na ustach, lecz oczko mu zabłyszczało znacząco, bo wiedział, że ze mną nie ma żartów.

- Pastor Poldek, proszę pani - powiadam.

Wstając, by go powitać, milady strzeliła we mnie spojrzeniem, w którym czaiła się niepewność: czy źle usłyszała nazwisko, czy może zawinił mój akcent. Tak czy owak, on sunął już ku niej z wyciągniętą dłońią.

- Pastor Pollock - mówi milady. - Jak miło, że pan nas odwiedził.

- Aha-ha! - on znowu swoje.

Uznałam, że czas wstawić wodę w czajniku.

Kiedy później wracałam z tacą, słyszałam ich przytłumione głosy. Jednak gdy zapukałam, oboje zamilkli, jakby mówili właśnie o czymś, o czym ja nie powinnam wiedzieć.

Siedzieli po obu stronach kominka, pastor na dużym skórzanym fotelu, z nogami wyciągniętymi swobodnie przy samym palenisku. Czuł się tam widać jak u siebie w domu.

- Doskonałe - zwróciła się do mnie milady i wskazała stolik pomiędzy nimi, na którym miałam postawić serwis do herbaty. Zająłam się tym bardzo wolno, licząc, że wznowią swoją rozmowę. Jeden spodek... po nim następny... filiżanka pierwsza... filiżanka druga... łyżeczka...

Pastor odchrząknął.

- Nie wiem, czy już dzieliłem się z tobą, Arabello - powiada - nader pochlebną dla mnie wieścią.

Trochę mnie to skwasiło, bo najwyraźniej zmienił temat.

- Nie - rzecze milady. - Cóż to za wieść?

- Tak więc - mówi on, znów kontent z siebie wielce - przekonano mnie, bym w ramach poniedziałkowych odczytów wieczornych wygłosił w Glasgow własną prelekcję.

- Doprawdy? - rzekła milady. - To świetnie.

- Świetnie, zaiste - on na to. - Będę przemawiać w Galerii Cechowej lub w Salach Królewskich... ostatecznej decyzji jak dotąd nie powzięto. Rzecz ma się odbyć dopiero w przyszłym roku, jest wszakże na tyle... doniosła... że czasu trochę potrzeba, by nadać jej odpowiedni rozgłos... Dano mi do zrozumienia, że ten cykl wykładów cieszy się sporą popularnością.

- Cudownie! - powiada milady. Bożiu najmiłsza, to słowo zabrzmiało tak, jakby naprawdę była pod wrażeniem. Dobrze sobie z tym hultajem radziła!

- Żywię nadzieję, iż komitet postąpił słusznie, obdarzając mnie zaufaniem - rzecze pastor. - Powiedziano mi, że zostałem im jak najserdeczniej polecony. Zewsząd słyszę, że jestem jednym z najlepszych mówców w tych okolicach, lecz trudno mi się z tym zgodzić. Obecnie zaś muszę rozważyć wybór tematu... Może ty, Arabello, wspomóżesz mnie w tej rozterce. Wiesz, oczywista, że mój konik to...

Urwał i czekał, aż milady uzupełni zdanie.

- Wilhelm Orański - co mówiąc, milady kiwnęła głową.

- Owszem - rzekł pastor. - Staruszek król to moja najmocniejsza karta, że się tak wyrażę. Być może jednak wezmę na warsztat temat zupełnie nowy.

Uznałam, że nic ciekawego już nie usłyszę, więc uporawszy się szybko z resztą serwisu, wyprostowałam się, gotowa do opuszczenia salonu.

Pastor rozsiadł się głębiej w swoim fotelu i posłał mi dobrotliwie promienny uśmiech.

- Aha-ha! - powiada. - Twoja obecność w tym domu, Betty, z pewnością okaże się trudna do przecenienia.

- Na imię mi Bessy, sir.

- Proszę? Wszak przedstawiłaś mi się jako Betty.

- Czyżby, sir? Nie sądzę.

- Ależ oczywiście. Tuż po moim tutaj przybyciu przedstawiłaś się jako Betty. - Uśmiechnął się do milady, kręcąc głową, jak gdyby uznał mnie za niezbyt rolgarniętą.

- W takim razie - powiadam - muszę się mylić co do własnego imienia, sir.

- Dziękujemy ci, Bessy - ucięła Milady. - Dalej już obsłużymy się sami.

Dygnęłam i wyszłam, nie domykając drzwi. Stałam przez moment w holu, ciekawa, czy wróca do poprzedniej rozmowy albo czy zaczna mówić o mnie, ale tak się nie stało, przynajmniej w kilku pierwszych chwilach. Pastor Poldek ciągle przechwalał się swoją prelekcją, a milady obiecała mu pomoc w doborze stosownego tematu. Podsunęła mu zrazu telegraf elektryczny, lecz on na to „aha-ha”, w tej materii nie jest ekspertem. Potem wspomniała o służbie folwarcznej, o jej edukacji moralnej i religijnej, on zaś przyznał, że temat to istotnie ciekawy, atoli zbyt wąski, jeśli zważyć skalę jego zainteresowań.

Później na chwilę zapadła cisza, którą przerwał pastor słowami:

- Być może się co do niej nie mylisz.

- Czas pokaże - odparła milady.

I znowu zaległo głuclie milczenie. Zamarłam. Cisza jakoś tak dziwnie nabrzmiała i przestraszyłam się, że wyczuli moją obecność za drzwiami. Wolałam nie sprawdzać, czy tak jest w istocie. Popędziłam na paluszkach do kuchni, dziękując Bozi za nową sukienkę, co była z bawełny, więc nie szeleściła. W kuchni chwyciłam za miotłę i jęłam zamiatać podłogę, chociaż nie było po temu potrzeby. Nic zgoła nie wskazywało, by ktoś posłyszał mnie lub szedł za mną, ale przez kilka długich minut serce skakało mi w piersi jak oszalałe.

Zatem to właśnie ja byłam przedmiotem rozmowy, gdy weszłam z tacą do salonu! Prawdopodobnie wymienili się niewinnymi uwagami na temat mojej zdadności do takiej pracy, czy coś w tym rodzaju. Mimo to byłam niemalże pewna, iż milady próbuje się czegoś o mnie dowiedzieć i w końcu jakoś mnie rozszyfrować. Oj, wyprułabym z siebie flaki, żeby poznać jej myśli i domysły związane z moją osobą.

Siedziałam w kuchni, bawiąc się z kotem, aż w końcu milady przyzwała mnie dzwonkiem, abym zabrała filiżanki i podała Poldkowi jego cuchnący płaszcz. Jakże chciałam pozbyć się tego łajdaka, diabli go nam nadali! On jednak, założywszy kapelusz i wdziawszy swoje pierońskie płaszczysko, stał dalej w holu przymilnie uśmiechnięty i powtarzał to swoje „aha-ha”, i zadawał wścibskie pytania. Różnił się, przyznaję, od innych prezbiterów, bo większość z nich to typy żałosne, no ale mnie nie da się zwieść tak łatwo. Mówiłam: „tak sir nie sir tere-fere kuku sir”. Wieczność cała minęła, nim mogłam nareszcie zakluczyć za nim drzwi.

Jego odejście przyjąłam z tak wielką ulgą, że aż puściłam się w tany, podrygując wesoło po holu. Przerwać musiałam niestety, gdy wykonawszy triumfalny półobrót, ujrzałam milady w drzwiach salonu. Patrzyła na mnie.

- Masz dobry humor, Bessy - stwierdziła bardzo opanowanym głosem.

- Tak, proszę pani - wysapałam, troszeńkę zadyszana, i dorzuciłam:
- Cieszę się z mojej nowej pracy.

Przyglądała mi się przez moment, trudno powiedzieć, co przy tym myślała.

- Proszę za mną - rzekła w końcu i odwróciła się na pięcie.

Masz babo placek, myślę sobie, teraz się doigrałam, albo przez to tańczenie, albo przez szorstką gadkę z Poldkiem. A może odgadła, że naumyślnie przekreśliłam jego nazwisko, moich występków było mnóstwo, więc szłam za nią ciut ciut przerażona, ciężko powłócząc nogami. Miała prawo natychmiast mnie zwolnić.

Kiedy dotarłam do salonu, ona siedziała już w swoim fotelu przy kominku. Oczy utkwivszy w tureckim dywanie, złożyłam głęboki dyg.

- Tak, proszę pani - mówię i czuję ból w brzuchu.

Milczy. A potem powiada:

- Jak oceniasz swój pierwszy dzień w Zamku Haivers?

Pytaniem tym, jak zrozumiałam, pragnęła zawstydić mnie za nieuprzejme potraktowanie duchownego. Przybrałam pozę stosownie skruszoną.

- Pod pewnymi względami - mówię - dzień był całkiem udany.
- Tak?
- Pod innymi względami mogłam się bardziej postarać.
- O, czyżby? - Coś w głosie milady kazało mi unieść wzrok, oczy jej chyba zabłyśły, ale szybko zamrugła i błysk zniknął. Albo go sobie uroiłam.

Spojrzała na mnie surowo. Idzie burza, pomyślałam.

- Z grubsza biorąc - powiada, dobierając uważnie każde słowo - jestem zdania, że nie najgorzej sobie radziłaś.

Nic nie mówię, czekam na burę.

- Zwróć tylko uwagę na kilka rzeczy - ciągnie milady. - Mogłabyś, na przykład, rozmawiając z kimś, zwłaszcza z kimś dobrze urodzonym, patrzeć mu prosto w oczy.

- Dobrze, proszę pani - powiadam. - W oczy.

- A gdy się ktoś do ciebie zwraca, mogłabyś stać prosto i nieruchomo, miast przestępować z nogi na nogę.

- Tak, proszę pani - powiadam. - Nieruchomo.

- I jeszcze coś - ciągnie milady. - Zapamiętaj, proszę, że zwracając się do damy lub dżentelmena, nie powinnaś raczej trzymać palca w ustach.

- Och! - mówię, trochę speszona, bo sama żem tego nie dostrzegła.

- Dobrze, proszę pani.

- Na ogół jednak spisałaś się przyzwoicie - powiada. - Ale... Czy zanotowałaś już coś w swoim brulionie?

- Bożeńku droga, nie, milady - mówię, zbita z tropu. - To znaczy, nie, proszę pani.

- W takim razie - powiada - idź na godzinkę do swego pokoju. Spożytkuj ten czas na dokonanie pierwszego wpisu, bardzo cię o to proszę.

Wolałabym ten czas spożytkować na dłuższą drzemkę, lecz rada byłam, że nie obdarła mnie ze skóry, toteż o mało nie rzuciłam się jej do stóp.

- Dobrze, proszę pani - mówię, lekko przy tym dygając. - Już idę, już idę.

O, jak łatwo jest wpaść w nawyk płaszczenia się i przymilania. Gdybyście, Panowie, zobaczyli mnie wtedy, ujrzełbyście przykładną służącą, służącą od stóp do głów.

- Mam nadzieję, że wieczorem przeczytam, co napisałaś - rzeczy milady. - A później może zaśpiewasz mi swoją śliczną piosenkę. - Myślałam, że mam już odejść, lecz ona dodała nagle: - Czy wiesz, Bessy, że nasz pastor Pollock jest jednym z najbardziej zapracowanych duchownych w tym kraju?

Obchodziło mnie to tyle, co przeszłoroczny śnieg, lecz odparłam:

- O, doprawdy?

- Zawsze żałuję, że bywa tu tylko raz w miesiącu.

- O... - powiadam.

- A niekiedy odwiedza nas tylko co dwa miesiące. Czyż to nie powód do żalu?

Wydaje mi się, że wtedy po raz pierwszy widziałam, jak dama w sposób zupełnie naturalny mówi jedno, dając do zrozumienia coś zgoła innego. Ona też nie lubiła Poldka! Patrzyła mi prosto w oczy, jej głos był zupełnie poważny, ale ja wyczuwałam, że mam przyjąć jej słowa jako dokładne przeciwieństwo tego, co myśli naprawdę. Towarzystwo Poldka było jej wstrętne, a im rzadziej bywał, tym lepiej. Chciałam roześmiać się i objąć ją serdecznie, jakbyśmy obie znały radosną tajemnicę, tylko my dwie, ona i ja.

Aliści nie godziło się tak uczynić, więc rzekłam jedynie:

- Tak, proszę pani, szkoda, że tak rzadko.

Po czym dygnęłam raz jeszcze i wyszłam, uśmiechając się do siebie złośliwie.

Uśmiech znikł z mojej twarzy, jak tylko ujrzałam brulion. Bożiu najdroższa wolę nawet nie wspominać mąk, jakie wtedy musiałam przejść (choć teraz na tenże sam brulion, leży przy mnie na stole, spoglądam z niejakim rozrzewnieniem). Sęk w tym, że umiałam poprawnie zapisać słowa, lecz strachem napawała mnie konieczność łączenia ich ze sobą w pełne zdania. A bardziej jeszcze przerażało

mnie to, iż zdania te miała przeczytać milady. Nad pierwszymi wpisami uroniłam, jak widzę, niejedną łezkę, albowiem atrament jest miejscami rozmazany. Kartki są przy tym pokleksione, bo ciągle trzymałam nad nimi pióro, czekając, aż wreszcie spłyną z niego słowa. Po godzinie miałam jedną zaledwie marną linijkę, ale uznałam, że to aż nadto, i z ulgą zeszałam na dół do kuchni, aby przystąpić do zadania prostszego, czyli zrobienia kolacji.

Ten wieczór milady postanowiła spędzić w kuchni na lekturze „Bathgate Monthly Visitor”. Tyle że wcale właściwie nie czytała, ponieważ bardziej zajmowała ją moja zakrzęta osoba. Poczęłam już myśleć, że może zapomniała o brulionie, gdy nagle odłożyła swój żurnal i kazała mi przynieść to, com dla niej napisała. Uczyniłam to z ciężkim sercem i nawet teraz wstyd mi przedstawić swą pierwszą żalną notatkę:

czwartek

*wstałam porobiłam co trzeba dla milady poza tym nic
nadzwyczajnego*

Milady zajrzała do brulionu, po czym szybko przeniosła wzrok na mnie.

- Dlaczego przerwałaś w tym miejscu? - pyta. Ja na to, że pewna nie jestem, ale chyba dlatego że ręka mi się zmęczyła. - Po napisaniu jednej linijki? - dopytuje się ona, to ja tłumaczę jej, że nie nawykłam do prowadzenia dziennika.

- No cóż, Bessy - rzecze ona. - Dziennik powinien być bardziej szczegółowy. Musisz dokładnie wyłuszczyć, co konkretnie robiłaś, i dodać jeszcze co nieco od siebie, żeby relacja była barwniejsza. Co, na przykład, zdarzyło się dzisiaj rano? - Patrzyłam na nią z pustką w głowie. - Od czego zaczął się ten poranek?

Wzruszyłam ramionami.

- Że późno wstałam? - mówię.

- No... zgadza się - rzecze ona. - Nie to akurat miałam na myśli, ale dobrze, niech będzie, czemu nie. A teraz spróbuj ponownie.

- I kazała mi usiąść przy kuchennym stole i jeszcze raz zabrać się do pisania. Co za kłeska, godzinę później miałam zaledwie:

czwartek

*wstałam późno na śniadanie owsianka poparzyłam się w język
zebrałam jaja opróżniłam nocnik milady na obiad zupa z baraniej
głowy poszłam po podpłomyki podałam herbatę milady i pastorowi
poza tym nic nadzwyczajnego*

- Tak - powiedziała milady, przeczytawszy moje wypociny. - Tak jest lepiej. Ale dalej za krótko i ciągle za mało szczegółów.

Pytam ją zatem, czy miałam szczegółowo opisać zawartość nocnika, proszę pani? (O mało tuż potem nie odgryzłam sobie języka, na litość boską, takie żarciki nie przystoją w obecności damy). Milady spojrzała na mnie, nie, powiada, ale twoja relacja do mnie nie przemawia. Odparłam, że przykro mi niemożliwie, ale naprawdę nie wiem co jeszcze napisać. Na to ona westchnęła i powiedziała, że rada będzie wielce, jeśli w brulionie opiszę nie tylko to co robiłam, ale również co czułam, robiąc co robię, i co myślałam właśnie to robiąc.

Jezusie Marysieński, myślę ja sobie, kogo u licha to może obchodzić, i powiedziałabym to zapewne, może innymi słowami, lecz ona mówi: dam ci jeszcze jednego szylinga, więc myślę dobrze Bozieńko, jeśli to ją ma uszczęśliwić.

Szczerze mówiąc, guzik obchodził mnie ten szyling, chciałam jedynie zadowolić moją panią.

Piątek

wstałam na czas rada że nie za późno nie mogłam rozpalić w końcu z radością rozpałam owsianka za słona rozczarowanie karmiłam kury z milady swinie karmiłam sama kury lubię świniaka mniej chyba rozdarłam sukienkę o płot ani trochę mnie to nie ucieszyło pozamiatałam i odkurzyłam zrobiłam obiad przypaliłam kartofle lecz byłam głodna i zjadłam wszystko milady pokazała mi jak czyścić srebro i byłam z tego zadowolniona potem zaprowadziła mnie do ogródka z warzywami bardzo ciekawe i pokazała gdzie w zeszłym roku wdarły się owce i zjadły warzywa byłam zdumiona później przeniosłam kupę gnoju i rada byłam gdy miałam to z głowy myślałam przy tym o mojej matce gdyby tylko jeszcze żyła i jak robiła dobre uczynki zwłaszcza biedakom bo jak ich mijala w drodze do kościoła jej uśmiech i ciepłe słowo umilało im dzień była aniołem naprawdę z niebios samych zesłanym

Czego nie napisałam

To właśnie zapisałam w brulionie. Lecz nie jest to wszystko, co wydarzyło się w ów piątek, o nie, bynajmniej. Na przykład, gdy zeszłam rano do kuchni, milady wcale już nie spała i jakby czekała na mnie, bo na mój widok zerwała się nagle z krzesła.

- No, jesteś nareszcie - krzyknęła, wielce podniecona.

Twarz miała bladą i cienie pod oczami, wyglądała na niedospaną. Przywitałam się grzecznie i chciałam szybko rozpaść, ale gdy obok niej przechodziła, chwyciła mnie mocno za ramię.

- To może poczekać - mówi. - Najpierw poproszę cię o coś innego.

Zwolniła uścisk, zrobiła krok w bok i gestem wskazała stojące na środku kuchni krzesło, przesunęła je pewnie wcześniej, zanim jeszcze tam zeszłam.

- Usiądź - powiada.

Uczyniłam co mi kazano, a wtedy ona zaczęła chodzić przede mną tam i sam z rękoma założonymi na plecach. Miała na sobie prześliczną ciemną suknię z jedwabiu, co szeleściła przy każdym jej ruchu i krojem swym świetnie podkreślała smukłą jej postać. Istna z niej byłaby Afrodyta, tyle że miała ręce. Kręciła się jeszcze przez moment, po czym stanęła i popatrzyła mi prosto w oczy.

- Bessy - powiada z najwyższą powagą. - Darzysz mnie zaufaniem?

- W jakim sensie, proszę pani?

Zawahała się, a potem głosem już łagodniejszym rzekła:

- To znaczy... Czy myślisz, że mogłabym jakoś cię skrzywdzić?
- Nie, proszę pani - odrzekłam, zdziwiona trochę, bo odpowiedziałam szczerze.

- A zatem mi ufasz? - pyta milady.

- Tak, proszę pani - odpowiadam.

- Dobrze... A teraz bądź tak dobra i zamknij oczy, proszę.

- Ale... po co, proszę pani?

- Ufasz mi, Bessy?

- Tak, proszę pani.

- Więc zamknij oczy.

Zamknęłam.

Okrzyżyła mnie parę razy, szeleszcząc dalej sukienką, aż w końcu stanęła, trochę na lewo ode mnie. Czekałam, choć nie wiedziałam na co. Przez myśl mi przemknęło, że może nagle mnie dotknie, może pogłaszcze po policzku, może poczuje jej oddech na twarzy albo jej palce we włosach, lecz ona się do mnie nie zbliżyła i po chwili milczenia doniosłym a bezbarwnym głosem wydała rozkaz:

- Wstań!

Wstałam, gotowa pójść, gdzie mi każe, lecz ona tym znowu bezbarwnym głosem powiada:

- Usiądź!

Tedy usiadłam, pewna, że coś sknociłam, i już zaczęłam otwierać oczy, gdy usłyszałam:

- Nie otwieraj! - A potem: - Wstań! - A potem: - Usiądź! - tym samym bezbarwnym głosem. Zatem wstałam, zatem usiadłam.

Do czego zmierzała, pojęcia nie miałam bladego. W kółko tylko wstań! usiądź! wstań! usiądź! Podnosiłam się i opadałam jak gacie u dziwki, aż w końcu za piątym razem nie zdzierzyłam, otwarłam oczy i mówię, troszeńkę zniecierpliwiona: - Milady, ja już tak dalej nie mogę, więc proszę nie kazać mi tego robić.

Gapiła się na mnie, oczy jej się błyszczały i w ogóle wyglądała jak w transie. Jednak kiedy się odezwałam, skinęła głową i mruknęła do siebie coś w rodzaju: - Ona na pewno by nie przerwała. - Następnie zamrugła i rzekła głośno:

- Spisałaś się dobrze, Bessy. Teraz możesz rozpaścić.
- I płynnym ruchem wyszła z kuchni, nie oglądając się za siebie.

Późnym porankiem dostarczono jej list. Nasłuchiwałam kroków listonosza, bo po pierwsze miło by było zobaczyć jakąś nową twarz, po drugie zaś mógł on przynieść opinię o mnie z Crown House, jeśli istotnie milady o takową się zwróciła.

Ten akurat listonosz musiał być ludzkim odpowiednikiem borsuka, ponieważ przemykał się niepostrzeżenie, a jedyny ślad po nim stanowiły leżące pod drzwiami przesyłki. Tak było i teraz. Powinien wszak zadać w róg, aby obwieścić swoje przybycie, lecz mimo że nadstawiała uszu i oczy szeroko rozwarła, mogłabym przysiąc, że nikt nie zbliżył się nawet do domu. A tutaj proszę, przechodzę przez hol i - czary-mary - na podłodze leży list! Serce podeszło mi do gardła, bo bałam się, że to z Glasgow. Przyjrzałam się jednak uważniej i stwierdziłam, że stempel przybito w Londynie. Dobra nasza, pomyślałam, to pewnie od męża mojej pani.

Milady przez cały poranek nie opuszczała swego pokoju, mnie zaś nareszcie trafił się pretekst, żeby zajść do niej i wręczyć jej przesyłkę. Zapukałam do drzwi, a gdy weszłam, ona siedziała przy biurku. W dłoni trzymała pióro, ale, rzecz nader dziwna, nigdzie nie mogłam dostrzec papeterii.

- Przesyłka, proszę pani - powiadam, wręczając jej kopertę.
- Spojrzała niedbale na odręcznie skreślony adres.
- Z Londynu - mówię.
 - Tak, widzę - rzekła z uśmiechem.

Czekałam, aż list otworzy, lecz ona odłożyła go na biurko i popatrzyła na mnie pytająco. Wcześniej nie zdawałam sobie sprawy, że mam jej coś do powiedzenia, teraz wszelako wypaliłam niespodziewanie:

- Przepraszam panią za dzisiaj rano. Proszę mi wybaczyć.
- Przepraszasz mnie? Ale za co?
- Za to, że nie zrobiłam, co pani mi kazała. Wstawać i siadać i tak dalej. Nie wiem czemu, ale po prostu nie chciałam już dłużej. Proszę mi wybaczyć.

Pokręciła głową.

- Nie przejmuj się, Bessy - powiada. - Spisałaś się bardzo dobrze.

- Naprawdę, proszę pani? Naprawdę?

- Naprawdę.

- A może, proszę pani, spróbujemy raz jeszcze? To znaczy... Ja mogę spróbować, jeśli pani tego sobie życzy. Na dole czy tutaj?

- Może nie w tej chwili, Bessy. Może innego dnia.

- Na pewno, proszę pani?

- Tak, teraz chyba przeczytam list.

- Rzecz oczywista, proszę czytać.

Czekałam, aż sięgnie po list, lecz ona dalej na mnie patrzyła z uśmiechem i w końcu pojęłam, że winnam już sobie pójść.

Zostawiłam ją tedy, jak najciszej zamykając za sobą drzwi. Nie wiem, co mnie skłoniło, bym pozostała tam jeszcze przez chwilę. Spodziewałam się, że usłyszę dźwięk rozcinanej koperty, lecz dobiegły mnie tylko odgłosy przekręcanego w zamku klucza i wysuwającej się i wsuwającej na powrót szuflady. Potem cosik brzęknęło i znowu zapadła cisza, przez co odchodząc, stapać musiałam na paluszkach i trzymać się ścian dla równowagi.

Kiedy godzinę później zawołałam ją z dołu na obiad, od razu spostrzegłam, że pani moja płakała. Nos miała zaczerwieniony, a oczy nabrzmiałe łzami. Dzielna kobieta udawała, że nic się nie wydarzyło, ja zaś, nie chcąc wyjść na wścibską, odezwałam się dopiero po milczącym posiłku:

- Proszę wybaczyć, ale... Czy to jakaś niedobra wiadomość?

Oczy znowu nabiegły jej łzami, a mnie niestety poniosła fantazja i wysnułam z tej sytuacji najgorszy z możliwych, acz zarazem najbarziej romantyczny wniosek.

- Proszę pani, co się stało? - zapytuję. - Czy to list szantażysty?

O takich rzeczach często pisało w „Peoples Journal”.

Milady zerknęła na mnie kątem oka.

- Nie bądź głuptasem - odrzekła i wstała. - To nic takiego. Wszystko w porządku. A teraz czas już najwyższy, żebyś wróciła do swoich zajęć.

Co powiedziawszy, wyszła z kuchni. Wtedy myślałam, że rozstroił ją tamten list, obecnie nie jestem już tego taka pewna.

Z nastaniem wieczoru milady zdawała się już uspokojona. Kiedy sprzątnęłam ze stołu, kazała mi opisać w brulionie cały ten piątek, a potem musiałam jej dać to od razu do przeczytania. Czekałam z niecierpliwością i lękiem, aż skończy, ona jednak, skończywszy, uśmiechnęła się do mnie i powiedziała, że zauważa ogromną poprawę. Najbardziej spodobał się jej fragmencik o mojej matce i jej dobrych uczynkach, to znaczy kawałek, który w całości wyssałam z palca! Zapomniałam, że mam pamiętać, o czym myślę w czasie pracy, tedy zanotowałam pierwszą rzecz, jaka wpadła mi do głowy.

- To o matce - mówi milady. - Pisz więcej w ten sposób.

- Dobrze, proszę pani - mówię i myślę sobie rany boskie, nie będzie trudno, bo jeśli ona niczego nie zauważa, to na okrągło będę coś zmyślać.

Następnie poszła gdzieś i wróciła z kartką, na której sama coś zapisała. Położyła ją na stole przy moim otwartym brulionie i rzekła:

- Wiesz, Bessy, słowa zapisujesz poprawnie, ale popatrz no tylko na to.

Spoglądałyśmy zatem obie, raz na mój brulion, raz na jej kartkę. Nie byłam pewna, czego powinnam wypatrywać, ale dalej patrzyłam, mimo wszystko. Owa kartka był to początek listu do ojca, zamieszkałego w Wimbledon, Anglia. Hura! myślę sobie, uradowana, że wreszcie mogę wywiedzieć się czegoś o jej prywatnych sprawach. Jednakże pierwszy akapit był o pogodzie, potem cosik o książce, którą moja pani właśnie czytała, Boziu jedyna, nudne to było, żadnych intrygujących faktów, pewnie dlatego tę kartkę wybrała.

Po chwili patrzy na mnie z uśmiechem i pyta:

- Widzisz?

Mogłam skłamać, ale stwierdziłam, że na nic mi się to nie zda. Nie, odparłam, nie widzę. Milady nie przestawała się uśmiechać.

- Widzisz różnicę między jednym a drugim? - pyta.

- To jest list do pani ojca - mówię - a to brulion, co mi go pani dała. - Głupia odpowiedź, wiem wiem, ale byłam zakłopotana i rozdrażniona też cokolwiek, bo nie lubię, jak ktoś mnie przepytuje czy ośmiesza.

- Innych różnic nie widzisz? - pyta milady, wciąż uśmiechnięta.

Patrzę dalej, a ona pochyła się i mówi cicho:

- Spójrz na odstępy między słowami.

No, to była jakaś wskazówka. Wpatrywałam się z całej siły w słowa „Drogi Ojcze”. Między nimi był odstęp, bez dwóch zdań. Potem spojrzałam na swoje „wstałam na”. Tam też był odstęp. Jak na mój gust, niczym się te odstępy nie różniły, a jeden odstęp plus drugi to tylko odstęp podwójnej długości, jak by na to nie patrzeć.

Milady westchnęła i zaczęła wskazywać mi palcem wszystkie kropki w swoim liście. Następnie przeniosła palec na moją pisaninę. Żadnej kropeczki. Potem wskazała mi przecinki u siebie. A potem wskazała mój brulion. Ani przecineczka.

- Rada jestem, że się tak rozpisałaś, Bessy - powiada. - Ale widzisz już zapewne, że od góry do dołu jest to jedno długie zdanie. Piszesz tak, jak mówisz, nie robiąc pauzy na oddech. Czyżbyś nie słyszała o interpunkcji?

Odparłam, że interpunkcję znam na wylot, tyle że kurka nigdy nie wiem, gdzie by tu ją postawić.

Wtedy milady uznała, że zacznie mnie kształcić. Wielce ją ten pomysł podniecił, usadziła mnie przy stole i wyznała, że pragnęła za młodu obejść londyńskie ulice w poszukiwaniu niepiśmiennych urwisów, aby zabrać ich potem do domu w Wimbledon i wyuczyć ich tam alfabetu. Pomyślałam, że ojciec milady nie mógł powitać z radością małych żebrzących brudasów, rozsadzonych na jego krzesłach i kłajających mu tureckie dywany. Meble zostały wszelako oszczędzone.

- Bo niestety - rzecze milady - nic z tego nie wyszło.

Uśmiechała się wprawdzie, ale nieznacznie zmarszczyła brwi, w jej oczach zagościł smutek, znowu popadła w melancholię.

- A co się stało, proszę pani? - pytam cichym głosem. - Co się stało?

Nie liczyłam za bardzo, że mi odpowie, myślałam, że prędzej zmienię temat lub wyjdzie, jak wcześniej. A tu grom z jasnego nieba, bo ona schyla się ku mnie, bierze za rękę i patrzy mi głęboko w oczy.

- Mało kto o tym wie, Bessy - mówi poważnym tonem. - Czy mogę obdarzyć cię zaufaniem? Nikomu nie zdradzisz tego, co powiem?

No, niech mnie krucafuks, prawie zem krzyknęła z uciechy. Milady chciała mi się zwierzyć!

Ale nie, zacisnęłam usta, przechyliłam głowę, a twarzy nadałam wyraz budzący ogromne zaufanie. Nikomu w Szkocji rozległej nie dałoby się bardziej zaufać. Stanowiłam wcielenie dyskrecji.

- Proszę mi ufać - powiadam. - Będę milczeć jak grób.

Kiwnęła głową.

- Tak - mówi. - Wierzę ci.

A potem zaczęła swoją opowieść.

Nie zapisałam nic, rzecz oczywista, bo opowiedziano mi to w sekrecie. I choć wedle mej wiedzy tylko my dwie miałyśmy dostęp do brulionu, wiedziałam, co się może wydarzyć, jeśli moje zapiski wpadną w niepowołane ręce. Milady nie życzyłaby sobie, by jej sprawy prywatne roztrząsały łobuzy pokroju Bochenka czy A.P. Hendersona, ja również wolałam, by tak się stało, więc zawsze pilnie baczyłam na treść swoich zapisków.

A jednak.

A jednak minęło już kilka lat i po długim, starannym namyśle postanowiłam streścić tu wszystko, com wtedy od niej usłyszała, bo chyba warto, a zapewniono mnie, że niniejszy dokument przeznaczony jest do wyłącznego i dyskretnego użytku kilku dżentelmenów.

Oto więc, co milady mi powiedziała. Gdy po raz pierwszy zawitała do Szkocji, była młoda, parę lat ledwie starsza niżli ja teraz, i też nie wiedziała nic o krowach. Przywiózł ją tu z Londynu jej dopiero co poślubiony mąż, pan James. W wielkiej angielskiej stolicy bawił on wcześniej przez kilka tygodni, oglądał lwy, chadzał na przyjęcia, koncerty promenadowe, wieczorki artystyczne i tym podobne. Między

wierszami wyczułam, że chciał tam zarazem znaleźć sobie żonę. I w końcu znalazł, w postaci rozkosznej panienki, lat dziewiętnaście. Powiedział jej, że jest jurystą, lecz praktykę prawną porzucił i zarządza już tylko odziedziczonym majątkiem. Przez kilka tygodni trwały zaloty, po czym pan James wybrał się do Wimbledon, aby klęcząc przed milady oświadczyć: „Zamek Haivers jest twój, serdeńko”, to samo zresztą powiedział jej ojcu, lecz jego, mniemam, serdeńkiem nie tytułował. I w drogę ruszyli długa, panna młoda i jej bogaty małżonek, policzki jej zarumienione, olejek różany we włosach, u kresu zaś drogi czekać miał na nich wspaniały zamek z liczną służbą.

Pan James nie raczył wszelako wspomnieć, że Zamek Haivers to tylko nazwa posiadłości. Owszem, było tego kilkaset akrów i paru biedaków dzierżawiło od niego ziemię, nie brakowało mu pieniędzy, prowadził jakoweś interesa, ale zamku ani widu, tylko ziemia, pola i łąki, niezbyt zresztą powabne, oraz stareńki już dom z folwarkiem. Milady wyznała, że pierwszej nocy w Zamku Haivers prawie że utonęła we łzach.

Obieśmy wtedy zapłakały z jej nieszczęścia. Potem milady otarła policzki, swoje i moje. Spytałam dlaczego nie uciekła, a ona że owszem, uciekła, nazajutrz po przyjeździe. Kiedy pan James rozmawiał z zarządcą, spakowała swą małą torbę, pobiegła aż na gościniec, stamtąd na stację podjechała furmanką, złapała pierwszy pociąg do Londynu, a dotarwszy do Wimbledon, zdała się na łaskę i niełaskę ojca, co gdy pomyśleć o tym teraz świadczyło o dużej odwadze.

- A później? - spytałam.

Odparła, że na początku było cudownie, ojciec powtarzał „dobrze już, dobrze”, że ma się rozumieć nie musi wracać. Potem jednak zapytał o ślub.

- To znaczy, milady? - spytałam.

- Czy ślub się odbył - odrzekła, przygnębiona. Odgadłam, że stało się tak w istocie i że milady w swej naiwności fakt ten ojcu wyjawiała. Ani się obejrzała, a już pędziła z powrotem na północ, w uszach wciąż jej szumiało, a jej biedne drobne cycuszki podrygiwały smutno aż do samego Zamku Haivers, no, to ostatnie dodałam od siebie.

- Jak widzisz, nie mogłam pomóc małym urwisom - stwierdziła.
- Boziu droga - powiadam. - To okropne, strasznie mi żal...

Sercem wyrywałam się ku niej. W głębi ducha myślałam zarazem, że biedne dzieci są wszędzie, nie tylko w Londynie, i pomoc można również tym w Glasgow, a nawet tym ze Snatter, ale wolałam nie psuć atmosfery, tej intymności, chwili wyznań. Dalibóg mogłabym siedzieć tam przez noc całą trzymając ją za rękę, było cudownie, bardziej jak matka z córką lub dwie najlepsze przyjaciółki niżeli służąca i jej pani. Wtem naszła mnie myśl, że skoro jest tak przyjemnie, to trzeba ją teraz zapytać o ten nadpalony brulion, co go pierwszego dnia dostrzegłam w piecu.

- Proszę pani - mówię. - Kim jest Morag?

Pomyśleć by można, że ją spoliczkowałam. Cofnęła dłoń.

- Co takiego? - pyta mnie podejrzliwie. - Z kim rozmawiałaś?
- Z nikim, proszę pani.
- Ale gdzie słyszałaś to imię? Nora? Gdzie je słyszałaś?
- Nie, proszę pani - mówię. - Nie Nora. Morag.
- Och.

Wtedy na tę pomyłkę nie zwróciłam większej uwagi. Dopiero później uzmysłowiłam sobie jej znaczenie. Milady rozluźniła się nieco i nagle spojrzała na mnie zwężonymi oczami.

- Gdzie wobec tego słyszałaś imię Morag?
- Nie pamiętam - odparłam, żałując już, że w ogóle o tym wspomniała. - Chyba... Chyba było gdzieś napisane.

Zerwała się na nogi. Pięści miała zaciśnięte.

- Gdzie napisane?
- Na... Na kartce papieru, proszę pani.
- Gdzie? - Spojrzała na sufit, jakby tam właśnie mogła znaleźć tę kartkę. - Gdzie ona jest?
- Nie wiem, proszę pani, ja... to było w moim pokoju... ja... ją wyrzuciłam.
- Co jeszcze było na tej kartce?
- Tylko... Tylko to imię, proszę pani. Morag. Nic więcej. Ja... Słowo daję.

Uniosła lampę i jęła rozglądać się po kuchni, marszcząc brwi i prychnając z rozdrażnienia.

- Podobno myłaś podłogę - rzekła, lecz gdy rzuciłam się do mycia, powstrzymała mnie, mówiąc: - Umyjesz rano. Ale spójrz tylko... Ogień przygasa.

- Zajmę się tym, proszę pani.

- Bezwłocznie, proszę.

Kiedy już należycie rozпалиłam, milady siedziała przy stole i czytała mój brulion. Podeszłam do niej, lecz nie za blisko, i dygnęłam. Skinęła głową, nie patrząc na mnie. No i koniec z intymną przyjaźnią, znowu służąca i jej pani.

- Usiądź, Bessy - powiada. - Mamy coś do zrobienia. Myślę, że codziennie po kolacji będziemy pracować nad twoją pisaniną.

Wzięła pióro i zanurzyła je w atramencie. Pióro brzęknęło, zderzając się ze ścianką kałamarza, i zrozumiałam, że taki sam brzęk słyszałam już tego dnia wcześniej. A potem milady zaczęła uczyć mnie interpunkcji.

Prawdę mówiąc, Bozia zaświadczy, o przecinki i całą resztę dbałam tyle, co o smród w gatkach. Mój wpis wyglądał całkiem ładnie, a jej list pocętkowany był kropeczkami, które przypominały mi kozie bobki. Ale jak mawiał mój pan Levy, w życiu trzeba ciągle wybierać. Myślę sobie, czy wolę być w swoim pokoju, gdzie nie ma kominka, a z okna ciągnie chłodem, czy może lepiej zostać tutaj, gdzie i cycki ogrzeję, i popiluję na cudną Arabellę, nauczającą mnie przecinków i wielkich liter, czasem zaś ujmującą mnie za rękę i czyniącą mi poufne wyznania?

Pilnie uczyłam się interpunkcji.

Wraca pan James

Środa

Wczoraj wieczorem gdy zasypiałam wcisnęłam palce w policzki co by zrobić w nich takie ładne dołki jakie ma milady ale niestety nie miałam szczęścia moje policzki są takie same a teraz boli mnie jeszcze palec na którym spałam. Dzisiaj skończyła nam się herbata. milady lubi dobrą herbatę więc poszłam do Snatter kupić więcej . po drodze zaczęło padać, nie byłam z tego zadowolona . Rozglądałam się z uśmiechem za ludźmi w Snatter ale tam żywego ducha przez tą ulewę. Byłam rozczarowana. Człowiek który prowadzi sklep nazywa się Henderson, dla mnie pan Henderson, próbował sprzedać mi o pół uncji herbaty za mało ale kiedy mu to wytknęłam udawał że się pomylił i spojrzął na mnie nieprzyjemnie . Spytałam czy lubi pracować w sklepie a on odpowiedział że wcale tam nie pracuje tylko jest właścicielem , to duża różnica mówi, więc powiedziałam mu że pracowałam u pana Levyego w Glasgow , poważnego przedsiębiorcy który miał kilka składów z futrami, był naprawdę bardzo bogaty tyle miał sklepów i taki miły był z niego człowiek, sukcesy nie zawróciły mu w głowie ale on się rozumie nigdy nie stał za ladą miał od tego pracowników. Henderson patrzył na mnie tylko . Potem powiedział cipa czy coś takiego . No to ja też na niego popatrzyłam . On chyba nie lubi Irlandek . Milady powiada że kilka lat temu mało co nie wybuchła bitwa kiedy Irlandczyków co powracali ze żniw napadli jacyś ludzie z wioski, w końcu nikomu nic się nie stało ale tutaj za bardzo

Irlandczyków nie lubią. Jak wracałam przestało padać . Taki duży wieśniak z kręconymi włosami spodniami na sznurku i fajką w ustach wyskoczył ze swojego czworaka i zaczął iść koło mnie . twarz miał ogromną i jakąś niewyraźną i liczył na palcach różne rzeczy. Liczył wszystko, kury, kominy, okna, kroki, pranie co się suszyło , kopyta u koni, szprychy w kołach , słupki w płotach , paski na moim fartuchu . i wszystko to na poważnie , jakby to jego liczenie było najważniejsze na świecie . pytałam go , czemu to robi? Ale on lekce mnie ważył i dalej liczył i liczył, to pewnie wariat. jak wróciłam do domu milady powiedziała że to prawdopodobnie był Stefcio Sumka, co jest niespełna rozumu od dziecka . przestraszyłam się go ale milady powiada że on nikomu nie robi krzywdy i to mnie uspokoiło. ludziska mówią o nim Stefcio Sumka przez to jego ciągłe liczenie, on wszystko liczy. Milady mówi że najwięcej roboty ma latem a to z powodu komarów, to dla niego dzieło życia. Aż się roześmiałam. Powiedziałam milady że jednak przyjmę od niej jak mi onegdaj proponowała tą grządkę w ogrodzie i coś tam zasadzę , jeszcze nie wiem co . Myślę że kwiaty róże albo groszek pachnący a potem dam jej w bukiecie ale ona odparła że lepiej zasadzić kapustę i fasolę. chciałam od razu zasiać ale ona mi mówi że najprzód trzeba przygotować grunt, w tym kraju nie ma tak lekko . Jak tylko miałam wolną godzinę wyrwałam z ziemi masę kamieni potem wyczyściłam buty milady i swoje też no i zrobiłam parę innych rzeczy nic nadzwyczajnego . Skończyłam Samotnię która mi się podobała tedy milady dała mi następną książkę do czytania, to jest o chłopcu co nazywa się Pip. Wieczorem czytałam jej na głos wpiersw biblię a potem z Monthly Visitor historię dwóch francuskich letników pod tytułem „Ciemność i jasność” . Milady była uprzejma i miła przez cały wieczór, zaśpiewałam jej piosenkę która się jej spodobała i powiedziała że teraz już bardzo dobrze piszę w brulionie toteż się ucieszyłam.

Prawdę rzekłszy, trafiały się dni, kiedy trudno było przewidzieć, jak też milady się zachowa. Uświadomiłam to sobie po kilku tygodniach.

W jednej chwili tak dobra że wprost do rany przyłożył, że świecą szukać takiej pani, a potem nagle wpada w szal i wrzeszczy na człowieka. A później kiedy już się przywykło do tego Czyngis-chana, milady znowu się odmieniała i była odległa i nieobecna. Mówiła bezbarwnym głosem, prosiła o rzeczy zupełnie niepotrzebne, na przykład kazała wyłuskać pestki z jabłka a potem je zjeść, albo też nabrać wody ze studni i wylać tę wodę na ziemię. Kiedy pytałam ją co zbroiłam i czemu się tak na mnie złości, to uśmiechała się tylko uprzejmie i mówiła, że nie złości się wcale. I przez cały czas mnie obserwowała ciągle obserwowała, po czym biegła do swego pokoju i długo nie było jej widać ni słychać. A po godzinie wracała wypoczęta, myślałam wtedy, że sobie ucięła drzemkę.

Zawsze starałam się jej dogodzić. Owego pierwszego miesiąca parę jeszcze razy kazała mi usiąść na krześle, zamknąć oczy i wracała zabawa w usiądź wstań usiądź wstań, no niech mnie krucafuks, jeśli widziałam w tym jakiś sens, ale spełniałam jej polecenia tak długo, jak mogłam. Za drugim razem usiadłam i wstałam 10 razy, więcej nijak się nie dało. Za trzecim razem dobiłam do 26 razy, lecz przy 27 coś się we mnie wzburzyło i niby koń z przetraconym karkiem padłam i już nie wstałam. Ona wszakże była ze mnie zadowolona i zachęcała mnie mówiąc na przykład: „Wspaniale, Bessy, spisałaś się na medal”, po czym kazała mi wracać do pracy.

Mimo tych zmiennych nastrojów żyło mi się przyjemnie, bo było to dla mnie egzotyczną przygodą, jakbym trafiła do dżungli w Ameryce Południowej. Nasze stosunki na ogół układały się dobrze, w dzień każda z nas zajmowała się swoimi sprawami, wieczorem zaś razem ćwiczyłyśmy interpunkcję. Nadto łykałam książeczki, które dawała mi milady. *Samotnia*, *Wielkie nadzieje*, *Wędrownka pielgrzyma*, *Wyznania usprawiedliwionego grzesznika*, przeczytałam je wszystkie plus kilka innych. W niedzielę, czasem także we środę, milady chodziła do kościoła, prawdę rzekłszy, była anglikanką, lecz jedyna świątynia w okolicach należała do prezbiterów, więc nawiedzała ją ona tylko dla zachowania pozorów. Nie trzeba dodawać, że mnie, katoliczki, mile by tam nie przywitano, gdyby na nabożeństwie w Snatter zjawił

się jakiś „katol” Bozia jedyna raczy wiedzieć, co by się wydarzyło. Podejrzewam, że dach zleciałby na ziemię, cały kościół by eksplodował, a na ruinach stanąłby diabeł we własnej osobie, ukazując wszem wobec swego ptaka wraz z klejnotami i każąc wszystkim poniuchać swój zadek. (Tak w każdym razie, mogła myśleć miejscowa ludność).

Kiedy, co nie zdarzało się często nie miałam nic lepszego do roboty, odprowadzałam milady do kościoła. Czekałam potem na zewnątrz aż msza się skończy, a potem wracałyśmy razem do domu. Byłoby idealnie, gdyby pod koniec mszy nie zjawiał się Bocheniek, aby obrzucić mnie kilkoma plugawymi spojrzeniami. Wiedziałam już, że zajmuje się oraniem i końmi w Zamku Haivers, że powozi i że jest żarliwym wyznawcą. Szkoda, że Pan nasz nie raczył obdarzyć go brodą, widząc jego gorliwość. U Bochenka usta łączyły się prosto z szyją, zawsze były wilgotne, do tego pieniały się trochę i opadały w kącikach, jak gdyby łyknął właśnie maślanki. W rzeczywistości jednak cała ta piana i wilgoć świadczyły o głębokiej religijności.

Służba folwarczna, do której należał Bocheniek, nie była zbyt liczna. Szybko zorientowałam się, że pan James zatrudnia stanowczo za mało ludzi. W domu powinna pracować kucharka, może lokaj, pokojówka i gospodyni, a byłam tam tylko ja i do zrobienia miałam tak dużo, że innych służących prawie że nie widywałam. Od milady dowiedziałam się, że za całą posiadłość odpowiada zarządca Alisdair. Jego żoną była Jessie, dojarka, mieszkali zaś oni w folwarku, u końca ścieżki ciągnącej się za domem, wraz z siostrą Jessie, Muriel. Bocheniek, Hector i inni parobcy pomieszkowali w czworakach za lasem. Regularnie widywałam jedynie Hectora, który przychodził do domu po poleceniu. Parę razy dojrzałam Krasulanki, albo na ścieżce do folwarku, albo na podwórku przed domem. Poza tym byłam zupełnie sama, a gdy miałam szczęście, to z milady.

Na ogół tyrałam jak mężczyzna o sześciu ramionach. Matka mawiała, że ciężka harówka jest tylko dla głupców, lecz dzięki milady zaczęłam rozumieć, że nie zawsze tak być musi. Przede wszystkim każdy dzień miał swój cel i niezadługo doszłam do wniosku, że bardzo mi to odpowiada. Z przyjemnością głodniałam przy pracy, zwłaszcza

na świeżym powietrzu, bo wtedy, jak powiedziała milady, miałam zaróżowione policzki. Od ciągłego podnoszenia i dźwigania różnych rzeczy dorobiłam się solidnej muskulatury, słowo daję, okiełznałabym wierzgającą kobyłę. Jedno z najulubieńszych powiedzeń milady brzmiało *Parte pas les mains vides*, nauczyła mnie jak się te słowa po francusku pisze i jak się je wymawia. A znaczy to: „Nie chodź z pustymi rękoma”, to dobra dewiza życiowa, bo zawsze trzeba coś przenieść z miejsca na miejsce, na wsi jest to najczęściej gnój. Bynajmniej nie narzekałam. Milady zachwycała się moimi mięśniami, mówiła, że każda służąca powinna mieć silne ręce, że nie ma się czego wstydzić, i często mierzyła mi ramiona, by sprawdzić jak szybko rosną.

Pewna jestem, że nie raz i nie dwa, nawet kiedy babrała się w gównie (proszę wybaczyć, lecz inne wyrazy tu nie pasują), przepełniała mnie jakaś wzniosłość, może to Bóg we mnie wstąpił, a może milady? A może sprawił to ruch na świeżym powietrzu? Trudno powiedzieć.

Poza tym stwierdziłam, że jeśli można kogoś uszczęśliwić dobrze wykonaną robotą, szczególnie kogoś tak wspaniałego jak moja Arabella (tak o niej odtąd myślałam - ale nigdy na głos!), to czemu by nie spróbować?

Razu jednego znalazłam na podwórku kasztana, śliczny on był, rozmiarów dziecinnej piastki, tedy wypolerowałam go namaśloną szmatką i dałam milady. Powiedziała, że prezent bardzo jej się podoba i że postawi go nawet na swej toaletce.

Zachwycona i zachęcona taką reakcją, przez dwa kolejne wieczory wyrzynałam w sekrecie jej imię na połówce surowego kartofla, efekt był całkiem całkiem, tyle że ostatnie L i A musiałam ścieśnić troszeczkę, albowiem ziemniak mi się kończył. Ten podarunek również się mojej pani spodobał, powiedziała, że jestem zdolna i że ścieśnienia ostatnich liter właściwie się nie dostrzega. Uznała jednak, że niezdrowo by było trzymać ziemniaka w sypialni, więc położyła go na półce w kuchni, gdzie razem mogłyśmy go podziwiać przy posiłkach.

Pewnego popołudnia milady zadzwoniła na mnie ze swojej sypialni. Siedziała przy oknie, wpatrzona w ciemniejący horyzont, chyba troszkę smutnawa, ale gdy weszłam, wyraźnie się rozpogodziła.

- Popatrz! - powiada wskazując na toaletkę. I rzeczywiście, spoczywał tam dumnie kasztan, co go jej dałam onegdaj. Bardzo mnie ten fakt ucieszył.

- A teraz, Bessy - rzecze milady - otwórz, proszę, tę szafę.

Pomyślałam, że przyjdzie mi podczyścić jej stroje, i szybko zrobiłam, co mi kazała. Już wcześniej zaglądałam do tej szafy, na półkach leżało tam kilka sukien, niebieskie, szare, liliowe, zielone, wszystkie w łagodnych odcieniach.

- Która podoba ci się najbardziej? - spytała milady.

- Och, nie wiem - odparłam. Każda z nich była niczego sobie, choć niekoniecznie w moim guście - w tamtych czasach byłam młoda i wołałam jaskrawsze kolory, satynę, więcej ozdóbek.

- A ta o barwie akwamaryny? - pyta milady. - Wspomniałaś kiedyś, że ci się podoba.

Spojrzałam na rzeczoną suknię. Milady miała ją na sobie w dniu mojego przybycia, i dlatego darzyłam ją wyjątkową estymą.

- Tak, wydaje mi się, proszę pani, że to moja ulubiona.

- Przymierz ją.

- Proszę pani? - Patrzyłam na nią zdziwiona.

Wraz z uśmiechem na jej twarzy pojawiły się dołeczki, aż chciało się ją ugryźć w policzek (czego bym oczywiście nigdy nie uczyniła!).

- Droga Bessy - rzecze milady. - Jesteś mi dobrą, wierną przyjaciółką. Spójrz, dałaś mi cudownego kasztana, więc muszę się jakoś odwzajemnić.

- Kasztana i kartofel - mówię.

- Rzecz jasna, kartofel - przyznała. - Tym bardziej, tym bardziej. Zdejmij więc swoją sukienkę i załóż moją.

Nie miałam wyboru, musiałam spełnić jej życzenie. Suknia okazała się trochę za ciasna, ponieważ milady była ode mnie szczuplejsza i miała mniejsze cycuszki, no ale aż tak źle nie było.

Milady wstała i obejrzała mnie, przechylając lekko głowę.

- Dobry Boże... Można by cię teraz, Bessy, wziąć prawie za panią domu!

Przyglądała mi się, gdym paradowała przed lustrem, podziwiając własną osobę. Po chwili rzekła:

- Bessy, chciałam cię o coś zapytać.

- Tak, proszę pani?

- Zachowasz... dyskrecję, prawda?

- W jakiej sprawie?

- W sprawie pewnych... poleceń, które ci wydawałam.

Zastanawiałam się przez moment.

- Chodzi o brulion? - pytam.

- Owszem - odpowiada - brulion to jedno. Poza tym... parę innych rzeczy.

- Jak wstawanie i siadanie? I wkładanie paninej sukni?

Zamrugała, a może wzdygnęła się, nie wiem.

- Tak - odparła. - Dobrze by było, gdybyś nigdy nikomu o tym nie mówiła... nigdy nikomu.

- Z pewnością zachowam dyskrecję, proszę pani - mówię. - Zresztą nie musi mnie pani o to prosić. I tak byłabym milcząca.

Uśmiechnęła się i odetchnęła z ulgą.

- Porządna z ciebie dziewczyna - rzekła.

- Dla mnie to żaden problem, proszę pani. - A potem wyrzuciłam z siebie, nie pamiętam czy akurat w tych słowach, mniej więcej coś takiego: - Dla pani zrobiłabym wszystko, wszystko na świecie, proszę mnie tylko poprosić. Jest pani dla mnie strasznie dobra i... nie godzi się inaczej.

Milady wyglądała na zmieszaną, może nawet na wystraszoną.

- No... Tak... Dobrze wiedzieć - rzekła i poklepała dłonią opróżnioną półkę w szafie. Pojęłam, że przebieranka skończona.

Nie wiedziałam, że najpewniej martwił ją wtedy powrót małżonka. W gruncie rzeczy niemalże zapomniałam o jego istnieniu. Co prawda przyszło kilka listów z Londynu, gdzie pan James (podobno) załatwiał

jakieś sprawy. Jednakże milady nie posiadała żadnej jego podobizny i wcale właściwie o nim nie wspominała. W naszym życiu był nieobecny. Czasami ponosiła mnie wyobraźnia i zastanawiałam się, czy aby milady jakoś się męża nie pozbyła. Leżąc wieczorem w łóżku próbowałam odgadnąć, dokąd trafiły zwłoki. Czy, na ten przykład, milady pochowała go w ogródku warzywnym? A może ukryła go na strychu? Czy krew mogła spływać przez sufit i zrobić plamę? No i kiedy ciało zacznie cuchnąć?

Wkrótce dowiedziałam się jednak, że pan James żyje, ma się dobrze i bynajmniej nie cuchnie. Dzień po przymierzaniu sukienki milady zgubiła napastrzek i posłała mnie do Snatter, abym kupiła dla niej nowy. Kiedy zbliżałam się do sklepu, wychodził z niego pastor Pollock. Nie miałam odwrotu, bo stanął przed drzwiami i zablokował mi wejście, niech go diabli usmażą.

- Aha-ha! - rzekł na przywitanie, po czym wyciągnął z kieszeni broszurkę i wcisnął mi ją do ręki. - Mam coś specjalnie dla ciebie, moja pannico.

Była to rozprawka pod tytułem *Drogi katolicki przyjacielu*. Zanim ponownie zdażyłam się zirytować, Poldek przemówił raz jeszcze, wymachując ręką w powietrzu:

- Przeczytaj to w wolnej chwili. Z przyjemnością odpowiem na wszystkie pytania, jakie mogą ci się nasunąć. A teraz, rzecz jasna, musisz się śpieszyć. Przecież twój pan wrócił do domu.

- Jest pan w błędzie, sir - mówię. - Pana Jamesa nie ma w domu.

- Czyżby? - Uniósł brwi i popatrzył na mnie. - Sądziłem, że wiesz o wszystkim, co dzieje się w Zamku Haivers. Wygląda na to, że twoja pani nie darzy cię wielkim zaufaniem. Za moment przekonasz się niechybnie, że James wrócił dzisiaj do domu.

I odszedł wolnym krokiem, bardzo z siebie zadowolony. Od razu zmięłam jego broszurkę i byłabym nią chętnie cisnęła w ten jego pieroński łeb, ale musiałam poprzestać na rzuceniu jej za żywopłot, co uczyniłam, kiedy po chwili Poldek zniknął mi z oczu.

Mógł oczywiście się mylić, lecz tuż po powrocie do domu ujrzałam w holu dużą walizę, a z zamkniętego salonu słychać było, jak milady

rozmawia niegłęboko z jakimś mężczyzną. A więc pan James powrócił! Poldek miał rację. Byłam, przyznaję, troszkę zaskoczona, że moja Arabella choćby nie napomknęła o spodziewanym powrocie małżonka, wcześniej miałam wrażenie, że mówi mi wszystko. Wprawiło mnie to w pewien niepokój. Pomyślałam nawet, że naumyślnie wysłała mnie do sklepu, że chciała pozbyć się mnie, by móc samej powitać małżonka. Mimo to wmawiałam sobie, że na pewno zapomniała, i starałam się o tym nie myśleć. Poza tym aż mnie nosiło, żeby zerknąć na tego mężusia. Tak więc po chwili wahania zapukałam do drzwi salonu i czekałam na tradycyjne „proszę”.

Nie doczekałam się jednak. Na moment zapadła cisza, następnie milady uchyliła lekko drzwi i wyjrzała na zewnątrz. Dygnęłam ładnie i przykładnie.

Patrzyła na mnie chmurnym wzrokiem.

- O co chodzi, Bessy?

- Mam naparstek, proszę pani. - Niczego nie mogłam dojrzeć, bo szpara w drzwiach była mała, a milady zasłaniała mi widok na salon.

Podsunęła mi palec pod nos.

- No i...? - mówi po chwili.

- Nie rozumiem - powiadam.

- Bessy, proszę o naparstek.

Nasunęłam go na wytknięty palec.

- Dziękuję - rzekła i już chciała zamknąć drzwi, kiedy spytałam:

- Czy mam jeszcze coś zrobić albo przynieść, proszę pani?

- Nie, dziękuję - ucięła. - Niedługo zadzwonimy po ciebie, przyniesiesz nam wtedy herbatę.

Zadzwonimy. Nam.

I zamknęła mi drzwi przed nosem.

Nie musiałam czekać długo, bo dzwonek zabrzczał już jakieś pół godziny później. Zaparzyłam herbatę, ustawiłam wszystko na tacy i ruszyłam do salonu. Tym razem, zapukawszy, usłyszałam „proszę”, więc weszłam, bardzo zresztą ostrożnie, żeby przypadkiem nie upuść-

cię tacy, nie potknąć się i niczego nie rozlać. Ładne by to było przywitanie, gdybym tak przewróciła się na progu, robiąc bajzel na sto fajerek, leżąc z podkasaną przez upadek spódnicą i prezentując wszem wobec swoje majciochy! To było nie do przyjęcia, milady miała być ze mnie dumna, nie śpieszyłam się tedy i mocno ścisnęłam tacę.

Pan James siedział w wysokim fotelu naprzeciwko mojej Arabelli. Kiedy wchodziłam, posłał mi bystre spojrzenie, po czym szybko odwrócił wzrok. Bożeńko droga, ależ był z niego patyczak! Chudy i tak wysoki, że ledwo mieścił się w fotelu. Wyglądał na starszego od żony, lecz miał najwyżej 45 lat i był nawet prawie przystojny, a to za sprawą pociągłej fizys, i ściśle mówiąc wcale nie łysy, powiedzmy, że miał wysokie czoło. Zachowane resztki włosów, ciemnawe i zaniedbane, spływały mu po policzkach. Ubrany był w surdut, a na podłodze obok fotela spoczywał jego kapelus, w który wpatrywał się teraz, zawzięcie gryząc paznokcie. Gdy tylko go zobaczyłam, skojarzył mi się z myśliwskim psem, było w nim jakieś ożywienie i nerwowość, jakby za chwilę miał zerwać się na równe nogi i rzucić do działania.

- Bessy! - rzekła milady surowym głosem.

Rozejrzałam się wystraszona. Pewnikiem się zamyśliłam.

- Tak, proszę pani?

Posłała mi ostrzegawcze spojrzenie i pojęłam, że trochę za mocno wgapiła się w jej małżonka. Dygnęłam nisko obojgu, co jest czynem nie lada, gdy ma się w rękach półtonową tacę.

- To jest pan James - rzekła milady.

- Miło mi pana poznać, sir - powiedziałam i znów dygnęłam.

Był tak zajęty swym „manicure”, że ledwie skinał głową. Położyłam tacę na stoliku, rozstawiłam podstawki i filiżanki, słychać było jedynie brzęk porcelany i zgrzytnięcia zębów pana Jamesa. Milady siedziała nieruchomo ze złożonymi dłońmi. Trudno było ocenić atmosferę, może po prostu czekali, aż sobie pójdę, lub pokłócili się o coś, naprawdę byłam w kropce. Przez cały czas, obgryzając wściekle paznokcie, pan James popatrywał na mnie kątem oka, toteż starałam się zachować należycie. Poczęłam już myśleć, że wyjdę z salonu nie zamieniwszy z nim ani słowa, gdy pan mój nagle umościł się głębiej

w fotelu, włożył jedną dłoń do kieszeni, drugą natomiast położył na kamizelce, rozcapierzając swoje kościste paluchy. Potem zaczęło się przesłuchanie.

Była to łagodniejsza wersja hiszpańskiej inkwizycji, z tym wszakże wyjątkiem, że śledczy nie zadawał tu pytań, tylko oznajmiał to lub owo i pozwalał człowiekowi potwierdzić bądź zaprzeczyć. Zapewne było to skutkiem prawniczych studiów, chociaż odniosłam zarazem wrażenie, że zadawanie pytań jest poniżej godności pana Jamesa, że uważa się on za krynicę mądrości i że każda rozmowa dowieść powinna niezbitcie, iż jest wszechwiedzący niczym Salomon. Myślał chyba, że taka maniera czyni go wręcz bardziej eleganckim, ale w kontaktach z ludźmi więcej na tym tracił niżli zyskiwał. Gdy dodać do tego czujne paciorkowate oczka i nieco warkliwy sposób mówienia, to musiał w rozmówcy budzić niechęć czy nawet agresję.

Na początku odezwał się do mnie w te słowa:

- Zakładam, że masz doskonałe referencje.

Oż kurka wodna! Jak się łatwo domyślić, przeraziłam się nie na żarty. Spojrzałam w stronę milady, lecz ona, zarumieniona po uszy, wpatrywała się w imbryk, z którego rozlewała herbatę do filiżanek. Cóż ona, do kroćset, mu powiedziała? Musiałam szybko coś wymyślić.

- Sir - powiadam, dygając raz jeszcze. - Zawsze usługiwałam bardzo dobrze. - I nawet dalibóg nie skłamałam.

Kiwnął głową refleksyjnie.

- Masz zatem doświadczenie w takiej pracy.

- Tak, sir - rzekłam (nie dodając, że liczy ono kilka tygodni).

To go chyba zadowoliło, bo znów kiwnął głową.

- Powiedziano mi, że umiesz czytać.

- Tak, sir.

- Wiem, że umiesz też pisać, i to całkiem przyzwoicie... Masz wszelako kłopoty z interpunkcją. Zakładam, że szybko się jej nauczysz.

- Też mam taką nadzieję, sir.

Całkiem przyjemnie mi się słuchało opisu własnej osoby, szczególnie w wydaniu człowieka, którego widziałam po raz pierwszy! Zaciekawilo mnie, czego się jeszcze o sobie dowiem.

Pan James wyciągnął się wygodnie w fotelu, opierając stopy o podstawę kominka.

- Tutaj - powiada - umiejętność czytania i pisania nie będzie ci nazbyt potrzebna.

Boziu jedyna, nie ośmieliłam się spojrzeć na milady.

- Możesz jednakże co któryś wieczór poczytać mi gazetę. Podejrzewam, że nie sprawi ci to przykrości.

Grzecznie skinęłam głową.

- Z tego co słyszę - rzekł pan James - trudno by nam teraz było obyć się tu bez ciebie. Jesteś pogodna i pracowita.

- Staram się, jak mogę, sir.

W tym momencie pochylił się do przodu i przeszył mnie badawczym spojrzeniem.

- Co dzień w południe - powiada - zostaje ci stos obierzyn.

Wpatrywałam się w niego bez słowa, zdumiona tą zmianą tematu.

- Parę funtów obierzyn - ciągnie pan James. - Z ziemniaków, rzepy i tak dalej.

- Sir?

- Są brudne, lecz nie zbutwiały. Opisz mi, proszę, szereg czynności, które w związku z tym podejmujesz.

- Pan wybaczy, sir, ale...

Milady chrząknęła.

- Co zrobiłabyś z tymi obierzynami, Bessy? - rzekła cicho nie patrząc na mnie.

- Aha! - mówię, pojmując już, że to test czy coś w tym rodzaju. Nie chciałam zawieść mojej pani, więc wyteżyłam mózgownicę. - Wrzuciłabym je... do... do kubła na pomyje.

- Ha! - Pan James klepnął się w kolano i spojrzał triumfalnie na żonę. - Błędna odpowiedź!

Posłała mu bezbarwne spojrzenie.

- A co ty zrobiłabyś z nimi, James?

- Wypłukałbym je i przeznaczył na rosół.

- Ależ James. Bessy, zgodnie z moimi poleceniami, wrzucałaby je do pomyj dla knura.

Pan James cmoknął i spojrzął na mnie tymi swoimi ciemnymi oczkami jak paciorki.

- Żywię głęboką nadzieję - powiada - że nie należysz do osób rozrzutnych.

- W żadnym razie, sir.

- Rozrzutna służąca to zło największe. Mieliśmy już takie w przeszłości.

Uśmiechnął się do milady, lecz ona unikała jego wzroku, toteż znowu zwrócił się do mnie i jakby nigdy nic raz jeszcze zmienił temat.

- Opowiedz mi o swoich rodzicach. Rozumiem, że twoja matka... odeszła.

- Tak, sir.

- Zakładam, że ojciec twój nadal gdzieś żyje.

Przybrałam stosownie żałobną minę i oświadczyłam, że on też „odeszedł”.

- Rozumiem. - Pan James zacisnął usta i zmarszczył brwi. Pobębnił w kamizelkę obgryzionymi do cna palcami. - Doprawdy przykro mi to słyszeć. Rozumiem, że co pewien czas będziesz chciała wybrać się na ich groby.

- Sir? O nie, sir, ja...

- Śmierć rodziców to rzecz potworna. Zakładam, że zdradzisz nam przyczynę ich odejścia.

- Sir, to był... tyfus, sir.

- Dobry Boże... - Pokiwał smutnie głową, po czym spojrzął na żonę. - Pozwolimy czasem jej odwiedzić groby rodziców, Arabello.

- Proszę? - rzekła milady. - Tak, oczywiście. - Myślę, że była równie jak ja zdumiona tym nagłym zwrotem w rozmowie. Tymczasem pan James znów patrzył na mnie.

- Chyba że są pochowani w Irlandii - powiada.

- Nie, sir, w Glasgow, ale ja...

- Znakomicie. Masz nasze pozwolenie.

Gapił się na mnie wyczekująco, liczył na wdzięczność, no to dygnęłam jak należy, choć żadnych grobów nie było, a nawet gdyby istniały, nie jestem pewna, czy chciałabym je odwiedzić.

- Dziękuję, sir. To bardzo uprzejmie z pana strony.

Zmarszczył brwi.

- Zapewne tęsknisz za swoją ojczyzną - powiedział.

- Niezupełnie - odparłam. - Tutaj bardziej mi się podoba. To naprawdę wspaniały kraj. I taki piękny... przynajmniej po części. A Glasgow to wspaniałe miasto... przynajmniej po części... zwodzony most i te światła...

Nie słuchał. Słyszał jedynie to, co chciał usłyszeć.

- No tak - powiada. - To straszne, znaleźć się tak daleko od ojczystego kraju. Nie mówiłaś mi jeszcze, od jak dawna przebywaś w Szkocji.

Zgadza się, nie mówiłam. Bożeńko, jakże on wyciągał ze mnie informacje, sprawiając przy tym wrażenie człowieka wszystko niemal wiedzącego! Ciekawe, czy jakoś to ćwiczył.

- Przebywam tu od dwóch lat, sir.

Mieszkałam w Szkocji od lat czterech, więc było to tylko pół kłamstwa. Pojęcia nie mam, czemu ukryłam prawdę, było to bezcelowe. Może dlatego że człowiek ten tak uporczywie chciał zbudować sobie wizerunek mej duszy, a kłamiąc miałam wrażenie, że go jakoś okradam, wprowadzając go w błąd po prostu czułam się lepiej.

- Dwa lata, tak - pokiwał głową, jak gdyby wiedział już o tym wcześniej i teraz tylko mnie sprawdzał. - Cóż, Bessy, zobaczymy, jak długo u nas zabawisz. Możesz odejść.

Dygnęłam im obojgu i miałam już opuścić salon, kiedy dobiegł mnie głos pana Jamesa.

- Przypomnij mi jeszcze nazwę biura, w którym się zarejestrowałaś.

- Biura, sir?

- Biura zatrudnienia służących.

- A tak - mówię. Tak, sir, oczywiście, to było... to było...

- Lauders - rzekła milady. - Przy Hope Street.

- Tak, sir. Lauders, sir.

- Podejrzewam, że to kosztowało fortunę. - Tym razem pan James zwrócił się do mojej Arabelli, która słysząc to spuściła głowę i uśmiechnęła się ślicznie do męża.

- Przekonasz się, że było warto, najdroższy - powiada.

Patrzyli na siebie przez moment, jak gdyby cosik niewidzialnego przenikało między nimi. Potem pan James rozluźnił się nieco i zaśmiał przyjaźnie.

- No dobrze, moja droga - powiedział. - Skoro tak twierdzisz...

Nagle poczułam się jak intruz i odwróciłam się, by opuścić salon. W tej właśnie chwili mój wzrok padł na koszyczek z przyborami do szycia. Ze zdumieniem stwierdziłam, że leży tam stary naparstek mojej pani. Znalazła go więc, pomyślałam, pewnie wtedy gdy poszłam do sklepu. A może naprawdę pragnęła się mnie pozbyć? Już chciałam wspomnieć coś na ten temat, ale milady mnie ubiegła.

- Jeszcze jedno, Bessy - powiada. - Zaproszono nas dziś na kolację, więc nie musisz wieczorem niczego szykować.

- Zaproszono?

- Tak. - Milady uśmiechnęła się do męża. - Czy to takie niezwykle?

- Eee... Nie, proszę pani.

Mimo to byłam skołowana. Przyzwyczaiłam się już do naszych wspólnych wieczorów i jakoś nie mieściło mi się w głowie, że milady może wyjść na proszoną kolację.

- Zamknij buzię, dziewczyno! - rzekł pan James. - Bo mucha ci wpadnie do ust.

Spojrzałam najpierw na niego, potem znów na milady.

- Bo proszę pani... - mówię. - Co z naszą lekcją interpunkcji?

- Nie dzisiaj - odparła milady. - Wrócimy do tego jutro.

Pan James wybuchnął śmiechem.

- Serdeńko ty moje! - powiada. - Jej się to najwyraźniej nie podobają!

Z trudem zdobyłam się na uśmiech i dyg, by dowieść mu, że się myli.

- Jeszcze jedno pytanie, Bessy - rzekł, wysuwając podbródek.

- Chodzi o twego ojca. - Czekałam w napięciu, ciekawa, czy on tym razem istotnie zada mi jakieś pytanie, lecz usłyszałam: - Chciałbym wiedzieć, czym się parał.

- Był marynarzem, sir.

Wedle mojej najlepszej wiedzy podałam mu informację prawdziwą. Nie miałam już jednak ochoty na dalsze dochodzenie, w formie pytań czy jakiegóż innej, toteż dygnęłam szybko i wyszłam z salonu.

Oj, miałam co nieco do powiedzenia o swoich rodzicach. Z przyjemnością zobaczyłabym jego minę, gdyby poznał moje dzieje. Teraz wydaje mi się, że trzeba było mu opowiedzieć. Odprawiłby mnie bez zwłoki jako osobę niezdatną do służby.

I cała reszta nigdy nie miałyby miejsca.

Dokonuję odkrycia

To, co zdarzyło się tuż potem, opisuję z niejakim wstydem. Aliści pozostała część mojej historii z tego właśnie wypływa, a raczej to właśnie stanowi jej sedno, nie mogę więc niczego zataić. Usprawiedliwić mnie może naturalna ciekawskość osoby młodej.

Pan James i milady spędzili czas pewien w swoich osobnych pokojach, nim wyszli na proszoną kolację. Hector miał przekazać Bochenkowi, by ten przygotował powóz na siódmą. O wpół do siódmej udałam się do mojej pani, ażeby spytać, czy mam jej pomoc przy ubieraniu. Okazało się, że nie jestem potrzebna, sama przygotowała się do wyjścia. Sprawiała wrażenie bardzo podnieconej kolacją, ponieważ zaprosił ich jakiś pan piszący wiersze i piosenki.

- Ja też wymyślam piosenki - mówię do niej.

- Wiem o tym - odparła bez większego zainteresowania, wpatrzona w lustro i rozjaśnione świeczką swoje w nim odbicie. - Czy ten naszyjnik nie jest nazbyt ozdobny?

- Nie, proszę pani, jest śliczny - rzekłam. - Sama chciałabym mieć podobny. Czy chciałaby pani usłyszeć moją piosenkę?

- Owszem, nawet bardzo - mówi. - Gdzie podziały się rękawiczki?

- Są tutaj, proszę pani. Czy mam coś zrobić, gdy pani nie będzie?

- Nie, nic nie trzeba.

- Wie pani co... Mogłabym, proszę pani, siadać i wstawać, jeśli pani sobie zażyczy.

Przerwała naciąganie rękawiczek i popatrzyła na mnie.

- Co takiego? - pyta.

- Mogę siadać i wstawać. Policzę i jak pani wróci, powiem, ile razy mi się udało.

Spojrzała na mnie chmurnie.

- Nie, Bessy - powiada. - Nie o na tym rzecz polega. Poza tym pamiętasz naszą rozmowę, prawda?

Patrzyłam na nią bez słowa.

- Rozmowę o dyskrecji - mówi.

- A, oczywiście, proszę pani.

- Porządna z ciebie dziewczyna - rzekła. I dała mi małego całuska.

Pewnie zarumieniłam się z przyjemności i, zakłopotana, uczyniłam krok w jej stronę, by odwzajemnić całusa, lecz milady już się cofnęła i już wciągała rękawiczki. Na policzku, tam gdzie mnie cmoknęła, pozostał zapach róż, czułam go nawet wtedy, gdy powóz z moim państwem zniknął wśród ciemnej nocy. Strasznie chciałam pojechać wraz z nią.

Ja i milady, dwie damy w swych najwykwintniejszych sukniach, wyruszamy na prośzone przyjęcie, gdzie uprawiamy gry karciane i inne. I bawimy się jak ta lala!

Po wyjeździe milady i pana Jamesa dom nagle zrobił się jakiś duży i pusty. Przez pewien czas kręciłam się ze świecą po wszystkich pomieszczeniach na parterze i uzmysłowiłam sobie, że po raz pierwszy jestem tam zupełnie sama. Dom zionął chłodem i samotnością, a moje kroki odbijały się echem od sufitów i podłóg. Zazwyczaj milady była gdzieś blisko, tak iż mogłabym do niej krzyknąć, nie żebym kiedykolwiek krzyczała, krzyku wręcz nie lubiła, mówiła, że to karczemne, i kiedy chciałam ją o coś zapytać, musiałam mówić uprzejmie i cicho, a nie wydzierać się z okna niby praczka czy coś jeszcze gorszego. Tak czy owak, po dłuższej chwili znudziło mi się to łożenie i postanowiłam ruszyć na górę i obejrzeć sobie suknie milady, póki nie było jej w domu. Myślę, że po dziewczęńsku ciekawa, chciałam parę tych sukien przymierzyć, sama już nie wiem. Gdy jednak otwarłam szafę, popatrzyłam tylko przez moment na panine stroje, nie wdziałam żadnego

z nich, nie wahałam, nic z tych rzeczy. A potem stwierdziłam, że zerknę do biurka. Szuflada była jak zwykle zamknięta, lecz czasu miałam wszak w bród i mogłam spokojnie poszukać klucza. Szukałam, szukałam i już miałam dać za wygraną, kiedy olśniło mnie, że klucz może być w sukni, w której milady chodziła dzisiaj po domu. I proszę bardzo, jak tylko wetknęłam dłoń do kieszeni, wymacałam mały kluczyk. Włożyłam go do zamka w biurku, przekręciłam i wysunęłam szufladę.

W środku był martwy noworodek! I słoik dżemu! I fujarka!

Nie nie, żartuję.

Było tam tylko pełno notesów i duża stareńka księga rachunkowa oprawna w czerwoną skórę. Wyjęłam ją i otwierałam bez większych oczekiwań. Na wewnętrznej stronie okładki przyklejono jedną z czarno-białych karteczek z obrazkiem i napisem **EX~BIBLIOTHECA~CASTELLUM-HATVERS**. Widziałam już ten obrazek we wszystkich książkach, które milady mi dawała, i wiedziałam już, że nie są to dwie damy siedzące pod drzewem, lecz jedna dama i jej służąca, w fartuchu i perkalowym czepku. Nalepka słabo się trzymała, była wzdęta jak pęcherz, milady użyła za dużo kleidła. Spojrzałam na pierwszą stronę i ze zdumieniem stwierdziłam, że jest pokryta fioletowym atramentem i bez wątpienia pismem mej pani. Przepiszę teraz kawałek tego, com wtedy przeczytała.

Obserwacje na temat natury i zwyczajów klasy służebnej w czasach obecnych

Gdybyśmy posiadali dokładny opis natury, zwyczajów i wykształcenia klasy służebnej w czasach obecnych i szczegółowe studia konkretnych przypadków, dziejopisarstwo zyskałoby wiele, wszelako materia ta nader rzadko stanowi przedmiot badań, cała zaś nasza wiedza w tym zakresie nie wykracza poza doświadczenia osobiste. Życzyć sobie należy, iżby autor jakiś sumienny spisał swe obserwacje na ten temat i pozyskaną wiedzę przekazał w schedzie potomnym. Musiały to być wszakże człowiek wielkiego rozumu, albowiem łatwo tu ponieść dotkliwą porażkę.

Pod nieobecność takiego autora ośmielam się przedłożyć niniejszą rozprawę teoretyczną wraz ze studiami konkretnych przypadków. Na kartach kolejnych opiszę więc znane mi służące, mając na względzie zarówno pożytek własny, jak i korzyści dla innych. Jednocześnie zdaję sobie sprawę, iż jako osoba ledwie dwudziestoletnia, dysponuję dość szczupłym bagażem doświadczeń.

Niemniej zamierzam sukcesywnie dopełniać tę oto relację o dokładne opisy zatrudnianych u mnie służących.

Zaznaczyć muszę, że z konieczności ograniczam się tylko do służby domowej, jako że służba folwarczna, zamieszkała poza domem, nie może być dla mnie przedmiotem uważnej i regularnej obserwacji, jest nadto przeważnie skłonna do hałaśliwych i błahych rozrywek tudzież gremialnego pijaństwa w swych „czworakach”, wyraża się w sposób wulgarny i na ogół nie grzeszy rozumem. Czy pisząc to, sugeruję, że służący winien nieustannie pracować, bez żadnej przerwy na odpoczynek? Nic bardziej mylnego. Człowiek nie jest maszyną, używany zaś w tym charakterze, okazuje się wysoce wadliwy. Mimo to ośmielam się twierdzić, że brak pożywki dla umysłu, gdy dzień pracy dobiegł już końca, skutkuje u służby poczuciem znużenia. Musimy przeto kształcić naszych służących w sztuce czytania i pisania albo też, co tym bardziej polecić się godzi, zatrudniać osoby dysponujące już ową sztuką w stopniu rudymenarnym, by potem dokształcać je krok po kroku. Na szczególną uwagę, zwłaszcza u dziewcząt, zasługuje nauka czytania. Pani domu powinna zapewnić służącym swobodny dostęp do książek, takich jak Biblia czy też powieści Richardsona, Waltera Scotta, pana Dickensa i innych.

Moją intencją nie jest jedynie propagować kształcenie służących, lecz również zbadać warunki, w jakich moglibyśmy zwiększyć wydajność ich pracy. Raz jeszcze pragnę zaznaczyć, że nie jestem w pełni kompetentna, aby omówić wszystkie istotne zagadnienia wiążące się z klasą służebną, cieszę się niemniej, iż pisząc tę książkę, dzielę się posiadaną wiedzą, jeśli zaś choćby jedna z mych obserwacji bądź sugestii pomoże w rozstrzygnięciu spornego

zagadnienia lub wyda się zdatną do wprowadzenia w życie, to taka nagroda jest wszystkim, czego mi trzeba. Mimo wszelkie niedostatki, świadoma, że znajdzie się tu ich wiele, przedkładam tę książkę wyrozumiałej publiczności...

I tak dalej. Zatem sprawa się wyjaśniła. To dlatego jej palce były czasami poplamione atramentem. Milady pisała własną książkę! Pracowała nad nią od lat, a zaczęła właściwie tuż po przybyciu do Zamku Haivers. *Obserwacje.*

Jakbym dostała obuchem po łbie.

Przejrzałam szybko kilka kolejnych stron, był to dalszy ciąg przedmowy, coś o geniuszach i że milady niegodna jest spojrzeć na pióro, a co dopiero je dzierżyć, moim zdaniem straszna nieprawda, bo pisała wszak bardzo dobrze, niektóre fragmenty były śliczniutkie, a interpunkcja wręcz olśniewała. Powiem nawet, że jedno czy dwa zdania uznałam wtedy za najelegantsze ze wszystkich, jakie w ogóle przeczytałam w takiej czy innej książce.

Następna część nosiła tytuł „Moje dotychczasowe doświadczenia ze służącymi” i rozpoczynała się od obserwacji na temat niejakiej Fredy. Owa Freda pracowała u ojca milady w Wimbledon. Była cudzoziemką i już po dwóch stronach obserwacji kazano jej się spakować i wracać do Niemiec. Podobno zachowała się wyzywająco w stosunku do jegomościa, który wpadł do nich na herbatę, a później kręcił się po suterynie obok pokoju Fredy. Jegomość, gdy go tam znaleziono, był bardzo przeprasający i roztoczył cały swój osobisty urok, tak iż niebawem darowano mu winę. Inaczej rzecz miała się z butną Fredą, która podniosła straszliwy raban, rzuciła kilka grubiańskich uwag, po czym została eksmitowana na bruk.

Milady zgrabnie to wszystko podsumowała.

Powyższy przykład nie dowodzi wszelako, iż służące nam cudzoziemki nie zasługują na zaufanie, istnieją bowiem liczne przypadki świadczące o czymś przeciwnym. Słyszałam onegdaj o pewnym Francuziku, co należycie wypełniał obowiązki lokaja

u jednego z wysoce szanowanych znajomych mojego ojca. Nadto w tutejszych kregach towarzyskich jest rzeczą powszechnie wiadomą, że pani B. zamieszkała w M. wszędzie chadza ze swoją czarną jak węgiel Murzynką...

Potem milady obserwowała niejaką Nanny P. - sądząc z opisu wzór cnót wszelakich i aż dziw bierze, że jeszcze nie ogłoszono jej świętą. Śmierć Nanny P. stanowiła potworny cios dla milady i kilka linijek w tej części jest rozmazanych, jak gdyby na kartkę spadały łzy.

Później było dość sporo krótkich notek z nagłówkiem w postaci imienia danej służącej. Odniosłam wrażenie, że chodzi tu o moje poprzedniczki w Zamku Haivers z czasów raczej pradawnych. Przepiszę teraz kilka urywków, niech to wystarczy za streszczenie.

Margaret... arogantka... nie prowadziła dziennika... zuchwała... z ulgą się jej pozbyłam... Vhari... dziewczyna z gór... ledwie pięć dni... w środku nocy... zniknęły sztuce... Shona... kolejne dziewczę z gór... wszystkiego trzy tygodnie... nieco rozrzutna... James bardzo nierad... ostra wymiana zdań... każę jej maszerować... Peggy... ot, charakterek... nieustannie wytrzeszcza oczy... fatalnie gotuje... szybko pomknęła w swoje strony...

I tak to szło, strona za stroną, kolejne służące i ich przewinienia. Potem było kilka pustych stron i następny nagłówek.

Uwagi na temat fizjonomiki i kilku wiążących się z nią zagadnień

Od kilku już lat żywię coraz mocniejsze przekonanie, iż występuje związek między fizjonomią służącej i jej charakterem. Zauważyłam, że dziewczęta chude często bywają kłótlive, podczas kiedy istoty tęższe dysponują miłszym dla oka obliczem i zachowują się na ogół w sposób ze swym wyglądem niesprzeczny. Z doświadczeń własnych wiem, że na przykład moja Nanny P.

- owa nad wyraz cudowna osóbką - miota doprawdy wspaniały charakter, który wyrażał się w jej zaróżowionej pyzatej twarzy i ogólnej pulchności kształtów. Nie od rzeczy będzie tu dodać, że intryguje mnie wielce teoria na temat „typów” ludzkich z natury swej krnąbrnych i skłonnych do zachowań buntowniczych, jak również takich, które rodzą się już z pragnieniem służenia innym, ze swoistym instynktem posłuszeństwa. Jeżeli ten rodzaj ostatni, ów typ instynktownie posłuszny, miałyby w każdym konkretnym okazie posiadać te same cechy fizyczne - ten sam kształt twarzy, na przykład, lub nisko osadzone uszy - o ileż łatwiej byłoby nam najmować służących, gdy jedno spojrzenie pozwoliłoby oszacować, w jakim stopniu dana osoba spełni nasze oczekiwania!

Aby poczynić pierwszy krok w tym kierunku, będę odtąd opisywać fizyczne cechy każdej z moich służących, łącznie z pomiarem proporcji ciała. Na podstawie swych obserwacji oszacuję też ogólne usposobienie owych dziewcząt, ze szczególnym uwzględnieniem instynktu posłuszeństwa. Zestawienie obu rodzajów opisu może później stanowić przesłankę do wyciągnięcia pożądanych wniosków...

Warto też zbadać dogłębnie, w jakim stopniu reakcje służącej zależą nie tylko od jej sytuacji życiowej i pochodzenia, lecz również od zachowania jej pana lub pani. Mniemam, iż rzecz wyklaruje się niechybnie, kiedy zyskamy możliwość bezpośredniego wglądu w umysł naszych służących. Wiedząc co i jak myślą, bez wątpienia pojmemy, jak skłonić ich do efektywnej pracy...

Czytając te słowa może, rzecz prosta, zdziwić się nieco, że w naszym domu pracuje jedna tylko służąca, jeśli nie liczyć służby folwarcznej. Mąż mój wszelako wyznaje pogląd, iż lepiej jest wykorzystać w pełni jedną służącą niż marnotrawić fundusze na kilkoro próżniaków. Ceni on sobie przy tym duży mój udział w prowadzeniu naszego domu, ja zaś zgadzam się z nim zupełnie, bo jakże nużące byłoby życie, gdyby człowiek próżnował, miast imać się rozmaitych zajęć...

Kolejne notki okazały się bardziej już drobiazgowe, były tam między innymi krótkie opisy poszczególnych służących. Milady podawała ich wiek, rozmiary ciała i twarzy, mierzyła je więc tak jak mnie potem. Później zdawała relację z ich zachowania, pisała, czy umieją czytać, a jeśli tak, to jakie książki im dawała, dorzucała też listę występków, jeżeli takowe miały miejsce. Niezbyt mnie to wszystko ciekawiło, więc przerzuciłam kilka następných stron, aż w końcu dojrzałam wpis bardziej intrygujący.

Tragiczna utrata służącej

W najpomysłniejszym biegu spraw służący rozstaje się ze swym pracodawcą dopiero wtedy, gdy obydwie strony uznają to za obopólnie dogodne. Niekiedy jednak złowrogie fatum odsyła służącą na tamten świat, nim jeszcze sami postanowimy ją odprawić. Jakże wtedy poradzić sobie z taką stratą?

Nie sugeruję tym samym, rzecz oczywista, że śmierć służącego stanowi tragedię tych samych rozmiarów, co utrata członka rodziny lub przyjaciela, lub nawet dalszych naszych znajomych z tej samej klasy społecznej. Służąca jest tylko służącą, a imię jej często umyka z naszej pamięci już w kilka dni po tym, jak nas opuściła, aby zatrudnić się gdzie indziej (chyba że ktoś, tak jak ja, prowadzi własny rejestr). Są jednak wśród nich istoty, które potrafią - czy to dzięki wyjątkowej zdolności do pracy, czy też za sprawą ujmującej powierzchowności lub całkowitego nam posłuszeństwa - wzbudzić w nas cieplejsze uczucia. Gdy zaś przytrafi im się nieszczęście, utrata ich zdaje się doprawdy trudna do powetowania.

By podać przykład, jedna z naszych służących - wspomniana już na tych stronicach Irlandka imieniem Nora - znikła jakiś czas temu. Pierwszego dnia niemal powszechnie panowała opinia, iż Nora po prostu zbiegła. Znając ją, miałam wszakże świadomość, że owa dziewczyna nie byłaby zdolna do takiego czynu. Była bowiem godna bezgranicznego zaufania, lojalna i przyjaźnie usposobiona do innych. Uważam zresztą, że Irlandki odznaczają się lepszym

charakterem niżli dziewczęta z gór, wyrażają się przy tym w sposób bardziej rozumiały. Nora należała do najświetniejszych przedstawielek tej kategorii, a pomienione wyżej cechy dawały się dostrzec w jej przesympatycznej aparycji.

Niestety poniosła śmierć w wypadku. Z tego, co mi wiadomo, na doczesne jej szczątki, leżące przy kolejowych torach, natknęła się gromadka włóczęgów. Ludzie ci powiedzieli o swoim smutnym odkryciu pierwszej napotkanej osobie, którą okazał się nasz zarządca. Ten z kolei natychmiast rozpoznał naszą Norę (pomimo drastycznej deformacji ciała tożsamość zmarłej nie budziła wątpliwości). W najbliższej wsi nie stacjonuje żaden policjant, lecz kiedy przybył posterunkowy ze Smoller, włóczęgów natychmiast aresztowano. Wypuszczono ich jednak tuż potem, albowiem nasz dr McGregor-Robertson przeprowadził wizję lokalną i orzekł, iż za śmierć Nory nie odpowiada żaden z jej ziomków, tylko (rzecz oczywista) pędzący pociąg. Teza ta uzyskała finalne potwierdzenie, gdy kilka dni później znaleziono pozostałą część ciała, spoczywającą w dalszej partii torów, bliżej miasteczka Bathgate.

Lekarz powiedział mi, że trudno ustalić, w którym dokładnie miejscu doszło do owego wypadku, jako że pociąg mógł wlec ciało Nory nawet przez dość długi czas. Maszyniści, wedle składanych zeznań, nikogo na torach nie widzieli. Obecnie wydaje się bezsporne, że biedna dziewczyna weszła przypadkiem na tory i nie dostrzegła zbliżającego się pociągu.

Pogrzeb odbył się wczoraj, bez mojego wszakże udziału, byłam bowiem zbyt roztrzęsiona i mąż mój uznał to za rzecz niewskazaną. Wszyscy jesteśmy w stanie szoku, ja w szczególności, bom szczerze tę pannicę lubiła. Czuję, że w niej właśnie znalazłam (nareszcie!) prawdziwy ideał służącej, uczynnej, uprzejmej i przez wszystkich darzonej sympatią. Była u mnie, niestety, jedynie przez sześć krótkich miesięcy...

Kochana Nora! Obawiam się, że już nigdy nie trafi mi się ktoś taki. W sytuacjach tego rodzaju osoby luźniej związane ze zmarłym inaczej reagują na śmierć. Mąż mój, na przykład, najbardziej

kłopotcze się myślą o potencjalnym skandalu. Przeraza go myśl, iż taka tragedia mogła mieć miejsce na naszych ziemiach. Mnie zaś przypadł na koniec jakże przykry obowiązek spakowania skromnego dobytku Nory i przeniesienia go na strych. Nora, o ile nam tutaj wiadomo, nie posiadała żadnych krewnych, aliści nie mam zamiaru pozbywać się tych kilku drobiazgów, tej pary cienkich spłowiełych sukienek, bo może w końcu ktoś po nie się zgłosi. Jak dotąd udawało mi się powściągać emocje, ale, przyznać to muszę w tym miejscu, składając wtedy ubrania Nory, uroniłam kilka gorzkich łez.

Przerwałam czytanie *Obserwacji*, bo przy tym właśnie fragmencie naszła mnie pewna straszna myśl. Popatrzyłam na sukienkę, co ją miałam na sobie. Przestraszyłam się nagle, że zacznie gnijącymi płatkami opadać z mojego ciała, aby potem, już na podłodze, rozpaść się w żółty proszek. Ale nic takiego się nie wydarzyło, sukienka dalej była szara i lekko wyblakła i trochę przyciasna w cycu. Czyżby milady dała mi ciuchy należące do tej zmarłej służącej? Świadczyła wszak o tym opisywana przez nią „tragedia”. Nie dopuszczałam do siebie myśli, że moja pani była zdolna do czynu tak upiornego, lecz nie dawało mi to spokoju.

I raptem przypomniał mi się rykliwy śmiech A.P. Hendersona, kiedy mnie spytał o poprzedniczkę: „Może wyjechała kolejom?”.

Więc na tym polegał ten jego dowcip, miał makabryczne poczucie humoru.

Cofnęłam się o paręnaście stron.

Nora

Wiek 22 lata

Wzrost poniżej przeciętnej

Biust 32 cale

Talia 28 cali

Biodra 36 cali

Ręka 10 i $\frac{1}{2}$ cala

Szyja 12 i $\frac{1}{2}$ cala
Czaszka 2l i $\frac{1}{2}$ cala
Usta 2 i $\frac{1}{2}$ cala
Od ust do ucha 5 i $\frac{1}{2}$ cala
Nos 1 i $\frac{3}{4}$ cala
Między oczami 2 cale

Z obserwacji: brązowe włosy, miła twarz, błyszczące oczy, gładka cera, brak jednego zęba (siekacza), niska i bardzo żywotna, ruchliwa jak ptaszek.

Nora jest u nas od pięciu dni i swe obowiązki wypełnia sumiennie, aż miło na nią popatrzeć. Pochodzi z Irlandii, a w naszym kraju mieszka od sześciu lat. Jako córka dojarki, Nora umie też pracować w oborze, dzięki czemu mogła na szczęście - nie zaniedbując swych pozostałych zajęć - pomóc przy krowach pod nieobecność jednej z naszych dziewcząt, która musiała wyjechać stąd na czas pewien, aby zająć się chorą matką. Ojciec Nory był oraczem, przez co posiada ona, rzecz można, gruntowne wykształcenie potrzebne do pracy w folwarku. Trudno zaiste o lepszych rodziców dla prowincjonalnej dziewczki służebnej! Nora jest przy tym bardzo ładna i bez wątplenia istnieje związek między jej ujmującą powierzchownością i nieskazitelnym charakterem. Porzuciłam już wprawdzie teorię o bezpośredniej relacji między wyglądem a usposobieniem, lecz ten konkretny przypadek świadczyć może niezbicie o zasadności takiego poglądu.

Z radością stwierdziłam również, że Nora jest świetną kucharką. Najbardziej cieszy mnie wszelako jej całkowite posłuszeństwo. Poniektóre dziewczęta protestują zawzięcie, kiedy próbuję dokonać pomiarów twarzy, albo zgadzają się na to z demonstracyjnie okazywaną niechęcią, Nora zaś ani pisnęła. I choć, przyznaję, sprawiała wrażenie zdziwionej, gdym przykładała jej centymetr do nosa, nie zapytała mnie nawet, czemu to miało służyć! Nosek ten jest zresztą dość mały i nieco zadarty (pokryty do tego siateczką czarownych piegów!). Wcześniej sądziłam, że krótki zadarty nosek

zdradza naturę kłamiwą, teraz jednak dopatruję się w tym rysie wysoko rozwiniętej skłonności do bezwzględnej subordynacji.

W tym momencie zaczęłam wertować książkę, szukając w niej niecierpliwie jakiejś wzmianki na mój temat i (oby, oby!) podobnych pochwał pod moim adresem. Nagle jednak wzrok mój zatrzymał się przy innym imieniu, wróciłam o kilka stron wstecz i oto, com przeczytała.

Morag

Wiek: około 15 lat (nie zna dokładnej daty urodzenia). Żadnych pomiarów, odmawia kategorycznie. Z obserwacji: żółte zęby, nierówne, lecz mocne. Włosy rude (o czym to świadczy?). Cera brzydka, czerwonawa (słabość do trunków?).

Jest u nas od dwóch dni, a znaleźliśmy i zatrudnili ją na targach dla służby, nie namyślając się zbytnio, ponieważ umówiona zawczasu następczyni Nory nie raczyła się stawić. (Jeśli wierzyć słowu pani Lauder, dziewczka owa zbiegła z jakimś lokajem!).

Morag nie boi się ciężkiej pracy, lecz pierwsze wrażenia mówią mi, że jest raczej krnąbrna (patrz wyżej: odmawia przy próbie dokonania pomiarów). Posiada przy tym irytujący zwyczaj rechotania prosto w twarz rozmówcy, co doprowadzić mnie może niebawem do poważnego rozstroju nerwowego.

Czytając te słowa, pojęłam, że Morag to pewnie owa ruda dziewczka, co zarechotała mi w twarz, gdy szłam po raz pierwszy do Zamku Haivers. Opis pasował do niej jak ulał. W takim razie to właśnie jej sfajczony brulion leżał wtedy w palenisku. Przypomniał mi się też wieczór, gdy zapytałam o to moją panią, kiedy źle usłyszała moje pytanie i pomyślała, że chodzi o tę drugą służącą, o Norę.

Czytałam dalej z wypiekami na twarzy, ciekawa dalszych dziejów Morag.

Na początek kazałam nowej służącej opowiedzieć o swojej przeszłości, lecz jest to dziewczę małomówne i z trudem przekonałam ją, by podzieliła się ze mną garścią najbardziej podstawowych faktów. Mimo niewielkiej lotności umysłu potrafi ona czytać i pisać, albowiem światła jakaś osoba z jej rodzimej wioszczyny kształciła ją przez lat kilka. Pismo jej jest dziecinne, ale czytelne, toteż zapewne będę mogła ją skłonić do prowadzenia dziennika, który pozwoli mi choć trochę przeniknąć sekrety jej duszy. Daleka jestem od tego, aby spodziewać się informacji odkrywczych, liczę się również z możliwością oszustw z jej strony - nawet one mogą jednak stanowić ciekawy przedmiot obserwacji.

Przerzuciłam kilka stron do przodu i przeczytałam kilka wpisów wybranych na chybił trafił.

Morag jest już z nami od dwóch tygodni. Swoje „normalne” obowiązki spełnia przykładowie (choć raczej markotnie), ale odmawia udziału we wszystkim, co jej zdaniem do powinności służącej się nie zalicza, jednym słowem - uchyla się od pracy przy moich badaniach! Porzuciłam już myśl o prowadzeniu z nią dalszych eksperymentów, albowiem upór jej w tym zakresie jest niemożliwy do przełamania...

W liście do męża poskarżyłam się na markotność Morag, on odpowiedział mi jednak, że niepotrzebnie ją w ogóle najmowałam do pracy. Małżonek mój otóż wyznaje teorię, iż targi dla służby istnieją po to jedynie, aby źli państwo mogli znaleźć służących, a źli służący - jakiegokolwiek zajęcia. Na swoją obronę zaznaczę tylko, że tego dnia jedyną alternatywą dla Morag była brudna dziewczyna w koszmarnych łachmanach, która do tego okropnie cuchnęła. W porównaniu z nią Morag odznacza się nawet niezłą prezencją...

Moje relacje z Morag stały się napięte do granic wytrzymałości. Prawie że się do siebie nie odzywamy. Wczoraj pochyliła się nad stołem i zwymiotowała częściowo przeżutą kiełbasę, która, jak potem orzekła, była mocno zjełcząta. Postanowiłam, że odtąd jadać

będziemy osobno, bo na ten odrażający widok mato co sama nie zwróciłam spożytych potraw...

Teraz już na sam jej widok przewraca mi się w żołądku. Pewna jestem, że szpetota mojej służącej jest przez nią zupełnie niezawiniona, ale pragnęłabym, żeby Morag po prostu znikła, tak bym już nigdy nie musiała kierować na nią swojego spojrzenia. To doprawdy istotka dość żałosna. Będę rada, gdy stąd odejdzie.

W tym miejscu odłożyłam książkę, podeszłam do okna i wyjrzałam na zewnątrz. A tam nic, tylko wieczorne niebo, kilka niebieskawych chmurerek sunących przed obliczem księżycy.

Straszne rzeczy pisała milady o tej dziewczynie. Zaczęłam mieć złe przeczucia. Czułam, że nie powinnam już dłużej czytać tej książki, tych *Obserwacji*, bo może dowiem się z niej czegoś, co nie będzie dla mnie przyjemne. Myślę, że powiedziałam to sobie na głos: „Nie czytaj dalej, moja droga, nie czytaj”. Podeszłam nawet do biurka i zamknęłam paniną księgę i już miałam ją schować z powrotem do szuflady, gdy pomyślałam: a niech to wszyscy diabli, może już nigdy nie będziesz miała okazji przeczytać wpisu o sobie.

Tak więc ponownie otwierałam *Obserwacje* i przewracałam kartki drżącymi palcami, aż w końcu dotarłam do nagłówka *Bessy*.

I wtedy pojęłam, że było gorzej niżem wcześniej spodziewała się w głębi ducha. Pod moim imieniem, innym atramentem niż samo imię, dopisano: *Szczególny przypadek pospolitej prostytutki*.

W tej chwili muszę jednak przerwać, bo piszę już dzisiaj od paru godzin, ręka mi zaraz odpadnie, no i za moment będą dzwonić na kolację.

Część druga

Szczególny przypadek

Uwaga wstępna. Pragnę, by pamiętano, że poniższe ustępy nakreślonych przez Arabellę Obserwacji przepisuję tu wyłącznie do użytku dżentelmenów, którzy prosili mnie o tę relację, i że owe ustępy nie mogą być przez nikogo i w żadnej postaci kopiowane bez uprzedniego pozwolenia z mojej strony.

Przepisuję jedynie to, co uznaję za ważne, i pomijam fragmenty mające mniejszy związek z przytaczaną tu historią, na przykład dane na temat moich rozmiarów czy szczegółowe opisy eksperymentów, w których odnotowano, ile razy siadłam i wstałam, jak reagowałam na humory mej pani oraz jej osobliwe prośby etc. Proszę jeszcze czytelników o jedno: wyobraźcie sobie, Panowie, jakie bolesne ciarki chodziły mi po plecach, gdy stojąc w sypialni milady czytałam wszystko, co o mnie napisała.

Wyjątki z Obserwacji, spisanych przez Arabellę R.

Bessy

(Szczególny przypadek pospolitej prostytutki)

Służąca ta pojawiła się u nas przypadkiem, po niespodziewanym zniknięciu jej poprzedniczki. Zatrudniając tu Bessy, miałam świadomość, że nie posiada ona nazbyt wielkiego doświadczenia w pracy, do której się najmuje. Moim zamiarem było „doszkolić” ją w tym zakresie. Nie domyślałam się nawet, jakie mroczne sekrety pozostawiła za sobą w Glasgow.

TYTUŁEM WSTĘPU

*Wiek: między 14 a 16 lat (choć utrzymuje, że ma 18!). Wzrost poniżej przeciętnej. Włosy brązowe, nieco rozczochrane. Twarz raczej szeroka, nos krótki i zdumiewająco niebieskie oczy, czasem trochę rozbiegane i unikające wzroku innych. Niekiedy spojrzenie jej robi się otępiate, jakby ją czymś ogłuszono - chociaż to pewnie skłonność do marzycielstwa. Największą sympatię budzą jej usta, które można by prawie uznać za ładne, mimo że Bessy nierzadko odyma wargi i ssie palec, co nadaje jej twarzy mało przyjemny wyraz, typowy dla istot rozpustnych. Chodząc po domu i **obejściu**, Bessy śpiewa piosenki przez siebie samą najpewniej układane, obawiam się wszakże, iż pod tą zewnętrznie „pogodną” naturą kryje się nie za dobry charakter. Jest w niej coś, trudno mi to dokładnie określić „jałowego”, jakby brakło jej którejś z podstawowych cech ludzkich - może emocji?*

Twierdzi, że ostatnio zajmowała posadę gospodyni, lecz jeśli zważyć na jej wygląd i wiek, wydaje się to mało prawdopodobne. Z początku żywiłam przypuszczenie, że Bessy zbiegła z jakiegoś cyrku lub teatrzyku objazdowego, ponieważ zjawiła się tutaj (po drodze do Edynburga) w rażąco jaskrawym przyodziewku z satyny, zdobnym w liczne koronki i kokardki. Później jednak doszłam do przekonania, że nie jest ona akrobatką czy komediantką, tylko ma raczej niewielkie rozeznanie w kwestiach stroju. Obserwowałam ją przez cały poprzedni tydzień i teraz już jestem bez mała pewna, że to jedynie prosta robotnica z fabryki, a taka krzykliwa sukienka uchodzi w jej środowisku za ubiór „odsświętny”.

Wątpię, czy kiedykolwiek była na służbie, jako że z trudem przychodzi jej wykonanie choćby najprostszych prac domowych. By podać przykład, gdy wczoraj zastałam ją w salonie, szorowała właśnie jasnożółty dywan fragmentem zmiętej gazety - wcierając we włókna farbę drukarską, tworzyła na nich ciemnoszare plamy! Poproszona o wyjaśnienie, odrzekła, że czyszcząc kominek, niechcący wymiotła na dywan kilka kawałków węgla i teraz

próbuję „powysprzątać”. Innymi słowy, prócz farby drukarskiej wcierała też w dywan kawałki węgla!

Takież to niewdzięczny surowiec dostałam do obrobienia: dziewczę nad wyraz pospolite, bez doświadczenia w służbie, z niedostatkiem zdrowego rozsądku. Nawet Morag, przy wszystkich jej wadach, umiała zająć się domem. Czyż jednak (słyszę, jak czytelnik mój pyta) ową nową służącą uda mi się w ogóle okiełznać? Czy w obliczu takiego wyzwania nie oprzytomnieję nareszcie, nie przyznam się do porażki? Rozważyłam już te pytania i przedkładam swoją odpowiedź: moją intencją jest oswoić to dziewczę w okresie nie dłuższym niż trzy miesiące, tak by mogła objąć posadę służącej właściwie w każdym domu.

Wysłałam list pod podany przez nią adres - gdzie, jak twierdzi, uprzednio pracowała. Przedstawiłam sytuację i poprosiłam odbiorcę, kimkolwiek jest, o podzielenie się wiedzą na temat Bessy. Rzecz oczywista, adres ten może okazać się zmyślony, a jeśli tak jest w istocie, odpowiedź żadna do mnie nie dotrze.

ETAP PIERWSZY: DEZORIENTACJA

Eksperymenty z nową służącą rozpoczęłam już w nocy po jej przybyciu. Poszłam otóż do jej pokoju, kiedy zasnęła. Powietrze było tam zadziwiająco ciepłe, pachniało ziemią i snem. Czułam wcześniej coś podobnego w pokojach innych służących. Jest to ich zapach własny, wydzielany podczas snu i jakże odmienny od woni otaczającej osoby szlachetnie urodzone. Zauważyłam, że tym razem w owym zapachu unosi się również swoista słodycz, kojarząca się z aromatem fiołków. (Nie jestem pewna, co to oznacza, jeśli oznacza to cokolwiek. Czy fakt ten wskazuje na słodycz charakteru? A może moja interpretacja jest tak oczywista, że aż zwodnicza?).

W blasku świecy widziałam, że Bessy mocno już śpi, oddychając głęboko. Ciemne jej włosy spoczywały na całej długości poduszki. Podeszłam bliżej, aby uważniej się jej przyjrzeć. Na jej twarzy malował się taki spokój, że o mało nie poniechałam swego zamiaru. Po chwili jednak oprzytomniałam i postanowiłam przeprowadzić

eksperyment. Byłam ciekawa, w jaki sposób, zbudzona nagle w środku nocy, zareaguje na szereg zaplanowanych przeze mnie „humorów”: „złość” („surowa pani”), „rezerwa” („pani dobra, choć trzymaj na dystans”) i w końcu „wrozumiałość” („pani rozumiejąca i dobrotliwa”). W ten sposób, jak zamierzam dowiedzieć, przedmiot badań przygotowuje się do nowych wyzwań i zaskakujących poleceń.

Symulując gniew, obudziłam ją gwałtownie i kazałam zejść na dół. Kiedy pojawiła się w kuchni, sprawiała wrażenie bardzo skruszonej. Na podstawie trwożliwych spojrzeń kierowanych w stronę bochenków na stole wywnioskowałam, że zdaniem Bessy gniewam się na nią, dlatego że uraczyła się więcej niż jedną kromką chleba, co zresztą już wcześniej zauważyłam, czego wszelako nie skomentowałam ani słowem. Chcąc jak najprędzej przystąpić do testowania humorów, uspokoiłam ją szybko i wydałam pierwsze polecenie tonem możliwie neutralnym.

W tym momencie wydarzyła się rzecz znamienna. Od samego początku w zachowaniu tego dziewczęcia dawało się odczuć niedostatek szacunku, jaki służąca winna okazywać swej pani. Nawet słowo „milady” (którym z lubością mnie tytułuje) brzmi w jej ustach bardziej jak obelga niżeli formułka grzecznościowa, muszę więc ustawicznie jej przypominać, by używała zwrotu „proszę pani”. O dygnięciach i innych oznakach szacunku mogłam jak dotąd tylko marzyć. Nie jest to, jak miemam, zjawisko niewytłumaczalne. W fabryce rzadko, jeśli w ogóle, można napotkać ludzi o rudymenarnym choćby zasobie dobrych manier. Teraz jednak - Bessy dygnęła! Uszczęśliwiła mnie tym tak bardzo, że z niejakim wysiłkiem musiałam wymusić na sobie kolejny z zaplanowanych humorów: bezgraniczną wrozumiałość. Jak można było przewidzieć, zachowanie tego rodzaju u osoby wyżej od niej postawionej wprowadziło ją w dezorientację. Nie ukrywała swego niepokoju i z wyczuwalną ulgą przyjęła moją zapowiedź udania się na spoczynek.

Owa dezorientacja dobyteła z niej jakąś (przyznam, głęboko ukrytą) skłonność do posłuszeństwa, zastanowiło mnie wszakże,

czy stało się tak za sprawą wyrwania jej ze snu, czy może skutek odniósł jeden z obranych przeze mnie humorów, a jeśli tak, to który: gniew czy obojętność. Kusiło mnie, by obudzić ją po raz wtóry i ponowić eksperymenty, lecz z wielkim trudem udało mi się przed tym powstrzymać.

Jest mi wiadomo o wybitnych i wielce uczonych dżentelmenach, którzy całymi nocami mieszają w retortach substancje chemiczne i zapisują wyniki swoich eksperymentów. Nie przystoi mi, rzecz oczywista, porównywać się do uczonych z prawdziwego zdarzenia, moja bowiem działalność ma charakter stricte amatorski. Mimo to ja również poświęcałam część moich nocy na kultywowanie swego „konika”. Niezależnie jednak od palącej chęci kontynuowania eksperymentów, nie mogłam pozwolić, by przedmiot badań cierpiał nadmiernie na niedostatek snu. Przecież Bessy to nie fiolka laboratoryjna, zawierająca kwas siarkowy, którą można ująć w dłoń, obejrzyć i wstrząsnąć o każdej porze dnia i nocy. Kwas siarkowy nie musi spać i nigdy nie złoży wypowiedzenia, do tego zaś każda służąca jest zdolna.

SUKNIA ZDOBI SŁUŻĄCA

W dalszym ciągu wyznaję pogląd, że służąca nie będzie należycie posłuszna, jeśli nie zapewnimy jej stosownego odzienia. Żadna z sukienek, które Bessy przyniosła ze sobą, nie nadawała się dla służącej. Niewykluczone, że takie stroje to rzecz zwyczajna pośród robotnic fabrycznych w Glasgow, lecz tutaj, na szkockiej prowincji, lud nosi się prościej. Na widok satynety i szkarłatnego jedwabiu uniosłaby się tu w zdziwieniu niejedna brew (potwierdza to negatywna reakcja naszych dojarek, gdy po raz pierwszy ujrzały Bessy).

Służąca musi nie tylko czuć się jak służąca, lecz winna również wyglądać na takową w oczach wszystkich, z którymi ma styczność, tak aby mogli oni odnosić się do niej w sposób licujący z jej funkcją. Dzięki temu da się uniknąć niezręczności czy gaf. Słyszałam onegdaj o pokojówce, która w najokazalszym swym stroju, w dzień

wolny od służby, przeszła przypadkiem przez salon, gdzie zagadnął ją pewien dżentelmen, uznawszy, że ona również jest tam gościem. Dziewczynie owej zbywało na doświadczeniu (albo też była kuta na cztery nogi, jak powiedzieliby co bardziej cyniczni spośród nas) i jeła z nim konwersować jak równy z równym. Wydawało się już, że lada chwila wykwitnie z tego mały romansik, gdy - w samą porę - na scenę wkroczyła pani domu. Nietrudno wystawić sobie jej konsternację. Nie wiem, jaki los spotkał rzeczoną pokojówkę, kara była bez wątpienia surowa. Nie zamierzam bynajmniej postulować, aby służący nosili uniformy, bo - jeśli pominąć najlepsze domy - strój taki prezentuje się wulgarnie i świadczy o nie w pełni zaspokojonych ambicjach. Jeśli jednak chcemy uniknąć sytuacji kłopotliwych, służąca winna być zawsze ubrana prosto i skromnie, odpowiednio do swego stanowiska.

W tym właśnie celu wysłałam wczoraj Bessy na sprawunki, by móc przejrzeć zawartość swej szafy i wyszukać dla niej jakąś sukienkę wśród moich starych codziennych ubrań. Nie znalazłam nic stosownego, lecz potem przypomniałam sobie, że na strychu leżą rzeczy należące kiedyś do Nory, tej znakomitej i oddanej mi wielce służącej, której śmierć opisałam już na tych stronicach. Stwierdziłam, że postąpię nader praktycznie, czyniąc pożytek z dobytku zmarłej. Rzeczy jej bowiem marnują się, złożone w kufrze, a wydaje się mało prawdopodobne, że ktoś się jeszcze po nie zgłosi. Im więcej o tym myślałam, tym bardziej ganiłam się za ten akt marnotrawstwa - pozwolić, by ubrania, niszczały na strychu, gdy pod tym samym dachem mieszka dziewczyna, której mogą się one przydać!

Ubrania Nory wymagały odprasowania, co zajęło mi krótką chwilę. Tuż potem wróciła Bessy (poczułam ulgę, bo bałam się już, czy urok otwartej przestrzeni, wrodzony instynkt cygański i moje pieniądze w kieszeni nie okażą się nazbyt kuszące, słowem, czy Bessy nie zemknie do Edynburga). Chciałam czym prędzej sprawdzić, jak będzie wyglądać w sukienkach Nory - to znaczy, czy będą na nią pasować i czy nadadzą jej prezencję służącej - więc

szybko kazałam jej je przymierzyć. Są odrobinę za ciasne tu i ówdzie, lecz mimo wszystko pasują. Zmiana w wyglądzie mojej nowej służącej okazała się nad wyraz korzystna. Rzecz oczywista, nie chciałam, by potem smętnie dumiała nad pochodzeniem owych sukien. Dziewczeta tego rodzaju, szczególnie katoliczki, pozostają w niewoli licznych przesądów, wyjaśniłam jej więc przekonująco, jak znalazłam się w posiadaniu sprezentowanych jej ubrań.

Po południu odwiedził mnie pewien dżentelmen. Bessy podawała nam herbatę. Chociaż sukienka Nory i nieustanne uwagi „doksztalające” czyniły z niej stopniowo coraz lepszą **służącą**, to w trakcie wizyty gościa niektóre aspekty jej zachowania odebrały mi nieco wiary w sukces. Najwyraźniej nie polubiła mojego gościa (rzecz ewidentna, gdy się na nich patrzyło), a w całym jej obejściu brakowało odpowiedniej dozy grzeczności. Służącej nie wolno nigdy zdradzać się z własnymi odczuciami, niezależnie od ich natężenia i od nienawiści czy wręcz pogardy, jaką darzy daną osobę. Niestety nie zawsze możemy swobodnie dobierać gości, nie zawsze zabawiamy rozmową i raczymy poczęstunkiem tych, którzy mile są przez nas widziani. Mimo to zawsze winniśmy być uprzejmi.

Po wyjściu gościa przytapałam Bessy na tańczeniu. Kiedy podrygiwała w holu, ujrzałam ją od innej, bardziej „osobistej” strony. Przez moment prawie że czułam zazdrość - w końcu Bessy nie musi wiedzieć, co to odpowiedzialność i troska o innych, ma tylko najprostsze obowiązki do spełnienia. Nie musi obcować ze wstrętnym jej towarzystwem, a jej umysł nigdy nie jest przeciążony setkami obaw i zgryzot, pod którymi ugina się każdy człowiek wyżej od niej postawiony. Nie wyobrażam sobie, rzecz oczywista, że mogłabym zamienić się z nią miejscami - bynajmniej tego nie pragnę! Niemniej jednak w tej jednej chwili ujrzałam ją w innym świetle.

Ogarnął mnie wtedy również żal po kochanej Norze. Gdybyż to ona tańczyła teraz w holu, a nie ta nowa służąca! Nie wspominałam o tym jak dotąd, bo sprawa to mało istotna, lecz między Bessy i Norą występuje niewielkie podobieństwo. Bessy jest

trochę bardziej przy kości, jest przy tym młodsza i gdy dokładniej się jej przypatrzeć, widać, że nie jest kochaną Norą (która urzekająco tytułowała mnie „prósz pani”). Wszelako Bessy również pochodzi z Irlandii, jest podobnego wzrostu, a i włosy ma podobnej barwy co Nora (która jednak, rzecz naturalna, zawsze starannie je myła i czesała). Nawet kształt twarzy i długość nosa są u nich podobne. Przyznać tutaj należy, że każdy uznałby Norę za urodziwą, podczas gdy Bessy jest może nie tyle ładna, ile - powiedzmy - zmysłowa. Mimo to podobieństwo uwydatniło się w moich oczach, gdy Bessy zaczęła pokazywać się w sukienkach Nory. Wspominam o tym na marginesie, albowiem rzecz jest zupełnie bez znaczenia. Wszystek żal tego świata nie przywróci mi Nory, której przynigdy nikt nie zastąpi, ponieważ była to pod wieloma względami służąca wręcz idealna.

TESTOWANIE POSŁUSZEŃSTWA, „CEL I SENS”

Dowiodłam tu już przydatności testu „wstań-usiądź” w ustalaniu poziomu posłuszeństwa typowego dla danej służącej (jest to bezpieczniejsza i łatwiejsza w realizacji wersja eksperymentu z marszem). Ukazałam w sposób dobitny, że test „wstań-usiądź” mówi nam, jak głęboko w badanej osobie zakorzeniony jest przyrodzony jej instynkt posłuszeństwa. Czytelnik mógł jednak nie domyślić się jeszcze, iż test ów pomaga też później ustalić szybkość postępów, jakie czyni badany na drodze ku pełnej subordynacji. Liczyłam, że uda mi się zilustrować tę metodę na przykładzie Morag, mojej poprzedniej służącej, lecz jej odmowa współpracy w każdym zakresie, jaki wykraczał poza „normalne” jej zdaniem obowiązki służącej, doprowadzała do licznych między nami konfliktów. Morag kategorycznie sprzeciwiała się udziałowi w teście „wstań-usiądź”, niezmiennie głucha na moje perswazje. Przyznać muszę, że czułam się bezradna. W końcu (nie bez obaw) zamknęłam ją pewnego poranka w spiżarni, umieściwszy tam zawczasu trochę jedzenia, dzbanek z wodą, naczynie nocne, poduszkę do siedzenia oraz kilka ciekawych dla Morag lektur. Oświadczyłam jej (przez drzwi), że wyjdzie dopiero wtedy, gdy zgodzi się poddać mojemu testowi.

Spędziła w spiżarni cztery i pół godziny (tyle, jak miemam, zajęło jej przeczytanie „Couranta” połączone z krótką drzemką), po czym uświadomiła sobie najpewniej, że góruję nad nią siłą woli, i zgodziła się na udział w teście, jeżeli tylko ją oswobodzę. Kiedyś to uczyniła, Morag nie odzywała się ani słowem i spoglądała na mnie ponuro, lecz po raz pierwszy wykonała test „wstań-usiądź”, dochodząc do ledwie sześciu powtórzeń. Powinnowałam jej wszakże tego wyniku, dałam szylinga i wolne na pozostałą część dnia. Aliści jak się miało okazać, ustępstwo Morag było pozorne i służyło wyłącznie odzyskaniu wolności, ponieważ - w ciągu godziny - dziewczę to opuściło mój dom. Pominę tutaj milczeniem styl, w jakim się ze mną rozstała. Dość powiedzieć, że okazała mi niedwuznacznie swą do mnie niechęć tudzież brak intencji powrotu. (Szczęściem jeszcze tego samego dnia pojawiła się u nas Bessy).

Bessy, co oczywiste, nie ma w sobie wrodzonego instynktu posłuszeństwa, jakim dysponowała kochana Nora, lecz jest przy tym bardziej uległa niż Morag. Nie oznacza to wszelako, że pierwsze podejścia do testu „wstań-usiądź” nie sprawiły mi małego zawodu. Trzeba, rzecz prosta, pamiętać, że Bessy nie pracowała wcześniej w tym charakterze i nie wykształciła w sobie nawyku spełniania wszelkich poleceń swojego pryncypała, bezwyjątkowo i bezrefleksyjnie. W przeciwieństwie do osób częściej w świecie bywały, nie wiem niestety, na czym polega tryb pracy w fabryce. Domyślam się jedynie, że kiedy robotnik opanował już wyznaczone mu zadanie - tutaj pociągnąć za jakąś dźwignię, tam przekręcić jakieś kółeczko - wykonuje już swoją pracę bez nadzoru. Jeżeli zaś jest to (jak mam mocne podstawy sądzić) naturalne środowisko mojej nowej służącej, to nic dziwnego, że źle znosi nieustanne wykonywanie poleceń.

Gdy zapytałam ją później, dlaczego od pewnego momentu zawsze odmawia dalszego udziału w moim eksperymencie, odpowiedziała, że nie rozumie, „o co się w tym rozchodzi”. Przykładnie posłuszna duszyczka nie pytałaby o sens poleceń, tylko ślepo by je wykonywała, bez zbędnych myśli i pytań. Zachowanie tego rodzaju,

zarówno jak kilka innych cech Bessy, wzmogły jedynie moje podejrzenia, iż nie posiada ona wrodzonego instynktu posłuszeństwa.

Chcąc zyskać głębszą wiedzę na temat mojej nowej służącej, spytałam ją o poprzedniego chlebodawcę. „Pan Levy”, jak go nazywa, to niewątpliwie wytwór wyobraźni, potrzebny jej po to, by uwiarygodnić twierdzenie, iż pracowała wcześniej w charakterze gospodyni. Wymysł ten wszakże niejako zawładnął jej umysłem, jak gdyby sama uwierzyła swoim słowom. Bessy tym „panem Levym” nieustannie się zachwyca, pomyśleć by można, że to jaki święty. Czuję do niego silną antypatię - choć zdaję sobie zarazem sprawę, że przedmiot mojej niechęci to twór całkowicie fikcyjny! (Nie muszę dodawać, że wystawszy list pod podany przez nią adres, nie doczekałam się odpowiedzi).

Udając, że daję wiarę jej zmyśleniom, spytałam ją raz: czy zawsze wiedziała, o co „rozhodzi się” panu Levy’emu, gdy wydawał jej polecenia. Zadumała się na chwilę, po czym odparła, że bez pytania rozumiała cel i sens większości jego poleceń, chociaż niektóre z nich były nieco kłopotliwe. Ponieważ nie umiała (lub nie chciała) wyłuszczyć mi, czego te polecenia się tyczyły, zarzuciłam dalszą dyskusję na ten temat. (Pan Levy, ów wzór cnót wszelakich, nie miał widocznie zastrzeżeń do wycierania gazetą ubrudzonego węglem dywanu).

A niech ją diabli, pomyślałam. Pana Levyego nazywa wytworem! Wychodziło więc na to, że nie dostała odpowiedzi na swój list, toteż poczułam słabą nadzieję. Ale ten „szczególny przypadek” w nagłówku dalej mnie trapił. Wróciłam do lektury.

FAZA SPOUFALANIA

Obok czynnika dezorientacji zastosowałam też procedurę stopniowego „spoufalania”, polegającą na zacieśnianiu relacji i budowaniu wzajemnego zaufania między służącą a jej panią. Aby spędzać z Bessy więcej czasu, gdy wszystkie nasze dzienne prace zostały już wykonane, zaczęłam uczyć ją interpunkcji. (Być

może Nora miała uboższe słownictwo, ale z pewnością wiedziała, gdzie stawia się kropkę!). Wieczorne lekcje pozwalają nam siedzieć przy sobie ramię w ramię, w nader intymnej atmosferze. Sądzę, że już na tym etapie Bessy roi sobie niekiedy, że zostaniemy przyjaciółkami, miast być jak dotąd służącą i jej panią. O ile nie otrzyma innych instrukcji, zawsze i przy każdej sposobności szuka mojego towarzystwa, na przykład odprowadza mnie do kościoła i wraca ze mną do domu. Kiedy zamykam się w swojej sypialni, już kilka chwil później Bessy puka do drzwi, aby zamienić ze mną choćby słowo pod takim czy innym pretekstem. Z lubością wyciąga ze mnie informacje o mnie samej i moim mężu, często zadaje też pytania cokolwiek „nie na miejscu”. Nie upominam jej jednak, a wręcz (bardzo subtelnie) do tego zachęcam, pragnąc zdobyć jej zaufanie. Co pewien czas mówię jej coś o sobie, zdradzam po kilka szczegółów z mojego życia, lekko je ubarwiając. Już uspokajam: nie ujawniam spraw nazbyt intymnych czy osobistych, mówię wszelako dość dużo, aby obudzić w Bessy poczucie, że stała się moją powiernicą. Sądzę, że w pewnym sensie ją usidliłam. (Przy okazji nadmienię jeszcze, że Bessy osiąga już wynik czterdziestu powtórzeń w teście „wstań-usiądź”, i to bez pytań czy narzekania. Na tym atoli poziomie utknęłyśmy niestety - gdyby dobiła do pięćdziesiątki, poczułabym, że naprawdę posuwamy się do przodu).

Rozbolał mnie brzuch i cała zlałam się potem. Nic to jednak nie było w porównaniu z szokiem, jakim był dla mnie wpis następny, ten to dopiero przejął mnie grozą.

INTRYGUJĄCY LIST OD PEWNEGO ŻYDOWSKIEGO DŻENTELMENA
Dziś rano otrzymałam zaskakujący list od niejakiego Samuela Levy'ego z Candleriggs w Glasgow. Jest on, jak twierdzi, bratem „pana Benjamin Levy'ego” z Crown House, dżentelmena (w istocie niedawno zmarłego), który wedle słów Bessy był jej poprzednim pracodawcą. Pan Samuel Levy pisze, że znalazł mój list w Crown House, gdy udał się tam, aby doglądać porządków czynionych

w tym domu, opustoszałym i zamkniętym przez kilka minionych tygodni, czyli od dnia pogrzebu brata.

Według Samuela Levy'ego w domu tym rzeczywiście mieszkała przez kilka miesięcy pewna bardzo młoda Irlandka, nie nazywała się wszakże Bessy Buckley. Czy raczyłabym zatem opisać mi w kilku słowach swoją nową służącą, tak by można było ustalić, czy mówimy o tej samej osobie?

Byłam, przyznaję, mocno zaintrygowana, tedy szybko przesłałam swoją odpowiedź odwrotną pocztą. Podejrzewam, że mój opis nie będzie pasował do eks-służącej zmarłego pana Levy'ego. Bessy, jak miemam, ogarnięta paniką, podała mi adres jednej ze swoich znajomych, zapewne jakowejś pokojówki spotkanej na przykład w parku. Być może nawet odwiedziła raz ową znajomą i zobaczyła jej pana (i stąd wzięła podstawę do serwowanych mi bajeczek na temat słynnego „pana Levy'ego”). Owa znajoma pokojówka mogła też później wspomnieć o śmierci swego chlebodawcy, co tym bardziej zgadzałoby się z wymyśloną na mój użytek historią.

Nie wiem jeszcze, czy oskarżę Bessy o świadome mówienie nieprawdy i jakie kroki wtedy podejmę. Tak czy inaczej, do chwili kiedy odpowie mi pan Levy (brat), mam zamiar dalej prowadzić badania.

WSTRZAŚAJĄCE NOWINY NA TEMAT BESSY

Dziś rano dostarczono mi odpowiedź od pana Samuela Levy'ego. Zdumiałam się wielce, czytając, że mój opis Bessy idealnie pasuje do osóбки zatrudnionej niedawno w Crown House. Pan Levy utrzymuje, że o pomyłce nie może być mowy, mimo rozbieżności w nazwiskach. Twierdzi, że chociaż ową dziewczynę brat jego oficjalnie zatrudnił w charakterze gospodyni, to w rzeczywistości świadczyła mu ona USŁUGI NIEMORALNE, których natury określać nie trzeba, albowiem nawet kobieta tak mało w świecie bywała jak ja potrafi bez trudu wysnuć stosowne wnioski.

Dziewczę to, pisze Samuel, bynajmniej nie ma na imię Bessy, lecz DAISY (!). Nazwisko jej nie jest znane. Bracia Levy, jak się

okazuje, byli ze sobą zwaśnieni przez wiele lat, w zamierzczłych bowiem czasach doszło między nimi do sporu, w którego efekcie każdy z nich założył firmę kuśnierską, konkurencyjną względem firmy brata. Chociaż Benjamin wycofał się później z biznesu, konflikt trwał aż do jego śmierci (zmarł w wieku 62 lat). Potem Samuel dowiedział się, jak miały się sprawy w domu Benjamina, nakazał, by dom ten zamknięto, a dziewczynę - oddalono.

Czy mógł się pomylić? Przecież ona jest taka młoda! Aż trudno uwierzyć, że mogła wieść życie tego rodzaju. A jednak! Samuel pisze o jaskrawej sukience i o nawyku ssania palca, jak również o jej pożegnalnych słowach, kiedy wyrzucił ją na ulicę, że niby ma wszystko „w czterech literach”, bo załatwiła już sobie posadę w zamku edynburskim (to jest typowy styl Bessy!).

Mimo to skłaniam się ku przekonaniu, że mój korespondent dał posłuch złośliwym pogłoskom, rozpuszczanym przez jakąś niechętnie usposobioną do Bessy rywalkę. Rzeczy takie często, jak mniemam, zdarzają się w miastach, gdzie służący mieszkają blisko siebie i gdzie tworzą się między nimi przeróżne alianse i antagonizmy. Odwrotną pocztą przesłałam Samuelowi Levy'emu kilka pytań, prosząc o szybką odpowiedź.

Tymczasem wolałam powstrzymać się od wyciągania pochopnych wniosków. Przyznaję, że zapoznawszy się z listem Levy'ego, czułam lekki niepokój, czy aby nie udzieliłam schronienia osobie moralnie zwyrodniałej. Potem przeraziłam się nagle, że Bessy może knuje coś niecnego, i czym prędzej zbiegłam na dół. Zza zamkniętych drzwi kuchni dobiegało miarowe szuranie i równie miarowe, ciężkie dyszenie. Zwątpiwszy już mocno w prawdomość Bessy, przygotowałam się na gorszącą scenę nieokiełznanej rozpusty. Gdy jednak wtargnęłam do kuchni, stwierdziłam, że Bessy robi rzecz najzupełniej niewinną i pożyteczną, mianowicie - szoruje stół. Śmiem zatem twierdzić, że trzeba wystrzegać się pośpiesznych sądów, nawet w kontaktach z istotami nisko postawionymi.

SŁUŻĄCA Z MROCZNĄ PRZESZŁOŚCIĄ

Jak sądzę, nie popadnę teraz w sprzeczność, twierdząc, że zbyt mało wiemy o naszych służących. Cała nasza wiedza sprowadza się do jednej ledwie strony, skreślonej przez uprzedniego ich chlebodawcę, który mógł równie dobrze chcieć się ich pozbyć i sporządził w tym celu pochlebne referencje, miast podzielić się z nami smutną prawdą. Niekiedy zdarza się nawet, że nie posiadamy referencji na piśmie. Czemuż więc mielibyśmy się obwiniać, kiedy przeszłość naszego sługi odkryje przed nami jakąś mroczniejszą kartę? Żadna w tym nasza wina. Służących z najświetniejszą nawet opinią zatrudniamy w gruncie rzeczy jedynie na podstawie okazanego im zaufania. Skąd mamy wiedzieć, jak wyglądało ich życie, zanim trafili do nas? I czy to w ogóle winno nas interesować, jeżeli obowiązki swe spełniają przykładowie?

*Doświadczenie moje z kilku ostatnich dni każe mi odpowiedzieć twierdząco. Dostarczono mi oto kolejny list od pana Samuela Levy'ego, który zapewnia mnie, że nie istnieje choćby cień wątpliwości co do relacji łączącej jego brata z moją **obecną** służącą. Niejaką ulgę daje mi świadomość, że Crown House nie jest domem publicznym, tylko „szacownym” domem prywatnym, i że Benjamin Levy, najwyraźniej w Bessy zadurzony, obcował wyłącznie z nią, była więc jego jedyną konkubiną. Pocięcha z tego niewielka, ale przynajmniej mogę mieć pewność, że Bessy nie włóczyła się po ulicach jak zwierzę i że plugawił ją tylko jeden „satyr”. Samuel Levy utrzymuje, że nie wie, skąd ta dziewczyna pochodzi, przypuszczalnie sprzedała ją jego bratu jej starsza siostra, której za pośrednictwem prawnika wypłacał Benjamin co miesiąc pewną sumę pieniędzy (płatności te obecnie wstrzymano na polecenie Samuela).*

Zastanawia mnie, jak można sprzedać swą młodszą siostrę, oddać ją w nierząd. Aby uczynić coś takiego, trzeba być chyba potworem. Co prawda osierocone dzieci były zapewne w niełatwej sytuacji materialnej, ale istnieją wszak inne sposoby zarobkowania, nie wiążące się z deprawacją!

Trzeba też wszelako pamiętać, że Bessy - gdyby nie podobało się jej takie życie - mogła uciec od tego człowieka. Tak się jednak nie stało, bo żyła z nim prawie przez rok. Jeśli wierzyć Samuelowi Levy'emu, w relacjach służby z sąsiedztwa Bessy jawi się jako istota rzadko kiedy w pełni ubrana i spędzająca większość wolnego czasu na szeszlengu, przykryta kordonkowym kocykiem, z lizakiem w ustach i książką przed oczami.

Oczywiście, wiele cech Bessy - opisywanych już przeze mnie na tych kartach - odpowiada nowym informacjom na jej temat, na przykład swoista zmysłowość i niepokojące połączenie niewinności ze znajomością spraw tego świata. Właściwości te, jestem pewna, napotkać można u wielu dziewcząt tego rodzaju praktycznie na całym świecie. Łatwo teraz zrozumieć jej bezgraniczne uwielbienie dla „mojego pana Levy'ego”: w końcu była jego nałożnicą!

Co też, na miły Bóg, ma począć pan lub pani domu w obliczu tak ambarasującej sytuacji? Przyznać wypada, że po otrzymaniu ostatniego listu trochę podupałam na duchu i coraz mniej we mnie wiary, że uda się kiedyś odpowiednio to dziewczę ukształtować. Czy to możliwe, jeśli sprawy mają się, jak się mają? Mimo postępów w innych dziedzinach w teście „wstań-usiądź” tkwimy ciągle przy czterdziestu powtórzeniach i tracę już z wolna nadzieję, że szczebel ten przekroczy my.

Zauważyłam nawet, że w jej obecności czuję pewien niepokój, chociaż staram się tego nie okazywać. Wczoraj, kiedyśmy obie pracowały, musiałam stanąć przy niej i - zupełnie przypadkowo - otarłam się rękawem o jej rękaw. Trudno zaiste wyrazić szokujący efekt tak bliskiego kontaktu, jak gdyby na ramię wskoczyła mi iskra, która po chwili trafiła mnie w samo serce. Nie wiem doprawdy, jakim cudem udało mi się nie krzyknąć. Co prawda na moment straciłam oddech i przyłożyłam rękę do piersi, ale zdołałam wmówić Bessy, że są to jedynie łagodne sensacje żołądkowe. Moja służąca okazała zatroskanie i błagała mnie wręcz, żebym usiadła i odpoczęła, podczas gdy ona zaparzy dla mnie herbatę. Krzątając się przy imbryku, Bessy sprawiała wrażenie wielce radej, wręcz

szczęśliwej, że może się mną zająć czy zaopiekować. Mimo wszystko przyznać wypada, że sympatyczna z niej duszyczka. Wolałabym jednak, by nie spoufalala się tak bardzo. Nadmierna jej bliskość jest dla mnie irytująca, kiedy tak głaszcze mnie po plecach, a na kolanach kładzie pled.

Są na tym świecie ludzie - miłośnicy skandalu i im podobni - dla których bliskość osoby tego pokroju stanowi źródło niskich podniet, nie muszę wszelako zaznaczać, że ja się do grupy tej nie zaliczam. Prawdą jest, że interesował mnie onegdaj los osobników mniej szczerze obdarzonych przez fortunę (czego dowodzą moje młodzieńcze projekty związane z miejską biedotą), ale moja ciekawość nie wykraczała poza ramy ściśle naukowe i nie miała charakteru emocjonalnego.

SUKCES

Z ogromną radością odnotowuję niebywały wynik w teście „wstań-usiądź”: 55 powtórzeń dziś rano. W ostatnim okresie, jak świadczą o tym poprzednie stronicę, traciłam już wiarę w lepszy rezultat, mało tego, byłam bliska decyzji o zwolnieniu Bessy ze służby, pewna niemalże, iż moje wysiłki na nic się tutaj nie zdadzą. W chwili desperacji umówiłam się nawet sama ze sobą, że jeśli Bessy przekroczy próg 40 powtórzeń, to jej na razie nie odprawię; jeżeli zaś do tego nie dojdzie, dam jej wypowiedzenie.

Szczerze mówiąc, nie liczyłam na sukces, tedy w wielkim napięciu patrzyłam, jak Bessy waha się przez chwilkę, siadając czterdziesty raz, by potem unieść się z krzesła po raz czterdziesty pierwszy! Wstrzymałam oddech i wstrzymywałam go chyba przez 14 kolejnych powtórzeń, bo kiedy się w końcu zatrzymała i zapytała, czy może wrócić do pracy, ja niemalże padłam bez ducha na ziemię! Poproszona o wytłumaczenie przyczyn tego niebywałego rezultatu, Bessy odparła, że nie jest pewna, ale myślała, że będę „zadowolniona”. W istocie - „zadowolniła” mnie skutecznie!

Skoro mój eksperyment dał nagle tak zdumiewający rezultat, postanowiłam jej nie odprawiać. Biedaczcze należy się druga szansa

od życia! W przeciwnym razie znowu trafi w ręce jakiejś pijawki czy lubieżnika. Również zdrowy rozsądek podpowiada mi, że zmarnuję dużo czasu i energii, zwalniając służącą, która umie już z grubsza wykonywać swoje obowiązki. Bessy potrafi nadto zręcznie ukrywać przed wszystkimi szczegóły ze swojej przeszłości. Przekonałam się o tym, zadając jej szereg na pozór „niewinnych” pytań o pobyt w domu pana Levy’ego, ona zaś nie zdradziła się choćby rumieńcem. Posiada przy tym wybitnie rozwiniętą umiejętność omijania tematu, tak iż rozmówca po chwili sam zapomina, czego dotyczyło się jego pytanie. Oczywiście, moje badania ucierpiałyby nieco na jej odejściu, lecz jest to kwestia drugorzędna. Najważniejsze to pozwolić jej zacząć życie na nowo, sprowadzić na drogę przyzwoitości, wyszkolić na dobrą służącą. Wprawdzie Bessy nigdy nie dorówna kochanej Norze, lecz posłużę się jej przykładem, by dowieść, iż na porządną służącą można wyszkolić nawet najpospolitszą z prostytutek (stąd modyfikacja w tytule niniejszego rozdziału). Pozbyłam się już wszelkich skrupułów, zatrzymam ją tutaj. Jestem bardzo ciekawa, co uda mi się osiągnąć.

Moja decyzja wzburzyła zapewne i przerażyła niejednego czytelnika, który spodziewać się mógł, że bezzwłocznie odprawię tę dziewczynę, zapoznawszy się z jej mroczną przeszłością. Postawa tego rodzaju zasługuje na krótką analizę. Ja osobiście nie znajduję powodu do odrazy, można bowiem przymknąć oko na niegdysiejsze postęпки służącej, o ile dba się o zachowanie nieustannej czujności i nie czerpie się z tej sytuacji żadnych korzyści.

POTRZEBA DYSTANSU

Już od jakiegoś tygodnia dręczy mnie obawa, że moja służąca nazbyt się do mnie przywiązała, a jest to niestety obawa uzasadniona, szczególnie w kilku ostatnich dniach. Wczoraj, kiedyśmy razem porządkowały szafę, przygotowując się na powrót mojego męża, Bessy wyrzuciła z siebie słowa wykraczająca poza granice stosowności. Wyznała mi miłość i oświadczyła, że uczyni dla mnie wszystko, poświęci nawet swe życie, jeśli będę dzięki temu

szczęśliwa. Nie muszę mówić, że natychmiast zakończyłam to małe rendez-vous i że od tego czasu unikam jej towarzystwa.

Dzisiaj z kolei musiałam wystać ją po sprawunki do Snatter. Gdy tłumaczyłam jej, co ma kupić, zauważyłam, że pochyla się ku mnie i po prostu obwąchuje mnie w okolicach szyi. Sądzę, że nie uległam złudzeniu. Wpadłam w panikę. Wzdrygnęłam się i by jak najszybciej się od niej oddalić, mruknęłam coś pod nosem i uciekłam do swego pokoju. Kilka chwil później uświadomiłam sobie, że przez ten pośpieszny odwrót nie zdążyłam powiadomić Bessy o powrocie mojego małżonka. (Pierwotnie zamierzałam powiedzieć jej o tym, gdy już będzie wychodziła. Nie musiałabym jej wtedy zbyt wiele tłumaczyć i znosić fochów, które z pewnością nadejdą, gdy zrozumie, że nasza mała idylla niebawem dobiegnie końca).

Czytelnicy tych słów mieli prawo pomyśleć, że (być może) popełniłam błąd, zbyt wielką budząc w Bessy sympatię. Zarzut ten jednak uważam za nietrafiony. „Spoufalanie” to w pełni uprawiony sposób traktowania młodej służącej. Jeśli zaś ta ostatnia okazuje zbyt silne przywiązanie, nie jest to winą jej pani. Służąca powinna sama zdobyć się na konieczną w takich relacjach powściągliwość.

Doszłam do wniosku, że muszę rozluźnić więzy między nami. Rzecz jest prosta: zamierzam odtąd jej unikać, stworzyć między nami jak największy dystans. Muszę przy tym zachować ostrożność, tak by nie czuła się odrzucona. Mam świadomość, że gdyby poczuła się urażona, mogłaby mi co nieco utrudnić życie.

Tak brzmiał ostatni wpis w *Obserwacjach*. Dalej były już tylko czyste kartki, czekające na zaczerpnienie.

Muszę przyznać, że mimo wszystkich świadczących przeciw temu dowodów - i właściwie do ostatniej chwili - miałam jeszcze cień nadziei, że Arabella zmyśliła to wszystko. Że nie istniała żadna Nora i że milady wcale nie miała o mnie takiego zdania, jak to wynikało z tej wstrętnej książki. Albo że nie pisała o mnie, tylko o jakiejś innej Bessy.

W głębi ducha rzecz jasna znałam smutną prawdę. Przygnębiło mnie, że poznała pewne karty z mojej przeszłości, które, powiedzmy, wolałabym przed nią ukryć. Najgorsze były jej opinie na mój temat. A niech to diabli! Trudno wyrazić moją rozpacz, po prostu serce mi się rozpekło. Dla Arabelli byłam tylko przedmiotem, przedmiotem badań, którym można się bawić i rzucić w ką, kiedy przestaje być potrzebny.

Bodaj ją licho wzięło.

Zamknęłam księgę i odłożyłam ją do szuflady, dokładnie tam, gdzie ją znalazłam. Potem szufladę zamknęłam, a klucz schowałam z powrotem do kieszeni paninej sukni. Następnie zeszłam na dół do swojego pokoju, zwinęłam się w kłębek na łóżku i naciągnęłam koc na głowę. Chciałam umrzeć. Czułam się podle, jak ostatnia. Oczywiście, czas goi rany, ale ja byłam wciąż dzieckiem, łatwo było mnie skrzywdzić i nawet wszystkie koce tego wszawego świata nie skryłyby mnie przed wstydem i upokorzeniem.

Depresja

Chyba zawsze jest tak, że po doznanym szoku ciało ucieka w chorobę. Tak też stało się ze mną w Zamku Haivers. Jeszcze tego samego wieczora powalił mnie straszny ból i gorączka i przez kilka kolejnych dni leżałam w łóżku, a głowę podnosiłam tylko wtedy, kiedy musiałam zwomitować do miski. Była to sytuacja bardzo dla milady niedo- godna, oj bardzo. I nie chodziło o wyjazdy do Rygi, tylko o ciągłe leżenie w łóżku, zwłaszcza teraz, po powrocie małżonka. Ale ja krucafuks nic nie mogłam na to poradzić, gdybym nawet chciała pracować, po prostu nie byłam w stanie. Słowo daję pociłam się tak mocno, że aż włosy zaczęły mi się kręcić! Poza tym z gorączką pojawiły się niemożliwe koszmary. W jednym z takich upiornych snów byłam wiedźmą z małymi powykrecanymi palcami. Gdy się zbudziłam, wciąż jeszcze oszołomiona przez sen, gwałtownie zrzuciłam z siebie pościel, bo była biała, a ja pomyślałam, że będąc wiedźmą kocham wyłącznie rzeczy czarne. W innym koszmarze na udzie wyrósł mi czyrak, ścisnęłam go i z mego ciała jęła wypływać jakaś śmierdząca substancja, płynęła i płynęła, jakbym cała była nią wypełniona. W trzecim koszmarze zakradłam się do pokoju milady i znalazłam tam książkę, w której pisała, że nie chce się ze mną przyjaźnić, że mnie nawet nie lubi i że jestem przedmiotem jej eksperymentów. Wywiedziała się też sporo o mojej przeszłości i teraz wiem już na pewno, że nie dorównam jej idealnej kochanej Norze, oj nigdy, nigdy w życiu. Ależ nie, proszę wybaczyć, to nie był sen, lecz tylko prawdziwa postać rzeczy.

Milady przyszła do mnie nazajutrz rano, aby dowiedzieć się, czemu nie zesłałam na dół, do pracy. Wiedziałam, że stoi w drzwiach i pyta, co się stało, ale nie mogłam niczego z siebie wydusić, nie mogłam nawet na nią spojrzeć, odwróciłam się tylko twarzą do ściany i dalej leżałam cała w drgawkach. Później majaczyli mi przed oczami inni ludzie, wyłaniali się jak zjawy. Jedną z nich była dojarka Jessie, którą przysłała do mnie milady (Jessie dała do zrozumienia, że z własnej woli by tam nie przyszła). Dała mi wody i położyła wilgotny ręcznik na czole. Te dobre uczynki przestawały być takie dobre, gdy zobaczyło się nienawistny wyraz jej twarzy. Znowu usnęłam i spałam, aż nie zbudził mnie jakiś hałas, a kiedy otwierałam oczy, Jezusie Marysieński, pod moje łóżko zaglądał mężczyzna z haczykowatym nosem ubrany w ciemny garnitur. Człowiek ten potem chwycił mnie za nadgarstek i trzymał go przez chwilę, miłe to było, ale chyba się śpieszył, bo gapił się na zegarek, minęła minutka i poszedł sobie, nie spojrzawszy mi w oczy, nie odezwawszy się ani słowem. Zasnęłam, licząc, że nie był to jakiś pomyleniec, który zabłąkał się tutaj z gościńca. (Jak się miało okazać, był to wezwany przez milady lekarz, doktor McGregor-Robertson).

Przez kilka kolejnych dni milady odwiedzała mnie sama, przynosiła mi rosół, przycięła mi włosy, robiła mokre okłady na głowie, ale ja ani słowa, jak oniemiała. Trzymałam jadaczkę na kłódkę, nie otwierałam też oczu, nie miałam ochoty na nią patrzeć. Parę razy słyszałam, jak rozmawia z kimś na dziedzińcu, z Hectorem lub z jedną czy drugą Krasulanką. A w nocy skrzypiały schody, kiedy milady i jej małżonek wspinali się do swych osobnych pokoi. Jak tylko zdarzyło mi się pomyśleć o tej jej wrednej księżczyni, ból ścisnął mi serce, w głowie szumiało i dostawałam napadu duszności.

Trzeciego dnia po południu poczułam się ciut lepiej (choć teraz podejrzewam, że było to tylko delirium). Postanowiłam, że opuszczę Zamek Haivers, nie prosząc o należną mi pensję, po prostu pójdę w siną dal i niech milady radzi sobie beze mnie, niech ma za swoje. Zaczęłam nawet pakować manatki, ale przerwałam, bo ktoś był na schodach. Pomyślałam, że to ONA, więc szybko wetknęłam tobołek do komody i wskoczyłam z powrotem do łóżka. Ale to tylko Jessie

przyniosła jeszcze rosołu, bardzo przy tym nierada, albowiem kazano jej opróżnić mój nocnik. (Wiele tam tego nie było, dość jednak, by Jessie odegrała istny spektakl, wynosząc naczynie za drzwi w wyciągniętej przed siebie ręce). Następnie podparła się pod boki i popatrzyła na mnie.

- Jej wysokość zapytywuje, czy tobie jeszcze czego nie trzeba.

- Gdzie ona jest? - spytałam. - Co robi?

Jessie spojrzała na mnie ponuro. A potem, z wyniosłą pogardą, odparła:

- Jest na dole. Spódnice se podwinęła i wysiaduje na galarecce.

No, mnóstwo dziwacznych rzeczy zdarzyło się już w Zamku Haivers, lecz ani na chwilę nie uwierzyłam, że milady mogłaby robić coś takiego. To tylko Jessie dawała w ten sposób do zrozumienia, że nie szanuje za bardzo ani mnie, ani milady, i że tym samym nie ma zamiaru odpowiadać na moje głupie pytania.

Jessie oddaliła się swym rozkołysanym krokiem, a ja stwierdziłam, że nie mam już siły się pakować. Tobałek ponownie wylądował w komodzie, ja zaś w łóżku, znów ogarnięta dreszczami.

Ciągle wyobrażałam sobie, jak milady siada na galarecce. Tyle że w mych urojeniach nie czyniła tego umyślnie (jak sugerowała Jessie), tylko przypadkiem, niszcząc swą cudną białą suknię, plamiąc ją czerwoną galaretą, a temu wszystkiemu przyglądał się tłumek miejscowych notabli, ku jej wielkiemu strapieniu. Z przykrością wyznaję, że ta fantazja sprawiała mi przyjemność.

Nie zamierzam udawać, że przez cały ten okres nie rozmyślałam o swojej przeszłości. Od czasu przybycia do Zamku Haivers starałam się o niej zapomnieć, ale lektura tego, co milady pisała o mnie w *Obserwacjach*, ożywiła to wszystko i znowu opanowała mnie tęsknota za dawnymi czasami, za panem Levym. Nie mam najmniejszej ochoty o tym opowiadać, ale kiedyś w końcu trzeba, bo inaczej dalszy ciąg tej historii może wydać się bezsensowny.

No to lecimy.

Na litość boską, miejmy to wreszcie z głowy.

Mój pan Levy był człowiekiem skromnym i raczej nie pochwaliłby mnie za pisanie „pan Levy to”, „pan Levy tamto” w dokumencie przeznaczonym dla osób postronnych, lecz jeśli spogląda teraz na mnie skądkolwiek, jeśli czyta te słowa, to może w skrytości ducha się cieszy. O miesiącach, jakie spędziłam w Crown House w Hyndland, mogę z pewnością powiedzieć jedno: był to dla mnie okres spokoju i ulgi, mam nadzieję, że także dla biednego pana Levyego. Mówię biednego, ponieważ (nie obraziłby się, jak mniemam, za takie ujęcie sprawy) był już stary, a przed śmiercią cierpiał na okropne skurcze jelit, przez co prawie każdego dnia musiałam masować go po brzuchu, aż mi ręka odpadała od ciała, jemu to jednak pomagało. Drobiazg to był wszelako mało znaczący i robiąc to byłam szczęśliwa. Powiem więcej: w życiu nie byłam tak szczęśliwa, jak wtedy! Crown House liczył aż cztery piętra. Miałam w tej cudnej willi własny pokój, z białym marmurowym kominkiem, w którym codziennie się paliło, myłam się w ciepłej wodzie i wolno mi było brać ze spiżarni co mi się tylko zamarzyło nie pytając o pozwolenie: ciastka, kawałek kurczaka, wino, placki, pierniki, do wyboru, do koloru, w życiu nie widziałam spiżarni tak dobrze zaopatrzonej. Dostałam nawet zegarek, żebym zawsze wiedziała, która jest godzina. Pan Levy był samotnikiem, męczyło go liczne towarzystwo i wołał, by ludzie jak najmniej o nim wiedzieli. Posiadał wprawdzie duży majątek, lecz nie zatrudniał wielu służących, zwolnił już wtedy właściwie wszystkich oprócz jednego chłopaka imieniem Jim, który pracował u niego od kilku miesięcy, kiedy ja tam zawitałam.

Ten Jim był mniej więcej w moim wieku, miał ciemnorude włosy i czujne oczy pod jaśniejszymi brwiami. Szybko pojęłam, że nie pozwoli mi wtrącać się za bardzo w prowadzenie domu. Prawdę mówiąc, wzrok pana Levyego nie był już pierwszej jakości, przez co i panujące w jego domu standardy porządku i czystości nie należały do najwyższych. Jim potrafił docenić taki uśmiech losu. W Crown House żył sobie leniwie i spokojnie i bał się, że straci pracę, a jego miejsce

zajmę ja. Jednakże wraz z upływem czasu stało się jasne, że Jim jest w domu dalej potrzebny i nie dostanie wypowiedzenia, i wtedy żeśmy się nawet ze sobą zaprzyjaźnili. Jak zauważyłam pewnego popołudnia (graliśmy właśnie w kamienie pod murkiem za domem, typowa rozrywka, kiedy pan Levy ucinął sobie drzemkę), każdy miał w życiu swój cel i sens. Ja robiłam dla pana Levyego to, czego Jim zrobić nie mógł, Jim załatwiał dla nas sprawunki, no a pan Levy za wszystko płacił. Proste.

Pan Levy był troszkę jak milady, miał żyłkę oświatową i chciał mnie wuczyć abecadła. Codziennie odbywała się lekcja. Z początku uczył mnie alfabetu biorąc pierwsze litery wszystkich wulgarnych wyrazów, jakie wpadały mu do głowy, nauczył mnie nawet paru takich, których nigdy w życiu nie słyszałam. (Myślę, że kilka z nich po prostu sobie wymyślił, ale zawsze podkreślał, że są to prawdziwe bluzgi w takim czy innym języku). Następnie układaliśmy z liter całe wyrazy, a potem szło już bardzo szybko, pan Levy twierdził, że jestem bystra jak huragan. Niebawem znałam już długie i trudne słowa, takie jak „hipokryzja” czy „sentencjonalny” (ciekawe, właściwie nie wiem, co to ostatnie słowo znaczy, ale na pewno umiem je poprawnie zapisać).

Po lekcji szliśmy do gabinetu pana Levyego, żeby popatrzeć na jego wielką kolekcję skamielin, wieczorem zaś siadywaliśmy przy kominku i śpiewaliśmy rozmaite piosenki. Kiedyśmy czasem śpiewali cosik smutnego, mój pan Levy wzruszał się do łez. Myślę, że był bardzo samotny, tak mi się zdaje. Nigdy nie miał żony ni dzieci, nie miał żadnej rodziny, z tego co mi wtedy było wiadomo. Jedynym jego przyjacielem od serca byłam ja właśnie.

- Och, Noseczku - powiadał.

Nie wspomniałam jeszcze, że tak na mnie mówił. A kiedy sprawiałam mu przyjemność, musiałam dawać mu klapsy i powtarzać, że jest starym niedobrym osiołkiem. - Byłeś niegrzeczny, osiołku - mówiłam. - Ale Noseczek i tak cię kocha. - Nie czyniłam mu krzywdy, bo klapsy mocne nie były.

(Proszę wybaczyć, jeśli ujęłam rzecz zbyt bezpośrednio. Chciałam już mieć to z głowy).

Na czym stanęłam?

- Och, Noseczku - powiadał. - Co z nami będzie? - Potem musiałam obiecać, że nie będę zbyt często wychodzić z domu, a to przez wzgląd na plotkujących sąsiadów. Życzenie to spełniałam z największą przyjemnością. W ciągu ośmiu miesięcy oddaliłam się od Crown House zaledwie kilka razy, zawsze dyskretnie, zawsze tylnymi drzwiami. I nigdy się nie zbliżałam do Gallowgate, gdzie kiedyś mieszkała, najdalej zapuściłam się do modystki, panny Doigs na West George Street, sporządzono tam dla mnie nową sukienkę na koszt pana Levyego (tę satynową, z niebieskim kokardkami i koronką). Nikogo poza tym nie odwiedzałam, do mnie też nikt nie zachodził. Poza tym wychodząc, oczy miałam szeroko otwarte, lecz nigdy nie dostrzegłam żadnej znanej mi osoby.

A jednak. Wszystko dobre kiedyś się kończy.

Zastanawiam się, jak by to oględnie opisać, ale najlepiej chyba obyć się bez ceremonii. Mój pan Levy zmarł na nocniku. Myślę, że zabił go ten ostatni wysiłek, serce wysiadło od nazbyt silnego parcia. Wieczne odpoczywanie, wycisnął z siebie tylko twardziutką kuleczkę wielkości laskowego orzecha. Owego poranka, jak tylko weszłam do jego pokoju, najprzód ujrzałam nieboszczyka, a potem rzeczoną kuleczkę, co tkwiła na dnie nocnika. Wcześniej pukałam i pukałam, lecz nie doczekałam się odpowiedzi, więc weszłam. Biedaczek leżał na tureckim dywanie, nagusieńki i powykęcany, zwrócony do mnie kościstą pupą.

- Proszę pana, panie Levy - powiedziałam. Żadnej reakcji.

Podeszłam, żeby się przyjrzeć. Oczy miał otwarte, a jego twarz miała ten na wpół zdziwiony wyraz, jak gdyby właśnie sobie coś przypomniał. Nic ważnego, jak na przykład **BOŻE MIEJ MNIE W OPIECE! ZAPOMNIAŁEM OŻENIĆ SIĘ I MIEĆ DZIECI!**, już prędzej drobiazg w rodzaju „No! A więc tutaj schowałem tabakę”. Ciekawa jestem, jak brzmiała jego ostatnia myśl. Oby była przyjemna.

Przyłożyłam dłoń do ust zmarłego, żeby sprawdzić, czy oddycha, nie oddychał już jednak. Potem powiodłam dwoma palcami po jego twarzy. Był jeszcze ciepły. Próbowałam go zbudzić, licząc, że może jakoś ożyje, lecz na nic się to nie zdało. Później przytknęłam swą

bosą stopę do stopy mojego pana Levyego, ażeby stwierdzić różnicę w rozmiarach. Następnie uniosłam mu rękę i popatrzyłam na jego pachę. Włoski pod pachą nie posiwiały. Gdyby ktoś widział tylko pachę, wzięłby go może za znacznie młodszego. Położyłam się i wtuliłam twarz właśnie w to miejsce. Pachniał zupą, trochę też octem. Leżałam tak Bóg wie jak długo. Nie płakałam, lecz byłam jak otumaniona, bo miałam przeczucie, że kończy się już mój pobyt w Crown House w Hyndland. Potem wstałam i przykryłam go prześcieradłem. Nie chciałam, by oglądano go bez ubrania.

Zanim kazałam wezwać lekarza, postarałam się, by nie zaginęła spuścizna po panu Levym. W szufladzie znalazłam małą aksamitną sakiewkę i podeszłam z nią do nocnika. Ujęłam kuleczkę palcem wskazującym i kciukiem, i wrzuciłam ją do sakiewki. Tę ostatnią schowałam do kieszeni, a nocnik wsunęłam pod łóżko.

Nie wiem, czemu to uczyniłam, wolałam jednak, by nikt nie oglądał spuścizny po moim panu. Była to w końcu rzecz intymna, nie dla postronnych oczu.

Potem krzyknęłam na dół do Jima, żeby szybko sprowadził lekarza.

Byłam wtedy naiwna jak dziecko i wydawało mi się, że będę mogła zostać w Crown House. Okazało się jednak, że pan Levy miał jakąś rodzinę, a konkretnie brata mieszkającego w Candleriggs, tego, co potem pisał do milady. Brat ów, Samuel, nie potrzebował przyjaciółki od serca. Miał żonę, dzieci i własnych służących. Z moim panem Levym nie rozmawiał już wprawdzie od wielu lat, ale on właśnie odziedziczył cały jego majątek, jako że zmarły nie pozostawił testamentu. Do Crown House zawitał Samuel bladym świtem, dzień po pogrzebie, i długo potem rozmawiał z sąsiadami i ich służącymi. Jim ciągle podkreślał, że byłam tam gospodynią, lecz gdy ustalono, że nią w gruncie rzeczy nie byłam (pan Levy miał rację - sąsiedzi to plotkarze), i mnie, i Jima wyrzucono na bruk, bez grosza wypłaty, bez referencji. Biedny Jim musiał wrócić do matki w Govan, a ja, kiedyśmy się rozstali na Byres Road, chwyciłam swój tobołek (ten iście pieroński brat nie dał wiary, że nowy śliczny kuferek, prezent od pana Levyego, naprawdę do mnie należy) i poszłam do West End Park, gdzie sobie usiadłam

i wlepiłam wzrok w przestrzeń. Cały mój dobytek sprowadzał się do paru ubrań, zegarka, dwóch szylingów, które znalazłam w starym płaszczu pod schodami, sześciu fiołków i kuleczki z ludzkiego kału w aksamitnej sakiewce. Nie miałam jednak nic za złe panu Levyemu i dalej nie chowam do niego urazy. Wszak nie zawinił. Nie mógł wiedzieć, że umrze i pozostawi mnie bez grosza przy duszy.

Czas mijał i poczyynałam rozumieć, że pójść mogę tylko na Gallowgate. Wywlekłam się z parku i poczłapałam po Dumbarton Road i Argyle Street. Jeszcze nigdy w historii świata nikt nie pokonał kilku mil z równą niechęcią. Powłóczyłam nogami i tuż przed południem dotarłam na rynek. Jak zwykle w środę gęsto tam było od ludzi, bo odbywał się jarmark. To właśnie stamtąd pan Levy wyłuskał mnie przed kilkoma długimi miesiącami.

Bo trzeba wam wiedzieć, że zaczynał tak samo jak inni - to znaczy jako zwykły klient. Przed naszym pierwszym razem kazał mi usiąść i powiedział, że jest Żydem i czy mi to nie przeszkadza. Odparłam, że nie ma dla mnie znaczenia, czy jest Hindusem czy Eskimosem, byle tylko zapłacił, co mi się należy. I dodałam, że jestem Irlandką i czy mu to nie przeszkadza, a on się tylko roześmiał. Zatem kilka wieczorów w tygodniu przychodził wolnym spacerkiem do mego rewiru i szliśmy razem do pokoiku nad naszą spelunką i robiliśmy co należy. Później lubił, gdy siedząc na jego kolanie, skręcałam mu papierosy, niekiedy częstował mnie pralinkami, a raz nawet przyniósł mi ananasa, którego nigdy wcześniej nie jadłam, a odtąd lubiłam, nawet bardzo. Miał, oj, miał swoje słabostki, no ale który facet ich nie ma? W sumie był dobrym człowiekiem o nader szlachetnym sercu.

Nasze spotkania trwały już kilka tygodni, kiedy pewnego wieczora pan Levy powiedział, że potrzebna mu gospodyni. Właściwie coś więcej niż gospodyni, mówił, właściwie to „przyjaciółka od serca”, tego mu trzeba na stare lata. W tej roli chciał zaś obsadzić mnie właśnie!

Na tym etapie, przyznaję, miałam już serdecznie dość życia, wiem, to straszne, bo miałam wtedy ledwie trzynaście latek. Kazano mi chodzić z każdym brudnym, pijanym czy szalonym typkiem, a zarabiałam marne grosiki, bo większość pieniędzy i tak musiałam oddać.

Nie namyślałam się więc długo. Powiedziałam panu Levyemu, że z przyjemnością zostanę jego przyjaciółką od serca.

Ale decyzja, rzecz jasna, wcale nie należała do mnie.

- Rozmówię się z twoją siostrą - obiecał pan Levy. I podreptał do jej obskurnej spelunki, znanej jako „U tkaczek”.

Kiedy Bridget wróciła do domu, dostała napadu szału.

- Diabli nadali, cholera, psiakrew, psiakość, psiamać! - wrzeszczała.
- I co mi zostanie, jak ty będziesz sobie leżeć w pałacu tego starucha? No idź, droga wolna, ale zobaczysz, że cię, psiamorda, **UKATRUPIE!**

Byłam przybita, by wyrazić się najłagodniej. Resztę nocy spędziłam w bardzo posepnym nastroju. W końcu jednak Bridget wypuściła mnie ze swych szponów, bo nazajutrz przyszedł pan Levy i przekonał ją brzęczącą sakiewką i obietnicą, że jego prawnik będzie wypłacał jej co tydzień pewną sumkę (nie wiem jaką, ale musiało to być znacznie więcej niż zarobiłabym pracując jak dotąd).

Po jego wyjściu Bridget siedziała długo, wypatrując przez okno i gładząc sakiewkę. Uśmiechała się mętnie, a oczy jej się szkliły. Sądzę, że obliczała już, ile butelek holenderskiej jałowcówki kupi za te pieniądze.

Żadna z niej siostra, myślicie zapewne. I macie rację. Bo najgorsze jest w tym wszystkim to właśnie, że Bridget nie była moją siostrą. Tak się składa, i taka jest prawda, że ona była moją matką.

Skoro już doszłam do tego miejsca, powinnam chyba opowiedzieć o swoich wcześniejszych dziejach, przynajmniej to, co mi o nich wiadomo. Tożsamość mojego ojca jest po dziś dzień raczej niejasna. Wedle mej matki i paru jej znajomków z dawnych czasów irlandzkich człowiek ten był żeglarzem, pochodził z północy, a zwał się Tytan McPartland, nie było to oczywiście jego prawdziwe imię, naprawdę na imię miał Dan, ale wołał widocznie, żeby wołano na niego Tytan.

Zdaniem mej matki nie istniała nigdy para kochanków bardziej sobie oddanych niż oni, Bridget O'Toole i Tytan McPartland byli

wprost „dla siebie stworzeni”. Tytan był piękny jak młody bóg, a do tego wspaniale tańczył, szczególnie gigę. Poza matką świata nie widział i strzegł jej zazdrośnie, jak oka w głowie. Razu jednego, co moja matka lubiła z dumą powtarzać, Tytan upił się na potańcówce i w środku tańca zdjęły go mdłości. Nie chciał jednak wyjść z sali, by zwomitować samotnie, bo musiałby wtedy porzucić matkę i wydać ją na pastwę swych **KONKURENTÓW**. Rzygnął więc zmyslnie i nieopstrzeżenie w rękaw swojej koszuli, zapiął mankiet i dalej tańcował, tyle że z jedną ręką zawadiacko wzniesioną w górę.

Jeśli wierzyć mej matce, to ten mój ojciec pragnał w życiu dwóch rzeczy. Po pierwsze tańczyć, po drugie przyspilać ją do ściany swoim ptakiem, na którym według matki można było powiesić siodło. Dziwne to trochę, bo kiedy Tytan odkrył, że „miłość jego życia” spodziewa się dziecka, wybył w tanecznych podskokach z miasta razem ze swoim ptakiem, no i zaginął o nim wszelki śluch. Nawet ptaszysko milczało mu jak zaklęte, no może chichotało co nieco.

Co zaś tyczy się mojej matki, to przez słabość do jałowcówki i wielokrotnie obita łepetynę miała niejaki kłopoty z pamięcią. Raz twierdziła, że urodziłam się we wtorek, innym razem że w czwartek, w kwietniu, a raczej w maju, w środku nocy albo tuż przed popołudniową herbatką, w roku '47, '48 albo '49, a połóg odbył się Dundalk albo w Droghedzie, albo jeszcze gdzie indziej. - Jak mam coś takiego pamiętać? - krzyczała matka, kiedy ją o to pytałam. - **BOLAŁO MNIE! JA RODZIŁAM! TO** było coś na D. D-coś-tam. Może Donaghadee?

Gdzie i kiedykolwiek to się zdarzyło, była wszelako **NAJZUPEŁNIEJ PEWNA** jednego szczegółu, tego otóż, że biła się z kimś, na świat mnie wydając. Gdy czasem upiła się na smutno, wbijała wodniste spojrzenie w moją kilkuletnią osobę i powiadała: - Patrzcie no na nią! Toć to dziecię mordobicia! - Słuchałam tego ogłupiała, bo nie wiedziałam jeszcze, o co jej chodzi.

Zapamiętała coś jeszcze: gdy zaszła w ciążę, poczęła namiętnie kopcić fajkę. Kiedy pytałam ją o poród, zawsze wracała do tej fajki i podkreślała, że dopiero ostatnie pyknięcie z wypalonej już niemal do końca fajki dawało jej jakąś przyjemność. Jezu Marysieński ileż

tytoniu musiała za każdym razem przekopcie, aby tylko dojść wreszcie do tego ostatniego pyknięcia? - To istny cud - mawiała - żem w końcu zrodziła dziecko, a nie jakąś psiakrew usmołoną laleczkę.

Moje pierwsze wspomnienie to śliczniutkie plamki światła drgające na zakurzonej podłodze w dziwnym domu, do którego zabrała mnie matka, to było jeszcze w Irlandii. W domu tym mieszkał pewien dżentelmen o bujnych włosach koloru słomy i oczach błękitnych jak kółeczka wycięte z nieba. Matka poszła z nim potem do drugiego pokoju, a zamykając za sobą drzwi, oboje kazali mi siedzieć cicho i bawić się drewnianą klamerką. Szybko mnie ta zabawa znudziła, więc wypłam resztkę ze szklanki owego dziwnego pana (matka ze swojej wydudliła wszystko) i podeszłam do drzwi, żeby sobie posłuchać. Wydawało mi się, że tańczą, byli okropnie zadyszani i podłoga pod nimi trzeszczała. Wszystko to nagle ustało, gdy pan dżentelmen wydał z siebie straszny odgłos, jakby mu kto gardło podcinał, i chwilę później matka wybiegła z pokoju, przeliczyła pieniądze i wypchnęła mnie z domu i szłyśmy potem pośpiesznie ulicą. Zabiła go i zabrała mu porfel! Tak właśnie myślałam, dopóki nie zobaczyłyśmy nazajutrz tegoż samego dżentelmena, co kroczył teraz pod ramię z jakąś elegancką damulką, cały i zdrowy. Ucieszyłam się bardzo, że żyje, że moja matka nie dopuściła się mordu (choć bez wątplenia była do niego zdolna, wszak ciągle groziła, że mnie zabije).

Pomachałam do dżentelmena i powiedziałam mu dzień dobry, bo w końcu był dla mnie miły, pogłaskał mnie pod brodą i dał klamerkę do zabawy, on jednak zmarszczył brwi i pokierował swoją damulkę na drugą stronę skweru, a moja matka tymczasem prawie że wyrwała mi ramię, wciągając mnie z całej siły w jakąś boczną uliczkę. Jezusie Cierpiący, jakżem ją musiała rozjątrzyć, oczy jej się błyszczały, a nozdrza drgały. Zawsze gdy ją wprawiałam w szal, nie mogłam odgadnąć, czego się po niej spodziewać, na pewno musiała jakoś wybuchnąć. Tym razem wycedziła przez zęby: - **NIECH-TO-SIĘ-NIGDY-NIE-POWTÓRZY!** - Każde z tych słów łączyło się z uderzeniem w głowę i zadek. - Bo inaczej **CIĘ UDUSZĘ!**

Od tego czasu już nigdy nie przyznałam się w miejscu publicznym, że znam jakiegoś mężczyznę, o ile on mnie uprzednio nie pozdrowił, tyczyło się to nawet częstych bywalców w naszym domu, nawet tych, którzy - na przykład - sadzali matkę na kolanie i ssali jej cycki, proszę wybaczyć, ale tak właśnie odbierałam niepokojące sceny widziane przeze mnie od wczesnego dzieciństwa.

Matka zawsze utrzymywała, że pracuje w sklepie z parasolami, w co zresztą długo nie wątpiłam, do czasu gdy trochę dorosłam i nie mogłam już pojąć, dlaczego jej sklep z parasolami czynny jest tylko w nocy, a nie jak inne sklepy - w dzień. Kiedy ją o to spytałam, odparła: jakaś ty głupia, ja wcale ich nie sprzedaję, co to to nie, ja je przez całą noc fabrykuję, a potem inni sprzedają je rano. Ona je fabrykuje. Tak rzecz ujęła. Dopiero dużo dużo później uświadomiłam sobie, że jeśli Bridget coś fabrykuje, to z pewnością nie są to parasole.

Gdy miałam lat osiem lub dziewięć (albo i dziesięć, matka nie mogła sobie przypomnieć), przeniosłyśmy się do Dublina i zamieszkałyśmy przy cukierni, w izbie, do której wchodziło się po ciemnych wąskich schodach. Budząc się rano, widziałam przeważnie matkę, co właśnie „wróciła z pracy”, i jakiegoś faceta kimającego na łóżku we wnęce albo na środku pokoju, jak gdyby w nocy spadł nagle z sufitu. Byli to mężczyźni wszelkiego autoramentu, czasem dwóch albo trzech chrapało na naszej podłodze, jeden przy drugim. Smród whisky wręcz zwał z nóg, a matka, gdy się zbudziła, gapiła się na tych gości z nienawiścią w oczach i demonstracyjnie obnosiła zły humor, póki jej w końcu nie zapłacili za kwaterę i sobie nie poszli won. Wtedy jej obołała główka znów ładowała w łóżku.

Chyba że, co oczywiste, w grę wchodził przystojny młodzieniec, w którym matka się kochała, wtedy sprawy miały się zgoła inaczej, Jezu Marysieński chwytła się za połyjogo płaszczka i próbowała wciągnąć go z powrotem do łóżka, jeśli tylko ów kochaś chociażby zerknął w stronę drzwi. Nierzadko robiła z siebie dokumentną idiotkę, najbardziej zaś ośmieszyła się przy aparacie nazwiskiem Joe Dimpsey, drań jakich mało, śliski jak węgorz. Podobno rzeczony Joe Dimpsey pochodził z dobrej rodziny i w całej Szkocji posiadał nader majątnych krewnych,

i uczył się nawet przez czas pewien w Queens College, ale potem rozprzedał podręczniki, żeby pospłacać długi. Później nie wiodło już mu się tak dobrze i kiedy matka go poznała, wykonywał jakieś dorywcze prace na torach wyścigowych. Szybko jednak porzucił to zajęcie, by wylegiwać się u nas półnago i przeżyć muskuły przy przeglądaniu gazet z opisami wyścigów, co czynił aż do rana, kiedy to matka wracała ze sklepu z parasolami, zaopatrzona w pieniądze i butelki z trunkami.

Bez dwóch zdań przyznać trzeba, że Joe Dimpsey był naprawdę przystojny, miał ciemne kręcone włosy i szelmowski uśmieszek na twarzy, a kiedy myślał, że nikt go nie widzi, stawał przed lustrem i powiadał: - Ech, w mordę, przystojne z ciebie chłopisko.

Matka nie pozwalała powiedzieć o nim złego słowa, jak o nią idzie, Joe Dimpsey był aniołem Gabrielem i miał przed sobą świetlaną przyszłość jako arcymądry uczony, o ile tylko pójdzie po rozum do głowy i wróci wreszcie na studia. Po kilku miesiącach, przez które Joe głowę swą, zamiast wiedzą, wypełniał trunkami (w towarzystwie popisował się nawet wciąganiem dżinu przez nos), matka sama kupiła mu wszystkie potrzebne książki, on wszakże prawie ich nie otwierał, a pod nieobecność matki zabawiał się łapaniem w dłoń własnych wiatrów, które ja miałam potem wachać, tak wyglądała nauka w wydaniu Joego, gdy z nami wtedy pomieszkiwał.

Pewnego popołudnia Joe wrócił z wyścigów bardzo nie w sosie, a następnego dnia wyszedł z domu wcześniej rano, z podręcznikami pod pachą. Wrócił godzinę później, z pustymi rękami i na cokolwiek chwiejnych nogach. Nawet ja bez trudu odgadłam, że książki zostały sprzedane. Patrzyłam ze swego małego siennika, jak Joe próbuje obudzić matkę, co było zadaniem niełatwym, równie dobrze można by tańczyć gigę na przydrożnym kamieniu milowym. Potrzęsnałą nią w końcu, a ona rozwarła jedno oko i posłała mu gniewne spojrzenie.

- Idę sobie - powiedział i wskazał kciukiem na ścianę, za którą był tylko stryzek cukiernika, nie znam się, ale chyba nie w tamtym kierunku chciał teraz sobie pójść.

- Co? - spytała matka, zaspana i pewnie też jeszcze trochę podpitą. Jeśli mnie pamięć nie myli, miała jeszcze na sobie sukienkę. - Dokąd?

Joe obejrzał się przez ramię w stronę niewielkiego okna i rzekł po chwili:

- Za morze. Kupiłem już bilet. Dzisiaj wyjeżdżam.

Matka zerwała się z łóżka i chwyciła go za ramię.

- Co? - krzyknęła. - Nie możesz! Nie możesz zostawić mnie tu samej! Zupełnie sssamejjj!!!

Wydawało się, nie po raz pierwszy zresztą, że zapomniała o moim istnieniu, chociaż siedziałam przed nią na podłodze z lizakiem w ustach w charakterze śniadania. Joe nie zamierzał się z nią pacyzkować.

- Muszę - powiada. - Wyjadę albo trza mi się zdecydować, którą rękę mi połamię, lewą czy prawą, wolę nie decydować, więc zwiewam, nim oni dopadną mnie tutaj.

Matka chlipała i błagała, obmacując go ukradkiem po kieszeniach, żeby podwędzić mu bilet na statek i czym prędzej go zniszczyć, ale Joe Dimpsey zdążył już być troszkę ją poznać i ani chybi wsunął bilet do buta albo też ukrył go w innym intymnym miejscu, tak czy owak, matka go nie znalazła. Mówiła, że spłaci wszystkie długi Joe-go, lecz jej błagania trafiały w próżnię, on bowiem nie zmienił zdania i nie wyjawiał też, dokąd płynie - „cobyś ty była bezpieczna”, zaznaczał, gdyby za przeproszeniem „sukinsyny” przyszły go tutaj ścigać. Słyszac to, matka rzuciła się na łóżko, cisnęła w Joego stekiem wyzwisk, a gdy próbował pogłaskać ją po ramieniu, wrzasnęła: - Och spływajże stąd, psiajucha! - i dalejże kopać go po klejnotach rodowych.

Sądzę, że Joe uznał to za wystarczający powód, by zrobić w tył zwrot. Matka jednak przytrzymała go jeszcze za nogi i pokrzykiwała do mnie, bym jej pomogła, ale ja już wiedziałam, że nie należy się wtrącać w zatargi między Bridget i jej facetami, raz się wtrąciłam i w podziękowaniu wyrósł mi na zadku siniak wielkości Kanady. Teraz więc nie ruszałam się z miejsca, podjęłam wszelako dwa środki zapobiegawcze: wyjęłam z buzi lizaka (bo w tamtych czasach ciągle słyszało się o strasznych wypadkach z lizakami) i odsunęłam na bok szklanicę z piwem, które chciałam później wychłęptać. Uczyniłam to

w samą porę, ponieważ Joe trzymając matkę za włosy przeciągnął ją po podłodze dokładnie w tym miejscu, gdzie jeszcze przed chwilą stało piwo. Następnie walnął ją na łóżko jak worek pełen węgla. Zanim udało jej się usiąść, Joe wybiegł z pokoju i przekręcił klucz w zamku, odcinając matce możliwość pościgu.

Dopiero godzinę później ktoś zareagował na nasze krzyki, a mianowicie cukiernik, który wyszedł na chwilę ze swego sklepu, by ulżyć sobie do rynsztoka, jak to miał w zwyczaju. Człek ten po prostu rozwalił zamek, bo Joe wziął klucz ze sobą. Gdy drzwi się otwały, matka spojrzała na mnie i rzekła: - Siedź tu cicho, póki nie wrócę, albo obedrę cię ze skóry. - Co zapowiedziawszy, sfrunęła po schodach i wybiegła na ulicę. Drogo ceniłam swoją skórę, zatem nie chcąc jej stracić, siedziałam cicho jak trusia.

Matka wróciła późnym popołudniem, sama i z mocno ściągniętymi ustami. Rada byłam niezmiernie, że pojawiła się bez Joego, ale wolałam tego nie okazywać, tedy zdusiłam w sobie uśmiech i nie odzywałam się ani słowem. Wieczorem, przed wyjściem do pracy, wyglądała na zamyśloną, zagryzała ustnik swej fajki i wpatrywała się w żar w kominku, posyłając mi czasem wrogie spojrzenia. A ja nie wiedziałam, w czym zawiniłam. To zresztą zdarzało się wcześniej dość często, ale teraz, po latach, wiem już chyba, co jej wtenczas chodziło po głowie. Chmurzyła się więc, wzdychała i kręciła głową przez dłuższy czas, aż w końcu nieco się rozpogodziła, jakby podjęła jakąś decyzję.

- Poradzisz sobie, no nie? - spytała.

Zupełnie mi się te słowa nie podobały, ani trochę, ani troszeczkę, toteż wolałam się mieć na baczności.

- Z czym? - zapytałam po dłuższej chwili.

- Poradzisz sobie, kiedy wyjadę z Joem - odparła. - Będziesz radziła tu sobie sama przez kilka lat, a potem już będziesz dorosła, no nie? Zerwałam się na równe nogi, zdjęta okropnym lękiem.

- **NIE ZROBISZ TEGO!** - wrzasnęłam.

Matka uśmiechnęła się szeroko, ukazując szparę między przednimi zębami, szparę na tyle szeroką, że można by w nią wsadzić szylinga.

Cieszyła się najwyraźniej, że jej sugestia wzbudziła we mnie strach, słowo daję, bardzo ją to uradowało.

Znowu usiadłam na podłodze.

- Kłamiesz - powiedziałam. - Joe sobie poszedł. Joe już nie wróci.

A ona dalej szczyrzyła zęby, unosząc jedną brew. Biła z niej pewność siebie. Co takiego wiedziała, co mnie nie było wiadome?

- No, to zabawne - mówi. - Psiakość, naprawdę zabawne.

Milczałam, popatrując na nią kątem oka.

- O tak, bardzo zabawne - powtórzyła, ale nie dałam się złapać.

- To mnie naprawdę bawi - ciągnęła swoje, a gdy nie doczekała się żadnej reakcji, wytknęła palec w moją stronę i rzekła: - Zaraz się dowiesz dlaczego. Zgadnij no, kogo widziałam w porcie?

Aż mnie zatkało. Odwróciłam się gwałtownie, by spojrzeć jej w oczy.

- Nieprawda - rzuciłam.

- Nie mam zamiaru się z tobą spierać. Widziałam Joego i żeśmy się pogodzili. Był bardzo miły, przepraszał. Znowu się we mnie kocha, tak jest.

Czułam, jak pęka mi serce. To mogła być prawda. Matka ciągle kłóciła się z Joem i ciągle się z nim godziła.

- Mówiąc krótko - rzekła - Joe chce mnie zabrać ze sobą.

Aby zaznaczyć, że w ich planie moja osoba się nie mieści, spjrzała na mnie z bezgraniczną litością.

- Do... Dokąd? - spytałam.

- Przez morze, do Szkocji. Bilet kosztuje pierońską masę pieniędzy i Joe powiada, że na ciebie nas nie stać. Ale przecie sobie poradzisz, gdy zostawimy cię tu samą, no nie?

Gapiłam się na nią tylko.

Przełożyła fajkę z jednego kącika ust do drugiego i wlepiła wzrok w piec.

- Pewnie będziesz musiała zebrać o jedzenie - mówi. - No ale jeśli ładnie poprosisz, to może cukiernik odda ci jakieś resztki.

Z przykrością stwierdzam, że w tym momencie po prostu się rozplakałam.

Z kolei matka wybuchła śmiechem.

- Nie zachowuj się jak dziecko - powiedziała. - Możesz teraz, dla odmiany, sama o siebie zadbać. A jeśli cię stąd wyrzucą, to zawsze możesz się przespać przy wejściu do McSweensa.

Przypadłam jej do stóp, łkając. Pozwoliła, bym wypłakała na jej kolanach wiele gorących i gorzkich łez, podczas gdy ona głąskała mnie po włosach powtarzając: - Cśśś...

- Nie... zostawiaj... mnie... mamó! - kwiliłam. - Proszę... nie... odchodź!

- No tak - rzekła w końcu. - Muszę trochę pomyśleć. - Westchnęła, usiadła wygodniej, a gdy po chwili spojrzałam jej w oczy, drapała się po głowie z wyrazem zamyślenia na twarzy. - Jest jeden sposób, jeśli chcesz z nami jechać.

Chwyciłam ją oburącz za rękę.

- Mamó, proszę. Proszę, pozwól mi jechać z wami.

- Sama już nie wiem - powiada. - Musiałabyś robić wszystko, co ci każe.

- Będę cię słuchać, będę grzeczna.

Znowu wytknęła mnie palcem.

- Dostaniesz tylko jedną szansę - rzekła. - A jeśli ją schrzaniisz, wszystko przepadło. Zostawimy cię tutaj.

- Nie schrzanię, obiecuję, mamusiu. Proszę cię...

- No, zobaczymy.

Usadziła mnie w blasku świecy i zaczęła malować mi twarz. Z początku strasznie mi się to podobało. Cieszyłam się, że skupiam na sobie całą jej uwagę, och, żeby tak zawsze siedziała ze mną, głąskała mnie po włosach i powtarzała, że grzeczna ze mnie dziewczyna, do tego śliczna jak z obrazka. A jednak... Choć rada byłam, że jestem na tyle dorosła, by móc wreszcie nosić makijaż, dość szybko poczułam się nieswojo, lecz kiedy zaczęłam go z siebie ścierać, matka pacnęła mnie po dłoni.

- Co ty wyprawiasz?

- Chcę to zetrzeć - odparłam.

- Ani mi się waź! - prychnęła. - Co to za sklep bez szyldu?

Wtedy chyba nie zrozumiałam jej słów. Pomyślałam, zdaje się, o sklepie z parasolami, bo przed wyjściem do pracy matka zawsze się

malowała. Doszłam tedy do wniosku, że - nareszcie! - ten sklep zobaczę i że będę mogła jej w czymś pomóc. Tak oto zarobię na bilet, zostanę fabrykatorką parasoli!

Rzecz jasna nie muszę wam mówić, że nie to matka miała na myśli.

Na razie starczy już jednak o dawnych dziejach. Wiele zdarzeń z mojej przeszłości dalej napawa mnie wstydem. Trudno mi o tym pisać, a i czytać pewnie nie łatwo! Aż w brzuchu mnie skręca, gdy wracam myślami do tego, co było potem, a pisać o tym po prostu się boję. Opowiedziałam ile mogłam, ale wrócę jeszcze do tego tematu, ponieważ kazano mi niczego nie opuszczać i mam zamiar spełnić tę prośbę. Wypadki, które tu opisuję, nie są wytworem fantazji, lecz najprawdziwszą prawdą. Co się zdarzyło, to opiszę. Pewna jestem, że zacni Panowie, którzy skłonili mnie do skreślenia tych słów, odniosą się do wszystkiego z powagą, jako że każdy z nich jest dżentelmenem w każdym calu, dżentelmenem **OD STÓP DO GŁÓW**.

Wróćmy teraz do Zamku Haivers, gdzie dalej leżę i rzygam co czas jakiś.

Przez trzy dni nie ruszałam się ze swojego pokoiku. Gdy dnia czwartego obudziłam się rano, stwierdziłam, że mam się lepiej i mogę wracać do pracy. Co prawda mogłam jeszcze poudawać chorobę i zostać w łóżku, lecz ogarnęła mnie taka ciekawość, że szybko zwalczyłam senność i ubrałam się w jedną z pierońskich sukieneczek najukochańszej Nory. Nie porzuciłam bynajmniej myśli o opuszczeniu Zamku Haivers, o gniewnym i dumnym odejściu, gdyby milady zrobiła choć jeden fałszywy krok, więc zostawiłam tobołek w komodzie, skąd mogłam go w każdej chwili zabrać. No ale tak zupełnie od razu zdobyć się na to nie mogłam. W głębi ducha nie mogłam bowiem uwierzyć, że milady naprawdę będzie mnie trzymać na dystans.

Trochę czasu zajęło mi ułożenie włosów. Następnie zesłam na dół. W kuchni milady, stojąc do mnie plecami, przekładała jajka z koszyka

do miski. Nie słyszała, jak wchodzi. Mogłabym zejść ją od tyłu i zrobić jej to czy owo, przerazić ją krzycząc „Buuu!” lub zdzielić po łbie wałkiem do ciasta. Mogłam też objąć ją i pocałować w szyję, mogłam jej kurka zrobić, co chciałam. W gruncie rzeczy nie miałam jednak bladego pojęcia, czego właściwie chcę, toteż dalej stałam w drzwiach i patrzyłam, jak ona wkłada do miski ostatnie jajko i odwraca się w moją stronę.

- Och! - krzyknęła wystraszona na mój widok. Miska prawie że wypadła jej z rąk, ale jakoś ją przytrzymała. A szkoda, pomyślałam.

- Bessy! - rzekła milady. - Ależ mnie przestraszyłaś!

- E, strachy na lachy - mówię. - Pani myślała, że to ktoś inny?

- Hm. - Milady zmarszczyła brwi. - Nie. Nie słyszałam, jak wchodzisz. Wyglądasz już znacznie lepiej. A czujesz się lepiej?

- Owszem - odrzekłam.

- No, dobrze to słyszeć - powiedziała i odstawiła miskę z jajkami.

- Wobec tego możesz zająć się tym tutaj. A kiedy pojawi się Hector, powiedz mu, żeby przekazał Jessie, że nie będzie mi dzisiaj potrzebna.

Co oświadczywszy, wyszła z kuchni. Stałam przez chwilę, mrugając oczami, po czym ruszyłam za nią. Szła na górę, na pewno po to, by cosik napisać w tej wrednej książeczynie. Tył jej sukni był czysty, ani śladu galaretki.

- Czy zrobić śniadanie, milady? - krzyknęłam za nią. - A co z panem? Jemu też zrobić coś do jedzenia?

Odwróciła się w połowie schodów.

- Co takiego, Bessy? Pomyśl no chwilkę - rzekła. - Czy zrobić śniadanie...? - Tu zawiesiła głos i popatrzyła na mnie z uniesionymi brwiami.

- Ja sobie sama zaraz coś przygotuję - odparłam, udając, że ją źle usłyszałam.

Westchnęła.

- Proszę pani - powiada. - Czy zrobić śniadanie, proszę pani? Jesteś pewna, że możesz już wrócić do pracy, Bessy? Nie powinnaś się prze-męczać.

- Mogę pracować, proszę pani - odrzekłam.

Co za fałszywizna! Mówię o niej, nie o sobie.

Gdy jednak odwróciła się i znowu ruszyła w górę po schodach, stałam dalej jak urzeczona, wpatrując się w jej cudne plecy.

Pan James wyszedł już z domu, aby omówić jakieś sprawy z zarządcą. Nie było go przez cały poranek, milady też jakby w domu nie było. Nie wiem czemu, ale kuchnia wydała mi się teraz bardziej ponura niżem ją zapamiętała. Zewsząd wycierał brud, z rys w stole, z krawędzi różnych przedmiotów, nawet z najdalszych kątów. Czyżby zrobiło się tu tak brudno w ciągu ledwie trzech dni? A może tak było zawsze? Jeśli tak, to dlaczego nikt na to nie zwracał uwagi?

Nic tego rana nie szło jak trzeba. Stałam na spodek z mlekiem i rozlałam kotu śniadanie. Kij od miotły złamał się wpół, jak tylko na niego spojrzałam, toteż musiałam zginać się potem jak scyzoryk. Później kurz i okruchy za nic nie chciały dać się zmieść, po prostu uciekały przed miotłą. A kiedy udało mi się nareszcie wypełnić śmietniczkę, to przypadkiem na niej stanęłam i wszystkie paprochy znowu pokryły podłogę. Nie lepiej poszło z rosołem. Marchew okazała się robaczywa, a rzepa przypominała starą gąbkę, siekałam je chyba wieki całe. Przygotowując jedzenie, lubiłam zawsze popatrywać przez okno, ale tym razem nie było warto, bo pogoda była wstrętna i zapowiadała się nawet na gorszą. Z oddali ciągnęła nawałnica, niebo złowieszczo pociemniało, a bielusieńkie mewy przelatywały jak duchy na tle czarnych chmur.

Wstałam przed ledwie kilkoma godzinami, a już czułam się jak wymięta ścierka. Było tu oczywiście za dużo roboty jak na jednego człowieka. Nigdy wcześniej mnie ten problem nie zajmował, lecz teraz uznałam, że dzieje mi się straszna krzywda. Milady zdradziła mnie i ze wszystkiego jakby opadły maski, widziałam dom takim, jakim był on w istocie, takim, jakim ujrzałam go tuż po przyjeździe. Była to zimna, rozlatująca się rudera, leżąca wśród smętnych krajobrazów, pośród kopalń i śmierdzących krów, pod ołowianym niebem.

Jakże tęskniłam za Crown House! Ach, umościć się tak pod kocykiem niedaleko kominka, i wcinać grzanki, i grać w karty z panem Levym!

Chociaż milady nie cieszyła się już moimi łaskami, to wraz z każdą godziną coraz to niecierpliwiej czekałam, aż znowu pojawi się kuchni. Ona jednak trwała chyba w postanowieniu, że będzie mnie unikać, jak to zapowiedziała w swojej książce. Mignęła mi tylko dwa razy, kiedy wybiegła, by powiedzieć coś Muriel, i gdy minęłyśmy się na schodach, kiedy szła zrobić porządek w bielizniarce. Za każdym razem uśmiechnęła się co prawda, lecz w gruncie rzeczy traktowała mnie ozięble.

Po południu, koło czwartej, wrócił pan James. Pół godziny później wezwał mnie dzwonkiem do swojego gabinetu. Gdy weszłam, stał przy oknie, wpatrując się w spływający po szybie deszcz.

- Znakomicie - rzekł na mój widok, chociaż byłam w takim nastroju, że bodaj niczego znakomicie zrobić nie mogłam.

Dygnęłam, on zaś wskazał stare krzesło bez poręczy, na którym dostrzegłam złożoną gazetę.

- Usiądź, proszę - powiedział - i przeczytaj mi ogłoszenia z lewej kolumny na pierwszej stronie.

- Tylko z lewej kolumny, sir? - spytałam, a on odparł, że lewa kolumna na razie powinna wystarczyć.

Usiadłam, rozłożyłam gazetę i zaczęłam czytać na głos. Gdyby sprawa toczyła się zwykłym trybem, na pewno czułabym treść, lecz byłam już wtedy tak przybita, że przestało mi na czymkolwiek zależeć. Była to jakaś gazeta z Glasgow, nie pamiętam, jak brzmiało dokładnie pierwsze z odczytanych ogłoszeń, treść sprowadzała się do czegoś w tym stylu: *Dżentelmen, który wziął pomyłkowo cudzy kapelusz z Kościoła Prezbiteńskiego na North Portland Street ostatniej niedzieli po południu, może liczyć na wdzięczność właściciela, jeżeli zanieśnie ówże kapelusz do pani Graham, South Portland Street, numer 57.*

Pana Jamesa jakoś to rozbawiło.

- He, he, he! - zaśmiał się szczerze. - Facet zgubił kapelusz! Ale zaczekaj. Podejrzewam, że źle się czujesz, dziewczyno. Twarz wydużyła ci się tak bardzo, że można by tańczyć na twoim podbródku. Obawiam się, żeś ty jeszcze nie wydobrzała.

- Jestem już całkiem zdrowa, sir. Dziękuję za troskę.

- Rozumiem - rzecze pan James. - Tak... To może nie czytaj jak mówca na pogrzebie. Następne ogłoszenie, proszę.

Z trudem, bo z trudem, ale jednak nadałam większą siłę głosowi. *W środę lub w czwartek ZAGINAŁ lub został SKRADZIONY angielski BARAN, należący do Roberta Kerra z Milngavie. Stosowna nagroda czeka na każdego, kto pomoże odnaleźć rzezczone zwierzę.*

- Cudowne - zachichotał pan James. - Pomyśl tylko: jakże niewielką bystrością umysłu musi legitymować się człowiek, żeby postradać takiego barana. Jego zguba była z pewnością mądrzejsza od właściciela. Ten baran nie kochał ani Milngavie, ani nawet Roberta Kerra. Podejrzewam, że zawędrował do Dumbarton i objął tam urząd prokuratora. Ale ciebie, moja panno, to nic a nic nie śmieszy.

- Ależ śmieszy mnie, sir - odparłam żalobnym głosem.

- Skoro tak - rzecze on - to czytaj dalej, jeśli łaska, lecz trochę pogodniej, proszę.

Naprawdę starałam się czytać bardziej radośnie, lecz treść następnego ogłoszenia tak bardzo mnie przygnębiła, że przy końcu niemal się pobeczkałam, *WYSZŁA Z DOMU W ostatnią sobotę i odtąd nie dała znaku życia, pani ANGES FAULDS vel CRAWFORD. Wzrost zwyczajny, szczupła, jasna cera, włosy brązowe. Miała na sobie szary szal, ciemną spódnicę i groszkowaną koszulę z drogietu. Ma około 27 lat i jest trochę chora na umyśle. Za wszelkie informacje na temat zaginionej będzie wdzięczny jej mąż, T. Crawford, King Street, numer 42, Calton.*

- No, serdeńko! - pan James zaczął chodzić po gabinecie. - Tym razem zaiste jest powód do smutku. Tak, prawdziwa tragedia. Zwróć wszakże uwagę na jedno - unióś palec i zwrócił się do mnie, jakbym siedziała na ławie przysięgłych. - Nie obiecano żadnej nagrody. Popatrz no, jeden człowiek oferuje nagrodę za zwrot barana, a inny będzie jedynie wdzięczny za ocalenie mu żony. Śmiem twierdzić, że czytając gazety, można pominąć wszystkie długie artykuły, albowiem tutaj, w tych krótkich ogłoszeniach, objawiają się wszystkie aspekty człowieczeństwa. Tak, zaiste. Następne, proszę.

I tak to toczyło się dalej. Ja czytałam ogłoszenia, on je komentował. Przez cały ten czas pilnie nasłuchiwałam, czy aby milady nie

zeszła do kuchni. Im dłużej siedziałam w gabinecie, tym bardziej bałam się, że przegapię jej obecność. Z ogromną więc ulgą usłyszałam, że pan James odchrząknął, gdy przewracała stronę w gazecie, i począł grzebać w swoich papierach. Wziął z biurka jakiś katalog w ozdobnej metalowej oprawie, z rysunkiem na pierwszej stronie okładki.

- Nie, już wystarczy, Bessy - powiedział. Możesz wrócić do swoich zajęć. Spisałaś się znakomicie.

- Dziękuję, sir.

Zmrużył oczy i spojrzął na mnie przebiegle.

- Za tymi melancholijnymi westchnieniami i minkami kryje się, mniemam, jakiś młodzieniec - powiedział. - Ale pamiętaj, Bessy, w tych sprawach zawsze dopuszczamy się przesady. Zapewniam cię, że obudzisz się pewnego ranka z myślą: jaka ja byłam głupia.

- W rzeczy samej, sir - odrzekłam. - Zna mnie pan lepiej niż sama znam siebie.

Po czym szybko opuściłam gabinet, gryząc się w język, żeby nie palnąć czegoś jeszcze gorszego.

Wcześniej zamknęłam za sobą drzwi do kuchni, teraz były otwarte i wbrew sobie poczułam w sercu nadzieję. Zwolniłam kroku i weszłam do środka, rozglądając się jak najbardziej swobodnie i naturalnie, gotowa udać zdziwienie na widok milady. Może udałoby mi się wciągnąć ją w rozmowę. Może posiedziałyby tam ze mną, gdy ja krzątałabym się przy kolacji. W kuchni jednak nikogo nie było, a na stole leżała kartka, bez podpisu co prawda, ale charakter pisma nie pozostawiał żadnych wątpliwości.

Droga Bessy. Proszę podać kolację dla dwóch osób w jadalni, o szóstej. Zupa, potem baranina z ziemniakami (według przepisu - NIE po swojemu). Bez deseru. Rozłóż, proszę, talerze w jadalni, wyjdź i nie wracaj, dopóki po ciebie nie zadzwonię. Dziękuję. Wybacz, że komunikuję ci to w formie pisemnej, ale boli mnie głowa i muszę się położyć.

Więc do tego już doszło, milady rozmawia ze mną za pośrednictwem karteczek (nie wierzyłam krucafuks w żadne tam bóle głowy). Zgniotłam kartkę i wrzuciłam ją do kubła na pomyje. Potem niestety musiałam wyłowić ją z kubła, bo zapomniałam o której mam podać kolację, a to rzecz jasna nie poprawiło mi humoru.

Tego wieczora, zgodnie z prośbą milady, serwowałam kolację w jadalni. Po raz pierwszy usługiwałam im razem, milady i panu Jamesowi, i powinno to chyba pobudzić co nieco moją ciekawość. Urok nowości jednak na mnie nie działał, bo nastrój miałam równie ponury, równie brązowy i kluskowaty jak sos pieczeniowy na mięsie dla moich państwa (robiłam wszystko według przepisu, lecz efekt niestety nie dorósł do moich oczekiwań). Pan James skinął głową i spojrzął na mnie, gdy ustawiałam przed nim talerze, milady zaś nawet na mnie nie zerknęła, wręcz unikała mojego wzroku. Jak tylko wchodziłam do jadalni, na siłę podtrzymywała rozmowę z mężem, ostrzeliwując go pytaniami, jak gdyby podbijała rakieta piłeczkę, by ta ostatnia nie spadła na ziemię. Chodziło jej, jak mi się wydaje, tylko o to, żebym ja się przypadkiem nie odezwała (ani mi to w głowie nie powstało!).

Później już po mnie nie dzwoniło i o dziesiątej poszłam do łóżka, zmęczona i podupadła na duchu. Nazajutrz obudziłam się trochę już wypoczęta, a w piersi poczułam iskierkę nadziei, która jednak szybko wygasła. Milady powiedziała mi bowiem, że wraz z małżonkiem wychodzą gdzieś na dzień cały, a wieczorem, po powrocie, oznajmiła, iż zmęczenie nie pozwala jej przeprowadzić kolejnej lekcji interpunkcji. Co prawda rozplýwała się w uśmiechach, była przemiła, mówiła mi „moja droga”, ale ja świetnie wiedziałam, że chce się ode mnie czym prędzej odseparować.

Przez cały ten tydzień miałam wrażenie, że tańczymy wokół siebie, reguły zaś tego tańca nie pozwalają, by partnerzy znaleźli się w tym samym miejscu o tej samej porze. Wystarczyło, że puściłam się w płasy w tym czy innym pomieszczeniu, a milady już robiła piruet, by prędko zniknąć za drzwiami.

Również obecność pana Jamesa nadała Zamkowi Haivers nieco odmienny charakter. Dni jego były dość monotonne: rano wychodził do swego zarządcy, a wracał dopiero późnym popołudniem. Jeżeli koło godziny czwartej z Glasgow lub Edynburga przychodziły gazety, musiałam przeczytać mu ogłoszenia, po czym odprawiał mnie, by zająć się swoją dokumentacją.

Pan James był człowiekiem bardzo zajęтым, bo prócz prowadzenia folwarku i doglądania swych interesów w Glasgow miał też ambicje polityczne, i to chyba właśnie z nimi wiązał się jego ostatni pobyt w Londynie. Otóż poseł z naszego okręgu, pan Weir-Paterson, był już w podeszłym wieku, zapadał na zdrowiu i na dodatek chętnie zaglądał do kieliszka. Choć nikt o tym głośno nie mówił, powszechnie panowała opinia, że miejsce po nim niedługo się zwolni. A miejsce to upatrzył sobie James Reid, który tak energicznie przebierał nogami, że aż mu dupcia wyjędrniała i mogła ona w istocie, przy pomyślnym zrządzeniu losu i w razie zdobycia przychylności głosujących, zasiąść dumnie na poselskim stolcu. Mimo że Weir-Paterson jeszcze nie umarł, pan James rozpoczął już kampanię wyborczą, spełniając dobre uczynki i obracając się w doborowym towarzystwie. Jego największym dobrym uczynkiem okazał się projekt wybudowania publicznej fontanny w Snatter, zasilanej z nowego źródła (stare bowiem źródła wody nie cieszyły się dobrą opinią wśród tamtejszej ludności). Co się zaś tyczy doborowego towarzystwa, to pan James jadał kolacje u dżentelmenów zamieszkujących opodal, lecz tylko u tych rzecz jasna, co posiadali prawo głosu. Czasami brał ze sobą milady, a czasem swego starego druha, McGregor-Robertsona. W domu jadał w towarzystwie małżonki, gdy jednak na proszoną kolację szedł sam, milady unikała mojej osoby, nie opuszczając swego pokoju.

Nie znam się zbyt na polityce, ale jedno wiem na pewno.

Nie, nic nie wiem. Wiedziałam jeszcze przed chwilą, ale teraz nic nie pamiętam. W zamian opowiem o czymś innym. Obserwowałam ich. Kiedy oboje byli razem i gdy ja byłam w pobliżu, śledziliśmy ich uważnie niby drapieżnik czatujący na zdobycz. Nie znałam wcześniej małżeństw z tych sfer. Obserwowałam ich zatem i wydawało mi się,

że w tym stadle coś nie gra, czegoś brakuje, nie tylko wspólnego łoża. To, jak pan James odnosił się do milady, wprawiało mnie często w zdumienie. Przeważnie był względem niej aż do przesady uprzejmy, tyle że w sposób wymuszony, przejęskrawiony (o, to będzie dobre słowo!), tak jak traktuje się ludzi ledwie przed chwilą poznanych, jak się traktuje osoby chore. Zdarzało się też, że raptem tracił cierpliwość i bez żadnego powodu traktował żonę opryskliwie: przerywał jej, ignorował ją i zaprzeczał właściwie każdemu jej słowu. Z kolei milady zawsze odnosiła się do niego uprzejmie, dochowując wszystkich form i obowiązków, jakich dochować powinna sumienna żona. Oprócz rzecz jasna jednego drobiazgu.

Milady przez cały czas męża okłamywała.

Dość szybko domyśliłam się, że pan James nie jest świadom, iż jego żona pisze książkę. Wkrótce potem stwierdziłam, że nie wie też nic o eksperymentach ze służącymi. Przekonałam się o tym na własnej skórze, ponieważ od chwili jego powrotu wszelkie eksperymenty ustały. Żadnych dziwnych nastrojów, żadnych dziwacznych poleceń, żadnego usiądź, wstań, usiądź. Tak jakby tego nigdy nie było. Uzmysłowiłam sobie, że gdy milady prosiła mnie o zachowanie dyskrecji, czyniła to głównie przez wzgląd na męża. Miałam gigantyczną ochotę opowiedzieć mu, co też milady porabia pod jego nieobecność, a niechże jej ość w gardle stanie.

Niebawem jednak odkryłam lepszy i zabawniejszy sposób na dokonanie aktu zemsty.

Uroczysta kolacja

W tym czasie miały miejsce dwa wydarzenia. Pan James postanowił wydać uroczystą kolację, a ja trochę później wpadłam na to, jak mogę wziąć odwet na milady. Zaczniemy od rzeczonyj kolacji. W dniu rozsyłania zaproszeń moi państwo byli niesamowicie podnieceni, Jezu Marysieński szkoda, że miało przyjść tylko kilku gości, ponieważ oboje ekscytowali się tak bardzo, że błyszczeli nieomal jak kandelabry i mogliby z powodzeniem oświetlić dużą salę balową. Ja natomiast byłam w podłym nastroju, a moja nienawiść do milady nasiliła się niesłychanie. Wśród zaproszonych był pastor Pollock (nie muszę mówić, że na tę wieść po prostu zatańczyłam z radości), jak również doktor McGregor-Robertson. Przyjść miał także pan Davy Flemming, jeden z dzierżawców u pana Jamesa, który wyrastał ździebko ponad innych za sprawą rosnącej sławy poetyckiej. (To właśnie z nim państwo jedli kolację w dniu powrotu pana Jamesa z Londynu). Reszty gości nie znałam, zdaniem milady byli to „ludzie wpływowi”. Należał do nich pan Mungo Rankin, właściciel sąsiednich pól uprawnych, na których budował właśnie kopalnie. Pojawić się miał wraz z małżonką. Aliści najważniejszy z zaproszonych nazywał się Duncan Pollock i był ni mniej, ni więcej, tylko posłem do parlamentu. Człłek ten był również młodszym bratem pastora Pollocka i rzekomo „wschodzącą gwiazdą Partii Liberalnej”.

W gruncie rzeczy cała ta kolacja miała się odbyć przez wzgląd na jego osobę, reszta, jak idzie o pana Jamesa, mogła utopić się w zupie. Pan James chciał zrobić dobre wrażenie właśnie na Duncanie Pollo-

cku, albowiem pan poseł cieszył się poważaniem w miejscowych kręgach partyjnych i (gdyby chciał) mógłby poprzeć mojego chlebobawcę w czasie kampanii wyborczej. Poza tym co jakiś czas Duncan Pollock urządził w Edynburgu raut, na którym bywał podobno stareńki lord Pummystone! Boże miej nas w opiece!

Oczywiście tak wielce dostojnych gości trzeba odpowiednio obsłużyć. Mój pierwszy i jedyny jak dotąd kontakt ze srebrną zastawą stołową nie był zbyt udany; nie wchodząc w szczegóły, powiem tylko, że wbrew moim najszczerzszym staraniom sos pieczeniowy zetknął się z karkiem pana Jamesa w sposób źle zazwyczaj widziany przez ludzi o pewnej kulturze. Od tego czasu nakładałam potrawy w kuchni. Teraz jednak miała się odbyć proszona kolacja, toteż milady szkoliła mnie intensywnie i ćwiczyła tak długo, że mogłabym samemu papieżowi podać na tacy ziarnko grochu. Okazało się przy tym, że sądnego wieczoru towarzyszyć mi będą Hector i jedna z Krasulanek, zarówno przy stole, jak i za kulisami. Wobec braku kucharki jadłospisem milady zajęła się osobiście, nadzorowała też wszystkie przygotowania.

W dniu kolacji pani domu świeciła jasno jak nigdy wcześniej. O ile wprzód była kandelabrem, o tyle obecnie przekształciła się w rozogniony żyrandol. Gdy wybiło południe, w kuchni zaczęła się gorączkowa krzątania, nad którą unosił się jasny płomień Jej Wysokości, a obok niego tliła się maciupeńka świeczka, wionąca smutkiem i nienawiścią. Chyba ten raz jeden jedyny na niczym zupełnie nie oszczędzano. Pichciłyśmy zupy, piekłyśmy placki. Było też smażenie bażantów i ćwiartki jagnięcia, jak również gotowanie wołowiny z marchewką.

W pewnym momencie zjawił się Hector. Przyniósł ze sobą dwa kurczaki, które sumiennie potem oskubał, przerywając jedynie na chwilę, aby z niejakim przerażeniem obejrzeć narządy intymne tych ptaszek. Później, jak sądzę, chętnie by się ulotnił, ale milady wyznaczyła mu kolejne zadanie, miał oto wypolerować srebra i opłukać kartofle, dużo mu dała tych poleceń, aż dziw bierze, że nie opłukał srebra i nie wypolerował kartofli. W normalnych okolicznościach Hector nie budził mojej sympatii, teraz wszelako czułam do niego przychylność za każdym razem, gdy po rozkazie milady odczekał, aż ta

się odwróci, i przybierał poważny wyraz twarzy, głaszcząc się przy tym po brodzie i pykając jak mędrzec z nieistniejącej fajki. Ta mała komedia dała mi trochę skrytej radości.

Muriel, albo Krasulica, jak ją nazywałam, wkroczyła na scenę późnym popołudniem, gdy uporała się już z dojeniem krów. Kazano jej posprzątać kuchnię, a później pomagać mi przy stole. Wypindrzyła się koszmarnie, zdjęła czepek i do włosów powpinała wstążeczki, równie dobrze można by wetknąć pierwiosnki w krowi placek. Udawała, że ciężko pracuje, lecz tylko wtedy, kiedy widziała ją milady. Biegała po kuchni, udając zadyszana, i niby ścierała kurze z tego i owego. Jednak gdy tylko milady wyszła, Krasulica przestawała się krzątać, była taka leniwa, że pewnie kładła się nawet do pierdzenia. Dziób swój otwarta do mnie raz tylko, zaszła mnie wtenczas od tyłu, by przytknąć mi owo dziobisko do ucha. Myślałam, że zdradzi mi jakiś sekret, lecz ona rzekła jedynie: „W pasie jam chudsza jest od cię dwa razy”, i odruchtała, rozchichrana. Nie zdobyła tym sobie mojego serca, o nie, poza tym mijała się z prawdą.

W ostatniej chwili milady dostała, jak sędzę, ataku nerwicy, bo postanowiła, iż tylko indyjską zupę będziemy serwować przy samym stole. Pozostałe potrawy miałyśmy porozkładać w kuchni, aby uniknąć jakichkolwiek wypadków.

Dokładnie o wpół do ósmej Hectora ustawiono w kuchni przy stole i rozkazano mu na bieżąco zmywać naczynia. Krasulica i ja założyłyśmy świeże czepki i byłyśmy już właściwie gotowe ruszyć w procesji do jadalni. Nie mogłyśmy jednak się zdecydować, która z nas ma nieść zupę, a która rozlewać ją do talerzy. Obie chciałyśmy rozlewać, bo ta robota zdawała się łatwiejsza, choćby dlatego że waza z zupą była pierońsko gorąca. Wyrwałyśmy sobie warząchew i gdyby nie interwencja milady, to z naszej łychy niewiele by się ostało. Milady rozstrzygnęła ten spór w sposób dla mnie korzystny, po czym wróciła do gości. Kilka chwil później kroczyłam wraz z Muriel w stronę jadalni i bodaj nigdy w historii świata nie odbył się pochód bardziej niezdarny i ponury.

W lichtarzykach i świecznikach na stole paliły się świece, we wszystkich, co do jednego, i było tam w ogóle jasno i gwarno jak na

takiej Argyle Street. W życiu nie widziałam tyłu ludzi w jednym miejscu, przynajmniej w zamkniętym pomieszczeniu. Toczyło się na raz kilka uprzejmych rozmów. Milady siedziała u szczytu stołu obok jasnowłosego młodzieńca w okularach, którym musiał być pewnie pan Flemyng. Pani Rankin (zaproszono tylko jedną damę, toteż odgadłam, że ona to ona) siedziała hen daleko, po prawej pana Jamesa, i zgodnie z otrzymanymi instrukcjami ją to miałam obsłużyć jako pierwszą. Pchnęłam więc chochlą Krasulicę, żeby ruszyła w tamtym kierunku, i również później posługiwałam się tym narzędziem przy sterowaniu ruchami dojarki. Dziewczę to, bojąc się rozlać zupełnie, posuwało się żółwim krokiem, wskutek czego tempo naszej pracy nie zaliczało się do rekordowych. Mnie to jednak nie przeszkadzało, bo dzięki temu mogłam sobie posłuchać.

- Kogo to może interesować? - odparł półgłosem pan Flemyng na jakieś pytanie milady.

- Ależ może - mówi ona. - Ja bardzo chętnie się dowiem.

- No dobrze - rzecze on. - Param się tym wieczorami, po pracy. I przerywam, kiedy dłoń mi się zmęczy lub gdy wypali się świeca.

Milady na pozór chłonęła każde jego słowo, lecz ja wiedziałam, że kątem oka popatruje wciąż na nas i niespokojnie śledzi nasz pochód z zupą. Zawachlowała dłonią pod stołem, nie chodziło tu jednak o żadne gastryczne faux pas, chciała tylko nas trochę pogonić. Kolnęłam Muriel warząchwią, a milady ponownie zwróciła się do pana Flemynga.

- A czy preferuje pan jakiś kolor atramentu?

- Biorę taki, jaki jest akurat pod ręką. Nie jestem przesądny. Poza tym atrament kosztuje. Ale niech pani opowie o sobie, pani Reid. Wspominała pani, że pracuje nad wierszem.

- Skądżeby... - odparła milady. - Jak już mówiłam, nie należę do osób piszących. Ale proszę... - jej dłoń spoczęła na jego nadgarstku - proszę mi mówić Arabella.

Sunęłyśmy właśnie za plecami pastora Pollocka, którego wciśnięto między Flemynga i panią Rankin i który siedział przez to równie daleko od milady, jak i od pana Jamesa (mógł to być oczywiście przypadek,

a nie decyzja strategiczna). Pani Rankin była szczupłą kobietą o głowie jak czaszka i twarzy mogącej spłoszyć konie. Uśmiechała się teraz szeroko do pastora, ukazując garnitur wystających zębów.

- Jeśli można, pani Rankin - mówił Pollock. - Chciałem zapytać, czy wie pani cokolwiek o Salach Królewskich. O Salach Królewskich w Glasgow?

- Nie sędzę - rzecze ona głosem sapiącym i dziecinnym, nie pasującym do jej starczej aparycji. - Warto się zatem tam wybrać?

- Aha-ha! Nie do tego zmierzam - powiada Poldek. - Nie jest to, na miły Bóg, atrakcyjne miejsce do zwiedzania. Mam tam jedynie w przyszłym roku wystąpić ze skromną prelekcją, a gmach ten jest mi nieznyany, chociaż podobno wielce szacowny. Wielu przesławnych wygłaszało swe mowy z katedry, na której i ja mam stanąć niebawem.

Krasulica dotarła nareszcie do szczytu stołu. Dźgnęłam ją moją warząchwią, żeby się zatrzymała, a potem pchnęłam wymownie, żeby ją lepiej ustawić. Dobrze że nie byłyśmy same, bo posłała mi takie spojrzenie, jakby mogła powiedzieć lub uczynić coś naprawdę strasznego. Dbałam o to jak pies o piątą nogę. Zdjęłam pokrywę z wazy i postawiłam ją na kredensie, zgodnie z instrukcjami milady (a nie na dywanie, jak to robiłam przed przeszkoleniem). Następnie jęłam rozlewać zupe.

Po drugiej stronie stołu siedziało trzech dżentelmenów. Domyśliłam się, że pan Duncan Pollock, ów gość honorowy, to elegancik z ryżawobrazowym wąsem, usadzony po prawej ręce milady i prowadzący właśnie rozmowę z McGregorem-Robertsonem. Pan James tymczasem konwersował z Rankinem, osobnikiem korpulentnym, odznaczającym się przepitą twarzą, peruką na głowie i surdudem o wysokim kołnierzu. Typek ten kiepsko kontrolował swoje mięsiste usta i ślinił się strasznie przy mówieniu, wręcz pryskał śliną przed siebie, mógłby dalibóg być niezłym polerownikiem.

- Nie żałowałam ani przez chwilę, zapewniam - mówił. - Mało tego. Z resztą ziemi zrobię dokładnie to samo.

- Rozumiem - odparł łagodnie pan James. Odchylił się mocno do tyłu, wciskając plecy w oparcie krzesła, jak gdyby chciał zdystansować się od tematu albo po prostu uniknąć oplucia, kto wie.

- A tak, a tak - rzecze Rankin. - Wiosną wracamy do badań terenu. Zamierzam też wybudować cegielnię w Tuppethill. No i jest jeden facet, co chce postawić fabrykę chemiczną w Mossburn, jeśli mu na to pozwolę. Ale wierzaj mi, pieniądz tkwi w kopalniach. Rolnictwo już się przeżyło.

Ostatnią z tych uwag kierował do wszystkich obecnych, ponieważ mówił coraz głośniej, zagłuszając pozostałe rozmowy, aż w końcu wszyscy patrzyli na niego. Nawet milady i Flemming przerwali swą pogawędkę i gapili się w jego stronę, milady rozanielona jak nigdy, bodaj by diabli ją wzięli.

Przyciągnąwszy uwagę wszystkich biesiadników, Rankin zwrócił się znowu do pana Jamesa.

- Zadam ci no jedno pytanie. Jak myślisz, z której kopalni dobywam najwięcej węgla?

Pan James z żalem (choć nader oschle) oświadczył, że nigdy nie widział dla siebie pożytku w zdobywaniu wiedzy o górnictwie - ho, ho, ależ z niego żartowniś. Odczekawszy, aż wybrzmi uprzejmy śmiech wywołany tą uwagą, przyznał, że - niestety! - nie wie, która kopalnia daje największy urobek.

- No to ci powiem - rzecze pan Rankin. - Najwięcej dobywam z kopalni, co stoi tuż przy twojej ziemi. Rozumiesz już chyba?

Pan James przyznał, że nie pojmuje znaczenia tego faktu, jest wszakże pewien, iż pan Rankin zechce go w tej materii oświecić.

- To znaczy, że mogło ci się poszczęścić - odparł Rankin. - Radzę ci dobrze, zarzuć uprawę i hodowlę i przerzuć się na wydobywanie. Albo oddaj tę ziemię w dzierżawę komuś, kto zajmie się tym za ciebie.

Pan poseł Duncan Pollock uniósł kieliszek pod światło, przez co sprawiał wrażenie człowieka, który nie słyszy toczącej się rozmowy. Z drugiej strony dało się zauważyć, że trzyma rękę na pulsie. Pan James spojrział na niego, po czym skinął głową Rankinowi, udając lekkie znużenie.

- Przyjmuję twoją argumentację, Mungo - powiada. - Ale moje ambicje wiążą się z innym zgoła rodzajem działalności.

- Z polityką, co? - rzekł kpiąco Rankin. - O, szybko się do niej zniechęcisz.

Pan James zachichotał.

- No, to się jeszcze...

- Trele-morele! Tere-fere kuku! Zajmij się lepiej górnictwem, bo stracisz inaczej wspaniałą okazję. Co ty tu masz? Kilku dzierżawców, parę krów, trochę ziemi. Wszystko to bzdurstwa, tak jak i całe to rolnictwo, a jeśli tego nie widzisz, to masz kłopoty ze wzrokiem.

Pan James był już wyraźnie zirytowany, lecz nie mógł jakoś zdobyć się na reakcję. Zaczerpnął tchu, ale nie zdążył się odezwać, bo do Rankina zwróciła się teraz milady, niby to z wielką sympatią.

- Drogi Mungo - powiada. - Rozumiem więc, że kiedy już, zgodnie z twoim życzeniem, całą ziemię uprawną oraz wszystkie pastwiska przekształcimy wreszcie w kopalnię, to zamiast chleba z szynką jadać będziemy węgiel i rudy żelaza.

Fleming parsknął śmiechem tak mocno, że zdmuchnął stojącą przed nim świecę. Pan James wyczuł, że padła nader trafna uwaga (choć poczyniła ją jego żona). Roześmiał się wraz z innymi i triumfalnie powiódł wzrokiem po twarzach wszystkich gości. Pastor P. powiedział, że milady bardzo celnie tę rzecz ujęła, a pani Rankin kwiknęła coś niezrozumiale. Wszyscy zgadzali się z milady, tak tak, co racja to racja, prawdę rzekła, trafiłaś w sedno itp.

Milady uśmiechnęła się przymilnie do Rankina, by uzmysłowić mu, że się tylko z nim droczy. Zauważyłam, że poseł Duncan Pollock posłał jej długie, pełne podziwu spojrzenie, był tak wytworny, że aż potworny.

Tymczasem Muriel i ja zakończyłyśmy obchód stołu i wszyscy goście mieli już zupę w talerzach. Ponieważ Krasulica nie była mi potrzebna, popchnęłam ją w stronę wyjścia i zamknęłam za nią drzwi. Następnie wyjęłam z kredensu butelkę czerwonego wina i znów ją mam krążyć dokoła stołu, wypełniając tym razem malutkie kieliszki. Tak jak mi polecono, zaczęłam od pani Rankin, lecz zapomniałam, że potem była kolej milady i zanim to sobie uświadomiłam, zdążyłam już nalać wina panu Jamesowi. Nikt chyba tego nie zauważył, więc dalej sunęłam dokoła stołu zgodnie z ruchem wskazówek zegara.

Jak już ten buldog Rankin schwytał kość w stare zębiska, to ani myślał jej wypuścić. Począł głośno deliberować, czy pan tego domu chce może zgadnąć ile pieniędzy on, Rankin, zarobił przez przekształcenie pola w kopalnię. Pan James odpowiedział uprzejmie, że nawet nie śmie się domyślać. A kiedy Rankin dalej uparcie nalegał, pan James spróbował zmienić temat. Rankin jednakże wpadł mu w słowo i wymienił dwie sumy, jedną dużą, drugą astronomiczną, i poprosił rozmówcę, by ten z łaski swojej wybrał jedną z nich jako bliższą jego zdaniem wysokości dochodów z kopalni.

Choć suma druga prezentowała się imponująco, trudno było się spodziewać, że Rankin przechwalałby się pierwszą z podanych liczb. Pan James czuł chyba, że przegrał potyczkę. Oczy wszystkich zwróciły się teraz na niego, on zaś niechętnie wymienił większą z dwóch sum. Rankin zaśmiał się krótko, po czym wałnął pięściami w stół, aż zabrzęczały wszystkie sztućce.

- Nieźle jak na biednego chłopca z Linlithgow, co? - powiedział i wskazującym palcem uderzył się we własną pierś, żeby nikt nie miał wątpliwości, kim jest ów biedny chłopiec. - No i co? Co wy na to, he?

Wtedy wszyscy zachowali się poprawnie i należycie: roześmiali się wesoło i wymruczeli gratulacje. Wszyscy - oprócz dwóch osób, to jest pośła Duncana Pollocka, który w milczeniu śledził przebieg rozmowy z drugiego końca stołu, i pana Jamesa, który musiał się poczuć nieswojo, bo przecież Rankin poczynał z nim sobie jak z marionetką. Gospodarz wodził niespokojnym wzrokiem po gościach, na niego jednak nikt nie spojrział, nikt oprócz milady. Ta ostatnia zwróciła się do pani Rankin, oddalonej od niej o kilka krzesel.

- Musisz być bardzo dumna z Mungo - rzekła głosem zupełnie opanowanym. - Radzi sobie wspaniale, prawda? - Co powiedziawszy, z olśniewającą płynnością przeniosła uwagę na Flemynga. - Powinieneś napisać o nim wiersz. - I uściśliła: - Poemat heroiczny.

Flemyng uniósł wzrok znad zupy, cokolwiek wystraszony. Podejrzewam, że pisanie poematów heroiczych ku czci pana Rankina nie stanowiło szczytu jego ambicji. Milady patrzyła już jednak na pośła Pollocka.

- Czy wie pan, panie pośle, że obecny tutaj pan Flemyng cieszy się coraz większym uznaniem w kręgach literackich? Jego wiersze bywają cudowne. To nasz własny Rabbie Burns.

- Och, skądże, to nazbyt pochlebne! - zaprotestował Flemyng, ale nikt się nim nie przejmował, był to wszak tylko dzierżawca.

Milady dalej zwracała się do Duncana Pollocka, który nie mógł oderwać od niej wzroku.

- Podobno jest pan, panie pośle, wielbicielem poezji. To prawda? - spytała.

- W rzeczy samej - odparł. - Przyznam jednak, że moją największą miłością są pieśni. Uwielbiam co prawda piękne słowa, lecz wolę, by towarzyszyła im miła sercu melodia.

Człowiek ten mówił wolno, wymawiając wyraźnie każde słowo w sposób typowy dla kogoś, kto przywykł, że się go słucha. I choć nie powiedział nic szczególnie głębokiego, słuchano go z namaszczeniem, niby Wielkiego Filozofa. Kiwano głowami, przytakiwano półgłosem, a parę osób się nawet zaśmiało, mimo że nie powiedział też nic szczególnie śmiesznego.

- Czy lubi pan Haydna, panie pośle? - zaskrzeczał nagle McGregor-Robertson. - A może Mozarta? Może Boyce'a?

Duncan Pollock pogładził się po bokobrodach.

- Niezupełnie - rzekł w odpowiedzi. - Preferuję muzykę prostszą, skromniejszą. Zwykłe piosenki, ludowe ballady.

- Aha-ha! - odezwał się raptem pastor i mrugnął okiem nie bardzo wiadomo do kogo. - Mój drogi braciszek ma obsesję na punkcie melodyjek ludowych, a im one prostsze, tym lepiej. Takie rzeczy usłyszec można na ulicach Glasgow w wykonaniu najzwyczajszych uliczników, nie wiem doprawdy, co go w tym tak zachwyca.

W tym momencie sięgnęłam po kieliszek milady, by napełnić go czerwonym winem, lecz ona chwyciła mnie za nadgarstek.

- W takim razie - zwróciła się do Pollocka - mamy tu może kogoś, kto pana zaintryguje. - Dalej ścisnęła mi lewą dłoń, byłam w potrzasku. W sercu poczułam paniczny strach, że milady powie teraz o mnie coś niezbyt dla mnie korzystnego.

- Proszę panią? - mruknęłam. Jezu Marysieński, miała szczęście, że nie zdzieliłam jej po łbie butelką z winem. Ona jednak mnie nie dosłyszała, dalej zwracała się do Pollocka.

- Bessy sama układa piosenki i śpiewa je, chodząc po domu. Nie jestem wprawdzie szczególnie umuzykalniona, ale pan, panie pośle, na pewno potrafi je adekwatnie ocenić. Bessy naprawdę cudnie śpiewa. - Spojrzała na mnie z tym swoim ujmującym uśmiechem na ustach. - Bessy, moja droga - powiada. - Zrób nam ten zaszczyt i zaśpiewaj którąś ze swoich wspaniałych piosenek.

Odwołała się wzrokiem do reszty zgromadzonych. Wszyscy spojrzeli na mnie. Przed nimi stały puste talerze, ich twarze mieniły się w blasku świec.

- Aha-ha, Bessy, prosimy! - odezwał się przymilnie Poldek, jakby znał i uwielbiał moje piosenki - a przecież nigdy ich krucafuks nie słyszał!

Wyczuwając moje wahanie, milady wzmocniła uścisk na nadgarstku.

- Bessy, zaśpiewaj, proszę - rzekła łagodnie. - Pan Flemyng jest znanym zbieraczem pieśni. Może do swojej kolekcji włączy i jedną z twoich piosenek? Jestem pewna, że szuka właśnie czegoś takiego. Musisz zaśpiewać. Choćby jedną zwrotkę z refrenem.

- Dalej, Bessy! - wykrzyknął znad stołu pan James z lekko zaczerwienioną twarzą. - Zaśpiewaj nam coś! - Począł klaskać i spojrzeniem zachęcił innych, by się do niego przyłączyli, aż w końcu wszyscy klaskali, gapiąc się na mnie. A przecież ja jeszcze niczego nie zaśpiewałam! Czasami jest miło, gdy o to proszą. Jednakże nikt nie lubi być traktowany jak cyrkowa małpka. Milady nie dbała o mnie ani ociupinkę. Chciała jedynie zrobić wrażenie na honorowym gościu. Wciąż uśmiechała się do mnie zachęcająco. Później na pewno obsmaruje mnie w tej swojej książeczynie, opisze reakcję służącej na wydane jej polecenie. No, pomyślałam, dam ci ja występ, oj, dam.

Odstawiłam butelkę i cofnęłam się od stołu. Następnie zwróciłam się do publiczności.

- Piosenka ma tytuł *Wiatr, który wieje na Barrack Street* - rzekłam i od razu zaczęłam śpiewać. Tytuł brzmi romantycznie, ale był to

jeden z moich najsprośniejszych utworów, o facecie, który ma problem z gazami jelitowymi i pierdzi w miejscach po temu niestosownych. Oto fragmencik:

*Na Barrack Street mieszka cukiernik
Co przy szalecie ma sklepik
Na Barrack Street mieszka cukiernik
Cierpiący na gazy z jelit*

*Nie wolno mu jadać fasoli
Gruszek i jabłek i śliwek
Kapusty i kalafiora
Uważać musi z pieczywem*

*Na Barrack Street wieją wiatry
Wiatry, co budzą trwogę
I niosą złe aromaty
Zwróćcie na to uwagę*

*W targowy dzień cukiernik piecze
A jego sklep podskakuje
Woń niesie się aż do Cowlairs
Gdy tak swe gazy pompuje*

*A gdy na stypę coś piecze
Dla żałobników kregu
To wszyscy nos zatykają
Bo może znowu fest pierdnąć*

*Na Barrack Street wieją wiatry
Wiatry, co budzą trwogę
I niosą złe aromaty
Zwróćcie na to uwagę*

(I tak to leci jeszcze przez kilka zwrotek: cukiernik zakłóca przebieg wesela, wypala dziurę w kalesonach itp.)

Usłyszawszy tytuł piosenki, milady wyglądała na wniebowziętą, lecz uśmiech zrzędł jej troszkę pod koniec pierwszej zwrotki, a kiedy przyszło do refrenu, i ona, i jej małżonek sprawiali wrażenie niezbyt szczęśliwych i zerkali trwożliwie w stronę swego wielce szanownego gościa. Wszyscy jednak siedzieli jak trusie. Pod koniec pierwszego refrenu pan poseł Duncan Pollock zaczął chichotać i chichotał coraz głośniej, aż chichot przeszedł w donośny śmiech. Widząc, że poseł dobrze się bawi, pan James i milady również zaczęli się śmiać, pan James śmiał się wręcz histerycznie. Pozostali goście wzięli z nich przykład i przyłączyli się do powszechnego rozbawienia. Wszyscy prócz pastora Pollocka, on bowiem siedział wielce stropiony, z czego wysnułam wniosek, że prezbiterianie nigdy nie pierdzą. Kiedy skończyłam, brat jego, Duncan, bił mi brawo tak mocno, jakby dłonie mu się paliły. Bił brawo mnie, bił brawo milady, nie wiem, czemu jej też, może dlatego że wykazała się ogromną mądrością, biorąc do siebie taką służącą.

Dygnęłam i spojrzałam na milady.

- Czy mam coś jeszcze zaśpiewać, proszę pani?

Śmiała się jeszcze wesoło i wachlowała się serwetką, rzeczywiście wyglądała na zgrzaną.

- To była w istocie bardzo zabawna piosenka, Bessy - powiedziała.
- Ale na dzisiaj już wystarczy. Poza tym nasi goście muszą jeszcze coś zjeść. - Po czym zwróciła się do Flemynga. - Jak ci się podobało, Davy? Miałbyś ochotę włączyć do swojej kolekcji takie piosenki?

Flemyng, który właśnie łyknął wina, zakrzusił się gwałtownie.

- A tak, owszem - odparł, gdy skończył kaszleć. - Chętnie spisuję pieśni, których wcześniej nie słyszałem. To znakomity pomysł.

Milady skinęła głową.

- Zatem rzecz jest postanowiona - powiada. - Wyślę Bessy do ciebie i będziesz mógł sobie spisywać do woli. - Następnie, dając do zrozumienia, że z tym panem już skończyła, zwróciła się do posła Pollocka. - James i ja wierzymy głęboko, że trzeba dbać o przetrwanie

ludowych podań i pieśni - powiada (kłamstwo!). - Musimy, rzecz oczywista, patrzeć w przyszłość, nie wolno nam wszakże zapominać o przeszłości - kiwnęła głową w stronę pana Rankina.

Pan Duncan Pollock uśmiechnął się. Wpatrywał się w nią, jak gdyby chciał ją schrupać na miejscu (albo przynajmniej skubnąć tu i ówdzie).

- W pełni się z tobą zgadzam, Arabello - rzekł i uniósł kieliszek.
- Za szanowną i mądrą panią tego domu. I oczywiście za jej małżonka.

Z mniejszym bądź większym entuzjazmem zebrani wypili zdrowie gospodarzy. Najgorliwiej uczynili to McGregor-Robertson i Flemming, którzy wysoko wzniesli kieliszki i powtórzyli jeden po drugim: - Za panią domu. - Pastor Pollock, pijąc toast, uśmiechnął się do niej promiennie, z kolei Rankin uniósł wino do ust i niech mnie, jeśli wypił choć kroplę za zdrowie milady, a pani Rankin trzymała tylko kieliszek z matowym uśmiechem na ustach, ale też nic nie wypła, i nie kwiknęła nawet po swoim, bo w końcu milady zepchnęła ją w cień.

Gdy towarzystwo sobie jadło, zwędziłam butelkę czerwonego wina i popijałam sobie potem w spiżarni przez resztę wieczoru, tak że po wyjściu gości i posprzątaniu kuchni byłam już na lekkim cyku. Postanowiłam jednak żłopnąć sobie solidnie, wybierając się w tym celu do którejś z miejscowych knajpek. Kiedy więc Hector i Krasulica poszli już każde w swoją stronę, gdy pan i pani udali się do łóżka, ja cichaczem wymknęłam się z domu.

Co prawda najkrótsza droga do Snatter wiodła przez łąki, lecz bałam się, że pobłądzę w ciemnościach, toteż na wszelki wypadek wybrałam szlak dłuższy: najpierw ścieżką, potem Wielkim Gościńcem. Szczęściem na niebie świecił półksiężyc, a chmur było mało, bo inaczej nie widziałabym nóg przed sobą. Po przejściu mniej więcej mili gościńcem na ciemnym tle nieba zamajaczyły pierwsze zabudowania Snatter. Wszędzie pusto, żywej duszy, w końcu późno już było. Udałam się prosto do karczmy „Za Węgłem”, która mieściła się w jednym z pierwszych domów po lewej. Chociaż drzwi na werandę były prawie zamknięte, dosłyszałam zza nich gromki śmiech. Na progów zawaha-

łam się jednak. Minęła już kapka czasu od mojej ostatniej wizyty w przybytku tego rodzaju, poza tym te okolice wciąż były dla mnie obce. Zaskoczyła mnie również myśl, że milady nie pochwaliby mojej wyprawy, oj, ani trochę.

Co ja plotę, pomyślałam. Mam się jej bać, spełniać jej życzenia? Uszczypnęłam się. Weź się w garść, mówię sobie. Otwarłam drzwi i znalazłam się na długiej werandzie, w której sprzedawało się trunki na wynos. Okienko w ścianie było zamknięte, ale po chwili rozległ się za nim kolejny wybuch śmiechu. Zapukałam w kłapę, śmiech ustał. Przez chwilę było zupełnie cicho, po czym dobiegły mnie nerwowe szepty i odgłosy przesuwania krzeseł po kamiennej posadzce. I znowu szepty, i znowu jakieś szuranie. Potem znów cisza. A potem kłapa się uchyliła i z okienka wyjrzała ciemnowłosa kobieta o twarzy charta. Domyśliłam się, że to Janet Murray, właścicielka. Milady coś kiedyś o niej wspomniała.

- Tak? - powiada. - Czym mogę służyć?

Chciała, bym pomyślała, że jest sama, lecz zdradziło ją wnętrze salki za jej plecami. Paliło się tam kilka świec. Dojrzałam ławę, a wokół niej kilka stołków, odsuniętych od ławy i jakby dopiero co zwolnionych przez spoczywające na nich osobistości. W powietrzu unosił się zapach tytoniu. Na ławie widać było wilgotne kręgi, jakie zostawia po sobie przepełniona szklanka, tudzież kilka bezładnie rozrzuconych kart do gry. Ale ani żywej duszy.

Janet wpatrywała się w ciemność za moimi plecami. Mówiła przez nos.

- Czego ci trzeba?

- Piwa - odparłam. - Wiem, że jest późno, ale wypiję tutaj, nie będę wchodzić do środka.

I położyłam monetę na parapecie okienka.

Janet podniosła ją, przyjrzała się jej uważnie, po czym wrzuciła do kieszeni i przyniosła mi szklankę piwa. Patrzyła, jak piję pierwszy łyk. Następnie pochyliła się do przodu i rzekła niegłęboko:

- Powiem ci coś. Jest tutaj paru moich znajomków. - Wskazała kciukiem zasłone w rogu sali. - Chcieliśmy uczcić dobre nowiny.

Wszystko to na mój koszt, się rozumie! Ani grosika nie wysupłali! Ale teraz, jeśli łaska, wrócimy do zabawy, dobrze?

Machnęła ręką w stronę ławy.

- Jasne - mówię. - Proszę bawić się dalej.

Na te słowa Janet odchyliła się do tyłu i zagwizdała. Tuż potem zasłoneż w rogu odsunęła jakaś niewidoczna dłoń i do sali wtoczyło się kilku potępieńców ze szklankami i kuflami, był wśród nich Stefcio Sumka. Wszyscy oni tłoczyli się chyba w bardzo niewygodnej wnęce, bo teraz z wyraźną ulgą prostowali i wyciągali zdrętwiałe kończyny. Jeden po drugim zajęli miejsca przy ławie, obdarzając mnie krótkim spojrzeniem lub skinieniem głowy. Stefcio Sumka usadowił się w narożniku i liczył już punkty na kostkach domina. Jako ostatni pojawił się Bocheniek. Uśmiechnął się do mnie szyderczo, jawnie zdeglustowany obecnością młodej dziewczyny w karczmie, patrzcie no tylko na te jej cycki, wstyd i hańba, kto to widział. Hipokryta! A gdy siadał za ławą, specjalnie wybrał miejsce, w którym mógł obrócić się do mnie plecami.

Zaczęły kurzyć się fajki i karty znów poszły w ruch.

- Widzisz? - powiada Janet. - Nie zapłacili za piwo ani pensa. Ale wiadomo, jak to może zrozumieć ktoś obcy, no nie?

Świetnie wiedziałam, w czym rzecz. Minęła północ, zaczęła się już niedziela i nie wolno było serwować alkoholu. Obchodziło mnie to tyle, co kuśka zdechłego wieprza.

- A ty, kochaneczko? - pyta Janet. - Dokąd to się w nocy wybierasz?

- Donikąd - mówię. - Pracuję opodal i wyszłam sobie rozprosować kości.

- Co ty powiesz? - Zmierzyła mnie wzrokiem, nagle bardzo zaciekawiona. - A gdzie to niby pracujesz? Nie widziałam cię tu jeszcze.

- W Zamku Haivers - odparłam. - Robię tam za służącą.

No, teraz to popatrzyła na mnie, jakbym operowała miechem u samego Belzebuba.

- W Zamku Haivers? - rzekła.

- Owszem.

Wręczyłam jej opróżnioną szklanę i kolejną monetę. Piwo okazało się lurowate w porównaniu z tym, które pijaliśmy w Glasgow, ale najgorsze nie było. Janet nalała mi następną szklanę, gapiąc się na mnie niby na jakiś okaz egzotyczny. Na ścianie widniał napis „Pokoje do wynajęcia”, a tuż pod nim pisało „Brak wolnych miejsc”. Nijak nie mogłam tego rozgryźć. Były tu wolne pokoje czy nie?

- Morag - odezwała się Janet - ta dziewczucha, co pracowała tam przed tobą, często tu przychodziła. Prawie co wieczór. Ubaw żeśmy razem miały ogromny. - Wzięła do ręki swoją szklanę i uniosła ją ku mnie. - Nie żebym była plotkara - powiada. - Ale rzeknij mi, jeśli łaska, jak traktuje cię pani Reid?

- Dobrze - odparłam.

- Nie zamyka cię w spiżarni, gdzie głodujesz dni całe?

- Nie.

Janet patrzyła na mnie z niedowierzaniem.

- A wypłacili ci już pobory?

Rzeczywiście nie wypłacili. Milady dawała mi czasem po kilka pensów, lecz pełnej pensji nie otrzymałam. Była to jednak moja sprawa i nikomu nic do tego.

- Wypłacili - odparłam.

- To masz szczęście - powiada Janet. - Imć pan James Reid za parę pensów byłby uściśnął się z trupem. Wszystko robi tam jedna słaba dziewczuszka, nie do wiary po prostu... W takim wielgachnym domu! Toż to bez sensu. Powinni wziąć gospodynię i co najmniej dwie służące, a twoja pani winna mieć jeszcze pokojówkę. Ale nie, pan się nie zgodzi, za duży z niego dusigrosz. Wiesz, co ci powiem?

- Nie - mówię. - Nie wiem. (Wiedziałam już za to, że Janet to stara plotkara).

Janet podciągnęła pod szyję swój szal.

- No wiesz - powiada. - Ten twój James Reid żałuje grosza na służbę, ale pod łóżkiem ma dziewięć nocników wypełnionych szczerym złotem.

Przez chwilę patrzyłam na nią bez słowa, potem zaś powiedziałam, że pod łóżkiem mojego pana stoi tylko jeden nocnik, że opróżniam

go co rano i że - spokojna głowa - jego zawartość nie ma wiele wspólnego ze złotem.

Janet gapiła się na mnie szeroko otwartymi oczami.

- Dziewięć nocników - powtórzyła. - Wszystkie pełne złota. Jak piwo?

- Piwo jest całkiem znośne - odparłam. - Mniej odpowiada mi ta mrówka. - Albowiem przedstawicielka tego gatunku tonęła właśnie w mej szklance, rozpaczliwie machając drobnymi kończynami. Janet spojrzała na nią.

- Pewnie była już w szklance - powiada. - Nie w piwie.

Na te słowa odetchnęłam z ulgą. Dopiliśmy resztkę piwa i oddałam szklankę.

- Dziękuję - mówię. - Czas już na mnie.

We wzroku Janet pojawiło się teraz bezgraniczne współczucie.

- Biedactwo ty moje. To okropne, że musisz sama wracać do tego straszego domu. Przecie służące tam umierają.

Plotki plotkami, lecz to ostatnie zdanie wzbudziło moją ciekawość.

- Służące? - mówię. - To znaczy? Ile służących?

- Jedna zginęła na pewno. Ale też wiele innych zniknęło.

Gapiłam się na nią.

- A tak - powiada. - Jednego dnia są i pracują, a następnego ślad po nich ginie.

Roześmiałam się.

- Stwierdziły, że mają dość takiej harówki i ulotniły się nocną porą, prawda?

Janet spojrzała na Stefcia Sumkę, jakby chciała się z nim skonsultować, lecz on właśnie lizał kostkę domina i nie wyglądał na autorytet w jakiegokolwiek dziedzinie. Pozostali panowie (łącznie z Bochenkiem) zajęci byli grą, piciem i swymi fajkami, i nie śledzili naszej babskiej paplaniny.

Janet przeniosła wzrok na mnie.

- A co pani Reid powiada o Norze, o tej dziewczuszce, co jej się zmarło?

- Nigdy nic o niej nie mówi - odrzekłam zgodnie z prawdą (jeśli pominąć poświęcone Norze stronicę *Obserwacji*).

Janet aż wytrzeszczyła oczy. Parę razy kiwnęła głową, jakbym właśnie jej czegoś dowiodła.

- O co chodzi? - spytałam.

- Ona nie ma specjalnej ochoty opowiadać o Norze, no nie? - odparła Janet. - Dziewucha upiła się i wpadła pod pociąg, taka jest wersja oficjalna. Ale wiesz, co ci powiem?

- Nie.

- Założę się, że Nora tak po prostu nie wpadła pod pociąg.

- Co ty gadasz? - Gapiłam się na nią, trochę ogłupiała.

Janet skrzyżowała ramiona na piersi i zacisnęła usta.

- Zapytaj tę swoją panią Reid - rzekła Janet. - Zapytaj, jak zmarła Nora. Ciekawe, co ci odpowie.

- Może i spytam - odparłam.

Nie przywiązałam wtedy do tego nazbyt wielkiej wagi. Byłam pijana i myślałam, że Janet dalej sobie plotkuje, te jej dziewięć nocników ze szczerym złotem, te wszystkie głupoty o milady i Norze. Próbowwała coś ze mnie wyciągnąć, wobec tego trzymałam gębę na kłódkę. Właściwie to spać mi się już zachciało, pożegnałam się i wyszłam.

Dopiero znacznie później jęłam rozmyślać o słowach Janet i zaczęły ogarniać mnie wątpliwości. A chyba już tu wspomniałam, że miewam je nader rzadko.

Wpadam na pomysł

Nazajutrz po Uroczystej Kolacji pan James był w doskonałym nastroju i aż mruzczał z zadowolenia, pałaszując swoją owsiankę, tak właśnie: mruzczał, mruzczał i mruzczał. Kolacja okazała się wielce udana, ponieważ na odchodnym poseł Duncan Pollock zaprosił Reidów na swój kolejny raut w Edynburgu (zaznaczył z naciskiem, że liczy na obecność milady). Żebyście, Panowie, zobaczyli wtedy pana Jamesa: puszył się jak gąsior wiosną. Na litość boską, wszak ani by nie mógł roić sobie o Duncanowym raucie, gdyby nie jego nadskakująca małżonka.

Przez cały dzień lało jak z cebra. Po południu milady przyzwała mnie dzwonkiem, a kiedy stawiałam się w salonie, rozplywała się w uśmiechach i zachwytach nad moim cudnym występem z poprzedniego wieczoru. Świetnie, Bessy, wspaniale Bessy, mówiła. Doskonale, przepięknie, wybornie. Spadłam jej z nieba i jestem wyjątkowa, jedyna w swoim rodzaju itepe, itede.

No to teraz słuchajcie mnie, Panowie. Byłam tak pierońsko cudowna i wyjątkowa, że milady kazała mi podrałować w deszczu do Thrashburn Farm, by tam zachwycać swym śpiewem imć pana Flemynga! Reidowie pragnęli zapewne pochwalić się później posłowi Pollockowi, że troszczą się „o przetrwanie ludowych podań i pieśni” czy coś w ten deseń. Bez dwóch zdań: dla milady stanowiłam tutaj instrument, który miał pomóc jej w wywarciu wrażenia na tych wszystkich pas kudnych znajomkach. Zrobiłabym jej niezłe kuku, gdybym po prostu poszła sobie teraz gdzie bądź i już do niej nie wróciła. I pewnie zdołałabym się na to, gdyby nie deszcz.

Thrashburn leżało na północ od Zamku Haivers, szło się tam dwadzieścia minut, wiejską drogą, przez wiadukt kolejowy. Milady wcześniej posłała tam Hectora z liścikiem, co zapowiadał moje przybycie. Szłam różnym krokiem, ale i tak przemokłam do nitki, woda spływała mi wręcz po plecach. Thrashburn znajdowało się w opłakanym stanie. Jeden ze słupków bramy prawie że się zawalił i wszystko właściwie było tam zarośnięte czerniejącymi chwastami i trawą. Całe obejście składało się z parterowego domku i przylegającej do niego niewielkiej stodoły. Po podwórzu kręciło się kilka smutnych kur.

Gdy zapukałam, otworzył mi osobiście sam Flemming, który następnie odwrócił się bez słowa i zaprowadził mnie do jedynej tam pokoju. W kominku palił się ogień, a wewnątrz mroczniejącego już pomieszczenia rozjaśniała też lampa. Rozejrzałam się i odniosłam wrażenie, że wszystko jest tam pokryte plikami rękopisów i zmiętym pergaminem. Na podłodze piętrzyły się stosy książek. Rozliczne te papierzyska były gęsto zapisane, a wiele z nich zawierało skreślenia. Flemming wyglądał jakoś inaczej i dopiero po chwili zorientowałam się, że tym razem nie ma na nosie okularów. Chodził teraz nerwowo po korytarzykach między stertami książek, podczas gdy ja ścigałam z siebie płaszcz i szal. Myślałam wtedy, że czegoś szuka, ale obecnie wydaje mi się, iż unikał mojego wzroku przez najzwyczajszą nieśmiałość.

Co się mnie tyczy, to nieznajomi panowie raczej nie napawali mnie trwogą.

- Jeszcze nigdy nie rozmawiałam z poetą - mówię. - To znaczy, żeby nie skłamać, jeden dziobaty domokrażca pokazał mi kiedyś balladę, co ją napisał na poplamionym skrawku papieru. Ale poezja to chyba coś innego?

Flemming przestał się kręcić, a twarz jego zachmurzyła się na sekundkę. Chyba nie spodobało mu się moje bajanie o domokrażcach i brudnych skrawkach.

- Kolekcjonuję ballady śpiewane przez domokrażców - odrzekł - to prawda, to rzecz wiadoma, owszem. Ale jak się zapewne domyślasz, własne moje poezje nie mają z tym wiele wspólnego. Inny jest w nich

układ wiersza i większa dbałość o metrum, rytm, rymy, prozodię oraz, rzecz oczywista, znaczenie.

- Och, ma się rozumieć - powiedziałam, chociaż nie miałam bladoego pojęcia, o czym ten człowiek mówi.

- Żadnej tandety, żadnej kliwoci czy afektacji - ciągnie on. - Nic z tych rzeczy.

Nie wiem dlaczego, ale poczułam się osobliwie, bo przyjemnie urażona. Wskazał stojącą na kredensie butelkę wina.

- Może kielicha? - spytał.

Ręce mu drżały. Zauważyłam, że butelka jest w połowie opróżniona. Pewnie zdażył już sobie gołnąć kilka głębszych dla kurażu.

- Nie, dziękuję, sir - odparłam. Prawdę mówiąc, chętnie bym sobie łyknęła coś niecoś, ale łeb mnie troszkę pobolewał po wczorajszym wińsku i piwie.

Fleming podniósł z fotela jakieś papiery i położył je na stole.

- Usiądź, proszę - powiedział, wskazując fotel. Kiedy usiadłam, przykucnął przy mnie i zwrócił się do mnie przymilnym głosikiem, jak do małego dziecka: - No, Bessy, te twoje piosenki... Rozumiem, że sama je ułożyłaś?

- Tak, sir.

- Wspaniale. Cudownie. Zatem nie są to rzeczy gdzieś zasłyszane, na przykład od domokrażcy, o którym wspomniałaś przed chwilą?

- Nie, sir. Ale takie też znam, takie, co je ludzie tu i tam śpiewają: *Wszystko dam za kromkę chleba, Jessie z doliny* i tak dalej. To znają wszyscy. Ale one nie myślą mi się z moimi własnymi piosnkami.

- To świetnie - rzecze Fleming. - Jestem niezmiernie wdzięczny twojej pani za to, że cię tutaj przysłała. Naprawdę cudowna z niej kobieta. Bardzo inteligentna i uczynna. I, trudno tego nie dodać, piękna.

O tak, dupku żółędny, o tak, pomyślałam. Korciło mnie, żeby coś mu powiedzieć, coś o tej wstrętnej księżce milady. No ale ci-cho-sza! rzekłam sobie, cytując mojego pana Levyego.

Fleming uśmiechnął się, wstał i dorzucił węgla do kominka. Gdy odwrócił się do mnie, z rękami założonymi za plecy, płaszące w tle iskry i dym tudzież świątobliwy wyraz twarzy upodobniły go do mę-

czennika, którego spalają na stosie. Mało brakowało, a byłabym się rozchichrała. Chcąc tego uniknąć, szybko zadałam pytanie.

- Co pan zrobi z moimi piosenkami, sir?

Zmarszczył brwi.

- Nie jestem pewien, Bessy - odparł. - Jeżeli posiadają jakąkolwiek wartość, należy opublikować je drukiem. W ten sposób uda się je ocalić. Być może poślę je do mojego wydawcy, niech on rzecz oceni. On jednak, niestety, wciąż czeka na moje kolejne wiersze, muszę więc skończyć ten, nad którym obecnie pracuję.

- A o czym on jest, sir? Jeśli wolno zapytać.

- O czym? Och, o wielu różnych rzeczach, Bessy. O wielu rzeczach. Na poziomie najprostszym traktuje o duchach, które wedle miejscowych podań straszą w paru edynburskich dzielnicach. Wszystko zaczęło się kilka setek lat temu, kiedy w obliczu zarazy ojcowie miasta odcięli murami kilka kwartałów, wydając na pastwę śmierci każdego mieszkającego tam człowieka oraz cały inwentarz żywy. Później pocięto gnijące ciała i wywieziono je za rogatki miasta. Od tego czasu widuje się tam i słyszy dziwne rzeczy zaiste. Odgłosy szurania nogami. Skrzypiące sufity. Odcięte kończyny. Głowy bez tułowia, o przerażającym spojrzeniu. Upiorne dzieci z ropiejącymi ranami na twarzach. Widma zdeformowanych zwierząt.

- Boże drogi - rzekłam. Myślałam, że Flemming pisze wiersze o kwiatkach albo o letnich pogodnych dniach. A ten tu teraz o ciarki mnie wręcz przyprawił, do tego za oknem robiło się ciemno.

- Czy... Czy pan naprawdę wierzy w duchy, sir?

- Proszę? - powiada. - Nie, nie. To tylko zabobon. Ale ja, oczywiście, wykorzystuję go tutaj metaforycznie. - Spojrzał na zegarek.

- Tak czy inaczej, *tempus fugit*. Musimy zabrać się do pracy. - Przybrał pozę człowieka wsłuchanego, dłoń oparł na biodrze, głowę wychylił nieco w przód, wzrok wlepił w podłogę. - Możesz zacząć już teraz. Tylko, proszę, lepiej nie śpiewaj piosenki z wczorajszego wieczoru.

Odchrząknęłam, starając się odpędzić myśli o zdeformowanych upiorach i ropiejących ranach.

- Ta piosenka - mówię - jest o naszym przybyciu do Szkocji...

Nie zmieniając pozycji głowy, Flemming przerwał mi ruchem ręki.
- Proszę cię bardzo - rzekł. - Bez długich wstępów. Dobra pieśń nie potrzebuje wyjaśnień.

- Rozumiem, sir. A... czy mam podać tytuł?
- Tytuł owszem - powiada. - Jakże on brzmi?
- *Ailsa Craig*. Tytuł brzmi *Ailsa Craig*.

Byłam z tej piosenki bardzo dumna, bo wplotłam w nią trochę własnych doświadczeń, chciałam je skrzętnie zamaskować. Oto i ona.

*Wszyscy, co chcecie ruszyć w drogę i puścić się przez morze
Słuchajcie mnie, bo swą opowieść już teraz wam przedłożę
Lat mam dwanaście, ładna jestem, Mary Cleary mnie wołają
A gdy się zmarło memu tacie, tośmy musiały wybyć z kraju
Matula wzięła mnie w ramiona, mówi mi: nie płacz, kochana
W Szkocji trza szczęścia spróbować, wypływamy jutro z rana*

(refren)

*Mówiła, że Szkocja jest piękna
Szkocja, mówiła, jest pełna blasku
Tam miasta czyste są i zielone
A najcudniejsze z nich to Glasgow*

*I wypłynęłyśmy na morze w rzeczy samej wcześniej z rana
Lecz gdym zoczyła łód przed nami, poczułam się oszukana
Albowiem Szkocja była skałą, co z morza w górę wyrasta
Szarą i brudną jak ząb stary albo jak trupia czaszka
Bez pięknych miast i parków, same kamienie, skrzek mew
Pejżaż to był arcysmutny, lał się ze mnie potok łez*

(powtórka refrenu)

*Co cię trapi, kochanie? Skądże ten smutek? - pyta matka
Wysłuchiła moich żalów i w te słowa mi odrzekła*

*Nie bój się, ta wysepka nie jest celem naszych zachodów
To Ailsa Craig, Skata Elfów, ważna dla obu narodów
Leży bowiem w połowie drogi między naszymi krajami
Wkrótce dotrzemy do Broomielaw, spotkamy się ze Szkotami*

(powtórka refrenu)

*Teraz mieszkamy na Gallowgate, gdzie ulice są szerokie
Kamienice odświeżone, czynsze nigdy zbyt wysokie
Jest tu czysto, a dym z kominów nigdy nie gryzie w gardło
Jesteśmy wielce majątne, lecz... dość już tych kiepskich żartów
Matka kłamała, bo życie w Glasgow nie jest sielanką żadną
A w porównaniu Ailsa Craig zdaje się wyspą być ładną*

(powtórka refrenu, koniec)

Gdy wybrzmiała ostatnia nutka, dygnęłam i czekałam na reakcję. Flemyng okazał już swoje uznanie, kilkakrotnie uderzając lekko dłonią o dłoń na wysokości opuszków palców, przypominało to nieco klaskanie, tyle że bezgłośnie.

- Nieźle - powiada. - Rzecz jasna, zmieniłbym kilka fraz tu i ówdzie, lecz ogólnie rzecz biorąc, jest to piosenka bardzo przykładowa w swej typowości.

Nie wiedziałam za bardzo, czy są to słowa dla mnie pochlebne, ale uznałam, że za takie należy je przyjąć.

- Dziękuję, sir - odparłam. - Czy chce pan ją spisać?

- A tak, czemu nie - powiedział. - Niech no tylko...

Odwrócił się i jął gmerać w stosikach leżących na stole papierów, aż w końcu wygrzebał spod nich pióro, kałamarz i okulary. Te ostatnie osadził na nosie i rzekł:

- No dobrze. Zaczynaj, Bessy.

W sumie odśpiewałam mu tego dnia cztery piosenki. Przenosił je na papier, dopisując do słów jakieś znaczki. Gdy zapytałam, czemu te znaczki służą, odparł, że pozwalają odczytać melodię, przynajmniej

tym, którzy je znają, bo dla mnie to był bełkot zupełny, zresztą dalej nie odróżniam szesnastki od ćwierćnuty.

Kiedy wreszcie od niego wyszłam, mknęłam gościńcem jak w siedmiomilowych butach, bo było już ciemno, a Flemyng napędził mi strachu tą całą gadaniną o duchach. Ulgę poczułam dopiero w kuchni Zamku Haivers. Ajak tylko odetchnęłam bezpiecznie, ogarnęła mnie duma z siebie samej, bo przecie sam pan poeta wyśle, być może, moje piosneczki do imć pana wydawcy. Niech ja wtedy zobaczę wyraz twarzy milady, która tak bardzo chciała wydać drukiem te swoje *Observacje*. Na razie jednak wolałam jej o niczym nie mówić, bo Flemyng mógł wszak wcale moich płodów nie wysłać, a wtenczas wyszłabym na kretynkę.

Co się tyczy bredni, którymi wieczór wcześniej uraczyła mnie Janet, to byłam pewna stuprocentowo, że nie ma żadnych nocników ze złotem. Poczęłam się mimo to zastanawiać, co też Janet sugerowała odnośnie milady i Nory. Przecież milady na dobrą sprawę ubóstwiała tę dziewczynę. Nie miałam jednak pojęcia, co o swej pani myślała Nora. Może po prostu jej nienawdziła. Uzmysłowiłam sobie, że nie wiem zbyt wiele o mojej **RYWALCE**. A potem przypomniałam sobie, że w *Observacjach* milady schowała rzeczy po Norze w kufrze, co stoi na strychu. Co w tym kufrze właściwie jest? No, jeśli milady kazała mi prowadzić dziennik, to może i Nora musiała to robić? Ciekawe, co mogła pisać o milady. Jeżeli nawet skrywała prawdziwe odczucia, to może wyczytałabym coś między wierszami? Poza tym ciekawiła mnie ona sama, ta sakramencko idealna służka.

Nie zwlekałam. Jeszcze tego samego wieczoru, kiedy milady i pan James udali się już na spoczynek, wymknęłam się na paluszkach z mojego pokoju. Na końcu korytarza, za małymi drewnianymi drzwiami, znajdowały się schody wiodące na duży strych. Nigdy wcześniej tam nie byłam, nie było po co, nadto zajrzałam tam kiedyś przez szparę w drzwiach i Jezu Marysieński aż ciarki mnie przeszły, taki mrok, taki ziąb.

Teraz zaś otwierałam rzezione drzwi i ruszyłam w górę po schodach. Pięć stopni, balustrada, a potem ogromna przestrzeń, ziejąca mrokiem niby jaskinia. Lodowate powietrze, wilgoć, stęchlizna uderzyły mnie w twarz i wdarły się do płuc. Nie powiem, bałam się trochę. Mimo to powtarzałam sobie, że nie wolno mi mieć zajęczego serca, że muszę zrobić, co mam do zrobienia.

Życie w Zamku Haivers nie odznaczało się zbyt i dość mi było unieść świecę, aby przekonać się, że strych jest raczej pustawy. W rogu piętrzyło się jedno na drugim kilka jadalnianych krzeseł. Poza tym dojrzałam parę walizek, uszkodzoną osłonę do kominka i szafkę na nuty z pękniętą szybą. A potem ujrzałam przedmiot, który mnie tutaj przywiódł. Stał z dała od innych rzeczy, pod ścianą, bliżej schodów, przykryty brezentem. Kufer służącej. Chociaż wspomniane walizki nie należały do drogich, w porównaniu z nimi kufer Nory wyglądał na okropnie wręcz tani i tandetny.

Uniosłam wieko i zerknęłam do środka. W blasku świecy trudno było cokolwiek dojrzeć. Pierwszą rzeczą, jaka mi się w oczy rzuciła, była para sznurowanych bucików, ładnie wypolerowanych i mało noszonych, pewnie wyjściowe obuwie Nory. Wyjęłam jeden z nich i przyłożyłam podeszwę do swojej stopy. Różnica niewielka, lecz przyznać wypada, że jej stopa była jednak ociupinkę mniejsza od mojej. Obok butów leżała Biblia i cała sterta religijnych broszurek. Na litość boską, po czymś takim od razu można by zgadnąć, że Nora zostanie świętą! Było tam również staromodne pudełko z przyborami do szycia, którego wieczko zdobił malunek: biało odziana dziewczynka bawiąca się kołem. Za nim leżała szmaciana lalka w czepku i fartuszk. Jakimż ta Nora była dzieciuchem! Obok dojrzałam metalową spinkę do włosów, zdobną w trzy malowane kwiatki, niebieskie stokrotki czy coś w tym rodzaju, oraz flakonik perfum o zapachu kapryfolium, wiem, bo otwierałam i powąchałam. Grzebiąc w kufrze, znalazłam jeszcze składany nóż z rogową rękojeścią, a także - to już na samym dnie - płataninę bielizny i pończoch, wszystko to noszone, pocerowane, lecz czyste. Nóż był niezły i mógł się przydać, toteż wsunęłam go do kieszeni. Pod bielizną znalazłam grzebień z ciemnymi włoskami

między zębami. Włosy martwej służącej. Aż ciarki mnie przeszły ze strachu.

Z tymi wszystkimi świętymi broszurami i z lalką mogłam bez trudu wyobrazić sobie tę idealną pannicę. To była jedna z tych szczęśliwych duszyczek, zawsze i wszędzie wszystkiemu radych. Gdyby kazano jej wyciąć drzewa z całego akra ziemi, wziąć je na plecy i zanieść do Coatbridge, pannica skakałaby z radości. Gdyby powiedziec: „Nora, masz tyfus”, pannica odrzekłaby, że już od dawna pragnęła się udać do nieba, aby spotkać tam swego Pana. Gdyby powiedziec: „Nogę ci trzeba, Noro, odciąć, i na dodatek zaraziłaś się trędem”, to jej reakcja z pewnością byłaby krucafuks pogodna, radosna i wesoła.

Tak czy owak, nie znalazłam dziennika, nie wiedziałam więc dalej, co Nora myślała o milady.

Żeby ja mogła zasnąć tej nocy! Leżąc, knułam zemstę na milady za podłe objęcie się ze mną. Może nagle pojawią się dziury w podszwach jej butów? A może lamówka jej sukni raptem odpadnie? Może część jej bielizny wróci do szafy niewyprana? A może cukiernica przypadkiem wypełni się solą? Może też myszy wbiegną jej pod łóżko i tam zdechną? Za to ostatnie nie będzie mogła mnie obwiniać. Tak czy inaczej, wszystkie moje pomysły zdawały się błahe i głupawe.

A potem, nazajutrz rano, milady wchodząc do kuchni sama podsunęła mi sposób na zemstę.

Wyglądała na niewyspaną.

- Bessy, moja droga - powiada. - Na suficie w holu wiszą pajęczyny. Usuń je, proszę. Będziesz musiała skorzystać z drabiny.

- Tak, proszę pani - odparłam. - Zrobię to po śniadaniu.

Myślałam, że wyjdzie, lecz ona dalej chodziła po kuchni z rękoma złożonymi na piersiach. Zapewne miała jeszcze jakieś inne polecenia. Czekałam, ale żadne polecenie nie padło. Milady podniosła tarkę do gałki muszkatołowej, obejrzała ją uważnie i odłożyła ją na miejsce. I wtedy, jakby coś jej się nagle przypomniało, rzekła:

- Wczoraj w nocy... ze strychu... dobiegły mnie jakieś odgłosy. Jakieś dźwięki. Czy ty... czy może nie weszłaś w nocy na strych? Z takiego czy innego powodu?

- Na strych? - Pokręciłam głową. - Nie, proszę pani. Po co miałabym tam wchodzić?

- Nie mam pojęcia - odparła. - Ale na pewno coś słyszałam. - Spojrzała na mnie surowo. - Na pewno tam nie wchodziłeś?

- Z ręką na sercu, proszę pani - rzekłam. Jeśli wypowie się te słowa, to absolutnie nie wolno skłamać, bo inaczej zawiozą cię taczka do Hadesu, chyba że, ma się rozumieć, skrzyżuje się za plecami palce drugiej dłoni, każdy głupi zna ten numer.

Milady zmarszczyła brwi.

- No dobrze - powiada. - Wierzę ci. Ale czy ty nie słyszałaś w nocy niczego?

- Nie, proszę pani. Pewnie spałam. A co to mogło być? Może odgłosy gryzienia? - Otwarłam oczy szeroko. - Może to szczur?

Aż się wzdrygnęła.

- Nie - rzecze. - Nie sądzę. W moim pokoju trzeszczał sufit, jak gdyby ktoś... chodził po strychu... w ciężkich butach. I bez wątpienia słyszałam kasznięcie.

- To pewnie szczur - powiedziałam. (Jak widać, na strychu zachowywałam się głośniej, niż mi się wtedy wydawało!).

- Czy mam się tam przejść i rozejrzeć, proszę pani? To może panią uspokoić.

Ruszyłam ku drzwiom, ale milady chwyciła mnie za rękę.

- Nie! - rzekła. - To nie będzie konieczne. Przekażę Hectorowi, żeby założył tam pułapkę.

- Dobrze, proszę pani.

Wróciłam do mieszania owsianki, ale dalej myślałam o trzeszczącym suficie. Przypomniała mi się opowieść Flemynga o tym jego wierszu, o upiornych dzieciakach z ropiejącymi ranami, o straszących ludzi duchach itd.

- Nie myśli pani chyba, że... Nie, proszę pani, nieważne.

- Co takiego?

Po wyrazie jej twarzy od razu poznałam, że właśnie ta myśl przebiegła jej przez głowę.

- No... Nie wierzy pani chyba w złe duchy, prawda?

- Ależ skąd! - odparta, lecz szybko zagryzła usta i zmarszczyła czoło. Stanowiła teraz ucieleśnienie niepokoju.

Zrozumiałam, że milady boi się duchów. I wtedy wpadł mi do głowy pomysł, pomysł na zemstę. Miał to być tylko dziecinny figiel. Jakże miałam wtenczas przewidzieć przerażające konsekwencje, jakie ten figiel w przyszłości wywoła?

Coś nadzwyczajnego

Wyjątki z dziennika Bessy

Poniedziałek 30 listopada

Wydaje się, że przez kilka ostatnich nocy milady słyszała jakieś hałasy na strychu, oby się tym za bardzo nie przejmowała. Każdy rozsądny człowiek wie, że żadne tam duchy nie istnieją chociaż słyszałam już takie historie że włoski w nosie dęba stają. Oczywiście znajdą się tacy co powiedzą, że milady słusznie się martwi bo atmosfera w Zamku Haivers, jak mówią, budzi grozę. No ale to jest łatwe do wytłumaczenia bo jesteśmy tu daleko od wszystkiego, niebo wisi bardzo nisko, a nocą wiatr pogwizduje w drzewach. Co zatem znaczą te niewyjaśnione zdarzenia? Rany boskie, o czym my w ogóle mówimy? Dajcie mi chwilkę, to wszystko wyłożę jak trzeba, chodzi mi o wypadki gdy coś się odkłada na miejsce, a krótki moment później gdy szukamy tej rzeczy to się okazuje, że sama z siebie się gdzieś przesunęła. A w Zamku Haivers tak dzieje się CIĄGLE, bez dwóch zdań. Jednak przeważnie można to prosto wyjaśnić bo gdy my nie patrzymy to tą rzecz przesuwa ktoś inny na przykład. Albo też sami nie pamiętamy gdzieśmy ją odłożyli. Błędny byłby zaiste wniosek, że jest tutaj jakiś zły duch, który chce nas zamęczyć. Tak uważam i myślę.

Wtorek 1 grudnia

Myślę sobie, że milady może mieć rację co do tych hałasów na strychu bo wczoraj w nocy chyba sama coś słyszałam. Właśnie

skończyłam pisać w dzienniku i już miałam zasnąć gdy, jak mi się zdaje, posłyszałam kilka skrzyknięć i szurających kroków, jakby tam ktosik chodził. No ale na pewno jest na to racjonalne wyjaśnienie, tak zresztą powiedziałam milady. Z dachu odpadło parę dachówek i do środka dostał się wiatr. Albo to po prostu szkodniki. Żadnych tam upiorów, żadnych odciętych kończyn. Tak czy owak dziś rano poszedł tam Hector z pułapkami i tak dalej, zobaczymy co się złapie. Stawiam pieniądze że szczur albo gołąb. A może nawet kot. Gdy Hector wrócił to się uśmiełam bo powiedział mi poważnym głosem: „Kocham naturę”, a pod pachą trzymał torbę z trutką na szczury, a w kapeluszu miał trzy wiewiórcze ogony.

Środa 2 grudnia

Nic nadzwyczajnego.

Czwartek 3 grudnia

Dziś po południu Hector sprawdził pułapki. Na razie są puste. Ale to chyba tylko kwestia czasu. Poza tym nic nadzwyczajnego, myślę, że zrobiliśmy burzę w szklance wody.

Sobota 6 grudnia

Przez kilka dni było spokojnie, aż wczoraj o północy kiedyś leżała w łóżku dobiegły mnie hałasy ze strychu. Dobra, mówię sobie, dowiem się wreszcie co to takiego. Ubrałam się zatem i poszłam na strych ze świecą. Nie czyniłam tego zbyt ochoczo, ale bardzo chciałam się dowiedzieć co też tak trapi milady. Rozejrzałam się szybko po strychu, nic mi się w oczy nie rzuciło i już miałam wracać do siebie gdy usłyszałam jak ktoś idzie ku mnie po schodach! Oż święci pańscy, wystraszyłam się niemożliwie. Szczęściem była to tylko milady (ona też usłyszała te hałasy i postanowiła tym razem dzielnie zbadać sprawę), ale przeraziłam się tak bardzo że krzyknęłam i upuściłam świecę. Nie wiem która z nas miała większego stracha ja czy milady bo ręce tak się jej trzęsły, że i jej świeca mogła zaraz zgasnąć. Spytała mnie co tam robię a ja

odrzekłam, że usłyszałam hałasy i tak jak ona przyszedłam tu zbadać sprawę. Powiedziałam też, że przeszukałam strych i niczego nie znalazłam. Na wszelki wypadek zapaliłyśmy moją świecę od jej świecy i rozejrzałyśmy się ponownie, ale wszystko było jak zawsze a potem opowiedziałyśmy sobie cośmy wcześniej słyszały. Milady zdawało się, że słyszy jak ktoś chodzi tam i z powrotem. Ja, mówię, miałam to samo wrażenie ale słyszałam chyba jeszcze jakiś płacz czy łkanie. Milady chwyciła mnie za rękę. Kto płakał, spytała. A gdy odpartam, że nie wiem, spytała czy to był głos kobiecy. Po krótkim namyśle przyznałam, że raczej tak. Potem spytała czy to był głos młodej kobiety, a ja na to: tak raczej młodej niż starej. Wtedy milady zrobiła taką zbolatą minę, że aż się o nią zaniepokoiłam. Oczy jej prawie wyszły na wierzch. Następnie spytała mnie szeptem: Czy to była Irlandka? Odpartam, że nie wiem bo nie słyszałam jak mówi ale tak to mogła być Irlandka. Milady chwyciła się za głowę i w ogóle wyglądała tak dziwnie, że namówiłam ją byśmy zeszły na dół i położyłam ją do łóżka. Szczerze uważam, że postąpiła dzielnie idąc sama na strych, gdybym ja była damą jak ona, to na pewno bym się nie odważyła ze strachu co tam znajdę. Oczywiście pan James spał przez cały ten czas, wystrzelić by można salwę z armaty a on i tak by się nie zbudził, tylko milady i ja borykamy się z tym nocnym horrorem. Powiedziałam milady, że jeśli usłyszysz znów te hałasy to niech naciągnie kołdrę na głowę i próbuje spać dalej bo jak tak będzie chodzić w samej tylko nocnej koszuli to się zaziębi i umrze.

Wtorek 8 grudnia

W niedzielę wieczorem nastuchiwałyśmy obie hałasów ze strychu, ale żadne dźwięki stamtąd nie dobiegały. Myślałam, że ustały na dobre. A jednak. Wczoraj wieczorem zdarzyło się coś przez co znowu przeszedł mnie ciarki, z pewnością jest na to racjonalne wyjaśnienie tylko że ja go jeszcze nie wymyśliłam. Otóż kładłam się wczoraj ostatnia i zrobiłam obchód domu, ażeby sprawdzić czy osłony do kominków stoją gdzie trzeba i czy zgaszono już wszystkie świece

i lampy. Okazało się, że na stoliku w salonie pali się jeszcze jedna świeca, tedy zgasiałam ją palcami i wyszłam. Chwilę później, kiedy szła do siebie przez hol, zauważyłam za drzwiami salonu migotliwe światelko. Dziwne, myślę sobie. Weszłam do środka i ze zdumieniem i niepokojem niemałym stwierdziłam, że na stoliku płonie świeca. Ta sama co ją przed chwilą zgasiałam!

Do głowy mi przyszło jedynie, że nie zdusiłam ognia do końca i ogień się przez to rozpalił na nowo czego wcale nie zauważyłam. Im więcej o tym teraz rozmyślam, tym większe żywię przekonanie, że właśnie tak się rzeczy miały.

Środa 9 grudnia

Znów wydarzyło się coś dziwnego. Gdy przed południem milady wróciła z kościoła, wezwała mnie do swojego pokoju a kiedy weszłam, stała przy łóżku. Od razu spostrzegłam, że jest straszliwie blada i wygląda na stroskaną. Czy wchodziłaś do tego pokoju gdy mnie nie było? spytała a ja odrzekłam nie proszę pani byłam przez cały czas w kuchni, myłam ściany jak mi pani kazała. Następnie milady przysunęła się jeszcze bliżej do łóżka i pokazała mi parę jasnożółtych rękawiczek, co na łóżku spoczywały. Czy to ty je tu położyłaś? spytała. Powiedzże prawdę, kłamstwo ma krótkie nogi, przyrzekam, że nie będę się na ciebie gniewać, rzekła. Żeby mogła potwierdzić to byłabym potwierdziła niechybnie ale z ręką na sercu odrzec musiałam, że nawet nie tknęłam tych rękawiczek. Obieśmy teraz na nie patrzyły, milady nieruchoma i drżąca jakby miała już już wybiec z pokoju krzycząc wniebogłosy. Po chwili wziętam się w garść i zupełnie spokojnie podniosłam rękawiczki i odłożyłam je do stosownej szuflady. Proszę pani to proste, mówię, najpewniej sama je pani wyjęła a potem w ostatniej chwili zdecydowała się założyć inne (do kościoła poszła w szarych). I prawdopodobnie tak właśnie było. Milady jednak kręciła głową, odwróciła się potem i zeszła na dół. Ruszyłam jej śladem i co ja widzę, milady zamiata podwórze (w swej eleganckiej sukni!), dopiero godzinę później przekonałam ją by wróciła do domu, ubłocona była i trzęsła się

cała i skłoniłam ją by ogrzała się w kuchni przy ogniu. Kazała mi przyrzec, że od tej chwili będę jej mówić o wszystkich niezwykłych zjawiskach choćby na pozór to były drobiazgi bez znaczenia. Zgodziłam się chociaż śmiem sądzić, że milady puściła wodzę fantazji, jak mawia pan James.

Niedziela 13 grudnia

Dzisiaj rano zdarzyła się rzecz najdziwniejsza ze wszystkich. Nie było mnie przy tym, tedy podaję wiadomość z drugiej ręki. Milady znów miała ciężką noc, męczyły ją hałasy albo nie mogła zasnąć z obawy, że je usłyszy. Jakkolwiek było, po paru bezsennych godzinach zeszła zrezygnowana do kuchni i już o wpół do piątej zaczął się dla niej dzień. Wszyscy, ja również, spaliśmy jeszcze rzecz oczywista. Jakże musiała się zdumieć milady kiedy znalazłszy się w salonie stwierdziła, że palenisko w kominku oczyszczono, że jest tam świeża porcja węgla i że ten węgiel się pali małymi pełgającymi płomykami. (Jakby umyślnie ktoś dla niej to przygotował! - wykrzyknęłam parę godzin później, kiedy milady mi o tym opowiadała). Gdy pojawiłam się na dole milady zaciągnęła mnie do salonu i wskazała kominek. Czy to też ma racjonalne wyjaśnienie? pyta. Przyznaję, że nie miało. Pomyślałam jedynie, że może pan James rozpałił wieczorem w kominku zanim udał się na spoczynek i dorzucił tam trochę węgla i że ten ogień jakoś wytrzymał noc całą. Później jednak przyszedł pan James i oświadczył, że nic podobnego nie zrobił. A gdy ja i milady popatrzyłyśmy na siebie znacząco on tylko wyrzucił w górę ramiona i zajęczał tak strasznie, że przerazić się można. Potem odszedł śmiejąc się sam do siebie, ech te kobiety kobiety. Pan James nie wierzy w bzdurne historie o duchach i jest nazbyt zajęty by się nimi kłopotać, po pachy zanurzył się już w pracę nad swoją fontanną w Snatter. Jeszcze parę dni temu sama byłam równie sceptyczna lecz teraz i mnie ogarniają wątpliwości. Biedna milady odchodziła od zmysłów, ten poranny ogień w kominku przeraził ją nie na żarty.

Zapewne nie będzie z tego rada lecz ja mimo wszystko ciągle wierzę, że znajdzie się jakieś racjonalne wyjaśnienie.

Czwartek 17 grudnia

Ostatnie noce były spokojne ani milady ani ja nie słyszałyśmy żadnych hałasów. Natomiast dziwne doprawdy rzeczy zdarzają się teraz za dnia. Pierwszą można złożyć na karb mojego zapominalstwa. Przysięgam, że kiedy we wtorek zeszłam rano do kuchni to nie pamiętam bym wstawiła wodę w czajniku, lecz gdy się na chwilę odwróciłam czajnik wypełnił się nagle wrzącą wodą. Tak jakby ktoś wiedział co właśnie mam zrobić i robił to za mnie! Nie chciałam niepokoić milady mówiąc jej o tym lecz po namyśle stwierdziłam, że lepiej powiedzieć bo kazała mi w końcu zgłaszać wszystkie niezwykłe zjawiska. Podkreśliłam z naciskiem, że mogłam wstawić wodę do gotowania kiedy jeszcze na pół spałam nawet o tym nie wiedząc, bo przecie często wykonujemy codzienne czynności w sposób zupełnie automatyczny. Tym wyjaśnieniem nie zdołałam jej jednak przekonać. Jedno jest godne zapamiętania. Zresztą wspominałam o tym milady. Jeżeli to wszystko istotnie robi duch to jest to duch nader uczynny i dbający, rzec by można wielce praktyczny (jak dotąd przynajmniej). Jakby nam wręcz usługiwał. I inna dziwna sprawa. Dziś po południu milady wezwała mnie do swojego pokoju, siedziała na krześle a kiedy weszłam wskazała parę butów co stały na podłodze. Milady ma kilka par butów a w tych tu akurat chodziła na co dzień po domu. Wskazywała mi je teraz wpatrując się we mnie bez słowa. Buty jak buty, nic w nich nie było nadzwyczajnego, nie pojmowałam tedy dlaczego mam na nie patrzeć. W końcu milady przemówiła. Czy czyściłaś te buty Bessy w ciągu kilku minionych dni? spytała. Zastanów się dobrze, powiada. Wlepiłam wzrok w buty. No, czyste były, wyglansowane tak dokumentnie że odbiłyby się w nich trzypensówka. Choćbym i chciała pucować tak fachowo, to nie umiałam, nie przeczę. Nie, proszę pani, odparłam. Pomyśl spokojnie, rzeczce milady. Wyczyściłaś je może i zapomniałaś o tym. Nie, proszę pani,

powtórzyła. Takie wypucowanko musiałabym zapamiętać. Ta odpowiedź jak gdyby zadowoliła milady a jednocześnie ją przeraziła. Kazała mi odejść. Martwię się o nią. Gdy opuszczałam jej pokój uśmiechała się słabo ale oczy jej się błyszczały jakby miała gorączkę. Myślę, że powinna odpocząć.

Wtorek 22 grudnia

Kilka wieczorów temu pan James niemalże odgryzł żonie głowę bo biadoliła ciągle z powodu swych tajemniczo wygłasowanych butów, że niby duch to zrobił. Jest niemądra, krzyczał, a on nie chce słyszeć o tym ani słowa bo inaczej **BĘDZIE ŹLE!** Od tego czasu milady nigdy już przy nim tego tematu nie poruszała.

Poza tym ostatnie dni przebiegły spokojnie i zaczynałam już wierzyć, że w Zamku Haivers wszystko wróciło do normy gdy dzisiaj nagle zdarzyło się coś co mój pogląd zmieniło. Rano było jeszcze zwyczajnie, ja na dole robiłam swoje a na górze milady sortowała bieliznę. Mniej więcej o wpół do jedenastej milady zeszła z robótką do salonu a o jedenastej zaniostałam jej herbatę, to właśnie kiedy stawiałam tacę zauważyłam coś pod sekretarzykiem. Niech pani spojrzy, proszę pani, powiadam. Coś spadło. Sięgnęłam pod sekretarzyk i wyciągnęłam to coś, a była to metalowa spinaka do włosów z malowanymi kwiatkami, niebieskimi stokrotkami chyba. Skąd się to tutaj wzięło? rzekłam i spojrzałam na milady. Jeszcze nigdy nie widziałam by tak szybko pobladła. Co się stało, proszę pani? pytam. Czy chodzi o spinkę? I wyciągnęłam ją ku niej. Cofnęła się z jękiem i zasłoniła oczy. Weź ją ode mnie, weź ją, zjeżdż mi z oczu! krzyknęła. Ale co mam z nią zrobić? pytam. Cokolwiek, stęknęła płaczkliwie. Pozbądź się jej. Wybiegłam z salonu i schowałam tą spinkę gdzieś gdzie jej milady nie zobaczy. Nie pojmuję jak spinaka do włosów może kogoś tak wzburzyć ale nie moja to sprawa. Tak czy owak milady ma pewnie jakiś powód bo ona nie burzy się bez powodu. Święta miały być bez drobiu ponieważ pan James nie chciał robić niepotrzebnego zamieszania. Ale na szczęście lis wyrwał skrzydło jednej gęsi z naszego obejścia,

więc gęś zabito i trafi ona na świąteczny stół, oby trochę zostało dla mnie.

Piątek 25 grudnia

Mamy już Boże Narodzenie, jest bardzo cicho bo milady czuje się jakoś nieswojo. Na kolację zjadła tylko jeden kęs gęsi. Tego mięsa lepiej nie podawać na zimno z powodu tłuszczu ale musi to nam wystarczyć na raz następny albo po prostu damy je kotu. Milady ładnie pachniała kapryfolium, pewnie dostała takie perfumy od pana Jamesa w świątecznym prezencie. Mam nadzieję, że jutro będziemy obchodzić dzień świętego Stefana.

Sobota 26 grudnia

Na święta dostałam od milady książkę o młodej służącej, którą uprowadził jej pan bo się mu spodobała, myślę sobie, że tej dziewczynie brakuje charakteru, pisuje do wszystkich listy z narzekaniami z czego pożytek nie większy niż z migreny, a powinna po prostu spuścić mu solidne manto. Pan James powiedział mi, że z zasady nie uznaje się tu dawania prezentów ale że po namyśle zdecydował się dać mi chustkę do nosa (bez wzorków). Trudno mi wyrazić swą wdzięczność za taki akt hojności. Jakiż to przydatny prezent! Bo przecież każdemu potrzebna jest smarkatka. Od dzisiaj przy wydmuchiwanie nosa zawsze będę myśleć o panu Jamesie.

Ku memu zdumieniu dostałam też prezent od Hectora, torebkę fiołków parmeńskich, pamięta, powiedział, że jadłam je kiedyśmy się pierwszy raz spotkali na Wielkim Gościńcu, wiedział tedy, że je lubię. Miłe to było i zrobiło mi się głupio, że sama niczego mu nie sprezentowałam. Ostatnio lepiej się do mnie odnosił, w końcu jest młody, można zrozumieć.

Później milady wezwała mnie do salonu i spytała czy zaczęłam się nagle perfumować. Nie, proszę pani, odparłam. Bo prawdą jest, że nie używam perfum, mam tylko swój własny naturalny zapach! Milady podeszła do mnie, obwąchała mi nadgarstek i szyję, ale

niczego nie wyczuta i to ją wprawiło w duży niepokój. Jęła wtedy chodzić po salonie obwąchując powietrze dokoła. Nie czujesz tego? spytała. Wąchnęłam porządnie lecz nic nie poczułam. Nie, proszę pani, odrzekłam. A pani co czuje? Kapryfolium, odparła.

Spojrzałam na nią. A czy pan James, pytam, nie dał pani takich perfum na święta? Nie, powiada. Nie dał. To dziwne, mówię, bo wydawało mi się, że pani pachniała wczoraj kapryfolium. Bo przecie zazwyczaj pani pachnie różyczkami. Tak, mówi, olejkami różanym. Ale nie kapryfolium. Popatrzyła na mnie dziwnym wzrokiem i mówi: Ale znam kogoś kto lubił ten zapach.

Kto taki, proszę pani? spytałam, ale ona jedynie pokręciła głową.

Daj mi znać, powiada, jeśli poczujesz gdzieś kapryfolium. I od razu mnie tam zaprowadź. Po czym wyszła z salonu nawąchując jak myśliwski pies. Zapisuję to wszystko żeby nie zapomnieć, bo jak poczuje kapryfolium muszę natychmiast to zgłosić milady.

Czwartek 31 grudnia

Ostatniej nocy znowu rozległy się tajemnicze hałasy i zdecydowałam się podsunąć milady pewien mój pomysł. Pomysł mój był następujący: wejdziemy na strych za dnia i przeszukamy go bardzo dokładnie ażeby przekonać się i uspokoić, że tam naprawdę nic nie ma. Nocą wyobraźnia podsuwa nam różne koszmarnie wizje bo wtedy po prostu jest ciemno. Ale kto wie, może w dziennym świetle znajdziemy gniazdo szkodników które robią te wszystkie hałasy, albo i dziurę w której się potem chowają. Pan James wyśmiałby nasze śledztwo, mówił, że nie chce już słyszeć tych bzdurstw o duchach, więc odczekałyśmy aż wyjdzie a potem, uzbrojone w lampy do rozświetlenia ciemniejszych kątów, poszłyśmy obie na strych. Milady zaczęła w jednym końcu, ja w drugim, i przetrząsnęłyśmy wszystko co do cala. I niczego niezwykajnego żeśmy nie dostrzegły. Ja znalazłam jedynie stary kufer przykryty brezentem, z pewnością godzien uwagi, lecz gdy go wskazałam milady powiedziała mi, żeby kufra nie ruszać. Po dziesięciu minutach poszukiwań spotkałyśmy się na środku strychu

pod świetlikiem i potwierdziłyśmy sobie wzajem, że nic niezwykłego tu nie ma.

W tym momencie spojrzałam w górę i na brudnej szybie świetlika dostrzegłam wyrysowany palcem napis. Proszę pani, niech pani spojrzysz, mówię. Ktoś coś napisał na tym okienku. Obie stanęłyśmy na palcach żeby ten napis odczytać. Co to za słowa? spytała milady. Ja nie widzę, dodała. Wyteńczyłam wzrok i odczytałam napis. Tam stoi coś jakby Prosz Pani. Chwileczkę tak teraz widzę. Tam stoi: Niech Mi Pani Pomoże Prosz Pani.

I wtedy milady upadła na podłogę zemdlna bez ducha, po prostu ugięły się pod nią kolana i opadła na ziemię niczym ucięty kwiatek. Starłam się ją ocucić, wzywałam pomocy ale nikt się nie pojawił i sama musiałam zanieść ją na dół i położyć do łóżka. Leży w tym łóżku do tej pory.

Część trzecia

Kolejny wstrząs

I wtedy milady upadła na podłogę zemdlna bez ducha.

Tak napisałam w swoim dzienniku, ponieważ myślałam, że milady później to pewnie przeczyta, jak to zresztą czyniła zawsze, a były wszak rzeczy, o których nie powinna wiedzieć.

No ale Panom opowiem dokładnie, bo wszystko to kurka wodna jeszcze gorzej wyglądało, nawet jak sobie to przypominam teraz, a parę lat już minęło, to aż mnie ciarki przechodzą. Mogę zamknąć oczy i natychmiast przenoszę się tam, na strych, i znowu widzę milady.

Otóż i ona. Pokryta rumieńcem po męczącym przeszukiwaniu strychu, z głową odchylną do tyłu, patrząca w górę. Kosmyk włosów opada jej na dołeczek w policzku. Moje włosy również zwisają swobodnie - bo wpakowałam się na pierońską pajęczynę, prawie że wyskoczyła ze skóry i potem przez dziesięć minut gorączkowo przeczesywałam włosy z obawy, że jest w nich pająk. Jeszcze na dobre nie ochłonełam po tym strasznym spotkaniu. Milady i ja odstawiłyśmy właśnie lampy. Deszcz dzwoni o szybę, a my stajemy na palcach, by lepiej widzieć okienko w dachu. Światło jest słabe i milady opiera się o mnie, żeby mieć lepszy widok. - Co to za słowa? - pyta. - Ja nie widzę. - Udaję, że z wielkim trudem odcyfrowuję napis na szybie. - Tam stoi coś jakby Prosz Pani - mówię. - Chwileczkę, tak, teraz widzę. Tam stoi: Niech Mi Pani Pomoże Prosz Pani.

W tym momencie milady jakby sapnęła i chwyciła mnie za ramię, tuż nad łokciem. „Podobnie baranek wsuwa nos w dłoń rzeźnika”. (Nikogo nie cytuję, tak sobie wtedy mniej więcej pomyślałam). Trzymaj się

mocno, paniusiu, myślę sobie zarazem i myślę też, że po prostu się wystraszyła i chwyciła się mnie, żeby nie upaść. Ja tymczasem dalej odgrywam swoją rolę, udaję wpatrzoną w „widmowy” napis. A potem w jej gardle coś gulgotce. Najpierw jakby lekko kaszłała czy odchrząkiwała. Po chwili jednak zaczyna się dławić. Jak gdyby połknęła pajaka czy muchę i chciała to teraz wykrztusić. Patrzę na nią, a to, co widzę, przejmuje mnie grozą. Milady wpatruje się w świetlik, lecz twarz jej nie zdradza bynajmniej lekkiego niepokoju, który chciałam w niej wywołać, wygląda raczej jakby coś nią całą zawładnęło, jak gdyby wpadła w koszmarny trans.

- Proszę pani? - mówię.

Usta jej dygoczą, lecz nie dobywa się z nich żadne słowo. Głowa opada na bok, a język wysuwa się i drży spazmatycznie, odgłos dławienia przechodzi w odgłos wymiotny, Jezusie Marysieński to atak konwulsji. Milady dalej ściska mnie za rękę, nieświadoma już jednak, że jestem tam obok niej. Trzęsą jej się ramiona, a ciche uprzednio charczenie przechodzi w coraz głośniejszy pisk, i w wycie, ona wyje na cały głos, aż w uszach mi brzęczy. Usta spienione, oczy wywrócone białkami do góry, a potem, gdy wrzask był najgłośniejszy, spojrzała na mnie oczami rozwartymi szeroko, z otwartymi ustami, jej wzrok oszalały spotkał się z wystraszonym wzrokiem moim. I dalej wyje, ten wrzask mnie świdruje, i czuję szczypanie na całym ciele, jak gdyby milady była naelektryzowana i prąd przenikał z niej na mnie. Ale nie mogę oderwać od siebie jej wczepionych w moje ramię palców, może gdyby mi się udało, to ona przestałaby wrzeszczeć. Lecz jak się uwolnić? Może pacnę ją lekko, myślę, nie to nic nie da, tedy (niechże Bóg mi przebaczy) uderzam ją z całej siły, walę pięścią w dolną część twarzy.

Jej głowa opada do tyłu, dłoń zwalnia uścisk, milady cofa się chwiejnie. Nagle kolana uginają się pod nią i pada na ziemię, spada niczym ucięty kwiatek. Upada na bok, a ja słyszę głuchy odgłos, kiedy jej głowa uderza w podłogę. Kurz wzbija się w górę, aż po krokwie u powały, a spódnica rozpościera się miękko dokoła jej ciała. Przez moment stoję osłupiała z uniesioną wciąż pięścią. Milady leży na boku, ręka wyprostowana, palce dłoni zwinęte. Spomiędzy warg sączy się

krew. Poza tym cała jej twarz jest blada. Oczy zamknięte, usta rozchylone bezwładnie, ich kąciki opadają leciutko jak u człowieka martwego, jak gdyby życie zupełnie z niej uleciało.

Oj, myślę, ale żem sobie biedy napytała.

Przed wszystkim: stracę posadę. Albo za uderzenie milady, albo za całą zabawę w duchy, jeśli okaże się w końcu, kto to wszystko zmajstrował.

I rzecz najgorsza: milady nie żyje, ja zaś jestem jej morderczynią, skazaną na wieczne płomienie piekielne.

Wtedy chyba wpadłam w panikę. Wydaje mi się, że podniosłam milady i zaniosłam ją na dół, że położyłam ją do łóżka i że pobiegłam szukać pomocy, że przed domem znalazłam Hectora (naprawiał płot, wbijał słupki) i że wysłałam go w te pędy do Snatter, aby szybko sprowadził doktora. Wszystko to uzmysłowiłam sobie później. Rozpacz odebrała mi wszelką świadomość, która wróciła kiedyś na powrót znalazła się w pokoju milady, gdy ujrzałam jej nieprzytomne ciało, kiedy na widok jej bladej jak papier twarzy poczułam bolesne ukłucie w sercu.

Do jej spódnicy przykleiły się kawałki pajęczyn. Poczęłam zgarniać je dłonią, lecz raptem naszła mnie myśl: daj spokój pajęczynom przecież ona może już nie żyć. Czy uda mi się ją zbudzić, a jeśli nie, to co dalej, i co u diaska powiem panu Jamesowi i Jezu Marysieńki czy naprawdę pójdę do piekła? Mówiąc szczerze, po głowie kołatała mi się jeszcze jedna myśl, którą starałam się od siebie odepchnąć: cóż ja pocnę bez milady?

Krople krwi spłynęły z jej ust na szyję, a z szyi na poduszkę, tworząc tam ciemnoczerwoną plamę wielkości śliwki. A ona dalej tkwiła w Transie. By uspokoić się, czując na policzku jej oddech, pochyliłam się i zbliżyłam swą twarz do jej twarzy, lecz nie poczułam niczego. Pochyliłam się niżej, tak że jej usta niemal zetknęły się z moimi. Nie poczułam choćby lekkiego tchnienia.

A więc to prawda - zabiłam ją!

Oczyrna duszy widziałam się już na szubienicy. Na czele tłumu wiwatujących gapiów stała moja matka.

Dokładnie w tej samej chwili milady otwarła oczy i chwyciła mnie za ramię. Prawie że podskoczyłam. Wrzasnęłam i chciałam się szybko odsunąć, lecz ona trzymała mnie mocno i przyciągała do siebie.

- To ty - powiada, bardzo wolno i cicho. - Wiedziałam, że to ty.

Jezu Marysieński, myślę sobie, ona odkryła mój podstęp.

- Wiedziałam od samego początku - mówi.

Z jej oczu polały się łzy, a policzki zwilgotniały. Zżerało mnie wprawdzie bolesne poczucie winy oraz świadomość, że ją rozczarowałam i że z żalem musi mnie teraz odprawić, ale zauważyłam jednocześnie, że milady wpatruje się we mnie dziwnym wzrokiem. Tak jakby czekała, aż coś powiem, aż się jakoś usprawiedliwię albo ją nawet okłamię. Ale nie mogłam, po prostu nie mogłam się na to zdobyć.

- Niech mi pani wybaczy - rzekłam.

- Wybaczy? - Zamrugała, jakbym ją zaskoczyła. - Cóż ja mam ci do wybaczenia?

Uznałam, że sobie ze mnie podkpiwa, że jest na mnie zła jeszcze bardziej niżem wcześniej myślała. Potem jednak dodała:

- Drogie dziewczę, to ty musisz mnie przebaczyć.

Gapiłam się na nią bez słowa. Oczy jej znowu nabrzmiały łzami.

- To moja wina - powiada.

Na Boga, co ona plecie?

- Nie powinnam była... - Zaczęła łkać i jęknęła: - Kochana Nora... To ja zawiniłam. A ciebie już nie ma, nie żyjesz. Przepraszam cię, Noro, przepraszam, kochana. - I zupełnie się rozkleiła, płakała teraz w moich ramionach.

Stałam pochylona nad łóżkiem, tuląc ją do siebie. Było mi niewygodnie, ale nie śmiałam, nie mogłam się poruszyć. Głaskałam ją po ramionach i plecach. Pod warstwą tafty milady płonęła, miała gorączkę. Boże, co ja narobiłam? Milady oszalała!

- Óóó... - mówię. - Wszystko już dobrze, Arabello. Wszystko będzie dobrze.

Po chwili znowu straciła przytomność, lecz gdy opuściłam ją delikatnie na poduszkę, nie leżała bezwładnie, tylko poczęła miotać się jak wyrzucona na brzeg ryba. Jakimś cudem udało mi się ją rozdziać i ubrać w nocną koszulę i znowu położyć do łóżka. Ważyła nie więcej niż jasek. (Co prawda zniosłam ją wprzód ze strychu, lecz byłam wtedy tak przerażona, że nie dostrzegłam, jak bardzo schudła i zmiżniała). Starłam jej z twarzy krew i łzy, po czym nogi ugięły się pode mną i opadłam na małe plecione krzesło. Wpatrywałam się w nią aż do nadejścia doktora, a głowa tętniła mi od nieskładnych myśli.

Rzecz prosta, z początku chciałam ją tylko nastraszyć za wszystkie czasy. A czemużby nie, pytam Panów? No właśnie, dlaczego, odpowiadacie pytaniem. No to wam powiem. Milady mnie oszukała, zdradziła i wykorzystała. Gmerała w mojej przeszłości i pisała o mnie wstrętne rzeczy w tej swojej drańskiej książeczce, wstrętne rzeczy o moim wyglądzie, że niby łączę za nią jak cień i tak dalej. Wydawało mi się, że jak napędzę jej czasem małego stracha, to odpłacę jej należycie pięknym za nadobne. Taka mała zabawa z mojej strony. No bo, dajcie spokój, jakaż to była frajda patrzeć, jak ona się ekscytuje i trapi. Dość było trzasnąć drzwiami, a ta już skakała ze strachu sześć stóp w górę. A kiedy wyłaniałam się nagle z miejsca, w którym się mnie nie spodziewała, piszczała wręcz i chwytła się za piersi.

- Och, Bessy! - mówiła. - Ależ mnie wystraszyłaś! Popatrz tylko.

Brała mnie wtedy za rękę i przykładła ją do swej piersi na wysokości bijącego mocno serca. Zdarzyło się to kilka razy i muszę powiedzieć, że raczej nie było mi niemiłe. Bawiła mnie też niepomiernej jej pewnością, że owym straszącym duchem jest Nora. Ileż ja miałam zabawy z tymi rękawiczkami, spinką do włosów, kapryfolium i całą resztą!

Mimo to zaskoczyła mnie jej reakcja na napis w oknie. Użyłam słów „prosz pani”, bo w *Obserwacjach* wyczytałam, że właśnie w ten sposób zwracała się do niej Nora. Ale co teraz, co dalej, jeżeli moja Arabella będzie nadal wierzyć w to wszystko? Co dalej, jeśli (Boże uchowaj) umrze?

Nie wiem, jak długo siedziałam tam i przeklinałam się za własną podłość, miałam wrażenie, że nie zależy mi już na dalszym życiu. Mówiłam też sobie kojąco, że wychowano mnie na złą dziewczynę, że nic innego wyrosnąć ze mnie nie mogło. Nie moja to zatem wina, nie mogłam postąpić inaczej. Lecz jakiś inny głos we mnie wciąż stawiał sprzeciw, mówił: „Mogłaś chodzić do kościoła, kiedy mieszkałaś u pana Levyego, pozwoliliby ci, gdybyś chciała. Ale co ty robiłaś w niedziele? Wylegiwałaś się w łóżku jak leń śmierzący i szłaś do parku na lody”. Ten głos mówił: „Mogłaś przebaczyć swojej pani i nadstawić drugi policzek, to w końcu dama”, i tak dalej. Głos mówił też: „Chociażby nawet źle cię wychowano, umiesz przecie odróżnić zło od dobra”.

Aby wymierzyć sobie karę, postanowiłam odgryźć sobie kciuk u samej jego nasady. Przystąpiłam do tego zadania na serio i byłabym pewnie cel osiągnęła, gdyby nie okropny ból, zmieniłam więc rodzaj kary i ugryzłam się mocno w ramię, tak że nawet dwa dni później widniały na nim ślady zębów. I chociaż nigdy nie lubowałam się w modlitwach, popadłam w taką desperację, że uklęknęłam ze złożonymi dłońmi i jęłam modlić się za milady. Błagałam, by wyzdrowiała, prosiłam i zaklinałam. Potem modliłam się w swojej intencji, żebym stała się lepszym człowiekiem i żebym nie trafiła do piekła. A jak skończyły mi się prośby ogólne, to modliłam się już tylko o jak najszybszy przyjazd lekarza, trwało to wieki całe, lecz usłyszałam w końcu grzechoczącą na drodze dwukólkę.

Podeszłam szybko do łóżka i spojrzałam na milady. Twarz jej płonęła, mokra od potu, a oddech rwał się w gardle. Nawet będąc w tym stanie wyczuwała niechybnie, że ją skrzywdziłam, ponieważ wzdrgnęła się z jękiem, jak tylko dotknęłam jej ręki. Spojrzałam raz jeszcze na jej cudowne oblicze, wyszłam z pokoju i pobiegłam na strych.

Tam zaś na brudnym świetliku dalej tkwiły słowa, z których wcześniej byłam tak dumna.

NIECH MI PANI POMOŻE
PROSZ PANI

Miałam wiele powodów, by zetrzeć ten napis, powinnam to zrobić choćby ze wstydu. Nie chciałam, na Boga, żeby milady znowu te słowa ujrzała. Zobaczyła je raz i skutek był opłakany. Nie chciałam też, by odkrył ten napis pan James. Czułam, że jeśli skieruje on na ten świetlik wzrok swój stalowy, to chwila moment, a tenże sam wzrok przeniesie się na mnie.

Rozejrzałam się za jakąś szmatką, którą mogłabym to zetrzeć, ale nic nie znalazłam. Stanęłam więc na palcach i starłam napis rękawem, aż nie pozostał po nim nawet najmniejszy ślad. W razie potrzeby byłam gotowa wylizać szybko do czysta.

Gdy wychodziłam ze strychu, dobiegły mnie z holu odgłosy pospiesznych kroków. A kiedy znalazłam się na piętrze, ze zdumieniem stwierdziłam, że z McGregor-Robertsonem idzie po schodach pan James. Na to (na konfrontację z panem Jamesem) nie byłam jeszcze gotowa. Patrzyłam z rozdziawionymi ustami, jak obaj mężczyźni zmierzają szybko w moją stronę. Zamajaczyły mi przed oczami ich ramiona, ich łokcie, ich ubłocone buty, lekarska torba, poły płaszcza.

Mijając mnie, pan James posłał mi chmurne spojrzenie.

- Poproszę cię później na słówko - rzucił. - Zejdź na dół i czekaj.
- Ależ sir! - powiadam. - Milady...

Nie zdołałam wszelako dokończyć zdania, bo panowie zniknęli w pokoju mej pani i zatrzasnęli mi drzwi przed nosem. Pozostał po nich jedynie kłęb stęchłego cygarowego dymu.

Zeszłam do kuchni i siedziałam tam potem bezradnie, wpatrując się w ogień. Nie mogłam się zmusić do pracy. Co mnie teraz mogły obchodzić jakieś nie zamiecione okruchy czy kurz do starcia? Miałam to głęboko w pupeńce. Czy nie powinnam uciec? myślałam. Ale to byłoby tchórzostwo. Nie wolno mi było tak się zachować, bo źle mnie wtedy osądzi milady. Potem wpadłam na inny pomysł. Wymknę się po angielsku, ale nie tak zupełnie bez słowa. Napiszę do mojej pani bardzo dyskretny liścik, w którym wszystko jej wyznam, za wszystko przeproszę. Dzięki temu dowie się ona, że to ja zawińłam, lecz uda

mi się zarazem przyznać do błędu i wyrazić ubolewanie. A z czasem może mi wybaczyć.

Od razu poczułam się lepiej. Wzięłam kartkę i ołówek. Zaczęłam pisać.

Moja droga pani, pani myślała, że w domu jest duch ale to wszystko moja sprawa, to ja położyłam rękawiczki na łóżku i napisałam te słowa na szybie i wszystko inne jak hałasy ze strychu to też moje dzieło. Nie wiem czemu to robiłam, myślałam tylko, że mnie już pani nie lubi. Ale to żadna wymówka i proszę uwierzyć, że NAPRAWDĘ ZA TO PRZEPRASZAM. Z pewnością pani zrozumie, że nie mogę pozostać w Zamku Haivers. Mam nadzieję, że moje odejście nie sprawi pani zbyt wielu kłopotów. Znajdzie się inna służąca która lepiej zrozumie jak się jej poszczęściło. Liczę że wydobrzeje pani po tym co jej zrobiłam i że poczuje się lepiej. Przepraszam stokrotnie PROSZĘ MI WYBACZYĆ naprawdę nie jestem HIPOKRYTKĄ.

*Wielce oddana pani służąca,
Bessy*

PS Kiedy na strychu dostała pani ataku to uderzyłam panią w twarz ale tylko dlatego, że chciałam pani pomóc. W innym wypadku nigdy bym pani nie uderzyła. Wolę to sama powiedzieć bo może sobie pani przypomni i będzie pani żal miała do mnie o to.

PPS Jakiś czas temu szperałam w pani rzeczach i przeczytałam wszystko co napisała pani o mnie w swojej książce. To był dla mnie szok i bolało mnie bardzo ale gdy siedzę teraz nad tym listem to sobie myślę że wspaniała jest z pani kobieta bo przecie przez cały czas wiedziała pani co ja kiedyś robiłam i nigdy o tym nie wspomniała ani słowem ani nie traktowała mnie inaczej (przynajmniej z tego powodu) ani mnie nie odprawiła, mało kto zdobyłby się na coś takiego. Jestem za to bardzo wdzięczna.

PPPS Oby następna służącą była lepszą ode mnie dziewczyną, mam też nadzieję, że dokończy pani książkę, jest strasznie dobrze napisana.

Kończąc list, byłam już w dobrym nastroju, przynajmniej zrobiłam, co należało, i przyznałam się do winy. Może jednak byłam dobrym człowiekiem. Aż dziwne, że nie wyfrunęłam przez okno, bo czułam się bardzo święta. Kusiło mnie, żeby natychmiast wyjść kuchennymi drzwiami i nigdy już tam nie wracać, ale gdy miałam to uczynić, na schodach rozległy się kroki i usłyszałam krzyk pana Jamesa:

- Bessy! Bessy!

No, serce po prostu wskoczyło mi do głowy i zatrzepotało skrzydłami między jednym a drugim uchem. Oczywiście wyobraźni ujrzałam milady, jak leży w bieli, otoczona przez złociste anioły. Potem tę wizję zastąpiła inna, w której pani moja ma dziko zmierzwione włosy i siedzi związana w przytułku dla obłąkanych i krzyczy: „Nora! Nora!”. Następnie pojawiła się w drzwiach domu, ładnie tym razem ubrana, i z miną surową, acz pełną żalu kierowała mnie ręką na Wielki Gościniec. W ostatniej wizji wróciła szubienica, na której dyndało moje truchło, a wpatrywała się w nie z radością moja rozrehotana matka.

Wszystkie te obrazy przemknęły mi przed oczami w ciągu zaledwie kilku sekund. Spojrzałam na drzwi, mogłabym wyjść i zniknąć wśród drzew, zanim ktokolwiek by to zauważył. Zrobiłam jednakże coś innego. Wstałam, podpierając się o stół, po czym włożyłam list do kieszeni fartucha i poszłam do holu, do pana Jamesa. Bardzo szlachetnie z mojej strony, prawda to, prawda. Ale prawie że sraczka mnie wzięła, jeżeli mam być tutaj do końca szczerą, chociaż może nie powinnam.

Obydwoj mężczyźni stali przy drzwiach do gabinetu i cicho ze sobą rozmawiali. Kiedy zaczęłam iść ku nim, pan James nakazał mi gestem, bym się zatrzymała. Wymienił jeszcze kilka niegłośnych uwag z doktorem, uściśnął mu dłoń i - nie spojrzawszy już na mnie - wszedł do swego gabinetu, zamykając za sobą drzwi. Nie miałam pojęcia, jak to wszystko rozumieć, jednakże sprawy raczej nie miały się dobrze.

W tej samej chwili lekarz odwrócił się w moją stronę. Z jego twarzy nie dało się nic odczytać, nie należał do ludzi zbyt żywych czy wylewnych, więcej ekspresji ma w sobie płat szynki. Teraz też było podobnie. Co gorsza, pan doktor nigdy nie patrzył w oczy, zawsze uciekał wzrokiem na boki, a jeśli już spozrzał na człowieka, to protekcjonalnie mrużył oczy, jak gdyby nie chciał włączać rozmówcy we własne pole widzenia.

- Czy mogę w czymś pomóc, sir? - spytałam. - Czy pani dobrze się czuje? Może powinnam do niej pójść?

McGregor-Robertson nic nie mówiąc postawił swą torbę przy wieszaku. Następnie wyjął z kieszeni rękawiczki i począł je wciągać, palec za palcem. Czekałam w milczeniu, aż spełni się mój los. Czy miałam iść do zakładu pogrzebowego? A może milady naprawdę zwariowała?

Gdy doktor ku swemu ukontentowaniu wciągnął nareszcie rękawiczki, zwrócił się do poręczy schodów nader ponurym tonem:

- Twoja pani dostała małego ataku. Wiesz może, jaki był jego przebieg?

Do winy mogłam przyznać się przed milady, nie przed kimś takim jak on, więc bez większych skrupułów odparłam:

- Nie, sir. Ale wszystko będzie dobrze?

- To zależy - rzekł doktor. - Symptomy budzą niemałe obawy, to coś więcej niż tylko zwyczajne zasłabnięcie. Jej stan jest poważny. Może się skończyć długą chorobą.

Te słowa spadały na mnie jak ciosy. Długa choroba. Niemałe obawy. Stan jest poważny. To zależy. Gdybym tak mogła zamienić się z nią miejscami! Uczyniłabym to bez chwili wahania, serio. Zdarłabym z siebie skórę tęym nożem do obierania, gdyby to tylko mogło jej pomóc. Tymczasem lekarz mówił dalej:

- Tak to przynajmniej wygląda obecnie. Twoja pani nie jest do końca przytomna. Wymówiła ledwie kilka słów.

- Co powiedziała?

Pokręcił głową.

- Nie warto powtarzać, bo sensu w tym nie ma za grosz.

- A... A ta krew na ustach? Czy ta rana jest groźna?

- Na ustach? A tak... Upadając, rozcięła sobie wargę. Nie, to jest drobniak, żaden powód do niepokoju. Bardziej trapi mnie gorączka i ogólny stan nerwów. Wszystko rozstrzygnie się w ciągu dwóch dni. Twojej pani trzeba opieki, ktoś musi czuwać przy niej w nocy, nie dopuszczać do wzrostu temperatury i postać po mnie w razie czego. Czy podejmiesz się tego, pannico? A może mam przysłać tu jakąś kobietę ze wsi?

Ostatnie słowa kierował do wieszaka. W ciągu całej rozmowy ani razu na mnie nie spojrzął. Czy kryła się za tym nieśmiałość czy może wyniosłość, trudno mi było orzec. Odnosiło się jednak wrażenie, że nie ma o mnie dobrego zdania.

- Zrobię co trzeba, sir - powiedziałam. - Nie trzeba nikogo sprowadzać. Sama zaopiekuję się moją panią.

Po raz pierwszy na mnie popatrzył.

- Ależ dziewczyno, ty płaczesz?

- Nie, sir - odparłam. - Nie płaczę ani trochę. A teraz proszę powiedzieć, co mam robić, by mojej pani się poprawiło.

Przez cały ten czas pan James nie dawał znaku życia. Drzwi jego gabinetu nawet nie drgnęły. Po wyjściu doktora poczłapałam do kuchni i jęłam zbierać potrzebne rzeczy. Na podwórku znalazłam Hectora, któremu kazałam nakarmić zwierzęta i zrobić jeszcze to i owo, sama zaś poszłam na górę. Odłożyłam na razie myśl o ucieczce - wolałam poczekać, aż milady wydobrzeje. Postanowiłam przywrócić jej zdrowie i potem dopiero wymknąć się z Zamku Haivers, zostawiając milady list z wyjaśnieniem. Naprawdę liczyłam, że wyzdrowieje. Nadstawiłabym własną głowę, żeby tak się stało.

Milady spała niespokojnie. Jezusie Marysieński, była gorąca niby pieczone jabłko, tedy zgodnie z instrukcjami doktora robiłam jej zimne okłady na szyi i czole, a potem rozpaliłam mocniej w kominku. Przyniosłam do łóżka plecione krzesło i co czas pewien zmieniałam ręczniki, zanurzając je w zimnej wodzie.

Trwało to jakąś godzinę. Zrobiło się już prawie zupełnie ciemno, lecz jeszcze nie zapaliłam świecy, światło biło jedynie z kominka.

Milady czasem pojękiwała, czasami drgały jej powieki. Tak bardzo absorbowało mnie zmienianie kompresów, że wystraszyłam się bardzo, gdy otworzyły się drzwi, a kiedy spojrzałam w tamtą stronę, ujrzałam przed nimi pana Jamesa.

- Powiedz mi, jakże się miewa pacjentka - rzekł, zamknawszy co prawda drzwi, lecz nie zbliżając się do łóżka. W jego oczach odbijał się ogień z kominka, reszta twarzy ginęła w cieniu.

Wyjęłam ręcznik, rada, że mam zajęcie.

- Bez większych zmian, sir. Gorączka nie ustąpiła. - Starałam się, by mój głos brzmiał normalnie, lecz on mimo woli się łamał. Dzięki Bogu w pokoju panował półmrok i moja twarz również nie była całkowicie widoczna.

- Pan doktor twierdzi, że to załamanie nerwowe czy coś w tym rodzaju.

- Tak, sir.

Pan James stanął w nogach łóżka. Popatrzył na leżącą przed nim postać, następnie przeniósł wzrok na mnie. Coś mu się nie podobało.

- Kok ci się rozwiązał - powiada.

Miał rację. Rozpuściłam część włosów na strychu i zupełnie o tym zapomniałam. Zaczęłam więc teraz upychać zwisające luźno pasemka.

- To zresztą nieważne - rzekł pan James. - Wolałbym raczej usłyszeć twoją relację z wypadków dnia dzisiejszego. - Przechylił głowę na bok i wsunął rękę do kieszeni. Czekał.

- No, niewiele jest tu do powiedzenia, sir - zaczęłam ostrożnie. - Pani upadła, sir, ale na pewno szybko do siebie przyjdzie. Pan doktor kazał mi się nią opiekować i zajmę się nią należycie, wszystko zrobię, nie musi się pan kłopotać niczym. Wykuruję ją, słowo daję, wykuruję niechybnie. Za chwilę zrobię panu kolację. Woli pan kotlety jagnięce czy śledzia? Rano była kobieta z rybami...

Kąciki ust pana Jamesa uniosły się lekko w górę, lecz był to uśmiech pozbawiony radości, właściwie nie uśmiech, lecz grymas, jak gdyby zbliżał się atak frontalny.

- Bądź tak dobra i zdradź mi, proszę - powiedział - co było przyczyną tego upadku.

- Nie jestem lekarzem, sir.

- Och, Bessy, dajże spokój. Z pewnością masz jakieś domysły. To znaczy, śmiem podejrzewać, że czegoś domyślać się możesz.

- Ja, sir? Nie mam żadnych domysłów, sir, mam pustkę w głowie. Z ręką na sercu, sir. - (W tej chwili obie ręce trzymałam w misce z zimną wodą).

Pan James pochylił się i rozgarnął żar w kominku. Następnie odwieścił pogrzebacz na miejsce i patrzył przez chwilę, jak kołysz się na haczyku.

- Ma się rozumieć - powiedział swobodnie. - Przecież cała ta sprawa nie może mieć związku z duchami.

No, doczekałam się ciosu. Zrobiłam niewinną minkę.

- Z duchami, sir?

- Trudno by było sobie nawet wyobrazić - powiada (gestykulując jakby wygłaszał przemówienie) - że duchy, zjawy, upiory, jakkolwiek wolisz je nazwać, miały swój udział w tym incydencie. Oponowałabyś zawzięcie, gdyby ktoś to zasugerował.

W tym miejscu urwał. Zrozumiałam, że czeka na odpowiedź. Ale milady właśnie poruszyła się i jęknęła, a z jej głowy zsunęły się wilgotne ręczniki. Odłożyłam je na bok i robiłam jej świeży kompres na czole. Kiedy uniosłam wzrok znad chorej, pan James patrzył na mnie wyczekująco.

- Pan o coś pytał, sir?

Westchnął i znów wlepił we mnie te swoje paciorkowate oczęta.

- Przez kilka minionych tygodni moja żona była wielce poruszona. A dzisiaj przyszło załamanie nerwowe. Ty zaś twierdzisz, że nie istnieje żaden związek między tym załamaniem a bredniami na temat duchów, którymi żona ostatnio zaprzętała sobie głowę.

- Tak twierdzą, sir.

- Nie masz więc zielonego pojęcia, co do owego załamania mogło doprowadzić.

- Nie mam, sir.

- Wobec tego zakładam, że nie było cię przy niej w krytycznych chwilach.

- Nie było, sir.

- Mów prawdę, Bessy. Kłamstwo ma krótkie nogi.

Oż do krucafuksa z tymi krótkimi nogami, to mnie nogi się ugiwały. No, ładnie ładnie, miałam znów sypnąć łgarstwami, teraz, gdy niby zaczęłam nowe życie! Na mnie samej już mi nie zależało, wyznałam wszystko w liście do milady. Ale nie chciałam, by ona miała kłopoty, bo mąż wściekłby się na nią ani chybi, dowiedziawszy się, żeśmy na strychu szukały duchów.

- Sir - mówię. - Nie wiem, co jeszcze mogę powiedzieć.

Na moment zabłyśły jego wpatrzone we mnie oczy. Miałam wrażenie, że chce zmienić temat. Pociągnął nosem, ścisnął go za czubek i potarł gwałtownie. Następnie wyciągnął swoją smarkatkę i zatrąbił w nią kilka razy.

- No dobrze - powiedział, odjawszy trąbkę od nosa. - Ciekawi mnie jednakowoż, czy podobne zdarzenia miały ostatnio miejsce. Na przykład czy żona cierpiała na zawroty głowy.

- Nie, sir. Żadnych zawrotów.

- Uważasz zatem, że twoja pani była ostatnio dobrego zdrowia.

- Tak uważam, sir. Przynajmniej do dzisiaj tak uważałam.

- Uzasadnione zastrzeżenie - powiedział. - Kotlety.

- Proszę?

- Pytałaś, co chcę dziś na kolację. Oto moja odpowiedź.

- A, kotlety - mówię. - Przez chwilę myślałam, że to jakieś wyzwisko.

Chyba mnie nie dosłyszał, patrzył na żonę z ponurą miną. Wyglądał jak człowiek zarówno smutny, jak i nieco poirytowany. Potem odwrócił się i wyszedł z pokoju bez słowa.

Przez resztę wieczoru i całą noc milady zmagala się z gorączką. Tylko raz jej stan się pogorszył i zamierzałam już posłać po doktora, lecz dzięki zimnym okładom temperatura troszkę spadła i moja pacjentka zrobiła się spokojniejsza. Pan James wściubił tam jeszcze swego nochała przed udaniem się na spoczynek, ale gdy stwierdził, że żona dalej jest nieprzytomna, szybko zrobił w tył zwrot i począłpał do siebie. Nadeszła północ, minęła północ. Nowy Rok! Mimo to

w Zamku Haivers nikt się nie cieszył i nie bawił. Koło pierwszej obok domu przemknęła wichura. Zagrzecotała oknami i dmuchnęła w komin, przez co z kominka buchnęły kłęby dymu. Obsypały nas drobiny sadzy, musiałam zetrzeć je z cudnej twarzy mej pani. Jakaż ona była piękna! Nie zbudziła się przy tym wcale, przez cały czas spała jak małe dziecko.

Postanowiłam sobie, że rano ugotuję dla niej bulion, jeśli będzie w stanie go wypić. Na szczęście nie zajmowała się nią moja matka. Bridget nie pomyślałaby nawet o bulionie, nie gotowała zresztą nigdy, o ile nie była do tego zmuszona. Joe Dimpsey nie przewyższał jej pod tym względem, na wszystkie dolegliwości miał tylko jedną jedyną radę: „Pół kwarty whisky plus solidne bara-bara i człek jest znów zdrowy jak byk”.

Nie sądzę, by akurat taką kurację można było zalecić mojej pani.

W pewnym momencie położyłam się obok niej na kołdrze i otoczyłam ją ramionami. Nie wskazywało to na brak należącego szacunku z mej strony, chciałam ją tylko pocieszyć, ukoić. Przynajmniej ktoś się nią opiekował. Nawet jeśli tym kimś byłam ja - zła dziewczucha, która starała się zacząć nowe życie. Próbowałam sama przed sobą usprawiedliwić jakoś swą podłość. Nie mam w zwyczaju roztrząsać problemów zbyt długo, lecz wychowano mnie przecie w określony sposób. „Gdyby tylko” to, „gdyby tylko” tamto. Gdyby tylko moja matka była kimś innym itd. Leżąc tak przy milady, przypomniałam sobie o dawnych czasach, kiedy sypiałam wraz z Bridget w tym samym brudnym łóżku w Dublinie. To było jeszcze przed pojawieniem się Joego, bo potem był już tylko siennik na podłodze, ten sam siennik, na którym siedziałam, gdy po raz pierwszy matka malowała mi twarz. Przypomniałam sobie, że gdy uporała się wtedy z moim makijażem, to umalowała się sama, wyciągnęła mnie z pokoju i poprowadziła w dół po schodach. Zatrzymała się potem na ulicy, aby obejrzeć swoje odbicie w szybie, następnie zwróciła się do mnie z uśmiechem:

- Kim jestem?

Nie, nie zwariowała. Często mnie o to pytała i nauczyła mnie trafnej odpowiedzi.

- Jesteś moją starszą siostrą - odparłam.

- Otóż to - powiedziała.

Taką już miała próżnostkę, wołała, by nie wiedziano, że jest matką, musiałam więc zawsze przedstawiać ją jako swą siostrę, i wszędzie, gdzieśmy się znalazły, za siostrę moją uchodziła.

Zawiodła mnie na szeroką ruchliwą ulicę i ustawiła pod latarnią opodal dorożkarzy drzemiących na schodkach swoich pojazdów.

- Uśmiechnij się, kochanie - powiedziała. - Uśmiechaj się bez przerwy.

Były tam również dwie jej kamratki, wysztafirowane jak laleczki, Kate i Eliza Rosa. Stały pod inną latarnią, czekały na kogoś (tak przynajmniej myślałam). Matka do nich podeszła, coś powiedziała i wszystkie trzy odwróciły się i spojrzały na mnie. Eliza Rosa patrzyła na mnie jakoś tak niespokojnie, natomiast Kate zawołała wesoło: - Jak coś sflaczeje, maleńka, przyjdź do mnie, pożyczę ci trochę krochmalu!

Nie zrozumiałam wtedy tej uwagi i nie wiedziałam, co ją tak rozśmieszyło, uznałam, że ma to związek z przemysłem parasolowym. Eliza Rosa i moja matka nie przyklasnęły udzielonej przez Kate porady, Eliza kuksnęła ją w bok, a matka posłała jej chmurne spojrzenie, po czym wróciła pod moją latarnię.

Gdy podeszedł do nas dżentelmen w wieczorowym stroju, uznałam, że jest to właściciel sklepu z parasolami. Był żywy, pełen energii, mógł rzeczywiście być przedsiębiorcą. Miał zaróżowione policzki i bujne nawoskowane wąsiska. W butonierce miał różyczkę, a na szyi wielobarwny szal. Matka przespacerowała się z nim po ulicy. Nie słyszałam, o czym rozmawiają, lecz bez wątplenia mówili o mnie, bo co chwila na mnie popatrywali, a raz czy dwa, gdy dżentelmen nie patrzył, matka błysnęła do mnie oczami i wyszczerzyła zęby jak małpa, co mnie z początku dziwiło, aż w końcu pojęłam, że mam się uśmiechać.

Dżentelmen wręczył coś matce, a ona wtedy do mnie podeszła, przyklękła i spojrzała mi prosto w oczy.

- Słuchaj uważnie - powiada. - Masz iść z tym panem i robić wszystko, co ci rozkaże, masz być grzeczna i układna. Jeżeli spieszysz

się jak należy i zachowasz się przyzwoicie, to ja i Joe zabierzemy cię ze sobą. Słyszysz, co do ciebie mówię?

Jakże mogłam nie słyszeć, przecie klęczała tuż przy mnie.

Poszłam z panem, wedle rozkazu. Oddaliliśmy się od ruchliwej ulicy. Kiedy zdarzało mu się na mnie spojrzeć z ukosa, uśmiechałam się przykładnie. W pewnej chwili (zawsze ją będę pamiętała) odchrząknęła i rzekł dość karcącym tonem:

- Gdybyś mieszkała na kontynencie afrykańskim, byłabyś już teraz zapewne małżonką ciemnoskórego autochtona z kością w nosie.

Nie byłam jeszcze towarzysko wyrobiona i nie wiedziałam, jak może brzmieć grzeczna odpowiedź na taką właśnie uwagę, wolałam więc zbyć ją milczeniem. Przez całą minutę żadne z nas nic nie mówiło, aż w końcu dżentelmen odezwał się w te słowa:

- Rozumiem, że taki stan rzeczy mógłby ci odpowiadać.

- Proszę? Jaki stan rzeczy, sir?

- Odpowiadałoby ci małżeństwo z autochtonem z kością w nosie.

Pokręciłam głową.

- Nie, sir. Ja... To by mi ani trochę nie odpowiadało.

- To dlaczego się tak uśmiechasz?

- Nie wiem, sir.

Rozbawiła go widać ta odpowiedź, ponieważ zaśmiał się warkliwie, a potem raptownie zamilknęła i spojrzał na mnie, marszcząc brwi.

- Pewnie jesteś głuptakiem - stwierdził krótko. Szliśmy dalej, a on przyglądał mi się teraz uważnie, szukając na mojej twarzy oznak idiotyzmu.

- A niech cię kurka...! - krzyknęłam, lecz opamiętałam się błyskawicznie, miałam być przecie układna. - Proszę wybaczyć, sir, nie jestem głuptakiem. Szybko się uczę. I robię to, co mi każą.

- Cieszę się, że to mówisz - powiada. - Przynajmniej nie uśmiechasz się już jak pomyłona.

Istotnie przestałam się uśmiechać, bo nagle zebrało mi się na płacz. To całe dziwaczne gadanie o ciemnoskórych i pomyłonych. Chciałam, by przyszła po mnie matka i zabrała mnie do domu. Ale potem przypomniało mi się, że ona i Joe jadą do Szkocji i że muszę iść z tym

panem i robić wszystko, co mi każe, bo inaczej zostaną tutaj i będę żywić się odpadkami i nocować pod drzwiami do sklepu.

Dżentelmen zawiódł mnie w końcu na boczną uliczkę przy teatrze. Nigdy wcześniej w teatrze nie byłam, znajome matki opowiadały tylko niekiedy, jak to wemknęły się tam tylnymi drzwiami, żeby popatrzeć na niezrównanego Johna Drew. Wydawało mi się, jak sądzę, że mój dżentelmen też zna jakieś sekretne wejście i że obejrzymy końcówkę spektaklu, nim zabierzemy się do roboty. Szłam z nim zatem bez ociągania.

Mniej więcej w połowie uliczki zaciągnął mnie do mrocznej niszy w ścianie. Rzeczywiście było tam jakieś wejście, lecz na okratowanych drzwiach wisiał łańcuch z kłódką. Przez chwilę czułam się zawiedziona, że jednak nie zobaczę spektaklu, lecz rozczarowanie ustąpiło niebawem panice, ponieważ dżentelmen pochylił się i wsunął mi język do ucha. Próbowałam wyrwać się z jego uścisku, ale nie mogłam, bo przyparł mnie do ścian w narożniku wnęki. Z ledwością rejestrowałam ciąg zdarzeń: najpierw upadł na ziemię kapelusz i potoczył się gdzieś dalej, potem pan mój nerwowo rozpinał spodnie, później poczułam, jak mnie podnosi, dalej przyciskając do ściany. Mało jeszcze wówczas wiedziałam, ale też widziałam niejedno, dość tego było, żeby domyślić się ciągu dalszego, nie byłam pewna, czy mi się to podoba. Tak czy inaczej, mojej matce nie mogło chodzić o coś takiego.

- Pan wybaczy, sir - powiadam. - A parasole?

We wnęcie było ciemnawo i słabo widziałam jego twarz.

- Parasole? - zapytał z wahaniem i raczej uprzejmie. - Nie rozumiem.

- Czy właśnie to mam robić, sir?

Pogłaskał mnie po głowie i westchnął.

- A tak, moja droga, i robisz to bardzo dobrze. Nie wierć się tylko i... pozwól mi... - Poprawił coś przy moich majtkach. - Teraz lepiej. U ciebie wszystko dobrze?

Skinęłam głową, miałam nadzieję, że nie zauważył łez, które napłynęły mi do oczu. Wiedziałam, co nastąpi za chwilę.

- No dobrze - powiedział dżentelmen. - Jeżeli towar jest taki, jak go reklamowano, to poczujesz mały dyskomfort.

Kiedy przystąpił do dzieła, nie mogłam znieść myśli, że jest przy mnie jego plugawe ptaszysko, więc w wyobraźni podstawiłam w to miejsce najzwyklejszy parasol (a mógł to być parasol w rzeczy samej, sądząc po bólu, jaki mi sprawił), parasol męski, jedwabisty i rozłożony szeroko, parasol ze sklepu, do którego nie doszliśmy wcale i który w ogóle nie istniał, z czego dopiero wtedy zdałam sobie sprawę.

Jeszcze pięć razy w tym tygodniu przyszło mi być dziewczcą, za każdym razem z innym facetem. W sobotę miałyśmy już dosyć gro-siwa, żeby kupić bilet do Szkocji. Przez cały ten czas matka twierdziła, że Joe popłynie z nami tym samym promem. Aliści gdy data przeprawy zbliżała się już wielkimi krokami, usłyszałam, że Joe udał się tam przed nami i że spotkamy się z nim w Glasgow. Prosiłam ją o szczegóły, gdzie niby i kiedy mamy się spotkać, lecz matka zbywała mnie krótko, „Nie twoja sprawa”, mówiła.

Mniej więcej w tym właśnie okresie zaczęłam podejrzewać, że jej opowieść o pojednaniu w porcie może rozmijać się z prawdą. Mimo to nie puściłam pary z gęby i starałam się o tym nie myśleć i nie ujmować wniosków w słowa, bo byłoby to aż nazbyt bolesne.

W porównaniu z Dublinem Glasgow wydawało mi się ogromne, zgiełkliwe i pełne wariatów. Już w porcie ujrzałam dorosłą kobietę, która łąziła na czworakach i szczekała jak pies, mężczyznę grającego na skrzypkach zrobionych z przewiązanej strunami końskiej czaszki tudzież chłopca, który trzymał nad głową makrelę i wywijał nią tak mocno, że wnętrzności wylatywały z niej jak serpentyny. Straszliwe niebo nad portem jaśniało od płomieni, zasnute do tego czarnym dymem, wszelako ten ogień i dym nie brały się z czeluści piekielnych, tylko z huty Dixona po drugiej stronie rzeki. A czy Joe Dimpsey, nasz dzielny lekkoduch, witał nas na nabrzeżu, rozpływając się w serdecznych uśmiechach? Akurat.

Matka najęła pokój przy Stockwell Street i przez kilka pierwszych dni uporczywie szukała Joego. Była na każdym torze wyścigowym, w każdej knajpie, melinie i tancbudzie, na nic się to nie zdało i dała

w końcu ogłoszenie w „Heraldzie”, oferując nagrodę za informację o miejscu jego pobytu. Nikt się jednak nie zgłosił.

Gdy po tygodniu skończyły się pieniądze, matka posłała mnie do pracy. Ona sama, jak to ujęła, przechodzi na częściową emeryturę. Przez lata wypruwała z siebie flaki, by odziać mnie i wyżywić. A teraz znam już ten fach i mogę zarobić trochę grosza, ona zaś do mnie dołączy jedynie wtedy, gdy się jej zachce.

Od tego dnia wszystkie uczucia i myśli zamknęły się w mojej piersi i tłoczyły się tam, utrudniając oddychanie. Nie znałam jednak innego życia, więc odpychałam jakiegokolwiek skrupuły i robiłam, co mi kazało. Poza tym bardzo bałam się matki.

Podnosiła ona regularnie moje kwalifikacje zawodowe, ucząc mnie wielu zmyślnych sztuczek (których, proszę wybaczyć, nie będę tu opisywać), i dość szybko udało się jej zamieścić nasze oferty w katalogu „Nadobne panie z Glasgow”. Katalog ten kursował w prywatnym jedynie obiegu, a ja figurowałam tam jako „Różyczka, młódka świeża a urodziwa, która mimo swe młode lata udatnie grywa na flecie i ustnik dobrze trzymać potrafi”. Sama Bridget reklamowała się tam jako „Hoża madonna, Helena Troy, której zalety nie mają sobie równych ani na tym, ani na tamtym świecie”.

Niezadługo stanowiłyśmy już stały element ulic Glasgow i nie różniłyśmy się od dziewczyn miejscowych, które, jak się potem okazywało, też pochodziły „zza wody”, wiele nas tedy z nimi łączyło. Najlepsze były wieczory sobotnie i poniedziałkowe, ponieważ w niedziele panowała prohibicja, toteż dzień przed i dzień po upijano się częściej, by powetować sobie niedzielne straty. Tak czy owak, musiałyśmy wszystkie ostro rywalizować o klientów, bo tylko skończone piękności oraz panienki oferujące „usługi specjalne” mogły być spokojne o pracę. Na domiar złego matka piła. Wyrzucono nas wkrótce ze Stockwell Street za zaległości w płaceniu czynszu i trafiłyśmy do suteryny na Gallowgate. Dzięki Bozi, mieszkaliśmy same, lecz było tam chłodno i latem, i zimą, i ciuchy pleśniały nam od wilgoci i ziąbu. Matka twierdziła, że ogrzać się można tylko w jeden jedyny sposób: golnąć sobie raz jeszcze.

Po przeprowadzce na Gallowgate matka jakby zapomniała o swoim Dimpseyu. Znalazła sobie nowe kamratki i, jak było do przewidzenia, nawiązała relacje z całym szeregiem mężczyzn. Bo, widzicie Panowie, matka zawsze musiała posiadać jakiegoś jednego amanta, lecz nie zadowalał jej pierwszy lepszy, facet musiał mieć taki czy inny talent, coś, co wyróżniało go spośród reszty. Na przykład mój tak zwany ojciec, Tytan McPartland. Matka ciągle chwaliła jego wielkiego ptaka i wybitny talent taneczny. Z kolei Joe Dimpsey był niespotykane urodziwy, nade wszystko zaś był „nieokiełznanym geniuszem” i mógł kiedyś, choć mało to było prawdopodobne, pójść na studia i okiełznać swój talent. Matka zawsze musiała się podczepić pod jakąś znakomitość.

Pierwszym mężczyzną, z którym spiknęła się w Glasgow, był nocny portier w hotelu Tontine, matka poznała go w teatrze Parrys. Niby nic specjalnego, tyle że facet był Włochem imieniem Marco, miał fizjonomię obolałego wielbłąda, a ludziska wołali na niego Makaroniarz, bo byli głupi i innych Włochów nie znali. Marco był krętacz jakich mało, ciągle podawał inną wersję swych dziejów. Raz wywodził się z Rzymu, innym razem z Werony. Czasami twierdził, że jest uchodźcą, tere-fere kuku, bujaj cicię Helenkę. Jeżeli wywalili go z ojczyztego kraju, to pewnie dlatego że mieli po dziurki w nosie tego załganego łobuza. Czasami, po paru głębszych, Marco rozповідаł dokoła, że jest szlachetnie urodzony, co przy jego akcencie budziło powszechną wesołość, zwłaszcza gdy chwalił się swym tytułem szlacheckim. „Jestem baran” - powiadał i nikt raczej nie kwestionował prawdziwości tego twierdzenia. Dzięki Bogu matka szybko się nim znudziła, wyrzuciła go, kiedy wypił resztkę whisky, podczas gdy ona smacznie spała. Dalej należał do jej znajomków, lecz gdy nie było go w pobliżu, matka rozwodziła się długo nad jego wadami, mówiła, że jest jej go żal okropnie, i że mu strasznie współczuje, w ten sposób zawsze wynosiła się nad innych.

Potem było jeszcze parę innych typków, jeden nie lepszy od drugiego. Pamiętam to jak przez mgłę, bo podobnie jak matka szybko zaczęłam w kieliszku topić wszelkie smutki. W tamtym okresie nie

ruszałam się z domu nie wypiwszy co nieco, bo inaczej nie zarobiłabym ani pensa, nie zaczepiłabym żadnego faceta. Z czasem, rzecz jasna, nabrałam odwagi i stałam się równie rozmowną jak reszta dziewcząt, lecz zawsze chodziłam ciut zawiana.

Tak to minęły dwa albo trzy lata. Trudno powiedzieć, czy byłam szczęśliwa czy smutna. Na dobrą sprawę nie czułam zupełnie nic. Sądzę, że w głębi ducha wiedziałam, iż robię coś złego. Pewien dżentelmen obiecał mi kiedyś dwa szylingi, jeśli opowiem mu o sobie. Był to Anglik, członek jakiegoś tam Towarzystwa, i koniecznie chciał mi dowieść, jak bardzo pobłądziłam. Nie mogłam mu nic odpowiedzieć. Słuchałam tylko, urzeczona, tych wszystkich „azali” i „zaprawdę”, bo wcześniej nikt przy mnie takich słów nie używał. Dał mi jeszcze jednego szylinga, bym pokazała mu gdzie sypiam, i pomyślałam sobie wtedy, no bratku, nie zdążymy nawet wejść do środka, a już twój ptaszek ku mnie pofrunie. Panoczek mój jednak obejrzał pokój i poszedł, miast ptaszka wcisnął mi na odchodnym broszurkę. Nie miałam pojęcia, co w niej stało, bo nie umiałam jeszcze czytać, poza tym matka spożytkowała ją później na podpałkę. Prawdę rzekłszy, matka umiała troszkę czytać i pisać, bo za młodu chodziła do szkoły, i to nawet przez parę lat, mnie wszakże swej wiedzy nie przekazała. Uczyła mnie tylko jednego: jak zadowolić mężczyznę.

Mniej więcej w tym czasie zaczęłam miewać koszmary. Nie piłam już dwóch albo trzech drinków, piłam ich znacznie więcej, nawet nie wiem jak dużo. Żeby tylko zapomnieć. Zapomnieć, o tym co robię, co każe mi robić matka, „żeby panowie się nie nudzili”.

Dzięki Bogu pojawił się pan Levy, on mnie ocalił. Biedny pan Levy! Poszedł pewnie do nieba bądź tam, gdzie idą po śmierci dżentelmeni z żydowskich rodzin. Gdy zmarł, serce mi pękło na pół. Bałam się wracać do matki. Pamiętam, że owego poranka, gdy wyrzucono mnie z Crown House, poczępałam na Gallowgate i szukałam jej na rynku, potem w naszej suterynie, aż w końcu znalazłam ją w speluncie „U Tkaczek”. Była już porządnie wstawiona, obok niej siedział nocny portier Marco, jego głowa leżała na stole.

- Chryste Panie! - krzyknęła matka, gdy zobaczyła, jak przepycham się ku niej przez tłum. - Czymże ten drań cię karmi? Jesteś tłuśta jak maciora!

I roześmiała się dziko. No i proszę, właśnie wróciłam na stare śmiecie, a już jestem tak zirytowana, że nie wiem, co dalej. Marko zerknął na mnie mętnymi oczkami.

- Jestem kurde wychodźca, jakby co - powiada. - Ty nie godna lizać mi buty.

Matka tymczasem machała do kogoś za moimi plecami, do kogoś przy barze.

- Hej no! - krzyknęła. - Chodź tutaj i zobacz, kogo tu mamy.

Odwrociłam się i mało co nie zemdlałam. Otóż i on, oparty o ścianę, pogrążony w rozmowie z jakimś facetem (i oczywiście ignorujący moją matkę), on sam we własnej osobie, dzielny Joe Dimpsey. Schudł trochę na twarzy i miał inne wąsy, lecz trudno go było pomylić z kimś innym.

- Joe, psiakrew! - wrzasnęła matka. Tym razem Joe się odwrócił i rozejrzał, nieco rozchwiany. Matka wskazała mnie ręką. Joe uśmiechnął się szeroko, pstryknął w swój (nowy) kapelusz i wrócił do przerwanej rozmowy.

- To Joe - zwróciła się do mnie rozanielona matka.

- Widzę - odrzekłam.

- Niedługo pójdzie na studia i zostanie doktorem. Tutaj też może studiować. Wszyscy go mają za bardzo mądrego. Zadali mu mnóstwo pytań i powiedzieli, że to umysł jakich mało. Zacznie w przyszłym tygodniu, tylko najpierw kupi książki. Jest nieokiełznany, jest jak tygrys.

W tym momencie Joe zataczał się już poważnie, najwyraźniej bliski omdlenia, z tygrysem nie miał wiele wspólnego. Spojrzałam na matkę.

- Czemu zawdzięczamy twoją wizytę? - spytała. Jej wzrok po raz pierwszy spoczął na moim tobołku. - Co ty tam masz?

- Nic - mówię. - Ubrania.

Zdjęłam płaszcz i usiadłam. Myśli galopowały jedna za drugą. Widziałam, że nic się tu nie zmieniło, że nic się nigdy tutaj nie zmieni. Co ja sobie wprzódy wyobrażałam? Nie powinnam się nigdy do niej zbliżyć.

- Są twoje - powiedziałam. - Pan Levy kupił je dla mnie, ale...
- Jak się miewa to stare łotrzysko?
- Miewa się dobrze - odparłam. - Zdrow jak rydz.
- To człek rzetelny - mówi matka, unosząc szklankę. - Daję ci na to moje słowo.

Kiwnęłam głową i rzekłam:

- Chciałam tylko powiedzieć, że te ciuchy na mnie nie pasują, więc pomyślałam, że może przyniosę je tobie.

- Doprawdy? - powiedziała matka. - To ładnie z twojej strony.

Wyraz jej twarzy nie zmienił się ani trochę, lecz widać było, że nieufnie odnosi się tego niezwykłego aktu hojności, ponieważ dawniej kryłam przed nią każdy z moich drobiazków.

Roześmiałam się.

- Nie dumaj tak już, królową nie będziesz - mówię. - Mam ci dać te sukienki? Niedoczekanie... Ja je po prostu sprzedam. A teraz, jeśli łaska, chciałabym je zostawić w pokoju na górze, żeby się tutaj spokojnie napić.

Matka wzruszyła ramionami.

- Jak tam chcesz. - Machnęła ręką. - Możesz je zresztą położyć tutaj, pod stołem.

Spojrzałam na Marca.

- I czekać, aż mi je podwędzą? - Pokręciłam głową. - Poza tym i tak bym o nich potem zapomniała. Mam dzisiaj wolne i chcę urządzić się w trupa.

- Słusznie! - stwierdziła matka. - Dobrze cię dla odmiany widzieć w lepszym nastroju.

- Ululam się do nieprzytomności - powiadam.

- Hura!

- Schlam się nieziemsko! Zaleję się w pestkę!

- Kapitalnie!

- Ja płacę - oświadczyłam.

- Wypiję z tobą - odrzekła matka.

- Najpierw zaniosę rzeczy do pokoju - mówię. - Zaraz wracam. Zamów coś dla mnie na dobry początek.

Bridget mrugnęła do mnie. Była bardziej pijana niżem wcześniej sądziła.

Wrzuciłam tobołek na ramię i ruszyłam wolno przez ludzką ciżbę. Przy drzwiach zatrzymałam się, żeby pomachać do matki, lecz ona wpatrywała się już maślanym wzrokiem w Joego, który dalej stał w tym samym miejscu pod ścianą. Jak tylko wyszłam z knajpy, puściłam się biegiem przed siebie. Poniewczasie uzmysłowiłam sobie, że zapomniałam zabrać płaszcza. Wracać jednak zamiaru nie miałam. Przestałam biec dopiero za Janefield, gdy już znalazłam się na gościńcu wiodącym do Edynburga i do młodego szlachcica lub księcia. A raczej, jak się miało potem okazać, do Zamku Haivers i do milady.

Strachem napawała mnie nie tylko perspektywa powrotu na ulicę, było bowiem coś jeszcze, coś krucafuku gorszego, w co matka zamierzała mnie znowu wrobić. Chodziło o „usługę specjalną”, którą wymogła na mnie, nim zamieszkałam u pana Levyego.

Jezu Marysieński, nie chciałam nawet myśleć o tym.

Wstałam z łóżka, żeby trochę rozprostować kości. Gwałtowny ruch chyba zbudził milady, bo nagle otworzyła oczy i spojrzała na mnie, ździebko oszołomiona. Potem uśmiechnęła się słabo.

- Bessy - powiada. - Zasnęłam?

- Nie, proszę pani. Jest pani niezdrowa i musi jeszcze zostać w łóżku, musi odpocząć.

- Niezdrowa? A tak, przypominam sobie. - Jej głos był ochrypły i cichy prawie jak szept.

Usiadłam na łóżku i drżącymi dłońmi zdjęłam kompresy z czoła i szyi milady. Wiatr osłabł i przez okno wpadał już słaby blask świtu. Twarz mojej pani była blada jak poszewka na poduszce. Tak jakby światło wybieliło jej skórę. Kiedy się nad nią pochyliłam, znowu na mnie spojrzała, tym razem lekko zdziwiona.

- Przecież... ty jesteś bardzo zdenerwowana! - powiada. - Co się stało?

- Nic, proszę pani. Cieszę się, że z panią już chyba trochę lepiej. Czy mogłaby pani powtórzyć moje imię?

Wyglądała na zaskoczoną.

- To znaczy... Bessy?

- Tak, otóż to - mówię. - Teraz dobrze. Naprawdę się cieszę.

Była co prawda blada i osłabiona, lecz choroba, czy jakkolwiek nazwać jej stan, wyraźnie straciła na sile. Tak czy inaczej, milady mnie rozpoznała.

- Proszę powiedzieć, co pani pamięta - rzekłam. - Byłyśmy razem na strychu.

Zmarszczyła brwi.

- Poczekaj - mówi. - Zobaczyłyśmy jakiś napis w oknie. Cztery słowa. - I z trudem dodała: - Wołanie o pomoc.

- A potem?

Zastanawiała się przez chwilę.

- Chyba zemdlałam - odparła. - Poza tym nic nie pamiętam.

- Nie pamięta pani upadku? I tego, co się zdarzyło, zanim pani upadła?

- Nie. Widzę słowa w okienku i słyszę, jak je odczytujesz, ale potem wszystko ciemnieje, jakby ktoś zgasił latarnię. - Chwyliła mnie za rękę. - Dlaczego mnie o to pytasz? Czy coś się stało? Widziałas kogoś? A może coś? Co to było?

- Nie, proszę pani - mówię. - Nie widziałam. Ale proszę pani... Zbudziła się pani i powiedziała coś do mnie. Pamięta pani, co to było?

- Nie - szepnęła. - Co to było?

Już chciałam powiedzieć jej prawdę, ale w porę się opamiętałam.

- Nic takiego. Wymówiła pani moje imię, a potem... znowu zapadła w sen.

- Pamiętam tylko tamto wezwanie. - Spojrzała na mnie prawie ze z entuzjazmem. - Wiesz, spodziewałam się czegoś takiego. Wspominałam o tym zresztą, prawda?

Czekała, aż ją zachęcę do dalszych wynurzeń, ale ja zmieniłam temat.

- Proszę pani - mówię. - Trzeba zdecydować się, co powiemy panu Jamesowi. Czy ma się dowiedzieć, że wtedy na strychu polowałyśmy obie na ducha.

Wytrzeszczyła oczy, przerażona.

- Nie! - odparła. - A co mu już powiedziałaś?

- Nic - mówię. - Sądzę, że mógł mieć takie podejrzenia, ale udało mi się chyba zmylić trop. Będzie dobrze, o ile obie zdamy mu taką samą relację, niczego potem nie zmieniając. Zastanawiałam się już nad tym. Możemy powiedzieć, że była pani w swoim pokoju, pisała tam list i nagle zbyt szybko zerwała się z krzesła. I nic więcej już pani nie pamięta.

Zamknęła oczy i nie otwierała ich długo. Myślałam już, że znowu zasnęła, lecz raptem otwarła oczy i skierowała na mnie czujne spojrzenie.

- Czułam tam czyjąś obecność - rzekła milady. - Było zimno, prawda?

- Na strychu zawsze jest zimno - odparłam. - Chyba że mamy lato.

- Nie, tam coś było, jestem pewna. Niebawem coś się wydarzy... coś ważniejszego. Być może ukaże się zjawą. Ktoś zwraca się do nas, Bessy. Ktoś potrzebuje naszej pomocy.

Oczy rozwarły się jej tak szeroko i wyrażały taką powagę i szczerą niepokój, że byłoby to może nawet śmieszne - gdyby nie przepajało mnie smutkiem i poczuciem winy. Skinęłam głową bardzo wolno, jakbym rozważała jej słowa.

- Może tak będzie - powiedziałam. - Ja bym się jednak nie zdziwiła, gdyby na wczorajszym skończyło się to wszystko. Podejrzewam, że ducha już tu nie zobaczymy.

Wykrzywiła usta w uśmiechu.

- A to co znowu? Twoje kolejne racjonalne wyjaśnienie?

- Nie, proszę pani. Po prostu mam takie przeczucie.

Musiałam zepchnąć jej myśli na inny tor.

- A czy pani już wcześniej chodziła na strych? - spytałam swobodnym tonem. - To znaczy, zanim zaczęły się te wszystkie hałasy?

- Nie - odparła po chwili milczenia. - Wydaje mi się, że... tylko raz.

Raz, czyli wtedy, kiedy zanosła tam kuferek Nory, tyle wiedziałam już z *Observacji*. Nie do tego jednak zmierzałam. Zaczęłam kręcić się koło łóżka i niepotrzebnie poprawiać pościelanie.

- A czy spojrzała pani na świetlik? Wtedy gdy pani tam poszła?

- Nie sądzą - odparła. (Na taką odpowiedź liczyłam i bardzo mnie ona uradowała). - Dlaczego pytasz?

Wzięłam głęboki oddech.

- Czy w tym domu kiedykolwiek mieszkał ktoś, kto tytułował panią „prosz pani”?

Aż dech jej zapało, a oczy znowu się wytrzeszczyły. Pomyśleć by można, że zadarłam jej nocną koszulę, żeby popatrzeć na jej myszkę. Gapiła się na mnie przez moment, jej oddech był krótki i płytki.

- Była taka służąca, to prawda - odezwała się w końcu. - Kilka miesięcy przed twoim przybyciem.

Serce waliło mi jak diabelskie kopyta. Wiedziałam, że muszę pociągnąć to dalej.

- A czy tej służącej nie była kiedyś potrzebna pani pomoc? - spytałam. - Może z jakiegoś powodu zdarzyło się jej raz wejść na strych, może akurat była smutna, czy coś takiego, i może ona właśnie wtedy, w chwili roztargnienia, namazała te słowa na świetliku?

Milady patrzyła prosto przed siebie. Jej usta milczały, lecz oczy były jak okna, widziałam, jak przez komnaty w jej głowie przemykają się teraz dziesiątki myśli.

- Czy to zupełnie niemożliwe? - powiadam. - Czy to niemożliwe, że te słowa napisano kilka miesięcy temu, lecz myśmy dopiero wczoraj je dostrzegły i błędnie wzięły za przesłanie z zaświatów?

Podsunęłam jej to jako możliwość, rzecz mało prawdopodobną, lecz jednak możliwą.

- Tak, ale... Widzisz... - powiada milady. - O jednym nie wiesz jeszcze. Ta dziewczyna... ona nie żyje.

- Boże drogi - rzekłam. (Ależ ze mnie aktorka! Grałam jak ta lala). - To bardzo smutne, proszę pani. Jak miała na imię?

Milady oblizała usta.

- Nora - rzekła słabym głosem. - Nora Hughes.

- Niechże mi pani wybaczy, ale ta Nora Hughes teraz już może nie żyje, ale śmiem twierdzić, że żyła, kiedy u pani pracowała.

Błysnęłam siekaczami, lecz moja pani milczała.

- Rozumie pani? Wszak ona była tu kilka miesięcy temu. Mogła wtedy wejść na strych bez pani wiedzy i namazać na szybie tę głupią prośbę.

Milady jeszcze przez dłuższą chwilę wpatrywała się w przestrzeń przed sobą. Westchnęła ciężko, jej oddech rwał się i drżał.

- Tak - powiedziała. - Nie pomyślałam o tym. Ale możesz mieć rację. Ona mogła napisać to... wcześniej.

Roześmiałam się.

- No właśnie, proszę pani! Oto wytłumaczenie. Tego nie napisała osoba zmarła, tylko żywa służąca, kilka miesięcy temu. - Przerwałam, żeby milady mogła w pełni przyswoić sobie moją teorię. Po czym lekkim tonem dodałam: - To oczywiste. Aż dziw bierze, żeśmy od razu na to nie wpadły.

Jakiej reakcji się spodziewałam? Wyobrażałam sobie chyba, że milady poczuje ulgę, może nawet ucieszy się, że wszystko ma swoje racjonalne wytłumaczenie. A jednak w owej chwili na jej twarzy nie dostrzegłam ani poczucia ulgi, ani radości. Wyglądała wręcz na rozczarowaną, rzekłabym nawet, że sprawiała wrażenie pogrążonej w najgłębszym smutku.

- Co się stało, proszę pani?

Wzdrygnęła się, jakby zapomniała o mojej obecności. Następnie przeszła mnie osobliwym spojrzeniem, zupełnie dla mnie niezrozumiałym. Było w nim coś przebiegłego, jak gdyby przechytrzyła mnie w ten czy inny sposób, a jednocześnie wyczułam w jej oczach nieufność, jakby milady się bała, że to ja ją niebawem spróbuję przechytrzyć. Takie wtedy odniosłam wrażenie, trwało to ledwie sekundę lub dwie, tedy mogłam się mylić. Uśmiechnęła się potem, wzdrygnęła znowu i rzekła ze śmiechem:

- Nic! Bystra z ciebie dziewczyna Bessy, sama wszystko rozpracowałaś. Być może udało ci się rozwiązać naszą małą zagadkę. Cudownie, prawda?

Najchętniej gadałabym z nią jeszcze przez sto lat, lecz dała mi teraz do zrozumienia, że powinnam już sobie pójść, oświadczyła, że jest senna, i przewróciła się na bok. Nie pozostało mi nic innego, jak wyjść cichaczem z pokoju i równie cicho zamknąć za sobą drzwi.

Po powrocie do kuchni wsunęłam rękę w kieszeń i namacałam mój liścik do milady. Wyjęłam go i obejrzałam. Naskrobałam te słowa zaledwie kilka godzin temu, teraz jednak zdało mi się, że minęło już wiele dni. Dzięki Ci Boziu, że nie spełniły się moje najgorsze obawy. Milady ani nie umarła, ani nie oszalała. Nie pamiętała, że ją uderzyłam. A jeśli obie będziemy obstawać przy jednakowej wersji wypadków, to pan James nic tu nie wskóra.

Głupia byłam, martwiąc się tyle. Mało tego (mówiłam sobie), wyznanie prawdy przyniosłoby więcej szkód niż pożytku. Milady znajdowała się w stanie dość delikatnym. Potrzebowała spokoju i ciszy. Dowiedziawszy się, że wystrychnęłam ją na dudka, zdenerwowałaaby się ponownie i może znowu zaniemogła jak wcześniej. I to w momencie kiedy wracała już do zdrowia. Doprawdy, gdy o tym dobrze pomyśleć, nie było sensu salwować się ucieczką czy przyznawać do czegokolwiek.

Poza tym, na litość boską, dokąd miałabym uciec?

Jakie to szczęście, że nie dałam jej listu!

Na wszelki wypadek go zniszczyłam. Nie zdążyłam jeszcze rozpalić w kuchennym piecu, toteż zużyłam teraz kilka zapałek i musiałam solidnie podmuchać, papier chyba troszkę zwilgotniał. Wytrwale jednak niszczyłam kolejne zapałki, aż w końcu z mojego wyznania została kupka popiołu.

Wycieczka, herbatka i tajemniczy przedmiot

Była to owa mroczna pora roku, gdy każdy dzień wydaje się za krótki, jak gdyby słońce dopiero co wychynęło zza progu świata, a już musi znowu kryć się w ciemnościach. Zapalałam przy łożku więcej świec niż zazwyczaj, chcąc rozpogodzić milady, i szukałam sposobów na rozjaśnienie całego pokoju i oderwanie jej od myśli związanych z duchami. W obejściu nie znalazłam niestety żadnych kwiatów, lecz w wolnych chwilach poszperałam przy żywopłotach i zebrałam trochę gałązek ostrokrzewu i dzikiej róży oraz kilka wiecznie zielonych liści, aby przystroić nimi kominek. Co wieczór wymyślałam zagadki, spisywałam je i dawałam rano milady razem ze śniadaniem, żeby miała czym wypełnić czas, kiedy będę zajęta pracą. Sumiennie prowadziłam swój dziennik i pokazywałam go jej pod koniec dnia, by dowiedziała się, co owego dnia robiłam i co myślałam w trakcie pracy. (Sądzę, że osłabienie nie pozwalało jej pisać swych *Obserwacji*, bo w tym okresie ani razu palce mojej pani nie były poplamione atramentem). Wieczorami grywałyśmy w karty. Milady najczęściej wybierała oszusta, grę, której ją nauczyłam, choć powiedziałam jej, że nazywa się dwójki, bo taka nazwa jakoś bardziej mi wtedy odpowiadała. Niekiedy czytałam jej fragmenty powieści, lecz tylko takie, które uznałam za intrygujące czy zabawne. Przestałam też sypiać w swojej izdebce i nocowałam na krześle przy łożku milady, bo przecie mogła w nocy zaniemóc lub potrzebować tego czy tamtego, a brak sił nie pozwoliłby jej po mnie zadzwonić. Krótko mówiąc, robiłam wszystko, co się dało, by uprzyjemnić i ułatwić życie mej pani.

Pewnego poranka zapragnęła, bym przeczytała jej jakiś urywek z Biblii, otwierałam na chybił trafił, Izajasz 24. To było o tym, jak Pan pustoszy ziemię i przewraca jej powierzchnię, złamane przymierze, przekleństwo i opuszczenie, i wszyscy łądują w przepaści. Taaa, to by jej dobrze zrobiło. No, niekoniecznie. Wybrałam w zamian fragment, w którym Chrystus nakarmił cztery tysiące ludzi, bo w końcu każdy lubi ten sympatyczny cud. Szukałam właśnie odpowiedniej strony, kiedy na moment uniosłam wzrok i stwierdziłam, że milady wygląda na przerażoną.

Zerwałam się z krzesła i uklęknęłam przy łóżku.

- Proszę pani, co się stało?

Chwyciła mnie za rękę i ścisnęła ją mocno.

- Och, Bessy - powiada. - Muszę wyzdrowieć. A ty musisz mi pomóc. Pomożesz mi, Bessy? Pomożesz mi dojść do siebie?

Chciałam objąć ją i przytulić, ale tego nie uczyniłam. Chciałam powiedzieć: „Zrobię dla pani wszystko”, lecz gęba mi się nie otworzyła. Wiedziałam już, że tylko wystraszę ją taką wylewnością, nie lubiła takich zachowań, co ze wstydem odkryłam onegdaj podczas lektury *Obserwacji*. Pewnie aż nazbyt folgowałam wtedy swoim uczuciom. A milady, kobieta dobra i ludziom życzliwa, tolerowała to wprawdzie przez czas jakiś, teraz wszakże nie byłaby rada, gdyby taka nędzna służka czepiała się jej spódnicy i snuła się za nią jak smród po gaciach. Swoją drogą, czy aby nie miała racji, gdy postanowiła trzymać mnie na dystans?

Kiedy poznało się ją bliżej (a ja bliżej ją poznałam), widać było, że jest delikatna jak motyl i podobnie jak motyl odfrunęłaby szybko, jeślibym próbowała ją ścigać. Ułapić ją mogłam jedynie, trwając w bezruchu, tak aby sama mogła zbliżyć się do mnie wedle woli. W tej sytuacji ten rozedrgany motylek mógł nawet spocząć na moim kciuku. Musiałam zatem mieć się na baczności, aby przypadkiem jej nie spłoszyć. Teraz już nie postąpię tak niemądrze, tym razem będę bardziej roztropna.

Nie objęłam jej więc, żadnych głupot w tym stylu. Powiedziałam tylko:

- Pomogę pani, rzecz oczywista. - I wyszłam.

Przed panem Jamesem utrzymywałyśmy obie, że milady wstała na-
zbyt gwałtownie po napisaniu listu. Jej mąż nie należał do osób naiw-
nych, lecz łyknał chyba naszą bajeczkę. Nie muszę mówić, że hałasy
na strychu ustały i skończyły się wszelkie osobliwe zjawiska, skończyły
się na dobre. Moja pani powoli odzyskiwała siły, aż pewnego poranka
miała się już na tyle nieźle, że pozwoliłam jej wstać z łóżka. Przez
godzinę siedziała potem na swoim krześle, wyglądając przez okno,
później zaś (jako że owo siedzenie nie pogorszyło widocznie jej stanu)
uciełyśmy sobie krótką przechadzkę po ogródku warzywnym.

Powietrze było rześkie i chłodne, zadbałam, by moja pani szczerline
otuliła się płaszczem i włożyła rękawiczki. Ogródek przedstawiał sobą
widok raczej opłakany. Jeśli nie liczyć kapusty i cebuli, jesienne wa-
rzywa były jak podeptane, uschnięte lub poczerniałe od mrozu. Tycz-
ki z fasolą i grochem leżały poprzewracane, a na ziemi pełno było
brudnych brązowych liści, które przywiało tu z lasu. Gdy wzrok mój
padł na kilka zgniłych kalafiorów, zażartowałam nieśmiało, że może
zrobimy dziś zupę kalafiorową, na co milady się roześmiała, chociaż
nie był to żart najwyższych lotów. Przez rękawiczkę czułam ciepło jej
dłoni (trzymałam ją bowiem za rękę). Nos i policzki miała różowe od
chłodu, a oddech jej rwał się jak wprzód. Otaczała nas śmierć i spus-
toszenie, ale milady sprawiała wrażenie nader ożywionej, i po raz
pierwszy zaczęłam wierzyć, że naprawdę wyzdrowieje. Fala ulgi prze-
łała się we mnie niby solidny haust dżinu.

Później udało mi się znaleźć wolną chwilę podczas robienia obiadu
i udałam się do gabinetu pana Jamesa, by poinformować go, że - na-
reszcie - jego małżonka wraca do zdrowia, a przynajmniej wszystko
na to wskazuje. Kiedy wchodziłam, pan James stał za biurkiem i wer-
tował jakąś niewielką książkę.

- To dobra nowina - powiedział, unosząc wzrok znad kartek. - O ile
sprawy mają się tak w istocie.

- Ależ mają się tak w istocie, sir. Myślę, że już za tydzień pani
będzie zdrowa jak rydz.

Zatrzasnął książkę i rzucił ją, niemal wyzywająco, na stojące mię-
dzy nami biurko.

- Wobec tego - powiada - twoim zdaniem moja małżonka będzie już w pełni sił za dziesięć dni, w następnny czwartek.

- Aż tak dokładnie nie mogę tego określić...

- Obawiam się, że taka precyzja jest tutaj potrzebna, Bessy. - Powiedział to ostrym tonem, lecz potem pogłaskał się po twarzy i łagodniej już podjął wątek: - Zapewne winienem ci wytłumaczyć. Zaproszono nas na raut, który odbędzie się w Edynburgu właśnie w następnny czwartek. Jest to przyjęcie niepozbawione znaczenia, wydaje je brat naszego pastora, pan Pollock. Fontannę, którą zamierzam postawić w Snatter, wyprodukuje najpewniej jego odlewnia w Glasgow, toteż muszę omówić z nim kilka spraw. Trudno o lepszą po temu sposobność. Pan Pollock bardzo przy tym nalega, by towarzyszyła mi żona. I tak zresztą miałem zamiar zabrać ją stąd, chwilowa zmiana otoczenia na pewno dobrze jej zrobi. Odcięcie od świata nie służy jej raczej. Podejrzewam wręcz, że ta izolacja przyczyniła się do... do tej zapaści, czy jak to tam zwać. Niechże więc towarzyszy mi w tej wyprawie do miasta. Skoro już o tym mowa, to jej obecność na czwartkowym raucie może okazać się... hm... korzystna dla nas obojga. Jeżeli dobrze usłyszałem, to twierdzisz, że przed czwartkiem żona będzie już w pełni sił.

- Ja tylko myślę, że jest to możliwe, ale nie...

- Twoje myślenie nic mi, Bessy, nie daje. Musisz zaręczyć, że tak będzie.

Wpatrywał się we mnie w taki sposób, że miałam ochotę odwrócić wzrok. Mimo to wytrzymałam.

- Sir, a jeśli milady nie wydobrzeje do czwartku, to, pan wybacz, śmiem sugerować, że powinna zostać w domu, a na tę ważną kolację mógłby pan udać się sam.

Uśmiechnął się wytwornie.

- Obawiam się, że to nie jest takie proste, Bessy. Jako moja małżonka otrzymała zaproszenie na raut i będzie tam oczekiwana. Przez kilka najbliższych dni będę wielce zajęty, liczę więc, że się nią bardzo starannie zaopiekujesz, tak by mogła mi jednak towarzyszyć. Wyrażam się jasno, jak mniemam.

Nie byłam pewna, czy go rozumiem, i dałam temu wyraz.

- Hm... Wytłumaczę ci to najprościej jak można. - Złożył pięści na stole i pochylił się w moją stronę. - Trzeba zapewnić jej ciszę i spokój i wybić z głowy myśli o duchach nawiedzających rzekomo ten dom. Od tego dostała rozstroju nerwów. Nie pozwalaj jej mówić cokolwiek na ten temat, nie wdawaj się w te wszystkie... dzikie rojenia... w te... wybryki wyobraźni. To tylko pogarsza jej stan.

Już chciałam powiedzieć, że to właśnie przez cały czas staram się robić, lecz niespodziewanie dla samej siebie wzięłam ją nagle w obronę.

- Ależ ona naprawdę słyszała te hałasy, sir. I naprawdę zdarzały się rzeczy, dla których nie ma wytłumaczenia. Na jej miejscu też miałabym podejrzenia tego rodzaju.

Uniósł jedną brew.

- Więc zachęcałaś ją jednak, by wierzyła w te bzdurstwa.

- Przeciwnie, sir, robiłam wszystko, co w mojej mocy, żeby w to nie wierzyła.

- No tak... - Pociągnął nosem. - Jej trzeba świeżego powietrza. Wyjedźcie gdzieś jutro.

- Ale...

Ruchem ręki zbył moje protesty.

- Dopiero co z nią mówiłem - powiedział. - Przyznała, że to nie jest zły pomysł. - Możecie pojechać do kościoła. Albo do Bathgate. Poglądajcie witryny w sklepach. Rozerwijcie się nieco. Idźcie na dworzec wyregulować zegarki.

- Ależ sir...

- To wszystko, Bessy.

Podniósł książkę, otworzył ją i wrócił do przerwanej lektury.

Pojechać do kościoła, pooglądać witryny w sklepach, wyregulować zegarki - no, kroi nam się kručafuks zabawa na sto fajerek!

Nazajutrz rano Bocheniek podjechał pod dom powozem. Był to stary dziurawy gruchot, który najlepsze czasy miał już dawno za sobą.

Może i kiedyś robił naprawdę dobre wrażenie, obecnie jednak był obdarty na zewnątrz i wyświecony w środku. Z siedzeń wyłaziło włosie, szyby w oknach były popękane. W podłodze z kolei widniała dziura wielkości stopy, a gdy w czasie jazdy przypadkiem spojrząło się w dół, to aż kręciło się w głowie na widok pędzącej pod nami drogi.

Milady nie dostrzegała żadnej z tych rzeczy albo też uważała je za zupełnie normalne, przestąpiła po prostu dziurę w podłodze i przez całą drogę siedziała spokojnie w kącie powozu, wodząc palcami po torebce i wyglądając przez okno. Ja usiadłam naprzeciw niej, aby schwycić ją, gdyby konie gwałtownie się zatrzymały (było to wszakże mało prawdopodobne w przypadku zwierząt tak bardzo wiekowych). Z początku próbowałam wciągnąć milady w rozmowę o tym, jak spędzimy czas w Bathgate (wcześniej wspomniała coś o zakupie materiału na sukienkę), ona jednak odpowiadała krótkim „tak” lub „nie” i sprawiała wrażenie pogrążonej w myślach, więc poniechałam szybko dalszych pytań i również jęłam wyglądać przez okno. A wiele do oglądania nie było, same krowy, owce i parę kopalń węglowych. Była to nasza pierwsza wspólna wyprawa, odkąd przybyłam do Zamku Haivers, nie zapuściłam się dalej niż do Snatter. W innych okolicznościach taka podróż sprawiłaby mi ogromną przyjemność, no bo milady, powóz i tak dalej. Lecz w obecnej sytuacji przepełniał mnie niepokój. Miałam tylko nadzieję, że moja pani nie poczuje się gorzej i że cały ten dzień nie odbije się niekorzystnie na stanie jej nerwów.

Bathgate wyglądało na miasto w trakcie budowy, gdzie człowiek nie spojrzął, widział na wpół tylko wzniesione domy, robotników kopiących fundamenty oraz wozy z kamieniami i zaprawą murarską. Bocheniek wysadził nas przed hotelem na jednej z głównych ulic. O nieba, tłoczno tam było jak na jarmarku! Jak tylko żeśmy wysiadły, milady kupiła na straganie z kwiatami doniczkę z żółtym krokusem, po czym ruszyła raźnie przed siebie. Pojęcia nie miałam gdzie jesteśmy, tedy niemalże truchtem popędziłam za nią. W porównaniu z dużymi miastami Bathgate jest zapadłą dziurą, lecz dawno już nie byłam w żadnym mieście, choćby i małym, a w Zamku Haivers życie toczyło się tak cicho i wolno, że tutaj wszystko zdawało się pędzić jak szalone. Pomyśleć, że kiedyś

bez zmruczenia oczu przechadzałam się ulicami Glasgow, dwukrotnie szerszymi od tych tutaj i ruchliwszymi nawet pięćdziesiąt razy. Teraz zaś serce waliło mi jak młotem na widok tej garstki tłoczących się ludzi, powozów, wózków, zwierząt. Przechodnie jakby umyślnie wchodzi mi w drogę. Na dodatek spadł śnieg, którego chłodne płatki wirowały w powietrzu oslepiająco.

Milady narzuciła takie tempo, jak gdyby miała kółka pod butami, zastanawiał mnie ten raptowny powrót sił żywotnych. Opuściłyśmy już nowo wznoszoną dzielnicę i znalazłyśmy się na wąskich, krętych i raczej ciemnych uliczkach starego miasta. W pewnym momencie milady skręciła za róg i zniknęła w staromodnym składziku towarów tekstylnych. Za nią zaś do owego przybytku weszła niżej podpisana, albowiem tyłek jej już z wolna odmarzał.

W sklepiku było ciasno i przytulnie, na ekspedienta czekało kilka osób, cztery może pięć pań stało na środku, pogrążonych w rozmowie, dwie inne siedziały na krzesłach przy ladzie. Stanęłam przy piecu w tylnej części sklepu. Kątem oka obserwowałam milady. Trzymając w ręce doniczkę z krokusem, sunęła wzdłuż półek i spoglądała na oferowane materiały. Bijące od pieca ciepło i szmer gawędzących pań nastroiły mnie bardzo sennie. Widziałam w szybie odbicie ekspedienta, patrzyłam, jak układa na ladzie belę samodziału i rozcina tkaninę dużymi nożycami. Dalej, w tle, płatki śniegu tańczyły na niebie jak elfy wytrząsywane z anielskich worków. Gdzieś za mną zabręczał dzwonek, drzwi otwarły się i zamknęły, wszedł pewnie następny klient. Jedna z pań przy ladzie nie mogła się zdecydować na zakup, niby kończyła już i chciała odejść, a potem znowu wracał jej trajkot. Rozejrzałam się w poszukiwaniu milady, może i ona się niecierpliwi. Nie było jej już przy półkach z materiałami, więc odwróciłam się w stronę lady - tam nie było jej również. Przypomniał mi się dźwięk dzwonka, zerknęłam dokoła, by sprawdzić, kto wszedł do sklepu, lecz nie było nikogo nowego. Coś jakby głucho tąpnęło mi w brzuchu, bo zrozumiałam, że gdy otwarły się i zamknęły drzwi, milady wymknęła się na ulicę.

Rzuciłam się w te pędy do wyjścia. Z początku na zewnątrz widziałam jedynie obce twarze, w końcu jednak dostrzegłam moją panią.

Naciągnęła na głowę kaptur płaszcza i szła żwawym krokiem w górę ulicy. Krzyknęłam do niej kilka razy, lecz ona się nie odwróciła. Potem skręciła za rogiem i zniknęła mi z oczu.

Nie wiedziałam, gdzie jestem, więc musiałam iść za nią, buty ślizgały mi się po brejowatym śniegu. Gdy skręcałam na narożniku, dojrzałam ją w oddali przed sobą i krzyknęłam raz jeszcze, lecz ona jakby mnie nie słyszała. Przecięła niewielki skwer i jęła iść jeszcze szybciej szeroką tym razem ulicą. Pędziłam za nią co tchu. Zorientowałam się, że wracamy do nowej dzielnicy. Śnieg dmuchał w twarz i oślepiał jak wprzód. Przystanąłam na moment, by zetrzeć z powiek kilka płatków, a gdy ponownie uniosłam wzrok, milady zniknęła. Przeraziłam się i zaczęłam biec, zaglądając we wszystkie drzwi i sklepowe witryny. Po drugiej stronie ulicy znajdował się cmentarz i stary bielony wapnem kościół. Coś się tam poruszyło i zwróciło moją uwagę. To była ona, na tym przykościelnym cmentarzu, ten ciemnoszary płaszcz przemykający się między grobami. Gdzież u diaska zmierziała?

Znalazłam bramę i weszłam na cmentarz. Był okropnie zarośnięty, a wąskie ścieżynki snuły się między nagrobkami, przechylonymi to w tę, to w tamtą stronę, jak krzywe zęby. Miałam kłopoty z orientacją. Zaczęłam iść tam, gdzie, jak mi się zdawało, po raz ostatni widziałam milady, ale ta ścieżka skręciła w kierunku z pewnością niewłaściwym, więc zawróciłam i wybrałam inną drogę. Śnieg nie padał już tak mocno, a potem nagle zupełnie padać przestał. Idąc, rozglądałam się dokoła, widziałam tylko pokryte bluszczem nagrobki, lecz ani śladu mej pani, żywej duszy tam zresztą nie było. Z wolna traciłam już wiarę również w tę drugą ścieżkę, gdy wtem na ziemi, przed jednym z grobów stojących przy którejś z bocznych ścieżynek dostrzegłam doniczkę z krokusem. O co tu chodzi? - pomyślałam. Precisnęłam się między dwoma nagrobkami i potargana co nieco znalazłam się po drugiej ich stronie. Tutaj też milady nie było.

Ta część cmentarza wyglądała na nowszą. Uzmysłowiłam sobie, że doniczkę z krokusem ustawiono przed konkretnym grobem, nie zaś upuszczono w pośpiechu. Płyta nagrobna była z białego marmuru,

a litery w inskrypcji wyrysowano delikatnie, z paroma zawijasami. Wzrok mój przeniósł się natychmiast na górną część płyty, może dlatego że wyryte tam nazwisko często ostatnio gościło w mych myślach.

Nora Hughes.

Boziu najmilsza! Tak jakbym odczytała jej nazwisko, a jednocześnie, w tej samej chwili, wróciła do niej myślami. Byłam wstrząśnięta, ale bynajmniej nie zdziwiona. Dotarło do mnie, że myślałam o Norze tak często, że teraz jakbym swe własne imię ujrzała na płycie nagrobnej. Kiedy ta myśl przemknęła mi przez głowę, poczułam dotknięcie na ramieniu. Podskoczyłam jakies sześć stóp do góry. Obok mnie stała milady, w ręce trzymała rydel, wskazywała nim grób.

- Widzisz? - powiada. - Ona tu leży.

Co rzekłszy, przyklękła, żeby zmieść śnieg ze skrawka ziemi przed grobem.

- Ta kwatery cmentarza jest przeznaczona dla katolików - powiedziała. - Na szczęście udało się nam ją tu pochować, inaczej nie wiem, co byśmy zrobili. Miejsca tu mało, ale James jakoś sprawę załatwił.

Uderzyła rydlem w zmarzniętą ziemię. Ciekawa byłam, skąd wzięła ten rydel. Czyżby przyniosła go z sobą? Może ukryła w rękawie płaszcza albo w innym niedostępnym miejscu? Czy od początku planowała tę wyprawę na cmentarz?

Ziemia okazała się twarda jak mnisie sumienie i nie poddała się naciskowi rydla. Milady spojrzała na mnie.

- Jest chyba za zimno, by zasadzić tu tego krokusa, prawda?

- Nie wiem, proszę pani - odparłam. - Skąd pani wytrzasnęła ten rydel?

Spojrzała na rzeczony narzędzie.

- U kościelnego - odrzekła. - Dał mi go niezbyt chętnie. Twierdzi, że jest za zimno, by cokolwiek tu sadzić.

- Może ma rację, proszę pani. Dlaczego uciekła pani ze sklepu?

CMoknęła, zniecierpliwiona.

- Och, to mogło jeszcze trwać długo - powiedziała. - Ta okropna kobieta. Nie miałam już siły dłużej czekać.

- Ale wyszła pani bez słowa.

Uniosła brew.

- Przecież wiedziałam, że za mną pójdziesz! - Uderzyła rydlem w ziemię, dalej wyraźnie zniecierpliwiona. - Przekłeta pogoda!

Wyglądała żałośnie, jak osoba doszczętnie pogiębiona, wybaczyłam jej tę ucieczkę.

- Na razie można zostawić krokusa w doniczce - rzekłam. - A gdy zrobi się ciepłej, wrócimy tu i zasadzimy cebulki.

- Tak będzie najlepiej - odparła. Westchnęła niechętnie i spojrzała na nagrobek. - Bardzo chciałam zasadzić coś dzisiaj. - Ponownie uniosła wzrok na mnie, w jej oczach dojrzałam niepokój. - Jak sądzisz, czy Nora dowie się, że tu przyszedłam? Czy dowie się, jeśli nie zasadzę krokusa, jeżeli tylko zostawię go przed grobem?

Nieczęsto pytała o moje zdanie, teraz jednak rzecz sprowadzała się do wspólnego Norze i mnie pochodzenia, wszak obieśmy były Irlandkami. Kiwnęłam głową.

- Dowie się - rzekłam. - Dowie się na pewno. To znaczy... Dowie się Nora w niebie, a nie jej duch, bo ducha żadnego nie ma, prawda? Ona żyje jako anioł. Bo czemu niby zanoszą się kwiaty na groby? Przecież cmentarze są pełne kwiatów.

To ją chyba uspokoiło. Przez chwilę poprawiała ustawienie doniczki. Potem ją zmiatać śnieg z grobu, ja zaś patrzyłam na nią w milczeniu.

W pewnym momencie odważyłam się zadać pytanie:

- Proszę pani, czy była pani na pogrzebie?

- Nie - odparła z żalem. - James uznał, że będzie lepiej, jeśli nie wezmę w tym udziału.

Wyjęła i rozłożyła chusteczkę. Rozpłacze się, pomyślałam, lecz ona starła nią resztkę śniegu z nagrobka.

- Zastanawiasz się nad czymś, Bessy - powiedziała, nie unosząc wzroku i nie przerywając swego zajęcia. - Co cię trapi?

- Nic takiego, proszę pani - odparłam, ale ciekawość zwyciężyła. - No... zastawiam się tylko, co przytrafiło się Norze. Słyszałam, że przejechał ją pociąg.

Milady przez chwilę stała bez słowa, kiwając głową, jakby z grzeczności chciała starannie przemyśleć odpowiedź.

- Nikt nie ma pewności... jak to się stało - rzekła w końcu. - W którymś z czworaków urządzono zabawę. To było latem. Wiosną i latem najmujemy dodatkowych parobków, bo pracy jest wtedy więcej. W czworakach tłoczyli się ludzie, było święto, dzień parady Wolnych Ogrodników. Nie wiem, co Nora tam robiła. Zwykle nie zadawała się z folwarczną służbą. Jak sama zresztą wiesz najlepiej, nie mogła mieć czasu ni sposobności po temu. Tego jednak wieczoru, jak mi mówiono, po pracy poszła zabawić się z innymi. Późnym wieczorem wyszła z czworaka, nikt jej nie widział, wymknęła się niepostrzeżenie. Parobcy dość dużo wtedy wypili, więc ich relacje są raczej mętne. Nora, jak sądzę, nie była pijana. To nie było w jej stylu. Nazajutrz rano zdziwiłam się bardzo, gdy Nora nie pojawiła się w kuchni. Poszłam do niej na górę. W jej łóżku tej nocy nikt nie spał.

- Boże drogi - powiedziałam.

- No właśnie - rzekła milady. - Też sobie tak pomyślałam. Miałam jeszcze nadzieję, że Nora zjawi się w ciągu dnia, lecz kiedy o zmroku nie dała znaku życia, wszyscy podnieśliśmy alarm. Przeszukano najbliższe okolice, ale przez kilka pierwszych dni niczego nie udało się znaleźć. A potem gromadka włóczęgów natknęła się na... część jej ciała... przy torach kolejowych. Pozostałą część ciała znaleziono później, również przy torach, tyle że trochę dalej.

Strzepnęła śnieg z chusteczki i wsunęła ją do kieszeni. Przez chwilę obie stałyśmy i patrzyłyśmy, na grób przed nami. Myślałam o zakopanej w ziemi Norze, o jej rozerwanych na kawałki i zamkniętych teraz w trumnie doczesnych szczątkach.

- Czemu ona weszła na tory? - spytałam. - Zabłądziła, proszę pani, czy co?

Milady przechyliła głowę.

- Taka panuje opinia, mówi się, że zabłądziła w ciemnościach. Słyszałam, że w tych okolicach miało już miejsce wiele podobnych wypadków. Zdarzają się tu co roku. Człowiek przypadkiem wchodzi na tory i ginie pod kołami pociągu. Takie już są obecne czasy. Był to zatem najzwyczajniejszy wypadek. Wszyscy przeżyliśmy straszny wstrząs.

Próbowała robić dobrą minę do bardzo złej gry, tak to czułam. Czułam też jednak, że w głębi ducha milady obwinia się za taki przebieg wydarzeń. Przypomniłam mi się dzień, w którym uległa załamaniu, przypomniły mi się jej słowa: „To moja wina”. Z pewnością więc czuje się winna - może tego, że nie upilnowała wtedy Nory. Och, co ja bym dała, żeby ją od tego uwolnić!

Myślałam, że powie mi coś jeszcze, lecz ona pochyliła się nagle i podniosła z ziemi rydel.

- Musimy to oddać - rzekła i spojrzawszy ponownie na grób Nory, ruszyła ścieżką w stronę kościoła.

Po powrocie do Zamku Haivers mogłam poinformować pana Jamesa, że wszystko poszło jak trzeba. Nie wspomniałam rzecz jasna, że milady wymknęła się ze sklepu i że pobiegła na grób swojej zmarłej służącej, wolałam skupić się na wątkach lepiej na przyszłość rokujących. Opowiedziałam, jak to milady przeglądała wpierw epolety, lecz zdecydowała się w końcu na zakup galonu, którym można by obszyć marynarkę. Pan James zapytał mnie z niepokojem, ile ów galon kosztował, kilka pensów, odrzekłam, przyjął to z ulgą, choć nie bezboleśnie. Następnie wspomniałam, że kiedyśmy były w kawiarni, zobaczyłyśmy przez okno tańczącego na ulicy niedźwiedzia.

- W kawiarni! - wykrzyknął. - Dobry Boże!! - Chciał wiedzieć, ile to kosztowało i czy Cyganie od misia zbierali datki. Powiedziałam, że tego nie wiem, bo patrzyłyśmy tylko przez chwilę, a potem poszłyśmy na Dworzec Północny, żeby wyregulować zegarki.

- Wspaniale, Bessy! - stwierdził pan James z nieskrywaną satysfakcją, jak gdyby regulowanie zegarków było czymś równie przyjemnym, jak na przykład wystawne przyjęcie. - Dobrze się sprawiłaś - dodał.

- Dziękuję, sir.

- Posłuchaj no teraz - rzekł. - Aby upewnić się, że twoja pani podoła trudom podróży do Edynburga i wszystkiemu, co się z tym wiąże, urządzimy popołudniową herbatkę, jutro o trzeciej. Wysłałem już Hec-

tora z zaproszeniami. Obecni będą, jak się spodziewam, pastor Pollock i pan Flemyng, poza tym, ma się rozumieć, ja i twoja pani. Wyjazd do miasta zniosła bez większych problemów... ale wolałbym również sprawdzić, jak zachowa się w towarzystwie.

Osoba Flemynga, co oczywiste, nie wywołała protestu mej pani. Później jednak podsłuchałam jej rozmowę z małżonkiem. Okazało się, że drugi z gości nie wywołuje bynajmniej jej entuzjazmu, a zapraszanie go nasuwa wręcz szereg zastrzeżeń. Powiadomiono go za późno, mówiła, pastor nie znajdzie czasu na tę wizytę. Nic podobnego, replikował pan James, Pollock przyjął już zaproszenie. To samolubne, mówiła milady, odrywać pastora od ważnych obowiązków w parafii, wszak nie może on marnotrawić czasu chadzając na jakieś tam herbatki. Absurd, odrzekł jej mąż, pastor ucieszył się bardzo i teraz żadna już siła nie powstrzyma go przed tą wizytą. Następnie milady wyraziła opinię, że porcelanowy serwis do herbaty najlepsze czasy ma za sobą. Może więc lepiej, sugerowała, odłożyć ten poczęstunek do chwili zakupu nowego serwisu. Nonsense, odparł pan James, nasz serwis jest praktycznie bez skazy.

Przez chwilę milczeli oboje, po czym milady przyznała z westchnieniem, że nie czuje się chyba na tyle dobrze, aby odgrywać rolę pani domu. Zapytała, czy można wyobrazić sobie sytuację, w której jej mąż sam podejmie gości.

Pan James aż prychnął z oburzenia. Okoliczności nie pozwoliły mi wysłuchać tej rozmowy do końca, lecz ostatecznie stanęło na tym, że następnego popołudnia, pięć minut przed trzecią, milady grzecznie zajęła swe miejsce w salonie. Oblicze jej było blade, rysy twarzy kamienne. Miałam pewność, że nie spodziewa się po tym spotkaniu niczego dobrego czy przyjemnego, choćby troszeczkę. Szkoda, że pan James jej nie posłuchał, myślałam. Bałam się nawrotu choroby. Milady jednak najwyraźniej pogodziła się z faktem, że przez kilka kolejnych godzin przyjdzie jej grać panią domu.

Jako pierwszy zjawił się pan Flemyng, przybywszy pieszo aż z Thrashburn. Gdy go wpuściłam, powiedział, że wprawdzie wydawca nie odezwał się jeszcze do niego, on wszakże spisał jedną z moich piosenek i opatrzył ją nutami. Chciał sprezentować mi arkusz z mym dziełem,

ale niestety zapomniał go zabrać. Przepraszał mnie bardzo, wyzywał siebie od głupców, mówił, że wróci do domu i przyniesie mi ów prezent. Na to, rzecz prosta, nie mogłam się zgodzić, bo byłby się spóźnił na herbatkę, winę zaś przypisano by mnie. Oponowałam stanowczo. Flemyng niby to przestępował próg, by ruszyć w powrotną drogę do domu, tedy musiałam nalegać, by został, i ciągnąć go nawet za rękaw, żeby powstrzymać go przed wyjściem. W takich to okolicznościach zastał nas pastor Pollock.

- Aha-ha! - odezwał się na przywitanie. - Proszę bardzo! Aha-ha!

Nie słyszałam, jak się zbliża, zaskoczył mnie łobuz, lewitował zapewne nad żwirowanym podjazdem. Sądząc po błogim wyrazie twarzy, uznać musiał niechybnie, że przyłapał nas krucafuku na jakimś gorącym uczynku.

- Pastor Pollock! Dzień dobry - rzekł Flemyng i skinął głową. Następnie zwrócił się ku mnie i westchnął z żalem. - Widzisz, Bessy, zjawiają się pozostali goście - powiada. - Nie starczy mi zatem czasu na powrót do Thrashburn.

- Też tak uważam, sir - mówię. - Proszę się nie frasować. Obejrzę ten arkusz przy innej okazji.

- Tak będzie najlepiej - rzekł Flemyng. - Głupiec ze mnie, żem zapomniał go przynieść.

Pastor Pollock z ciekawością przysłuchiwał się naszej rozmowie. Uśmiechał się przy tym i kiwał głową, stare wścibskie wieprzysko. Stwierdziłam, że trzeba bezzwłocznie wprowadzić ich obu do salonu. Okazało się to jednakże niewykonalne, ponieważ pastor wcale się nie śpieszył. Dalej stojąc na schodku, panowie wymienili się drobnymi uprzejmościami. Gdy powiedziałam, żeby nie marzli już na zewnątrz i weszli, pastor stanął w otwartych drzwiach, odwrócił się i przez kilka chwil kontemplował z zachwytem żwirowany podjazd tudzież okoliczne zarośla, jak gdyby zaliczały się one do siedmiu cudów świata. Musiałam wykonać parę trudnych manewrów, żeby umieścić go między sobą i drzwiami i zamknąć nareszcie te ostatnie. Potem zaczęły się tradycyjne zmagania jego o płaszcz i kapelusz. Z kieszeni wyciągnął kilka swoich broszurek i próbował mi je wcisnąć. Stawia-

łam opór, wypychałam mu je z powrotem. W końcu, za sprawą drobnego podstępny, udało mi się go skłonić do zdjęcia woniejącego parafianą płaszcz. Następnie to samo udało się z kapeluszem. I wreszcie, z ogromną ulgą, wprowadziłam obu panów do salonu.

Milady była tam sama, ponieważ małżonek jej nie raczył jeszcze wyłonić się z gabinetu. Witając gości, uniosła się z krzesła nieznacznie. Sprawiała wrażenie słabej i ździebko zdenerwowanej. Chciałam zostać i pomóc jej w razie potrzeby, ona jednak rzuciła mi kilka groźnych spojrzeń i w końcu rzekła: - Dziękuję ci, Bessy. - Nie miałam wyboru, musiałam wyjść i zamknąć za sobą drzwi.

W drodze do kuchni dostrzegłam przy wieszaku jedną z broszurek Pollocka, pewnie zostawił ją tam podstępnie, kiedy wieszałam jego płaszcz. Tym razem rzecz nie nosiła tytułu *Drogi katolicki przyjacielu*, nazywała się za to *Zgubne skutki uprawiania nowoczesnych tańców*, zem się naśmiała z tego w kuchni. Okazało się bowiem, że tańce są szkodliwe dla zdrowia tańczących. Najboleśniej dostało się walcowi, jako że uprawiając go, zawsze i wszędzie gwałciło się szóste przykazanie. W ogóle żaden z tańców nie znajdował najmniejszego usprawiedliwienia, ponieważ „nawet głupiego Afrykanina czy małpę można w tej sztuce snadnie wyszkolić”.

Oż krucafuks, powalcowała zem sobie przy piecu i cisnęła broszurkę w roztańczone płomienie.

Kiedy wróciłam do salonu z herbatą na tacy, pan James przyłączył już się do zebranych. Omawiano właśnie jego plany dotyczące fontanny w Snatter. Szczerze mówiąc, myślę, że nie obchodziło go wcale a wcale, czy mieszkańcy tej wsi będą mieć dostęp do czystej wody czy nie, chciał tylko wkupić się w ich łaski. Zależało mu raczej na przychylności posła Duncana Pollocka, który był właścicielem odlewni takie fontanny produkującej. Pan James otrzymał od posła katalog wyrobów i prezentował go teraz gościom, dumny jak psisko z dwoma kuškami. Kiedy zaczęłam rozstawiać serwis, otworzył katalog na odpowiedniej stronie i podał go pastorowi.

- O, tutaj - powiada. - Ta właśnie. Może zna pan ten model. Numer trzydzieści trzy. Jak widać, cztery kolumny i daszek.

Pastor Pollock umościł się wygodnie w swym krześle i jął wolno i starannie czytać na głos wydrukowany tam tekścik, czyniąc to w sposób zmuszający wszystkich do słuchania:

- „Fontanna w kształcie pagody o wysokości dziewięciu stóp i sześciu cali. Po dwóch jej stronach przewidziano miejsce na napisy”. Aha-ha! „Pozostałe dwie strony opatrzone pożyteczną wskazówką «Nie wylewać wody na trotuar». Aha-ha! To bardzo dobre, James, znakomite. Ciekaw jestem, jak będzie brzmieć drugi, wybrany przez ciebie napis. Będzie to z pewnością coś nader adekwatnego. O, mam pomysł. - Teraz już nie tylko głośno, lecz tonem groźnym i żałobnym zarazem, tonem swych kazań, jak się domyślałam, wydekłamował: - „Każdy, kto pije tę wodę, znów będzie pragnął”.

Pan James zacerpnął tchu i pochylił się, jakby chciał coś powiedzieć, ale pastor podnosząc palec, nakazał mu milczenie. On jeszcze nie skończył.

- „Kto zaś będzie pił wodę, którą Ja mu dam, nie będzie pragnął na wieki, lecz woda, którą Ja mu dam, stanie się w nim źródłem wody wytryskającej ku życiu wiecznemu!” - Schylając głowę, spojrzął z uśmiechem na milady i dokończył: - Święty Jan, rozdział czwarty, wers dwudziesty piąty. Aha-ha! To wprawdzie z Nowego Testamentu, ale może okazać się adekwatne.

Pan James przymrużył oczy, jak gdyby w duchu rozważał sugestię pastora Pollocka, choć wedle mnie wyglądał raczej na strapionego.

- Obawiam się - powiada - że owa sentencja, nader stosowna, nader szacowna, jest jednak zbyt rozwlekła.

- Rozwlekła? - powtórzył pytająco pastor.

- Nie zmieści się na tablicy, którą przeznaczono na napis - wyjaśnił pan James.

- Aha-ha! Trzeba nam zatem znaleźć coś zwięzłego. Odwołajmy się więc do psalmu numer czterdzieści dwa. - I znów przybrał żałobny ton swoich kazań. - „Jak łania pragnie wody ze strumieni, tak dusza moja pragnie Ciebie, Boże”!

- Tak - rzekł pan James. - To jest krótsze. Niestety zamówiłem już inny napis.

- Rozumiem - powiedział pastor. - Jakże on brzmi?
- Tak, kochanie - odezwała się milady. - Jak brzmi napis, który wybrałeś?

Aż dotąd milady zachowywała milczenie. Wyglądała niespokojnie i już zaczynałam się o nią martwić, teraz jednak, gdy spojrzała na męża, oczy jej błyszczały.

Pan James odchrząknął.

- Napis jest prosty: „Ufundował James Reid”.

Pastor uniósł brwi.

- Zwiążte to, nie da się ukryć - powiedział z dezaprobatą i wrócił do przeglądania katalogu, mruczając coś pod nosem. Przez moment nikt nic nie mówił. Pan James widać uznał, że winien się wytłumaczyć i zwrócił się do Flemynga:

- Za każdą literę trzeba płacić osobno. Uznałem więc, że po wyłożeniu tak znacznej sumy na samą fontannę wydatek na napis ograniczę do niezbędnego minimum.

- To oczywiście - rzekł Flemyng. - Słusznie, sir, słusznie. A czy wolno mi zapytać, ile taka wspaniała fontanna kosztuje?

Pan James wydmuchnął powietrze przez usta i pokręcił głową.

- Można zapłacić pięćdziesiąt albo sto funtów, w zależności od...

- Wydaje mi się, że ten model kosztuje osiemnaście funtów - wtrącił pastor, uśmiechając się chytrze. - Znam go z fabryki. To jeden z najprostszych wzorów. Dokładną cenę z pewnością podano tutaj, niech spojrzę... - I znów jął kartkować katalog.

Pan James posłał mu chmurne spojrzenie i raz jeszcze zwrócił się do Flemynga:

- Niektóre modele są nazbyt ozdobne, tak myślę. Te mauretańskie wzorki, gryfy i egzotyczne zwierzęta... Wolę kształty mniej wymyślne, bez tych wszystkich zakrętasów. - Mówił tonem autorytatywnym, który jednak po chwili stracił na sile i wymowie, pan James bowiem zaczął obgryzać paznokcie.

- W rzeczy samej - powiedział pan Flemyng. - Zgadza się w zupełności. A gdzie umieści pan swoją fontannę, sir?

Pan James chyba nie dosłyszał pytania. Patrzył teraz na pastora z taką niechęcią, że najchętniej pogryzłby go zapewne miast własnych paznokci.

Milady delikatnie i dyskretnie ujęła dłoń męża i odciągnęła ją od jego zębów.

- James, kochanie - powiedziała. - Davy chciałby się dowiedzieć, gdzie postawisz fontannę.

W tym wszakże momencie rozległ się okrzyk duchownego:

- Tak! Tutaj! Lista cen! - Zaczął przesuwając palcem po kartce.

Milady pochyliła się do przodu i zwróciła się doń w te słowa:

- Czy mógłby pan, pastorze, pokazać mi zdjęcie owej fontanny? Jeszcze jej nie widziałam.

Chciała podstępnie odciągnąć jego uwagę od listy cen. Pan James posłał jej pełne wdzięczności spojrzenie, ale Poldek nie dał się zwieść.

- Tak, Arabello, poczekaj chwilę - powiedział, nie unosząc wzroku. Twarz milady zachmurzyła się na ułamek sekundy, widać było wyraźnie, jak bardzo nie lubi ona pastora. - Gdzież to ja byłem? - ciągnie pastor. - Numer trzydzieści trzy... tak... cena wynosi, jak zresztą myślałem, dokładnie osiemnaście funtów i dziesięć szylingów. - Rozsiadł się w swoim krześle i uśmiechnął triumfalnie do wszystkich obecnych.

- No cóż - rzekł Flemyng. - Ubił pan niezły interes. Ludność Snat-ter z pewnością będzie panu wdzięczna do zgonnie. To naprawdę wspaniały gest z pańskiej strony. Chylę czoła, sir. Stanowi pan przykład dla nas wszystkich. A jeśli kiedyś zdarzy się panu pierdnąć, rozkosz przyniesie mi pański smród niewątpliwą.

No dobra, tego akurat nie powiedział. Ostatnie zdanie dodałam sama.

- Miłe to słowa, Davy - rzekła milady. - Masz jednak zupełną rację. - Spojrzała na męża. - Jestem z ciebie dumna, James. Ułatwisz i uprzyjemnisz życie mieszkańcom Snat-ter. Możemy urządzić małą ceremonię otwarcia, co o tym sądzisz?

Poldek niemalże się obraził, jako że wbrew jego intencjom rewelacje co do ceny nie zdołały stropić pana Jamesa. Nie uszło to uwagi milady.

- Ciekawa jestem, pastarze - powiada - czy zechciałby pan łaskawie wygłosić kilka słów z tej okazji? Wiem, że jest pan bardzo zajęty, ale obawiam się, że uroczystość wypadnie blado bez pana mowy na otwarcie.

Nawet nie drgnęła jej powieka, jakby naprawdę tak myślała! Podziwiałam ją bezgranicznie, była wspaniała.

Jak się łatwo domyślić, Poldek nie był odporny na pochlebstwa.

- No tak - powiada. - Może wygłoszę kilka słów.

- Mam taką nadzieję - rzecze milady. - Wielokrotnie, rzecz jasna, czytałam pana broszurę na temat Wilhelma Orańskiego, nigdy jednak nie słyszałam tego tekstu z ust samego autora. Może w trakcie uroczystego otwarcia fontanny zechce pan odczytać nam swoje dzieło?

- Można to wziąć pod uwagę - wtrącił się szybko pan James. - Lepiej byłoby jednak, gdyby pastor zgodził się napisać coś specjalnie na tę okazję.

W tym momencie milady spojrzała na mnie. Stałam tam i gapiłam się na nich, dawno już uporawszy się z herbatą.

- Herbata gotowa, Bessy? - spytała, a gdy skinęłam głową, zwróciła się do mnie pogodnie: - Znakomicie. Dziękujemy ci, Bessy.

Dygnęłam i wyszłam, zatrzymałam się tylko przy drzwiach, żeby wypłoszyć kota, który wśliznął się do salonu. Gdy wychodziłam, wszyscy podnieśli się i ruszyli w stronę stolika z herbatą. Milady wzięła pod ramię Pollocka i słuchała uprzejmie jego rozważań na temat formy planowanego przemówienia. Pan James, znów pewny siebie, przyjął władczą pozę (jedna stopa oparta o krzesło, ręce złożone na piersi) i tłumaczył, że do fontanny podciągnie się rurę długą na ponad dwieście stóp. Flemming przyjął to z takim zdumieniem i zachwytem, jak gdyby dalibóg chodziło tu o najdonioślejsze osiągnięcie współczesnej wiedzy inżynierskiej.

Koło piątej goście opuścili Zamek Haivers, najwyraźniej zadowoleni z poczęstunku. W sumie milady sprawiła się nadspodziewanie dobrze, właściwie lepiej niż jej małżonek. Poczułam ogromną ulgę. Mimo

kiepskiego początku udało się jej później dobyć z siebie dawną uprzejmość i wdzięk, jak gdyby znowu była sobą. Nie tylko zachowała się dyplomatycznie względem Poldka, ale udało jej się również ocalić męża przed kompromitacją. Jeśli zdołała osiągnąć tak wiele, to chyba musi być już zdrowa, prawda?

Nim wszakże skończył się ten tydzień, powyższa konkluzja stanęła pod znakiem zapytania. Otóż na kilka dni przed planowanym przez państwa wyjazdem do Edynburga wydarzyła się rzecz niepokojąca. Wskoczyłam do łóżka o zwykłej porze i przez parę chwil spisywałam w moim brulionie wszystkie zajęcia kończącego się dnia, by móc to rano pokazać mej pani. Następnie zdmuchnęłam świecę, ale jakoś nie mogłam zasnąć, niepokoiła mnie pewnie myśl o rozstaniu z milady aż na kilka długich dni. Wierciłam się więc jak zapchlony pies, gdy nagle uświadomiłam sobie, że w domu jest bardzo cicho. Nie przestraszyłam się, bo wiedziałam, że moi państwo są już w swoich pokojach piętro niżej. Wybiegłam wtedy myślami kilka dni naprzód, kiedy to oni będą w Edynburgu, ja zaś zostanę tu całkiem sama. Jakże cichy będzie wtenczas ten dom?

Takie to właśnie snułam rozmyślenia, niepokojąc się już trochę na zapas, gdy dobiegły mnie jakieś odgłosy z korytarza na dole. Coś zaszemrało, może zatrzepotało, zaskrzypiała podłoga. Potem przez moment było cicho, a potem znowu rozległy się szmery, które cichły z każdą sekundą. Jak gdyby ktoś ukradkiem sunął po korytarzu. Złodzieje, myślę sobie. Wprawdzie mało co mogło ich skusić w Zamku Haivers, to jednak milady miała kilka klejnotów po matce, szkatułka z nimi leżała gdzieś w jej pokoju. Wyobraziłam sobie, jak włamywacz spogląda z góry na śpiącą milady, i natychmiast wyskoczyłam z łóżka. W pośpiechu zapomniałam o świecy i na dół schodziłam po omacku.

Drzwi do pokoju milady były otwarte, w środku paliło się światło. Podeszłam tam na paluszkach, prawie nie oddychając, i z ulgą skonstatowałam, że w pokoju nikogo nie ma. Na łóżku leżał odrzucony na bok koc, jakby milady poleżała tam chwilkę i wstała. Stwierdziwszy, że moja pani zeszła do kuchni, bo może chciała coś zjeść, odwróciłam

się i już miałam wracać do siebie, gdy moją uwagę przyciągnął słaby odgłos skrzypiącej gdzieś nad głową podłogi.

Spojrzałam w kierunku schodów wiodących na strych i właśnie w tej chwili ukazała się tam milady, schodziła na dół w kręgu światła. Z początku widziałam jedynie jej aksamitne pantofle i rąbek nocnej koszuli. Stąpała ostrożnie i lekko zarazem. Nie mogła mnie dojrzeć, bo balustrada zasłaniała jeszcze korytarz, dałam więc susa za bieliźniarkę, żeby przypadkiem sobie nie pomyślała, iż wyszłam na przespiesi. W ręce trzymała lampę, a pod pachą miała coś jeszcze, niewielki ciemny kwadrat, którego nie mogłam rozpoznać.

Wszystko to zdążyłam dostrzec, zanim stanęła na korytarzu. Przyczaiłam się w swoim schowku i znowu wstrzymałam oddech. Na szczęście i ona starała się iść jak najciszej, wpatrywała się zatem uważnie w podłogę przed sobą, przez co nie mogła mnie dostrzec. Kurczowo ścisnęła ów kwadratowy przedmiot, z którego jeszcze coś zwisało. Zniknęła potem w swoim pokoju i zamknęła za sobą drzwi. Czymkolwiek miał się okazać ten tajemniczy przedmiot, na pewno związany był długą bladoczerwoną tasiemką.

Cóż to takiego było? Czy chciała to zabrać do Edynburga? A może wyjęła to ze stojącego na strychu kufra Nory? I czemu poszła tam w środku nocy?

Brakujące strony

Rzecz oczywista, mówiłam sobie, że można najpewniej w sposób prosty wyjaśnić ową nocną wycieczkę milady. Z drugiej strony obawiałam się, że ma ona związek z ostatnim kryzysem. A wydawało się, że moja pani naprawdę już zdrowieje!

Gdy rano weszłam do jej pokoju, powiodłam wzrokiem dokoła, lecz nie dostrzegłam żadnego zagadkowego przedmiotu. Jedynym w miarę sensownym miejscem, w którym dałoby się coś ukryć, było biurko z *Obserwacjami*. Pomyślałam więc, że właśnie tam ów przedmiot obecnie się znajduje. Kluczyk tkwił w zamku, kusiło mnie, by tam szybko pogmerać. Wynajdywałam co prawda mnóstwo pretekstów i zaglądałam co chwilę do pokoju milady, ona jednakże zawsze tam była i krzyżowała moje plany. Gdy raz tam weszła z dodatkową porcją węgla, moja pani cerowała coś przy kominku i popatrzyła na mnie zmrużonymi oczyma, jakby mówiła: „Na litość boską czegoś u diabła chcesz znowu ode mnie”, bo rzeczywiście łąziłam tam od bladego świtu, sama nie wiem ile razy, mniej więcej czterdzieści sześć.

Chodziło jednak o coś jeszcze. Jak niebawem się miałam przekonać.

- Kiedy dziś rano - rzecze milady - zaszłam na strych, zauważyłam, że ktoś starł napis z okienka.

- Doprawdy? - mówię. - A co pani, proszę pani, robiła na strychu?
- zapytałam tonem możliwie swobodnym. Z jakiegoś powodu okłamywała mnie co do pory owej wizyty na strychu.

Wskazała mi teraz coś stojącego przed łóżkiem. Była to walizka, której wcześniej nie dostrzegłam. Taki sakwojaż będzie rzecz jasna

niezbędny podczas wyprawy do Edynburga, poza tym walizki istotnie przechowywano tu na strychu. Może zatem naprawdę poszła tam wcześniej rano. Jednakże to nie walizkę trzymała pod pachą w nocy, z pewnością nie była to walizka.

- Poszłam na górę - mówi. - I stwierdziłam, że napis zniknął.

- Tak, proszę pani - przyznałam. - Starłam go, kiedy pani wtedy upadła.

Cmoknęła z niezadowolenia.

- A to szkoda - powiedziała milady. - Chciałam sprawdzić charakter.

- Charakter, proszę pani?

- Charakter pisma. Może byłabym rozpoznała, kto to napisał.

Jejku, jakżem ja była rada, że wytarłam starannie ten świetlik! Pisząc, użyłam rzecz jasna wielkich liter, aż taka głupia nie byłam. Nawet do głowy mi wtedy nie przyszło, żeby podrobić charakter pisma Nory, bo go zresztą nie znałam, poza tym kto może wiedzieć, jak pisze duch człeka zmarłego i czy pisze tak samo jak ów zmarły, gdy żył?

Milady patrzyła na mnie wyczekująco.

- Strasznie panią przepraszam - powiedziała nieszczerze. - Sądziłam, że to mój obowiązek. Czy mogę być jeszcze w czymś pomocna?

- Nie, dziękuję ci, Bessy. Jeśli zauważysz gdzieś podobny napis, to nie zmazuj go, proszę, i przyjdź po mnie bezzwłocznie.

Patrzyłam na nią oniemiała. Kręcimy się w kółko, stwierdziłam.

- Ale... proszę pani... wszak ustaliłyśmy, że nie będzie już żadnych napisów, bo przecie nie ma żadnego ducha, prawda? Ta służąca... Nora napisała to w końcu jeszcze za życia, czyż nie?

Milady zamrugała, jak gdyby chciała coś sobie przypomnieć.

- A tak - odrzekła. - Ma się rozumieć. Ale Nora mogła zostawić po sobie jeszcze inne napisy, w innych miejscach. To właśnie miałam na myśli.

Jasne, bujaj ciocię Helenkę!

Uśmiechnęła się i uniosła pończochę do zacerowania, lecz wpatrywała się w nią niewidzącym wzrokiem.

- Tej nie warto cerować, jak myślisz? - rzekła. - Pełno w niej dziur. Ale co tam... Jak trzeba, to trzeba. - Wzruszyła ramionami i wróciła do pracy.

Ta rozmowa przyprawiła mnie prawie o biegunkę, bo nie mogło już być wątpliwości, że moja pani znowu coś sobie roi. Bałam się, że wróci choroba, więc postanowiłam przeszukać szufladę w jej biurku, jak tylko państwo wyjadą do Edynburga.

Wyjechali nazajutrz, zgodnie z planem. Pan James nie jechał jeszcze kolejną linią wiodącą na wschód, a bardzo chciał to uczynić, postanowiono tedy udać się pociągiem z Westerfaulds do Bathgate, stamtąd zaś prosto do Edynburga. Bocheniek miał pojawić się z powozem o jedenastej, lecz spóźnił się dziesięć minut. Z kolei Hector, niechże go diabli, nie raczył stawić się wcale, zatem sama musiałam wytaszczyć bagaże przed dom. Pan James (który skakał po holu jak kura po rozgrzanej patelni) wybiegł za mną i wskoczył do powozu tak energicznie, że dziw bierze, iż podłoga do reszty nie zapadła się pod nim. Bocheniek milcząco powstawiał walizki do środka, po czym wspiął się na swoje siedzisko, choć określenie „wspiął się” nie jest tu może zupełnie adekwatne. Bo przecie nie można się chyba wspinać i garbić zarazem, a to właśnie czynił Bocheniek.

Czekałam na milady przed domem. Deszcz już na szczęście nie padał i nareszcie wyszło słońce, lecz wszystko dokoła było przemoczone do suchej nitki. Schodki przed domem, żwir na podjeździe, duże nagie drzewa, mech, krzewy, wszystko zdawało mi się jakieś tłuste i oślizgłe. Irytowało mnie ciągle płucie Bochenka, który strzelał śliną jak gejzer. Nie lepsze były jego szkapy, co szcząły i srały jak wszyscy diabli, a przynajmniej ponad wszelką rozsądną miarę. Prawdę mówiąc, nie byłam w zbyt dobrym nastroju i formie. Sama nie wiem dlaczego. Pewnie martwiłam się o milady. Poza tym nie cieszyłam się perspektywą spędzenia dwóch dni bez mej pani.

Pan James najwyraźniej nie mógł doczekać się wyjazdu, ciągle spoglądał na drzwi i wydawał z siebie odgłosy zniecierpliwienia. Po

chwili wbiegł do domu i coś krzyknął. Minął moment lub dwa i milady wyłoniła się z domu, ubrana w szarą suknię i czarny płaszcz. Od razu stwierdziłam, że jest niespokojna, bo usta zagryzła nerwowo. Podeszła i chwyciła mnie za ręce. Na dłoniach miała rękawiczki z koźlej skóry, jakieś takie gorące i suche.

- Bessy - powiada. - Czy widziałas gdzieś może kluczyk od szuflady w moim biurku?

- Nie, proszę pani.

Mówiąc to, patrzyłam jej w oczy. Zmarszczyła brwi i odwróciła wzrok.

- Nie mogę go znaleźć - mówi, jakby do siebie. - Musiał się gdzieś zawieruszyć.

Pan James wyskoczył nagle zza naszych pleców.

- Dalej! Szybko! - pokrzykiwał, machając rękoma, jak gdyby chciał zmieść nas ze schodków. Zeszłam mu z drogi, a wtedy chwycił małżonkę za ramię i popchnął ją w stronę powozu.

- Do widzenia państwu - powiedziałam. - Miłej podróży, proszę pani.

Pan James wcisnął żonę do środka, usiadł przy niej i zamknął drzwiczki. Bocheniek trzasnął batem i potrząsnął lejcami. Konie ruszyły chwiejnie po żwirze. Pomachałam do milady, która chyba jednak tego nie dojrzała, bo zasłaniał mnie jej małżonek.

Gdy powóz rozpedził się już trochę, wsunęłam dłoń do kieszeni fartucha i zacisnęłam palce na chłodnym metalowym kluczyku, który udało mi się podwędzić, kiedy milady wyszła na chwilę za potrzebą.

Odczekałam, aż powóz zniknie z pola widzenia, odwróciłam się, weszłam do środka i zarygnowałam drzwi. Dom bardzo się zmienił pod nieobecność jego mieszkańców, był za duży, za zimny, zbyt ciemny i jeśli nie liczyć tykania szafkowego zegara - cichy jak grób. Nawet powietrze znieruchomiało, jakby w wyczekiwaniu. Odgłosy mych kroków niosły się echem po korytarzu, a meble, którym tak często wycierała - wspomniany zegar, wieszak w holu, stolik na listy - wyglądały

jak przedmioty nieznanne, wręcz obce. Miałam świadomość, że ponosi mnie wyobraźnia, bo nigdy wcześniej nie byłam tu sama przez więcej niż kilka godzin. Niemniej jednak podreptałam szybko do kuchni, w której zawsze czułam się bardziej swojsko.

Brałam w rachubę ewentualność, że moi państwo czegoś zapomnieli i wrócą jeszcze na chwilę, wołałam tedy odczekać pełną godzinę, zanim dopuszczę się planowanego występu. Już wcześniej zdażyłam zgromadzić wszystkie wiadra na węgiel, teraz zaś umyłam je dokładnie. Robota to była nielekką, ale zajęła mi ledwie pół godziny. Umorusałam się przy tym jednak tak bardzo, że myłam się przez kolejne dwadzieścia minut, musiałam też znaleźć czysty fartuch. Dopiero wtedy pobiegłam na górę.

Arabella była co prawda nieobecna w swoim pokoju, lecz wszędzie widniały liczne po niej ślady. Na tureckim dywanie leżały dwie pończochy i luźna damska koszula. Przy łóżku unosił się zapach róż, a na poduszce spoczywało kilka jej włosów. Z kolei na toaletce, tam gdzie myła się rano, błyszczało parę kropelek wody.

Bezszelestnie zbliżyłam się do biurka. Klucz w zamku obrócił się gładko, szuflada zaś zaszumiała, gdy wysuwała ją ku sobie.

Ze zdumieniem ujrzałam w niej *Obserwacje* - otwarte na stronie z nagłówkiem „Nora dalej robi postępy”. Znowu ta menda, ta Nora! Niechże ją diabli i piekło i wszystko inne! Milady widać wróciła do swego dawnego wpisu na jej temat. Miałam ochotę wyrzucić tę książkę przez okno.

Nietrudno się wszakże domyślić, że tak jak język uporczywie ślizga się po spróchniałym zębie, tak też i mnie ciągnęło do tej lektury. Chciałam dowiedzieć się więcej o swojej rywalce, więc oczy same kleiły się do spoczywającej przede mną księgi.

WYJĄTKI Z Obserwacji
(ZASTRZEŻENIA JAK WYŻEJ)

Prace nad badaniem stopnia posłuszeństwa idą dość szybko. Celowo używam tu słowa „idą”, gdyż w ostatnim okresie uwagę swą koncentruję na eksperymencie o nazwie „idź” lub „maszeruj”.

Czytelnik tych słów może pamiętać, że tuż po przyjęciu Nory do pracy kazałam jej iść przed siebie do chwili, w której natknęła się na przeszkodę; odwracała się wtedy na pięcie i szła dalej w innym już kierunku. Czyniła to z własnej inicjatywy, albowiem ja zakładałam wprzód, iż napotkawszy przeszkodę, zatrzyma się i całkiem znieruchomieje. Ze zdumieniem i niekłamaną radością skonstatowałam więc, że Nora przystaje wprawdzie na moment, by chwilę później ruszyć w innym kierunku, na podobieństwo nakręcanej zabawki. Ów zwrot wywołany przeszkodą wiązał się z ograniczeniem ruchów do małej przestrzeni: do pokoju albo podwórka za domem, jeśli na pracę pod gołym niebem pozwalały nam okoliczności. Aby poszerzyć skalę eksperymentu, wysunęłam sugestię, by odtąd, napotkawszy przeszkodę, Nora nie zmieniała kierunku, tylko starała się z ową przeszkodą uporać. Innymi słowy, miała przejść przez nią, obejść ją, przeskoczyć lub (w razie potrzeby) przejść nawet pod nią.

Efekty okazały się nad wyraz interesujące. Pierwszego dnia ustawiłam Norę przed domem i kazałam jej iść. Ruszyła przed siebie po zwirowanym podjeździe, ominęła drzewo, przedarła się przez zarośla i wspięłaby się nawet na mur, by dalej iść drogą, gdybym nie powstrzymała jej okrzykiem. Zeskoczyła wonczas z muru i posłusznie wróciła do mnie. W nagrodę pochwaliłam ją szczerze, nazajutrz zaś zaprowadziłam ją na pole za domem, gdzie ponownie kazałam jej iść. Tym razem ustawiłam ją twarzą w kierunku wschodnim. Ruszyła przed siebie, a gdy u kresu pola natknęła się na płot, wspięła się na niego, zeskoczyła i szła dalej, póki jej nie zawołałam. Powtarzałyśmy ten niezmiennie udany eksperyment jeszcze przez kilka dni i za każdym razem pozwalałam jej zapuścić się nieco dalej. Miast towarzyszyć jej w tym marszu, kupiłam gwizdek i nakazałam wracać od razu tą samą drogą, jak tylko usłyszcy potrójne gwizdnięcie. Moja służąca utrzymuje, że jest to jej ulubiony ze wszystkich dotychczasowych eksperymentów, głównie dlatego (powiada Nora) że stanowi on dla mnie źródło wielkiego zadowolenia. Nie myli się tu bynajmniej, bo rzecz istotnie daje mi

dużo radości, zapewne przez swą zupełną bezsensowność połączoną ze ślepą karnością Nory.

A mnie ani razu milady nie wydała rozkazu „idź”, ani w domu, ani poza nim. Byłam zła, czułam się sfrustrowana. Mało tego, szlag mnie trafiał po prostu! Chwyciłam te jej Obserwacje i cisnęłam nimi o podłogę. I wtedy dojrzałam w szufladzie - na dziennikach innych służących - brulion obwiązany bładoczerwoną tasiemką.

Wyciągnęłam go i stwierdziłam, że jest to taki sam tani brulion na rachunki, jaki dała mi wcześniej milady. Wstążeczka opadła, gdy ledwie raz ją pociągnęła. Odchyliłam okładkę. W środku ktoś starannie wykaligrafował dwa słowa: „Nora Hughes”. Na kolejnych stronach widniały opatrzone datami wpisy, dokonane tą samą dłonią. Był to dziennik prowadzony przez Norę. Rozwiązała się zagadka tajemniczego przedmiotu. Miałam przed sobą zapiski Najświętszej ze Świętych.

Wtem zrozumiałam, po co milady poszła na strych. Dzienniki wszystkich służących leżały w tej oto szufladzie, łącznie z dziennikiem Nory, który wtedy zabrała ze sobą na górę, aby porównać charakter pisma Nory z napisem na świetliku - stwierdziła jednak, że napis ów zniknął.

Przewróciłam kilka stron i przeczytałam parę notek, żeby przekonać się, jak Nora pisała. Z ortografią kłopotów nie miała i - Boziu najmilsza - wiedziała, gdzie stawiać przecinki i kropki (sama mam takie aspiracje, choć jednak poczyniłam niejaki postępy, to dalej nie mam pewności, jak te małe bobki rozmieszczać). Literki stawiała starannie, jednakże mimo tej powierzchownej efektowności treść jej wpisów nie górowała bynajmniej nad tym, com pisała ja sama. Nie było tam, słowem, nic ciekawego. Dość powiedzieć, że Nora notowała po prostu wszystko, co robiła, wykonując swoje obowiązki. Wspominała raz po raz o eksperymentach, o tym co kazano jej robić, ile razy powtarzać itp. Czasami (z pewnością na polecenie milady) opowiadała o swoich myślach i odczuciach. Kolejne wpisy niewiele się od siebie różniły. Brulion zapełniony był w jednej czwartej. Przeczytałam mniej więcej dziesięć stron, a potem zjrzałam na sam koniec, chcąc spraw-

dzić, jak brzmi wpis ostatni. Nie pamiętam konkretnych słów i zdań, ale brzmiał on mniej więcej tak oto:

Dzisiaj po pracy szłam bez przerwy przez pole, tak jak mi pani kazała. Żadnych przeszkód prócz kilku płotów, przez które musiałam przeskoczyć. Trzymałam się kierunku wschodniego, zgodnie z zaleceniem pani. Dzień był piękny, a idąc, mogłam sobie pomyśleć, ostatnio często wpadam w zadumę. Szłam więc głęboko zadumana i pogrążona w różnych marzeniach, gdy nagle opodal ścieżki zoczyłam coś strasznego - sroka rozszarpywała jakieś małe zwierzątko, może ptaszka, to coś jeszcze żyło. Przeraziły mnie okropne rozdzierające krzyki tego konającego stworzenia i chciałam zatrzymać się, by zapobiec morderstwu, ale nie śmiałam tego uczynić - musiałam poza tym rzecz jasna iść dalej bez przerwy, bo inaczej byłabym złamała rozkaz dany mi przez panią.

Rozumowaniem doszłam do wniosku, że gdybym nawet odpędziła tę srokę, to mały ów stworek i tak by umarł, bo był już z pewnością śmiertelnie ranny. Wiedziałam też, że sama nie miałabym dość odwagi, by kogoś lub coś pozbawić życia. Nie dowiedziałam się zatem, co to było za stworzenie - zapewne mysz, dopiero co narodzony królik albo właśnie wykluty ptaszek. Odwróciłam wzrok i uroniłam kilka łez. Potem usłyszałam, jak pani na mnie gwizdże, otarłam oczy i powróciłam do Zamku Haivers - zboczyłam z drogi co nieco, by nie oglądać już sceny śmierci.

Pani mówi mi, że za dzień lub dwa, jak Bóg pozwoli i jeśli pogoda będzie nam sprzyjać, odbędę kolejny marsz, tym razem na północ od przełazu na wzgórzu, tam nigdy jeszcze nie szłam. Pani zapowiedziała, że tym razem może nie zagwizdać, i kazała mi iść tak długo, jak pozwoli mi na to sumienie. Nie wyjaśniła, co ma na myśli, sądzę, że chce się dowiedzieć, jak długo jestem w stanie iść, aby tylko uczynić zadość jej życzeniu. Powinna już wiedzieć, że nie ma na świecie rzeczy, której bym dla niej nie zrobiła, i nie istnieje dystans, którego nie mogłabym przebyć, gdybym nawet do szczętu zdarta sobie buty.

Być może jestem ostatnio przewrażliwiona, stwierdziłam jednak, że nienawidzę srok. Te ptaszyska są odrażające, gorsze nawet od wron.

W tym miejscu kończył się ostatni wpis, te brednie o ptaszkach i stworkach. Mimo to zaciekawiły mnie i zirykowały fragmenty na temat marszu: *szłam bez przerwy przez pole, tak jak mi pani kazała i odbędę kolejny marsz, tym razem na północ* itd.

Te wygłupy z chodzeniem, z marszem. Pomyśleć by można, że to coś specjalnego, przeznaczonego tylko dla wybranych. Serce waliło mi młotem, czułam ukłucia zazdrości. To, że milady była ode mnie niezależna, że nie miałam kontroli nad jej myślami i uczuciami, że mogła w ogóle lubić inną dziewczynę bardziej niż mnie, uważać ją za lepszą służącą i przeprowadzać z nią w zaufaniu specjalne eksperymenty - wszystko to wpędzało mnie w gigantyczną frustrację. Najbardziej drażniła mnie własna bezsilność, Chryste, jakżem ja wtedy znienawidziła tę Norę. A przecie jej nawet nie widziałam na oczy! Mdlіło mnie na myśl o jej pierońskich cnotach. W czymże mnie przewyższała, że mogła się cieszyć aż taką sympatią milady? Wszak teraz była już tylko kupką gnijących kości.

Już miałam zamknąć brulion i wcisnąć go z powrotem do szuflady, kiedy zauważyłam kilka cienkich skrawków papieru w miejscu, gdzie kartki były zszyte ze sobą. Obejrzałam uważnie grzbiet brulionu i zrozumiałam, że usunięto kilka kartek. Nie zostały one wyrwane, bo wtedy zostałyby tam strzępki papieru, które natychmiast rzucają się w oczy. Te kartki zostały wycięte tuż przy spojeniu, wycięte umyślnie czymś bardzo ostrym.

Jeśli zważyć na daty i zawartość reszty brulionu, to można się było domyślić, że owe wycięte strony zawierały opis ostatnich dni Nory w Zamku Haivers, może również relację z marszu na północ, o którym wspomniała w ostatnim wpisie. Czemuż by miała zapisać te kartki, a potem usunąć je z brulionu? Czy chciała coś ukryć przed milady? Może podczas tego marszu wdała się w jakąś bójkę. Albo też migdaliła się z jakimś swoim kochasiem. Powiem szczerze, że ucieszyłam się niepomernie, odkrywszy coś, co być może kładło się cieniem na cha-

rakterze tej pannicy. Niech ją zaraza, tę myszkę przymilną. Jeżeli ona mogła maszerować, to mogłam i ja, czemu nie? Nie mogłam co prawda zdradzić się z tym Arabelli, bo wyszłoby na jaw, że m szeptowała w jej rzeczach. Ale mogłam wszak przejść się po śladach **MOJEJ RYWALKI!**

Błyskawicznie uwinęłam się z robotą i już o wpół do trzeciej szłam na wzgórze w płaszczu na plecach i kapeluszu na głowie. Płaszcz był z szarego samodziału, a dostałam go od mojej pani, kiedyś sama go nosiła. Z kolei kapelusz dobrze grzał uszy, chociaż nie odpowiadał mi za bardzo. Znalazłam go w garderobie, był to właściwie duży staromodny czepiec, który mogła nosić moja babka. Kilka miesięcy nazad nie włożyłabym go za nic w świecie, choćby nawet płacono mi za to sto funtów.

Przez wzgórze ciągnął się murek, a w najwyższym jego punkcie znajdował się łupkowy przełaz. Wspięłam się tam i stanęłam na najwyższym stopniu. Za plecami, w zagłębieniu terenu, miałam lasy i Zamek Haivers. Chciałam już ruszyć przed siebie, gdy wystraszył mnie słaby, acz wyraźny odgłos zatrzaskiwanych gdzieś drzwi. Babciny czepiec ograniczał mi pole widzenia, musiałam więc odwrócić całą głowę w kierunku, z którego dobiegł mnie ów dźwięk, a było to na lewo od lasu, tam gdzie stoją czworaki. Ze zdziwieniem stwierdziłam, że m oddaliła się już od nich bardzo, bo wyglądały teraz jak zestaw domków dla lalek. Z jednego z malutkich kominów ciągnęła się w górę smużka dymu. Zauważyłam, że coś się porusza, i po chwili patrzyłam już, jak miniatuurka Hectora przesuwają się od czworaków w stronę lasu, pewnie człapał do Zamku Haivers, no, spóźnił się łobuz troszeńkę, nikogo w domu nie było, mógł być zjawić się rano, by pomóc mi przy pierońskich bagażach, oj mógł. Chciałam zagwizdać i mu pomachać, lecz szybko przypomniał mi się głupawy czepiec, więc poniechałam tego zamiaru, bo drań potem ciągle by się nabijał.

Przede mną ciągnęła się w dół kolejna trawiasta łąka. Dalej teren się wyrównywał, horyzont krył się za mgłą. Zeskoczyłam z przełazu i wznowiłam swój marsz. Za moimi plecami zniknął już Zamek Haivers, zasłonięty przez szczyt wzgórza. Szłam dalej wzdłuż żywopłotów,

aż doszłam do wąskiej polnej drogi, biegnącej u kresu pastwiska. Przede mną ciągnęła się ziemia porośnięta różnymi krzewami i poplamiona tu i ówdzie wielkimi stosami węgla. Ścieżka, którą szłam do tej pory, przecinała rozległy ów teren, nie zbaczałam z niej, bo wiedziałam, że oddalając się od Wielkiego Gościńca, utrzymam mniej więcej kierunek północny.

Okolica to była ponura, jakby okaleczona. Nieliczne tu drzewa, chude, nagie i przygięte ku ziemi silnym wiatrem, rysowały się czarno na tle zimowego błękitu. W moich oczach wyglądały one jak olbrzymy, zdjęte grozą, wymachujące ramionami, uciekające przed jakimś potwornym niebezpieczeństwem. Żadne ptaszki tam nie śpiewały, nie rośło tam nic godnego uwagi, jedynie rdzawa paproć, mech i chwasty. Robiło się ciemno i coraz chłodniej. Mgła kłębiła się pod stopami jak chmurki dymu, a w powietrzu unosił się swąd spalenizny. Nie dbałam już o czystość swojego przyodziewku, miejscami bowiem ścieżka była rozmokła i błotnista. Twarz drętwiała mi z zimna, oczy łzawiły.

Zresztą... oż krucafuks! Wszak miałam tylko iść przed siebie. Każdy to umie. Byłam pewna, że robię to równie dobrze jak ta idealna pannica. I na dodatek w znacznie gorszych warunkach! Ona maszerowała latem, a teraz było tak zimno, że mogłam sobie odmrozić siedzenie. Ciekawe, czy rzeczywiście szła tą samą ścieżką, czy przechodziła przez ten sam strumyk i czy spoglądając w kierunku północno-wschodnim, również widziała ogromny komin fabryczny, z którego unosił się czarny dym, zlewający się teraz z chmurami i mgłą. O czym myślała, drepcząc przed siebie z zadartym dziobem? Na pewno o tym, by nie pobrudzić sukienki. Wynajdywała też pewnie kolejne sposoby na wkupienie się w łaski Arabelli. Z tej mendi była przy tym taka święta, że nie zdziwiłabym się wcale, gdyby kroczek za kroczkiem odmawiała jakąś modlitwę. Ciekawiło mnie, co też takiego mogło przytrafić się jej na tej drodze, co takiego mogła chcieć ukryć. Przecież nie można tu było się upić czy wdać w jakąś burdę. Nie był to również zaułek kochanków, żadne to miejsce na bara-bara.

Tak bardzo tonęłam w myślach, że nie dostrzegłam nagłego spadku terenu. Moja stopa nie znalazła oparcia i potoczyłam się po zboczu.

Spadałabym pewnie długo, gdybym nie była chwyciła dwóch kępek szorstkiej trawy.

Przez chwilę leżałam nieruchomo, próbując złapać oddech. W kostce czułam bolesne pulsowanie, lecz ciężko ranna nie byłam. Chwytając się trawy, odwróciłam się twarzą w kierunku, z którego szłam. W pierwszej chwili pomyślałam, że wpadłam do głębokiego rowu, bo upadając dojrzałam takie samo trawiaste zbocze po stronie przeciwnej. Słyszałam wcześniej o takich wypadkach, jak to ludziska przypadkiem wpadali do rowów ku uciesze swych towarzyszy. Potem jednak odwróciłam głowę i zrozumiałam, że byłam w błędzie. Na dnie zagłębienia bądź też wykopu ujrzałam bowiem podkłady i tory, ciągnące się hen daleko w jedną i drugą stronę, niknące gdzieś we mgle.

Miałam już podnieść się z miejsca, gdy dobiegł mnie słaby szmer, jakby tuż przy uchu. Powietrze zadrgało, szmer przeszedł w ryk, nagle coś zapiszczało i z mgły wystrzelił raptem wielki czarny pociąg, to istne pandemonium ognia, pary i dymu, wyjące i rozbrzeczane. Przed oczami przesuwały mi się oświetlone okienka, Jezu Marysieński, były tak blisko, właściwie w zasięgu ręki.

Wracałam biegiem, ścigając się z nadciągającym zmrokiem. Przez całą drogę myślałam o Norze i torach. Przypomniały mi się rzecz jasna sugestie Janet Murray, którymi uraczyła mnie w karczmie „Za Węgłem”, że niby milady ma coś wspólnego ze śmiercią Nory. Starałam się jednak nie wyciągać pochopnych wniosków. Oczywiście istniała możliwość, że Nora zginęła pod kołami pociągu, kiedy maszerowała na rozkaz swej pani. Było to wszakże mało prawdopodobne. W Obserwacjach roiło się wprawdzie od zachwytów nad lojalnością i posłuszeństwem Nory, ale nie była ona chyba aż tak uległa, by wejść prosto pod zbliżający się pociąg, i to jedynie dlatego że milady kazała jej maszerować bez przerwy. To nie byłoby posłuszeństwo, tylko czysta głupota. Mógł jeszcze zdarzyć się wypadek, w końcu sama omal że nie zleciałam na tory. No ale Nora musiałaby upaść dokładnie w chwili nadjeżdżania pociągu. Chyba że uderzyła się

w głowę i straciła przytomność. W przeciwnym razie mogła najwy-
czajniej się podnieść i wznowić swój marsz.

A może Janet sugerowała coś gorszego? W najokropniejszej wersji wypadków milady, śledząc Norę, zapuściła się sama na to pustkowie i wepchnęła służącą pod pociąg. To z kolei było wręcz absurdalne. Milady bardzo Norę ceniła. (Za co, tego mi nie wiadomo. Ale ceniła tak czy inaczej). Nie mogła zatem uczynić jej krzywdy.

Poza tym, myślę sobie, opamiętaj się, dziewczyno! Nie wiesz nawet, czy to dokładnie te tory. Wszak w okolicy przeprowadzono inne linie kolejowe, może Nora zabłąkała się właśnie na którąś z nich, i to bez niczyjej pomocy. Przypomniało mi się, że w gabinecie pana Jamesa wisi mapa, na której zaznaczono wszystkie tory w okolicy.

Proszę mnie dobrze zrozumieć. Nie wątpiłam w niewinność milady, nie wątpiłam w to ani trochę. Stwierdziłam jednak, że obejrzę tę mapę, ażeby móc dowieść Janet, w jak wielkim jest błędzie.

Kiedy wróciłam, w domu było zimno jak w grobie. Bezzwłocznie udałam się do gabinetu i zapaliłam tam kilka świec, co troszkę poprawiło mi humor. Potem wzięłam do ręki lampę i przyjrzałam się mapom wiszącym na ścianie. W większości były to mapy Imperium, ale dość szybko znalazłam mapkę naszych okolic. Była mniejsza od innych, oprawna w ramkę z ciemnego pokrytego lakierem drewna. Zdjęłam ją z haczyka i położyłam na biurku między świecami. I pochyliłam się, by uważnie ją przestudiować.

Przy skrzyżowaniu dróg tkwiło Snatter, zaznaczone jako grupka domów po obu stronach Wielkiego Gościńca. W pobliżu znalazłam Zamek Haivers, leżący przy kilku mikroskopijnych sosenkach. Na końcu lasu odnotowano nasze czworaki w formie czterech maleńkich kwadratów. Dalej w kierunku zachodnim znajdowało się gospodarstwo Flemynga i rzeka Thrash Burn wraz z przypływami, co rozlewały się po mapie na podobieństwo małych żyłek. I, jasne jak słońce, były tam również tory, czarno-biała linia przecinająca łukiem ten teren, ciągnąca się aż do Bathgate. Jednakże nieco dalej na wschód do-

strzegłam linię podobną, kończącą się na dodatek w tym samym miasteczku. Z kolei na południe i zachód ciągnęły się dwie kolejne linie, cieńsze od dwóch poprzednich, lecz przekreślone w poprzek znakiem szyn, domyśliłam się, że chodzi o linie towarowe, obsługujące kopalnie czy jakieś fabryki.

No i proszę uprzejmie. Wszędzie było pełno torów i Nora mogła spotkać swój los na każdej z tych linii. Przyznać muszę, że poczułam niejaką ulgę. Miałam już podnieść mapę i powiesić ją z powrotem na ścianie, gdy mimowolnie uniosłam wzrok. Zapewne wyczułam, że coś poruszyło się za oknem, może nawet coś usłyszałam, nie wiem. Tak czy inaczej, w oknie dostrzegłam przyciśniętą do szyby, niewyraźną i zniekształconą przez panujący już mrok, wpatrzoną we mnie twarz.

Wszystko to trwało kilka sekund. Wrzasnęłam, jak sądzę, i zerwałam się na równe nogi, przewracając świecę, która natychmiast zgasła. W pierwszym odruchu chciałam się ukryć. Nie mam pojęcia, jak obezszłam biurko, może je przeskoczyłam, bo z gabinetu wyleciałam jak procy. W holu poczułam się ciut bezpieczniej, ponieważ w jedynym tam oknie szkło było nieprzezroczyste i nie dało się przez nie niczego dojrzeć. Po omacku dotarłam do głównych drzwi. Obydwie zasuwki tkwiły na swoich miejscach. Drzwi od kuchni też były bezpieczne, bo po powrocie do domu starannie je zarygłowałam. Cofnęłam się teraz o kilka kroków i stałam czujnie, zadyszana i drżąca na całym ciele.

Z początku nic nie słyszałam. Światło lampy z gabinetu przenikało na hol i kiedy już oczy przyzwyczyły się do półmroku, jęłam rozglądać się za jakąś bronią, lecz dostrzegłam jedynie stary parasol w stojaku. Potem przypomniałam sobie o składanym nożu Nory, który zawsze nosiłam w kieszeni, odkąd znalazłam go w jej kuferku.

Wyjęłam go teraz, rozłożyłam i uniosłam przed sobą. Moje uszy, oczy i umysł napinały się do granic wytrzymałości. Po chwili dobiegł mnie chrzęst żwiru, ktoś zbliżał się wzdłuż ściany domu. Osobnik ów dotarł do ganku i wszedł po schodkach. Zapadła cisza. Czekałam, aż coś się wydarzy, aż poruszy się klamka, aż usłyszę łomotanie do drzwi. Nagle w klapce na listy zabłyszcząły czyjeś oczy. Ktoś się we

mnie wpatrywał! Cofnęłam się, przerażona. A potem intruz wymówił moje imię.

Bessy? Gdzieżeś ty jest? Bessy! To ja.

Jezu Marysieński, Hector! Dałabym mu ja w skórę, oj dała. Byłam doprawdy wielce wzburzona więc, proszę o wyrozumiałość, zlekceważyłam dobre maniere i puściłam soczystą wiązanekę, wręcz kanonadę obelg, pominię najgorsze i przejdę do ostatniego zdania.

- Oż krucafuks, łobuzie jeden, czego tak podpatrujesz mnie przez okno?

- Nu zara zara - rzekł Hector zza drzwi, jakbym go czymś obraziła.

- Wcale żem nie podpatrywoł, wcale a wcale.

Oświadczyłam, że mu nie wierzę i że patrząc na mnie przez okno, oddawał się czynnościom nader nieprzyzwoitym. Hector gorąco temu zaprzeczył. Słowa wymawiał aż nazbyt starannie, widocznie miał już mocno w czubie. Zachęciłam go, żeby bezzwłocznie poszedł w swoją stronę.

- Słuchaj ty mnie - odparł. - Żem dojrzał światło i zajrzoł, łale klnie sie, żem zamiarował stuknąć w szybe, wonzas tyś mnie zoczyła, sus w górę dała i wrzała jak jaka wariatka. A jam jeno kcioł wyciognąć ciebie na tańce. Zabawę robimy.

Nie miałam najmniejszej ochoty pokazywać się w czworakach z Hectorem, bo wtedy Muriel i inni byliby pomyśleli, że Hector i ja mamy się ku sobie czy coś w tym rodzaju, Hector zaś chciałby zapewne wywołać takie wrażenie, fałszywe rzecz jasna.

- Ja łumiem tańcować - rzekł teraz, po czym odwrócił głowę i beknął, jakby chciał mnie tym skusić.

- To miłe, że mnie zapraszasz - powiadam. - Ale dziękuję, nie skorzystam.

- Nu chodźże ze mno! Sie nie bój nic. Nikt tam ciebie macoć nie bedzie, wcale a wcale.

Powiedziałam mu, że ma gadane i wie, jak kusić dziewczynę, ja jednak jestem już zmęczona. Następnie kucnęłam przy drzwiach i rzekłam:

- Słuchaj... A pamiętasz jedną służącą, która tu kiedyś pracowała? Nora jej było na imię.

W szczelinie znów pojawiła się jego twarz, alkohol prawie wylewał mu się oczami, które srebrzyły się niczym rtęć. Jechało od niego okropnie.

- A kcesz ty, cobym pobył tu z tobo?

- Nie! - odparłam stanowczo. To go wyraźnie wkurzyło i począł oddalać się chwiejnie po schodkach.

- Czekaj! - krzyknęłam.

Odwrócił się. Z trudnością trzymał równowagę.

- Na których torach zginęła Nora? - spytałam.

Wskazał coś ponad dachem domu.

- A jużci, na tamtych.

- Za polem na wzgórzu?

- Toć mówie.

To mnie trochę podłamało.

- No... - powiadam. - A czy Nora była ślepa albo głucha?

- Cu? Skond niby! Szystko z nio było należycie.

- Więc jak to się stało?

Hector wzruszył ramionami.

- Robiła tu jak ty tera. Zaś potem jednej nocy wpadło jej sie pod pociong. - Urwał. - Ciach! - rzekł i klasnął. Przez chwilę pocierał dłońią o dłoń, aż z Nory został jedynie proch i pył, który dało się strząsnąć z koniuszków palców. - A tera, daruj ty mnie, ide nazad na popijawe. - Skłonił się nisko. - Bywaj, strachajło.

Co powiedziawszy, ruszył po zwirowanym podjeździe i zataczając się, zniknął z pola widzenia.

Podniosłam się z kucek i poczępałam przez hol jak ogłuszona. A więc jednak zginęła na tamtych torach. Ale nie znaczy to przecie wcale, że winna jest temu milady, która kazała jej tam maszerować. To głupie dziewczę mogło wpaść pod pociąg przy każdej innej okazji. Zresztą czy Hector nie wspomniał, że wydarzyło się to "Jednej nocy"? No i przecie sama milady mówiła, że wypadek miał miejsce po jakiejś zabawie. Jeśli tak było w istocie (a być tak musiało, bo moja pani nigdy nie łągała), to wniosek jest prosty: w chwili śmierci Nora nie brała udziału w żadnym eksperymencie, tedy milady nie miała z tym nic wspólnego.

Uzmysłowiłam sobie raptem, że (oczywiście!) z „marszowego” eksperymentu Nora musiała powrócić żywa - w przeciwnym razie nie mogłaby wszak dokonać wpisu w dzienniku i wyciąć zeń potem kilku kartek. To ostatnie nie musiało być wcale dziełem Nory, pomyślałam, ale zaraz porzuciłam tę myśl, bo po cóż niby miałyby ktoś inny kaleczyć jej dziennik.

Ale co Nora chciała ukryć? Rada bym była dowiedzieć się tego, zwłaszcza zaś czegoś, co stawiałoby ją w złym świetle.

Przez jakiś czas kręciłam się między pokojami, potem poszłam na górę. Irytowały mnie rozedrgane cienie rzucane przez lampę. W pokoju milady było zimno jak w lodowni, bo po wywietrzeniu izby mej pani zapomniałam zamknąć okno. Zatrzasnęłam je teraz. *Obserwacje* dalej leżały na podłodze, tam gdzie je wcześniej cisnęłam.

Naszła mnie pewna myśl. Uświadomiłam sobie oto, że nie sprawdziłam, co ostatnio milady pisała o mnie. Otwarłam jej książkę i doznałam zawodu, ponieważ od chwili powrotu męża nie pojawiło się tam ani jedno nowe słowo na mój temat. Wpisy kończyły się na decyzji o wprowadzeniu dystansu w stosunku do mojej osoby, co tak mnie swego czasu wzburzyło. Przekartkowałam resztę książki, były to jednak strony niezapisane. To znaczy, jeśli nie liczyć strony ostatniej, na której wielkimi rozchwianymi literami napisano:

TO ONA
WIEM, ZE TO ONA
ONA WRÓCIŁA
NIECH BÓG MI WYBACZY

W pierwszej chwili myślałam, że padnę trupem, miałam wrażenie, że napisano to krwią. Przyjrawszy się jednak uważniej, doszłam do wniosku, że milady użyła tym razem atramentu brązowego zamiast, jak wcześniej, fioletowego (taką przynajmniej miałam nadzieję). Mimo to włoski na szyi zjeżyły mi się ze strachu. Jezusie Marysieński!

Pisząc to, milady z pewnością miała na myśli Norę (trudno mi wszakże było odgadnąć, kiedy te słowa naskrobała).

A więc znowu to samo, znów błaga o wybaczenie. Im więcej o tym myślałam, tym bardziej zdawało mi się prawdopodobne, że moja pani uległa temu samemu złudzeniu, któremu (na krótko) uległam ja, że mianowicie Nora zginęła wykonując jej polecenie. To tłumaczyłoby, dlaczego milady ciągle się oskarżała i czuła winna. Dlatego też pewnie sprawiała na cmentarzu wrażenie, jakby pragnęła przekonać siebie (i mnie), że śmierć Nory była nieszczęśliwym wypadkiem.

Gdybym tylko umiała wyprowadzić ją z błędu! Biedna milady, kochana milady, prawdziwie anielska istota.

Wsunęłam książkę z powrotem do szuflady, kładąc ją tak, jakem ją wcześniej tam zastała, otwartą na stronie na temat Nory. Nagle poczułam straszne zmęczenie. Nic się nie stanie, stwierdziłam, jeśli położę się na momencik. Zdjęłam płaszcz i czepiec, położyłam je na krześle. Następnie zzułam trzewiki i wśliznęłam się pod kołdrę. Kładąc się do łóżka milady, nie zamierzałam bynajmniej okazać jej braku poszanowania, chciałam jedynie ogrzać się trochę i odpocząć. Światło lampy raziło mnie w oczy, zgasiłam ją zatem.

Miałam więc zamiar chwilkę sobie poleżeć i pójść potem do siebie, ale zasnęłam i obudziłam się (tak mi się przynajmniej zdawało), przekonana, że ktoś stoi nade mną. W głowie mi jakoś dziwnie brzęczało, a zęby jakby wibrowały mi w czaszce. Zanim jeszcze otwarłam oczy, wiedziałam, że ktoś stoi przy łóżku. Bez patrzenia wiedziałam również, że tym kimś jest moja matka. Widziałam ją już w wyobraźni, stała z latarnią w dłoni i spoglądała na mnie uśmiechnięta szyderczo. Miałam pewność, że przyszła mnie zabić.

A potem nagle mnie olśniło - przecie to tylko sen! Co za ulga! Żeby odpędzić matkę, wystarczyło jedynie obudzić się i spojrzeć jej w oczy, wtedy znikłaby od razu.

To właśnie zrobiłam (tak mi się przynajmniej zdawało). Postanowiłam, że zaraz się obudzę i na nią popatrzę. Gdy jednak, przekonana, że nie śpię, otwarłam oczy, nie ujrzałam swej matki, tylko dziewczynę, której nigdy wcześniej nie widziałam, lecz która na pewno była Norą.

Miała na sobie nocną koszulę, a włosy opadały jej swobodnie na ramiona. To ona trzymała latarnię, to ona uśmiechała się do mnie szyderczo. Przeraziłam się bardzo, dziw bierze, że serce nie wyskoczyło mi z piersi. Najbardziej niesamowite były jej oczy, jej dzikie, szeroko otwarte oczy. Ta dziewczyna była szalona, widać to było jak na dłoni. I choć miałam pewność, że się zbudziłam, ona wcale nie chciała zniknąć. Gapiłam się na nią uporeczywie, lecz ona dalej wpatrywała się we mnie z tym koszmarnym wyrazem twarzy. Byłam pewna, że chce mnie zabić, że gdyby miała trzymać w ręce nóż, to zatopiłaby go niechybnie w moim sercu.

Strach przyszpilił mnie do materaca. Nie wiem, jak długo leżałam tam, zlaną zimnym potem. Może trwało to minuty, może tylko sekundy. Wiem jedynie, że w końcu, kiedy, jak mi się wydawało, minęły już wieki całe, udało mi się poruszyć ręką i naciągnąć kołdrę na głowę. Nora jakby tego nie widziała, dalej patrzyła jak wprzód. Udało mi się zatem naciągnąć kołdrę na głowę, nie zwracając jej uwagi. Dziwnie to zabrzmiało, ale miałam wrażenie, że kołdra ochroni mnie przed tym widziadłem. Bo już wiedziałam, że jest to widziadło. Stała tam wprawdzie, lecz wcale jej tam nie było. Patrzyła na mnie, lecz wcale mnie nie widziała. Byłyśmy obie w tej samej izbie, lecz wyczuwałam między nami barierę czasu. Ja byłam tam obecnie, a ona - w przeszłości.

Jeżeli tak się sprawy miały, to kto w mniemaniu Nory leżał teraz w łóżku? Czy to we mnie wpatrywała się z tą krwiożerczą miną? A może widziała nie mnie, lecz milady?

Część czwarta

Zjawa

W końcu zapadłam w odrętwienie, a gdy się ocknęłam, było już rano. Trwożliwie wysunęłam głowę spod kołdry. W pokoju nikogo nie było. Wyśliznęłam się z łóżka i przyklękłam, aby przyjrzeć się miejscu, w którym stała Nora. Żadnego śladu, nic zupełnie, włókna dywanu gładkie i nienaruszone, jakby nikt nigdy po nich nie stąpił. Nic tu nie wskazywało na czyjąkolwiek wizytę, chociaż po prawdzie z tego co wiem, duchy śladów nie zostawiają. Czy jednak był to w ogóle duch, czy może zły sen? Kto to mógł wiedzieć.

Kiedy zabrałam się do swych codziennych zajęć, próbowałam zapomnieć o wydarzeniu z minionej nocy, lecz dom zdawał mi się jak nawiedzony przez duchy, więc po południu wyszłam na zewnątrz, by popracować trochę w ogródku warzywnym. Rwąc chwasty i grabiąc liście, wciąż jednak miałam przed oczyma Norę, stojącą złowroźnie przy łóżku milady. Czy chciała zabić swą panią? Ależ dlaczego miała-by mścić się na niej? Czy milady ją skrzywdziła? Znów przypomniały mi się tory. Wyobraziłam sobie, jak milady podkrada się od tyłu do Nory i wyciąga przed siebie ręce, gotowa popchnąć służącą... No nie. Toż to idiotyzm. Nie mogłam uwierzyć, nie wierzyłam, że milady mogłaby skrzywdzić Norę. Koło trzeciej postanowiłam wrócić na moment do domu, by rozgrzać się filiżanką herbaty. Z niewyspania byłam ciut skołowana, bezmyślnie stawiałam krok za krokiem. Może nawet przeniknęłam przez zamknięte drzwi, bo nie pamiętam, bym naciskała klamkę i wchodziła do środka. Oprzytomniałam dopiero w kuchni, tam bowiem przywitał mnie niespodziewany widok.

Otóż szła ku mnie spieszenie kobieta odziana w czarny płaszcz. Jezu Marysieński serce mi prawie zamarło. Ale była to tylko milady. Milady! Wróciła dzień wcześniej. Chwyciła mnie teraz za rękę, zbyt podniecona, by zauważyć moje zdumienie. Oczywiście błyszczały.

- Chodź szybko, coś ci pokażę! - powiada i ciągnie mnie w stronę stołu.

Starałam się przypomnieć sobie, czy zamknęłam szufladę w jej biurku i czy wszystko odłożyłam na miejsce. Czy pościeliłam jej łóżko? I co zrobiłam z tym pierońskim kluczykiem? No i dlaczego moi państwo wrócili przed czasem? Tymczasem milady otwarła leżące na stole pudełko i wyjęła z niego plik czarno-szarych karteczek.

- Spójrz, Bessy, popatrz no tylko - powiada. - Jak ci się to podoba?

Rozłożyła na stole kilka podobizn siebie samej wraz z małżonkiem. Na pierwszym zdjęciu stali oboje na tle dekoracji przedstawiającej wiejski krajobraz z drzewami, a u ich stóp spoczywała donica z paprocią. Wyglądało to, jakby przystanęli podczas spaceru na jakiejś leśnej polanie. Pan James opierał się łokciem o płot ze wzrokiem utkwionym w oddali, natomiast milady gestem dziwnym i nienaturalnym złożyła swe dłonie na ramionach małżonka, jak gdyby stanowił on dla niej podporę. Na pierwszym planie był jeszcze mały swawolny piesek, który stanął na tylnych łapkach, jakby miał za moment gdzieś skoczyć. Jeśli się jednak przyjrzeć uważniej, widać było, że biedaczyna jest wypchany i wbity na kołek. Na innej fotografii pan James siedział w fotelu, miał na głowie kapelusz. Jedną nogę w ciężkim bucie wyciągnął swobodnie przed siebie, a między udami zwisał mu długi bicz. Kolejny obrazek przedstawiał milady stojącą samotnie przy stole, na którym tkwi wazon z kwiatami. W ręce trzymała słomkowy kapelusik. Wszystko to było nader zręcznie zaaranżowane, przysiąc by można, że mamy lato i że moja pani właśnie wróciła z ogrodu. Pozostałe portrety ukazywały ich w ekstrawaganckich odzieniach. Na jednym pan James przebrany był za pirata, na głowie miał przekrzywiony kapelusz, w dłoni zaś dzierżył szablę. Na innym ledwo rozpoznawalna milady była ciemnoskórą księżniczką z Orientu, udrapowaną w szatę, przepasaną szarfą w talii, z dzbanem podpartym na

biodrze. Na ostatnim zdjęciu moi państwo znów pozowali razem. Pan James wyglądał bardzo dostojnie, stojąc za okrytą sukniem katedrą w szatach obszytych futrem, obwieszony złotymi łańcuchami. Milady klęczała u jego stóp, w staromodnym odzieniu służącej, w fartuchu i perkalowym czepku, z podwiniętymi rękawami. Schylając nisko głowę, wręczała właśnie czarę wina swemu panu i władcy.

Wydaje mi się, że właśnie owa ostatnia fotografia uderzyła mnie najbardziej ze wszystkich, może dlatego że milady dość osobliwie wyglądała w przebraniu służącej i w pozie dla służącej typowej.

- Poszliśmy do Hendersona, to jest przy Princes Street - mówiła milady. - Świetnie się spisał, nieprawdaż? A tobie, Bessy, sporządza-no już kiedyś taką podobiznę?

- Nie, proszę pani - odparłam. (Nie do końca prawdziwie, bo zdej-mowano mnie już parę razy w tak zwanych „pozach klasycznych”, tak w każdym razie określał je fotograf).

- Kiedy znowu wybiorę się do Edynburga - ciągnie milady - wezmę cię ze sobą i pójdziemy do tego zakładu. Chciałabym mieć twoje zdję-cie w stroju do pracy. Ależ to będzie cudny portret.

I dalej rozkładała fotografie na stole, kierując moją uwagę na ten czy inny szczegół. Dowiedziałam się, że aby przyciemnić skórę na potrzeby portretu orientalnego, milady musiała natrzeć sobie twarz jakimś żółtym mazidłem. Z kolei czara nie była prawdziwa, wycięto ją bowiem z kartonu i pomalowano. Natomiast obszyte fu-trem szaty prezentowały się wprawdzie imponująco, ale zalatywały kamforą.

Podczas gdy moja pani dalej paplała w ten sposób, ja miałam chwilkę na zastanowienie. Byłam dość pewna, że *Obserwacje* i dziennik Nory odłożyłam do szuflady w biurku, nie pamiętałam jednak, czy zostawiłam kluczyk w zamku. Nie chciałam udawać, że znalazłam go przypadkiem, bo milady mogła pomyśleć, że grzebała w jej rze-czach, a tego krucafuku nie pragnęłam bynajmniej.

- Pani wybaczy - powiedziałam, wyrывая się już niespokojnie do pokoju mej pani, zanim ona się tam uda. - Zaniosę na górę pani bagaże.

Wysłałam pośpiesznie do holu. Spodziewałam się ujrzeć dwie walizki, lecz stała tam tylko jedna, ta którą wzięta ze sobą milady. Zajrzałam do gabinetu. Był pusty. W ogóle w całym domu było tak cicho, że usłyszeć by można pierdnięcie pająka. Wróciłam do kuchni. Milady dalej siedziała przy stole i dalej podziwiała swe podobizny.

- Proszę pani - zaczęłam. - Czy pan James sam zaniósł na górę swoją walizkę?

- Co takiego? - rzecze milady. - Ach, nie. Wróciłam sama.

Pochylała się nad zdjęciami, więc nie widziałam jej twarzy.

- Ale dlaczego, proszę pani? Co się stało?

- Nic się nie stało - odparła. - Dlaczego niby coś miałoby się stać? Po prostu wróciłam wcześniej niż planowano. - Uniosła wzrok i wybuchła śmiechem na mój widok. - Ależ Bessy - powiada. - Miałam dość tego miasta. To koszarne przyjęcie już się odbyło i Jamesowi nie byłam więcej potrzebna.

Przypatrywała mi się spokojnie. Nie byłam pewna, czy jej wierzę. Zanim jednak zdążyłam cokolwiek wydukać, milady rzekła:

- Powiedz mi, Bessy... Jak ci się tutaj żyło pod moją nieobecność?

Przed oczyma stanęła mi najpierw Nora, po chwili zaś moja matka. Zamrugałam i zniknęły. Potem przypomniał mi się mój upadek na zboczu tudzież pociąg pędzący kilka cali przed moim nosem.

- Cicho tu było i spokojnie, proszę pani - odparłam.

- Rozumiem - rzecze milady.

Albo ton jej głosu, albo też sposób, w jaki na mnie patrzyła, napełnił mnie przeświadczeniem, że moja pani ma pełną świadomość, iż nie mówię jej prawdy.

- A nie bałaś się w nocy, sama, samiuteńka?

- Nie, proszę pani.

- A nie widziałaś się z nikim?

- Nie, proszę pani - odrzekłam. - I proszę proszę proszę, niechże się pani nie martwi. Ustaliśmy już przecie, że nie ma tu żadnego ducha i nigdy żadnego ducha nie było!

Milady przyglądała mi się przez moment dziwnym wzrokiem, po czym roześmiała się krótko.

- Chodziło mi o Hectora albo któregoś z parobków.

- O, przepraszam panią - mówię. - Nie... Nie widziałam się z nikim. To znaczy, przez chwilę widziałam Hectora, ale to wszystko.

I czym prędzej wybyłam z kuchni, żeby zanieść na górę bagaże.

Mosiężny kluczyk dalej tkwił w szufladzie biurka, a sama szuflada była zamknięta. Wyjęłam kluczyk i cisnęłam go pod łóżko, w samą porę, bo dokładnie w tej chwili do pokoju wpadła milady i zaczęła się rozpakowywać. Stałam przy niej przez moment, wpatrując się chmurnie w podłogę i kręcąc głową z dezaprobatą.

- Ileż tu kurzu! - mówię.

Zbiegłam na dół, wróciłam z miotłą. Jęłam zamiatać podłogę. Po kilku chwilach - co za przypadek! - znalazłam pod łóżkiem zaginiony kluczyk.

- Niech pani spojrzy - powiadam i unoszę kluczyk, zdumiona. - Oto zguba! Pewnie niechcący kopnęła go pani pod łóżko.

Z satysfakcją patrzyłam, jak milady rzuca się wręcz na kluczyk i chowa go do kieszeni. Jakaż była zadowolona! Teraz mogła otworzyć szufladę i wedle woli notować wszystko w Obserwacjach. Miałam nadzieję, że to uczyni. Wiedziałam, że pisząc, jest szczęśliwa.

Tego wieczora kolację jadłyśmy razem w kuchni, jak za dawnych czasów. Milady opowiadała mi o Edynburgu, o hotelowym pokoju, w którym czuć było gazem, o czarodziejskiej fontannie zasilanej elektrycznością i o dusznym przyjęciu, na którym pan James lizał włochaty zadek pośła Duncana Pollocka (moja pani ujęła to nieco oględniej).

W pewnym momencie ścisnęła mnie za rękę.

- Droga Bessy - powiada. - Wiem, ostatnio nie miałam dla ciebie zbyt dużo czasu, ale niebawem to się zmieni. Kiedy zainstalują wreszcie fontannę, James najpewniej pojedzie do Glasgow, być może nawet na dwa tygodnie. Rok temu wyjechał na cały miesiąc! Będziemy mogły więcej czasu spędzać razem.

- Tak, proszę pani.

- Poza tym od teraz chcę być z tobą bardziej szczerą. Wiesz... Jest coś, o czym ci nie mówiłam. To sekret, Bessy. Nikt o tym nie wie. Źle jednak czyniłam dotychczas, kryjąc się z tym przed tobą.

To zabawne, jakie myśli mogą najść człeka w takiej chwili. Najpierw poczułam pustkę w głowie. A potem wpatrując się w milady, stwierdziłam, że ma nieskazitelną cerę. Nawet włosy na skroniach rosły jej tak, jak powinny. Czy osoba tak cudowna mogła dopuścić się złego uczynku?

Milady wstała i przeszła się po kuchni. Po chwili wahania rzekła:

- Piszę książkę. Książkę o służących. Nie jest to powieść, tylko rozprawa teoretyczna na temat lojalności, posłuszeństwa i tak dalej. Zapewne domyślałaś się czegoś takiego, ponieważ wydawałam ci swego czasu dziwne polecenia.

Urwała, jakby czekała na mój komentarz. Nie wiedziałam, co powiedzieć, tedy po prostu kiwnęłam głową.

- Ta książka to tajemnica - ciągnęła milady. - Nawet mój mąż o niej nie wie. Gdyby wiedział, że piszę tę książkę... jakkolwiek książkę... mógłby naigrawać się ze mnie, a to by wszystko zepsuło. Lepiej tego wyjaśnić nie umiem. Zatem James o tym nie wie. Ja zaś podjęłam wielkie ryzyko, zdradzając się przed tobą, bo teraz wiesz coś, co będziesz mogła wykorzystać przeciwko mnie.

Znowu urwała i popatrzyła na mnie badawczo.

- Czy to wszystko, proszę pani? - spytałam.

- Wszystko?

- Czy pani książka to jedyna tajemnica?

Roześmiała się.

- No... Tak. A co? Jeszcze ci mało?

- Tak, proszę pani. To znaczy nie, proszę pani. Pomyślałam sobie tylko, że może zdradzi mi pani prócz tego jakiś inny sekret.

Właściwie sama nie wiedziałam, co mówię. Plotłam trzy po trzy, jak stara baba.

Milady podeszła do stołu i usiadła obok mnie.

- Czyż to nie piękne, Bessy? - powiada. - Znowu siedzimy tu razem. I znowu będziemy spędzać więcej czasu ze sobą. Nawet nie wiesz, jak bardzo za tym tęskniłam.

Powiedziała to tonem wesołym, ale jej oczy wyrażały wielki smutek. Jakże ja chciałam wyznać jej wszystko! Wyznać, że przeczytała jej *Obserwacje* i że odbyłam marsz tą samą drogą, którą na jej polecenie szła Nora. Chciałam powiedzieć, że niepotrzebnie oskarża się o śmierć tej dziewczyny. No ale żadnej z tych rzeczy wyrzucić z siebie nie mogłam, bo wyszłoby na jaw, że myszkowałam w jej rzeczach, a tego bałam się bardzo. Tym bardziej że dopuściłam się tego już dwukrotnie, złe ze mnie dziewczę, oj złe. To musi się skończyć. Przynależałam sobie: koniec z grzebaniem w nieswoich rzeczach. Postanowiłam też dokonać wyjątkowo długiego wpisu w swoim brulionie (zmyślnego po większej części, to jasne), aby tylko sprawić mej pani przyjemność.

Noc, podobnie jak poprzedzający ją dzień, była chłodna i bezchmurna. W głowie brzęczały mi setki myśli, ale w końcu zasnęłam. Gdy obudziłam się, ujrzałam za oknem błyszczący sierp księżycy zawieszony pod czworokątną gwiazdką, jedno i drugie jakby podświetlone od środka i przyszpilone do nieba jak kolczyki do ciemnego aksamitu. Z początku myślałam, że zbudziło mnie właśnie to jasne światło, jednak w pewnym momencie ciszę rozerwał przenikliwy gardłowy wrzask, niesamowity bezsłowny krzyk trwogi, który zatrzęsł całym domem.

Usiadłam na łóżku wyprostowana. Krzyk dobiegał z pokoju milady. Ucichł co prawda, ale z pewnością nie rozległ się po raz pierwszy, bo dźwięk ten już znałam, brzmiał jak echo czegoś już wcześniej słyszanego. Równie niepokojąca była cisza, która po krzyku nastąpiła. Siedziałam przez chwilę jak sparaliżowana, serce waliło mi w piersi jak młotem. A potem zerwałam się z łóżka i nie odziewszy się nawet, pobiegłam boso na dół, złęknioma o moją panią.

Zeskoczyłam właśnie z ostatniego stopnia, gdy drzwi do pokoju milady otwarły się gwałtownie, a ona sama wywlekła się z nich ciężko, ubrana tylko w nocną koszulę. Jej rozpuszczone, potargane włosy jakby stanęły dęba wokół poblądłej, ściągniętej strachem twarzy i szeroko otwartych oczu. Przypadła do mnie i wskazała otwarte drzwi. Trzęsła się tak mocno, że zrazu nie mogła wymówić słowa.

- Co się stało? - wyszeptalam. - Co się dzieje?

- Szszsz!... Szszsz!... Szszsz! - Myślałam, że mnie ucisza, ale po chwili zrozumiałam, iż usiłuje coś mi powiedzieć.

- Przrzrz... Przyszła! Ona przyszła! Ona tam jest!

Poczułam ciarki pod pachami. Przed oczyma stanęła mi postać z minionej nocy, postać co unosiła się niemal nad łóżkiem z tym strasznym wyrazem twarzy. Czyżby milady przysniło się to samo? A może naprawdę była to zjawa? Tym razem miałam pewność, że nie śpię. Tym razem mogłam sprawdzić, czym to coś było w rzeczywistości.

Milady chwyciła mnie za koszulę, ale nie mogła mnie powstrzymać. Wyrwałam się i wbiegłam do jej pokoju.

Sądziłam, że będzie tam ciemno, lecz ku memu zdumieniu przy łóżku paliła się lampka, a z odsłoniętego okna sączyło się światło księżycy. Od razu skierowałam wzrok na miejsce, w którym „ukazała” mi się Nora, niczego tam jednak nie dojrzałam. Powiodłam okiem po pokoju. Nikogo prócz mnie tam nie było.

Milady weszła niepewnie tuż po mnie i stała teraz przy drzwiach, wciąż drżąca na całym ciele. Wzięłam świecę i zerknęłam za zasłony, zajrzałam do szafy i pod łóżko. Nic, nic, nikogo. Wstałam.

- Nikogo tu nie ma, proszę pani - oświadczyłam. - Nie ma się czym przejmować.

Oczy rozszerzyły się jej, błyszczały.

- Jesteś pewna, Bessy?

- To tylko sen, proszę pani.

Wzięła głęboki oddech. Wypuściła powietrze.

- No ale... widzisz - mówi. - Ja wcale nie spałam.

Odwrociłam się właśnie, żeby odstawić świecę, lecz słysząc te słowa, znów szybko na nią spojrzałam. Podeszła do łóżka, usiadła. Na kołdrze leżała książka. Milady podniosła ją znacząco.

- Czytałam - powiada. - Księżyc jest dziś taki jasny, choć już małe... zauważyłaś? Uchyliłam zasłony, żeby wpuścić więcej światła. Bo wiesz, nie mogłam zasnąć. Czytałam przez jakąś godzinę. A potem, kiedy właśnie odwracałam kartkę, naszło mnie przekonanie, że ktoś

na mnie patrzy. Poczułam raptem z całą siłą, że jestem obserwowana. Nie było to uczucie przyjemne. Raczej przytłaczające. Uniosłam wzrok i...

W tym momencie skierowała wzrok na narożnik pokoju, na miejsce w pobliżu szafy. Ja również spoglądałam w tamtym kierunku. Niczego tam nie było. Mimo to zadrżałam.

- Uniosłam wzrok i... wtedy ją zobaczyłam!

Milady znieruchomiała, wpatrzona w ów punkt na końcu pokoju, jak gdyby dalej widziała tam to samo, co uprzednio. W świetle księżycy jej twarz składała się z samych wklęsłości i cieni. Wytrzeszczone oczy, rozwarte usta, ciemne otwory nozdrzy, zapadłe policzki.

- Kogo, proszę pani? - spytałam. - Kogo pani zobaczyła?

Spojrzała na mnie.

- Nie gniewaj się na mnie, Bessy - powiada - ale widziałam ją jak na dłoni, jak ciebie w tej chwili. To była Nora Hughes. Taka sama jak za życia.

Pokój zachwiał mi się pod nogami.

Opodal stał wyściełany taboret, na który teraz bezsilnie opadłam. Milady przygłodziła włosy, dalej się we mnie wpatrując. Po chwili odzyskałam mowę. Starałam się nadać swemu głosowi odcień lekkiego i beztrzeskiego.

- To na pewno był sen, proszę pani - powiadam. - Ale... Ale co ona robiła?

- Z początku nic - odparła milady. - Stała po prostu. Patrzyła na mnie.

- Czy wyglądała na zagniewaną?

- Na zagniewaną? Nie. Raczej na smutną. Okropnie smutną.

- A latarnia? Czy trzymała ją w ten sposób? - Uniosłam rękę w tym samym groźnym geście, którym Nora wystraszyła mnie ubiegłej nocy.

Milady zmarszczyła czoło.

- Latarnia? - mówi. - Ona nie miała żadnej latarni.

To mnie troszkę zbiło z tropu, bo zakładałam, że przyśnił się jej dokładnie ten sam sen co mnie.

- Jest pani pewna?

- Absolutnie - odrzekła. - Ponieważ zrobiła coś takiego. - Milady przestała gładzić włosy i wyciągnęła ku mnie ręce w geście błagalnym.

Siedziała w takiej pozycji jeszcze przez kilka sekund, po czym opuściła ręce i rzekła:

- Jej dłonie były puste, rozumiesz? Pamiętam to bardzo wyraźnie. To mi się niezbyt zgadzało z tym, czego się spodziewałam.

- A... A czy miała na sobie nocną koszulę? - spytałam.

- Nie. Była w różowej sukience w kratkę. Tej samej, którą miała na sobie... w chwili śmierci.

Ze świecy skapnął wosk. Milady odwróciła się i wbiła wzrok w płomień.

- A czy podeszła do łóżka? - spytałam.

Milady pokręciła głową.

- Nie. Zrobiła tylko ten jeden gest. A potem... potem najpewniej zakryłam twarz dłońmi, bo kiedy spojrzałam tam znowu, jej już nie było.

- Czy to wtedy pani krzyknęła?

- Krzyczałam? - Położyła drżącą dłoń na gardle. - Wiem, że się bałam, ale chyba odebrało mi głos. Miałam wrażenie, że się duszę. Nie mogłam oddychać. Zresztą widziałas mnie tam, na korytarzu. Nie mogłam z siebie wycisnąć ani słowa.

- Ale naprawdę słyszałam krzyk. Taki głośny, że zatrzęsł się dach. A czemu niby tu zbiegłam?

- Nie mam pojęcia - odparła milady. - Może to Nora krzyknęła, jak myślisz? Może to ona cię tu wezwała. - Uśmiechnęła się do mnie. Błyszczały jej oczy, jak wtedy gdy po upadku na strychu leżała zdjęta gorączką.

- Wydaje mi się, że to pani krzyczała, wcale o tym nie wiedząc, może przez sen. Może krzyczała pani przez sen.

Milady zerwała się z łóżka i posłała mi groźne spojrzenie.

- Przecież mówię, że nie spałam!

- Proszę pani - rzekłam, podnosząc się ze stołka. - Niech się pani rozejrzy, proszę. Nikogo tutaj nie ma. I nikogo tutaj nie było. To na pewno się pani przyśniło. Co jakiś czas każdy ma takie sny. Mnie zresztą też śniło się wczoraj coś takiego.

Milady znowu chodziła po pokoju, wielce podniecona. Teraz jednak zwróciła się ku mnie:

- Naprawdę? Co ci się śniło?

- Nic specjalnego, proszę pani. Sen jak sen. A pani pewnie zasnęła przy lekturze.

- Nie - upierała się. - Nie spałam.

Spieranie się z nią nie miało sensu. Czuję, jak ulatuje ze mnie energia.

- Niechże mnie pani posłucha - powiadam. - Po naszych głowach kołaczą się te bzdury o duchu. No właśnie: bzdury, nic więcej. Ponosi nas wyobraźnia, bo... - Zagryzłam usta, wstrzymałam oddech. Nic jednak nie mogło już mnie powstrzymać, słowa zaczęły wypadać z mych ust bez najmniejszego udziału woli, toczyły się jedno po drugim, niczym guziki z przewróconego stoika. - To byłam ja, proszę pani, przez cały czas, ja, żaden tam duch. To ja robiłam hałasy na strychu, to ja położyłam rękawiczki na pani łożku. To ja wypucowałam pani buty, cała reszta to też moja sprawka. Nawet ten napis w okienku na strychu. To jest również moje dzieło. Stanełam na palcach, żeby dosięgnąć, rozumie pani? Nigdy nie było żadnego ducha. I dzisiaj też pani ducha nie widziała.

Jak już zaczęłam, dalej szło z górki. Im więcej słów ze mnie wlatywało, tym większą czułam ulgę. Milady stała jak gromem rażona, wpatrzona we mnie z na wpół otwartymi ustami, podparta pod boki. Ruszały się tylko jej palce, zaciskając się i rozwierając jak jedno morskie zwierzę, którym kiedyś widziała w pewnej skalistej zatoczce.

- Niech mi pani uwierzy - powiadam. - Nie wiem, proszę pani, czemu to wszystko robiłam. Ja tylko myślałam, że pani mnie już nie lubi i... i chciałam zwrócić na siebie uwagę. Zresztą poszło mi aż za dobrze, bo sama też zaczęłam się bać. Ale żaden duch nie istnieje, proszę pani, to ja jestem tym duchem. A teraz może mnie pani zwolnić ze służby. Tylko proszę nie mieć mi niczego za złe. Nie skrzywdziłabym pani za nic w świecie i nigdy nie przebaczę sobie wszystkiego, com tu narobiła. Ale na tym to musi się skończyć.

Milady wolno uniosła rękę i ścisnęła nią nos, jakby miała wskoczyć do wody. Stała w tej pozie przez chwilę, zamyślona, zachmurzona, patrząc na mnie posepnie, taksując mnie wzrokiem. Trudno powiedzieć, jakie myśli przepływały jej przez głowę. Raptem puściła nos i wybuchnęła gromkim śmiechem.

- Już rozumiem, co ty tu knujesz - rzekła. - Mało brakowało, a byłabym uwierzyła. Przemiała i zmyślna z ciebie dziewczyna, ale obawiam się, że twój drobny podstęp... choć świadczy o dużej inwencji... nie zdał jednak egzaminu.

- Proszę pani, ja...

Uciszyła mnie ruchem dłoni.

- Bessy, ja wiem, co widziałam. Ona tu była! Stała, o, tam właśnie. Widziałam ją równie dobrze, jak widzę ciebie w tej chwili. Ja naprawdę nie spałam. Twierdzisz, że sama za to wszystko odpowiadasz, za napis w okienku, za rękawiczki i całą resztę. Ale nie powiesz mi chyba, że wykopałaś Norę z grobu, przebrałaś się w jej sukienkę, zakradłaś się tu i stanęłaś przede mną?

- Nie, proszę pani, to oczywiste, ja...

- Otóż to, rzecz jest oczywista. Bo za tym wszystkim wcale nie kryjesz się ty. Nie ty, tylko Nora. Od początku aż do teraz była to właśnie Nora.

Patrzyła na mnie z pobłażliwą sympatią. Miałam ochotę jej przydzwonić.

- To wszystko jest oczywiste - podjęła. - Doceniam twoją troskę o mój spokój, Bessy. Ale nie musisz niczego zmyślać. Ja już przestałam się niepokoić.

- Pani... przestała...?

- Owszem - odparła. - Do takiego doszłam wniosku. Nie ma się czym frasować. Przekonał mnie wyraz jej twarzy. Zrozumiałam narreszcie to, co winno być oczywiste od samego początku. Ona nie chce nas skrzywdzić. Jakżeby Nora mogła komukolwiek wyrządzić krzywdę? Ona nie skrzywdziłaby muchy. Podejź no, Bessy, spójrz tylko.

Ustawiła mnie w taki sposób, że odbicia nas obu były widoczne w lustrze. Milady, z przygładzonymi włosami, z symetrycznymi krzywiznami policzków i szczęki, stanowiła wzór dostojeństwa i opanowa-

nia. Gdy zaś przeniosłam wzrok na własne oblicze, ujrzałam twarz pobladłą, ściągnięte usta, oczy wybałuszone, włosy w nieładzie.

- Widzisz, Bessy? - rzecze milady. - To ty jesteś wzburzona, nie ja.

Nie mogłam nie przyznać jej racji. Wyglądałam na istotę wręcz przerażoną.

Nagle dech mi zaparło - w lustrze dostrzegłam stojącą w drzwiach postać, odzianą w ciemny płaszcz. Milady puściła moją rękę i odwróciła się szybko.

- Co ty wyprawiasz! - warknęła. - Zakradasz się jak włamywacz! Wystraszyłeś nas.

Pan James (on był to bowiem) ściągnął szal, który zakrywał mu dolną część twarzy. Posłał nam gniewne spojrzenie, po czym rozejrzał się po pokoju, jakby spodziewał się, że czai się w nim ktoś jeszcze. Upewniwszy się, że jesteśmy tam tylko my dwie, odprężył się nieco. Mówiąc, nie odrywał wzroku od żony, nawet wtedy gdy zwracał się do mnie.

- Nie było dorożki i musiałem iść pieszo całą drogę ze stacji - zaczął. - Wszedłem tu najciszej, jak umiałem, aby cię tylko nie niepokoić. Teraz widzę, że niepotrzebnie się starałem. Ty już bynajmniej nie śpisz. Ciekaw jestem wszelako, co wy obie robicie tutaj, marnując świece w środku nocy. Bessy, powinnaś spać w swoim pokoju. Nie wątpię, że przedłożysz mi wyjaśnienie.

- Tak, sir - odparłam. Rozpaczliwie szukałam wytłumaczenia, którym mogłabym osłonić mą panią. Do głowy wpadły mi tylko słowa: - Miałam zły sen, sir. - Jak tylko je wymówiłam, wiedziałam już, że zrobiłam błąd.

- Rozumiem. Zły sen. I przez ten sen zerwałaś się z łóżka, śpiąc jeszcze, zeszałaś po schodach i obudziłaś swoją panią. Dziwny to sen, przyznaję.

- Nie, sir - powiadam. - Ja się tylko okropnie wystraszyłam i zeszałam tu sprawdzić, czy z panią wszystko w porządku. To wszystko.

- Ciekawa opowieść - rzekł pan James. - Bez wątplenia potwierdzisz te słowa, Arabello.

Przez cały ten czas nie odrywał oczu od małżonki, ona zaś spoglądała na niego spokojnie.

- Obawiam się, James, że potwierdzić nie mogę - powiedziała z uśmiechem. - Przemiła Bessy próbuje oszczędzić nam zmartwień. Prawda jednak jest taka, że ktoś był w moim pokoju tej nocy.

Pan James wciągnął powietrze ze świstem.

- Ktoś - powiedział i znów jego wzrok prześliznął się po pokoju, by w końcu spocząć na milady. - Bądź tak dobra i wyjaśnij mi kto, moja droga.

Milady rozłożyła ręce.

- Nie znam się na tym - rzekła. - Wiem tylko, że była tu dzisiaj Nora.

- Nora - powtórzył wolno pan James. Być może zapomniał, o kogo chodzi. Tak przynajmniej milady zrozumiała jego reakcję, bo wyglądała na zirytowaną.

- Służąca - powiedziała. - Nasza była służąca. Poprzedniczka Morag.

- Ależ wiem doskonale, kogo masz na myśli - rzekł pan James. - Próbuję jedynie przetrawić tę informację.

- To z pewnością była ona - powiedziała milady. - Uniosłam oczy znad książki i ujrzałam ją, o, tam. - Wskazała wiadome miejsce. - Obserwowałam ją przez chwilę. Uczyniła błagalny gest, o taki, i zniknęła. Myślę, że ona wróciła, James. Nie może znaleźć spokoju i wróciła do nas. - Splotła dłonie w oczekiwaniu na reakcję małżonka.

Pan James pokiwał głową.

- Niezwykłe - rzekł. - Doprawdy niebывałe. Chciałbym dowiedzieć się jak najwięcej. Ale z tym można chyba poczekać do jutra. Pora już późna, a ja jestem bardzo strudzony. Arabello, moja droga, ty też musisz wypocząć. - Rzucił okiem w moją stronę - Możesz odejść, Bessy.

Możesz odejść. Dobry Boże, gdybym słysząc te słowa dostawała za każdym razem po funcie, wykupiłabym matce bilet na statek do samej Australii.

No ale musiałam to polecenie wykonać. Czyniłam to wprawdzie niechętnie, ale milady grzecznie zgasiła świecę i wsunęła się pod kołdrę, nie miałam tedy wyboru, trzeba było opuścić pokój. Oby tylko wszystko było dobrze z moją panią. Biedactwo! **Z** trudem znosiłam myśl, że zostanie tam sama, bo przecie znowu mógł najść ją strach. Przeszłabym tysiąc mil po rozżarzonych węglach, aby tylko móc ją chronić.

Ogarnia mnie trwoga

Pan James wstał o świcie. Kiedy zaniiosłam wodę do pokoju milady, on już tam był i mówił coś do niej cicho. Zapukałam do drzwi i krzyknęłam jak zwykle „Dzień dobry pani!”, ale gdym spróbowała wejść, pan James zatrzymał mnie szybko na progu, bodaj go licho wzięło. Bałam się tego spotkania. Podejrzewałam, że będzie się wściekać o te nowe historie z duchami.

- Dzień dobry, Bessy - rzekł głosem tak lodowatym, że mogłoby odmrozić mi nos.

Niemalże siłą odebrał mi dzbanek z wodą i postawił go na podłodze. Następnie z kieszeni kamizelki wyciągnął jakiś list i wcisnął mi go do ręki.

- Biegnij w te pędy do Snatter - powiedział. - I dostarcz to pod wskazany adres.

Krew mi zastygła, gdy zobaczyłam, że adresatem jest McGregor-Robertson. Próbowałam zajrzeć do pokoju.

- To do doktora, sir? Czy milady dobrze się czuje?

- O tak - odparł. - Wydaje mi się jedynie, że lekarz powinien rzucić na nią okiem. Ostrożności nigdy za wiele. Nasza wyprawa do Edynburga mogła nadwerżyć siły mej żony.

- Naprawdę, sir? - powiadam. - A co jej dolega? Czy coś wydarzyło się w nocy?

- Nic się nie wydarzyło, Bessy - rzecze pan James. - Proszę cię tylko, byś poszła po lekarza.

Za drzwi dobiegł mnie głos milady:

- Czuję się dobrze, Bessy. Nie martw się o mnie. Zrób to, o co prosi cię twój pan. A potem, miejmy nadzieję, wrócimy do naszych codziennych zajęć.

Jej głos pobrzmiwał tylko zmęczeniem i pewną irytacją, a ja już byłam się czegoś gorszego.

- Dobrze, proszę pani - krzyknęłam.

Pan James ściągnął usta w uśmiechu. Gdy zamknął drzwi, zbiegłam na dół i popędziłam do Snatter.

Okazało się, że doktor gdzieś wybył, więc zostawiłam list pyzatej dziewczynie, która otworzyła mi drzwi, słabo co prawda kontaktowała, ale udało mi się chyba dać jej do zrozumienia, że winna przekazać list doktorowi, jak tylko wróci do domu. A potem pobieżyłam z powrotem do Zamku Haivers.

Gdy przechodziłam przez hol, zjrzałam do gabinetu i zobaczyłam pana Jamesa, który siedział przy biurku i coś pisał. Zauważył mnie i zakrył kartkę dłońmi, jak gdyby nie chciał, bym się dowiedziała, co też tam skrobie (musiałabym mieć oczyjak ryś, żeby odczytać pismo z takiej odległości).

Miałam już iść na górę, lecz zawahałam się i zatrzymałam przy drzwiach.

- Czy potrzebuje pan czegoś, sir?

- Nie. To wszystko.

- W takim razie zaniosę pani śniadanie - mówię.

- To nie będzie konieczne - on na to. - Żona śpi i nie należy jej teraz przeszkadzać.

- Ale, sir... Czy nie powinna wypić herbaty i przekąsić cokolwiek?

- Powinna - odparł pan James. - Dlatego też gdy ciebie nie było, obsłużyłem ją sam. Zapewne ciebie to zdziwi, Bessy, ale za czasów studenckich zdarzało mi się samodzielnie zaparzyć herbatę. Choć procedura parzenia jest dość zawiła i stanowi niemałe wyzwanie, bez trudu ją sobie przypomniałem.

Gdy kilka chwil później zjawiłam się w kuchni, panujący tam nieporządek przekonał mnie wręcz naocznie, iż zrobienie herbaty może istotnie stanowić nie lada wyzwanie.

Doktor przybył niecałą godzinę później. Przez jakiś czas obaj panowie konferowali w gabinecie, a potem poszli do milady. Próbowałam podsłuchać ich, stojąc pod drzwiami, lecz dobiegało mnie tylko przytłumione mamrotanie, przerywane chwilami milczenia. Wracając do kuchni, zauważyłam, że pan James nie zamknął drzwi gabinetu. Tam zaś, na biurku, leżała kartka, którą wcześniej zapełniał swym pismem. W innej sytuacji nie dbałabym ani krztynę o listy pana Jamesa. Teraz jednakże się zaciekawiłam, bo chciał przede mną ten list ukryć. Może pisał coś o milady i przyczynach jej przedwczesnego powrotu z Edynburga. Stąpając na palcach, weszłam do gabinetu.

Okazało się, że pan James pisał do pośła Duncana Pollocka, nie ciekawego, lecz przeczytałam ot tak, na wszelki wypadek. Zaczął od uniżonych podziękowań, pisał, że wraz z małżonką spędzili w Sali Zgromadzeń doprawdy przemiły wieczór. Potem mniej więcej przez lat pięćdziesiąt paplał coś o tej pierońskiej fontannie i zapraszał Pollocka na ceremonię otwarcia. Przeprosił go za niestawienie na spacerze, w którym moi państwo mieli wziąć udział wraz z panem pośłem i jego żoną. Tłumaczył, że milady dostała ataku migreny. Poza tym (jak to ujął) rozstrzygnął już w swoim sumieniu kwestię kandydowania do parlamentu i postanowił startować w wyborach. Na koniec wyraził nadzieję, że wydatki związane w wyborem nie okażą się nazbyt wysokie, i ośmielił się zapytać, ile kosztowała Pollocka jego własna kampania wyborcza.

Wszystko to było najzupełniej niewinne. Ciekawe, czemu krył się z tym listem przede mną. Być może nie szczycił się przypochlebnym tonem swej epistoły.

Miałam już odłożyć list na biurko, gdy usłyszałam kroki na schodach. Pan James i doktor pośpiesznie schodzili na dół. Byli już prawie w holu. Spanikowana, dałam susa zajedną z wyblakłych aksamitnych zasłon przy oknie. Liczyłam, że pan James szybko pożegna się z lekarzem i wróci od razu na górę, do żony. Z przerażeniem stwierdziłam jednak, że obaj panowie wchodzi do gabinetu i zamykają za sobą drzwi.

Najpierw odezwał się pan James.

- Czuj się, doktorze, jak u siebie - rzekł cichym i ochrypłym głosem.

Zaskrzypiało krzesło, na którym ktoś usiadł. Potem słyszałam skrobanie, pukanie, pocieranie, z początku nie mogłam się zorientować, co mogą te dźwięki oznaczać, ale niebawem coś lekko zgrzytnęło i zasyczała zapalniczka, wszystko to zatem wiązało się jakoś z zapalaniem fajki. Następnie dały się słyszeć odgłosy pykania i wciągania dymu do ust. Po chwili skrzypnęło drugie krzesło i, tym razem już bardzo wyraźnie, odezwał się pan James.

- No, doktorze - powiedziała. - Co o tym wszystkim myślisz?

Słowa te nieco zbiły mnie z tropu, a to dlatego, że z ust pana Jamesa po raz pierwszy padło autentyczne pytanie. Uznał zapewne, że nie musi kryć się z wahaniem w obecności innego mężczyzny, będącego przy tym jego przyjacielem i lekarzem zarazem.

Stwierdziłam, że przyciskając głowę do narożnika okiennej wnęki, mogę podejrzeć obu panów przez szczelinę między zasłoną a ścianą. Siedzieli naprzeciw siebie przy kominku. Widziałam obydwie twarze, pana Jamesa tak bardziej z profilu. Doktor siedział odchylony do tyłu, wpatrzony w sufit. Pałac fajkę, zastanawiał się nad zadaniem mu pytaniem.

- Ten incydent w Edynburgu - odezwał się wreszcie. - Kiedy to się zdarzyło? Wczoraj, tak?

- Owszem - odparł pan James. - Planowaliśmy dłuższy pobyt w mieście, ale... gdy rozmawiałem z tym Knoxem, ona po prostu zniknęła z hotelu i znalazłem ją dopiero tutaj. Jeśli zresztą zważyć na wszystko, co zaszło w biurze zatrudnienia służących, to tak czy inaczej obstawałbym przy jak najrychlejszym powrocie do domu.

- A więc dopiero wczoraj zachowała się w sposób dziwny - powiedział McGregor-Robertson. - Jednakże obecnie nie chce o tym rozmawiać i nie przyznaje się do niczego.

Pan James kiwnął głową. Obaj przez chwilę milczeli, pykając swe fajki. Nie muszę mówić, że stałam jak na szpilkach.

W końcu odezwał się pan James.

- Zauważyłeś pewnie, Douglas, że kiedy o tym opowiadałem, udawała, że mnie nie słyszy.

- Tak... Albo kręciła głową ze śmiechem, jakbyś to ty cierpiał na urojenia. Być może jednak ona nic nie pamięta, James. Może również do tego sprowadza się nasz problem.

- Nie jestem pewien. Myślę, że ona wszystko pamięta i tylko udaje, że nic się nie stało, ze wstydu, z zakłopotania. Nie chce przyjąć do wiadomości, że traci nad sobą kontrolę i zachowuje się nienormalnie.

- A pytania, które zadawała dziewczynom... Czy wiesz już, do czego w ten sposób zmierzała?

Pan James pokręcił głową.

- Nie - odparł. - Tego chyba nawet Knox nie wie. A jeśli wie, to o tym nie wspomniał. Wiemy tylko, że były to pytania natury intymnej.

- W takim razie - rzecze doktor - z jednej strony mamy sekwencję zdarzeń, które miały miejsce w Edynburgu, zdarzeń potwierdzonych przez ciebie tudzież inne godne szacunku i zaufania osoby, jak na przykład rzeczony Knox. Zgodne z tą relacją Arabella zachowywała się w sposób bezsprzecznie dziwaczny, niezrozumiały i niepokojący dla otoczenia.

- Tak jest istotnie.

- Wydarzeń tych dziś nie pamięta bądź też świadomie się ich wypiera. Z drugiej natomiast strony mamy ową rzekomą zjawę w jej pokoju, którą pamięta i której się nie wypiera. Ba, ona wręcz upiera się gorliwie, że zjawą się jej naprawdę ukazała, i to wbrew wszelkim racjonalnym wytłumaczeniom.

- Ta zjawą przybrała postać Nory Hughes.

- Ano tak - rzekł doktor i po chwili milczenia dodał: - Diabli niech wezmą tę dziewczynę... Da Bóg, już o niej nie usłyszymy.

Była to uwaga tak dziwna i nieoczekiwana, że nie wiedziałam, co o tym myśleć. O czymże oni krucafuks mówili? Miałam nadzieję, że usłyszę coś więcej, ale panowie moje nadzieje zawiedli: pan James oddał się teraz intensywnemu marszczeniu czoła i gładzeniu podbródka, doktor zaś potarł zapałkę i przez kilka kolejnych chwil wypykał z siebie chmurę dymu.

- Moim zdaniem - odezwał się w końcu lekarz - trzeba rozważyć trzy możliwości. Wersja pierwsza, najmniej ze wszystkich prawdopodobna: zjawia naprawdę istnieje.

Pan James aż prychnął.

- Absurd! - rzekł. - Taką ewentualność możemy, doktorze, z góry odrzucić.

Lekarz uniósł dłoń w geście protestu.

- Zgadzam się z tobą, James. Musimy wszakże wziąć w rachubę każde wytłumaczenie, aby odrzucić te, które nie przystają do sprawy. Obydaj zatem wątpimy... poważnie wątpimy... w istnienie ducha.

- Zgadza się.

- Wersja druga: Arabella miała zły sen.

- Tak - potwierdził pan James.

Obaj panowie znowu oddali się rozmyślaniom i kopceniu swych fajek.

Po chwili jako pierwszy raz jeszcze odezwał się doktor:

- Twierdzi dość uporczywie, że bynajmniej wtedy nie spała. Gdy próbowałem podważyć jej słowa, wpadła w złość, czyż nie?

Pan James kiwnął głową.

- Owszem - powiada. - Jest o tym święcie przekonana.

- Wierzysz jej?

- Chyba tak - odparł pan James. I znów (raczej smutno) pokiwał głową.

- Możemy więc uznać - rzecze doktor - że Arabella nie spała, gdy w jej pokoju zjawił się ten nocny gość. Pozostaje nam zatem trzecia i ostatnia możliwość, czyli...?

Uniósł jedną brew.

Pan James wpatrywał się w niego z kamiennym wyrazem twarzy.

- Arabella zwariowała - powiedział.

Doktor zamrugał, zdziwiony.

- O, to wniosek zbyt radykalny, James. Ja tylko chciałem powiedzieć, że w wersji trzeciej i ostatniej Arabella wytworzyła rzeczoną zjawę we własnej imaginacji i uczyniła to na tyle przekonująco, iż sama w nią uwierzyła.

- Tak - rzekł pan James, po czym, zrezygnowany już raczej, dodał:
- A czy nie znaczy to, że zwariowała?

- O, bez wątplenia! - wykrzyknął lekarz (trochę nazbyt pogodnie, jak na mój gust, ale poniósł go widać zachwyt dla własnej błyskotliwości). - Pytanie brzmi: jak poważna jest jej choroba? Czy to jedynie chwilowe zaćmienie umysłu? A może przypadek trwałego szaleństwa? Mam wiele książek i pism na ten temat. Coś dzieje się w mózgu, następuje być może nagły przypływ krwi, i taki człowiek przechodzi całkowitą transformację. Widzi przed sobą własną dłoń, ale nie wie, jak ją nazwać. Robi się gwałtowny i wulgarny, choć przedtem był łagodny jak baranek. Albo też widzi rzeczy, których nie widzi nikt inny. Jaszczurki, ropuchy, stworzenia nie z tego świata. Czasami trwa to zaledwie kilka dni, a czasem utrzymuje się do końca życia.

Pan James siedział na swoim krześle, przygnębiony. Jego twarz przybrała barwę popiołu, a całe ciało było napięte i sztywne. Przez moment myślałam, że zgniecie główkę swej fajki.

- Trudno mi w to wszystko uwierzyć - odezwał się w końcu. - Ale dlaczego to stało się teraz?

Lekarz wydał dolną wargę.

- Ta przekłeta historia z Norą wydarzyła się minionego lata, prawda? Może to jakaś opóźniona reakcja. Nie wiem, jaki to może mieć związek z dziewczynami w biurze zatrudnienia służących. Niewykluczone że to jedynie zbieg okoliczności. - Urwał, by popykać z fajki.

A mnie znowu paliła ciekawość. Cóż to za biuro zatrudnienia? O jakie tu chodzi dziewczyny? I co doktor miał na myśli mówiąc „przekłeta historia z Norą”?

Czemu miałyby się on irytować tym, że służąca jego przyjaciela wpadła pod koła pociągu?

McGregor-Robertson wyprostował nogi i westchnął.

- Aby dowiedzieć się, czy jest to chwilowe zaćmienie umysłu czy może sprawa bardziej przewlekła, musimy po prostu cierpliwie ją obserwować.

Pan James przyglądał mu się z niespokojną uwagą.

- Nie sugerujesz zatem - rzeki po chwili - że mamy ją... oddać do zakładu dla obłąkanych?

Doktor pokręcił głową.

- Nie na tym etapie. Taki krok byłby odrobinę przedczesny. Wszak jutro rano Arabella może obudzić się z doskonałą jak wprzódę pamięcią, bez żadnych już halucynacji.

- Istnieje taka możliwość - przyznał pan James. - Masz rację, to oczywiste.

Do tej pory siedział wyprostowany, teraz jednak z wyraźną ulgą zagłębił się swobodnie w swym krześle. I ja mu się krucafuks nie dziwię! Na myśl o milady w przytułku dla obłąkanych chwyciłam kawałek zielonej aksamitnej zasłony i mięłam go w dłoni nerwowo.

- Poza tym - rzecze doktor - metody stosowane w takich zakładach nie należą do szczególnie wyrafinowanych. Odosobnienie, spokój, odcięcie od bodźców zewnętrznych. Takie metody możemy zastosować również tutaj w najbliższych dniach lub tygodniach i zobaczymy, jaki przyniesie to efekt. Istnieje nadto kilka innych środków terapeutycznych, które możemy tu wypróbować.

Podniósł się z krzesła i spojrzął na swój zegarek z dewizką.

- Czas na mnie - powiada. - Muszę jeszcze iść do Smoller i rzucić okiem na Stefcia Sumkę. Podobno coś mu rośnie na głowie. Nie stwierdzono jak dotąd, czy jest to czyrak, czy może rogi. Jak już się z nim uporam, zbiorę książki, o których ci wspominałem, i przyniosę je tutaj. Przejrzymy jej wspólnie, co ty na to? Może znajdziemy tam jakieś wskazówki co do dalszego trybu postępowania.

- Doskonałe! - rzekł pan James, który również szybko podniósł się z miejsca. Ku memu najgłębszemu przerażeniu pociągnął teraz za sznurek od dzwonka. Z odległej kuchni dobiegło słabe brzęknięcie, po którym nastała głucha cisza. Cofnęłam się w cień i straciłam z oczu obu panów, wcześniej widocznych przez szczelinę między zasłoną a ścianą.

- Muszę, Douglas, powiedzieć - rzekł pan James ściszym głosem - że byłbym ci niezmiernie wdzięczny, gdybyś nie wspominała o całej tej sprawie naszemu przyjacielowi z plebanii. Liczę na wsparcie jego brata w wyborach, a mam obawy, że nic by z tego nie wyszło, jeśliby

doszły go jakieś słychy. Staruszek zawsze wścibia nos w cudze sprawy, toteż o wiadomej osobie powinno się w miarę możliwości jak najmniej przy nim wspominać. Po co nam kolejny problem?

- Nie ma obawy - odrzekł doktor. - Sam już taki wniosek wysnułem.

„Wiadoma osoba”. Dziwny to sposób mówienia o żonie, pomyślałam. A może pan James miał na myśli Norę?

Nie starczyło mi czasu na dłuższe rozważania, ponieważ w oddali ponownie zabrzączał dzwonek, tak samo cicho jak wprzód.

- Do licha z taką służącą! - zniecierpliwił się pan James. - Gdzież ona jest?

Wyobraziłam sobie, że wychodzę nagle zza zasłony - tratatata! - i ujawniam swoją obecność. Wizja ta żywo stanęła mi przed oczami i prawie żem pomyślała, iż stało się tak w istocie. Na szczęście pan James zniecierpliwił się jeszcze bardziej. Usłyszałam, jak otwiera drzwi, pewnie po to, by wyrzucić do holu i sprawdzić, czy już idę.

- Bóg jeden wie, gdzie się ona podziała - rzekł po chwili. - Sam zatem odprowadzę cię, Douglas, do wyjścia, dobrze?

- Ależ oczywiście - odparł McGregor-Robertson. - A tak swoją drogą, jak ci się podobało Obserwatorium Shorta?

- Nie bardzo - rzekł pan James. - Nie zasługuje na taką renomę.

Słyszałam, jak idąc przez hol, wymieniają się jeszcze pożegnalnymi uprzejmościami. Doktor obiecał, że zjawi się tutaj później, i wyszedł. Wstrzymując oddech, czekałam na to, co teraz zrobi pan James. Z początku było zupełnie cicho, pewnie stał zamyślony przy frontowych drzwiach. Po chwili jego kroki rozległy się w holu, a później na schodach. Odetchnęłam z ulgą. Wkrótce potem mogłam opuścić swoją kryjówkę i pobiec cichutko do kuchni, wielce rada, że mnie nie zde-maskowano, albowiem w przeciwnym razie rychło dobiegłby kresu mój pobyt w Zamku Haivers, moja obecność przy milady.

Ja zaś miałam przeczucie, że będę jej teraz potrzebna nawet bardziej niż dotąd.

W Edynburgu milady zachowywała się dziwnie, tyle zdążyłam zrozumieć, a miało to coś wspólnego z dziewczynami w biurze zatrudnienia służących. Co ona jednak takiego zrobiła? I czy miało to związek z *Obserwacjami*? Ciekawiło mnie to okropnie. No a uwagi obu panów na temat Nory? Czy naprawdę jej śmierć i obecne zachowanie milady łączyły się jakoś ze sobą? Ja oczywiście mogłam mieć podejrzenia tego rodzaju. Nie rozumiałam jednak, skąd taką wiedzę czerpią pan James i jego przyjaciel, bo przecie eksperymenty milady stanowiły jej prywatną tajemnicę. Miałam nadzieję, że podsłuchując zdobędę jakieś użyteczne wskazówki, ale rozmowa obu panów pogłębiła jedynie moją konfuzję.

Kazano mi nie zakłócać spokoju milady, wskutek czego nie widziałam się z nią przez cały poranek. Mniej więcej o jedenastej zjawił się znowu McGregor-Robertson, który przyniósł ze sobą skórzaną teczkę z książkami. Pan James kazał mi zaparzyć dzbanek kawy, po czym obydwaj panowie udali się do gabinetu, zapalili swe fajki i zasiedli do lektury. Miałam nadzieję, że uda mi się spędzić choć chwilę z milady, kiedy w południe niosłam jej jedzenie, lecz na nadziejach się skończyło. Weszłam na górę cicho jak kot, ale jak tylko zapukałam, na progu ukazał się doktor i wyjął mi tacę z rąk. Podziękował mi szybko i ruchem stopy zamknął za sobą drzwi. Nie dane mi było nawet spojrzeć na moją panią.

Zimny posiłek obaj panowie spożyli w gabinecie. Potem pan James wyszedł na moment, żeby rozmówić się z parobkami. Kwadrans po pierwszej wezwał mnie dzwonkiem, a gdy już szłam przez hol, powitał mnie w drzwiach gabinetu.

- Bessy - powiada. - Musisz jechać do Bathgate.

- Sir?

Mój głos pobrzmiwał zdziwieniem, a to dlatego że prośba była niezwykła. Gdy wcześniej miałam wybyć gdzieś sama, nie było to dalej niżli do Snatter. Pan James mógł o tym nie wiedzieć, gdyż swe polecenie sformułował tonem dla siebie typowym.

- Trzeba, żebyś kupiła parę rzeczy w aptece - rzekł. - Bocheniek cię podrzuci. Sam musi załatwić coś w mieście i potem odwiezie cię

z powrotem. Oto lista sprawunków. - Uniósł złożoną kartkę, lecz nie podał mi jej jeszcze. - I, Bessy, rzecz najważniejsza. Zakazuję ci mówić o wszystkim, co ostatnio działo się z twoją panią. Jeśli ktokolwiek cię o nią zapyta, powiedz, że ma się dobrze, ale ostatnio cierpi na migrenę i zalecono jej odpoczynek.

- Dobrze, sir.

- Z nikim o tym nie rozmawiaj, nawet z Bochenkiem. Rozumiem, że byłeś już wcześniej w aptece.

- Nie, sir.

- Nigdy nie byłeś w aptece - rzecze pan James. - Zdumiewasz mnie, Bessy. W takim razie pracownicy tego przybytku, jak się domyślam, nie znają cię wcale.

- Nie, sir. Wątpię. Tylko raz byłam w Bathgate.

- Tym lepiej. Z tego, co mi wiadomo, mamy w aptece otwarty kredyt, ale proszę cię, nie każ im wystawiać rachunku na Zamek Haivers i nie ujawniaj nazwiska kupującego.

Poklepał się po kieszeniach, zmarszczył brwi. Wrócił do gabinetu i usłyszałam, jak pyta doktora, czy ma może przy sobie jakieś drobne. Po chwili zjawił się w holu z garścią monet, które wręczył mi wraz ze wspomnianą kartką.

- Bocheniek nie powinien towarzyszyć ci w aptece - zaznaczył.

- Niech cię wysadzi przy hotelu, a ty potem pójdziesz do apteki sama, to niedaleko. Jeśli Bocheniek zapyta cię, dokąd idziesz i co masz kupić, czego się zresztą nie spodziewam, powiedz mu, że twojej pani pilnie potrzeba... pilnie potrzeba... - Zamachał ręką w powietrzu, niezdolny określić, jakiego rodzaju towar z Bathgate może być pilnie potrzebny jego żonie.

- Galonu i jedwabnych nici? - odpowiedziałam.

- Galonu i jedwabnych nici - powtórzył. - Doskonała sugestia. A gdy będziesz wracać ze sprawunkami, postaraj się, żeby wszystko było szczelnie zapakowane i niewidoczne dla innych.

- Postaram się, sir.

- Zakładam, że nie masz żadnych pytań.

- Nie mam, sir.

- No to szerokiej drogi. Bocheniek czeka już na ciebie cierpliwie przy stajni.

Bocheniek istotnie stał przy stajni, nie zdradził jednak po sobie, iż na mnie czeka, cierpliwie bądź nie, nie zaliczał się on bowiem do ludzi nadskakujących osobom mojego pokroju, co to to nie! Zauważył mnie wprawdzie, gdy wychynęła zza rogu domu, lecz nie dał tego po sobie poznać i dalej zaciskał popręg na koniu. Potem wskoczył do dwukółki i usiadłszy, wlepił wzrok w końskie uszy. Gdy pozdrowiłam go na powitanie, uraczył mnie obojętnym spojrzeniem - jakbym była suchą szczapą, którą można przeznaczyć na opał, lecz w sumie nie warto, szkoda zachodu - po czym znów przeniósł zadumany swój wzrok na konia.

Wierzajcie mi, wolałabym raczej siedzieć na ławce dla ładacznic w kościele niż dzielić wąskie siedzisko z Bochenkiem, nie miałam jednak wyboru, musiałam słuchać pana Jamesa. Przez całą drogę do Bathgate poczyniłam może ze dwie próby nawiązania rozmowy z moim woźnicą, lecz wszystko, co dobywało się z ust Bochenka, posiadało konsystencję ciekłą i lądowało szybko na drodze, by błyszczeć tam potem milcząco przez czas jakiś. Porzuciłam więc wszelką nadzieję i jęłam studiować kartkę wręczoną mi przez pana Jamesa. Kamfora, ocet, senes i opium były mi znane, ale niektóre pozycje na liście widziałam po raz pierwszy: amoniak, proszek czerwiopećny, ipeka-kwana, sól z Rochelle, nie podobały mi się te nazwy. Wszystko to pewnie miała teraz zażywać moja pani. Oby tylko, myślałam, nie zaszkodziły jej te specyfiki.

Dreńczyło mnie to aż do Bathgate, aż do stacji dylizansów przy hotelu. Bocheniek zatrzymał tam naszą dwukółkę, zsunął się gładko z kozła i wskazawszy palcem pod swoje nogi, wymówił ze złością dwa słowa, pierwsze brzmiało „o”, drugie brzmiało „czwartej”. Dał mi tedy do zrozumienia, o której mam się później stawić w tym miejscu, i poczłapał gdzieś w swoją stronę. Zeskoczyłam z wozu i ruszyłam ulicą w tym samym kierunku, dojrzałam go jeszcze, jak znikał w najbliższej gospodzie. Nie miałam pojęcia, czy załatwia tam jakieś sprawy dla pana Jamesa, lecz poczynania Bochenka obchodziły mnie tyle co pchle odchody.

W aptecce zastałam jedynie aptekarza. Pomna próśb pana Jamesa, zachowywałam się dyskretnie i miałam mówić cokolwiek, wręczyłam po prostu listę potrzebnych medykamentów. Na szczęście aptekarz nie wykazywał najmniejszego zainteresowania moją osobą i bez słowa, nawet na mnie nie spojrzawszy, realizował zamówienie. Dwa gramy tego, uncja tamtego. Tu wysypał trochę proszku, tam przelał płyn z butelki do fiolki. Potem, na moją prośbę, zawinał osobno każde z lekarstw, by następnie stworzyć z nich jedną dużą paczkę. Wszystko to zajęło mu w sumie około dziesięciu minut.

Po wyjściu z apteki wróciłam przed hotel, Bochenka tam jednak nie było, a do czwartej została mi jeszcze prawie godzina. Opodal stało paru wyrostków, grali w kamienie i łypali na mnie okiem. Gdybym czekała w naszej dwukółce, to długo bym pewnie spokoju tam nie zaznała, postanowiłam więc wybrać się na przechadzkę. Opuściłam stację dylżansów i skierowałam swe kroki w stronę głównych ulic handlowych, po których w minionym tygodniu chodziłam razem z milady.

Z początku miałam zamiar pooglądać sobie witryny w sklepach, lecz w pewnym momencie wzrok mój zatrzymał się na kościelnej dzwonnicy, górującej nad kominami. I wtedy przypomniał mi się cmentarz. Nie należę wprawdzie do tych, co dla przyjemności szlajają się po grobach, ale im więcej o tym myślałam, tym większą miałam ochotę odwiedzić Norę w jej miejscu pochówku i zamienić słówko ze zmarłą. Powiecie, że jestem przesadna. Mimo to i ja, i milady naprawdę widziałyśmy coś w Zamku Haivers, i jeśli w istocie był to duch (a nie senny majak czy wytwór wyobraźni), to może warto było pogadać z tą idealną pannicą i, by tak rzec, u samego źródła złożyć zażalenie.

Postanowiłam zatem wnieść sprzeciw w kwaterze głównej, teraz musiałam tylko jakoś tam dotrzeć. Dzwonnica górowała nad dachami, więc manewrując po ulicach i uliczkach, zdołałam w końcu znaleźć drogę wiodącą na cmentarz. Przed kościołem stało parę straganów, kręciło się mnóstwo ludzi, jeździły furmanki i dwukółki. Wszłam przez bramę, pokonałam kilka schodków. Kiedy tam byłam poprzednio, padał śnieg i śledziłam milady, umknęło mi tedy wiele szczegółów otoczenia. Obecnie po śniegu nie został już ślad i byłam zupełnie

sama. Bez mroźnej pokrywy cmentarz przybrał inne zgoła oblicze. Prezentował się otóż nader ponuro: ścieżki były zaśmiecone i błotniste, nagrobki zaś brudne, nierzadko popękane i prawie bez wyjątku porośnięte bluszczem.

Wybrałam jedną ze ścieżek i zaczęłam brnąć przez błoto, kierując się ku odległej kwaterze przeznaczony dla katolików. Im bardziej oddalałam się od ulicy, tym większą dokoła czułam ciszę. Tego dnia nikt oprócz mnie nie nawiedzał tu grobów. Nic się nie poruszało, ptaki milczały, a jakieś niewątpliwie żywe stworzenia, szeleszczące gdzieś w podsyciu, nazwałam w myślach szczurami.

Dość szybko znalazłam grób Nory, który wyróżniał się spośród innych, bo był z białego marmuru. Zbliżając się do niego, stwierdziłam ze zdziwieniem i nawet pewnym niepokojem, że krokus, który milady ustawiła przed płytą nagrobną, został przez kogoś lub coś - jakby ze złością - przewrócony. Doniczkę rozbito, a ziemię (koloru zakrzepłej krwi) rozsypano. Cebulkę i płatki zdeptano. Mogły to zrobić jakieś miejscowe łobuziaki, ot tak, bez powodu, mają to wszak w zwyczaju. Mógł to też zrobić lis, widziałam bowiem podobne szkody poczynione przez lisy w ogródku warzywnym. Przyczyną mógł być także wiatr. Tak czy owak, na widok tych bezsensownych zniszczeń, i to właśnie w tym miejscu, poczułam ciarki na plecach. Rozejrzałam się lękliwie, ale patrzyły na mnie tylko nagrobki.

Krokusa nie dało się już ocalić, posprzątałam więc trochę. Zebrałam skorupki rozbitej doniczki i położyłam w stosiku na ścieżce. Następnie rozgrzebałam stopą ciemnoczerwoną ziemię, tak by wmieszać ją w trawę. Potem stanęłam nad grobem i próbowałam skierować myśli pod ziemię. Trumnę złożono w grobie kilka miesięcy wcześniej, więc pewnie się jeszcze nie rozpadła, co zaś tyczy się ciała, to wolałam powściągnąć wyobraźnię. Starałam się widzieć Norę świeżą i nienaruszoną, ubraną na biało, z zamkniętymi oczami i dłońmi złożonymi na piersi.

- Proszę cię, zostaw milady w spokoju - błagałam. - Nie należysz już do tego świata. Wybacz mi, jeśli zakłóciłam ci spoczynek, ale odejdz już i zostaw milady. To nie jej wina, że nie żyjesz.

Takimi i podobnymi słowami zaklinałam grób Nory, powtarzając je po kilka razy. Oczywiście wyobraźni widziałam, jak moje słowa przenikają ziemię i wpływają do uszu zmarłej, niby morska fala do muszli. Moja młodzieńcza przesądność może wydawać się śmieszna bądź głupawa, lecz byłam szczerze zdesperowana. Wyrwałabym sobie migdałki, gdyby miało to pomóc milady. A jeśli duch istniał naprawdę, to chciałam, by spoczywał w pokoju. Stałam tam jeszcze przez dobre sto lat, aż w końcu zaczęło się ściemniać i nogi zdrętwiały mi z zimna. Podniosłam więc swój pakunek i ruszyłam śpiesznie ku bramie.

A tam - o zgrozo! - kogóż ujrzałam? Otóż przy wejściu na cmentarz Poldek rozdawał te swoje pierońskie broszurki. Stragany przyciągnęły mały tłumek, a duchowny ten fakt wykorzystał. Metodę miał prostą: podchodził do ludzi, niby witał się z nimi, po czym w ostatniej chwili, miast uścisnąć im dłoń, wciskał do niej broszurkę i szedł do następnej ofiary. W większości przypadków jego strategia się sprawdzała. Niektórzy, podziękowawszy mu, chowali broszurę do kieszeni, a inni przez chwilę gapili się za odchodzącym pastorem, oszołomieni co nieco.

Nie miałam najmniejszej ochoty, żeby mnie dostrzegł i zaczepił, tedy zaczęłam się rozglądać za jakąś drogą ewakuacyjną. Płot okazał się wszakże za wysoki, a główna brama stanowiła tu chyba jedyne wyjście. Albo więc cofnę się w głąb cmentarza i odczekam, aż pastor sobie pójdzie, albo spróbuję przemknąć się niepostrzeżenie pod nosem tego starego skunksa. Ponieważ zapadał już zmierzch, dalsza bytność pośród nagrobków raczej do mnie nie przemawiała. Wzięłam głęboki oddech, przycisnęłam paczkę do piersi i ruszyłam w stronę bramy, nie spuszczać z oczu Pollocka. Ten ostatni narzucał się właśnie dwóm robotnikom w zakurzonych kombinezonach, którzy gadali ze sobą przy jednym ze straganów. Patrzyli na niego spode łba już wtedy, gdy do nich się zbliżał, a kiedy wyciągnął ku nim broszurkę, jeden z nich zaklął siarczyście i odszedł.

Ludzie zaczęli się gapić. Drugi z robociarzy wykrzyknął: „Won stąd! Ino chyżo! Weź se te swoje łokropne broszury! Nam ich nie trzeba! Tam nimo nic, co my by chcieli słuchać!”. Odpędził go jeszcze demonstracyjnym gestem i ruszył dostojnie za oddalającym się przyjacielem.

Pollock próbował zachować godność, mimo że wszyscy się nań gapiłi w chwili sromotnej klęski. Odwrócił się, przykleiwszy do ust sztuczny uśmiech, i wzrok jego natychmiast spoczął na mojej osobie, która starała się cichcem przemknąć przez bramę. Rzucił się na mnie jak tonący ku tratwie, uniósł dłoń i wręcz przepłynął na drugą stronę ulicy. Nie miałam odwrotu. Zatrzymał się kilka stóp ode mnie, podciągnął spodnie i spojrzał na mnie z tym swoim pełnym samozadowolenia uśmieszkiem, a niech go.

- Aha-ha! - zaczął jak zwykle. - Biddy, zgadza się?

- Bessy, sir - wycedziłam przez zęby.

- Aha-ha! - Zerknął jeszcze na cmentarz za moimi plecami, a potem jego sprytne oczka znowu przeniosły się na mnie. - A cóż my porabiamy w Bathgate? - powiada. - I do tego na cmentarzu. Nie jesteś przecież hieną cmentarną, aha-ha!

- Nie jestem, sir - odparłam. - Robiłam sprawunki dla mojej pani i... no... myślałam, że pójdę skrótem... ale... z drugiej strony nie ma wyjścia i... tak... musiałam wrócić tą samą drogą...

Ta nieporadna przemowa zirytowała mnie samą, bo nie chciałam się wcale przed nim tłumaczyć. Z drugiej strony pan James kazał mi dochować sekretu, mało tego, słyszałam nawet, jak prosi doktora, by nie wspominał o niczym pastorowi.

Pastor tymczasem przypatrywał się bezwstydnie paczce w mych dłoniach i na pewno zachodził w głowę, co też może ona zawierać.

- Aha-ha!! - wykrzyknął. - A jak się miewa twoja pani?

- Bardzo dobrze, sir, znakomicie.

- Radjestem, słysząc te słowa. Aha-ha! Kiedym ostatnio ją widział, wydawała się trochę blada. Rozumiem, że nic jej nie dolega?

- Nie, sir. Jest zupełnie zdrowa.

- A twój pan? Kupuje od mego brata publiczną fontannę, nieprawdaż? Wiesz może, na jakim etapie jest teraz realizacja tych planów?

- Obawiam się, że nic na ten temat nie wiem, sir.

- Tak? Widać nie rozmawiają przy tobie o zagadnieniach tej miary. Tak, James to zdolny jegomość, pewien jestem, że pójdzie mu jak z płatką. Twój pan, Bessy, świetnie sobie radzi, i to bez niczyjej pomo-

cy... no, jeśli nie liczyć sporego spadku i nieruchomości, odziedziczonych po stryju lat temu wiele. Aha-ha! Ale ty wiesz o tym wszystkim, jak mniemam.

Badał mnie swymi chłodnymi oczkami. Nic nie mówiłam, więc on mówił dalej.

- I oczywiście wiadomość najnowsza: James, jak rozumiem, ma kandydować do parlamentu. Co ty na to, Bessy? Sądziś, że twój chlebobdawca okaże się dobrym posłem, hm? - I znowu spojrzął na mnie przebiegle.

- Nie znam się na polityce, sir. I proszę wybaczyć, ale na mnie już czas. O czwartej czeka mnie powrót do domu.

- A tak - powiedział i przechyliwszy na bok głowę, zerknął raz jeszcze na mój pakunek, patrzył jak kura, co chce go dziobnąć. - Sporoś tego nakupowała, aha-ha! A czy aby twój pakuneczek nie jest dla ciebie nazbyt ciężki?

- Nie, sir.

- Ale jest bardzo nieporęczny. - Liczył widać, że wypowiadając takie uwagi, skłoni mnie do ujawnienia zawartości pakunku.

- Jakoś sobie z nim radzę, sir.

Ostentacyjnie zmarszczył brwi i pomachał na mnie palcem.

- Mam nadzieję - powiedział - że nie wydajesz całych poborów na fatałaszkę i świcidelkę. Spinki do włosów, wstążeczki do czepka i tym podobne. A może kupowałaś coś dla swej pani?

Najwyraźniej nie dawał za wygraną. Wiedziałam, że nie pozwoli wcisnąć sobie bajeczki o galonie i niciach, paczka była na to za duża.

- To nic takiego, sir - mówię. - Tylko trochę materiału i guzików.

- Materiał i guziki, co? - Pokręcił głową i westchnął przez nos. - Jedwabie i aksamity, jak mniemam. - Niech no popatrzę... - Wyciągnął swoje broszurki, wybrał z nich jedną i podał mi ją, mówiąc: - Proszę uprzejmie. - Rzecz nosiła tytuł *Zgorszenie* i stanowiła atak na wszystkich, co nazbyt długo przyglądają się sobie w lustrze.

- Czy hołdujesz próżności, Bessy? Podejrzewam, że tak. Wobec tego przyda ci się pouczająca lektura.

Próbowałam oddać mu broszurę, ale bronił się zawzięcie.

- Nie, nie - mówił. - To dla ciebie. A jak ci idzie czytanie publikacji, które sprezentowałem ci ostatnio?

- Nie zdążyłam się jeszcze z nimi zapoznać - odparłam. (Kłamstwo. Albo od razu je wyrzuciłam, albo pokryłam marginesy różnymi obelżywymi słowami, aby następnie je wyrzucić).

Przyglądał mi się uważnie.

- A czy ty aby na pewno umiesz czytać? - rzekł jakby do siebie.
- Zaczynam poważnie w to wątpić.

- Czytać potrafię bardzo dobrze. - Czuję, jak płoną mi policzki.
- A teraz, jeżeli pastor pozwoli...

On jednak zatrzymał mnie znowu, tym razem kładąc mi dłoń na ramieniu.

- Czekaj no chwilkę - powiada. - Może cię to zdziwi, Bessy, ale dostrzegam w tobie pewien potencjał. Aha-ha! Różnisz się bardzo od innych dziewcząt w twoim wieku i twojego wyznania. Posłuchaj mnie zatem: jeśli chcesz, wyjaśnię ci znaczenie tych tekstów, odpowiem na twoje pytania. Chciałbym też przy okazji dowiedzieć się czegoś więcej o twoim wcześniejszym życiu, zanim trafiłaś do Zamku Havers. Wiem, że byłaś gdzieś gospodynią...

Otwarłam usta, by zaprotestować, lecz on mi przerwał:

- Nie, nie! - Wyrzucił ręce do góry. - Na razie jeszcze niczego mi nie mów.

Jakbym krucafuks żywiła taki zamiar!

- Z tym poczekamy do twoich odwiedzin na plebanii - oświadczył pastor. - Który dzień najbardziej ci odpowiada?

- Raczej nie będę mogła złożyć panu wizyty, sir.
- Dostałaś wychodne, by odwiedzić pana Flemynga w Thrashburn, prawda?

- Owszem, sir - odrzekłam, nie wiedząc czemu zakłopotana.
- W takim razie - mówi on - jeżeli możesz chodzić do Flemynga, to możesz odwiedzić i mnie, tym bardziej że cel wizyty ma być tutaj edukacyjny.

- Musiałabym poprosić o zwolnienie z obowiązków - powiadam.
- A nie wiem, kiedy je dostanę. Mamy ostatnio dużo pracy.

- Posłuchaj mnie, Bessy - on na to. - W czwartkowe popołudnia zawsze jestem w domu dla gości. Na tym możemy poprzestać. Możesz poprosić o wychodne na jeden czwartkowy wieczór. Nie musisz nawet nikomu mówić, że wybierasz się do mnie. Swoją drogą byłoby lepiej, gdybyś nikomu o tym nie wspominała. Bo mogłabyś przecież się rozmyślić.

- Rozmyślić się, sir?

Wyglądał na zdziwionego.

- Rozmyślić się co do zmiany wyznania. Aha-ha!

Obdarzył mnie promiennym uśmiechem.

Przez moment stałam, zupełnie oniemiała, aż w końcu rzekłam:

- Do widzenia, sir. Muszę już iść.

Dygnęłam ledwie zauważalnie, po czym ruszyłam w swoją stronę. Gdy obejrzałam się za siebie, pastor rozdawał już swoje broszurki. Za pierwszym rogiem wrzuciłam *Zgorszenie* do czyjejś skrzynki na listy.

Pana Jamesa i doktora zastałam w gabinecie, gdzie dusili się w kłębach dymu. Odbierając ode mnie paczkę z lekami, pan James powiedział, że doktor zostanie u nas na kolację, którą mam jednak podać dopiero o wpół do ósmej, gdyż obaj panowie chcieli wpierv uporać się z lekturą, potem zaś wybrać się na spacer.

- Trzeba nam rozprostować kości - usłyszałam. - Siedzimy już tutaj cały boży dzień.

- Dobrze, sir - odrzekłam. - A co z milady?

- Nie będzie nam towarzyszyć.

- Nie, sir, ja tylko pytam o kolację. Czy milady zje z panami na dole?

Panowie spojrzeli na siebie porozumiewawczo. Po raz pierwszy zauważyłam, że lekarzowi łzawią oczy i że skóra wokół nich jest jakaś odbarwiona.

- Raczej nie - odparł pan James i odchrząknął. - Moja żona musi wypocząć. To jest, Bessy, bardzo ważne. - Wskazał gestem rozrzucone po pokoju książki. - Taki wniosek wysnuliśmy ze wszystkich tych lektur. Twoja pani niestety jeszcze tego nie rozumie. Dziś po

południu, gdy ciebie nie było, kilka razy próbowała zejść na dół. W pewnym momencie stan jej nerwów sprawił nas w poważny niepokój.

Popatrzył na swego towarzysza, ten jednak wydawał się pochłonięty lekturą, a na jego twarzy malował się wyraz spokojnego skupienia.

- Musieliśmy w końcu - podjął pan James - dla jej własnego dobra zamknąć ją w pokoju, aby mieć pewność, że nie podejmie kolejnej takiej próby.

Wyglądała chyba na ciut przerażoną, bo położył mi dłoń na ramieniu i rzekł:

- Nie martw się. To tylko na krótko. Twoja pani musi odpocząć.

- No ale, sir, takie zamknięcie może jedynie pogorszyć jej stan.

- Nie, Bessy. - Pan James pokręcił głową. - Uwierz mi, to z pewnością jej dobrze zrobi. Odkąd zamknęliśmy drzwi na klucz, wydaje się wręcz spokojniejsza. Proszę cię teraz, byś mi obiecała, że jej stamtąd nie wypuścisz. Może będzie cię do tego namawiać, ale bądź, proszę, stanowcza.

Ani trochę mnie to nie ucieszyło, lecz obietnicę złożyć musiałam, aby publicznie było wiadomo, że wykonuję jego rozkazy. W przeciwnym razie mógł kazać mi się pakować. Poza tym oni mogli mieć rację. Milady chyba naprawdę potrzebowała wypoczynku, odniosłam bowiem wrażenie, że podbiła oko doktorowi.

Zresztą ja zrobiłabym to samo, gdyby próbował uwięzić mnie w pokoju.

Przez następną godzinę krzątałam się po kuchni, lecz nieustannie wycężałam słuch, czekając, aż obaj panowie pójdą wreszcie na ten swój spacer. W końcu cierpliwość moja została nagrodzona, bo dobiegł mnie głos zatraskiwanych drzwi frontowych. Było już ciemno, tedy nie mogli za bardzo oddalać się od domu. Bez chwili wahania popędziłam na górę i przycisnęłam ucho do drzwi pokoju milady. Słyszałam tylko bicie własnego serca. W pokoju musiała palić się lampa, bo gdy się schyliłam, w dziurce od klucza coś niewyraźnie migotało. Zwróciłam się do szczeliny między drzwiami a futryną.

- Proszę pani? Czy pani tam jest? Proszę pani?

Przez chwilę panowała głucha cisza. Potem dał się słyszeć skrzyp sprężyn w materacu i czyjeś niegłośne kroki. Przed dziurką przesunął się jakiś cień i na twarzy poczułam lekki chłodny wiew.

- To ja, proszę pani - rzekłam cicho. - Wszystko dobrze?

Odniosłam wrażenie, że milady szepnęła coś do siebie. I aż się wzdrygnęłam, gdy usłyszałam nagle jej głos przy samych drzwiach.

- Drzwi są zamknięte, Bessy - powiedziała. - Nie wejdiesz tu, jeśli nie masz klucza.

- Wiem, proszę pani. Ale to tylko chwilowe, tak sędzę, żeby pani mogła wypocząć. A czy pani odpoczywa? Czy pani czegoś potrzeba?

- Nie wiem co prawda, jak miałabym jej cokolwiek przekazać. Usiłowałam widocznie dodać jej trochę otuchy.

- Sama nie wiem - odparła grobowym głosem. Znów chwila ciszy. Zerknęłam przez dziurkę, ale było tam zupełnie ciemno, pewnie milady stała przy samych drzwiach. Po chwili, głosem równie przygnębiającym, rzekła: - Ja na nic nie zasługuję. Jestem złym człowiekiem.

- To absurd, proszę pani - powiedziałam. - Proszę nie mówić takich rzeczy.

- Jestem istotą złą, Bessy. I ciąży na mnie winna.

- Ależ skąd, proszę pani, to nieprawda.

W odpowiedzi usłyszałam głuchy śmiech.

- Wyzdrowieje pani na pewno - rzekłam i dodałam raźniejszym głosem: - A wie pani, że ucięłam sobie dzisiaj przechadzkę?

- Co takiego? - spytała, roztargniona.

- Ucięłam sobie przechadzkę, proszę pani, przez łąki, na północ. Szłam sobie i rozglądałam się naokoło i nagle, wie pani co, upadłam i potoczyłam się po zboczu.

Milady westchnęła.

- O czym ty mówisz, Bessy?

- O mojej przechadzce, proszę pani. Mówiłam właśnie, że szłam na północ przez pola i nagle stoczyłam się po jakimś zboczu. I nie zgadnie pani na co żem prawie upadła...

Za drzwiami coś zaszemrało.

- Proszę pani?
- Przepraszam... Mówiłaś, że...?
- Mówiłam, że pani nie zgadnie, na czym wyładowałam.
- Wolę się nawet nie domyślać - odparła milady, rozbawiona.
- Nie uwierzy pani. To były tory kolejowe!

Czekałam na jakąś reakcję, ale milady nic nie mówiła.

- Upadłam na tory, proszę pani. Na północ, patrząc od nas. Niemalże wpadłam na szyny. Przypadkiem zresztą. To nietrudne, proszę pani. Na szczęście nie jechał pociąg. Bo gdyby jechał, to kto wie, co mogłoby się wydarzyć. Ale nikt nie byłby temu winien, tylko ja sama. Zwykły przypadek, ot co.

Przerwałam, lecz nie przez brak reakcji ze strony milady, tylko dlatego że jęła ona mamrotać coś do siebie. Przywarłam do drzwi, by lepiej ją słyszeć.

- Czy pani coś powiedziała? - spytałam.

Mamrotanie raptem ustało.

- Mów dalej! - krzyknęła milady. - Oповідаłaś coś o torach.
- Tak, proszę pani, mówiłam właśnie, że nikt by wcale nie zawinił, gdybym wtedy wpadła pod pociąg. Tam powinien stać płot, to wina służb kolejowych...

Urwałam, ponieważ milady znowu (tym razem swoistym półszepcetem) zaczęła mówić do siebie. Przyłożyłam ucho do drzwi. Głos był wyraźny, lecz trudno było odróżnić poszczególne słowa. W pewnym momencie wydało mi się, że słyszę swoje imię. Potem na przemian: szept, cisza, szept, cisza. Tak jakbym słyszała jedną z osób biorących udział w rozmowie, jakby milady z kimś tam rozmawiała, z kimś, kogo słyszała tylko ona jedna.

Kiedym to sobie uzmysłowiła, poczułam ciarki na plecach. Na korytarzu było co prawda bardzo zimno, ale zadrżałam nie tylko z dojmującego chłodu. Niewymownie strwożona, przyklękłam cicho i przyłożyłam oko do dziurki od klucza. Ponownie ujrzałam migot lampy i zarys niektórych mebli, znaczyło to, że milady nie stała już przy drzwiach. Zmieniałam kąt widzenia, lecz nigdzie nie mogłam jej do-

strzec. Tymczasem mamrotanie nie ustawało, a jego źródło znajdowało się bardzo blisko.

- Kto tam jest? - wykrzyknęłam. - Kto tam jest oprócz pani?

Najpierw zapadła cisza. Potem coś zaszemrało, zaszurało i przed dziurką znowu przesunął się cień. I znów poczułam lekki chłody wiew i do oka wpadły mi drobiny kurzu. Oko łzawiło, tedy cofnęłam się, by je wytrzeć.

- Mówiłaś coś, Bessy?

- Z kim pani rozmawia? Kto tam jest oprócz pani?

Teraz rozległ się śmiech.

- To ty ciągle coś mówisz, Bessy - rzekła milady. - A powiedz now mi... Nie skaleczyłaś się przypadkiem, kiedy tam wtedy upadłaś?

- Hm... Nie, proszę pani. Nic mi się nie stało.

- Całe szczęście - powiedziała. - Dobrze, że jesteś cała i zdrowa. Nie rozumiem tylko, dlaczego robisz z tego taką aferę. Potknęłaś się, przewróciłaś i zobaczyłaś tory. Po cóż więc te wszystkie jeremiady? Zdumiewasz mnie, Bessy. Zazwyczaj twe opowieści są bardziej zajmujące i mają ciekawszą puentę.

Nie takiej reakcji oczekiwałam. Jak widać, milady nie powiązała jeszcze mojej przechadzki z marszem, który nakazała była Norze. Podjęłam kolejną próbę.

- Proszę pani? - mówię. - Czy zna pani tę ścieżkę, ścieżkę polami na północ?

Odsunęła się od drzwi, tak mi się przynajmniej zdawało. Potem dobiegło mnie znowu skrzywienie sprężyn w materacu. Najwyraźniej milady usiadła na łóżku. Zajrzałam przez dziurkę. W pierwszej chwili widziałam tylko cieniste zarysy mebli oświetlonych przez lampę. A potem nagle, jakby zupełnie znikąd, zjawiło się wpatrzone we mnie oko - oko, co wzrokiem dzikim i okrutnym przeniknęło wprost do mojej duszy.

Krzyknęłam i odskoczyłam od drzwi, prawie że kozła fiknęłam i wyładowałam po drugiej stronie korytarza, uderzając głową w ścianę. W tej samej chwili usłyszałam, jak otwierają się drzwi frontowe. Z dołu dmuchnęło mroźne powietrze, zgasła mi świeca i znowu wrzasnęłam.

Krzyki rozległy się też w holu, a po nich dudnienie śpieszących na górę kroków. Na suficie ukazały się rozhuśtane cienie, a tuż potem ujrzałam na schodach pana Jamesa wraz z doktorem, obaj trzymali lampy. Zawahali się, widząc, że leżę na korytarzu.

- Cóż tu, na Boga, się wyprawia? - krzyknął pan James.

W odpowiedzi wskazałam na drzwi. Mimo szoku, jakiego doznałam, odnotowałam dwa fakty: po pierwsze, pan James był tak poruszony, że znów użył formy pytającej, po drugie, ręka trzęsała mi się okropnie, jak u staruszki.

- Sir! - powiedziałam. - Myślę, że prócz milady jest tam ktoś jeszcze.

- Co takiego? - on na to. - Kto niby? Jak to możliwe?

Tyle pytań! Na które wszak nie mogłam mu odpowiedzieć, bo bałam się zdradzić z własnymi myślami. Pokręciłam głową i zadygotałam.

Pan James burknął coś, zirytowany, podszedł do drzwi i z kieszeni wyciągnął klucz. Doktor pomógł mi wstać, a następnie zajął miejsce za plecami swego towarzysza. Po kilku sekundach pan James otworzył drzwi i wraz z lekarzem wpadł do pokoju. Poczłapałam za nimi, ledwie stawiając kroki ze strachu.

W izbie milady panował spokój, tak się przynajmniej zdawało, ciszę mąciły tylko oddechy obu zasapanych mężczyzn, stojących na środku pokoju i rozglądających się chmurnie dokoła. Milady siedziała na łóżku, na jej ramionach spoczywał szal, na kolanach trzymała jakąś robótkę. Patrzyła na nich lekko jedynie zdziwiona.

Prócz niej nikogo w pokoju nie było.

- Moi panowie - powiada. - Czy coś się stało?

Złowieszcze nowiny

Pan James i doktor szybko przetrzasnęli cały pokój, ale nikogo nie znaleźli. Milady tymczasem siedziała na łóżku, najwyraźniej rozbawiona nagłym wtargnięciem obydwu mężczyzn. Podczas gdy oni przeszukiwali każdy zakamarek, ja próbowałam pochwycić wzrok mojej pani, ona wszelako unikała mego spojrzenia. Dopiero kiedy pan James kazał mi zejść do kuchni i zająć się kolacją, milady, nieopstrzeżenie dla obu panów (którzy stali plecami do niej), mrugnęła do mnie i w konspiracyjnym geście położyła palec na ustach, co troszkę mnie stropiło.

Jeszcze zanim podałam kolację, panowie odwiedzili mnie w kuchni. Zamknęli za sobą drzwi i zasypali mnie pytaniami. Kto wygrał wyścigi Derby w roku 46? Jak się nazywa stolica Hiszpanii? Czy sześciu mężczyzn wykopie rów w trzy godziny? No, niezupełnie takie były te ichnie pytania. Chcieli się otóż dowiedzieć, czemu mi się zdawało, że prócz milady w jej pokoju ktoś jest. Dlaczego krzyknęłam i upadłam? I skąd ja się tam w ogóle wzięłam? Odparłam, że poszłam sprawdzić, czy milady dobrze się miewa. Opowiedziałam też o szeptach i oku, które ujrzałam w dziurce od klucza. Mogłam tak gadać do ściany, bo oni mieli już swoją interpretację. Owe szepty, orzekli, to milady mówiąca sama do siebie. No i to było jej oko. Albo wszystko to sobie sama wyfantazjowałam.

Musiałam zaprotestować:

- Ale ja przecie słyszałam, jak ona odchodzi od drzwi i siada na łóżku.

- Wróciła pod drzwi - odparł doktor - a tyś tego bynajmniej nie usłyszała. Albo też oddaliła się mniej, niż myślałaś. Pochyliła się tylko, by na ciebie spojrzeć.

Patrzyli na mnie ponuro. Wiedziałam, com ujrzała przez dziurkę, ale nie chciałam się z nimi kłócić, bo najwidoczniej winili mnie za tę całą awanturę.

- Proszę wybaczyć, sir - powiedziałam. - Pewnie coś mi się przywidziało.

Przywidziało! Tere-fere kuku!

Pan James kiwnął głową.

- No dobrze, Bessy - powiada. - Ale musisz od teraz bardziej uważać. Właśnie takie zdarzenia najgorzej wpływają na stan nerwów twojej pani. Jeżeli bowiem ona uważa, że również ty zobaczyłaś owego ducha, to jej halucynacje stają się tym bardziej wiarygodne dla niej samej. Byłoby dobrze, gdyby kontakty między wami osłabły na czas jakiś. Gdy przygotujesz dla niej tacę z jedzeniem, przynieś ją do gabinetu, a potem ja albo doktor obsłużymy twoją panią.

Myślałam, że kitę odwalę, tak bardzo wytrąciła mnie z równowagi myśl o dłuższym niewidzeniu się z moją panią. Nie miałam jednak wyboru. Przygotowałam tacę z kolacją, którą zaniósł jednak pan James. Panowie też posilili się trochę, po czym wrócili do gabinetu. Długo tam zresztą nie pobyli, bo kiedy sprzątałam kuchnię, zauważyłam, że idą obaj na górę z paczuszkami, które przywiozłam z apteki. Będą ją teraz szprycować, myślałam, zamknęli ją i odurzą niby jakiegoś Chińczyka. Czułam się, jakby ktoś wiercił mi nożem wątrobie i tak bardzo zapamiętałam się w swojej niedoli, że połowę resztek z kolacji strząsnęłam na obrus, zamiast do miski.

Walczyłam jeszcze z powstałą w ten sposób plamą, kiedy panowie wrócili do holu. Rozmawiali tam jeszcze przez moment, po czym doktor pożegnał się z panem Jamesem, dodając, że zjawi się rano. Gdy wyszedł, pan James zamknął i zaryglował drzwi. Oto dogodna chwila, myślę sobie, byle tylko starczyło mi odwagi. Rzuciłam precz ścierkę i wybiegłam do holu.

- Sir! - zawołałam do pana Jamesa, który zniknął już w gabinecie.

Odwrócił się do mnie, uniósł brwi. Jezusie Marysieński serce rozsadzało mi płuca. Ale przemogłam się i powiedziałam:

- Sir, martwię się o milady. To zamykanie pani na klucz, te wszystkie leki, to chyba jej nie pomoże, sir. Wydaje mi się, że to... przesada.

- Przesada - powtórzył, wpatrując się we mnie. - Myślisz, że to przesada.

- No... Tak, sir, tak myślę.

Oczy mu zabłyszczały i nagle wpadł w chłodny szal.

- Rad jestem, Bessy - rzekł kpiąco - że zwróciłaś na to moją uwagę. Powiadasz, że to przesada. W takim radzie, moje dziewczę, opiszę ci przykład zachowania naprawdę przesadnego.

Boże, nazwał mnie swoim „dziewczęciem”. Niczego dobrego to nie wróżyło.

- Z pewnością chętnie mnie wysłuchasz - dodał, ogarniając mnie groźnym spojrzeniem.

Ja takiej pewności nie miałam, ale skinęłam głową.

- Tak też myślałam. Opowiem ci, Bessy, o naszej wyprawie do Edynburga.

Mimo rozmaite obawy ucieszyłam się, słysząc te słowa. Mogłam się wreszcie dowiedzieć, co wydarzyło się w biurze zatrudnienia służących.

- Popołudnie przebiegło właściwie bez zakłóceń - zaczął pan James. - Zwiedzaliśmy ogrody, oglądaliśmy pomniki. Opuściliśmy sobie wszakże widoki ze wzgórza, ponieważ cena biletu okazała się iście astronomiczna. Twoja pani była raczej w przyzwoitej formie, choć nieco rozkojarzona. Na moment straciliśmy się wzajemnie z oczu, kiedyśmy szli zatłoczoną Princes Street. Moja żona nagle znikła, a chwilę później znalazłem ją przed jakimś budynkiem, do którego właśnie zamierzała wejść. Było to biuro zatrudnienia służących. Gdy poprosiłem o wyjaśnienia, odparła, że chciała zająć do owego biura i spytać o drogę do naszego hotelu, by później tam na mnie zaczekać. Wytłumaczenie tego rodzaju uznałem za przekonujące i więcej już o tym nie myślałem. Wieczorny raut w Sali Zgromadzeń mogą uznać za całkiem udany. Gdy jednak obudziłem się wczoraj rano, okazało

się wkrótce, że Arabella opuściła nasz hotel. Czekałem przez dwie godziny. Mniej więcej o jedenastej wezwano mnie do holu. Zostałem tam widok następujący: twoja pani, wielce zawstydzona, stała w towarzystwie policjanta i jegomościa nazwiskiem Knox. Policjant odprowadził moją żonę do pokoju, ja oraz ów Knox spoczęliśmy w holu na fotelach i usłyszałem od niego relację z poczynań mojej małżonki.

Aż do tej chwili opowieść nie była zbyt zajmująca, lecz teraz coś mnie tknęło: jejku, skąd tu policja?

- Oznajmiono mi, że koło dziewiątej twoja pani zjawiła się w biurze zatrudnienia służących, mieszczącym się przy Princes Street, czyli tam, gdzie zastałem ją dzień wcześniej. Pan Knox poinformował mnie, że to biuro należy właśnie do niego. Moja żona przedstawiła się ponoć jego asystentowi jako pani Black z Corstorphine i oznajmiła, że poszukuje dziewczyny zdatnej na pokojówkę.

Musiałam wyglądać niewyraźnie, bo pan James przerwał opowieść i rzekł:

- Nie martw się, Bessy. Twoja pani nie szuka nikogo na twoje miejsce, nie po to tam poszła, jak się za moment przekonasz. Otóż asystent pana Knoxa zauważył co prawda, że moja żona ma przy sobie pudełko, ale nie zwrócił na to większej uwagi, bo mogła wszak wcześniej robić zakupy. Gdy wypełniła formularz, wprowadzono ją do pomieszczenia, w którym czekała już pewna liczba chętnych do służby dziewcząt. Twoja pani wybrała z nich dwie albo trzy, po czym przeszła do pokoju przesłuchań, dokąd następnie wyznaczone kandydatki przysyłano. Wchodziły tam pojedynczo. Owe pierwsze dziewczęta nie przypadły jej do gustu. Asystent zaproponował kilka innych i one również trafiły na indywidualną rozmowę. Żadna z nich nie przeszła tej próby zadowalająco. W ten sposób Arabella przetestowała prawie wszystkie dziewczęta, jedną po drugiej. - Pan James westchnął. - Gdyby każda z nich, co do jednej, była osóbką nieśmiałą, może i nic nie wyszłoby na jaw. Tak się wszelako zdarzyło, że jedna z nich okazała się odważniejsza od pozostałych i opuściwszy pokój przesłuchań, podeszła do rzeczonoego asystenta, aby wnieść skargę. Utrzymywała, że twoja pani zadawała jej pytania... pytania niemające

żadnego związku z przydatnością do zawodu pokojówki. Poprosiła też tę dziewczynę...

Pan James zagryzł usta i wlepił wzrok w podłogę.

- Poprosiła ją... - podjął i urwał ponownie. - Najwyraźniej w pudełku, które przyniosła ze sobą, znajdował się szklany nocnik... i twoja pani zwróciła się do kandydatki, aby ta... żeby ona... by wypróżniła się do tego nocnika.

Patrzyłam na niego bez słowa. Sądzę, że się zarumienił.

- Z początku - ciągnął pan James - skargi tej dziewczyny nie wzięto poważnie i nakazano jej bezzwłoczne opuszczenie biura. Ona jednak upierała się przy swoim, a wtedy wyrwała się nagle inna z dziewcząt i oświadczyła, że ją również przesłuchiowano w sposób niestosowny. A potem wszystkie dziewczęta, z którymi rozmawiała moja małżonka, potwierdziły to oskarżenie. Utrzymawały, że zadawano im nieprzyzwoite pytania, a parę z nich poproszono o skorzystanie z nocnika, od czego, rzecz jasna, się uchyliły. W tym momencie asystent wezwał pana Knoksa, który dotąd przebywał w swym gabinecie. Ten przeprowadził krótkie śledztwo i poprosił twą panią o opuszczenie biura. Gdy odmówiła, zaczęła się przepychanka. Nocnik został stłuczony. Do bójki włączyło się kilka dziewcząt i wtedy ktoś wybiegł na zewnątrz i zawołał przechodzącego policjanta.

Pan James roześmiał się gorzko, otarł twarz dłonią i rzekł:

- Formalnego oskarżenia co prawda nie wniesiono, ale policjant poradził mi, abym w przyszłości bardziej uważał na żonę.

Oczy znów mu zabłyśły. I znów spojrzał na mnie.

- To właśnie, Bessy, mogę określić słowem przesada, jako coś co wykracza poza przyjęte normy i wymaga zastosowania nadzwyczajnych środków zaradczych. Zakładam, że zgodzisz się ze mną.

Pan James nie wiedział o *Obserwacjach*. Byłabym założyła się o duże pieniądze, że milady przeprowadzała jakiś eksperyment na potrzeby swej książki. Eksperyment dość osobliwy, przynaję, skoro wiązał się z robieniem kupy do szklanego nocnika. Ale musiała mieć przeciw jakiś powód...? Siekacze bym sobie wyrwała, by móc mu powiedzieć,

co o tym myślę, ale przysięgam mej pani, że nie wygadam, tedy trzymałam jadaczkę na kłódkę.

- Wierzaj mi, Bessy - rzekł pan James. - Owa przesada... jak to ujęłaś... w obchodzeniu się z twoją panią jest tutaj nader uzasadniona. - Przez chwilę patrzył na mnie surowo. A potem wrócił do przerwanej relacji. - Gdy pożegnałem się z panem Knoksem, poszedłem do pokoju małżonki, tam zaś stwierdziłem, że spakowała się już i wymknęła z hotelu. Nie miałem najmniejszych wątpliwości, że wróci szybko do domu, że za bardzo się wstydzi, by widzieć się ze mną. Załatwiwszy w mieście jeszcze parę koniecznych spraw, wsiadłem do ostatniego pociągu. Zjawiam się wreszcie tutaj, a tu czeka na mnie następna konfrontacja z szaleństwem.

- Sir, widzi pan, tu chodzi o...

- Już cicho-sza, Bessy! - rzekł pan James. - Wystarczy. Powiedz mi tylko, czy twoja pani... to znaczy... wedle Knoksa utrzymywała, że chce na podstawie stolca kandydatki określić jej charakter. Powiedz mi prawdę, Bessy... Czy prosiła cię o coś równie niesłychanego, gdy zatrudniała cię tutaj? - Ucieszyłam się, że mogę odpowiedzieć przecząco, nie kłamiąc. - Nie, sir, w żadnym razie. Nigdy mnie o to nie prosiła.

Pan James jakby odetchnął z ulgą. Ale po chwili znów się nachmurzył.

- W dalszym ciągu trudno mi pojąć, skąd jej to przyszło do głowy - powiedział. - Pomyśl tylko... Gdyby zdarzyło się coś takiego, gdy konferowałem z Duncanem Pollockiem! Lub gdyby ta cała historia stała się publicznie wiadoma! - Wyglądał tak nędznie, że zrobiło mi się go żal.

- Czy mogłabym jakoś pomóc, sir? - spytałam.

Pokręcił wolno głową, po czym odwrócił się w stronę gabinetu, postąpił kilka kroków przed siebie i raptem odwrócił się na pięcie.

- Istotnie - powiada. - Przyda mi się trochę rozrywki. Dawno już nie czytałaś mi ogłoszeń, a ja z hotelu przywiozłem gazetę.

- O tak, sir. Ma się rozumieć. Tylko najpierw skończę sprzątać.

Kiedy po kilku minutach wróciłam, pan James siedział już w gabinecie za biurkiem i pisał kolejny list. Tym razem nie próbował go

ukryć, kiwnął głową, gdy weszłam i gestem kazał mi się rozgościć. Gazeta leżała już na krzeselku, które przeważnie tam zajmowałam, to znaczy przy lampie stojącej koło biurka. Kiedy usiadłam, naszły mnie myśli związane z milady: czy śpi już w swoim pokoju na górze i jakąż to straszną miksturą napoił ją był nasz doktor. Myśli te szybko się rozwiały, gdy rozłożywszy gazetę, ujrzałam pierwszą jej stronę. Wzrok mój natychmiast padł na pierwsze ogłoszenie, zamieszczone w lewej kolumnie, nie tylko dlatego że było tam wyeksponowane, ale również dlatego że było dłuższe od pozostałych. Moje oczy przykleiły się zrazu do pierwszego zdania, które brzmiało następująco: *WYSZŁA z DOMU i NIE POWRÓCIŁA*, 2 września zeszłego r., **DAISY O'TOOLE**, znana też jako **RÓŻYCZKA** lub **STRĄCZEK**.

Osobliwe to zaiste uczucie - widzieć w gazecie siebie samą. **DAISY, RÓŻYCZKA** lub **STRĄCZEK**. Na widok tych jakże znajomych imion prawie zem krzyknęła, tak bardzo byłam wstrząśnięta. Uniosłam wzrok, pełna obaw, że pan James coś zauważył, lecz dalej tonął w swojej korespondencji. Pochyliłam się tedy znów nad gazetą i jęłam czytać całość od nowa, ale nie zaszłam dalej niż pół zdania, kiedy pan James podpisał list, odsunął go na bok, usiadł wygodnie i skinął głową.

- No, moja dobra Bessy - powiedział. - Możesz zaczynać.

Ogromnym wysiłkiem nakazałam sobie spokój i przystąpiłam do odczytywania ogłoszeń. Nie zaczęłam od pierwszego, lecz od tego tuż pod nim, tyczyło się chyba zagubionych okularów. Innego dnia to i inne ogłoszenia mogłyby pana Jamesa rozbawić, teraz jednakże słuchał bez cienia uśmiechu na twarzy i po dziesięciu minutach miał dość. Wychodząc, spytałam, czy mogę pożyczyć gazetę i zabrać ją na noc do siebie. A kiedy już się u siebie znalazłam, rozpostarłam gazetę na łóżku i po raz pierwszy przeczytałam rzecz w całości. Przez kilka kolejnych dni wracałam do tego tekstu tak często, że mogę go obecnie przytoczyć dosłownie.

WYSZŁA z DOMU I NIE POWRÓCIŁA, 2 września zeszłego r., **DAISY O'TOOLE**, znana też jako **RÓŻYCZKA** lub **STRĄCZEK**. Irlandka, wiek 14-16 lat, brązowe włosy, jasna cera, pyzata twarz. Oczy niebieskie, zielone lub

szare. Wygląda na trochę pomyloną, ale tylko tak wygląda. Jest uparta i nie wolno jej ufać. Ostatnio widziana w żółtej sukience z satynety, za ciasnej na nią, do tego niebieskie wstążki, bez płaszcza. Osoba mogąca wskazać miejsce jej pobytu, prawdopodobnie okolice **SNATTER**, proszona jest o szybki kontakt ze stęsknioną wielce siostrą zaginionej, **PANNĄ BRIDGET O'TOOLE**, zamieszkałą w Glasgow na Saracen Lane numer 3.

Autorstwo tego ogłoszenia nie mogło budzić wątpliwości. Gdyby nawet moja matka nie wstawiła tam swego nazwiska, i tak byłabym się domyśliła, choćby po mętnych danych na temat mojego wieku i wyglądu, choćby po paru typowych dla matki wyrażeniach. Nie miałam pojęcia, czy jest to pierwszy taki anons, czy może już któryś z rzędu. Tak czy inaczej, zmroziło mnie do szpiku kości. Jakże ona krucafuks wyśledziła, że jestem opodal Snatter?

W pierwszym odruchu chciałam wymknąć się po angielsku i uciec najdalej jak się da, bo przecie matka była zdolna dopaść mnie nawet w Zamku Haivers. Zaczęłam więc mechanicznie wrzucać swoje rzeczy do tobołka, zaczęłam szykować się do drogi. Tak się złożyło, że jedna z sukienek od milady wisiała na ścianie, a gdy spróbowałam ją zdjąć, podszewka zaczęła się o haczyk. Im uporczywiej starałam się ją ściągnąć, tym większy opór stawiał materiał. Ciągnęłam to w tę, to w tamtą stronę, i prawie pobeczałam się ze złości. I znowu naszły mnie myśli o milady zamkniętej w pokoju na górze, zamroczonej lekami, zdanej na moją tylko opiekę. I tak jak haczyk przywarł do materiału i za nic nie chciał go puścić, tak samo ja sercem lgnęłam do mojej pani. Wtedy to uzmysłowiłam sobie, że nie wolno mi jej porzucić.

Może się tutaj wydawać, że ponad miarę bałam się tego, iż matka mnie w końcu wytropi. Nie przeceniałam jednak skali jej podłości.

W tym miejscu - aczkolwiek niechętnie - muszę poczynić pewne wyznanie, którego się dotąd wystrzegałam. Aliści chcąc dalej snuć tę opowieść, muszę na moment zagłębić się w przeszłość. Nie bardzo mi się to uśmiecha. Ale cóż, trzeba się z tym uporać, bo ile można tak siedzieć, wrzynając paznokcie w policzki i szyję. A to właśnie

czynię od godziny, rozmyślając w boleściach o tym, co niniejszym wreszcie spisuję.

Dawno, dawno temu była sobie kobieta zarabiająca na życie podobnie jak wiele innych kobiet przed nią, dając otóż mężczyznom to, czego oni pragnęli. Owa kobieta - nazwijmy ją Bridget - nie sądziła bynajmniej, że robi coś złego. Lubiła po prostu łatwe życie. Mówiąc otwarcie, była kobietą gnuśną i kpiła z tych, co pracują w fabrykach lub są na służbie. Większość swej pracy wykonywała w pozycji leżącej, a jeśli już musiała czasem stać, to robota szła szybciej, tedy (jak powiadała) nic na tym nie traciła. Najbardziej lubiła dobrą głośną zabawę, którą zagwarantować mógł tylko alkohol. Rzadko kiedy bywała trzeźwa, rzadko bywała też życzliwa dla innych. A raczej, by się tak wyrazić, życzliwość jej była wybiórcza. Umiała rozczulić się do łez takim czy innym wzruszającym widokiem: koszykiem z kociętami bądź hasającym na łące jagnięciem. Twierdziła nierzadko, że serce złamał jej ten czy inny mężczyzna. Wniosek jest prosty: zupełnie bez serca nie była. Mimo to w jej naturze czał się jakiś chłód. Nie wiedziała, co to współczucie, a w odpowiednim nastroju, gdy była już bardzo pijana, umiała być nawet okrutna.

Taka właśnie była Bridget.

Nie zachowały się świadectwa, które mogłyby nam powiedzieć, jak się czuła, rodząc dziecko. Można wszelako podejrzewać, że owo dziecko - płci żeńskiej - stanowiło dla Bridget niewiele więcej niż codzienny kłopot. Córka ta - nazwijmy ją Daisy - wyrosła na dużą dziewczynkę i odtąd Bridget zaczęła rozgłaszać, że jest to jej siostra, nie zaś córka, albowiem ją samą zdawało się to odmładzać, a na tym zależało jej wielce. Jako że obie często się przemieszczały, nietrudno było utrzymać tę mistyfikację.

Minęło lat kilka, osiadły w Dublinie. Bridget była na tym etapie zadurzona w pewnym mężczyźnie - nazwijmy go Joe - większego łajdaka świat nie widział. Gdy Joe uciekł za morze, Bridget chciała podążyć za nim, ale nie miała dość środków, by kupić bilet dla siebie

i Daisy. I wtedy dopuściła się rzeczy zdaniem wielu niedopuszczalnej. Sprzedała niewinność swojej córeczki. Niejeden mężczyzna gustował w młodych dziewczętach, tedy już wkrótce pieniędzy nie brakowało i matka z córką przepравиły się przez morze, aby tylko znowu być z Joem.

Aliści, gdy przybyły do Glasgow, Joego tam nie zastały. Bridget zaczęła poszukiwania, a tymczasem ona i Daisy zarabkowały tak samo jak wprzód: Bridget pracowała najmniej, jak się dało, a Daisy robiła, co jej kazano. Daisy nie znała innego życia, była wszak tylko dzieckiem. Nie wiedziała, że można też żyć inaczej, myślała, że wszystkie rodziny są takie. Poza tym, choć może się to wydać dziwne, ona tę kobietę, swoją matkę, kochała. I pragnęła tylko jednego: żeby Bridget tę miłość odwzajemniała. (Biedny głuptasek, wtedy jeszcze nie rozumiała, że Bridget nigdy jej nie pokocha).

Pewnego wieczoru, gdy Daisy miała mniej więcej dwanaście lat, Bridget przysłała do ich lokum w towarzystwie pewnego dżentelmena. Usadziła go przy kominku, poczęstowała drinkiem i w ogóle starała się mu dogodzić. Następnie kazała córce wyjść z nią na słówko do drugiego pokoju. Przez moment chodziła tam i z powrotem, perfumując szyję gardenią. Ten dżentelmen, powiedziała, życzy sobie czegoś innego, co różni się trochę od tego, co robimy zazwyczaj, i jest gotów zapłacić podwójnie, a nawet więcej. Jeśli więc ona i Daisy spełnią jego życzenie, to już do końca tygodnia nie będą musiały pracować.

Daisy była zaskoczona. Na czym ma ta odmiana polegać? Bridget spojrzała na nią znacząco, niby to sugestywnie, patrzyła tak, gdy sobie wypija. - On nie wie, że jesteśmy siostrami - powiedziała, chwycając się na nogach. (Tak wytrwale podtrzymywała tę fikcję, że czasem, zda się, sama w nią wierzyła). Daisy dalej nie rozumiała. Bridget mrugnęła i rzekła: - On myśli, że jesteśmy przyjaciółkami.

Daisy nadal nie mogła zrozumieć. Bridget, zirytowana, przyciągnęła do siebie krzesło. - Będzie tu siedzieć i patrzeć - powiada. - Patrzeć na co? - pyta Daisy. Bridget traci cierpliwość. - Będiesz leżeć na łóżku - mówi - i robić to samo co ja, tak jakby ci to sprawiało przyjem-

ność. - Gdy Daisy zaczęła protestować, bo nagle pojęła, czego chce od niej matka, ta zagroziła, że potnie ją na kawałki.

Nad resztą tego wieczoru spuszczam niniejszym zasłonę milczenia.

Przeczytałam właśnie tych kilka ostatnich stron i widzę, że opisałam to wszystko jak bajkę, jak historyjkę, która przytrafiła się komuś innemu.

Jednak to jeszcze nie koniec. Dość powiedzieć, że wieść niosła się szybko. Niejeden dżentelmen w Glasgow, mający większe wymagania od innych, gotów był nadszarpnąć kiesy, aby obejrzeć podwójny numer z udziałem Daisy i Bridget. Spektakl ten wystawiano potem dość często przez kilka kolejnych tygodni. Nikłe wyrzuty sumienia (jakie Bridget poczuła nazajutrz po widowisku premierowym) rozwiąły się wraz z pierwszym porannym drinkiem. W pewnym momencie chciała nawet zamieścić anons w katalogu, reklamujący nową usługę, lecz wtedy ze znacznie ciekawszą propozycją wystąpił żydowski dżentelmen nazwiskiem Levy. Zaoferował on mianowicie cotygodniowe wynagrodzenie, jeśli Daisy u niego zamieszka.

Proszę wybaczyć, jeśli ta część mej opowieści wydaje się nie mieć związku z głównym jej wątkiem. Związek ten, zapewniam, istnieje, jak już niebawem czytelnik się przekona.

Po dziś dzień zapach gardenii przyprawia mnie o mdłości.

Wystarczy już jednak. Starałam się o tym nie myśleć ani w tamtych czasach, ani później, aż do teraz. To znaczy do chwili, w której zaczęłam spisywać niniejszą relację.

Na czym skończyłam? Jestem w swoim pokoju i próbuję zdjąć ze ściany zaczepioną na haczyku sukienkę. Zostawiłam ją w końcu i rozpakowałam tobołek. Potem znów przeczytałam ogłoszenie, szukając w nim czegoś, co mogłoby jakoś podnieść mnie na duchu. I parę takich rzeczy znalazłam. Po pierwsze, wszyscy znali mnie tu pod imieniem „Bessy”, a niejako Daisy, Różyczkę czy Strączek. Wspomnianej

w gazecie żółtej sukienki nie miałam na sobie, odkąd zjawiłam się w Zamku Haivers. Poza tym w „okolicach Snatter” mieszkały najpewniej setki Irlandek w moim wieku, dziewcząt o brązowych włosach, jasnej cerze, oczach niebieskich, zielonych lub szarych, będących na służbie, pracujących na polach lub błakających się tu i tam w poszukiwaniu jakiejś roboty. Opis skreślony dłonią mojej matki był chyba na tyle mętny, że nikt nie skojarzyłby go ze mną. Jej kiepska pamięć i koncentracja wyłącznie na własnej osobie mogły tym razem podziałać na moją korzyść.

Nadto gazeta miała już kilka dni. Jak dotąd nikt mnie tu nie wyszedził. Nie można też było wykluczyć (przekonywałam sama siebie), że nikt na ten anons nie zwrócił uwagi. I dalej w ten właśnie sposób wmawiałam w siebie, że wszystko będzie dobrze. Potem wsunęłam gazetę pod łóżko i wróciłam do kuchni, żeby pozmywać. Jeżeli matka miała mnie kiedyś dopaść, to na dobrą sprawę przeszkodzić jej w tym nie mogłam. Tymczasem uporałam się z problemem w jedyny sensowny sposób: przestając o nim myśleć.

W najbliższych dniach i tak czekało mnie wystarczająco dużo wyzwań, by jeszcze przejmować się matką.

Stwierdzam bardzo przykry fakt

McGregor-Robertson musiał dalibóg okropnie nudzić się na wsi, bo do leczenia milady przystąpił z niebywałym zapałem i gorliwością świeżo nawróconego wyznawcy. Dzień w dzień wynajdywał coraz to nowe medykamenty. Winna jest niewłaściwa dieta, osądził. Trzeba usunąć z niej mięso. Później wyłączył produkty zbożowe. Potem ziemniaki. A potem herbatę! W końcu, po tygodniu pełnych wahania testów, stanęło na diecie składającej się z orzechów, nasion i mleka, i absolutnie niczego poza tym! O jedzenie, jak sądzę, moja pani nie kłopotowała się wielce. Ale pozbawić ją herbaty! Trzeba by zobaczyć jej twarz, która na tę wiadomość stała się nagle długa niby zajęczy skok.

Bardziej jeszcze niż jedzeniem serwowanym milady fascynował się nasz doktor tym, co z milady wychodziło drugim jej końcem. Odkąd zamknięto ją w pokoju, nie opuszczała go już „za potrzebą”, a jej nocnik stał się dla doktora czymś w rodzaju kryształowej kuli, w którą wpatrywał się jak wróżka, by potem zapisać swe wnioski w kajecie.

Wedle książek doktora najlepszą terapią dla mojej pani było odosobnienie, cisza i spokój. Po każdym posiłku musiała spędzić dwie godziny w pozycji leżącej. Zwiększono dawkę środków nasennych, a wszystko, co mogło zająć jej myśli, postanowiono usunąć z pokoju. Najpierw zabrano przybory do szycia, potem, kilka dni później, pióro i atrament, a w końcu powieści i inne książki (oprócz, rzecz jasna, *Obserwacji*, które w dalszym ciągu leżały w szufladzie biurka).

Zabrano jej więc to wszystko, a stan mojej pani wciąż się, do licha ciężkiego, pogarszał! Nie mogąc znaleźć atramentu i pióra (które

zabrano jej, kiedy spała), wpadła w niemałe rozdrażnienie, a gdy kilka dni później wynoszono z pokoju jej książki, płakała, jakby serce jej pękło na pół.

Nie wolno nam było spędzić ani chwili razem bez towarzystwa któregoś z panów. Zabroniono mi nawet przebywać w pobliżu milady, a to z obawy przed powtórką wydarzeń z wiadomej nocy. Pozwalano mi wejść jedynie wtedy, gdy trzeba było posprzątać lub pomóc w czymś doktorowi bądź panu Jamesowi. Zawsze starałam się ukradkiem dodać mej pani otuchy jakimś uśmiechem albo spojrzeniem, ale nigdy nie miałam pewności, czy do niej cokolwiek z tego dociera. Parę razy, gdy weszłam do jej pokoju, spojrzała na mnie wyczekująco. Myślę, że spodziewała się ujrzeć Norę i może przez krótką chwilę - wszak miałam na sobie sukienkę zmarłej służącej - Norę we mnie widziała. Zorientowawszy się jednak, że ja to ja, znowu spuszczała oczy.

W trzecim tygodniu milady zrobiła się blada i apatyczna. Na tym etapie McGregor-Robertson - którego oko nie wyglądało już na podbite - uznał, że nieodzowna jest lewatywa (zwana czasami enemą). Całymi dniami mieszał w różnych proporcjach mleko, mąkę, serwatkę, opium, zieloną herbatę i siemię lniane, by potem wstrzyknąć taką miksturę w odwrotność mej pani. Na nic się to nie zdało. Milady czuła się jeszcze gorzej. Doktor jednak nie składał bronii. Okazało się przy tym, że zamierza on napisać artykuł o swoich odkryciach (pewnikiem chciał wyrzucić wrażenie na kuzynie, który był dyrektorem przytułku dla obłąkanych). Dalej więc przecyzyszczał milady i powtarzał, że chora lada dzień wyzdrowieje. Ona cierpi na jedną z odmian melancholii, poinformował pana Jamesa. Albo też jest to mania - pewności nie miał.

Trudno się dziwić, że dopadła ją melancholia, oż Jezu Marysieński, kobieta siedzi sama w pokoju, bez żadnych zajęć i rozrywek, i jeszcze codziennie podmywają jej fundament, co pewnie urasta do rangi wydarzenia dnia. Jeśli nadto była zmuszona do życia w świecie własnych myśli, to ani chybi częściej niż wprzód roztrząsała swoją rzekomą winę względem Nory, bardziej jeszcze pogarszając swój stan. Bałam się, że taki rodzaj leczenia może ją w pewnej chwili wykończyć.

Strasznie chciałam porozmawiać z nią bez świadków i może jakoś jej pomóc. Gdybym tylko miała odwagę wyznać, że przeczytałam dziennik Nory, że przeczytałam Obserwacje, to może udałoby mi się przekonać milady, że nie jest winna śmierci tej dziewczyny.

Dostać się do pokoju milady było czymś dziecinnie prostym, równie prostym jak zsiąść się w łóżku, bo klucz leżał zwykle na półce nad drzwiami. Brakowało mi tylko dogodnej po temu sposobności. W tym okresie pan James wybywał z domu jak wprzódy, musiał wszak doglądać folwarku. Poza tym w Snatter kładziono już rury mające zasilać fontannę i tego też trzeba było dopilnować. W normalnych okolicznościach zaszłabym do milady tuż po wyjściu jej męża. Aliści ostatnio McGregor-Robertson właściwie u nas zamieszkał i chociaż sypiał u siebie, to kręcił się ciągle po Zamku Haivers, gdy pana Jamesa nie było w domu. Zastanawiałam się, czy by nie zakraść się do milady w nocy, ale pokój jej męża znajdował się po drugiej stronie korytarza, i w końcu stwierdziłam, że lepiej nie ryzykować. Gdyby pan James usłyszał, bez zwłoki wyrzuciłby mnie na bruk. Musiałam tedy czekać na sprzyjające okoliczności, to znaczy na chwilę, gdy w Zamku Haivers nie będzie żadnego z panów.

Poszczęściło mi się dość rychło, szybciej niż zakładałam. Rzecz działa się po południu. Niosąc wodę do domu, zauważyłam przy bramie śpieszącego dokądś Hectora. Pan James stał wtedy przy stajni wraz z zarządcą Alasdaiem. Hector podbiegł do nich w te pędy i powiedział coś, czego nie dosłyszałam. Cokolwiek to było, pan James aż krzyknął z radości. Jeszcze przez moment rozmawiał z Hectorem i Alasdaiem, po czym wielkimi krokami ruszył w stronę domu. - Przywieźli, Bessy! - krzyknął. - Przywieźli moją fontannę! - Zniknął w drzwiach, by po chwili wyłonić się z nich ponownie. Tuż po nim wyszedł doktor, który pośpiesznie włożył płaszcz i poczłapał w kierunku stajni. Pan James przystanął, by udzielić mi informacji.

- Jedziemy obejrzeć fontannę. Liczę, że zajmiesz się tutaj czym trzeba.

- Tak, sir - odparłam.

Spojrzał na mnie badawczo.

- I proszę cię, nie zakłócaj spokoju twojej pani.

- Nie będę jej niepokoić, sir.

- Nawet nie zbliżaj się do jej pokoju.

Nic na to nie powiedziałam, dygnęłam tylko, a więc udało mi się nie skłamać. Ale pan James i tak tego nie dostrzegł, bo pędził już za doktorem.

Zataszczyłam wiadra do kuchni i jak tylko dobiegł mnie odgłos kopyt, pobiegłam na górę i przyłożyłam ucho do drzwi pokoju milady. Nie usłyszałam ani szmeru. Może ucieła sobie drzemkę. A drzemała ostatnio sporo, bo proszki, które dawał jej doktor, wpędzały ją w ciągłą senność.

Zdjęłam klucz z półki, otworzyłam drzwi i weszłam do środka.

Milady siedziała w wyściełanym fotelu i patrzyła przez okno. Słyszając, jak otwierają się drzwi, odwróciła głowę w moją stronę. Jakże ona wyglądała! Skórę miała bladożółtą, a oczy nabiegłe krwią. Biedaczka była zupełnie wyczerpana. Zachowywała się jednak spokojnie i nie sprawiała wrażenie zdziwionej moją wizytą.

- Byłam pewna, że to ty - powiedziała. - Słyszałam konie. Dokąd się oni wybrali?

- Do Snatter, proszę pani. Dostarczono fontannę i panowie chcą obejrzeć.

Uśmiechnęła się słabo.

- Drogi James - rzekła. - Myśli, że ta fontanna zapewni mu głosy w wyborach... Może zresztą ma rację.

Zauważyłam, że ma suche i popękane usta. Mogłam jej przynieść herbaty, pomyślałam. Teraz nie było już na to czasu. Nie wiedziałam, kiedy wrócą panowie. Może dopiero za sto lat, a może zerkną szybko na fontannę i bez zwłoki przyjadą do domu.

Milady nakazała mi gestem usiąść naprzeciw niej. Co uczyniłam.

- Proszę pani - mówię. - Muszę z panią porozmawiać. Chodzi o Norę. Zrobiła bardzo zmęczoną minę.

- Wiem - odparła. - Ale mamy niewiele czasu. Ja zacznę, jeśli pozwolisz. Jest parę spraw, o których muszę ci opowiedzieć.

Jej słowa tak mnie zdumiały, że po prostu oniemiałam. Mówiąc, patrzyła na niebo, jak gdyby wydarzenia, które miała właśnie opisać, rysowały się gdzieś daleko na chmurach.

- Wiesz już, że Nora pracowała tu przez kilka miesięcy i że byłam bardzo zadowolona z jej usług. Gdy się tu pojawiła, poniekąd mówili, że jest zbiegiem, uciekinierką. Ja, Bessy, nie mogłam w to uwierzyć. Wiedziałam, że Nora jest do tego niezdolna. Była służącą dobrą i lojalną, podobnie zresztą jak ty. Potem znaleziono jej ciało na torach i zaczęły kursować dziwne pogłoski. Mówiło się, że podczas zabawy w czworakach Nora za dużo wypijała, błąkała się gdzieś po nocy i w końcu wpadła pod pociąg. Kilka osób istotnie tej nocy zauważyło, jak Nora wychodzi z czworaka, a potem nikt już jej ponoć nie widział. Taka panuje opinia.

W tym momencie musiałam jej przerwać.

- Ależ tak to się pewnie odbyło! - mówię. - Było ciemno, a ona była pijana! Ona sama zawiniła. Pani... marsz nie miał z tym nic wspólnego. Próbowałam to pani ostatnio powiedzieć.

Spojrzała na mnie, marszcząc brwi.

- O czym ty mówisz?

- O marszu, proszę pani! O marszu, który kazała pani odbyć Norze. No bo... muszę pani coś wyznać. Czytałam pani Obserwacje. Wiem, że nie powinnam tego robić, i bardzo za to przepraszam. Ale nie o to teraz chodzi, bo pani wcale nie zawiniła! Ludziska mają rację: było ciemno, a ona była pijana. Więc nie musi się pani przejmować tym głupim marszem, naprawdę.

Milady łypnęła gdzieś w górę i przesunęła dłonią po czole.

- Bessy - powiada. - Nie wiem, o czym ty mówisz. Co niby czytałaś? I jaki marsz?

Otwarłam usta, by odpowiedzieć, lecz powstrzymała mnie ruchem ręki.

- Poczekaj - mówi. - Nie dokończyłam. Widzisz... Te wszystkie teorie na temat Nory są nieprawdziwe, ponieważ... jak właśnie ci miałam powiedzieć... - Spojrzała na drzwi, potem znów na mnie, jakoś tak bardzo rzeczowo. - ... Nora wcale nie umarła.

Co takiego?

Mówiła ciszej, lecz ja wszystko słyszałam. Nie wierzyłam po prostu własnym uszom.

- Nora żyje.

Dalej patrzyła na mnie spokojnie, jednak w jej oczach dostrzegłam lekki błysk przyjemności płynącej z ujawniania sekretu.

- Wiem, że trudno w to uwierzyć - rzekła. - Ale to prawda. Bo... widzisz... okazało się, że ona żyła przez cały ten czas. Ale teraz ma straszne, straszne kłopoty. A my, Bessy, musimy jej pomóc. Mogę na ciebie liczyć, jak mniemam. Czy razem ze mną udzielisz pomocy Norze?

W taką mnie wprawiała konfuzję, że ciągle jeszcze trawiłam pierwszą rewelacyjną wiadomość.

- To znaczy... Nora wcale nie umarła?

- Nie! - Oczy milady zaślniły. - Żyje tak samo jak ty czy ja!

- Ale... - Patrzyłam na nią, ciągle zdumiona. - Jeżeli ona nie umarła, to kto jest pochowany na cmentarzu w Bathgate?

Milady spuściła kąciki ust.

- Któż to może wiedzieć? - powiedziała. - Inna dziewczyna. Ale na pewno nie Nora.

- Przecież poszła pani na grób - mówię. - Zaniósł ją pani kwiatek, krokusa. Tak jakby Nora tam leżała.

Na jej czole pojawiła się zmarszczka. Kiwnęła głową.

- To był fortel.

Nic już nie rozumiałam.

Pomachała ręką.

- Podstęp, innymi słowy. Bo widzisz, Bessy... O tym, że Nora żyje, nikt się nie może dowiedzieć. Ona musi się ukrywać. Ścigają ją bardzo groźni ludzie, którzy są zdolni do wszystkiego. Obserwują nasz dom. Ani ty, ani ja nie jesteśmy tu bezpieczne.

Aż zadygotałam. Spojrzałam na drzwi. Przestraszyłam się nie na żarty. Na zewnątrz co prawda było jasno, lecz nagle uzmysłowiłam sobie, że jesteśmy teraz w domu same. Zrobiło się nagle niesamowicie cicho, tak cicho, że pchłę by można usłyszeć.

- Ale co to za ludzie? - spytałam. - Czego oni chcą od Nory?

Milady westchnęła.

- To straszne, Bessy - odparła. - Nie wiem, czy powinnam ci o tym mówić.

- Musi mi pani powiedzieć - rzekłam - jeśli mam pani pomóc.

Przez moment patrzyła na mnie zmrużonymi błyszczącymi oczyma.

- No dobrze - powiada. - Ale pamiętaj, że to wszystko musi zostać między nami. Nikomu ani mru-mru. I nikt nigdy nie może się dowiedzieć, że Nora żyje. To rzecz najistotniejsza. W przeciwnym razie podpiszesz na nią wyrok śmierci.

Kiwnęłam głową i powiodłam dłonią po piersi.

- Z ręką na sercu, proszę pani. Nie puszczę pary z ust.

Uśmiechnęła się.

- Dzielna z ciebie dziewczyna. Wiem od Nory, że można ci ufać.

Gapiłam się na nią oszołomiona.

- Pani z nią rozmawiała?

- Owszem. - Milady spojrzała na mnie chytrze. - Ale przecież ty wiesz, że się z nią widziałam, prawda? Słyszałaś, Bessy, jak z nią rozmawiam, czyż nie?

Dalej miałam mętlik w głowie.

- Nie wiem, proszę pani - odparłam. - Kiedy to było?

- No, parę dni temu. Nie pamiętasz? Podśluchiwałaś pod drzwiami. Słyszałaś, jak się do kogoś zwracam. A zwracałam się właśnie do Nory - rzekła Milady tonem triumfalnym. - Myślałam, że sama się domyślisz, ale jak widać, byłam w błędzie. Bo widzisz... ona tu była.

Pomyślałam o oku, które zjawilo się nagle w dziurce od klucza. Rozejrzałam się po pokoju w poszukiwaniu jakichś ukrytych drzwi czy tajemnego przejścia, ale niczego takiego nie dostrzegłam.

- Nie rozumiem - powiadam. - Kiedy wszedł tu pan James, w pokoju nikogo prócz pani nie było.

Roześmiała się.

- Nora często mnie ostatnio odwiedza, robi to jednak w taki sposób, by nie zwrócić na siebie uwagi. Pojawia się i znika. Więcej powiedzieć ci, Bessy, nie mogę. Nora jest bardzo sprytna. Musi być sprytna, żeby umknąć tym ludziom. Bo widzisz... - Znów ściszyła głos. - Wspominałam

ci już, że Nora jest cudowną służącą, prawda? Że jest przesympatyczna i nad wyraz sumienna?

Straciłam chyba zdolność mówienia, więc tylko skinęłam głową.

- Zatem ci ludzie... ci straszni ludzie... to kobieta i mężczyzna. Ona tym wszystkim kieruje, on jest tylko jej pomagierem. Ale nie daj się zwieść: jest on równie zły, jak jego zwierzchniczka, poza tym to mistrz kamuflażu. Prowadzą razem biuro zatrudnienia służących i mają żywotny interes w tym, aby sprawdzić, czemu dana osoba jest posłuszną i lojalną służącą. Doszły ich jakoś słuchy o Norze, o tym, jaka z niej cudna dziewczyna. I wiesz, co oni chcą jej zrobić?

- Nie - odparłam słabym głosem.

- Mają bardzo złowrogie plany, Bessy. Otóż chcą Norę pociąć! Chcą rozciąć ją, wyjąć wnętrzności i mózg i wykorzystać w eksperymencie, który powie im, z czego się składa idealna służąca? Czyż to nie makabryczne?

Patrzyła na mnie rozszerzonymi dziko oczami.

Nie umiałabym dokładnie określić chwili, w której zaczęłam wątpić w prawdziwość jej słów. Niedowierzenie zjawilo się chyba w momencie, gdy usłyszałam o wizycie Nory, wiedziałam bowiem, że pokój milady od razu przeszukano i że nikogo nie znaleziono (ostatnio resztą coraz częściej myślałam, że oko w dziurce od klucza mogło jednak należeć do mojej pani). Określenie „mistrz kamuflażu” też wprawiło mnie w niepokój, bo brzmiało jak żywcem wyjęte z jakiejś powieści przygodowej. A kiedy milady przeszła do złowrogich planów właścicieli biura, do mózgu tudzież wnętrzności, do rozplątywania Nory na potrzeby eksperymentu, no, wtedy to już poważnie się wystraszyłam. Bo, widzicie Panowie, ja naprawdę pragnęłam uwierzyć milady. Pragnęłam tego rozpaczliwie. Wszelako z każdą chwilą narastała we mnie pewność, że moja pani plecie od rzeczy. Dobry Boże, przecie to banialuki! Tak, to jest właściwe słowo.

Makabryczność sytuacji zmroziła mi krew w żyłach. Siedziałam jak skamieniała, zdjeta strachem, przepełniona rozpaczą, z dłonią przyciśniętą do ust. Biedna milady! Moja biedna kochana milady! Biedaczce naprawdę odbiło! Ona naprawdę oszalała! A ja nic nie mog-

łam zrobić. Zresztą najpewniej sama ją do tego stanu doprowadziłam! Czułam, że wpadam w coraz większy popłoch i że ogarnia mnie bezdenna rozpacz. Myślałam, że zaraz zemdleję. Ale milady niczego nie dostrzegą.

- Nora poprosiła mnie o pomoc - rzekła. - Z początku nie miałam pewności, że to ona mnie prosi. Sygnały, które od niej otrzymywałam, bywały niejednoznaczne. Ale potem... Pamiętasz, Bessy, napis w oknie na strychu?

Czy ja to jeszcze pamiętam? Oż żeby nie była nigdy wpadła na ten diabelski pomysł, który wpakował nas wszystkich w taką kabałę! Arabella czekała na moją odpowiedź, więc z niejakim wysiłkiem skinełam głową, a raczej wykonałam gest do tego zbliżony.

- Na tamtym etapie - podjęła milady - wpadłam, przyznając, w pewną dezorientację. Widzisz... Myślałam, że to duch Nory nawiedził nasz dom. Z początku Nora ukazywała mi się w błagalnej pozie, zdarzyło się tak dwa lub trzy razy, chociaż po pierwszym takim zdarzeniu nie wspomniałam ci o tym. Widziałam, że ona chce mi coś powiedzieć. Jej usta wprawdzie się poruszały, lecz nie dobywał się z nich żaden dźwięk. Ale w końcu, za którymś razem, udało się jej przemówić.

- Co powiedziała?

- Za pierwszym razem? - Milady zastanawiała się przez moment. - „Niech Mi Pani Pomoże Prosz Pani”.

- Rozumiem - odrzekłam, czując w ustach gorycz tego słowa.

- W trakcie naszej pierwszej rozmowy - ciągnęła milady - spytałam ją, dlaczego mi się ukazała. Odparła, że wcale nie jest duchem i że w dalszym ciągu żyje. Jest Norą, taką samą jak zawsze. Później opowiedziała mi o zagrożeniu, jakie stanowią dla niej ci ludzie, ja natomiast zaoferowałam jej opiekę ze swojej strony.

- Aha - mówię, siląc się na ton lekki i swobodny. - A gdzie ona teraz jest? - Rozejrzałam się po pokoju. - Czy ona, proszę pani, jest tutaj?

- Nie żartuj sobie, Bessy - odparła milady. - Była tu wczoraj w nocy. To właśnie wtedy mi powiedziała, że trzeba cię wtajemniczyć w nasz sekret, że będziesz mogła nam pomóc. Jak sama wiesz, nie

wypuszczają mnie z tego pokoju i nie wiadomo, jak długo to potrwa. Nie mogę więc trzymać ręki na pulsie. A jest nam potrzebny ktoś, kto może się swobodnie poruszać, kto odpędzi tych strasznych ludzi, jeśli staną przed drzwiami domu. Musisz być czujna, Bessy. Widziałas w pobliżu kogoś obcego?

Pokręciłam głową ze smutkiem.

- Naprawdę? - Milady sprawiała wrażenie zaskoczonej. - Ja tę kobietę widziałam już kilka razy, kiedy czając się w zaroślach, obserwowała nasz dom. Miej się zatem na baczności. Oboje używają przybranych nazwisk. Ona podaje się za panią Gilfillan, a on przedstawia się jako McDonald.

Mało jeszcze wiedziałam o szaleństwie, ale mój słabo kształcony mózg orzekł, że obłęd mej pani zaiste daleko jest posunięty, skoro powstałe w imaginacji postacie mają już nawet nazwiska, na dodatek przybrane.

- A czy mówiła pani o tym mężowi? - spytałam.

Żachnęła się na samą myśl o czymś takim.

- Dobry Boże... Nie! - Pochyliła się ku mnie, tak że jej twarz znajdowała się kilka cali od mojej. - Nie jesteśmy jeszcze do końca pewne - rzekła cicho - ale bierzemy pod uwagę możliwość, że James jest po ich stronie. On i McGregor-Robertson. Poczekamy i przekonamy się same. Obserwuję bacznie Jamesa, doktora i tę kobietę w ogrodzie. Nie martw się, wszystko jest pod kontrolą.

Zaczęła rozglądać się gorączkowo dokoła, jakby chciała demonstracyjnie podkreślić swe słowa. Po raz pierwszy uświadomiłam sobie, że milady istotnie wygląda na wariatkę. Widziałam ją teraz z bliska i nie miałam już wątpliwości. To jej oko widziałam w dziurce od klucza, to jej nabiegłe krwią oko wtedy na mnie patrzyło.

Nagle milady chwyciła mnie za nadgarstek, mało żem nie dostała zawału.

- Myślą, że mają mnie cały czas na oku - powiada. - Ale nie wiedzą, że to ja ich obserwuję!

Do głowy przyszła mi pewna myśl.

- A czy ta sprawa ma coś wspólnego z pani wizytą w biurze zatrudnienia służących? Czy w Edynburgu szukała pani tej całej Gilfillan?

Milady zmarszczyła czoło i przez chwilę patrzyła gdzieś w przestrzeń.

- Biuro zatrudnienia służących? - rzekła. - W Edynburgu? - Pokręciła głową. - Niczego takiego nie pamiętam.

- Rozmawiała tam pani z kandydatkami. Wypytywała je o... różne rzeczy.

Wyglądała na zamyśloną.

- Sądzę, że jeśli tam rzeczywiście byłam, to miało to związek z badaniami. Bo, widzisz, ja piszę książkę o służących, o tym, jak je traktować, żeby dobrze pracowały.

- Tak, proszę pani - odparłam. - Już mi pani o tym mówiła.

- Doprawdy? - zdziwiła się. - Ostatnio dużo zapominam.

- Wspominałam już pani, że czytałam *Obserwacje*, nie całe, kilka fragmentów.

- A ty znowu z tymi swoimi *Obligacjami*! O co ci chodzi?

- To tytuł pani książki, prawda? *Obserwacje*. Zajrzałam do pani szuflady i poczytałam sobie troszeczkę.

Patrzyła na mnie niewidzącym wzrokiem.

- *Obserwacje*? Taki tytuł dałam tej książce? Szczerze mówiąc, zaczęłam ją dawno temu, tytułu już właściwie nie pomnę. A nie były to *Uwagi na temat klasy służebnej*? *Obserwacje*, powiadasz? Ważne jest co innego. Otóż ta Gilfillan myśli, że zdobędzie wyniki mych badań, ale jest w grubym błędzie. Obecnie niczego nie piszę, bo James i doktor pozbawili mnie pióra i atramentu, podobno mam dzięki temu lepiej wypocząć. Nora jednak podejrzewają zaś skłonna jestem jej wierzyć, że chcą mi oni uniemożliwić pisemny z nią kontakt. Ale nie wiedzą, że Nora potrafi zjawiać się i znikać, gdy zechce.

No i klops, znowu Nora. Tak bardzo bałam się wyznać, że znam *Obserwacje*, głowa mi puchła od tego aż się zrobiła wielka jak Chiny, a tutaj moje śmiałe wyznanie przechodzi prawie bez echa!

- A czy również dzisiaj spodziewa się pani jej wizyty? - spytałam. - Chciałabym poznać Norę.

- Tak - odparła. - Musisz ją poznać jak najszybciej. Może się dzisiaj zjawi, nie jestem do końca pewna. Bo widzisz... Nora musi zachować

ostrożność, musi zmylić Gilfillan i McDonalda. Jeżeli czają się gdzieś w pobliżu, ona nie może się ujawnić.

- To oczywiście - rzekłam. - A jak oni, proszę pani, wyglądają?

- No cóż... McDonalda co prawda nie widziałam na oczy, wiem jednak, że umie szybko zmienić swój wygląd. Jest rzeczą powszechnie wiadomą, że przebiera się on za kapitana statku, kominiarza i biskupa. Z kolei pani Gilfillan nie wyróżnia się wyglądem: jest w średnim wieku i ma brązowe włosy. Widziałam ją przed godziną. Stała tam na dole i wypatrywała zza buka. Była bez kapelusza, w brązowej sukni i pelerynie. Pewnie chciała zlać się z otoczeniem.

Milady oparła się wygodniej w fotelu i wygładziła spódnice. Bodajże nigdy w życiu nikt nie obudził we mnie takiego współczucia. Biedaczka! Siedziała tak blisko, na wyciągnięcie ręki, lecz była już poza moim zasięgiem, jakby mieszkała w zupełnie innym świecie.

- A czy jest pani całkowicie pewna, że właśnie tak się sprawy mają? A czy nie mogłaby się pani... hm... pomylić co do tej pani Gilfillan?

- To wykluczone - odrzekła. - Obawiam się, Bessy, że sprawy mają się tak właśnie. Trudno uwierzyć w istnienie takich złych ludzi, ale oni istnieją naprawdę. - Zauważyła niechybnie, że zmienił mi się wyraz twarzy, ponieważ dodała: - Ale ty się nie martw, kochana. Tobie nic nie grozi. Wraz z Norą opracowuję pewien plan, dzięki któremu na dobre pozbedziemy się McDonalda i pani Gilfillan.

- A na czym, proszę pani, ten plan polega?

- Poczekaj, to sama zobaczysz - odparła z konspiracyjnym uśmiechem. - Nasz plan powiedzie się bez wątpienia.

Zazdrościłam jej tej pewności. Ku swojej rozpaczy stwierdziłam, że w oczach mam łzy. Ale przecie milady nie mogła widzieć, jak płaczę! Zastanawiałaby się potem, coż takiego mi się stało. Zerwałam się na równe nogi.

- Proszę pani, słyhać konie! - powiadam. - Pewnie pan James i doktor wracają ze Snatter.

Podbiegłam do drzwi, żeby tylko milady nie dostrzegła mej twarzy. Kątem oka widziałam, że milady z niepokojem wygląda przez okno. Podjęłam rzyko i fartuchem otarłam policzki.

- Konie? - powtórzyła za mną milady. - Ja niczego nie usłyszałam. Myślisz, że owinęły kopyta szmatami, żeby znienacka nas zaskoczyć?

- Nie, proszę pani! - odparłam, zrozpaczona. Wychodziło na to, że każdy mój ruch, każde słowo wpędza ją w coraz głębsze szaleństwo! - Słyszałam zwykłe kopyta. A teraz muszę już iść. I proszę się nie martwić. Ja się wszystkim zajmę.

- Wiem, Bessy - rzekła. - Ale jeśli przy domu pojawi się ktoś obcy, to koniecznie daj mi znać.

Odniosłam wrażenie, że w głębi jej oczu coś się nagle zamazało i na moment wróciła dawna milady. Tak jakby gdzieś pod powierzchnią twarzy dalej tkwiło jej prawdziwe ja, obecne tam, choć bezsilne.

I znów odwróciła się do okna, by wypatrywać Bóg wie czego: czających się w krzakach intruzów lub owiniętych szmatami kopyt. Wyglądała tak krucho, że oparcia fotela zdawały się wręcz wchłaniać ją w siebie. Wychodząc z pokoju, zerknęłam na nią jeszcze, przepętniona niepokojem i żalem, jakbym widziała ją po raz ostatni. Nie odrywałam od niej wzroku aż do chwili, w której ostatecznie przysłoniły mi ją drzwi.

Moja milady. Moja biedna kochana milady!

Pół godziny później zjawił się pan James z doktorem. A ja przez minione trzydzieści minut leżałam skulona w swojej izdebce, zdjeta smutkiem, niepokojem, poczuciem winy i wściekłością na siebie. Smutkiem, bo chyba straciłam milady na zawsze, a była to myśl trudna do zniesienia. Niepokojem, bo nie wiedziałam, co dalej. Poczuciem winy i wściekłością na siebie, bo sama się za to wszystko obwinałam. W końcu to w akcie zemsty za to, co o mnie milady pisała, zaczęłam ją straszyć i prześladować. A mój rzekomy duch wepchnął ją potem na drogę obłądu. Nie dostrzegłam przy tym, jak bardzo jej stan się pogorszył od chwili, kiedy tak zwana zjawa ukazała się jej nad łóżkiem. To prawda, że przez ostatnie tygodnie, odkąd do gry wkroczył lekarz, prawie mej pani nie widywałam. Żadne to jednak usprawiedliwienie.

Teraz już, rzecz jasna, wiedziałam, że nie istnieje żaden duch, że to wszystko zagościło wyłącznie w jej głowie. Wiedziałam, że Nora, która ukazała mi się w tym samym mniej więcej czasie, po prostu mi się przyśniła, bo za dużo myślałam o duchach. Pomyliłam się też co do nakazanego Norze marszu, o który milady się wcale nie obwiniała, nie wiążąc bynajmniej śmierci Nory z tym konkretnym eksperymentem. No ale milady nie uważała już Nory za zmarłą.

Namieszałam okropnie. Całym sercem pragnęłam zacząć od samego początku swój pobyt w Zamku Haivers. Gdybyż to było możliwe! Od pierwszej chwili byłabym postępowała inaczej. Przede wszystkim nie grzebałabym w piecu, żeby obejrzeć nadpalony brulion, który potem co prawda okazał się dziennikiem Morag, lecz który obudził późniejsze podejrzania. Nie byłabym przeszukała biurka milady, nie przeczytałabym *Obserwacji*. A już na pewno poniechałabym głupiej zemsty, nie straszyłabym mojej pani duchami.

Tyłu rzeczy bym nie zrobiła. Ale było już za późno. Choroba milady posunęła się za daleko i nie mogłam już pomóc. Bałam się nadto, że tylko pogorszę jej stan. Ktoś inny powinien się nią zająć, ktoś lepiej ode mnie wykształcony, mądrzejszy i roztropniejszy.

Dlatego też po powrocie obu panów udałam się zaraz do gabinetu i o wszystkim im opowiedziałam, o wszystkim od samego początku, niczego nie pomijając.

Nie będę relacjonować punkt po punkcie tego, co potem miało miejsce. Dość powiedzieć, że przekazałam im wszystko, co usłyszałam od milady, i wyraziłam swoją opinię: moja pani zwariowała, a stało się tak wyłącznie z mojej winy. Wyznałam, że ją straszyla i że mściłam się w ten sposób za to, co napisała o mnie w swej książce. Powiedziałam, nie owijając w bawełnę, że żałoba po Norze w połączeniu z moimi psotami wytworzyła w jej głowie okropny mętlik, a wcześniejsze eksperymenty łączyła teraz z obecnością wymyślonej kobiety, pani Gilfillan. A gdy panowie spytali mnie o *Obserwacje*, wyjaśniłam, co to takiego.

Muszę oddać im sprawiedliwość: słuchali, nie przerywając mych zeznań (bo chyba tak to określić należy). Żadnych okrzyków, oburzenia, łajania, żadnego biegania po pokoju i wymachiwania rękami. Pan James trochę obgryzał paznokcie i wyglądał na zdziwionego paroma z moich rewelacji, natomiast doktor, jak to on, nie dawał nic poznać po sobie, gdyby podpalić mu faworyty, nawet nie mrugnąłby okiem. Kiedy skończyłam, patrzyli na siebie przez chwilę. Następnie doktor znów utkwiał wzrok w swojej fajce. Pan James wstał, podszedł do kominka, odwrócił się i spojrzał mi w oczy.

- Ciekawa historia, Bessy - powiada. - Nie wiem tylko, w jakim stopniu prawdziwa. Musimy z doktorem zbadać tę sprawę dokładnie. Nie wyglądasz na kogoś, kto kłamie, tym bardziej że niektóre z przytoczonych przez ciebie wydarzeń mogą skutkować bezzwłocznym odprowadzeniem cię z tego domu, jeśli rzecz jasna istotnie miały miejsce. Swoją drogą, nie widzę powodu, byś miała się przyznać, że udawałaś tutaj ducha, jeśli naprawdę tego nie czyniłaś.

Popatrzył stropiony na lekarza, jak gdyby czekał, aż ten coś doda, ale McGregor-Robertson dalej ćmił swoją fajkę, nie podnosząc wzroku. Pan James zatem ponownie zwrócił się do mnie:

- Co się tyczy pozostałych wydarzeń, to owe złowrogie spiski, ta zła kobieta, tajemne eksperymenty i książki pisane przez żonę, gdy mnie nie ma w domu... No, delikatnie rzecz ujmując, nie brzmi to wszystko zbyt wiarygodnie.

- Niech mi pan wierzy, sir - rzekłam. - Taka jest prawda. Wołałabym, żeby było inaczej, ale niestety jest, jak jest.

Skinął głową.

- Zostaw nas samych na chwilę, Bessy. Chciałbym porozmawiać z doktorem. Ale nie odchódź za daleko, bo możesz być nam za moment potrzebna.

Dygnęłam i opuściłam gabinet. Jak tylko zamknęłam za sobą drzwi, panowie zaczęli rozmawiać półgłosem, ale tym razem nie podsłuchiwałam, jak to zdarzało mi się w przeszłości. Chodziłam po holu i dotykałam mebli: stojaka na kapelusze, stolika na listy, poręczy i innych przedmiotów, z których już tyle razy ścierałam kurz. Kładłam teraz

na nich dłoń, jakbym się z nimi żegnała. Przez kilka minut głosy w gabinecie to przybierały na sile, to cichły. Potem nagle drzwi się otwały i obaj panowie wyszli do holu.

Pan James podszedł do mnie, spojrzął wymownie na sufit i rzekł niegłośno:

- Książka, o której wspomniałaś. Może mi powiesz, gdzie ją znajdę.

Zawahałam się. Pomyślałam o milady. Tak długo strzegłam jej sekretu! Potem jednak przypomniał mi się szaleńczy błysk w jej oczach i wszystkie brednie, którymi dopiero co mnie uraczyła.

- Książkę znajdzie pan w biurku - powiedziałam. - Szuflada jest zamknięta, a kluczyk milady nosi przy sobie w kieszeni.

Pan James odwrócił się na pięcie i szybko ruszył na górę, doktor szedł tuż za nim. Odczekałam kilka chwil i - ponieważ mi tego nie zabroniono - również udałam się na piętro. Idąc po schodach, słyszałam, jak obaj panowie wchodzi do pokoju milady. Dobięły mnie przytłumione odgłosy rozmowy, potem rozległ się metaliczny brzęk, jakby ktoś uderzył pogrzebaczem w palenisko kominka. Gdy stanęłam na piętrze, milady krzyknęła:

- Nie!

Potem rozległy się odgłosy walki, ktoś upadł, ktoś metalowym przedmiotem uporczywie walił w drewno. I znowu krzyk, tym razem głośniejszy. Gdy wbiegłam do środka, pan James stał pochylony nad biurkiem z pogrzebaczem w dłoni, a doktor przytrzymywał szamoczącą się na podłodze milady, która biła go i kopała. Kiedy jej wzrok padł na mnie, ujrzałam w jej oszalałych oczach straszne błaganie, błaganie bezradnego zwierzęcia, które trzyma w swych szponach drapieżnik.

- Nie pozwól mu, Bessy! Powstrzymaj go! Oni skumali się z tą Gilfillan!! Chcą mi zabrać wyniki badań!!

- Nic złego się nie stanie, proszę pani - powiedziałam. - Oni chcą pani pomóc. Niech się pani nie martwi.

Lecz ona dalej szamotała się i wyła.

Wtedy w biurku coś skrzypnęło i trzasnęło doniosłe, bo drewno w końcu ustąpiło przed naporem pogrzebacza. Pan James cofnął się chwiejnie. Odłamana część szuflady leżała na podłodze.

Sięgnął do środka i jął wyjmować zawartość. Najpierw wyciągnął *Obserwacje*, potem, jeden po drugim, dzienniki kolejnych służących. Było ich pewnie kilka tuzinów, bo gęsto pokryły cały blat biurka, brulion na brulionie.

Milady opadła z sił i zanosła się cichym szlochem. Doktor mógł już ją puścić, wstał tedy i podszedł do biurka. Milady dalej leżała zapłakana, tymczasem McGregor-Robertson wziął do ręki *Obserwacje* i zaczął czytać na głos pierwszą stronę.

- „Gdybyśmy posiadali dokładny opis natury, zwyczajów i wykształcenia klasy służebnej w czasach obecnych i szczegółowe studia konkretnych przypadków, dziejopisarstwo zyskałyby wiele...”. Spojrzał krótko na milady i wrócił do - cichej tym razem - lektury.

Przykucnęłam przy mojej pani. Chciałam pogłodzić ją po głowie, ale wzdrygnęła się i spojrzała na mnie nieufnie.

- Nie udawaj, że jesteś po mojej stronie - powiedziała ze łzami w oczach.

- Ależ ja jestem po pani stronie - odrzekłam. - Jestem pani najlepszą przyjaciółką.

Przez moment patrzyła na mnie niechętnie, potem uznała zapewne, że można mi jednak zaufać, ponieważ łamiącym się półszepcetem spytała:

- Co z Norą? Jest bezpieczna?

Otwarłam już usta, by coś powiedzieć, choć nie wiedziałam jeszcze, co konkretnie, lecz poratował mnie pan James. Odwrócił się mianowicie od biurka i ostrym tonem przemówił do żony w te słowa:

- Arabello! Wszak wiesz doskonale, że Nora nie żyje!

Milady jakby się przeraziła. Oczy otworzyły się jej szeroko, ręką chwyciła się za gardło.

- Nie żyje? - powtórzyła za mężem. - Naprawdę nie żyje? Naprawdę umarła?

- Owszem - odparł pan James. - Na litość boską, musisz to przecież pamiętać. Przejechał ją pociąg.

Milady przechyliła głowę na bok.

- Przejechał ją pociąg? Tak, tak, już sobie przypominam. - Spojrzała na mnie. - Ale co z jej maleństwem? - spytała. - Co z jej maleństwem?

- Proszę? - rzekłam, gapiąc się na nią, i miałam już dodać: - Z jakim maleństwem? - ale obaj panowie rzucili się na nas i wymówić tych słów nie zdołałam. Pan James podniósł mnie z kucek, a doktor przyklęknął przy milady, odgradzając ją ode mnie. Pan James popchnął mnie ku drzwiom.

- Posłuchaj, Bessy - powiada. - Zrobiło się trochę gorąco. A twoja pani, jak zresztą wiesz doskonale, nie jest już sobą i mówi od rzeczy. Dobrze by było, gdybyś zostawiła nas tutaj samych. Musimy z nią porozmawiać, żeby ustalić, czy powiedziałaś nam prawdę. Poza tym mogłabyś wybrać się do Snatter i przynieść nam... na przykład...

- Piwo - odezwał się McGregor-Roberston, unosząc wzrok znad milady. - Dobry Boże, przynieś nam piwa, bo po tym wszystkim piwo dobrze mi robi.

Pan James jakby odetchnął z ulgą.

- Właśnie, kup nam piwa! - potwierdził. - Sam się chętnie napiję. - Opukał się po kieszeniach. - Hm... Douglas, masz może przy sobie drobne? - Lekarz sięgnął do kieszeni i podał mu kilka monet, które pan James od razu wcisnął mi do ręki i pokierował mnie w stronę schodów. Gdyśmy dotarli na korytarz, popatrzył na mnie surowo. - I nikomu ani słowa - powiedział.

- Oczywiście, sir.

- Wolałbym, żebyś się nie upiła, ale też przez najbliższą godzinę nie chcę cię tutaj widzieć. Kup sobie drinka i pij go powoli. A my spróbujemy wydobyć coś sensownego z twojej pani. Co tyczy się ciebie... - znów spojrzął na mnie surowo - ... to muszę jeszcze zadecydować, jakie kroki podejmę. Przemyślę to w nocy. Do czasu podjęcia decyzji możesz dalej wykonywać swoje obowiązki... Ale pamiętaj, Bessy, że w każdej chwili mogę cię odprawić.

Wrócił do pokoju milady i głośno zatrzasnął za sobą drzwi. Usłyszałam, jak w zamku przekręca się klucz.

Tracę nadzieję

W karczmie „Za Węglem” weranda była pusta, lecz od otwartej klapy w okienku niosła się woń przypalonego tłuszczu. Zerknęłam przez okienko do sali i ze zgrozą ujrzałam Hectora, siedzącego z nogami na ławie. Janet stała przy piecu, gotując coś pewnie dla gościa, co kwaterował w izbie na piętrze. Żadne z nich mnie nie dostrzegło, z czego zresztą się ucieszyłam, bo uświadomiłam sobie nagle, że nie mam ochoty z nikim rozmawiać. Ulokowałam się w cieniowym kącie za drzwiami, gdzie cuchnęło kurzem, piwem, moczem, wiekowym drewnem i pleśnią. Przed oczami wciąż miałam rozłupane biurko, obnażoną nagle książkę mej pani oraz samą milady, spoglądającą na mnie z podłogi bezradnie i ufnie zarazem. Albowiem milady dalej mi ufała, i to po wszystkich okropieństwach, które przeze mnie stały się jej udziałem!

Wcisnęłam się mocniej w swój kąt, przywierając plecami do chropawego drewna ściany. W ramieniu poczułam ukłucie gwoźdźcia i namyślnie przesunęłam się w taki sposób, by ostrze rozerwało sukienkę i otarło się o moją skórę. Do środka weszło nagle dwóch mężczyzn, wyglądających na miejscowych górników. Zamarłam i szykowałam już wyjaśnienia, dlaczego to kryję się tu za drzwiami, lecz oni od razu podeszli do okienka, ustawiając się plecami do mnie. Janet napełniła ich butelki i znowu ulokowała się przy piecu, nie spojrzawszy nawet w moją stronę, oni zaś wyszli, a ja pozostałam niezauważona. Może taki już jest mój los, pomyślałam. Przez całą wieczność stać w zimnym i brudnym kącie, niewidzialna dla innych, z pustymi

butelkami przy piersi, ze starym gwoździem, co wrzyna mi się w plecy. No, krucafuks, i tak zasłużyłam na większą karę.

Gdym tak dumiała, Janet odwróciła się od pieca i postawiła obok Hectora talerz z klopsami i kartoflami.

- Skocz no z tym na górę, dobra? - rzekła.

Hector, który właśnie czyścił nożem paznokcie, wyglądał na obrażonego tą prośbą. Przez moment patrzył na talerz z niejaką pogardą, po czym bardzo wolno podniósł się na nogi. Przeciągnął się, ziewnął, podrapał się po głowie. Dostrzegłszy dziurę w swej kamizelce, przyjrzał się jej uważnie i wsunął w nią palec. W końcu, jakby sobie wreszcie o tym przypomniał, podniósł talerz i zaniósł go na górę, pogwizdując *Wszystko dam za kromkę chleba*.

Nie miałam nastroju na rozmowę z Hectorem, więc uznałam, że jest to chwila dogodna, by kupić, co miałam do kupienia. Zbliżyłam się do okienka, sądząc, że Janet mnie zauważy, lecz ona odwróciła się właśnie, jakbym istotnie stała się niewidzialna. Spojrzała na mnie dopiero wtedy, gdym obwieściła swoją obecność znaczącym kasznięciem.

- No, niech mnie! - powiada. - Nie słyszałam, jak wchodzisz.

Nie zorientowała się więc, że byłam tam już od niemal dwudziestu minut! Wychyliłam szklaneczkę, którą mi dała, podczas gdy ona napełniała butelki, i poprosiłam o następną.

- Dawnom cię tu nie widziała - powiada. - Aż tyle tam masz roboty?

- Raczej sporo - odparłam.

Spojrzała na mnie i rzekła:

- Co ci jest, kochaneczko? Widzę przecie, że coś nie gra. Źle się tam z tobą obchodzą? Nie płacą pewnikiem, co?

- Mam się dobrze - stwierdziłam krótko i wysupłałam należność. Janet znowu stanęła przy piecu i zaczęła go wycierać. Chciałam już wyjść, lecz coś mi raptem przyszło do głowy.

- Pamiętasz, jak tu byłam ostatnio? - spytałam. - Opowiadałaś mi wtedy o Norze.

- Ano - odrzekła Janet, najwyraźniej zaintrygowana. W tym momencie ze schodów zbiegł Hector z talerzem, na którym dalej były

klopsy i ziemniaki. Serce podeszło mi do gardła, kiedy dojrzawszy mnie, wyszczerzył zęby w uśmiechu.

- Szystko cacy - powiada, wręczając Janet rzeczony talerz. - Łale kdzie sos?

- Sos? - Janet cmoknęła językiem. - Do stu piorunów!

Jęła znów krzątać się przy rondlach na piecu. Do skwierczącej na patelni mieszaniny dołała trochę wody. Z kolei Hector wsunął dłoń do kieszeni i wolnym krokiem zbliżył ku mnie. Pochylił się, wsunął głowę w okienko i mrugnął do mnie, aja pomyślałam, że łatwo byłoby teraz pozbawić go łepetyny. Był wprawdzie tylko wrednym smarkaczem, ale z jakiegoś powodu nienawidziłam go w tej chwili bardziej niż czegokolwiek na świecie.

- Rzeknij mnie, Bessy - powiada. - Zaczem ty za mno łazisz?

- Wcale za tobą nie łążę - odparłam i nagle udałam wystraszoną. - Ale coś za mną łązi istotnie - mówię przerażona. - Jest białe i... wszędzie za mną chodzi.

Hector zaniepokoił się i wlepił wzrok w ciemność za moimi plecami.

- A cu to?

- Mój tyłek - odrzekłam.

Ten stary numer przerabialiśmy często na Gallowgate. Mnie to już nie bawiło, lecz z pewną gorzką satysfakcją patrzyłam na twarz Hectora, który dał się wystrychnąć na dudka.

Nagle zjawiła się za nim Janet z talerzem.

- Sos - powiada.

Hector oświadczył, że bardzo go rozbawiła, po czym ruszył z talerzem na górę. Na powrót do Zamku Haivers było jeszcze trochę za wcześnie, więc zamówiłam u Janet kolejne piwo. Napełniając mi szklanke, spytała:

- No i co z tą Nora?

Dobre pytanie. Przez moment intensywnie myślałam. A potem rzekłam:

- Widziałaś ją kiedyś z dzieckiem?

- Z dzieckiem? - Janet pokręciła głową. - Bywała tu co czas jakiś. I kręciła się po okolicy. Ale z dzieckiem jej nie widziałam.

Hector ześliznął się po poręczu, tym razem z butelką w dłoni.

Janet spojrzała na niego i zapytała:

- Widziałeś ty kiedy Norę Hughes z dzieckiem?

Pokręcił głową i rzucił jej butelkę, którą na szczęście złapała.

- Wincej piwa - powiedział.

Janet wywróciła oczy ku niebu.

- Czyż ja będę kiedy miała chwilę spokoju?

Poszła napełnić butelkę, a Hector zajął jej miejsce w okienku. Złożył ramiona i przybrawszy poważną minę, zmierzył mnie wzrokiem.

- Jest białe i łązi za tobo - rzekł, kręcąc łbem. - Łudany żart. - Spojrzał mi w oczy. - A ty nie chora, Bessy?

Chciałam dzielić go przez ten głupi łeb, ale właśnie wróciła Janet i podała mu butelkę.

- Zanieś to, dobrze? - powiedziała. - Ja już mam dość. Ten dzwonek brzęczy przez dzień cały.

Hector odwrócił się i pobiegł na górę, krzyząc do mnie:

- Zostań no jeszcze!

Spojrzałam na Janet.

- Od kiedy on tu pracuje?

- E tam, pracuje - odparła. - Kręci się tylko. No to co z tą Norą?

- Sama nie wiem - powiadam. - Mówiłaś mi kiedyś, że o jej śmierć winnam spytać moją panią.

- Naprawdę? - Roześmiała się i pokręciła głową. - Pewnikiem byłam pijana.

Wzruszyłam ramionami.

- Milady twierdzi, że to był wypadek.

- Ano, tak powiadają. To było w dzień parady Wolnych Ogrodników. W czworakach służba i parobcy harcowali wtedy na całego, a Nora ponoć za dużo wydudliła, zabłądziła w ciemnościach i wpadła pod pociąg. Tak powiadają.

- Ale co ty o tym myślisz?

Zastanawiała się przez chwilę.

- Bo ja wiem, kochaneczko - rzekła, kręcąc głową. - Ta twoja milady, ta pani Reid, to naprawdę straszna dziwaczka. Zamyka służące

w spiżarni i Bóg wie co jeszcze. I zamęcza je pracą. Bym się wcale nie dziwiła, gdyby to przez nią zginęła Nora.

- To znaczy... Przez nią Nora zabiła się sama?

Oczy Janet otwarły się szerzej, a kąciki ust opadły lekko.

- Może - odparła.

Co za bzdura!

- Wykluczone - rzekłam. - Milady nie skrzywdziaby muchy.

Hector z hukiem zbiegł po schodach, tym razem z opróżnionym już talerzem i brudnymi sztućcami. Cisnął to wszystko na stół, aż zabrzęczało.

- Łona tera pyto o syr - powiedział.

Janet po prostu opadła szczęką. Patrzyła na mnie oszołomiona.

- Ser?! - powiada. - Teraz pyta o ser?!

Zbliżyła się do kredensu, wyjęła talerz, na którym leżało coś zielonego i puszystego, i wręczyła go Hectorowi.

- Oto ser - rzekła.

Hector znów podreptał na górę, a Janet wróciła do okienka.

- A czy tuż przed śmiercią Nora się jakoś zmieniła? - spytałam.

- To znaczy?

- Czy wyglądała inaczej? Czy... przybrała na wadze?

Janet zmarszczyła czoło.

- Czy przybrała na wadze? - powtórzyła za mną. - Nie, nie była grubsza niż zwykle. Już prędzej ciut chudsza.

- A na pewno nie widziałaś jej z dzieckiem?

- Nigdy w życiu.

Słyszac dudniący na schodach krok Hectora, Janet spojrzała na niego groźnie, jak gdyby chciała zaznaczyć, że nie spełni już żadnych życzeń swego jakże wymagającego gościa. Hector po schodach biegł, ale do stołu zbliżał się już znacznie wolniej. Usiadł w końcu, wyciągnął nóż i wrócił do czyszczenia paznokci. Po chwili poczuł na sobie wzrok Janet i spytał:

- Co znowu?

A wtedy na górze zabręczał dzwonek.

Janet pogroziła pięścią niewidocznemu gościowi.

- Starczy już tego dobrego - rzekła. - Zobaczymy, czego chce teraz!
- Rażnym krokiem podeszła do schodów i z miną wielce nasrożoną ruszyła na górę.

Na dole zapadła głucha cisza. Hector wpatrywał się we mnie znad stołu, ruszając brwiami wymownie.

- My tera som sami - powiada.

Za kogo on się krucafuks miał? Za księcia z bajki? Patrzyłam na niego z nienawiścią. Siebie jednak nienawidziłam bardziej. Poczułam, jak coś we mnie wzbiera, ślepa furia, czy coś w tym rodzaju.

- No to chodź - powiadam.

Zamrugał.

- Co? - spytał zdziwiony.

- Chodź - mówię. - Janet będzie przez moment na górze. Możemy pójść za karczmę.

Co powiedziawszy, wzięłam swoje butelki i wyszłam na zewnątrz.

Powietrze było wilgotne. Twarz mi jakoś stężała, lecz czułam się za nią bezpiecznie. Tu i ówdzie widać było światła w oknach, oddalonych ledwie kilka rzutów kamieniem od żywopłotu. W tych domach mieszkali ludzie, którzy nic zgoła dla mnie nie znaczyli. Ludzie, których nigdy na oczy nie widziałam i którzy nie obchodzili mnie ani trochę. Swoją drogą nie obchodził mnie nawet własny los, nie zależało mi już na niczym zupełnie.

Najciemniejszy zakątek znajdował się za werandą, toteż tam skierowałam kroki, stąpając po chrzęszczących mi pod nogami odłamkach szkła. Podeszłam pod samą ścianę i odstawiłam butelki na ziemię. W karczmie skrzyknęły drzwi i zza rogu wyłonił się Hector. Kroczył wzdłuż ściany po omacku, oddychał szybko, cały podniecony. Pewnie nie mógł uwierzyć we własne szczęście.

- Bessy? - powiada.

A ja chwytam go za ramię i wciągam w cieniste miejsce.

Co było dalej, przemilczę. Nie tylko przez wzgląd na przyzwoitość, ale również dlatego że wstydę się tego wszystkiego, com do tej pory w życiu robiła.

Boziu droga, jakie to dziwne, że jeszcze po tylu latach zdarzenie tego rodzaju może tak bardzo rozdrażnić człowieka, gdy trzeba ubrać je w słowa. Ale niczego się nie wypieram i nie próbuję się usprawiedliwić, zaznaczam jedynie, że postradałam wtedy resztki szacunku dla siebie. Tak czy inaczej, nie ma już sensu rozwodzić się nad tym! Muszę wrócić do swojej relacji. Panowie, na których prośbę spisuję te wszystkie wypadki, nie liczą zapewne na moje dygresje, albowiem bardziej ciekawi ich milady.

Teraz przeskoczę trochę w czasie, do chwili gdy znalazła się znowu w Zamku Haivers. Pan James nakazał mi wcześniej, bym nie wracała zbyt szybko, ale nie miałam gdzie się podziać, tedy wemknęłam się cichaczem do swego pokoju i chciałam czekać tam tak długo, aż będzie mi wypadało obwieścić swój powrót. W tym czasie doprowadziłam się do porządku. Myjąc się, słyszałam dobiegające z dołu odgłosy: otwieranie i zamykanie drzwi, kroki na schodach i tak dalej. Zapewne (tak pomyślałam) pan James i doktor wciąż doglądają milady.

Okropnie pragnęłam ją zobaczyć, więc jak tylko nadeszła prawie stosowna już pora, zeszałam na dół i stanęłam przed drzwiami jej pokoju, gotowa przyjąć nowe polecenia pana Jamesa. Zapukałam - i jakież było moje zdumienie, gdy drzwi otwarła Krasulica. Stała w progu na swych słoniowatych nogach niby jakiś więzienny strażnik, z tłustym uśmiechem na twarzy, z rękoma podpartymi pod boki.

- Jak się miewa milady? - spytałam.

- Tobie wchodzić zakazano - powiada. - Pan James nie przyzwala. Mam pilnować, cobyś nie wlaźła. - I znowu szkaradnie kły wyszczerzyła.

Oż do stu krucafuksów! Pan James nie przyzwala! Miałam ochotę przywalić jej pięścią w facjatę. Żeby ta flądra cieszyła się prawem, jakiego nie posiadałam już ja! Czy zostałam niniejszym zwolniona z pracy, tego wszelako pewna nie byłam.

Próbowałam zajrzeć do środka.

- Milady czuje się dobrze? - spytałam.

Muriel wrzuszyła ramionami.

- Śpi jak suseł.

- Gdzie jest pan James?

- A bo ja to wiem? - odparła szorstko.

Aby nie rąbnąć w to tłuste cielsko, odwróciłam się i zbiegłam na dół. Z gabinetu dobiegły mnie jakieś głosy, tedy weszłam do kuchni i ustawiłam na tacy szklanki oraz kupione u Janet piwo. W brzuchu aż przewracało mi się na widok tych butelek, ponieważ przypominały mi one boleśnie to wszystko, na co pozwoliłam sobie z Hectorem. Odsunęłam jednak od siebie te myśli i wyszłam z kuchni do holu. Drzwi do gabinetu były na wpół otwarte. Pan James siedział w fotelu, trzymając się rękoma za głowę, doktor zaś stał przy kominku, bazgrząc coś w swoim notesie. *Obserwacje* i dzienniki służących pięły się w stosik na biurku. Ledwie zdążyłam przestąpić próg, a doktor już rzucił się na tacę i począł rozlewać piwo do szklanek. Jedną z nich podał panu Jamesowi, który przyjął ją mechanicznie, nawet nie uniósł wzroku.

- Proszę wybaczyć, sir - powiedziałam, dygając grzecznie. - Czy milady dobrze się już miewa?

Pan James jednak na mnie nie spojrzał. Ożywił się za to McGregor-Robertson. Odwrócił się do mnie, przymknął oczy i rzekł:

- Uspokoiła się, Bessy. Dałem jej coś na sen. Wcześniej zadaliśmy jej kilka pytań i ustalili, że miałaś rację: ona istotnie cierpi na urojenia. Jest to przypadek niezmiernie ciekawy. Po raz pierwszy stykam się z czymś podobnym. - Otworzył oczy i przekartkował swój notes. - Szpieguje ją ponoć jakaś kobieta, ja i twój pan należymy do spisku, a owa Nora...

Nagle pan James odchrząknął donośnie. Lekarz zamilkł.

- Ona myślała, że Nora żyje - wtrąciłam się szybko - ale to było przedtem. Gdy pan jej powiedział, że Nora umarła, milady zaczęła mówić o jakimś dziecku. Nigdy wcześniej o tym nie wspominała, nie mówiła o żadnym dziecku. Coś mi tu nie gra, sir. Milady cierpi na urojenia, to prawda, ale kiedy mówiła o dziecku, to mówiła o czymś prawdziwym, tak sędzę. Tej Norze naprawdę coś się przytrafiło.

Pan James poprawił się w fotelu. Jego oczy ześliznęły się ze mnie i skierowały na kominek.

Doktor z trzaskiem zamknął swój notes.

- Dobry Boże! - powiada. - Nie przywiązywałbym wagi do wszystkiego, co twoja pani mówi ostatnimi czasy. Może i mówi o dzieciach. W jej umyśle rodzą się teraz różnorakie halucynacje.

- Bessy - odezwał się pan James tonem surowym, acz świadczącym też o zmęczeniu. Posłał mi ostrzegawcze spojrzenie i rzekł: - Pamiętaj, że twoja posada w tym domu jest wysoce zagrożona. Nie podjąłem jeszcze decyzji co do twych dalszych losów... Ale naprawdę nie żartuję, kiedy zaznaczam, że w każdej chwili możesz tę pracę stracić. - Westchnął. - Gdyby nie kłopot ze znalezieniem nowej służącej, to prawdopodobnie odprawiłbym cię już teraz.

Złożyłam bardzo głęboki dyg.

- Rozumiem, sir - odparłam. - Wiem o tym, sir. Ale, sir, jestem gotowa uczynić wszystko, by tylko pomóc milady. Zrobię wszystko, co konieczne, sir. To w końcu moja wina, sir, i chciałabym...

- Cóż... - uciszył mnie pan James, machając ręką w powietrzu. - Opowiadałaś nam już o tym. Bez wątplenia źle postąpiłaś, lecz nie obwiniałbym ciebie tak bardzo, jak ty obwiniasz się sama. Straszaniem duchami napytałaś nam trochę biedy, to prawda, ale wiedz jedno: twoja pani najpewniej i tak by zachorowała. Twoje figle, mówiąc szczerze, nie odegrały w tej sprawie aż tak wielkiej roli. Jesteśmy niemalże pewni, że opadłyby ją jakieś urojenia, nawet gdybyś nic nie robiła. Prawda, doktorze?

- W rzeczy samej - odrzekł McGregor-Robertson. - Twoja odpowiedzialność za chorobę twojej pani istotnie jest mniejsza niż myślisz. - Gdy na mnie patrzył, oczy mu się przymknęły, usta wydłużyły. Zrozumiałam, że próbuje zdobyć się na uśmiech. Przypominało to plasterek boczku zwijający się na patelni.

Nie mogłam się zgodzić z tym, co mówili, ale nie chciałam też oponować, wszak moja pozycja była nader chwiejna. Trzymałam więc język za zębami i wlepiłam wzrok w podłogę.

- Bo widzisz... - podjął pan James. - Arabella, w jej obecnym stanie, błędnie pojmuje każde nasze słowo i gest, by wszystko pasowało do jej urojeń. - Urwał na moment i rzekł: - Popatrz na mnie, Bessy.

Uniosłam głowę i nasze spojrzenia zetknęły się ze sobą. Pod oczyma miał sine cienie, nigdy wcześniej ich nie dostrzegłam.

- Na razie - powiada - twoją panią zajmie się Muriel jako osoba mniej niż ty... podatna na sugestie. Jej stosunek do mojej żony jest przy tym mniej emocjonalny niż twój. Doktor uważa, że za takim rozwiązaniem przemawiają względy zdrowotne. Nadmiar emocji może tu wiele zaszkodzić. Tymczasem możesz dalej wykonywać zwykłe obowiązki, ale kończą się one na progu wiadomego pokoju. W zakresie spraw bardziej intymnych twoją panią zaopiekuje się Muriel, doktor zaś będzie nad wszystkim czuwał. Ty możesz w zamian przejąć od Muriel część jej dotychczasowych obowiązków. Porozmawiaj o tym z Jessie, może będzie cię potrzebować, a może nie. Tak czy inaczej, czeka cię okres próby, Bessy. Będę cię bacznie obserwować i jeśli uchybisz mym wymaganiom albo też znowu zachowasz się niepoprawnie, możesz się liczyć z bezzwłoczną odprawą. Mam nadzieję, że wyrażam się jasno.

Nie mogłam już wytrzymać jego spojrzenia i wzrok mój opadł na dywan. Czułam w gardle twardą gulę. Przełknęłam ślinę i rzekłam:

- Powinien mnie pan odprawić, sir.
- I może jeszcze to uczynię - prychnął i ruchem ręki wskazał mi drzwi.

To znaczy, że miałam odejść. Co uczyniłam jak urodzony lokaj, cofając się krok za krokiem, dygając, szurając nogami. Sztuka to zaiste niemała opuszczać pokój w ten sposób. Ale gdybym musiała, wyszłabym nawet na uszach, tak wielki był mój żal i wdzięczność.

Przez kilka kolejnych dni serce podskakiwało mi w piersi, jak tylko zabręczał dzwonek albo gdy w polu widzenia zjawiał się pan James. Czułam, że w każdej chwili może zdarzyć się katastrofa, byłam jak jasko balansujące na krawędzi stołu, mogące za moment spaść na podłogę. Naprawdę spodziewałam się wymówienia, naprawdę czułam, że na więcej nie zasługuję. Starannie unikałam Hectora, bo jego widok uświadamiał mi zawsze skalę mojego zepsucia. Stał raz przy

kuchennym oknie i wlepił we mnie maślane spojrzenie, licząc zapewne, że jeszcze raz dam mu gościnę w swoim gniazdku. Obląłam go wtedy wodą, a kiedy później pokazał się znowu, cisnęłam weń tacą i przytrzasnęłam mu drzwiami paluchy, miał szczęście, że ich nie zmiażdżyłam. Potem zostawił mnie wreszcie w spokoju.

Zdaniem doktora stan milady był stabilny. Skończył się, dzięki Ci Boziu, okres aplikowania jej mleka, nasion i lewatywy. Od teraz miała żywić się już normalnie. Dostała z powrotem książki, pióro, atrament i papier, albowiem doktor zmienił terapię, uznawszy, że umysł chorej powinien być jak najbardziej aktywny. Milady będzie miała mniej czasu na urojenia i halucynacje, mniej zatem, jak mówił, będą ją one trapić.

Gdy zносиłam mu do pokoju lekkie posiłki, zastałam go parę razy nad notatnikiem. Przypadek milady okazał się bowiem na tyle intrygujący, że doktor postanowił opisać go w fachowym artykule. Jednakże praca, jak przyznał, nie idzie mu gładko, ponieważ milady, odkąd dopatrzyła się w nim uczestnika spisku, nie odpowiada na żadne z jego pytań.

- A czy wspominała coś jeszcze o dziecku? - zapytałam go kiedyś.
Pokręcił głową.

- Nie! - odparł. - To oczywiste. Posłuchaj uważnie: kiedy o tym wcześniej mówiła, były to tylko majaczenia.

Zastanawiałam się, co też takiego on i pan James starają się ukryć przede mną. Moim pierwszym podejrzeniem - że Nora urodziła dziecko lub była przy nadziei - zaprzeczyła wprawdzie Janet, ale pewności w tej sprawie mieć nie mogłam. Przede wszystkim nie każda kobieta przybiera na wadze w pierwszych miesiącach ciąży, za przykład niech służy moja matka. Byłam jedynym dzieckiem, które udało jej się donosić do końca, ale zdarzały się wpadki, co pobywszy w łonie kilka miesięcy, opuszczały je niemalże jako „usmolone laleczki”, jak o nich matka zwykła powiadać. Tak czy inaczej, Bridget zawsze, bez wyjątku, nie przybierała wtedy na wadze, lecz chudła. Nora mogła więc spodziewać się dziecka i być przy tym chudsza niż zazwyczaj, jeżeli ciąża nie była daleko posunięta.

Niewykluczone, że milady wyjaśniłaby mi to wszystko, gdybym tylko zdołała spędzić z nią chwilę sam na sam. Ale niestety. O ile, jak sądzę, z Krasulicy pielęgniarka była nietęga, o tyle dalibóg świetnie nadawałaby się na wartownika pod londyńską Tower, albowiem straż trzymała solidnie. Licząc, że uda mi się zerknąć na milady lub dodać jej otuchy jakimś słówkiem, często pod takim czy innym pretekstem pukałam do drzwi jej pokoju. Wtedy jednakże Muriel budowała na progu zaporę z samej siebie, biodra zaś miała równie szerokie jak te jej pierońskie krówska. Nigdy nie miałam pewności, czy przekaże milady wiadomość ode mnie. Sypiała zresztą w izbie mej pani, a wychodziła stamtąd tylko do WC, co czyniąc zamykała drzwi na klucz. Parę razy, gdy Muriel pogwizdywała sobie na tronie, miałam ochotę pobiec na górę i przez dziurkę od klucza zamienić z milady kilka słów. Cóż by to wszakże była za rozmowa? Gdyby mnie nadto przyłapano, to z pracą byłabym pożegnała się na dobre. Postanowiłam nie ryzykować i czekać cierpliwie na dogodny moment.

Okazało się, że nie muszę pomagać przy dojeniu, ponieważ Jessie mojej pomocy bynajmniej nie potrzebowała. Odwiedziła ją właśnie ciotka, która onegdaj też była dojarką i która chętnie - i bez zapłaty - przejęła od razu obowiązki Muriel. Jessie najwyraźniej uznała, że lepiej pracować z kimś, kto zna się na takiej robocie, i trudno ją za to winić. Wyłożyłam tę sytuację panu Jamesowi, by nie pomyślał, że się objam. Dla niego jednak nie miało znaczenia, kto zajmuje się dojeniem, o ile nie wiązał się z tym dodatkowy wydatek.

Mijał przy tym dzień za dniem, a książki, które panowie wyjęli z biurka milady, dalej leżały w gabinecie na stole: dziennik Nory i wszystkie inne znajdowały się cały czas na wyciągnięcie ręki pana Jamesa i doktora. Jezu Marysieński, gdyby któryś z nich otworzył *Obserwacje* i przeczytał to, co milady napisała o mojej przeszłości, o panu Levym i innych sprawach, to pieroński okres próbny byłby krucafuks natychmiast się skończył i w te pędy zmykałabym z Zamku Haivers. Wszelako aż do tej pory, wyjąwszy ów pamiętny dzień, kiedy przekartkowali kilka brulionów, żadnego z panów jakoś nie

ciekawiła zawartość książki milady. Jak mi się wydaje, pan James upatrywał w Obserwacjach pierwotnej przyczyny, dla której żona popadła w nerwowość. Słyszałam kiedyś, jak rzekł do doktora, iż do tych „bazgrołów” w żadnym wypadku milady wracać już nie powinna.

Pewnego poranka, kiedy w pustym gabinecie napełniałam wiadra węglem, zauważyłam, że *Obserwacje* i dzienniki służących nie leżą już na stole i że najpewniej wyniesiono je z gabinetu. A gdy wróciwszy do kuchni, przypadkiem wyjrzałam przez okno, stwierdziłam, że nad ogródkiem warzywnym unosi się dym.

Obserwacje i dzienniki znikają. W ogródku pali się ogień. Nie mogłam się oprzeć wrażeniu, że są to fakty ze sobą związane. Porzuciłam więc swoją robotę i wybiegłam na zewnątrz. Nie pomyliłam się: przy rozlatującej się cieplarni płonęło wesołe małe ognisko. Gałęzie ze zwalonej dawno jabłoni posłużyły za podpałkę, na nich zaś piętrzyły się dzienniki i *Obserwacje*. Kilka brulionów zdążyło już do cna się spopielić, lecz jakimś cudem *Obserwacje* leżały na szczycie stosu i płomienie zdołały je jak dotąd jedynie lekko naruszyć. Chwyciłam za jakiś kijek i wyciągnęłam je z ognia. Okładki były solidnie nadpalone, lecz większość kartek między nimi oparła się jeszcze płomieniom.

Przez moment rozgrzebywałam kijem żar, licząc, że znajdę dziennik Nory, ten jednak spłonął już doszczętnie. Poczułam ogromny żal. Bardzo chciałam przeczytać raz jeszcze ostatnie wpisy tej dziewczyny, które nabrały dla mnie nowych znaczeń, kiedy milady wspomniała o dziecku. O ile mnie pamięć nie zwodziła, to Nora ponad wszelką miarę rozwodziła się nad małymi zwierzątkami, co to dopiero się narodziły. Pisała też, że często ostatnio wpada „w zadumę”. Za dawnych czasów znałam kilka dziewcząt, które „skreśliły nogę w kostce” (tak określałyśmy panny brzemiennie), i parę z nich rzeczywiście wykazywało skłonność do zadumy. Niektóre już tak mają, mówiła mi matka.

Zaczęłam się teraz zastanawiać nad brakującymi kartkami w nieistniejącym już dzienniku Nory. Niewykluczone że je zniszczono - spalono lub podarto - i nigdy nie dowiem się, co zawierały. Coś mi jednak mówiło, że one ciągle gdzieś są, że wcale ich nie zniszczono. Jeżeli

Nora wycięła te kartki sama, to pewnie po to, by je ukryć. A ukryć je mogła tam, gdzie wolno jej było się poruszać, czyli tam, gdzie przeważnie bywałam i ja: w kuchni, w spiżarni, w pralni, w małej sypialni na poddaszu.

Wsunęłam *Obserwacje* pod fartuch i szybko wróciłam do domu. Na szczęście po drodze nie spotkałam żywej duszy. Wbiegłam do swej izdebki i wcisnęłam *Obserwacje* pod materac. Przez resztę poranka przetrząsałam różne zakamarki w poszukiwaniu owych brakujących kartek, ale znalazłam tylko trzy guziki, półpensówkę i zdechłą mysz.

Później przyszedł mi na myśl kuferek Nory. To prawda, przeszukiwałam go już wcześniej, lecz mogłam przecie nie dostrzec kilku starych kartek.

Bez trudu dostałam się na strych, nie zwracając na siebie niczyjej uwagi. Pan James wprawdzie powiedział, że będzie miał na mnie oko, ale w rzeczywistości zbyt był zajęty swoją fontanną, aby naprawdę mnie pilnować. Z kolei McGregor-Robertson nie kręcił się już po domu tak często jak kiedyś, odkąd skończyły się lewatywy. Tego akurat dnia doktor miał zjawić się późnym popołudniem, a pan James tuż po śniadaniu wybrał się w związku z fontanną do Snatter.

Oto, co uczyniłam. W południe zaniósłam tacę do pokoju milady i odczekałam chwilę, by mieć pewność, że Muriel zaczęła się już obżerać. Następnie wzięłam lampę i możliwie najciszej, cicho jak węgorz w beczce z flakami, jęłam wchodzić na strych. Nie chciałam, żeby (uchowaj Boże!) usłyszała mnie milady i znowu coś sobie uroiła.

Celem mojej ostatniej tam wizyty było wytarcie napisu w okienku. Tym razem starałam się nawet nie unosić wzroku, bo na widok światlika miałam ochotę skończyć ze sobą. Patrzyłam zatem pod nogi i koncentrowałam się na kufierku. Najpierw go opróżniłam i obejrzałam dokładnie ze wszystkich stron, nie miał jednak drugiego dna, a pod papierową okleiną niczego znaleźć mi się nie udało. Potem zaczęłam szperać w rzeczach Nory. Przekartkowałam cieniutkie stroniczki Biblii, wyrzuciłam z pudełka przybory do szycia. Z lalki ściągnęłam czepek i zajrzałam jej pod spódnicę. Czy to zresztą była lalka Nory? A może kupiła ją z myślą o dziecku? Tak czy inaczej, kartek

tam nie znalazłam. Potem zabrałam się za broszurki, a było ich w sumie aż tuzin. W paru z nich widniały dopiski na marginesach, ale wbrew moim oczekiwaniom nie były to komentarze wulgarne, tylko uwagi na temat tekstu i związane z nim pytania. Dalibóg ta Nora naprawdę była święta! Uniosłam każdą z tych broszurek, aby wytrząsnąć z niej choćby jakiś świstek, lecz równie dobrze mogłabym doić gołębia. Na koniec delikatnie uniosłam kuferek i zajrzałam pod spód, ale tam też niczego nie było. Albo więc owe wycięte kartki ktoś ukrył w miejscu dla mnie niedostępnym, albo też sprawił, że znikły na zawsze.

Nastał już marzec. Pamiętam, że tego tygodnia połowa parobków zachorowała na grypę. Pogoda znowu zrobiła się wstrętna, jakbyśmy mieli środek zimy. Przez dwa dni padał deszcz i grad, w taką aurę nie wychodzi się z domu, jeśli nie jest to konieczne. Drugiego dnia po południu deszcz ustał i chociaż wciąż było strasznie zimno, pan James włożył płaszcz i ciężkie buciska, aby udać się do Snatter. Nazajutrz miała się odbyć ceremonia otwarcia fontanny, tedy pragnął on sprawdzić, w jakim stopniu pogoda wstrzymała niezbędne prace z tym faktem związane. Poinformował mnie przy tym, że kolację zje u doktora, a do domu wróci późno.

Przez kilka ostatnich dni milady zachowywała się spokojnie, lecz jakąś godzinę po ustaniu deszczu wpadła w ogromne podniecenie i Muriel musiała zaaplikować jej jakiś środek uspokajający. Kiedy zaniiosłam na górę kolację - jajko sadzone z kromką chleba - Arabella mocno już spała. Dla panów nie musiałam niczego szykować, więc odebrawszy tacę od Muriel, moje pośladki spoczęły w kuchennej przystani, gdzie przesiadziała czas jakiś, uzupełniając swój brulion, bo przecie kiedyś milady mogła chcieć rzucić na niego okiem.

Siedziałam tak przez mniej więcej pięć minut, gdy usłyszałam lekkie pukanie do okna. Deszcz, pomyślałam, i nawet nie uniosłam wzroku. Przez moment było zupełnie cicho, a potem znowu coś zabębniło, tym razem głośniej, jak gdyby zerwał się silny deszcz. Tym razem

również nie uniosłam oczu znad brulionu. Minęła minuta i nagle szyba zagrzechotała. Spojrzałam w okno, przekonana, że deszcz przestoczył się w grad. I raptem o szybę uderzyła garść błota i żwiru, wywołując taki sam ogłóś.

To Hector i jego głupie zabawy. Przez chwilę myślałam tak właśnie. Odłożyłam swój dziennik i podbiegłam do okna. Wtedy jednak przypomniało mi się, że Hector ma grypę, zemdłał nawet w oborze niby wrażliwa panienka i kazano mu leżeć w łóżku. Może doznałam jasnowidzenia, bo w tych uderzeniach kamyków i piachu w szybę wyczułam coś głęboko wstrętnego. Serce zaczęło mi łomotać - wróciły przesady, poniosła mnie wyobraźnia i następnym winowajcą, jaki przyszedł mi na myśl, była niejaka Nora Hughes.

W szybie odbijało się światło lampy i rozpalony wciąż w piecu ogień, przez co nie mogłam wyrzeć na zewnątrz. Otwarłam tedy kuchenne drzwi i wyszłam na podwórze. Tuż po mnie wybiegł kot, miauknął i zniknął gdzieś w mroku. Przez okno widziałam krzesło, na którym przed chwilą siedziałam, i uświadomiłam sobie, że ktoś mógł mnie przez cały czas obserwować. Poczuałam ciarki na plecach. Odwróciłam się i wlepiłam wzrok w ciemność. Z początku widziałam jedynie pompę i zarysy rosnących za nią drzew, których gałęzie poruszały się na wietrze. I nagle ujrzałam ją. Ujrzałam postać wyłaniającą się z ciemności i wyciągające się ku mnie szybko dłonie w białych rękawiczkach, niczym w najgorszym z sennych koszmarów. Rozpoznałam ją od razu, chociaż wołałabym nie znać jej wcale. Ujrzałam ją, ale wołałabym jej nie widzieć. Gdy się zbliżała, wiatr podwinął jej woalkę u kapelusza, która powiewała w tej chwili jak flaga.

Uniosła palec do ust i stanęła w kręgu padającego z okna światła.

- To ja, kochanie - rzekła półgłosem. - Twoja matka. Nie masz się czego bać.

Widocznie cofałam się chwiejnie na jej widok, bo uderzyłam się kostką w coś twardego, potknęłam się i wylądowałam na chłodnym schodku.

Bridget (była to bowiem ona!) zachichotała cicho.

- Traaach! - szepnęła. - Patrz pod nogi, maleńka.

Czułam się, jakby uszło ze mnie powietrze. Nie mogłam się ruszyć, podczas gdy ona dalej zbliżała się do mnie. Ubrana była na ciemno, żakiet, sukienka, kapelusz z woalką. Pochyliła się i chwyciła mnie za ramiona. Poczułam jej zapach, te same gardenie. Pomogła mi wstać, ale jak tylko poczułam grunt pod stopami, cofnęłam się na schody.

- Czego chcesz? - powiedziałam.

- Czego chcę? - rzekła szeptem. I uśmiechnęła się. - Niczego nie chcę od ciebie, moja droga. Chciałam cię tylko zobaczyć, sprawdzić, jak ci się wiedzie. Wystraszyłaś mnie nie na żarty, gdyś wtedy nagle znikła mi z oczu.

Była zdenerwowana, poznałam to po sposobie, w jaki pocierała palcami o kciuki. Spojrzała za moje plecy, do kuchni, i odchyliła do tyłu głowę, patrząc teraz na cały dom.

- Nie powinniśmy aby wejść do środka, kochanie? - spytała przy miłym głosikiem. - Ktoś może nas posłyszeć, jeśli będziemy gawędzić tutaj na progu.

„Gawędzić” z nią ochoty nie miałam najmniejszej, zirytowała mnie jej beczelność. Wyczuła chyba, że braknie mi siły woli. Roześmiała się krótko i rzekła:

- Przecie nie jestem gościem płci męskiej, no nie?

Nic na to nie powiedziałam. Jakaś część mojej osoby musiała jednak przyznać jej rację. Odgłosy z podwórka były słyszalne w pokojach na górze po tej stronie domu. Boże broń żeby Muriel tu zesza, by wściubić między nas swego grubego nochala. Mogła się przy tym obudzić milady, którą z pewnością wystraszyłby obcy głos przed domem. Jeżeli zaś pójdę z Bridget do kuchni, stwierdziłam, to nie usłyszy nas nikt. Niechętnie tedy weszłam do środka, dając jej znak, by uczyniła to samo.

W świetle lampy mogłam się jej przyjrzeć uważniej. Brzeg sukni miała mokry i ubłocony, jakby łażyła po kałużach. Ciekawe, myślałam, czy długo szła i jak długo czatowała przed domem. Nie założyła krynoliny, pewnie przez wzgląd na wiejskie zwyczaje. Jej rękawiczki były pomazane błotem, co prawdopodobnie wiązało się z uprzednią kano nadą w kuchenne okno. W tej chwili upinała woalkę do kapelusza,

rozglądając się dokoła z matowym uśmiechem. Odniosłam wrażenie, że chce pokpić trochę z zawartości kuchni, ale się przed tym powstrzymuje.

- To jest kuchnia, kochanie? - powiada. - Tutaj pracujesz?

- Czego chcesz?

Spojrzała na mnie z urazą.

- No, no - odrzekła. - Tylko bez takich. Tylem sobie napytała kłopotów, żeby cię wreszcie znaleźć! Moją córeczkę! Moją własną córeczkę!

Dziwnie to brzmiało, gdy przyznawała się, że jestem jej córką, wszak do tej pory najczęściej się tego wypierała. Prawie zaśmiałam się jej w twarz. A potem - nie wierzyłam własnym oczom - Bridget przysunęła krzesło do pieca, usiadła, rozpięła żakiet i rozpostarła spódnicę, by wyschła! Skórę bym chętnie z niej zdarła!

- Jak mnie tutaj znalazłaś? - spytałam.

- No - powiada. - Nie było to łatwe, oj nie. Żebym to dała jedno ogłoszenie w tej sakramenckiej gazecie, o nie, dałam ich chyba z dziesięć. Może widziałaś? Całe tygodnie łąziłam po tych wszystkich redakcjach. - Rozejrzała się, jakby sprawdzała, czy gdzieś w pobliżu nie leży gazeta.

Milczałam. Nie raczyłam choćby skinąć głową.

- A co ci się wtedy stało, kochanie? - ciągnęła. - Zjawiłaś się nagle i nagle zniknęłaś. Myślałam, że wrócisz. Mówiłaś, że wrócisz. Powiadam Joemu, ona wróci za chwilę, tak mówię, czekaj no, sam się przekonasz. Trzy godziny mijają i wciąż cię nie ma. A potem dni całe, ani znaku życia. Martwiłam się strasznie.

Posłała mi zbolące spojrzenie, mające poświadczyć prawdziwość jej słów. I znówjęła rozglądać się po kuchni. Patrzyłam na nią, wstrząśnięta i przygnębiona. Krew dalej dudniła mi w żyłach.

- Szkoda, że Levyemu się zmarło - odezwała się po chwili. Młasnęła językiem. - I nie zostawił ci ani pensa? Ot, stary łajdak.

Dalej nic nie mówiłam. Bridget obserwowała mnie bacznie. Z pewnością wywiedziała się wszystkiego o testamencie, jak tylko doszły ją słuchy, że Levy nie żyje. Wiedziała najpewniej, że nic nie dostałam, ale wołała, bym sama to potwierdziła. Postanowiłam zmienić temat.

- A kto odpowiedział na twoje ogłoszenie?

Zarechotała.

- W życiu byś nie zgadła - powiada. - Jakiś stary prezbiter! Kto by pomyślał! Napisał do mnie, szanowna panno O'Toole itepe. Rad jestem mogąc zareagować na pani anons, ecie-pecie, ecie-pecie. Prawie żem się zsiakała, gdy zobaczyłam podpis pod listem. Wyrazy szacunku, pastor Archibald Jakiśtam.

- Pollock - uzupełniłam, jakbym spluwała.

- Otóż to! Znasz go?

Pokręciłam głową.

- No, to dziwne. Bo on chyba zna cię całkiem nieźle, oj nieźle. Napisał mi masę rzeczy o tobie, jaką masz pracę, jak bardzo ją lubisz, jak bardzo pani Reid jest z ciebie zadowolona.

- To stary drań - powiedziałam. - I wścibski jak mało kto.

Oczom nie mogłam uwierzyć, gdy Bridget zaczęła skubać leżący na stole bochenek i wsuwać do ust kawałki chleba.

- No więc napisał on do mnie - mówi, przeżuając. - I powiada, że nie chce nagrody, bo wystarczy mu już samo to, że może pomóc bliźniemu.

- Proszę uprzejmie - mówię. - I co dalej?

- No... Napisał, że zna pewną osobę, co odpowiada moim opisom, i że ona pracuje w domu zwanym Zamkiem Haivers. On mieszka w pobliżu, lecz nie ma pewności, czy jest to ta sama dziewczyna, bo ta u niego jest znana pod innym imieniem niż to, które podałam w gazecie. No, myślę sobie, to musi być moja dziewczynka, ona już by umiała wymyślić sobie nowe imię. Moje małeństwo. - I uśmiechnęła się do mnie sentymentalnie.

Miałam ochotę wepchnąć ją w ogień. I właściwie mogłam to zrobić. Nie wiem, co mnie powstrzymało.

- A potem przysłał mi masę wścibskich pytań - podjęła. - Kim jesteś, kim był twój ojciec itepe.

Spojrzałam na nią z obawą.

- Odpisałaś?

- Skąd! - odparła, wsuwając kulkę chleba do ust. - Za kogo mnie masz? Tylko on odpowiedział na anons, więc wybrałam się tutaj,

coby przekonać się na własne oczy, czy chodziło mu o ciebie. I proszę, jesteś! Czemu nie siądziesz, kochanie? Boisz się, że wróci pan Reid?

Nie omieszkałam odnotować, że Bridget wie o jego nieobecności. Z czego musiało wynikać, że czatowała przed domem już od dłuższego czasu, że była tu, zanim zrobiło się ciemno.

- Może będzie ci łatwiej mówić - rzekłam - jeżeli połkniesz to, co masz w ustach.

Gapiła się na mnie przez moment, przeżuając chleb z otwartymi ustami.

- Co niby? - spytała. - O czym ty gadasz?

Milady nauczyła mnie dobrych manier, lecz nie powinno mnie w sumie dziwić, że uczyć się ich nie chciała Bridget. Co mnie to zresztą mogło obchodzić?

- Dobra - powiadam. - Czego chcesz?

- Wciąż o to pytasz! - Po raz pierwszy jej głos zaskrzeczał oburzeniem, które znałam aż za dobrze. - Mówiłam ci już, że niczego nie chcę! - Urwała na moment, po czym uśmiechnęła się słabo. - No, może jest jedno, czego bym jednak chciała.

- Jednak - powiadam.

- Możesz się dalej tak na mnie gapić - rzekła - ale chciałam ci o czymś powiedzieć, a kiedy powiem, będziesz mi wdzięczna. - Przerwała i rozejrzała się, oblizując usta. - Masz tu może coś do picia, kochanie? - spytała. - Dręczy mnie straszne pragnienie.

Wskazałam dzbanek.

- Tu jest mleko.

Uniosła rękę, przerażona. Równie dobrze mogłam dać jej do picia sopluczkę.

- Mleko! - powiada. - I ty to pijesz?

Wzruszyłam ramionami, zniecierpliwiona.

- Słuchaj... Jeśli chcesz mi coś powiedzieć, to mów wreszcie.

- Ohyda! - rzekła, napiwszy się z dzbanka. Nagle jednak zrobiła błogą minę i poklepała się po napełnionym brzuchu. - No, mam tu coś - rzekła z jakąś złośliwą satysfakcją - coś, co cię zainteresuje.

Spojrzała na mnie błyszczącymi oczami i sięgnęła pod przednią część sukni. Po chwili nieporadnego szukania wyciągnęła złożony kawałek czegoś zmiętego, wilgotnego, miękkiego i lśniącego, co wyglądało bardziej na materiał niż na papier, ale papierem było w istocie. Rozłożyła to, wygładziła na kolanach i podała mi. Nie wzięłam tego do ręki, ale przy świetle płomieni zauważyłam, że jest to wydrukowany tekst ballady. W nagłówku widniał tytuł *Ailsa Craig*, obok zaś słowa „napisał David Fleming”.

Wyrwałam kartkę z dłoni Bridget i obejrzałam ją dokładnie. Nigdzie nie było mojego imienia. Matka obserwowała mnie uważnie.

- Widzisz? - powiada. - Śpiewają to na wszystkich ulicach, od Galowgate aż po Byres Road. Ostatnio jakby trochę rzadziej, ale parę tygodni temu to naprawdę był szlagier. - Wskazała palcem nazwisko Flemynga. - Ten człowiek, kto by on był, ukradł twoją piosenkę! Ukradł piosenkę mojej córeczce! Nie mogłam uwierzyć, kiedym ją pierwszy raz usłyszała. Poznałam ją, ma się rozumieć, od razu, bo przecie doprowadzałaś mnie do szału, śpiewając ją bez przerwy. Byliśmy właśnie z Joem na Trongate i mówię do niego: to jest piosnka, co ją nasza Daisy wymyśliła! Podeszłam do starucha, który ją śpiewał, i wzięłam od niego kartkę z tekstem, żeby poszukać twojego podpisu. - Bridget pacnęła się w nogę i zrobiła zdziwioną minę, by udowodnić, jak wielki był jej szok.

- Właśnie! Nikogo krucafuks innego, tylko nazwisko tego drania. Pytam więc dziadka: gdzie ona jest? Pytam go: gdzie jest Daisy? Coś ty jej zrobił? Okazało się, że nic krucafuks nie wie o tobie i handluje tam jeno tymi balladami. Trzeba iść do wydawcy, coby się czegoś dowiedzieć. A wydawca to pan Lockheed, powiada dziadyga. No i tom właśnie uczyniła, poszłam do biura wydawcy na Jamaica Street, ale ten cały Lockheed też nie chciał mi nic powiedzieć. Zaklinał się, że nie wie, kim jesteś, i że ty nie mogłaś tego napisać! Na szczęście wspomniiał, że ten niby autor mieszka gdzieś koło Snatter. I tak to zem się dowiedziała, że musisz kręcić się po tych okolicach, bo przecie gagatek musiał tę twoją piosnkę usłyszeć, no nie? W paru anonsach dałam nawet jego nazwisko, ale drań do mnie nie napisał, nie dziwie

się ani trochę, bo pewnie bardzo się boi. Wychędożył cię wpierv ani chybi, a przy okazji podwędził balladę i zbił na niej sakramencki majątek.

Zadyszała się kapkę przy tej tyradzie. Rozsiadła się teraz wygodniej i wlepiła we mnie wzrok, najwyraźniej bardzo z siebie zadowolona. Wiedziałam już, czego ode mnie chce, rzecz prosta chodziło o udział w zyskach. Ja miałam jednak na głowie ważniejsze sprawy niżli zdobyć kilku funciaków i uzyskanie tytułu autorki. Nie chciało mi się nawet odierać insynuacji, której matka nie omieszkała mimochodem poczynić.

- A niechże on sobie zatrzyma pieniądze - powiadam. - Mam to głębokoko.

- No... - rzecze matka. - Myślałam tylko, że może cię to zaciekawić.

Wzruszyła ramionami, lekko zniecierpliwiona, i położyła na stole kartkę z tekstem ballady. Znów ogarnęła wzrokiem kuchnię, drapiąc się po szyi. Zdziwiłam się, że tak szybko zgodziła się porzucić ten temat.

- A gdzie sypiasz? - spytała wesoło. - Masz na górze jakiś stryszek dla siebie?

Moje zdziwienie przeszło w niepokój.

- Nie możesz tu zostać! Wyrzucą cię stąd. Ktoś w końcu się dowie! Zachichotała.

- Nie mam najmniejszego zamiaru tutaj zostawać - odrzekła.

- Dzięki ci bardzo, ale mam już pokoik.

Tym również mnie zdziwiła. Nie przyszło mi nawet do głowy, że zjawiła się tutaj wcześniej i znalazła sobie jakąś kwatere.

- Gdzie? - zapytałam ostrożnie.

Pokręciła głową.

- Jezu Marysieński - powiada. - Ta kobieta naprawdę nie powinna prowadzić karczmy.

- Jaka kobieta?

- W życiu żem nie widziała kobiety, co mniej się nadaje do usługiwania klientom. A jej karczma to chlew.

- Jaka karczma? Jak się nazywa?

- „Za Węglem” - odparła Bridget. - Ta baba łeb człowiekowi odgrzyzie, jeśli poprosi się ją o sos, ser albo pudding.

„Za Węglem”! Czyli u Janet. Sama myślałam o tym, że matka i Janet się znają, była mi wystarczająco niemiła. Ale trafiło mnie coś jeszcze. Przez moment nie mogłam zrozumieć co. I nagle mnie olśniło.

Sos. Ser. Hector biegający po schodach. Spojrzałam na Bridget, przerażona.

- Od kiedy tu jesteś?

Popatrzyła na sufit.

- Niedługo - odrzekła niewyraźnie. - Jakiś tydzień.

- Tydzień?

- Mam wakacje! - warknęła. - Raptem chwyciła mnie za sukienkę i przeproszającym tonem rzekła: - Wybacz, kochanie, serduszek ty moje. Miałam tu przyjść i pomówić z tobą już kilka dni temu, ale pogoda była okropna i właściwie dopiero dzisiaj odważyłam się wyjść z karczmy. No i podeszłam tutaj, widzę, że twój pan wyjechał, a ty jesteś w kuchni. Taka okazja się dwa razy nie zdarza. Chciałam tylko zajrzeć i spytać, jak ci się tutaj żyje. Swoją drogą, nie rozumiem za bardzo, czemu się tym wszystkim zajmujesz.

- Czym niby?

- Wszystkim! Karmisz kury, biegasz po domu niby jaka niewolnica, wynosisz nocnik, sprzątasz chlew, do stu piorunów!

Odwróciłam się i spojrzałam w okno. Za szybą było zupełnie czarno. W chlewiku nie sprzątałam już od dobrych dwóch tygodni. Zaczynałam rozumieć.

- Jesteś tu dłużej niż tydzień - rzekłam. - Szpiegujesz mnie.

- No, niezupełnie szpieguję - odparła moja matka. - Ja tylko sobie patrzę. Chciałam się z tobą spotkać, ale trzeba mi było czekać na dogodną chwilę, kiedy nikogo tutaj nie będzie. Nie wiem, co im powiedziałaś o sobie. Ale, kochanie, co ty tu robisz? Uwijas się niby jaka posługaczka, a ta brzydula z tłustym zadem siedzi tylko i palcem nie kiwnie. Płacącej za to? A ta twoja pani z dużymi oczami, pani Reid, tak się chyba nazywa, co jej właściwie dolega? Gapi się tylko przez okno i czyta książki.

- Szpiegowałaś z zarośli przed domem?

- Może i tak - odparta niewinnie. - Nie tylko z zarośli. Jest tu parę innych niezłych miejsc. Przecie mnie znasz. - Zamrugała. - Umiem szybko schować się w cieniu.

I pojęłam bolesną prawdę, jakby ktoś nagle ścisnął mi pięścią wnętrzości. Ledwie mogłam oddychać.

- Boże wszechmogący - powiadam. - Ty jesteś Gilfillan!

Matka ściągnęła usta.

- Czym jestem?

Nie mogłam jej odpowiedzieć, gdyż próbowałam złapać dech i nie roześmiać się zarazem. Zatem milady rzeczywiście widziała kobietę czającą się przed domem. I nie była to w żadnym razie postać urojona. To była moja matka!

Ta zaś teraz szczyrzyła do mnie zęby, czekając, aż jej wyjawię, co mnie tak rozbawiło.

- No co? - powiada. - O co ci chodzi?

- Nieważne - odparłam i śmiech zamarł mi w gardle. Przez krótką chwilę myślałam, że milady bynajmniej nie zwariowała. Jednakże nawet jeśli panią Gilfillan dało się wytłumaczyć obecnością mej matki, to w zachowaniu Arabelli dalej zbyt wiele było szaleństwa: brednie na temat Nory ukazującej się w jej pokoju, wyjęcie mózgu na eksperyment, pomagier itd. Co do tego ostatniego naszła mnie pewna myśl.

- Gdzie jest Joe? - spytałam.

Matce szybko zrzędała mina.

- Joe, kochanie? - powiada. - Joe Dimpsey?

- Nie przyjechał tu z tobą?

- Och, nie mógł - odparła. - Jest zbyt zajęty. Tak, zbyt zajęty.

W jej odpowiedzi coś mnie zastanowiło, lecz zanim zdołałam coś znów powiedzieć, Bridget klasnęła w dłonie i zerwała się na nogi.

- Umieram z pragnienia - oświadczyła. - Może pójdziemy gdzieś na drinka i razem uczcimy to spotkanie? Opowiem ci wszystkie ploty.

Nie miałam ochoty na żadne drinki. Ale znów tknęła mnie pewna myśl.

- Nie mówiłaś chyba Janet Murray i nikomu w karczmie, że... to znaczy... nie mówiłaś, kim jesteś?

Bridget uniosła brwi i posłała mi spojrzenie zdolne osmalić kota.

- Że niby jestem twoją matką? - powiada. - Nie, kochanie.

- Ani że jesteś moją... moją siostrą?

Spochmurniała.

- Nikomu nic nie mówiłam. Myślisz, że jestem głupia?

- Owszem.

Nie była głupia. Miała jedynie zły charakter. Ale chciałam ją rozdrażnić.

- Przyjmij do wiadomości, co następuje - rzekła tonem, który brzmiał w jej mniemaniu bardziej arystokratycznie. - Jestem wdową nazwiskiem Kirk. Pani Kirk nigdy o tobie nie słyszała. Wypoczywa tu przez kilka tygodni. Rozgląda się po okolicy. Może nawet tutaj zamieszka. A może nie.

- Może jednak lepiej nie - powiedziałam. Aż ciarki mnie przeszły ze strachu.

Bridget uśmiechnęła się wolno.

- Tego pani Kirk jeszcze nie wie - rzekła tym samym sztucznym głosem. - Nie podjęła jak dotąd wdowiej decyzji.

Zaczęła chodzić po kuchni i oglądać uważnie każdy przedmiot: zegar, wagę, wagę na zupę - jak gdyby szacowała ich wartość. Na stole leżał nóż do chleba. Poczułam przemożną ochotę, by chwycić go i zatopić w jej plecach, na wysokości łopatek. Moja ręka wyciągnęła się na stół i zacisnęła na rączce noża. Potem szybko otwarłam szufladę i wrzuciłam go do środka. Następnie szufladę gwałtownie zamknęłam.

Bridget zatrzymała się przy drzwiach wiodących do wnętrza domu. Gapiła się na nie przez moment, a potem spojrzała na mnie, znów jakoś tak czułościowo.

- Co powiedziałaś im o sobie, kochanie? - spytała łagodnym głosem. - Nie pytali cię o referencje?

Pokręciłam głową.

- Myślą, że wcześniej pracowałam jako gospodyni. Nie pytali o opinię na piśmie. - Urwałam, po czym dodałam słabnącym już głosem: - Dobrze mi się tu żyje, wiesz...

Matka zamrugała. Wyglądała na urażoną.

- Rozumiem - powiada.

Okrążyła kuchnię raz jeszcze. Miałam wrażenie, że się do czegoś szykuje. W końcu podeszła do mnie.

- Popatrz tylko na swoje dłonie - rzekła, niby to zatroskana. Chwycała mnie za ręce i zaczęła je pocierać. Pozwoliłam jej na to, nie odsunęłam się. - Skończysz jak praczka - powiada. - Wiesz, zostały mi jeszcze pieniądze z wypłat Levyego. I oczywiście nie mam zamiaru tutaj zamieszkać, daj spokój. Po co miałabym się tu przenieść? Mam nowe mieszkanko w Glasgow, na King Street. Pamiętasz King Street? Wynajęłam dwa śliczne pokoje, całkowicie umeblowane.

- Gratuluje - rzekłam.

Przechyliła głowę na bok i przyglądała mi się dalej, teraz jakby z pewnym smutkiem.

- Moje maleństwo tak bardzo urosło. - Raptem oczy się jej zaświeciły. - Jezu, na Boga, przecie ty teraz masz ciotę!

Zarumieniłam się potwornie. Ciekawe, myślałam, skąd ona to wie (bo tak było w istocie).

- Nie mów mi jeszcze - powiada - że pierzesz wszystko tej tam na górze?

Pokręciłam głową, upokorzona. Odwróciłam się, by ukryć twarz, zaczęłam grzebać w palenisku pieca. Matka westchnęła. Kątem oka widziałam, jak spogląda na zegar.

- Wspaniałe pokoje na King Street - powiada. - Spodobałyby ci się, oj, spodobały.

Pełna obaw o dalszy przebieg rozmowy zaczęłam wrzucać do pieca węgiel.

- A Joemu się podobają? - spytałam.

Przez moment nic nie mówiła. Hałas, jaki robiłam węglem, i tak by ją zagłuszył. Kiedy zaś odłożyłam wiadro z łopatką, rzekła:

- Właśnie miałam ci to powiedzieć.

Spojrzałam na nią.

Uśmiechnęła się, odrobinę zawstydzona.

- To, co przedtem mówiłam, kochanie... Jest trochę inaczej. Bo widzisz, Joe wyjechał. Do Ameryki. Do Nowego Jorku. Kilka tygodni temu.

- Do Ameryki?!

- No właśnie! - Najwyraźniej wzięła moje zdziwienie za troskę. - Czy to nie straszne? Przecie tam teraz mają wojnę i coś się może mu stać.

Pewna byłam niezbitcie, że owa wojna nie toczy się w Nowym Jorku, czemu natychmiast dałam wyraz.

Matka wyglądała na zaskoczoną.

- Naprawdę? - powiada. - Myślałam, że Nowy Jork leży w Ameryce.

- Leży.

- Więc o co ci chodzi?

Rozbawiłoby mnie to zapewne, gdyby Bridget nie była moją matką i gdyby nie parę innych rzeczy. W tej sytuacji mogłam się tylko zirtować.

- A co Joe porabia w Nowym Jorku? - spytałam.

- Widzisz... Musiał wyjechać dość szybko. Szukała go policja. Przez pomyłkę, ma się rozumieć. Nic złego nie zrobił. Ale na szczęście dostał cynk i zjawili się u nas za późno. Wróci, gdy sprawa przycichnie. Do tego czasu będę... będę...

I nagle, zupełnie niespodziewanie, matce zadrżały usta i zaniósł się szloch. W pierwszym odruchu chciałam się cofnąć, ale za sobą miałam piec, tedy przesunęłam się w bok. Bridget wyjęła z rękawa smarkatkę i otarła nią oczy. Poklepałam ją po ramieniu, na więcej się zdobyć nie mogłam. Łkała jeszcze przez kilka minut. W końcu pociągnęła nosem, wytarła policzki i rzekła:

- Posłuchaj, kochanie. Nie wróciłabyś ze mną do domu? Mieszkać będziemy same, tylko my dwie. Jak za dawnych dobrych czasów.

O jakich to dobrych czasach mówiła, nie miałam zielonego pojęcia. Okazało się jednak nareszcie, czego matka ode mnie chce. Nie chodziło jej o pieniądze. Chodziło jej o mnie. Chciała, bym do niej wróciła. Bez Joego, bez mężczyzny, była po prostu niczym. Potrzebowała towarzystwa. Niewykluczone, że istotnie miała jeszcze trochę grosza, lecz po wyczerpaniu oszczędności wypchnęłaby mnie na ulicę szybciej niż roznosi się wiatr z tyłka. Znowu zaczęłabym pić, żeby wytrzymać taką noc na ulicy. A potem zaczęłyby się inne historie, koszmarnie historie, o których wolałam nawet nie myśleć.

Nie wyglądałam chyba najlepiej, bo matka wzruszyła ramionami i szybko zbyła własną propozycję.

- Ja tylko rzuciłam myśl - powiada, starając się odpiąć woalkę.
- Bo kiedyś możesz mieć dość pracy tutaj. Albo cię kiedyś wywalą.

Powiedziała to wprawdzie lekkim tonem, ale... czy sugerowała coś konkretnego? Miałam świadomość, że mój los spoczywa obecnie w jej rękach. Starczyłoby kilka jej słów, by pan James uznał mnie za oszustkę i wygonił gdzie pieprz rośnie.

Bridget uśmiechała się do mnie, unosząc woalkę.

- To jak? - powiada. - Idziemy na drinka?

Pokręciłam głową.

- Jak chcesz - rzekła i puściła woalkę. Przez moment myślałam, że spróbuje mnie objąć, ale tylko ścisnęła mi ramię. - No, w każdym razie złożyłam ci ofertę.

Sama nie wiem, jak mi się to udało, lecz w końcu się jej pozbyłam. Patrzyłam, jak się oddala i znika. Nawet gdy pochłonałą ją mrok, bałam się, że skądś wychynie i znowu pojawi się na podwórku. Odwróciłam się szybko i zaryglowałam drzwi. Usiadłam na podłodze przy piecu, uprzednio zgasiwszy lampę, by nikt nie mógł obserwować mnie z zewnątrz. I siedziałam tak długo, otępiała, ogłupiała i sflaczała niby ogarek świecy, zbyt przerażona, by zdobyć się na myślenie.

A ja przez cały czas się łudziłam, że jestem bezpieczna. Czytałam co prawda jej anons w gazecie, ale myślałam, że mnie nie wyśledzi. Jednakże teraz zdawałam już sobie sprawę, że gdzie bądź się nie znajdę, Bridget zawsze mnie wytropi. Joe nie wróci, pewnie o tym wiedziała. Dlatego ona nie da mi spokoju. Niezadługo otrzymam wymówienie, oczywiście za jej sprawą. I dokąd ja wtedy pójdę, bez referencji, bez pieniędzy? Ona wszędzie mnie dopadnie, a jeśli zdobędę nową pracę, to już postara się, bym ją szybko straciła, rozpowiadając dokoła, kim kiedyś byłam.

A mojej milady to nie przeszkadzało, mojej cudnej, kochanej milady! Nie przeszkadzała jej moja przeszłość. Biedna milady nie wyrzu-

ciła mnie stąd, chociaż wszystko o mnie wiedziała! Ale pan James był człowiekiem z innej bajki. Wzięto by nas na języki, to zaś mogło pokrzyżować mu plany wyborcze. Z opinią żony nie liczył się wcale. Nawet gdyby nie była na wpół szalona, i tak nic by tu nie wskórała.

Ale wstawiłaby się za mną, co do tego miałam pewność. To znaczy, na pewno by się za mną ujęła, gdyby była przy zdrowych zmysłach. Ale przy zdrowych zmysłach nie była, a wiele niestety wskazywało na to, że nigdy już nie wyzdrowieje.

I kto za to odpowiadał?

Patrząc w przygasające płomienie, wyobraziłam sobie własną przyszłość. Leżę pijana w rynsztoku na Gallowgate i jakiś łachmaniarz kopie mnie wielkim buciorem i przewraca na plecy. Spoza zmierzwionych włosów ledwie widać moją twarz, widać, że się uśmiecham. A uśmiecham się, bo wiem bardzo dobrze, iż na nic lepszego nie zasługuję.

Część piąta

Zostaję uwięziona

Tej nocy nie kładłam się do łóżka, tylko siedziałam w kuchni do świtu, świtu chłodnego, szarego i zasnutego gęstą mgłą. Gdy nastał, wiedziałam już, co mam dalej czynić. Najpierw wzięłam kartkę i pióro i napisałam liścik do matki, adresowany do karczmy „Za Węgłem”. Oznajmiłam, że przemyślawszy jej propozycję, zdecydowałam się ją przyjąć. Wrócę z nią zatem do Glasgow, do naszego dawnego życia. Zaznaczyłam wszelako, że przed wyjazdem muszę załatwić tu kilka spraw, i umówiłam się z nią na trzecią w gospodzie dworcowej. Tam, pisałam, kupimy bilety i odjedziemy popołudniowym pociągami.

Następny liścik, znacznie krucafuks trudniejszy, napisałam do pana Jamesa. Przez całą noc ciemną i głuchą zachodziłam w głowę, czy złożyć wymówienie miesięczne, bo taki termin był powszechnie przyjęty, nadto nie chciałam sprawić zawodu ani jemu, ani milady. Gdy już jednak postanowiłam odejść, wolałam uczynić to jak najszybciej. Wybiec naprzeciw swojemu losowi, taką to czułam w sobie potrzebę, a im bardziej plugawy i odrażający ten los miał się okazać, im szybciej miałam go spotkać - tym lepiej. Poza tym Bridget nie zaliczała się do osób cierpliwych. Gdybym czekała cały miesiąc, niecierpliwiłaby się jak pchełka. Lepiej więc odejść od razu niż ryzykować, że rozpaple wszystko dokoła. Czułam się podle, porzucając pana Jamesa w ten sposób, ale wiedziałam, że tak będzie lepiej. Bez trudu znajdzie jakąś dziewczynę na moje miejsce, a kimkolwiek się owa dziewczyna okaże, i tak nie będzie gorsza ode mnie, oj nie.

List zakończyłam sztywno i oficjalnie.

Szanowny panie Reid. Proszę wybaczyć, ale okoliczności zmuszają mnie do szybkiego wyjazdu z Zamku Haivers, chodzi o pewną sprawę z przeszłości i lepiej jeśli odejdę już teraz niż żebym miała zaszkodzić panu lub milady. Przepraszam za kłopot ale nie mam wyboru. Praca dla milady dawała mi wiele radości, nawet wyrazić mi trudno jak wiele, być u niej służącą to zaszczyt wielki i przyjemność.

*Serce mam pełne nadziei że milady ozdrowieje z tego co ją trapi.
Z wyrazami szacunku
Bessy Buckley*

PS Niech pan opiekuje się nią proszę, żeby miała co trzeba i jej było wygodnie, a świeże powietrze jej nie zaszkodzi.

Nie wypadało mi, rzecz jasna, mówić takich rzeczy, ale teraz nie miało to znaczenia. Wszak nie narażałam się na utratę posady. A kiedy pan James to przeczyta, mnie już w tym domu nie będzie.

Otwarcie fontanny miało odbyć się tego właśnie dnia, na rynku w Snatter. Wybierała się tam większość parobków, wybierał się doktor, pastor i pewnie krucafuku połowa mieszkańców tej wsi. Z podsłuchanych rozmów wiedziałam, że początek uroczystości przewidziano na godzinę pierwszą. Po przemówieniach itp. itd. zaproszeni goście przejdą do gospody „Pod Łabędziem”, którą pan James z tej okazji w całości wynajął. Mówił mi zresztą, że też mogę przyjść na ceremonię, ale grzecznie podziękowałam. Wiedziałam, że na całe to popołudnie dom z przyległościami zupełnie opustoszeje i nie będę już miała drugiej takiej okazji, żeby pożegnać się z milady. Zostanie wprowadzie Krasulica, którą trzeba mi będzie jakoś przechytrzyć, lecz nie spędzało mi to snu z powiek. Jeśli zawiodą wszystkie podstępny, to po prostu wyznam jej prawdę. Nawet ona nie mogła mi przecie odmówić tych kilku minut sam na sam z moją panią, bym mogła na zawsze się z nią pożegnać.

W normalnych okolicznościach kartkę przeznaczoną dla matki posłałabym przez Hectora, lecz z pewnych względów unikałam go ostatecznie. Kręciłam się tedy czas jakiś przy bramie, aż w końcu pojawił się

listonosz i jego to poprosiłam o dostarczenie listu do Snatter. Z kolei list do pana Jamesa trzymałam na razie w kieszeni fartucha. Zamierałam położyć go gdzieś w gabinecie, by adresat zapoznał się z nim wieczorem, po powrocie z uroczystości. Przez cały ten ranek miałam mnóstwo dodatkowych zajęć, albowiem pan James wydawał mi setki poleceń: przyszyj guzik do płaszcza, znajdź spinkę do mankietu, zmyj z kamizelki plamę po jajku, wyprasuj koszulę, bo jakimś cudem pogniotła się na wieszaku. Był przy tym bardzo zdenerwowany, ponieważ w nocy odnotowano spadek temperatury, przez co zamarzała woda, co miała zasilać fontannę. Połowę poranka spędził na rynku, nadzorując tam robotników odmrażających rury. Potem wrócił, żeby się przebrać - nie na długo jednakże, bo już niebawem musiał pędzić do gospody „Pod Łabędziem”, gdzie czekali na niego goście. Zanim wyjechał, biegał po domu gorączkowo, w dół i w górę po schodach, z gabinetu do swego pokoju, stamtąd do gabinetu raz jeszcze. W domu panował straszny rozgardiasz, a gdy koło południa pan James znów wyjechał, zrobiło się nagle cicho i spokojnie, co wielce by mnie uradowało, gdyby nie moje smutne myśli.

Szorowałam kuchnię tak długo, aż wszystko lśniło. Potem poszłam na górę i wrzuciłam do tobołka wszystkie swoje rzeczy - oprócz sukienek po Norze, które powiesiłam na ścianie, bo nie stanowiły mojej własności, a nie chciałam, by oskarżono mnie o złodziejstwo. Na drogę (jakże smutna to miała być droga!) włożyłam to, w czym tutaj przybyłam: żółtą sukienkę z koronką i kokardkami. Kiedyś lubiłam ją bardzo, lecz teraz wydawała się jakaś taka krzykliwa i na dodatek niezbyt wygodna. Do tobołka wrzuciłam gorset, którego nie nosiłam chyba sto lat, a który po raz ostatni miałam na sobie kilka dni po zjawieniu się w Zamku Haivers. Może kiedyś, gdy wrócę do Glasgow, przyzwyczaję się do gorsetu ponownie, na razie jednak chciałam swobodnie oddychać.

Zostały jeszcze *Obserwacje*. Wolałam zabrać je ze sobą, w przeciwnym razie pan James mógł je zniszczyć. Trudno wykluczyć, że w przyszłości milady wydobrzeje, myślałam, a wtedy wyślę jej tę księgę rachunkową z jej zapiskami. Teraz jednakże zawinęłam *Obserwacje*

w jakąś starą gazetę i wcisnęłam je do tobołka. Potem uważnie wypucowałam pokój, żeby nikt nie mógł później nazwać mnie fleją.

Na końcu zeszałam do gabinetu i położyłam na biurku list do pana Jamesa. Dokładnie o wpół do pierwszej zapukałam do milady. Cztery stuknięcia knykiem w drzwi, niby nic, a jakież to było dla mnie znaczące, miałam wszak pewność, że już nigdy przynigdy do tych drzwi nie zapukam. W zamku przekręcił się klucz, drzwi się rozwarły i ukazała się w nich Krasulica. Minę miała jak zwykle głupawą, jedną rękę trzymała w kieszeni, w drugiej dzierżyła jabłko. Tradycyjnie już blokowałam drzwi stopą, żeby przypadkiem nie wdarła się do pokoju na siłę. Na mój widok nic nie powiedziała, dalej tylko przeżuwała swoje jabłuszko. Odkąd kazano jej zajmować się milady, patrzyła na mnie po części z litością, po części zaś z niejakim rozbawieniem. W ten właśnie sposób spoglądała na mnie teraz, menda skubana, pewnie intrygowała ją moją sukienka. Takie spojrzenie musiała ćwiczyć przed lustrem, bardzo mnie ono drażniło.

Zamierałam od razu przejść do rzeczy, powiedzieć, że wyjeżdżam na dobre, i poprosić o kilka minut sam na sam z moją panią. Już otwierałam usta, gdy nagle za plecami Muriel pokazała się milady. Pamiętam bardzo wyraźnie, że wyglądała na kogoś, kto całkowicie nad sobą panuje. Była w ciemnoniebieskiej sukience, a fryzurkę miała taką, że po prostu mucha nie siada. Sprawdziwszy, kto stoi za drzwiami, bezszelestnie zniknęła mi z oczu, nie dając przy tym do zrozumienia, czy zdołała mnie rozpoznać.

Z kolei ja nagle stwierdziłam, że nie mogę powiedzieć Muriel o wyjeździe, bo milady na pewno by mnie słyszała, a w przypadku takiego wyznania mojej pani należy się pierwszeństwo. Miała co prawda kuku na muniu, lecz mimo to należało odnosić się do niej z szacunkiem. Postanowiłam więc, że ją pierwszą wtajemniczę w me zamierzenia.

Jak widać, powyższy fragment mojej relacji - Muriel staje w progu, milady pojawia się i znika, ja zmieniam zdanie - zajmuje w opisie kilka ładnych linijek, choć w rzeczywistości wszystko to trwało zaledwie kilka sekund. Również to, co nastąpiło tuż potem, potoczyło się

bardzo szybko, tak szybko, że ani się krucafuks obejrzałam, a już było po wszystkim.

- No? - rzecze Muriel, usta ociekają jej sokiem z jabłka. - Czego tu chcesz?

- Nie potrzeba wam węgla? - pytam, żeby zyskać na czasie (porzućmy pierwotną strategię, musiałam raz dwa wymyślić coś nowego).

Okazało się, że niczego wymyślać nie muszę, ponieważ milady niespodziewanie wybiegła z pokoju, wpychając mnie do niego po drodze, tak że wpadłam na Krasulicę, przewróciłam ją niby kręgiel i sama na niej wylądowałam, uderzając ją czołem w brodę. Podmuchała od zatrzaśniętych nagle drzwi podwiał mi sukienkę, Muriel zaskowyczała, jabłko potoczyło się po podłodze. Następnie rozległ się jednoznaczny odgłos zgrzytającego w zamku klucza, potem kroki milady zbiegającej na dół po schodach.

Przez krótką chwilę Muriel i ja patrzyłyśmy sobie w oczy, oszołomione, również tą nagłą i osobliwą bliskością między nami. Sturlałam się z niej i obieśmy z trudem podniosły się na nogi. Spróbowałam otworzyć drzwi, ale na to już było za późno. Uwięziono nas, zamknięto na klucz. I miałyśmy tu pozostać przez całe popołudnie. Tymczasem w Snatter - o czym wtedy nie mogłyśmy wiedzieć - rozpętało się istne piekło.

Do owych wydarzeń w Snatter wrócę za czas jakiś. Na razie jesteśmy w sypialni milady, ja i Krasulica, zamknięte na klucz. Muriel kopie w drzwi i spogląda na mnie w taki sposób, jakby i moja osoba zasługiwała na kopniaka.

- Tyś zawiniła - powiada. - Żeby potem nie było na mnie.

Gdyby uwięziono nas w innych okolicznościach, mogłoby dojść do zbawiennej przemiany, zapomnielibyśmy o uprzednich niesnaskach i opuściły tę celę ramię w ramię, niczym najlepsze przyjaciółki, śmiejąc się z dawnych czasów, kiedyśmy się wzajemnie nie rozumiały. Nie jest to jednak opowiadanie z „Bathgate Monthly Visitor”, to zupełnie inna historia. A może po prostu ani ja, ani Muriel nie pasujemy

do takiego obrazka. Tak czy inaczej, warknąwszy na mnie, Krasulica podeszła do okna, otwierała je i jęła wrzeszczeć na całe gardło:

- Ratunku! Ratunku!

Jej krzyki ginęły we mgle i wracały echem do krzyczącej, jak gdyby jej głos odbijał się od ściany, a nie padał w otwartą przestrzeń.

- Ratunku! Tutaj! Ra-tun-ku!

Przez okno do środka sączyła się mgła. Była tak gęsta, że nie widziało się końca podwórka. Muriel krzyknęła jeszcze parę razy, po czym zamilkła i obie nasłuchiwałyśmy, czy ktoś odpowie. Ale nikt się nie odezwał, jedynie w oddali zaszczeakał jakiś głupi kundel. Muriel znowu zaczęła krzyczeć, a ja podeszłam do kominka i pozwoliłam sobie na chwilę refleksji.

Czy milady zaplanowała tę ucieczkę, czy może dostrzegła nagle ku niej sposobność i bez namysłu wykorzystała sytuację? Przez chwilę słuchała, jak rozmawiam z Krasulica, po czym ukradkiem stanęła za drzwiami i wysunęła klucz z zamka. Ryzykowała, bo Muriel ją mogła usłyszeć, zresztą obieśmy mogły ją potem przytrzymać. Sprzyjały jej jednak dwie okoliczności: pierwsza to zaskoczenie, druga to desperacja. Pchnęła mnie tak, że wzniosłam się niemal w powietrze, miała siłę sześciu mężczyzn. Co mogło dziwić, bo wyglądała mizernie.

Czułam się cokolwiek znieważona tym, że i mnie uwięziła. Wrzucała mnie tym samym do jednego worka z tą durną Muriel, a to mi się zbytnio nie podobało. Milady powinna już wiedzieć, że jestem po jej stronie. Przez moment cieszyłam się na myśl, że udało jej się uwolnić, że jest na swobodzie. Niech żyje moja milady! Wyrwała się z wreszcie z niewoli!

Szybko jednak zaczęłam się martwić. Gdzie ona pójdzie w taką pogodę? I przy takim stanie umysłu? Jak sobie poradzi bez pieniędzy i bez męża? Zaziębi się albo zamarznie. Ktoś może ją skrzywdzić. Zadygotałam ze strachu. Raptem uzmysłowiłam sobie, że moja pani jest mądrzejsza niż myślałam, bo - chociaż byłam po jej stronie - za nic nie pozwoliłabym jej uciec, a to przez wzgląd na jej bezpieczeństwo. Mimo wszystko niegłupio zrobiła, zamykając mnie tutaj z Muriel.

Ta ostatnia odwróciła się teraz od okna i wlepiła wzrok we mnie.

- A frasuj się, frasuj - powiada. - Że ona zemkła, nie moja to wina. Ogień w kominku solidnie się już rozpalił, więc podniosłam się z kucek i usiadłam w fotelu. Muriel znów odwróciła się do okna i krzyknęła kilka razy, lecz najwyraźniej nikogo w pobliżu nie było. Zamknęła okno i zbliżyła się do kominka, żeby ogrzać sobie dłonie.

- Oby tylko nic złego się jej nie przytrafiło - rzekłam.

Muriel nie wyglądała na zatroskaną losem milady.

- Na siebie winy zwalić nie dam - powiada. - Bo nie moja to wina.

- Myślisz, że milady spróbuje wrócić do Wimbledon?

- Gdzie?

- Do Wimbledon. Stamtąd pochodzi. To taka wioska w Anglii.

- Co ty mi powiesz? - odrzekła Muriel, wywracając oczami, by okazać, gdzie ma Wimbledon i całą Anglię. - Wedle mnie to może i Clyte na puddingu przepłynąć, ot co.

Na wzmiankę o rzece od razu pomyślałam o Bridget. Raczej nie zdążę już na trzecią do gospody przy dworcu. A jeśli się tam nie stawię, matka może tutaj zawitać ponownie. Albo i nie. Najpewniej będzie pić do późnego wieczora, pić, aż się w sztok upije. O mnie przypomni sobie dopiero rano, gdy zbudzi się gdzieś skacowana. Dopiero wtedy zacznie mnie szukać. Do tego czasu, myślałam, wróci pan James i będziemy już wolne. Przypomniał mi się list zostawiony na biurku. Chciałam odejść bez zbędnych scen, bez niepotrzebnych rozmów, ale w obecnym stanie rzeczy było to zaiste trudne do urzeczywistnienia.

- Niezły bajzel, co? - odezwała się Muriel. - Mówię ci, z panem Reidem lepiej nie zadzierać.

Powyżej uszu miałam już tego tematu, aż mi się na mdłości zbierało.

- A ty co? - powiadam. - Boisz się go?

Spojrzała na mnie z pogardą.

- Wcale a wcale - odparła. - Jednym słowem ci rzekne, co o nim myślę.

- Jakie to niby słowo? - pytam.

- On jest sknera.

To były trzy słowa. Mogłam jej wytknąć błąd w obliczeniach, alem tego nie uczyniła.

- A co w takim razie myślisz o milady?

- Jedno słowo? - rzekła drwiąco. - To ciapa.

Bozia mi świadkiem, żem się z całej siły musiała powstrzymać, by nie dzielić jej w twarz. Nie było sensu wdawać się w bójkę, wszak kto wie, jak długo miałyśmy jeszcze znosić własne towarzystwo. Wołałam pociągnąć tę zabawę, przynajmniej szybciej zleci czas. Poza tym mogłam w ten sposób dowiedzieć się czegoś o Norze. Prawdopodobnie w noc śmierci Nory Krasulica bawiła się z resztą służby w czworakach. Nie chciałam jednak, by zauważyła, iż Nora jakoś szczególnie mnie interesuje, więc najpierw spytałam ją o parę innych osób.

- A ja - powiadam. - Opisz mnie jednym słowem.

Muriel odwróciła wzrok.

- Irlandka - odparła.

Równie dobrze mogła powiedzieć „ciapa”, ton był dokładnie ten sam. Ale ja miałam bardzo głęboko, co Muriel o mnie myśli.

- A Hector? - mówię.

- S.R. - odrzekła Muriel. Nie zrozumiałam, więc rozwinęła ten skrót: - Świerzbąca Rączka.

Spojrzała znacząco, a mnie facjata niemal zgorzała. Przez jedną koszmarną chwilę myślałam, że wie coś o moim spotkaniu z Hectorem, że drań wszystko wygadał. Szybko jednak się domyśliłam, że - jakże by inaczej - Muriel odwołuje się niniejszym do własnych doświadczeń z Hectorem. Najwyraźniej próbował szczęścia z każdą, nawet z tą starą wiedźmą. Mimo to żałowałam, żem zapytała o niego, i bezzwłocznie wymieniłam następane imię.

- A Janet? Janet z karczmy „Za Węgłem”?

Muriel zastanawiała się przez moment.

- Wścibska. Zawsze się rozpytuje, czy ten a ten dostał wypłatę albo czy wolne mu dali. A żaden jej w tym interes.

No, jeszcze parę osób i będę mogła spytać o Norę.

- McGregor-Robertson?

- Snob - odparła Muriel bez wahania.

- Pastor Pollock?

Znów wywróciła oczami.

- Ś.R.

Ciekawe. Ja powiedziałabym „wścibski”. Ale nie miałam zamiaru polemizować.

- Nora Hughes?

Muriel wzruszyła ramionami i zrobiła ponurą minę.

- Irlandka - odrzekła.

Pokręciłam głową.

- To powiedziałaś już o mnie. Teraz musi być coś innego.

Przez chwilę myślała, aż w końcu rzekła:

- Na tamtym świecie. - Już miałam jej zadać kolejne pytanie, gdy nagle wstała i przeszła się po pokoju. - Czego to by człek nie dał za takie wyrko - rzekła i bez dalszych skrpułów wsunęła się pod kołdrę i naciągnęła ją sobie na głowę.

- Muriel - powiadam. - Byłaś w czworakach tej nocy, gdy Nora zmarła?

W odpowiedzi jedynie coś mruknęła i po chwili spała już smacznie. Zostałam sama z własnymi myślami.

Pytając ją, tylko traciłam czas. Właściwie nic mi nie powiedziała. A jednak któraś z jej odpowiedzi nie dawała mi spokoju, lecz nie wiedziałam, która konkretnie. Jak się obudzi, znowu ją może trochę popytam, stwierdziłam. Ciekawe, jak długo będzie tu spać. I jak długo będziemy tu obie tkwiły? I gdzie jest milady?

Kochana Arabella. Z jakiegoś powodu wyobraziłam sobie, że siedzi teraz w pociągu pędzącym ku miejscom innym niż to, ku miejscom od tego lepszym. W wagonie jest zupełnie sama i patrzy na migające za oknem łąki i drzewa. A potem stwierdzam ze zdumieniem, że otwieram drzwi do wagonu i siadam naprzeciw niej. Rany boskie, to tylko sen! Milady uśmiecha się do mnie i bierze mnie za rękę. Obie wyglądamy przez okno i widzę, że to jakiś lepszy pociąg, bo nie mijamy już łąk i pól, lecz jedziemy przez morze! W zielonych falach odbijają się promienie słońca, a obok wznosi się Ailsa Craig, szara i brudna jak stary ząb.

- Wracamy do domu - powiedziałam do milady. - Wracamy przez wodę.

Zmarszczyła brwi i wyjrzała przez okno.

- Nie do mojego domu wracamy, Bessy - odrzekła, przygładzając włosy. Kilka pasemek wypadło jej z głowy, ale nie były to włosy, tylko zielone sploty wodorostów. Wyrwała je jeden po drugim, a na jej głowie tworzyły się krwawe plamy, skóra odchodziła od czaszki, milady z własnej woli łysiała, ja zaś nie mogłam jej powstrzymać, Boże, ratuj...

Obudziłam się nagle, złana potem, i rozejrzałam się dokoła. W łóżku milady spała Muriel, w całym domu było cicho. Podeszłam do drzwi, te jednak dalej były zamknięte. Pozostało mi tylko czekać. Wróciłam na fotel. Podparłam głowę, zamknęłam oczy. Tym razem nic mi się nie przyśniło.

Niedługo później zbudziły mnie kroki na schodach. Spojrzawszy na zegarek, ze zdumieniem stwierdziłam, że minęły prawie dwie godziny. Muriel dalej spała w najlepsze. Podbiegłam do łóżka i potrząsnęłam nią mocno.

- Ktoś idzie - mówię.

Zamruczała i popatrzyła na mnie mętным wzrokiem. Dudniące kroki nagle ucichły i równie nagle zatrzęsły się drzwi, które ktoś próbował otworzyć. Muriel przeciągnęła się i ziewnęła.

- Szybko! - ponagliłam ją i stanęłam przy kominku. Wiedziałam, że nie jest to milady, te kroki były za ciężkie. Nadto głosy, które się teraz rozległy, należały do mężczyzn. Może znaleźli ją i przyprowadzili tu z powrotem. Ktoś krzyknął, jakby dokonał odkrycia, i chwilę później do zamka wśliznął się klucz.

Muriel ocknęła się wreszcie i wyskoczyła z łóżka niczym pchła z przypalonym tyłkiem. Uczyniła to w samą porę, albowiem w tej samej chwili drzwi otworzyły się szeroko i do pokoju wpadł pan James. Był niespokojny i czymś wzburzony, twarz miał zaczerwienioną i ciężko oddychał, jakby zadyszał się ze zmęczenia. Za nim, na korytarzu, stał Hector, wielce zaaferowany.

Muriel i ja stałyśmy milcząco ze spuszczoneymi głowami. Widząc nasze zakłopotanie, pan James zaniepokoił się jeszcze bardziej.

Ruchem ręki nakazał Hectorowi zostać na korytarzu.

- Ty czekaj tam! - rozkazał. - Przy schodach. I nikogo nie wpuszczaj!

Gdy Hector posłusznie się cofnął i zniknął nam z oczu, pan James zaczął chodzić po pokoju, czujnie popatrując na mnie i Muriel. Odciągnął zasłony i zajrzał za nie, jak gdyby żywił podejrzenie, iż ktoś się za nimi ukrywa. Następnie przyklęknął i zajrzał pod łóżko. Potem wstał i zwrócił się do nas chłodno:

- Gdzie jest moja żona?

Muriel dygnęła. Nie wiedziała zapewne, że ma na twarzy czerwone ślady od zagięć na poduszce.

- Sir - powiada. - Przykro mnie niemożebnie, sir, ale pani wybiegła. Żeśmy nie mogły jej przytrzymać, sir. I zamkła nas tutaj. Nic się nijak zrobić nie dało, sir. Wepchnęła tu Bessy i na klucz nas zamkła, sir!

Takie nowiny nie mogły raczej pana Jamesa uspokoić. Oczy mu się zaszklily, jak gdyby widział przed sobą wieczność, wieczność niezbyt nęcącą.

- Kiedy to się stało? - zapytał.

Muriel spojrzała na mnie strwożona. Sen zmaćił jej chyba poczucie czasu. Wyręczyłam ją zatem.

- Koło wpół do pierwszej - powiadam. - Mniej więcej dwie godziny temu.

Panu Jamesowi opadły ramiona, był już zupełnie załamany. Po chwili spojrział na łóżko, pozostawione przez Muriel w stanie dużego nieładu. Zmarszczył czoło i wsunął rękę pod kołdrę. Popatrzył na nas pogodniejszym już wzrokiem.

- Jeszcze ciepłe - powiada. - Nie mogły minąć dwie godziny.

Rozglądał się dokoła, nagle pełen nadziei, jakbyśmy gdzieś milady ukryły. Muriel, cała czerwona, gapiła się dalej w podłogę, zagryzając usta.

- Sir - odezwałam się. - To nie milady leżała w łóżku, sir.

Odwrócił się ku mnie gwałtownie.

- Co ty u diabła wygadujesz?

Muriel patrzyła na mnie spode łba, w jej oczach była nienawiść. Pomyślałam o liście, com zostawiła go w gabinecie, i że niebawem stąd odejdę. Cokolwiek powiem, nie miało to już żadnego znaczenia.

- Kiedy siedziałyśmy tutaj zamknięte - rzekłam - położyłam się do łóżka, sir, i zasnęłam, sir.

Wyciągnął rękę spod kołdry i popatrzył na mnie groźnie. Nie spojrziałam na Muriel, lecz czułam na sobie jej wzrok.

- Proszę wybaczyć, sir - dodałam.

Pan James westchnął ciężko, kręcąc głową z irytacją. Czekałam, aż odprawi mnie bez chwili zwłoki, ale był już myślami gdzie indziej, miał poważniejsze rzeczy do rozpatrzenia. Wyglądał jak posąg boleści. Chwycił się rękoma za głowę, jakby chciał wyrwać sobie włosy, i aż jęknął z rozpacz.

- Sir, jeśli mi wolno zapytać... - rzekłam. - Co się stało? Czy znalazł pan żonę, sir? Czy poszła do Snatter? Czy ktoś ją widział?

Patrzył na mnie niewidzącymi oczyma, jakby mnie wcale nie rozpoznawał. Raptem odwrócił się na pięcie i wyszedł na korytarz, by po chwili wejść do swojego pokoju. Usłyszałam trzaśnięcie drzwi, potem nastała cisza.

Muriel i ja spojrzaliśmy po sobie

- I po co to rzekłaś? - spytała Krasulica. - Tera to żeś się wpa-kowała.

- To nie ma znaczenia - odparłam. - I tak stąd odchodzę.

- Nie gadaj...

W tym momencie zatrzeszczała podłoga na korytarzu i w drzwiach ukazała się facjata Hectora.

Nie patrzył na Muriel, patrzył na mnie.

- Za pierona ni zgadniesz, cu sie stao! - powiada.

Pandemonium

Nie byłam wprawdzie naocznym świadkiem wypadków, które tu zaraz opiszę, ale języki rozklekotały się potem jak kastaniety, a tę historię opowiadano sobie jeszcze przez lata. W dwóch gazetach ukazały się artykuły, sama zaś rozmawiałam z paroma uczestnikami i widzami rzeczonych zdarzeń. Na tej podstawie, z niewielką pomocą wyobraźni, udało mi się zebrać wszystko do kupy.

Ale zacznijmy od początku. Wygląda na to, iż zamknąwszy Muriel i mnie w swym pokoju, milady położyła klucz na bieliźniarce, tam bowiem znaleźli go później pan James i Hector. Mogła co prawda schować go do kieszeni albo po prostu gdzieś wyrzucić, ale chyba nie chciała, iżbyśmy tkwiły zbyt długo w tym przymusowym odosobnieniu, tedy klucz zostawiła w miejscu widocznym. Tak przynajmniej wolę odczytywać jej intencje.

Następnie zbiegła po schodach (tośmy, ja i Muriel, zdołały jeszcze usłyszeć) i poszła do kuchni, tam zaś pewnie znalazła sprezentowany mi wcześniej stary płaszcz i babciny czepiec, który nosiłam, gdy robiło się zimno. W kolejnych latach osoby, które ją tego dnia widziały, mówiły, że miała na sobie stary płaszcz i staromodny czepiec. A czemuż to odziała się wtedy tak właśnie, miast ubrać się w swoje rzeczy? Już odpowiadam. Myślę, że chciała ukryć swoją tożsamość. W wytartym płaszczu, w zniszczonym czepcu nikt by jej nie rozpoznał, a to sprzyjało jej zamierzeniom.

W takim to stroju wyszła z domu i ruszyła przez mgłę w stronę Snatter. Większość mieszkańców zgromadziła się już na rynku

w oczekiwaniu na uroczyste otwarcie fontanny. Według relacji świadków moją panią widziano koło pierwszej przed gospodą „Pod Łabędziem”, która jako zajazd większy od „Za Węgłem” mogła pomieścić więcej gości.

Pewien stangret, siedzący na stopniu swojej dorożki, zauważył przed drzwiami gospody jakąś kobietę w staromodnym czepcu. Przez moment wahała się, czy wejść do środka, a potem, rozejrzawszy się po ulicy, zaczepiła małego obdartusa, który właśnie przebiegał mimo. Spytała go o coś, on jednak pokręcił głową i od razu pomknął dalej. Następnie zbliżyła się do stangreta. Wedle jego relacji przekręcała głowę to w jedną, to w drugą stronę, aby rozmówca nie mógł widzieć jej twarzy, przysłoniętej również przez skrzydełka czepca. Najwyraźniej czymś zdenerwowana, poprosiła stangreta, by wszedł wraz z nią do gospody, wszelako nim ten zdążył dowiedzieć się po co, do dorożki wskoczył jakiś dżentelmen, któremu nie można było odmówić kursu. Stangret przeprosił kobietę w czepcu i zasugerował, żeby o pomoc zwróciła się do kogoś innego. Odjeżdżając, widział ją stojącą dalej niepewnie przed gospodą.

Jakiś czas później, nie znalazłszy widocznie nikogo, kto by poszedł tam za nią, milady weszła do gospody „Pod Łabędziem”. Właścicielem tego lokalu był podówczas nie kto inny jak stary łobuz A.P. Henderson, posiadacz sklepiku z wiktuałami, który niedawno rozszerzył działalność, kupując ową gospodę. Jeśli mu wierzyć, milady czuła się w takim miejscu nieswojo, długo tam zresztą nie zabawiła. Popatrując nieustannie na schody i starając się nie odsłaniać twarzy, zadała Hendersonowi kilka pytań. Chciała się otóż dowiedzieć, czy mieszka u niego niejaka pani Gilfillan. Kiedy właściciel odpowiedział przecząco, milady opisała poszukiwaną damę, lecz żaden z gości do tego opisu nie pasował. Podziękowała tedy i wyszła. Henderson szybko o sprawie zapomniał, absorbowały go bowiem przygotowania do uroczystej kolacji z okazji odsłonięcia fontanny, mającej się odbyć właśnie u niego wieczorem.

Niedługo później widziano ją na przeciwległym krańcu Snatter, w karczmie „Za Węgłem”, którą Janet Murray porządkowała i czyś-

ciła, licząc, że miejscowe znakomitości, niezaproszone do „Łabędzia”, zechcą być może zawitać do niej. Wycierała właśnie szklanki, kiedy ujrzała stojącą w drzwiach kobietę. W pierwszej chwili nie rozpoznała gościa, a to z uwagi na osobliwy strój. Aliści znała dobrze moją panią, nieraz ją w okolicy widziała, toteż zorientowała się dość szybko, z kim ma do czynienia. Od zawsze niechętna osobom z klas wyższych, nie zaprosiła jej do środka. Za to milady, ponoć bardzo podekscytowana, bez żadnych wstępów spytała, czy mieszka tam pani Gilfillan.

Janet nie znała tego nazwiska, ale gdy usłyszała opis szukanej osoby, od razu rozpoznała w nim swego jedyne gościa: wymagającą panią Kirk, ową irlandzką wdowę (ho, ho!), która mieszkała w „Za Węgłem” już od kilku tygodni. Pani Kirk zamierza opuścić Snatter jeszcze tego popołudnia, dowiedziała się milady od Janet. Teraz jednak nie ma jej w karczmie, albowiem, o ile Janet wiadomo, udała się na rynek, by wraz ze wszystkimi wziąć udział w otwarciu fontanny. Janet wyraziła zdumienie, że pani Reid nie uczestniczy w tej ceremonii, którą urządził przecie jej mąż. Milady zbyła milczeniem tę ostatnią uwagę i zapytała, czy pani Kirk towarzyszył mężczyzna, przedstawiający się czasem jako McDonald. Janet odparła, że nic na ten temat nie wie, a milady odwróciła się na pięcie i wyszła, nie zdobywszy się choćby na krótkie podziękowanie. Janet mawiała potem, że ludzie z tych sfer tacy już są, nie dadzą nawet powąchać swojej owsianki itp.

Tymczasem trwała już ceremonia. Mimo chłodu i mgły na rynku zgromadził się spory tłum, złożony w większości z mieszkańców Snatter i Smaller. Pojawili się tam również ciekawscy z innych okolic, przejeżdżający właśnie przez Snatter, ponieważ wszystko to odbywało się przy gościńcu wiodącym do Edynburga. Fontanna była zakryta zielonym płótnem. Obok niej wzniesiono niewielki podest, na którym stanęły miejscowe znakomitości: pan James, pastor Pollock, jego brat (poseł) Duncan Pollock, małżonka Duncana Pollocka, pan Calvert, czyli inżynier z odlewni w Glasgow, i inni goście honorowi. Ze względu na rozmiary podestu wszyscy oni tłoczyli się w tylnej jego części, blisko siebie Jak gacie przy tyłku”, by zacytować jednego z gapiów.

O wyznaczonej porze pan James skupił na sobie uwagę zebranych, pobrzękując małym dzwonkiem. Następnie wyciągnął ogromny plik kartek, zawierających (jak przyznał nieśmiało) tekst jego przemówienia. Odebrano to jako świetny żart i skwitowano gromkim śmiechem. Wszelako po chwili widzowie zorientowali się, że pan James bynajmniej nie żartował, albowiem wielgachny ów plik istotnie zapowiadał długą przemowę. Być może pan James miał zamiar odbyć tu oratorski trening przed swoją kadencją w parlamencie, kto wie. Tak czy inaczej, jego mowa ciągnęła się niemiłosiernie. Niektórzy z zebranych rozeszli się szybko i pewnie byłoby ich znacznie więcej, gdyby paru posiadaczy zegarków nie wpadło na pomysł zmierzenia czasu przemowy. Zaczęto pośpiesznie robić zakłady, atmosfera się ożywiła i wszyscy słuchali teraz w napięciu, zarówno ci, co postawili mniejszą lub większą sumkę, jak i ci, których ciekawiło, kto wygra.

Tłum się zatem najpierw ożywił, a potem zaczął, jak się wydaje, uważnie wsłuchiwać się w przemówienie, skutkiem czego pan James perorował z rosnącą pewnością we własne siły. Żartując ze starych studni, powiedział, że czerpana z nich woda posiada dwie kardynalne zalety: pozwala oszczędzić na herbacie (gdyż jest barwy jasnobrazowej) i zawiera drobnoustroje, przez co można się nią i napoić, i posilić. Nie były to żarty w okolicy nieznanne, ale przyjęto je życzliwie. Zachęcony taką reakcją, pan James nabrał impetu. Ma wobec Snatter wspańnięte plany, mówił. Fontanna to dopiero początek. Później, oświadczył, przyjdzie czas na rury z gazem, którym oświetli się ulicę, a kiedyś może postara się o oświetlenie gazowe w każdym domu. W tłumie znowu rozległ się śmiech, a jakiś żartowniś krzyknął: - Jasne! A potem maszyny do zamrażania - co wywołało niemałe rozbawienie. Niezrażony tym wcale, pan James dalej mówił i mówił. Długo dziękował honorowym gościom, szczególnie panu (pośłowi) Duncanowi Pollockowi. Ciągnęło się to naprawdę długo. Naprawdę bardzo długo.

Po upływie trzydziestu minut większość hazardzistów wypadła z gry, albowiem długość przemówienia oszacowali oni na mniej niż pół godziny. Na polu walki zostali tylko Bocheniek i Willie Aitken, miejscowy poborca. Willie obstawił 35 minut, Bocheniek - 46. Wyda-

wałoby się, że Bocheniek powinien lepiej znać swego chlebowawcę, lecz mówka pana Jamesa trwała ostatecznie niewiele ponad 37 minut, Willie był bliżej i to on wygrał. Ponieważ Williego powszechnie lubiano, Bochenka zaś wręcz przeciwnie, wynik rozgrywki wprowadził zebranych w radosne poruszenie. Gdy więc pan James zakończył swoją perorę i cofnął się w głąb podestu, w górę strzeliły kapelusze i rozległy się huczne wiwaty. Pan James, uznawszy widocznie, że to on jest sprawcą tego entuzjazmu, wyglądał na wielce uszczęśliwionego.

Następnie, po krótkiej przerwie technicznej, z fontanny zdjęto zasłonę, co tłum skwitował licznymi gwizdami i okrzykami „ooo” i „aaa”, z których nie wszystkie miały wymowę szyderczą. Pan James zachęcił gości honorowych, by raczyli spróbować wody, chłodnej co prawda, lecz w smaku wybornej. Notabie przystąpili więc do napełniania kubków i innych naczyń, a tymczasem widzowie późniejszego sortu zajęli się regulowaniem należności z tytułu zakładów. Doprowadziło to do kilku głośnych sporów. Paru chłopcom dano pieniądze i puste butelki, by przebiegli się do „Łabędzia” i wrócili z butelkami pełnymi. Potem znowu zabrzączał dzwonek, bo do zebranych miał teraz się zwrócić kolejny orator, pastor Archibald Pollock.

Pastor mówił bez notatek, co zaznaczył unosząc dłonie i wkładając potem po dwa palce do kieszeni kamizelki. Na początek pogratulował panu Jamesowi zaiste świetnego przemówienia i zaznaczył, że w porównaniu z czymś tak znakomitym on sam wypadnie raczej dość blado. Uśmiechnął się arcyskromnie i przyznał, że nie jest niestety panem Dickensem. Nie będzie przemawiać długo, powiedział, nie będzie też robił przerw, by zawiązać rękawy czy otrzeć chusteczką rozpalone czoło, i nie zejdzie w końcu ze sceny słaniając się ze zmęczenia. W trakcie owego wstępu wodził po tłumie paciorkowatymi oczkami, nie patrząc na boki ani za siebie, na poprzedniego mówcę, wszyscy jednak odnieśli wrażenie, że w jego słowach kryje się niejeden przytyk pod adresem pana Jamesa.

Potem przeniósł wzrok na fontannę, wzrok dobrotliwy i łaskawy. Na myśl przychodzi mu, powiada, nie kto inny jak Wilhelm Orański.

Pan James, który jak dotąd gapił się na deski w podeście, uniósł oczy, niedwuznacznie wystraszony. A owszem, rzekł pastor, sam Wilhelm III, który to - choć mało kto wiedzę taką posiada - był nie tylko wśmienitym politykiem i żołnierzem, ale również nader zdolnym ogrodnikiem, szczególnie zaś upodobał sobie ekstrawaganckie wodociągi oraz, tak, fontanny w rodzaju tej, jaką tu oglądamy. Pastor Pollock powiedział, że miał szczęście odwiedzić słynne ogrody pałacu Het Loo, stworzone przez tegoż króla. Zawitał także do Hampton Court, gdzie znajduje się wiele cudownych fontann, na ogół, jak się wydaje, nieco bardziej ozdobnych od tej tutaj... No ale (dodał) pan Reid jest wszak szeroko znany z umiejętnego rozporządzania swoimi finansami.

Przerwał na moment i uśmiechnął się do słuchaczy. Stojący za nim pan James zmarszczył brwi i rozglądał się dokoła, jakby wyczuwał, że święci się tutaj coś niedobrego. Pastor tymczasem podszedł na sam skraj podestu i scenicznym szeptem wyjąwił, że pan Reid, choć mało kto jeszcze o tym wie, zamierza pójść w ślady jego brata, pana Duncana Pollocka, i rozpocząć karierę polityczną. Znajdą się tacy, mówił, co czyni tak zacne, jak ufundowanie tej oto fontanny, odczytają jako sposób na zdobycie poklasku. Pokręcił głową, pokiwał palcem. On, oświadczył, do takich ludzi się nie zalicza. Podkreślił ten fakt, kłaniając się nisko panu Jamesowi i życząc mu powodzenia we wszelkich możliwych przedsięwzięciach. Na koniec wyraził głęboką nadzieję, że kiedyś, w przyszłości, pan Reid zdobędzie równie wielkie uznanie i popularność, jak jego mentor, pan Duncan Pollock. Co rzekłszy, duchowny cofnął się w głąb podestu, by tam już stojąc, łaskawie przyjął aplauz widowni wymownym machnięciem ręką.

Pan James ukłonił się sztywno i podziękował pastorowi za jego życzliwe spostrzeżenia. Następnie zaapelował do mieszkańców Snotter, by ustawivszy się wprzód w kolejce, skosztowali wody z fontanny. W tłumie powstał niejaki zamęt, ponieważ nie wszyscy chcieli czekać. Pan James zlecił swemu zarządcy Alasdairowi, by ten zaprowadził wśród gawiedzi porządek, a on sam wyciągnął z tego tumultu Duncana Pollocka z małżonką i przeszedł z nimi na drugą stronę rynku.

To właśnie mniej więcej wtedy milady zagadnęła pastora Pollocka. Gdy ten ostatni przemawiał, kilka osób zwróciło ponoć uwagę na pewną kobietę w czepcu, co to stała na obrzeżu tłumu i wpatrywała się w pastora intensywnie a chłodno. Rzekomo coś do siebie mruzczała, ktoś nawet słyszał przekleństwo, potrząsała też pięścią w stronę mówcy. Zachowanie tego rodzaju nie wydawało się jednak zbyt ekscentryczne, gdyż panował tam nastrój dobrej zabawy, nie takie rzeczy się wtedy widuje. Jeżeli nawet coś krzyknęła, to krzyk jej zginął w powszechnym zgiełku.

Wygląda na to, że w trakcie uroczystości milady starała się usilnie, by nie zauważył jej nikt ze znajomych, jako że wedle późniejszych relacji nikt istotnie jej nie rozpoznał. A raczej nikt oprócz pastora Pollocka. Gdy ludność Snatter raczyła się wodą z fontanny, stał on sam przy podeście, darząc wszystkich łaskawym uśmiechem, jak gdyby (zacytujmy jednego z widzów) swą obecnością tę wodę uświęcił.

Relacjonując później bieg wypadków, pastor zaznaczył, że w pierwszej chwili nie wiedział, z kim ma do czynienia. Warto pamiętać, że od czasu ostatniej wizyty Pollocka milady bardzo zeszczuplała, nadto miała na sobie zniszczone ubranie, które trudno z nią było kojarzyć. Co więcej, pastor nie spodziewał się wcale, że pani Reid zjawi się na ceremonii, gdyż powiedziano mu (jemu i wszystkim innym), iż cierpi ona na migrenę i w związku z tym pozostanie w domu. Obecność jej zatem bardzo pastora zdumiała. Twierdził potem, że pani Reid mówiła doń „cicho jak mysz pośród serów”, przez co musiał pochylić się ku niej, by móc cokolwiek usłyszeć. Po chwili zrozumiał, że milady chce coś mu pokazać i że ma dokąś z nią pójść. Dalej zdumiony, ale nietknięty najmniejszym podejrzeniem, pastor spełnił jej prośbę, zakładając, że ma rzucić okiem na jakiś sekretny prezent, który milady kupiła dla męża, by upamiętnić ten ważny dzień.

Zdziwił się jeszcze bardziej, kiedy milady zaprowadziła go na boczną uliczkę przy sklepiku A.P. Hendersona. Tam to, z okna swego mieszkania na pierwszym piętrze, widziała ich pani Annie Bell, żona jednego z górników, przybyła niedawno w te strony z Leadhills. Poniważ z jej okna widać było rynek, pani Bell postanowiła obserwować

uroczystości nie ruszając się z domu, bo było zimno, a ona „kichała z kataru”. Zeznała później, że dama w czepcu zawiodła pastora na podwórko do składowania towarów sklepowych i tam zatrzymali się oboje, zapewne po to, by porozmawiać. Na podwórku panował nieład większy niż zwykle, gdyż robotnicy pracujący przy fontannie składowali tam narzędzia i rozmaite materiały: rury, kamienne płyty itp.

Do tego momentu, relacjonował pastor, milady zachowywała się uprzejmie, wręcz ujmująco. Kiedy jednak znaleźli się na podwórku, daleko od tłumu, milady nagle wpadła we wściekłość i jej zaczęły zasypywać go pytaniami na temat jakiejś zupełnie nieznanego mu kobiety. Pollock nie umiał sobie przypomnieć jej nazwiska, gdy go później o to pytano, mówił tylko, że było to coś w rodzaju Whelan, Finnegan lub Gilligan. Milady zwymyślała go wtedy od kłamców i szarlatanów. Oskarżyła go nadto, że przebrał się za duchownego! Pastor szybko doszedł do wniosku, że moja pani nie jest przy zdrowych zmysłach. Postanowił tedy oddalić się czym prędzej i powiadomić o wszystkim jej męża. Oświadczywszy, że musi koniecznie stawić się znów przy fontannie, odwrócił się, by ruszyć w stronę rynku.

W tym momencie pani Bell straciła zainteresowanie scenką rozgrywającą się pod jej oknem. Z początku rozmowa wydawała jej się ciekawa, gdyż najwyraźniej rozgorzał tam jakiś spór, teraz wszakże pastor i milady zamierzali już chyba odejść, więc pani Bell odwróciła się od okna. I dokładnie w tej chwili posłyszała odgłos uderzenia. Wyjrawszy ponownie, zobaczyła, że pastor klęczy na ziemi z zakrwawioną głową. Nad nim stała kobieta w czepcu - w dłoniach trzymała szpadel, będący niechybnie jednym z narzędzi, które leżały pod ścianą. Pani Bell zapamiętała, że czerwień krwi na skroniach pastora była niebywale wprost intensywna.

Znieruchomiała z przerażenia, patrzyła, jak kobieta unosi szpadel, by znów kilka razy uderzyć pastora po głowie i plecach. Atakowany próbował uciekać, odsuwał się na czworakach i wzywał krzykiem pomocy, lecz jego słabnący głos nie niósł się daleko. Kobieta szła za nim, dalej okładając go szpadlem i obrzucając go strasznymi obelgami (pani Bell nie chciała ich przytoczyć, wyznała jedynie, że kończyły się na „-synu”).

Sam pastor Pollock nie zapamiętał zbyt wiele od chwili, gdy otrzymał cios w głowę. Pamięta dość niewyraźnie, że czołgał się po wysypanej żwirem ulicy, bity łopata przez milady, lecz nie pamięta nic z tego, co mu ona wtedy mówiła.

Szczęściem już po upływie kilku sekund Annie Bell oprzytomniała i mogła głośno wzywać pomocy. Usłyszawszy jej krzyki, kobieta ze szpadlem odwróciła się gwałtownie i wlepiła wzrok w okno. Po raz pierwszy było widać jej twarz, lecz pani Bell, zamieszkała tu od niedawna, nie rozpoznała napastniczki. Nigdy jednak, oświadczyła, nie zapomni spojrzenia, jakim obdarzyła ją wtedy milady. Spojrzenie to, wedle jej słów, „było zimne jak śmierć”. Pełna obaw o własne bezpieczeństwo, wznowiła swe krzyki. Tymczasem kobieta w czepcu dalej przyglądała się jej uważnie, jak gdyby chciała ustalić tożsamość krzyczącej. Potem raptownie spuściła wzrok, rzuciła szpadel na ziemię i wolnym krokiem ruszyła w stronę rynku.

Wrzaski pani Bell zdążyły tymczasem dotrzeć do zgromadzonych przy fontannie i kilka osób śpieszyło już w tym kierunku. Słyszac odgłosy zbliżających się kroków, kobieta w czepcu podkasała spódnicę i odbiegła. Pani Bell wskazała przybyłym kierunek, w którym uciekła milady, i kilku chłopców i mężczyzn puściło się w pościg za zbiegłą. Szybko jednakże wrócili, albowiem prześladowczyni pastora albo rozpułynęła się we mgle, albo też, co wydaje się bardziej prawdopodobne, schroniła się w lesie, który zaczynał się za Łożą Wolnych Ogrodników.

Pastora zaniecono pod fontannę, gdzie obmyto mu głowę i gdzie lekarz zbadał go i opatrzył rany. Na tym etapie Pollock nie był jeszcze w stanie nic powiedzieć. Dalej był w szoku i poruszał tylko ustami jak ryba, a z jego gardła dobywał się niewyraźny gulgot. Nie mógł zatem powiedzieć, kto go zaatakował, i chociaż wskazywał na pana Jamesa, nikt nie wiedział, o co mu chodzi, bo przecie przez całe popołudnie wszyscy pana Jamesa widzieli i on oczywiście nie mógł być tu winowajcą.

Na rynek sprowadzono panią Bell. Opisała ona wszystko, co widziała z okna, lecz jej relację uznano za mało wiarygodną. W końcu

mieszkała w tych stronach od niedawna. Poza tym trudno było uwierzyć, że za to brutalne pobicie odpowiada kobieta. Nikt, rzecz oczywista, nie skojarzył nędznie odzianej kobiety w czepcu z imię panią Arabella Reid (nawet pan James, który był jeszcze pewien, że jego żona tkwi bezpiecznie pod kluczem w Zamku Haivers).

W tłumie zaczęto snuć spekulacje: kto to zrobił, i dlaczego? Oficjalnie każdy wyrażał zdumienie i oburzenie. Z drugiej strony pastor Pollock (który zawsze uchodził za człeka dobrodusznego) zaszedł już niejednemu za skórę i wielu by chętnie sprawiło mu tęgie lanie. W rozmowach prywatnych niektórzy istotnie się zdumiewali - nie tyle jednak samym faktem napaści, ile tym, że po tylu latach dopiero teraz ktoś go złoił.

A gdzie w tym czasie podziewała się Bridget (albo też pani Kirk, pod którym to nazwiskiem znała ją Janet Murray)? Otóż, jak już nam wiadomo, Janet powiedziała Arabelli, że pani Kirk poszła na uroczystość odsłonięcia fontanny. I rzeczywiście się tam pojawiła, lecz należała do tych, co nie podołali wyzwaniu, jakim okazało się dla zebranych przemówienie fundatora. Podczas kiedy pan James perorował i przyjmowano pierwsze zakłady, kilku ludzi stojących w pobliżu Bridget porozumiało się cicho ze sobą. Postanowili oni udać się zawczasu do „Łabędzia”. Trzeba wszak było rozgrzać krzesła, mówili. Trzeba sprawdzić, czy piwo jest dobre! Bridget wprosiła się do tej gromadki i resztę popołudnia spędziła w towarzystwie tych świeżo poznanych przyjaciół (prawie każdy z nich był łotrem spod najciemniejszej gwiazdy). Należność za pokój u Janet uiściła już wcześniej, teraz zaś, by w taki ziąb nie iść znowu do „Za Węgłem”, wysłała po багаż jakiegoś chłopczynę, płacąc mu za fatygę dwa pensy.

Przez całe to popołudnie A.P. Henderson kręcił się po swej karczynie, koncentrując się jednak na przygotowaniach w kuchni i jadalni na piętrze. Zauważył tedy siedzącą w kącie wesołą kompanię, lecz bawiącą się z innymi Irlandki nie skojarzył z kobietą, o którą go tego dnia pytano.

Mniej więcej o drugiej do karczmy wpadł jakiś człowiek o twarzy fretki. Zażądał, aby dla celów leczniczych dano mu szybko butelkę brandy, bo pastor Pollock ma rozbitą głowę, a odpowiada za to banda

katoli. (Taka była najnowsza wersja wypadków, ponieważ nikt nie wierzył pani Bell, a winowajczyni jak dotąd nie schwytano).

Goście pośpiesznie wybiegli na zewnątrz. Paru z nich - ani chybi wyznania katolickiego - zniknęło we mgle z obawy przed linczem. Pozostali ruszyli za fretkolicym, ciekawi, o co tyle hałasu. Bridget (która z pewnością nie afiszowała się swym wątpliwej jakości katolicyzmem) poszła z nimi. Tłum na rynku powiększył się zauważalnie, ponieważ wieść już rozniosła się po okolicach, a taka brutalna napaść stanowi o niebo lepszy magnes dla gapiów niż snob o zapędach oratorskich. Stojący z tyłu musieli przepychać się i wyciągać szyje, by móc cokolwiek zobaczyć, i Bridget szybko wtopiła się w ciżbę.

Cała ciekawość skupiła się na grupie dżentelmenów (byli wśród nich Duncan Pollock, McGregor-Robertson, pan Flemyng i pan James), stojących nad pastorem i usiłujących zatrzymać napierający na nich tłum. Sam poszkodowany siedział podparty o fontannę. Wyglądał krucho i bezbrinnie. Na głowie miał prowizoryczny bandaż i był przykryty kocem. Butelka brandy trafiła w ręce doktora, który kucnąwszy, przytknął ją do ust duchownego.

Ten upił kilka łyków, prysnął śliną i zakaszłał.

- Uff! Tfu! - Były to pierwsze w miarę zrozumiałe odgłosy, jakie zdołał z siebie wydobyć.

McGregor-Robertson pochylił się nad nim.

- Kto to zrobił, Archie? Kto ci to zrobił?

Pastor wolno uniósł oczy. Powiódł wzrokiem dokoła, jakby zdziwiony, że stoją nad nim ci wszyscy panowie i że otacza go gęsty tłum. Kiedy zaś ujrzał pana Jamesa, wzdrygnął się i zadyszał nerwowo. Jedni mówili, że wyglądał wtedy jak człowiek wystraszony, inni - że doznał szoku. Jeszcze inni twierdzili, że mimo doznanych obrażeń jak zwykle odgrywał spektakl i czerpał niejaka przyjemność z tego, że znalazł się w centrum uwagi.

- Kochani moi - rzekł, patrząc na pana Jamesa. - Ja... nie... wiem... O Boże!

Znów zamknął oczy i znowu zadyszał nerwowo, jak gdyby nie mógł już tego wszystkiego znieść.

- Aha-ha! - wycharczał. - Oho-ho!

Doktor położył mu dłoń na ramieniu.

- Wydobrejesz, Archie - zapewnił duchownego. - Jesteś ranny, ale wszystko się zagoi. Teraz powiedz nam: kto to zrobił? Jak wyglądał?

Oczy pastora otwarły się znowu i ponownie spoczęły na panu Jamesie, który zdradzał już pewne oznaki niepokoju.

Pastor odchrząknął i przełknął ślinę. Poruszył szczęką. Następnie oblizał usta i szepnął:

- To... To...

Tłum zacisnął się wokół fontanny. Pastor uniósł rękę w stronę stojących przy nim dżentelmenów. Wskazujący palec wahał się dramatycznie, nim stało się jasne, że wskazuje pana Jamesa. Potem głos dźwięczny, o dykcji zaiste scenicznej i sile zdolnej dotrzeć z ambony aż po ostatnie ławki w kościele, takież to głos obwieścił teraz:

- Napadła na mnie... Arabella Reid!

Nieoczekiwana strata

Jak już mówiłam, większą część tej historii poznałam znacznie później, a parę faktów złożyłam do kupy sama. Owego sądnego dnia Hector podał nam tylko informację najistotniejszą, ubraną w zdanie kończące się myślą niemającą nic wspólnego ze sprawą:

- Pani Reid walła pastora szpadlem w łeb i zemkła pójdiesz ty ze mno na spacer Bessy jak bendziesz mieć wychodne?

- Co? - rzekła Muriel. - Szpadlem?

Nim jednak zdołałam wchłonąć w siebie pierwszą część wypowiedzi Hectora, ze swojego pokoju wyskoczył pan James i minął nas w takim pośpiechu, że poły płaszcza niemal mu załopotowały.

- Chodź ze mną, Hector - powiedział. Widocznie kilka chwil sam na sam z sobą wystarczyło mu, żeby odzyskać siły. Hector potruchtał za nim. Przez moment stałam jak wryta, po czym pędem pobiegłam za nimi.

- Sir, sir! - krzyknęłam. - Czy będzie pan szukał milady?

- Oczywiście! - odparł szorstko, nie oglądając się za siebie.

Zaczerpnęłam głęboko powietrza.

- A mogę iść z panem, sir? Czy mogę panu jakoś pomóc?

Zatrzymał się u szczytu schodów, z jedną ręką na poręczu, i spojrzał na mnie. Spostrzegłam, że zdjął swój sztywny kołnierzyk i zmienił lakierki na stare buty.

- Wielce łaskawa to propozycja - powiada. - Myślałem, że wrócisz do łóżka twej pani, by dalej sobie podrzemać.

- Nie, sir - odrzekłam. - Chcę panu pomóc.

Wysunął podbródek.

- Ktoś musi tu zostać - oświadczył kategorycznym tonem. - Żona może tu wrócić. A z tobą jeszcze się później rozmówię.

- Ja tu zostanę, sir - powiedział ktoś za moimi plecami. Odwróciłam się i stwierdziłam, że Boziu najmiłsza autorką tej propozycji jest Muriel! Nawet na mnie nie zerknąwszy, dodała: - Mogę tutaj poczekać, sir, jeśli Bessy chce z panem iść.

Pan James westchnął.

- No dobrze - powiedział i ruszył szybko w dół po schodach, miał w końcu ważniejsze sprawy na głowie niż zajęcia swoich służących.

Zamierzałam od razu podziękować Muriel, lecz ona nie chciała o tym słyszeć, mijając mnie, rzekła krótko: - Ani słowa! - Ona sama zapewne nie byłaby mi nigdy podziękowała za wyciągnięcie jej z tarapatów, lecz błyskawicznie się odwzajemniła i na tym jej zdaniem sprawa dobiegła końca.

Pan James i Hector byli już przy drzwiach od frontu. Zbiegłam na dół, wyprzedzając Muriel, i wparowałam do kuchni, by wyjść tylnymi drzwiami. Wtedy zorientowałam się, że nie mam płaszcza. Ze wściekłości chyba krzyknęłam, bo po chwili pokazała się Muriel i spytała, o co ten krzyk. Gdy usłyszała odpowiedź, zdjęła z haczyka swój płaszcz i rzuciła mi go bez słowa. Następnie (być może zdumiona własną wielkodusznością) ruszyła w stronę WC z miną mówiącą „no i co jeszcze”, unosząc w górę kącik ust, jakby ktoś ją ukłuł w policzek.

Hector i pan James udali się w stronę stajni, tedy ja puściłam się w drogę pieszo. Jeśli porządnie wyciągnę nogi, myślałam, to dotrę do Snatter przed nimi. Ziemia była pobrużdżona i zmarznięta, przez co nie mogłam iść zbyt szybko, bo inaczej mogłabym rymnąć jak długa. Truchtałam jednak najszybciej, jak tylko się dało, oddech z mych ust buchał chmurkami pary, które od razu zlewały się z mgłą.

Za nic nie mogłam zrozumieć, co się naprawdę zdarzyło. Wiedziałam, że moja pani nie przepada za pastorem, lecz trudno mi było dać wiarę, że dzieliła go po łbie łopata, mimo całego pomieszania zmysłów. Może, myślałam, Pollock próbował przeszkodzić jej w ucieczce, a ona musiała go uderzyć, żeby wyrwać się na wolność.

Zbliżałam się już do Snatter, kiedy z mgły za moimi plecami wyskoczył koń i wyprzedziwszy mnie, popędził galopem przed siebie. Był to pan James z Hectorem. Ten ostatni odwrócił się na moment, by posłać mi całusa, co oczywiście zignorowałam. Kilka chwil później byłam już przy fontannie. Ludzie mrowili się tam, zbici w grupki. Pan James właśnie zsiadł z konia i zostawił przy nim Hectora, by ten gdzieś go uwiązał. On sam podszedł do Alasdaira, który stojąc na podeście, organizował grupy poszukiwawcze. Wprawdzie do zmierzchu zostało jeszcze kilka godzin, ale niektórzy pobiegli do domów po lampy. Ktoś roznosił kromki chleba, a stary cwaniak A.P. Henderson, osobnik zaiste nie w ciemną bity, ustawił na stole beczkę, aby sprzedawać piwo spragnionym. Poldka nigdzie nie dojrzałam. Prawdopodobnie zaniecono go do domu. Zauważyłam, że pan James i doktor rozmawiają z jakąś nieznaną mi drobną kobietką w niebieskim szalu.

Opodal kręcił się Flem yng. Pochwyciłam jego spojrzenie, mrugnęłam doń i zamachałam złośliwie. Zaniepokoił się trochę i zbliżywszy się szybko do pana Jamesa i doktora, zaczął udawać, że przysłuchuje się z uwagą prowadzonej przez nich rozmowie. A niech go choroba.

Miałam nadzieję, że uda mi się powiadomić matkę o niespodziewanej zmianie planów, ale ekipy poszukiwawcze mogły w każdej chwili wyruszyć w teren. Dojrzałam przed sobą jakiegoś chłopca, mógł mieć mniej więcej siedem lat. W ręce trzymał ołówek i biegał sobie tu i tam bez sensu, jak to dzieciaki mają w zwyczaju, czasem celował ołówkiem w ludzi, jak gdyby zamiast ołówka dzierżył w dłoni muszkiet, czasem zaś mówił coś sam do siebie gniewnie, jakby mieściła się w nim cała kompania strzelców.

Zawołałam go i pokazałam ćwierć pensa, które wcześniej wyjęłam z kieszeni.

- Znasz drogę do gospody przy dworcu? - spytałam.

Kiwnął głową, nie spuszczać wzroku z monety w mej dłoni. Powiedziałam mu, że dostanie dwie ćwierćpensówki, jeśli pobiegnie do dworcowej gospody i przekaże pewną wiadomość niejakiej pani Kirk.

Następnie wzięłam od niego ołówek i na chusteczce, którą pan James sprezentował mi onegdaj, naskrobałam liścik do matki. Ponieważ kreślenie słów na kawałku płótna nie należy do zadań łatwych, a moja matka nie należała do czytelników cierpliwych, streszczałam się, jak tylko mogłam.

Spóźnię się. Przepraszam. Możemy wyjechać jutro. Twoja Daisy

Dziwnie się czułam podpisując ten liścik, po raz pierwszy od wielu miesięcy użyłam tu prawdziwego imienia, ale stwierdziłam, że muszę znowu do niego przywyknąć. Wsunęłam chłopcu smarkatkę do kieszeni spodni i oddałam ołówek. Wręczając mu ćwierćpensówkę, obiecałam, że drugą taką dostanie, kiedy zgłosi się do mnie po dostarczeniu listu. Puścił się pędem w stronę dworca, ja zaś ruszyłam ku fontannie, aby dowiedzieć się, co mam teraz robić.

Ledwie zrobiła dwa kroki, gdy nagle przede mną wyrósł Hector i zaczął tańcować dokoła mnie chwiejnie jak kulejący kucyk. Przez jego ramię dostrzegłam pana Jamesa, który stał na podeście i w dalszym ciągu konferował z kobietką w niebieskim szalu.

- Nu i jakże - powiada Hector - mondralo ty jedna?

- Spływaj kurka do krucafuksów - odparłam, próbując go wyminać. - Albo pociacham cię na kawałki.

Hector chwycił mnie za ramię i trzymał tak, oddalony na długość ręki. Zrobił obrażoną minę.

- Cu sie z tobo wyprawio? - powiada. - Nu dajże ty spokój! Jużem sie przecie tam wcisnoł. Wpierw twoja studnia jency z głodu, a potem kcesz nagle, cobym se poszet. (Zapewniam, że nie powiedział bynajmniej „studnia”). Uszczypnął mnie w biodro, próbował objąć. Wy-rwałam się i spojrzawszy mu w twarz, rzekłam tonem na pozór swobodnym:

- Dobra, śmierzdielu. Ale musisz za to zapłacić.

- Cu niby?

- Pięć szylingów.

Nawet kapelusz napęczniał mu ze zdumienia.

- Pinć szylingów!

- Dokładnie - mówię. - Podczas gdy trawił jeszcze moją ofertę, wskazałam kciukiem na podest i zapytałam: - Kim jest ta mała damulka, z którą rozmawia pan James?

- Cu? - Popatrzył we wskazanym kierunku. Gębę dalej miał rozdziawioną. - A, to je pani Bell - odparł. - Łona zoczyła, jak pani Reid pastora bez łeb wali. Pinć szylingów? Se dowcipkujesz, czy cu?

- Tyle to kosztuje - powiadam. - Od dzisiaj. Zastanów się dobrze. I zacznij oszczędzać. Albo sam sobie wymłóć biskupa.

Gdy odchodziłam, patrzył za mną, drapiąc się po makówce w stanie głębokiej konsternacji.

Trafiłam do jednej z ostatnich grup, mających się udać na poszukiwanie milady, dzięki Bogu Hector znalazł się w innej. Naszą grupę tworzyło dwanaście osób. Mieliśmy iść gęsiego skrajem lasu, zaczynając przy Łoży Wolnych Ogrodników, potem na wschód, na południe i tak dalej, zgodnie z ruchem wskazówek zegara, przez pola i wokół lasu, aż w końcu wrócimy do Snatter. Założenie było następujące: milady ukrywa się gdzieś pośród drzew, a hałas, jakiego narobią szukający, wypłoszy ją stamtąd jak dzikie ptactwo. Zaopatrzyliśmy się w lampy i pochodnie, bo wciąż wszystko tonęło we mgle. Alasdair kazał nam utrzymywać równą odległość między sobą: jedną osobę od drugiej oddzielał dystans dwóch wyciągniętych ramion. Moja ekipa składała się z tkaczy i ich małżonek tudzież kilku służących, takich jak ja. Było tam również dwóch górników, których onegdaj widziałam w „Za Węglem”, którzy wszelako nie mogli mnie rozpoznać, bo ukrywałam się wtedy za drzwiami.

Moje sąsiadki mieszkały przy samym rynku i miały, oj miały gadane. Z radością opowiedziały mi zatem o wszystkim, czego nie mogłam być świadkiem. Byłam ciekawa, co pani Bell zobaczyła i usłyszała ze swego okna. Podobno słyszała, jak milady oskarża pastora. A o cóż go ona mogła oskarżać, spytałam, lecz moje sąsiadki, choć każda z nich miała język mogący obsłużyć dwa komplety zębów, nie były

w stanie nic na ten temat powiedzieć. Nie mogły wyjść ze zdumienia, kiedym wyznała, że pracuję w Zamku Haivers. Aby uniknąć niepotrzebnych pytań, podałam się za dojarkę, która jedynie z daleka widywała czasami panią Reid. Ach, gdybyż znały prawdę!

Po kilku chwilach wyczerpały im się tematy i szliśmy w pełnym czujności milczeniu. Mgła się niekiedy rozrzedzała i dawało się widzieć migające pośród drzew lampy i pochodnie innych grupek poszukiwawczych. Czasem rozlegał się nagle okrzyk lub wybuch śmiechu. Serce podeszło mi raz do gardła, kiedy przed nami przemknął jakiś cień, lecz była to tylko sarna z białym ogonkiem, przebierająca smukłymi nogami. Gdy znikła we mgle, pomyślałam: a gdyby to była milady? Czy ktoś puściłby się za nią w pościg i powalił ją na ziemię? Tropiliśmy ją jak zwierzę i niezbyt mi się to podobało. Nie chciałam też jednak, żeby na śmierć zamarzła pod jakimś krzakiem. Wyobraziłam sobie, jak czai się gdzieś skulona albo jak widząc już pościg, przemyka strwożona od drzewa do drzewa. Na samą myśl o jej obecnym położeniu robiło mi się niedobrze.

Obejście lasu zajęło nam półtorej godziny. Zmierzchało już, gdyśmy w końcu doczłapali na rynek. Przy drodze rozpalono duże ognisko, a na fontannie rozwieszono latarnie. Ludzie z grup, które wróciły z obchodu, odpoczywali przed kolejną turą poszukiwań. Niektórzy rozchodzili się do domów, raczej nie mieli już tutaj wrócić. Wszak dzień był zbyt chłodny na przechadzki po lasach i polach. Ci, co zostali, zgromadzili się wokół ogniska.

Kilka staruszek rozlewało herbatę z wielkiego garnca, który przyniosły z jednego z domów. Nie byłam spragniona, ale przyjęłam kubek, żeby rozgrzać sobie dłonie. Następnie podeszłam do ogniska. Opoдал, przy fontannie, Alasdair rozmawiał z Hectorem i Bochenkiem. Z początku nigdzie nie widziałam pana Jamesa, lecz rozglądając się uporczywie dokoła, zobaczyłam go w końcu, jechał wierzchem od strony lasu.

Zbliżywszy się do swoich ludzi, zeskoczył z konia, by zamienić z nimi parę słów. Podejrzewam, że wcześniej krążył między szukającymi grupami, wypytując, czy ktoś czegoś nie widział.

W tym momencie prawie że podskoczyłam ze strachu, ponieważ pokaźne naręcze drewna wylądowało w ogniu z donośnym trzaskiem. Obejrzałam się i błyskawicznie ustaliłam, że drewno wrzuciła kobieta w niebieskim szalu, która jakiś czas wprzód rozmawiała z panem Jamesem. O rany, była taka drobniutka, że gdyby jej na ramieniu posadzić gołębia, to sięgnąłby dziobem jej tyłka.

- Pani Bell? - zwróciłam się do niej. Odpowiedziała uśmiechem. Twarz miała pulchną niby ciasto drożdżowe, a oczy małe i czarne jak rodzyнки. - To moją panią wtedy pani widziała - powiadam - wtedy, z pastorem.

- Biedactwo - rzekła i ogarnęła mnie współczującym spojrzeniem. Stwierdziłam, że muszę bronić milady.

- Normalnie muchy by nie skrzywdziła - wyjaśniłam - ale ostatnio nie czuła się najlepiej. Nerwy.

Pani Bell skinęła głową i poklepała mnie po ramieniu.

Tak zachęcona, poszłam za ciosem:

- Ktoś mi mówił, że milady zwymyślała pastora. Pamięta pani, co krzyczała?

Pani Bell zmarszczyła czoło.

- No - rzekła. - Nim go walnęła, dowiedzieć się chciała, gdzie jest jakaś kobieta. „Gdzie ona jest?”, powtarzała. „Gdzie ona jest?”.

Czy chodziło jej o Norę? - myślałam. Czy o urojoną panią Gilfillan? I czy wobec tego wzięła pastora Pollocka za McDonalda, czy jak mu tam było, rzekomego pomagiera i mistrza kamuflażu?

- A potem - podjęła pani Bell - ostrzegła go, żeby nie ruszał jakiejś kobiety. „Nie dostaniesz jej”, powtarzała. „Nie dostaniesz jej”. Biedaczka straciła zmysły.

- Co jeszcze mówiła?

- A wymyślała mu od ostatnich. Twoja pani jest bardzo porywcza?

- Raczej nie.

- Gadała wciąż, że to jego wina. Że nie miał prawa tego robić. Coś jej się w główce pokićkało, kochana. Już nijak nie dało się tego pojąć. A biedakowi wypadły potem z kieszeni te jego broszurki, pełno ich było na ziemi, a on chciał chyba je pozbierać, czy coś.

Pastor i jego broszurki dla idiotów. Przypomniała mi się Nora i jej kuferek, w którym było mnóstwo tego cholerstwa. Wyobraziłam sobie, jak siedzi w swoim pokoju, należycie schludna i wyprostowana, czytając je przy świecy. I nagle przypomniał mi się ów dzień w Bathgate, kiedy to wpadła na Poldka. Zaprosił mnie wtedy do siebie w celu - jak to określił - edukacyjnym. Ja oczywiście nie dałam się nabrać, ale ten cwaniak mógł nabrać Norę. A te notatki na marginesach jej broszurek powstały zapewne podczas seansów edukacyjnych.

Tak, ani chybi dostała te broszurki od Pollocka, którego musiała czasem odwiedzać, nawet dość często, jeśli wziąć pod uwagę, ile się tego nagromadziło w kuferku. Potem myśl moja spoczęła na słowach, jakimi Muriel określiła pastora: Świerzbująca Rączka. Co za gnojek! Aż mnie zemdliło. Jednakowoż przyznać trzeba, że jak na swój wiek był mężczyzną przystojnym. Nadto prezbicy pastorzy potrafią być elokwentni. Jeżeli przez kilka tygodni bywał z Norą sam na sam, to kto wie, co mogło się wydarzyć? Biedna dziewczyna. Może nawet z głupoty się w nim zakochała.

Wiem, pomyślałam, co się kryje za śmiercią Nory. Nagle wszystko zaczęło mieć sens, atak milady na pastora, jej szaleństwo z rozpacz.

Znów jęłam szukać wzrokiem pana Jamesa. Chciałam od razu powiedzieć mu, co myślę, bo gdyby prawda wyszła na wierzch, to może milady by wydobrzała. Z ulgą stwierdziłam, że dalej stoi on przy fontannie i konferuje z Alasdaiem.

Już miałam do niego podejść, gdy na ulicy od strony Glasgow pojawił się jakiś biegnący szybko mężczyzna. Był młody, bez płaszcza, w roboczym kubraku na grzbiecie. W dłoni ścisnął kapelusz, pewnie bał się, że spadnie mu z głowy. Parę osób obejrzało się za nim, nikt jednak nie zwrócił nań większej uwagi, bo wieści dotyczące się mojej pani miały wszak przybyć od strony lasu.

Kiedy facet w kubraku zobaczył pana Jamesa, począł krzyczeć: - Panie Reid! Panie Reid! Znalezli ją! - Wtedy wszyscy utkwili w nim wzrok. Podbiegłszy do mężczyzn przy fontannie, powiedział coś jeszcze, wskazując ponad zabudowania Snatter, nie tam, skąd przybył, tylko bardziej w kierunku północno-zachodnim.

Na ramieniu poczułam dłoń pani Bell.

- Co on gada? - spytała.

- Ćśśś... - uciszyłam ją. - Nie słyszę.

Musiło wydarzyć się coś złego. Słuchając nieznanego, pan James stał sztywno jak posąg, twarz miał bladą i zbolaną. Alasdair położył mu dłoń na ramieniu, jakby dla dodania otuchy. Potem nagle kilku mężczyzn z tej gromadki rzuciło się pędem ulicą wiodącą na zachód. Ktoś wskoczył na furmankę i chwycił za lejce. Doktor wszedł śpiesznie do swojej dwukółki. Wybuchła panika. Prawie wszyscy biegli w kierunku Wielkiego Gościńca. Paru innych zmierzało w stronę dworca. Pan James dalej stał jak skamieniały. Z bezwładu wyrwał go dopiero McGregor-Robertson, który pochylił się ku niemu i coś mu powiedział. Wtedy pan James wszedł na dwukółkę, usiadł obok doktora i razem ruszyli ulicą Dworcową.

- Co się stało? - krzyknęłam do jednego z biegnących ludzi. - Gdzie ona jest?

Facet zatrzymał się i odwrócił.

- Znaleźli jej zwłoki na torach! Przejechał ją pociąg!

Zmiłuj się Panie Boże, bo chyba się roześmiałam. Był to jednak śmiech krótki, śmiech, co bierze się z szoku. Teraz już wiem, że coś takiego istnieje, ponieważ widziałam, jak inni reagują w ten sposób. Śmiech zamarł mi na ustach. Te słowa jeszcze do mnie w pełni nie dotarły. Pobrząkiwały mi w głowie, pozbawione znaczenia. Pociąg. Na torach. Zwłoki. Szczególnie to ostatnie dręczyło mnie niezrozumiale. Pan Levy, spoczywający na tureckim dywanie, zimny i nieruchomy. To były zwłoki. Albo leżąca w trumnie Nora. Zwłoki.

Jakoś nie mogłam skojarzyć tego słowa z milady.

Zdrowaś Maryjo, Święta Maryjo, ratuj mnie.

Facet spoglądał na mnie kątem oka. W jego mniemaniu mój śmiech świadczył o oschłości serca.

- To wcale nie jest zabawne - powiedział, odwracając się. - Ta kobieta nie żyje.

I znowu puścił się pędem przed siebie. Patrzyłam za nim tak długo, aż pochłonęła go mgła i ciemność.

Spisując w tej chwili niniejszą relację, próbuję przypomnieć sobie, co myślałam w kolejnych sekundach i minutach. Ale nie było we mnie żadnych myśli, jedynie ich brak. A dokoła mnie wszystko wrzało, wszyscy dokądś pędzili. Kto miał konia, ten na niego wskakiwał i odjeżdżał w kierunku torów kolejowych, albo drogą na stację, albo ulicą wiodącą do Glasgow. Kto zaś konia nie posiadał, musiał solidnie wyciągnąć nogi. Jeszcze inni wsiadali do wszelkich dostępnych wchikułów, toteż gdzie człowiek nie spojrzeł, widać było furmanki i dwukółki uginające się pod ciężarem pasażerów.

Ruchome postaci i konie zlewały się ze sobą i zamazywały wzajemnie. Myślałam, że zaraz zemdleję, lecz podtrzymała mnie pani Bell. Tylko tyle mi się tego dnia poszczęściło, że stała wtedy obok mnie. Nie zraził jej mój wybuch śmiechu, bo dobrze wiedziała, że przeżyłam szok. Podtrzymała mnie zatem. Usiłowałam skupić się na jej uścisku, myślałam bowiem, że nie omdleję, jeśli skoncentruję całą uwagę na jakimś doznaniu fizycznym. Wysiłek ten tak bardzo mnie pochłonał, że reszta mojej osoby jakby zniknęła. Ostał się jedynie kawałek ciała w środkowej części ramienia, ściśnięty przez pałce pani Bell. Reszta ciała przestała istnieć. Uświadomiłam sobie po chwili, że ów fragment ramienia jest prowadzony ulicą w stronę „Łabędzia”. Na ulicę nagle wyjechała dwukółka, powożona przez starego łobuza A.P. Hendersona. Pani Bell zamieniła z nim parę słów, po czym umieściła rzezony kawałek ramienia na koźle i sama się obok usadowiła.

Jak tylko poczułam szarpnięcie dwukółki, znalazłam się na powrót w swym ciele, bo drzenie grzechoczącego pojazdu przeszło mnie całą, od tyłka przez grzbiet do czaszki, aż mi zęby zazgrzytały. Tak jakby szwankowały resory, choć pewnie były zupełnie sprawne, jedynie ja, wyzuta z myśli, reagowałam na wszystko bardziej intensywnie. Gdy wjechaliśmy na ulicę Dworcową i nabraliśmy prędkości, wibracje zyskały na sile, a ja kiwałam się wte i wewte jak przyrodzenie rażnego piechura, rozdygotałam się caluteńka, czułam niemalże, jak tkanka oddziela się od kości i odpada chłodnymi jedwabnymi wstęgami. Rozlatywałam się, rozkładałam, rozpuszczałam, usta wypełniły się śliną, zamieniałam się w parę, oddech rwał się i dobywał na zewnątrz mgli-

stymi obłoczkami, jakbym się zadyszała w biegu. A przecie siedziałam, przynamniej na tyle, na ile podrygi i ślizgi wozu siedzieć mi pozwalały. Powietrze pachniało dymem i sadzą, gdyśmy tak przebijali się przez strzępiaste warstwy zimnej mgły. Henderson popędzał konia, coraz mocniej zacinał batem, coraz głośniej pokrzykiwał. Zbliżając się do wiaduktu kolejowego miałam wrażenie, że wjeżdżam prosto we wrota piekieł.

Opodal wiaduktu Henderson musiał zwolnić, bo przed zakrętem stała cała kolumna wozów. Ulica, którą żeśmy jechali, prowadziła dalej na północ. Po prawej znajdował się dworzec. Po lewej, równoległe do torów, biegła wyboista droga, która dwie mile dalej kończyła się przy kolejnym wiadukcie - stamtąd zaś, jeśli skręcić na południe i iść potem miedzą, dochodziło się prosto do Zamku Haivers. Na ową wyboistą drogę wjeżdżały teraz wszystkie pojazdy, nasz również. Pokonawszy zakręt, konie znów przyśpieszyły. Mijaliśmy wielu ludzi rażno maszerujących w tym samym kierunku. Po prawej stronie, niemal na wyciągnięcie ręki, leżały błyszczące tory. Czasami znikają nam z oczu i nikły w wykopie.

Kawałek przed nami kilka furmanek i dwukółek stało na trawiastym poboczu drogi, dojrzałam tam również uwiązane do drzew konie. Na skraju głębokiego wykopu zebrała się już gromadka ludzi. Inni pośpiesznie opuszczali swe wozy i biegli ku owej grupie. Po chwili dotarliśmy tam i my. Henderson ściągnął cugle. Pomogłam wysiąść pani Bell, po czym sama pomknęłam w stronę gęstniejącego zbiorowiska.

Z krawędzi wykopu było widać tory, przy których stało czterech mężczyzn w roboczych kombinezonach. Myny mieli nietęgie. Obok nich leżał na ziemi jakiś kształt, jakaś bryła, przykryta workami po kartoflach. Podobna bryła, również przykryta workami, leżała kilka jardów dalej, też przy torach. Parę kroków od mężczyzn stał Stefcio Sumka i liczył przykryte workami bryły, wskazując je na przemian. Jeden, dwa, mówił. Jeden, dwa. Jeden, dwa.

Pan James i doktor błyskawicznie zbiegli po trawiastym zboczu, podeszli do czwórki mężczyzn przy torach i zamienili z nimi parę

słów. Obok mnie pojawiła się pani Bell. Ścisnęła mi ramię, lecz ja bez namysłu wyrwałam się jej i ruszyłam w ślad za oboma panami.

Gdy stanęłam na równym gruncie, jeden z robotników zgiął się wpół i uniósł kawałek worka. Pan James, strwożony, pochylił się również i spojrzął na to, co mu pokazano. Trwoga ustąpiła miejsca zdumieniu.

- To nie ona - powiedział. - To nie jest moja żona.

Fala ulgi przeszła mnie niby szklanka dżinu na pusty żołądek. Podeszłam bliżej, żeby przekonać się naocznie, by się upewnić. Pan James miał rację. Nieżywą kobieta przy torach nie była milady. To była Bridget. Moja matka.

Leżała na plecach, oczy miała zamknięte. Wyglądała na drobną jak dziecko. Nie dostrzegłam choćby najmniejszego draśnięcia. Włosy, twarz, odsłonięty fragment sukni - wszystko nieskazitelne. Jak gdyby w każdej chwili mogła otworzyć oczy, wyciągnąć ramiona i zacząć mówić. Coś tu jednak było nie tak. Z początku nie mogłam zrozumieć co. Doktor kucnął przy zwłokach, żeby się lepiej przyjrzeć, a pan James odwrócił się ku drugiej przykrytej workami bryle. Tam też musiało spoczywać coś, co należało zasłonić przed ludzkim wzrokiem. Drugi trup! Może to milady? Stefcio Sumka dalej liczył. Jeden, dwa. Jeden, dwa. Przez moment byłam zupełnie zbita z tropu. Dlaczego nie pokazali panu Jamesowi tego drugiego trupa? I nagle, czując, jak mi się zbiera na mdłości, pojęłam swoją pomyłkę i uzmysłowiłam sobie, czemu matka wydała mi się osobliwie pomniejszona. Bo to wcale nie było drugie ciało. To naprawdę nie było drugie ciało.

Przypadłam do ziemi, i rzygałam, rzygałam tak długo, aż nic we mnie nie zostało. Gdy tak obrzygiwałam kamyki przy torach, doszły mnie, jakby z oddali, głosy mówiących mężczyzn.

- Żeśmy do domu wracali - opowiadał jeden z robotników - i zobaczyli ją tutaj. A resztkę znaleźliśmy potem tam.

Uniosłam głowę. Facet wskazywał drugą stertę worków.

- Przecięta na pół - stwierdził doktor. - Dobry Boże...

- Ano. Szła pewnikiem po torach, jako i my. Tyle że nie widziała pociągu przez mgłę. Pijana była poza tym. Czuć od niej było.

- Mogła też spaść z tego wiaduktu - rzekł doktor. - A pociąg powalił ją i powłókł ciało kawałek. Takie rzeczy się zdarzają.

Rozmawiali dłużej, lecz nie słuchałam, ponieważ dostrzegł mnie wtedy pan James. - Bessy, Bessy - mówił, zbliżając się do mnie. - Co ty tu robisz, u diabła?

Spojrzałam na niego, na obiekt leżący pod workiem, na ludzi przyglądających się nam ze szczytu porośniętego trawą zbocza. Czułam, że zaraz pęknie mi głowa. Pan James czekał, aż coś powiem, lecz nie mówiłam, bo bałam się, że wybuchnę. Byłam cała złana potem. Chciałam rzucić się na niego z pięściami. Tak, dalibóg, to by było dobre rozwiązanie! Rozpocząć bójkę, solidne mordobicie! Tak właśnie trzeba. Czemuż wcześniej na to nie wpadłam? Już miałam wykonać swój zamiar, już zaciskałam pięści, ale w ostatniej chwili się rozmyśliłam. Ruch - oto, co było mi teraz potrzebne. Ruch i dystans. I nie czekając już na nic, puściłam się pędem wzdłuż torów, najszybciej, jak tylko mogły mnie ponieść nogi. Ktoś za mną krzyczał, imię „Bessy” rozbrzmiewało mi w uszach.

Biegłam bez celu, nie miałam zielonego pojęcia, dokąd tak mknę, po prostu trzymałam się torów. Mimo kotłowaniny w głowie czułam się dobrze. Nawet wpadłam w pewien rytm. Po kilku minutach, a może po kilkudziesięciu, dotarłam do jakiejś stacji. Lada moment miał tu chyba nadjechać pociąg, bo na peronie stali ludzie, wpatrujący się w tory od strony, z której biegłam. Zamiast pociągu ujrzałam zadyszana dziewczynę. Z jakiegoś powodu bardzo mnie to rozbawiło. Niektórzy z nich patrzyli na mnie z **OGROMNĄ** dezaprobatą, poznałam to po ich minach. Patrzcie no tylko na dziewczuchę! Biegnie sobie bezprawnie po terenie kolejowym, zakłóca ład i porządek! Mieli rację, ale co mnie to mogło wtedy kurka obchodzić? Wdrapałam się na jeden z peronów, posłałam im parę niechętnych spojrzeń i w końcu przestali się gapić. Potem przez moment stałam jak kołek, bo nie wiedziałam krucafuku co dalej. Gdyby nadjechał pociąg, to bym pewnie do niego wsiadła, na razie jednak było pusto, a ja nie miałam siły czekać, znowu musiałam być w ruchu. Odczekawszy zatem mniej więcej pięć sekund, znowu puściłam się pędem przed siebie.

Wybiegłam ze stacji na ulicę. Z naprzeciwka szedł facet, który szeroko otworzył usta, jakby zamierzał coś do mnie krzyknąć, ale nie krzyknął, lecz ziewnął i ziewał tak, idąc, jeszcze przez dłuższą chwilę, w życiu takiego ziewnięcia nie widziałam. Ziewał, kiedyśmy się miłali. Jakie to dziwne, móc ziewać z taką rozkoszą! Nigdy więcej, pomyślałam, nie będę ziewać w ten sposób.

Na ulicy rozglądałam się wokół siebie. Nie miałam pojęcia, gdzie jestem. Po prawej stał rząd dużych domów. Widziałam drewniane bramy, porośnięte ligustrem sklepienie przejścia w ogrodach, za nimi szklarnie i pola. Przeszłam przez dziurę w żywopłocie i biegłam dalej po raczej podmokłym gruncie. Przede mną ciągnęła się otwarta, bezdrzewna przestrzeń, w oddali widniały jedynie kominy i niewysokie przyzmy piasku. W pewnym momencie stopy ugrzęzły mi w czarnym śmierdzącym bagnie, straciłam buty, a nogi prawie nasiąkły mi wodą. Bieg na bosaka był wprost koszmarny, ale biegłam, biegłam dalej. Po chwili teren zaczął się wznosić, mokradła przeszły we wrzosowisko i po kolana brnęłam we wrzosie, jakbym się posuwała wśród fal. Następnie swe coraz cięższe kroki skierowałam ku lasowi w oddali, gdy tam jednak dotarłam, okazało się, że nie jest to las, tylko mały zagajnik. Za nim ciągnęła się bita droga, dalej więc poszłam nią właśnie. Szłam i szłam. Przeszłam przez most z kępami drzew u obu krańców, minęłam ruiny jakiejś starej manufaktury, straszącej kruszejącymi cegłami tudzież krokwiemi, które pod gołym niebem prezentowały się niby szkielet. Mrok już zapadał, kiedym dotarła do skraju jakiejś wioski. Nie miałam najmniejszej ochoty na kontakt z istotami ludzkimi, toteż skręciłam w bok i znowu ruszyłam przez poła. Szłam tak długo, aż drogę zagroził mi płot. W jednym miejscu miał dziurę, zajrzałam przez nią i zobaczyłam kilka rozpadających się szop, nieduży budynek z kamienia oraz cysterne czy coś w tym rodzaju. Opodal widniało wejście do jakiegoś tunelu. Nigdzie żywej duszy. Była to zamknięta już na noc kopalnia, ale wtedy jeszcze o tym nie wiedziałam.

Zmrok zapadł na dobre. Przepchnęłam się przez dziurę w płocie, bo chciałam odpocząć w jednej z tych rozwalonych szop. Okazało się jednak, że kamienny budynek nie jest zamknięty. Było tam tylko

jedno pomieszczenie, służące najpewniej za biuro. Na całe wyposażenie składało się tam stare biurko, krzesło i poczerńiały kominek. Żadnych zasłon w oknach, żadnego kawałka materiału, którym można by się przykryć, żadnej poduszki. Ale przynajmniej było tam troszkę cieplej niż na zewnątrz, no i sucho. Owinąwszy się szalem i płaszczem Muriel, kucnęłam w kącie plecami do ściany, obejmując kolana. Trzęsłam się cała. Pot na ciele zrobił się zimny, poza tym nie byłam już w ruchu. Mimo to w głowie dalej kłębiły się myśli. Biegiem i marszem przebyłam długą drogę, w ciągłej rozpacz i strachu. Uświadomiłam sobie, że źle ze mną. Miałam dreszcze, coś rozsadało mi głowę. Od poprzedniego dnia nic zupełnie nie jadłam. Odchodziłam od zmysłów. Nagle zaczęłam sobie roić, że zrobię w tym domku porządek, kupię firanki, stół, krzesło i materac, i zamieszkać tam, miast wracać do Glasgow. Wiem, nie był to pomysł zbyt mądry, ale nie mogłam tej wizji od siebie odpędzić. Rzeczą najistotniejszą, stwierdziłam, jest zadbać o to, by nikt nie dowiedział się, że tu mieszkam. Nocami będę wypuszczać się w teren, żeby zdobyć coś do jedzenia. Potem doszłam do wniosku, że powinnam się rozpłakać, że płacz ulżyłby mi w tym całym cierpieniu. Ale łzy nie chciały popłynąć. Powiedziałam na głos „mamo”, lecz na nic się to nie zdało. Powtórzyłam więc: „mamo”, ale i to nie pomogło. Potem jęłam powtarzać to słowo raz za razem: „mamo, mamo, mamo, mamo”. A potem: „mamusiu, mamusiu, mamusiu”.

I wreszcie łzy popłynęły, jakby coś się we mnie odetkało. Roniłam łzy nader obficie, było ich zdumiewająco wiele. Rozszlochałam się jak wariatka. A później zapadłam w martwy sen.

Opuszczenie

Gdy odzyskałam świadomość, pokój srebrzył się światłem. Było to pewnie tuż po nastaniu świtu. Nie miałam pojęcia, ile czasu minęło i co robię w tym domku na odludziu. Widziałam jednak na swym ramieniu jakąś brudną i szorstką dłoń. Uniosłam wzrok i ujrzałam wpatrzonego we mnie mężczyznę w roboczym kombinezonie. Miał odbarwioną i pobrużdżoną twarz, bujną nieprzycinaną dawno brodę i baczki, co nadawały mu wygląd przestraszonej sowy. Za nim stało kilku innych facetów, młodszych od niego, ale ubranych w takie same workowate spodnie i luźne kufajki. Paru z nich było w czapkach. Wszyscy oni tłoczyli się w drzwiach, prawie że wchodząc na siebie, by móc lepiej mi się przyjrzeć. W dalszym ciągu zamroczona, pomyślałam, że zamierzają mnie skrzywdzić. Krzyknęłam. Chciałam wstać, lecz moje ciało było zbyt ciężkie, jakbym wrosła w podłogę. Facet z baczkami coś powiedział, ale niczego nie zrozumiałam. Wokół mnie zacisnął się znów czarny krąg, pochłaniając mnie całą.

Potem na wpół tylko świadomie odbierałam kolejne doznania. Uniosły mnie czyjeś ręce, ciągnięto mnie za sukienkę. Jęczałam, próbowałam się wyrwać, chociaż nikt się do mnie nie dobiegał, usiłowano jedynie postawić mnie na nogach. Później grunt usunął mi się spod stóp, ktoś dźwignął mnie z ziemi i trzymał w powietrzu. - No dalej! - krzyknął jeden z mężczyzn. Pomyślałam, że zwraca się do mnie, i podjęłam kolejny wysiłek, by ocknąć się wreszcie na dobre i ruszyć nogami, lecz wtedy trzymające mnie dłonie zacisnęły się mocniej. - Trzymaj ją, Charlie! - powiedział ten sam człowiek. - Uważaj na

rękę! No to już! - Ktoś mnie chwycił za kostki. Poczułam, jak mi się prostuje grzbiet, a głowa wciska się w sztruksową poduszkę pachnącą tytoniem i mydłem (domyśliłam się później, że był to osłonięty kamizelą tors). Usłyszałam jakieś pomruki i stęknienia. - Dobra, idziemy! - padła komenda i wszystko zaczęło ruszać się gwałtownie. Widziałam, jak świat płynie pode mną na podobieństwo rzeki, jak zabłocona podłoga zamienia się w ubitą ziemię, a następnie w pobrużdżoną drogę. Uwięziono mnie w jakiejś ruchomej maszynie, która ujęła mnie w swoje chwytaki i przenosiła z jednego miejsca w drugie - takie wrażenie wtedy odniosłam. Nie wiedziałam, dokąd owa maszyna zmierza, czułam jednak, że ma już swoje lata, bo z każdą minutą coraz głośniejsze dyszała i charczała, niby sędziwa klacz, gdy ją na rzeź prowadzą. Co pewien czas spluwała na ziemię, coś do siebie mówiła, a raz usłyszałam zdumiona, jak chichocze w odpowiedzi na żarcik rzucony przez inną jej część.

Kołyszący ruch sprawił, że znów odpłynęłam w nieprzytomność. Zbudziło mnie lekkie szarpnięcie, maszyna bowiem zwolniła swój uchwyt, aby umieścić mnie w łóżku. Ktoś szeptał, ktoś odpowiadał półgłosem, zaszurało kilka par butów, jakby ludzie wychodzili z kościoła po mszy. Drzwi się zamknęły, zapadła cisza. Kobieta dłoń przykryła mnie kocem i dała mleka do picia. Potem zaciągnęła zasłonę przy łóżku, by nie raziło mnie światło. Oczy same mi się zamknęły i poczułam się całkowicie odgradzona od świata, jakby zapadło nade mną wieko grobowca.

Uwierzyć w to trudno, lecz przeleżałam tam cztery dni i cztery noce. Jezu Marysieński, członki miałam zupełnie bezwładne, ciężkie jak z ołowiu. Przemieszczałam się między półjawą a snem, czasem byłam świadoma poruszeń za zasłoną i dobiegających stamtąd przytłumionych głosów. Zdarzało się, że słyszałam płacz dziecka, a niekiedy do mojej trumienki dolatywały zapachy kuchenne. Kobieta, która wcześniej dała mi mleka, przynosiła mi teraz jedzenie, na ogół owsiankę i bulion, i wlewała mi do ust po kilka łyżeczek, bo więcej nie

byłam w stanie przełknąć. Niebawem zorientowałam się, że jest żoną górnika, owego mężczyzny o sowej twarzy, którego widziałam już w kopalni. Zaglądał do mnie dzień w dzień po powrocie z pracy, baczki miał jeszcze mokre od mydlanej wody. Na imię miał Chick, jego żona zaś zwała się Helen, tyle że dowiedziała się, słysząc, jak się w drugim pokoju wzajemnie do siebie zwracają. (Wtedy jeszcze nie mogłam docenić ich poświęcenia - był to domek dwupokojowy, spałam w ich własnym łóżku, podczas gdy oni kładli się na sienniku w drugiej izbie).

Helen i Chick nie należeli do ludzi nadmiernie rozmownych, czasem jednak, jak mi się zdaje, wieczorem, słyszałam, jak poszeptują między sobą na mój temat. Raz doszły mnie słowa Chicka: - Powiedziała już coś? - Helen nic nie odrzekła, lecz ani chybi pokręciła głową, bo odkąd się tam znalazłam, nie wydałam z siebie nawet mysiego pisku. Innym razem Helen spytała męża: - Może jest przygłupia? - a on odparł: - Może.

Dlaczego ludzie zawsze brali mnie za przygłupą?

Zasłona szczelnie odgradzała mnie od źródeł światła, tedy na ogół nie miałam pojęcia, która może być godzina. Gdy się pewnego dnia obudziłam, zasłona się odchyliła i moim oczom ukazały się dwie rozczochrane główki. Wpatrywały się oto we mnie dwie małe dziewczynki, jedna mogła mieć ze trzy latka, druga z sześć. To pewnie pociechy Helen i Chicka, stwierdziłam. Gapiły się na mnie w milczeniu, miny miały poważne, a oczy okrągłe jak pensówki. W końcu zauważyła to matka i szybko je przegoniła.

Czwartego dnia, gdy Helen przyniosła mi owsianki, miałam już w sobie dość sił, by wyszeptać słowo podziękui, a moja dobrodziejka niemalże upuściła talerz ze zdumienia.

- No! - rzekła. - Zuch dziewczucha! Wreszcie żeś cosik rzekła. Jużemy tutaj myśleli, że z ciebie jaka niemowa!

Na dźwięk jej głosu do pokoju przybiegły obydwie dziewczynki. Uchwyciły się matczynej spódnicy i jęły gapić się na mnie podejrzliwie, lekko mrużąc oczy. Helen chwyciła mnie za rękę. - Biedne dziecię - rzekła. - Takaś ty była zgłodzona i słaba. Ale teraz wyglądasz

lepiej. Mam komuś wieść pośłać o tobie? - Przez moment chciałam o wszystkim jej opowiedzieć, lecz szybko uznałam, że nie starczy mi na to sił. Pokręciłam więc głową. Helen ścisnęła mi dłoń. - No to - powiada - zjedźże tej owsianki i znowu se troszku podrzemaj.

Nazajutrz rano byłam już w stanie usiąść. A następnego poranka wstałam z łóżka, chociaż nogi strasznie mi się trzęsły, jakby mnie ktoś zdzielił po łbie.

Był to jeden z pierwszych pogodnych dni w tym roku, tedy Helen ustawiła krzesło przed drzwiami chatki, bym mogła posiedzieć tam sobie i, otulona pledem, wystawić twarz na słońce. Okazało się, że zacerowała mi pończochy i wyczyściła moje ubrania i płaszcz Muriel. Dała mi nawet jedną z dwóch par własnych butów, zrobionych z błyszczącej skóry i prawie nigdy jeszcze nienoszonych. Dowiedziałam się, że osiedle, do którego trafiłam, leży w górniczej wsi Stoneydyke, mniej więcej dziesięć mil na północny-wschód od Snatter. Ani Helen, ani Chick nie próbowali ciągnąć mnie za język, a ja wciąż odkładałam na później opowieść o swych perypetiach, mówiłam sobie: „Opowiem im po południu. Wieczorem. Jutro. Jak wrócą mi siły”. W końcu jednak wcale się na to nie zdobyłam i powiedziałam, że zabłądziłam po drodze do Edynburga i schroniłam się w owym budyneczku na terenie kopalni. Takie wytłumaczenie chyba ich zadowoliło. Wolałabym jednak, żeby nie byli tak małomówni, bo chętnie usłyszałabym jakieś wieści o wypadkach w Snatter.

Tegoż poranka, mniej więcej o jedenastej, Helen również usiadła przed drzwiami, a ja pomogłam jej obrać ziemniaki na obiad. Uznałam, że to dobra okazja, żeby się wreszcie czegoś dowiedzieć. Zaczęłam ostrożnie.

- Parę dni temu szłam przez jakąś miejscowość - powiadam - i widzę tłum ludzi przy fontannie. Stał tam też jakiś człowiek i wygłaszał przemówienie.

- Ano - rzekła Helen, nie unosząc wzroku znad obieranego kartofla.

- Jak się ta miejscowość nazywa? - Nie dawałam za wygraną. - To było przy Wielkim Gościńcu. Są tam dwie gospody, jedna nazywa się chyba „Pod Łabędziem”, a druga „Za Węglem”.

- Snatter - powiada Helen.

- O właśnie - mówię. - Kiedy tam szłam, przemawiał jakiś pastor. Helen wygięła usta w podkówkę.

- Napadli go - rzecze.

Zrobiłam zdziwioną minę.

- Napadli?

Kiwnęła głową, lecz ku mojej najgłębszej irytacji dalej milcząco obierała.

- Ale... dlaczego? - spytałam.

Wzruszyła ramionami.

- Napadła go jakaś damulka. Potem uciekła. Angielka chyba. I wariatka. Walnęła go łopata.

- O Boże - powiadam. - A czy... Czy znaleźli ją potem?

- Bo ja wiem - odparła. - Chyba nie. Ale kogoś znaleźli, bo tego samego dnia jakaś biedaczka z wiaduktu spadła i pociąg ją przejechał. Irlandka. Straszne. Chcą zrobić wyższą balustradę. - Nagle spojrzała na mnie z niepokojem. - Dobrze się czujesz, kochanieńka? Znowus pobladła. Połóż się może.

- Czuję się dobrze, dziękuję. - Po chwili podjęłam przerwany wątek: - A więc... to na pewno był wypadek, ta kobieta na torach, tak?

- Ano - odrzekła Helen. - Ponoć dzień cały siedziała w „Łabędziu” i gospodzie przy dworcu. A potem wyszła, no wiesz, za potrzebą. A była mgła i pewnikiem potknęła się jakoś. - Urwała na moment. Potem spytała: - Skończone?

Przez chwilę sądziłam, że pyta ogólnie o moje życie. Skąd ona wie, pomyślałam, że sprawy się mają aż tak beznadziejnie? Kiedy jednak na nią spojrzałam, okazało się, że pytała jedynie o moją kupkę kartofli. Chciała zabrać mi je, ale się na to nie zgodziłam.

- Nie, proszę - powiadam. - Dokończę sama. Tak dużo pani dla mnie zrobiła. A ja... już dziś po południu muszę ruszyć w drogę.

Popatrzyła na mnie kątem oka.

- Pewna jesteś, że to rozsądne?

- Muszę już sobie pójść - odparłam. - Muszę zwrócić wam wasze łóżko. Poza tym czuję się znacznie lepiej.

Prawdę mówiąc, sił miałam tyle co mokra osa. Ale nawet mokra osa będzie się czołgać w stronę słoika z dżemem. Tak też było ze mną. Ciągnęło mnie do Zamku Haivers, do milady.

Pominę tutaj szczegóły mojego pożegnania ze Stoneydyke. Dość powiedzieć, że podziękowawszy Helen i obiecawszy jej jak najszybszy zwrot butów, w duchu złożyłam sobie przysięgę, że odwzajemnię się kiedyś sowicie za wyświadczoną mi przez nich dobroć. Pierońskie buty od Helen były wszelako sztywne jak z metalu i po przejściu pierwszej mili moje stopy znalazły się w stanie doprawdy opłakanym. Nadto wciąż byłam wycieńczona. Zapewne nie doszłabym do Zamku Haivers, gdyby nie jeden szmaciarz, co podwioził mnie swoją furmanką. Wysadził mnie w Smoller, skąd przekuśtykałam parę ostatnich mil, idąc okrężną drogą przez Cowburnhill, bo w Snatter nie chciałam się pokazywać. Mogłabym wszak wpaść tam na Bóg wie kogo, nawet na Poldka, jeżeli łeb mu się zagoił. Nie wiem zaiste, do czego mogłam się posunąć na widok tego człowieka.

Słońce chyliło się już ku zachodowi, gdy przechodziłam przez bramę. Dziwnie się czułam wracając w ten sposób, jakbym wracała z zakupów czy coś w tym rodzaju. Cała posiadłość sprawiała wrażenie opuszczonej. Z kominów nie unosił się dym, w ogródku warzywnym nic się nie poruszało. Ognisko, z którego wyciągnęłam *Obserwacje*, było teraz kupką popiołu i zwęglonych gałęzi. Zbliżając się do podwórka, poczułam mdły zapach, jakby ktoś się tam zesrał i od razu padł trupem. Zdjęta strachem o zwierzęta, pobiegłam w stronę chlewu i kurnika, tam jednak było zupełnie pusto. Zdumiało mnie to. Ani śladu po świniaku, ani śladu po kurach. Zniknęła też kot.

Spojrzałam na dom. W oknach złościły się oślepiająco ostatnie już promienie słońca. Nie był to jednak widok piękny, raczej zionący pustką i jakoś złowróżbny. Nagle coś ukłuło mnie w łydkę, podskoczyłam sześć stóp w górę, ale była to tylko zabłakana kurka, ciut przemoczona i potargana. Odgoniłam ją i ruszyłam ku domowi. Z początku zamierzałam go obejść dokoła, zaglądając do okien, lecz potem

się rozmyśliłam, bo ktoś mógłby się wszak przestraszyć, biorąc mnie za intruza czy szpiega. Tak to sobie wytłumaczyłam, ale w rzeczywistości powód był inny: sama bałam się tego, co mogę zobaczyć.

Postanowiłam tedy wejść do środka i rozeznac się w sytuacji. Tylne drzwi stały otworem. Wsunęłam wpierr głowę, a przekonawszy się, że w kuchni nikogo nie ma, weszłam do środka i zamknęłam drzwi za sobą, bo słońce już prawie zaszło i zrobiło się dosyć zimno. W pierwszej kolejności zzułam buty od Helen. Następnie ściągnęłam pończochy i podmuchałam na pokryte bąblami stopy. Potem jęłam się rozglądać po kuchni, by stwierdzić, czy zaszły tam jakieś zmiany. Piec był zimny. Kapka mleka w dzbanku zdążyła skwaśnieć. Chleb, co był czerstwyjeszcze przed moim odejściem, pokrył się teraz zieloną pleśnią. A z kubła na pomyje bił wstrętny odór. Przez moment stałam i nasłuchiwałam, lecz cicho tam było jak makiem zasiał. Cicho i pusto było też w holu, gdzie liczne drobiny kurzu unosiły się prawie że nieruchomo w ostatnich promieniach słońca. Kiedy wśliznęłam się cichusieńko, kurz zawirował w powietrzu. Stopy grzały się na deskach podłogi, cieplejszych od chłodnych kamieni w kuchni. Pod drzwiami zebrał się już niewielki plik listów. Czyżby nikogo tu nie było? Może pan James dalej szuka gdzieś żony? Ale potem na słupku schodów dojrzałam mój stary płaszcz i babciny czepiec. Dokładnie to milady miała na sobie, gdy uciekała z domu. W takim razie musiała tu wrócić.

Z sercem pod gardłem podreptałam w stronę salonu i zajrzałam do środka. Krzesło, na którym zwykle siadała, stało tam gdzie zawsze. Wyobraziłam sobie, że siedzi tam teraz i unosząc wzrok znad robótki, uśmiecha się do mnie, gdy wchodzę. „Bessy! - przywitałaby mnie zapewne. - Gdzieś ty się podziewała?”. - Albo: „Bessy! Powiedz mi, o czym myślisz”.

Ale jej tam nie było. A poduszeczka, która zazwyczaj leżała na krześle, wylądowała na drugim końcu pokoju, jakby ciśnięta w napadzie szału. Obok spoczywał przewrócony lichtarz. W kominku dostrzegłam kawałki potłuczonego szkła. Jeżeli od kilku dni nikt tutaj nie mieszka, myślałam, to może tylnymi drzwiami dostali się tutaj intruzi. I może ciągle tu są.

Jak tylko ta myśl przemknęła mi przez głowę, posłyszałam jakiś dźwięk. Przypominał skrzypienie krzesła, a dobiegał z gabinetu. Dech zamarł mi w gardle. Ruszyłam przez hol na chwiejnych nogach. Starałam się iść jak najciszej, ale podłoga była lepka i przy każdym kolejnym kroku podeszwy bosych stóp odrywały się od desek na tyle głośno, by ktoś mógł to usłyszeć. Drzwi do gabinetu były uchylone. Popchnęłam je i otwarły się bezgłośnie. Najpierw mój wzrok padł na ścienną mapę, której się kiedyś przyglądałam, by sprawdzić rozkład okolicznych linii kolejowych. Na biurku dalej tkwił mój - otwarty już - list do pana Jamesa, obok zaś stała pusta butelka po whisky. Z kolei na kanapie leżał wyciągnięty na plecach sam właściciel Zamku Havers. Był bez butów, miał brudne skarpetki, a całe ubranie w nieładzie. Na podłodze obok niego stała szklanka whisky i prawie pełna butelka. Dokoła panował okropny bałagan, walały się tam brudne talerze, szklanki i części garderoby.

W pewnym momencie westchnął i zdjął z twarzy rękę, która jak dotąd tam spoczywała, ale oczu nie otworzył, dalej wpatrzony we własne myśli. Te zaś raczej przyjemne nie były, bo minę miał naprawdę zbolałą. Próbował namacać dłonią szklankę whisky przy kanapie, a nie znalazłszy jej, rozwarł powieki. Stałam dokładnie tam, gdzie trafić musiało jego spojrzenie.

- O, Bessy, wejdź, proszę - przywitał mnie serdecznym głosem i wielce mnie tym ujął, bo było wszak widać, że cierpi nieludzko. Zrobiłam kroczek do przodu, a on uśmiechnął się słabo.

- Sir - powiadam. - Czy wszystko w porządku? I gdzie jest milady?

Zaczerpnął tchu, jakby zamierzał mi odpowiedzieć, lecz nagle zdławił go atak kaszlu, Jezu Marysieński, nie było to lekkie pokasływanie. Usiadł i wypił kilka łyków whisky. To mu najwyraźniej pomogło. Wskazał mi fotel przy kominku, usiadłam więc i czekałam. Atak kaszlu po chwili minął. Pan James odjął drżące palce od ust i oparł się łokciem o kolano.

- Jak widzisz - powiada - bywałem już w życiu zdrowszy. Co się tyczy twojej pani... - Ściągnął usta. - Nikt nie zawinił. Może tylko ja sam. - Położył głowę na ręce i znowu zaniósł się kaszlem.

Jego słowa wprawiły mnie w niepokój.

- Ale co się stało, sir? Znaleźli ją?

- Owszem - odparł. - Znaleźliśmy ją. Była zresztą tu właśnie. Wróciła do domu po... - Jego oblicze ponownie przybrało wyraz cierpienia. Spojrzał na mnie i rzekł: - Moja żona pobiła pastora Pollocka.

- Wiem, sir. Byłam tu, gdy pan wrócił z Hectorem. A później brałam udział w poszukiwaniach...

- A tak, to prawda - powiedział. - Co prawda, to prawda. Tak czy inaczej, Arabella wróciła tu po... incydencie... z pastorem. Tymczasem ktoś znalazł ciało przy torach, ale nie była to ona, tylko jakaś kobieta, przyjezdna. - Popatrzył na mnie nieco pogodniej. - A... Ty też tam byłaś istotnie, teraz sobie przypominam.

- Tak, sir, byłam.

- No dobrze... Arabella wróciła do domu i poszła do swojego pokoju. Nikt jej nie zauważył. Później, koło szóstej, Muriel znalazła ją w łóżku.

Urwał i przez chwilę był jakby nieobecny. Ścisnęło mnie w dołku.

- Znalazła ją... martwą? - wyszeptałam.

Spojrzał na mnie zdziwiony.

- Ależ skąd. Spokojnie czytała książkę. Twoja pani ma się dobrze... no, powiedzmy. W każdym razie nie jest martwa. Ale musieliśmy...

- Przyłożył rękę do głowy. - Została umieszczona w zakładzie dla obłąkanych.

Ostatnie słowa przeszły mnie jak nóż. Gapiłam się na niego bezmyślnie. Nie mogłam odwrócić wzroku. Nie byłam w stanie zamrunąć, poruszyć się czy cokolwiek z siebie wydusić.

- Okazało się - ciągnął pan James - że pastor Pollock skontaktował się z prokuratorem i... no, mówiąc krótko, kuzyn McGregora-Robertsona zgodził się przyjąć Arabellę do swojego zakładu. Szczerze powiedziawszy, dawno już powinienem był zdobyć się na ten krok. Wciąż jednak miałem nadzieję, że szybciej wróci do zdrowia w domu. Myliłem się.

Moja milady! Moja biedna milady - w domu wariatów!

- Myliłem się co do tego, tak jak myliłem się w wielu innych sprawach. - Spojrzał mi prosto w oczy. - Zaniedbywałem małżonkę, Bessy.

Gdy powinienem być przy niej, wyjeżdżałem stąd... Bóg wie dokąd...
- Roześmiał się niewesoło, a jego śmiech przeszedł od razu w kolejny atak kaszlu.

Milady w zakładzie dla wariatów!

Pan James wykaszłał się wreszcie i rzekł:

- To Arabella powinna być politykiem. Lepiej ode mnie radzi sobie z ludźmi. To ją ludzie naprawdę lubią, to ją obdarzają sympatią. Moje relacje z ludźmi zawsze były... wymuszone. Nieszczere. - Wpatrywał się w podłogę, okropnie przygnębiony. - Trzeba nam było zamieszkać w Glasgow - powiedział. - Tam lepiej by się jej żyło. No ale ja się uparłem, że zdobędę mandat w tym okręgu, i w związku z tym uznałem, że lepiej być tutaj, na miejscu. - Uniósł wzrok i pochwycił moje spojrzenie. Oczy mu łzawiły, była w nich złość i gorycz. Złościł się jednak na siebie, nie na mnie.

- Nie muszę ci mówić - ciągnął - że moja kandydatura nie spotka się z żadnym poparciem. Pastor Pollock już się o to zatroszczy. - Usta skrzywiły mu się szyderczo. - Jeszcze nigdy człowiek tak poważnie zraniony nie był tak bardzo z siebie kontent. - Urwał, jakby przypomniał sobie nagle, że słyszę te słowa i że jestem wszak jedynie służącą. - Wybacz, Bessy. Nie wiem, czy cię to wszystko interesuje.

- Niech pan mówi dalej, sir.

Zastanawiał się przez chwilę.

- Kiedy ktoś odnosi sukcesy, wtedy wszyscy do niego lgną. Ale jak tylko noga mu się powinie, każdy ucieka w te pędy. Pan poseł Duncan Pollock nie odezwał się do mnie ani słowem. - Po raz pierwszy wymówił ten tytuł z ironią w głosie. - Ani jednym słowem. A przecież zna moje położenie. Jak tylko wypadało mu opuścić dom brata, wrócił szybko do Edynburga, zapewne dziękując Bogu, że nie wszedł z nami w większą zażyłość. Sądzę, że zapałał dużą sympatią do Arabelli, a kiedy się potem dowiedział, że moja żona dostała pomieszania zmysłów, musiał poczuć się wystrychnięty na dudka. Nie tylko on zresztą...
- Wykonał bezsilny gest. Jak widać, ludzie nie pchali się tutaj drzwiami i oknami, by zaoferować mu pomoc lub choćby wyrazić współczucie.

- Obywa się pan bez służby, sir?

Nie było to trudne pytanie, on jednak patrzył na mnie niewidzącym wzrokiem, wodząc dłonią po brodzie.

- To znaczy... Kto tu panu pomaga, sir? Co się stało z parobkami?

- A tak - odparł. - Są tutaj. Kilka razy na dzień przychodzi tu Muriel lub Hector, żeby mi zrobić coś do jedzenia. Jeśli mam na to ochotę, bo ostatnio nie dopisuje mi apetyt. - Przez chwilę wpatrywał się w leżące na podłodze brudne talerze, potem w butelkę po whisky.

- Jessie, siostra Muriel, grozi, że stąd wyjedzie i zabierze ze sobą Alasdaira, ponieważ nie lubi skandali i nie chce być kojarzona z kimś takim jak państwo Reid. - Roześmiał się sardonicznie, ja zaś dopiero wtedy uzmysłowiłam sobie, że jest już porządnie pijany. - Myślałem, że wybyłaś stąd na dobre - powiedział. - Przeczytałem twój list, Bessy.

- I nagle, jakby coś mu się właśnie przypomniało, rzekł do mnie: - Nie mówiłaś mi jeszcze, co porabiałaś przez tych kilka dni.

- Byłam... Byłam chora. Zajmowali się mną dobrzy ludzie. Ale chciałam tu wrócić i sprawdzić, jak się miewa milady. Wie pan, że zniknęły zwierzęta?

- Zwierzęta? A tak! - odparł. - Ten świniak i co tam jeszcze.

- Kury. I kot.

- Tak. Zabrali je z powrotem do folwarku. Pojęcia nie mam, dlaczego w ogóle się tutaj znalazły. Przecież nie trzyma się świni przy samym domu. Mówiłem to Arabelli sam nie wiem ile razy.

- Myślę, sir, że milady chciała mieć zwierzęta w pobliżu, bo wtedy widziała, jak służące je karmią i jak po nich sprzątają. Nie był to może osobny eksperyment, ale milady lubiła sobie popatrzeć, jak pracujemy w obejściu, żeby opisać to potem w swoich *Obserwacjach*.

- A tak - odparł ponuro pan James. - W *Obserwacjach*. - Spojrzał na mnie, skubiąc się po ustach. - Rozumiem, że bardzo lubisz swoją panią, Bessy.

- Bardzo, sir.

Oparł się wygodnie i znowu pogrążył w zadumie. Teraz jak gdyby odprowadzał spojrzeniem ponure myśli, które niby statek wypływały na morze. Potem nagle coś w nim pękło i łamiącym się, ochrypłym głosem powiedział:

- Powiniennem być jej wtedy posłuchać.

Czekałam przez moment, lecz on nie rozwinął tej konstatacji.

- W jakiej sprawie, sir?

Westchnął.

- Arabella bardzo cię polubiła - powiedział, jakby chciał zmienić temat. - Musisz o tym pamiętać, musisz to wiedzieć. Obawiam się jednak, że ona nigdy nie przeboleje utraty tamtej służącej. - Spojrzał mi w oczy, w których znowu jarzyła się złość i gorycz. - Właśnie to doprowadziło ją do szaleństwa. Śmierć Nory. - Zazgrzytał zębami.

- A winowajcą jestem ja.

Wpatrywałam się w niego.

- Winowajcą jest pan, sir?

On jednak znowu pogrążył się w milczeniu.

- Wiem, że Nora wpakowała się w tarapaty, sir - rzekłam.

Zmarszczywszy brwi, popatrzył na mnie półprzymkniętymi oczami. Czyżby był zakłopotany? A może wystraszył się tego, com powiedziała.

- Sir - mówię. - Wiem, że w chwili śmierci Nora spodziewała się dziecka.

Odchylił głowę, nie zmieniając wyrazu twarzy.

- Zakładam, że wyznasz mi teraz łaskawie, z czyich ust usłyszałaś takie rzeczy.

- Nie, sir, nikt mi o tym nie mówił. Sama się domyślałam. Na podstawie tego, co mówiła milady, i tego, jak pan i doktor żeście wtedy reagowali. Pomógł mi też dziennik Nory.

Pan James przyglądał mi się, gdy mówiłam. Nagle wydał z siebie drżące westchnienie, które mogło być też ziewnięciem. Nie był znużony, raczej wyczerpany. Pewnie od paru dni nie mógł spać. Pod oczami miał ciemnoszare cienie. Szyja tonęła mu w kołnierzach koszuli i marynarki, jakby chciał zapaść się w siebie, wyglądał na zupełnie bezbronny. Teraz mówił właściwie półszepem.

- Bo widzisz... Nora chciała, żeby twoja pani jej pomogła. Nie wiedziała, co robić. Nie mogła zwrócić się do... do ojca. To było wykluczone. Zwróciła się więc do mojej żony. - Przerwał na moment. - W pierwszej chwili, jak sądzę, Arabella była w szoku. Uważała Norę

za służącą idealną, nieskazitelną, i teraz, i w przyszłości. Okazało się jednak, że zastosowano wobec niej pewną dozę przymusu. Innymi słowy to, co się wydarzyło, nie do końca było zgodne z jej wolą.

- Też mi się tak wydaje, sir - wtrąciłam, ale on mnie chyba nie słyszał, mówił dalej, jak automat.

- Potem Arabella zwróciła się do mnie. Wszystko już wcześniej przemyślała. Chciała, bym zgodził się na adopcję tego dziecka, które ona i Nora miały wspólnie tu wychowywać. Była tym wielce... pod-ekscytowana. Powiedziałem jej oczywiście - roześmiał się gorzko - że jest to dla mnie nie do przyjęcia. Ja... nie mogłem narazić się na skandal. Propozycja Arabelli zakrawała na... czysty obłąd. Powiadomiłem ją, że będzie musiała Norę odprawić. - Przez dłuższą chwilę milcząco wpatrywał się w przestrzeń. - Sądzę, że moja decyzja złamała serca im obu - dodał.

- Więc Pastor Pollock... nie chciał jej pomóc, sir?

Pan James wzdrygnął się i zamrugał, wyraźnie zaskoczony.

- Skąd ty u diabła wiesz, że o niego chodziło?

- Domyśliłam się, sir. Nora miała jego religijne broszurki. Słyszałam też, że pastor zaleca się czasem do młodych dziewcząt. Wiem, że milady naprawdę cierpiała na urojenia, sir, ale w jej zachowaniu był mimo to jakiś sens. Oskarżała pastora o to, co przytrafiło się Norze.

- Pan James dalej wpatrywał się we mnie zdumiony. Wszystkie te podejrzenia żywiłam już od dłuższego czasu, lecz teraz, gdy uzyskały potwierdzenie, czułam, że wpadam w furję, że zaraz pęknie mi głowa.

- Zatem pastor wcale biedaczce nie pomógł, prawda? - stwierdziłam. - Wystawił ją do wiatru!

Pan James wpatrywał się w sufit, zagryzając dolną wargę i skubiąc palcami policzki, jak gdyby chciał zadać sobie ból.

- Nie - rzekł po chwili. - Wtedy wszystko by się zgadzało, nieprawdaż? Mielibyśmy w tej historii jednego konkretnego złoczyńcę.

- Nie rozumiem, sir.

- On nic nie wie.

- Proszę?

- Pastor Pollock o niczym nie wie. Nikt mu o tym nie powiedział.

- Nic nie wie...?

- Nie wie, że Nora spodziewała się dziecka. Nie mówiła mu o tym, nie chciała nawet się z nim widzieć, kiedy się o tym przekonała. Myślę, że bała się go trochę. Z kolei on jest pewien, że wszystko to uszło mu na sucho. Dopiął swego, a kilka miesięcy później dziewczyna wpadła pod pociąg. Dobry Boże, co za tragedia! - Zakaszłał. Myślałam, że to kolejny dłuższy atak, lecz ucichł szybko i podjął opowieść. - Zrozum, nikt mu nic nie powiedział. O wszystkim wie McGregor-Robertson, który zbadawszy zwłoki Nory, stwierdził, że spodziewała się dziecka. Jednakże zgodził się ze mną, że lepiej nie mówić o tym Pollockowi.

- A milady?

- Zabroniłem jej poruszania tego tematu w rozmowach z pastorem. Nie chciałem, by źle mu się nasz dom kojarzył. Pragnąłem wkupić się w jego łaski, a nie wysuwać oskarżenia. Zresztą co Arabella mogła mu powiedzieć? Jak mogła w ogóle włączyć ten temat do rozmowy? - Westchnął. - Arabella miała mi za złe przemilczenie tej sprawy. Jej zdaniem pastor powinien stawić czoło sytuacji, za którą sam odpowiadał, powinien przyjąć na siebie część winy. Znienawidziła go i mężczyzna się strasznie, kiedy musiała go tutaj przyjmować. No ale on o niczym nie miał pojęcia. Myślał, że śmierć Nory to zwykły wypadek.

- A jej śmierć pod kołami pociągu... to nie był wypadek, sir. Prawda?

Przez moment pan James nic nie mówił, wpatrywał się tylko w pusty kominek, jakby to była bezdenna otchłań.

- Zostawiła list mojej żonie. Żegnała się w nim i prosiła, by Arabella nie poczuwała się do winy. - Uniósł głowę i spojrzał na mnie prawie że gniewnie. - Jak widzisz, aż do ostatniej chwili ta dziewczyna myślała o innych. - I pociągnął z butelki długi łyk whisky.

- Czy mogłabym zobaczyć ten list, sir?

Pokręcił głową.

- Kazałem żonie zniszczyć tę kartkę - odparł. - Wszyscy byli i w dalszym ciągu są przekonani, że Nora weszła na tory przypadkiem. Prawdziwa wersja wypadków znana jest tylko mnie, doktorowi, Arabelli... a teraz też tobie. Gdybyś spytała mnie o tę historię kilka

dni temu, wszystkiemu bym zaprzeczył i najpewniej odprawił cię bez zwłoki. Bałbym się, że zaczniesz coś rozpowiadać po okolicy i że do pastora dojdą słuchy... No ale teraz... - Powiódł ręką dokoła, jakby demonstrował panujący w gabinecie bałagan. Wskazał też butelkę whisky. - Wszystko skończone. A los pastora Pollocka mam już teraz w dużym poważaniu. Swoją drogą, sam bym mu chętnie przyłożył szpadlem.

Siedzieliśmy przez chwilę w milczeniu. Pan James znowu wpatrywał się w przestrzeń i obgryzał paznokcie, chociaż niewiele już do obgryzienia zostało, gryzł więc opuszki palców, gryzł aż do krwi.

Nagle zamarł i odjął rękę od ust.

- Jaki dziś mamy dzień, Bessy?

- Nie wiem, sir. Chyba wtorek. A może środę?

- To dobrze - odparł. - Dobrze że nie sobotę. W sobotę mam odwiedzić Arabellę. Powiedziano mi, że na razie nie powinienem tam jeździć zbyt często, nie częściej niż raz w tygodniu. Lekarze boją się, że moja obecność może pogorszyć jej stan. - Powiedział to tak, jakby te słowa go rozbawiły, choć był niedwuznacznie zrozpaczony. Potem spojrzął na mnie z nadzieją. - Odwiedzisz ją, Bessy? Dam ci pieniądze na przejazd powozem. Mam mnóstwo pieniędzy, popatrz tylko...

Włożył rękę do kieszeni i zaczął całymi garściami wyciągać monety, te zaś sypały mu się na kolana i upadały na kanapę. Zgarnął pieniądze w dłoń i wyciągnął je ku mnie. Monety przelatywały mu przez palce. Pochyliłam się, by je pozbierać, a on wtedy jęknął - uniosłam oczy i zobaczyłam, że rzucił się twarzą na kanapę.

- O, Arabello! - krzyknął. - Co ja narobiłem? - I zaniósł się takim szlochom, że aż mu się ramiona zatrzęsły. Przestałam zbierać monety, przyklękłam przy kanapie i położyłam mu dłoń na ramieniu. Płakał naprawdę żałośnie. I mógł tak płakać jeszcze długo.

Część szósta

Nowe zajęcie

Noc spędziłam w swojej dawnej izdebce na poddaszu. Pan James został w swoim gabinecie, był tam również, gdy wstałam rano. Może przespał się na tej małej twardej kanapie, jeśli w ogóle udało mu się zasnąć. Ja w każdym razie po tej nocy nie czułam się wypoczęta. Gdy przygotowałam i zaniósłam mu owsiankę, zjadł ją, popił whisky i rozchmurzył się odrobinę. Zastanawia się nad sprzedażą Zamku Haivers, powiedział. Pan Rankin, ów sąsiad, co onegdaj był tu na uroczystej kolacji, zadeklarował już, że kupi większą część posiadłości, aby postawić tam następne kopalnie. Pan James nie podjął jeszcze decyzji, czy warto zachować dom z obejściem. Niewykluczone, że sprzeda wszystko i przeniesie się do miasta, oznajmił. Brał nawet pod uwagę powrót do praktyki prawniczej.

- Tak czy inaczej - powiedział - ty możesz tu zostać, Bessy, do czasu gdy sfinalizuję wszystkie transakcje. A to może potrwać wiele miesięcy.

- Dziękuję, sir, to miłe z pana strony. Ale ja pewnie wrócę do Glasgow, może tam spróbuję szczęścia.

Tam albo gdzie indziej. Prawdę mówiąc, nie miałam krucafuku pojęcia, co dalej. Jedno wszakże wiedziałam na pewno: nie zostanę w Zamku Haivers bez milady. A zanim dokądkolwiek wyruszę, chciałam się jeszcze z nią zobaczyć. Musiałam jej zadać kilka pytań - o ile uda mi się nawiązać z nią jakiś sensowny kontakt. Wedle słów pana Jamesa z początku milady nie była zachwycona pobytem w zakładzie dla obłąkanych. Pan James i McGregor-Robertson zawieźli ją tam

powozem. W trakcie podróży nie zdradzała oznak niepokoju, była nawet lekko podekscytowana, ponieważ doktor okłamał ją, mówiąc, że jada odwiedzić Norę. Wszelako tuż po przybyciu do zakładu uzmysłowiła sobie, że ją oszukano. Panowie musieli wymknąć się ukradkiem. To było okropne, mówił pan James. Serce mu się krajało, kiedy opuszczał żonę.

Od tego czasu, jeśli wierzyć dyrektorowi zakładu, będącemu zarazem kuzynem McGregor-Robertsona, miłady cierpiała na straszne wahania nastroju. Na samym początku wpadła w istną furję i próbowała nawet uciec, wdrapując się na mur. Ostatnio jednak najwyraźniej się uspokoiła i wręcz zadomowiła w nowym otoczeniu.

Ów zakład był instytucją prywatną, a znajdował się mniej więcej dwadzieścia mil od Zamku Haivers, nieco na południe od Wielkiego Gościńca, opodal wsi, którą nazwę tu Foulburn, kilkanaście mil na południowy-wschód od Glasgow. W pobliżu nie było żadnej stacji kolejowej, tedy pan James zaoferował mi swój powóz. Gdy odmówiłam (nie miałam bowiem zbyt wielkiej ochoty, by wiózł mnie tam Bocheniek), pan James powiedział, że wobec tego zapłaci za dyliżans, który można wynająć w „Łabędziu”. Na to przystałam, ale wyłącznie dlatego, że wciąż byłam osłabiona i ciągle bolały mnie stopy, więc na piechotę daleko bym nie zaszła. Obiecał mi też dobre referencje, gdybym kiedyś takowych potrzebowała. Mam tylko do niego napisać, powiada, a on prześle mi je odwrotną pocztą. Wypłacił mi nadto zaległe pobory, o połowę więcej niż mi się należało, twierdząc, że zasługuję na tę nawiązkę za swoją odwagę i lojalność. Tymi pieniędzmi mogę też uiścić należność za kwatery w Foulburn, bo w końcu wyświadczam mu niemałą przysługę, odwiedzając jego małżonkę w okresie, kiedy jemu nie wolno się z nią widzieć.

Odprowadził mnie do frontowych drzwi, przez które przeszłam dopiero po raz drugi w trakcie mojego tam pobytu. Był jeszcze wczesny ranek. Z dachu kapała rosa, niebo się zaróżowiło. Pan James wyjrzał na zewnątrz, ale pozostał w holu. Objął się ciasno rękami, jakby mu

było zimno. Stał bez butów, w samych skarpetkach. Rękawy koszuli miał rozpięte i odstające, kamizelkę niedopiętą, włosy w nieładzie. Gdyby ktoś go teraz zobaczył, to właśnie jego posłałby do zakładu.

- Bądź tak dobra i przekaż to Arabelli - rzekł, wręczając mi list.
- Powiedz jej, że przyjadę w sobotę. I niech się niczym nie martwi.
- Wetknęłam list do swojego tobołka, który przez wszystkie te dni leżał spokojnie w moim pokoju, dawno już spakowany.

- Dobrze, sir - odparłam.

- Do widzenia, Bessy - powiedział pan James. - Mam nadzieję, że nie będziesz zbyt źle o nas myśleć.

- Nie, sir. Nie będę.

Na chwilę musiał przestać się obejmować, bo wyciągnął ku mnie rękę. Po raz pierwszy ścisnęłam dłoń dżentelmena i z jakiegoś powodu zarumieniłam się od stóp do głów. Co może się wydawać zabawne, jeśli pomyśleć, co robiłam już z mężczyznami w czasie mojego krótkiego życia.

- Do widzenia, sir - powiedziałam. Odwróciłam się i pocałowałam do Snatter, ani razu się za siebie nie oglądając.

Słońce niebawem odeгнаło swym żarem kłęby różowych chmur, a na ich miejscu zagościł przejrzysty błękit nieba. Za ledwie przed tygodniem mieliśmy pełnię zimy, teraz zaś było ciepło jak w letni dzień, zbyt ciepło, ażebym włożyła płaszcz, który zdjęłam nareszcie ze słupka schodów. Najęty powóz toczył się przez wioskę za wioską. Gdziekolwiek wyjrzałam przez okno, widziałam ludzi cieszących się słoneczną aurą. Każdemu wydawał się dopisywać humor. Miast kuląc się w płaszczach, śpiesznie dążyć w swoją stronę, ludziska zatrzymywali się, by ze sobą pogadać. Mężczyźni byli bez marynarek. Jakiś facet stał przy becce i sprzedawał lody. Dojrzałam też chłopca bez koszuli, co bawiąc się, wtoczył koło prosto do piekarni, a kobieta za ladą nawet nań nie krzyknęła, uśmiechnęła się tylko.

Na Wielkim Gościńcu ruch był niewielki, tedy jechaliśmy dość szybko. Kiedy jednak skręciliśmy w boczną drogę, powóz musiał

niecو zwołnić, i cała podróż do Foulburn zajęła nam prawie dwie godziny. Zakład leżał poza obrębem wsi, przy wiodącej pod górę drodze ocienionej wysokimi drzewami. Kiedy powóz zatrzymał się przed żelazną bramą wkomponowaną między dwa kamienne słupy, otwierałam okno i wyrzałam na zewnątrz. Za bramą rosły cisy i jodły, był tam trawnik, niedługi podjazd, a dalej już główny budynek zakładu. Zdumiałam się na ten widok, gdyż spodziewałam się gmachu wielkiego, mrocznego i złowieszczonego, takiego jak dom wariatów pod Glasgow, na który patrzyłam czasem z ostatniego piętra domu pana Levyego i który prezentował się nader ponuro. Wszelako ten tutaj przypominał raczej prywatną rezydencję, coś w stylu Zamku Haivers, tyle że był znacznie większy.

Bramę otworzył jakiś staruszek i gestem zaprosił nas do środka. Był w koszuli, na głowie miał starą płaską czapkę i bardziej wyglądał na ogrodnika niżli na odźwiernego. Usłyszałam, jak brama zatrząskuje się za nami, jak brzęczą zakładane znów na nią łańcuchy. Powóz zatrzymał się przed wejściowymi schodkami. Wyjęłam z tobołka list pana Jamesa i wsunęłam go do kieszeni. Tobołek zostawiłam w powozie. Wsiadłszy, kazałam woźnicy chwilę poczekać, a podczas gdy on zawracał swój wehikuł, uważnie przyjrzałam się budynkowi.

Był z czerwonego piaskowca, miał dwie kondygnacje, a fasadę zdobił portyk z białymi kolumnami po bokach i płytkimi schodkami wiodącymi do głównego wejścia. Patrzyło się na to wcale przyjemnie. Odniosłam przy tym wrażenie, że przynależny do zakładu teren rozciąga się po bokach i z tyłu budynku znacznie dalej, niżby się w pierwszej chwili mogło wydawać. Przypuszczałam, że w oknach zobaczą tu kraty. Nic bardziej mylnego. Były to okna wysokie i szerokie, musiały wpuszczać do środka bardzo dużo światła. Przypuszczałam, że zobaczą tu wariatów, snujących się z miejsca na miejsce jak duchy, i mężczyzn pokazujących przyrodzenia i mamroczących jakieś sprośności. Nikogo takiego wszakże nie zobaczyłam, ujrzałam jedynie paru facetów, co na trawniku grali w krykieta, i tyleż przyglądających się im, zwyczajnie ubranych kobiet. Uznałam, że są to zażywający wyczasu dozorczy.

Gdy tak stałam kontemplując otoczenie, w otwartych drzwiach pojawiła się korpulentna kobieta w fartuchu na ciemnej płócienniej sukience. Pomyślałam, że pełni tu funkcję gospodyni. Kiedy zeszła ku mnie po schodkach, powiedziałyśmy sobie „dzień dobry”, a gdy oznajmiłam, że pragnę się widzieć z panią Arabella Reid, kobieta rzekła: - Ależ oczywiście. - (Skąd brała tę pewność, tego nie wiem do dziś). - Jajestem pani Robertson - dodała. - Proszę za mną. - I odwróciwszy się na pięcie, wprowadziła mnie do budynku.

Jejku, w życiu zem nie widziała takich wspaniałych wnętrz. Hol był wielki jak sala balowa, podłoga w nim lśniła, a na środku piętrzyły się schody. Po obu stronach widniały szerokie drzwi, mniejsze zaś wejście dojrzałam z tyłu, za schodami, tam zapewne mieściła się kuchnia. Pani Robertson prowadziła mnie do salonu po prawej, w którym służąca, stojąca przy stole na samym końcu pokoju, układała w wazonie bukiet żonkili. Zdumiało mnie to, bo sądziłam, że czeka mnie teraz rozmowa z jakimś tutejszym dozorcą. Uświadomiłam sobie poza tym, że zapomniałam się przedstawić. Byłam co prawda w swojej żółtej sukience z satyny, ale przybyłam tu przecie w powozie i pani Robertson mogła wziąć mnie za prawdziwą damę. Zawahałam się w drzwiach, nie wiedziałam, co robić. Czy już za późno, by wyprowadzić ją z błędu? Tymczasem gospodyni zakładu weszła do salonu i zbliżyła się do służącej, by szepnąć jej coś do ucha. Służąca odwróciła się ku mnie.

Serce wyskoczyło mi z piersi i prawie że przebiło się przez sufit, bo to wcale nie była żadna służąca, tylko moja milady! Szła teraz do mnie z uśmiechem, oż Jezusie Marysieński, a ja jej od razu nie rozpoznałam! Miała na sobie krótką granatową sukienkę odsłaniającą kostki, kremowy fartuch, grube pończochy i solidne buty. Włosy uczesała inaczej niż zwykle, a z tyłu głowy miała przypięty niewielki czepek.

- Bessy! - Wyciągnęła ramiona, w których od razu bez słowa się zanurzyłam. - Jak ty wyglądasz! - rzekła milady, gładząc mnie po włosach. - Byłaś na wojnie?

- Nie, proszę pani. - Musiałam tłumić w sobie łzy, bo nie chciałam jej zaniepokoić nagłym wybuchem płaczu. Czułam, że mogłybyśmy

teraz razem zatańczyć. Żeby powiedzieć cokolwiek, spytałam: - Zrobili tu z pani służącą, czy co?

Cofnęła się o krok i wykonała obrót, jak w tańcu, bym mogła w pełni docenić jej kreację.

- Podoba ci się? - rzekła ze śmiechem. - Jak z żurnala, nieprawdaż? Mam jeszcze taką różową.

Wyglądałam zapewne na bezgranicznie zdumioną, bo roześmiała się znowu i ujęła mnie za rękę.

- Bez obaw, Bessy - powiedziała. - Wedle panujących tu zasad każdy musi mieć jakiś udział w prowadzeniu zakładu. Dziś rano sprzątam, odkurzam i układam kwiaty. Wczoraj ścieliłam łóżka. - Odwróciła się do korpulentnej, która poprawiała właśnie ułożenie zasłon. - Pani Robertson, czy wolno mi będzie przejść się z Bessy po ogrodzie?

Korpulentna obejrzała się przez ramię.

- Niech pani idzie, pani Reid - odparła. - Wszystkośmy już tutaj zrobili. Czy pani gość nie zechciałby zjeść z nami obiadu?

Milady spojrzała na mnie pytająco. Zawahałam się, bo dalej myślałam, że wzięto mnie za damę. Wszystko wprawiało mnie tutaj w szok. Milady w nowym stroju. Przechadzka po ogrodzie. I obiad, do stu krucafukusów!

- Och, musisz zostać! - rzekła milady. I dorzuciła półgłosem: - Jedzenie nie jest rewelacyjne, ale strawne mimo wszystko. - I ponownie zwróciła się do korpulentnej: - Pani Robertson, to jest Bessy, moja kochana, oddana mi służąca, o której pani opowiadałam.

Korpulentna popatrzyła na mnie z uśmiechem.

- A więc zostanie pani u nas na obiad? - spytała. Tytułowała mnie „pani”! Chociaż wiedziała, że jestem tylko służącą!

Milady ścisnęła mi dłoń i znów wymówiła moje imię. Zrozumiałam, że stoję jak głupia z rozdziawionymi ustami.

- A tak, z przyjemnością - powiedziałam.

- Znakomicie, powiadomię kuchnię. - Co rzekłszy, korpulentna wróciła do układania zasłon.

Milady pociągnęła mnie za rękę i powiodła przez hol na schodki przed głównymi drzwiami. Kiedyśmy tam stanęły, spojrzała na mnie z ogromną sympatią.

- Wiedziałam, że mnie odwiedzisz - rzekła. - Czekałam na ciebie, Bessy. - Jeszcze nigdy nie widziałam, by tak jasno błyszczały jej oczy, w słonecznym świetle zieleń się barwą tak czystą, że można się było niemal przerazić. Bożeńko droga, cóż to był za wspaniały widok dla mego umęczonego wzroku!

Przypomniałam sobie o liście. Wyjęłam go z kieszeni i podałam milady.

- Od pana Jamesa - powiedziałam.

Adresatka nawet na list nie spojrzawszy, schowała go szybko do fartucha.

- Biedy James - westchnęła i odwróciła się ku ludziom, co na trawniku grali w krykieta. Przymknęła oczy. - Wiesz co, Bessy? - powiedziała po chwili. - To najbardziej fascynujące miejsce, w jakim kiedykolwiek zdarzyło mi się być.

Spojrzałam tam, gdzie patrzyła ona. Zaciekawilo mnie, co też tu może ją tak fascynować. Widziałam jedynie kilku mężczyzn z kijami i piłką tudzież podobną liczbę kobiet, które siedząc na trawie, przyglądały się grającym i od czasu do czasu pochwalały okrzykiem jakiegoś dobre uderzenie.

- Czy to dozorcy, proszę pani? - spytałam.

Popatrzyła na mnie.

- Dozorcy? - powiada. - Dobry Boże... Nie! W każdym razie nie określamy ich tu tym mianem. Mówimy na nich „asystenci”. Asystentką jest pani Robertson, którą przed chwilą poznałaś. Ona jest w gruncie rzeczy główną asystentką, siostrą przełożoną. A panowie i panie, których widzisz tam oto... - spojrzała znów na grających - są pacjentami tego zakładu.

W tym momencie zauważyłam, że wszystkie siedzące na trawniku kobiety mają na sobie takie same suknie jak milady, tyle że w innych kolorach. A więc to są pacjenci! Niektórzy z nich wyglądali normalnie, paru było ciut wychudzonych, paru innych dość bladych. Na ogół jednak nie wyglądali zbyt osobliwie.

- Przejdźmy się, Bessy - rzekła milady z uśmiechem.

Zeszłyśmy po schodkach i ruszyły podjazdem ku gromadce na trawniku. Bałam się, że dołączymy do nich i, Boże broń, trzeba mi

będzie z nimi rozmawiać, ale milady pokierowała mnie nieco w bok, tak że byliśmy od nich bezpiecznie oddalone. Parę z obecnych tam kobiet ukłoniło się mojej pani z uśmiechem, ona zaś odwzajemniła ich pozdrowienie. Bodaj dwóch mężczyzn uchyliło kapelusza. Z podjazdu skręciłyśmy potem do różanego ogrodu, co leżał przy bocznej ścianie budynku. Milady prowadziła mnie po wysypanych kamykami ścieżkach między krzakami przyciętych róż, będących u progu wiosennego kwitnienia. Widziałyśmy jeszcze stamtąd grających, którzy jednak nie mogli już nas słyszeć.

Znalazłszy się z dala od ludzi, stwierdziłam, że czas porozmawiać swobodnie.

- Jak się pani tu czuje? - spytałam. - Dobrze tu panią traktują?

- O tak - odparła. - Powiem ci, Bessy, że ten zakład wcale nie jest taki, jak go sobie z początku wyobrażałam. Gdy James mnie tu przywiózł, byłam istotnie dość niespokojna. Mogłam się zresztą domyślić, że coś jest nie tak, kiedy McGregor-Robertson oświadczył, że jedziemy z wizytą do Nory. Skłonili mnie w ten sposób, bym wsiadła z nimi do powozu, wiedziałam, że to podstęp, lecz byłam ciekawa, co knują. Pojechałam więc z nimi, a gdy dotarliśmy tutaj, z początku niczego nie podejrzewałam. A potem, gdy rozmawiałam z przesympatycznym jegomościem, który - jak później ustaliłam - jest kuzynem naszego doktora, prowadzi ten zakład i nazywa się Lawrence... Otóż gdy z nim rozmawiałam, odwróciłam się w pewnym momencie i stwierdziłam, że James i McGregor-Robertson gdzieś zniknęli. A potem zaprowadzono mnie do mojego pokoju i nagle uświadomiłam sobie, o co w tym wszystkim chodzi. Później jednak dużo przemyślałam i doszłam do wniosku, że pobyt tutaj może mi wyjść na dobre.

W centrum ogrodu różanego, u rozwidlenia naszej ścieżki, stał zegar słoneczny, a przed nim ławka. Usiadłyśmy na niej. Przed sobą, w pewnym oddaleniu, widziałyśmy grających w krykieta pacjentów. Poczułam się tam bardzo przytulnie. Dochodziło południe, skądś dobiegał zapach gotowanego obiadu, zrobiło się naprawdę ciepło. Nigdy wcześniej nie przeżywałam w marcu takiego naprawdę letniego dnia.

Milady odchyliła głowę do tyłu i zamknawszy oczy, wystawiła twarz na słońce.

- Widzisz tego mężczyznę z kijem do krykieta? - powiedziała sekretnym tonem, nie otwierając oczu.

Był to krępy dżentelmen, wąskousty, świeżo ogolony, o ciemnych miękkich włosach. Zacinawszy kolana, wymachiwał zręcznie kijem, jakby był na wojnie. Tuż obok wolnym krokiem oddalał się odeń jakiś wysoki mężczyzna.

- Widzę - odparłam.

- Myśli, że jest Napoleonem Bonaparte - powiedziała cicho milady. Otworzyła oczy, by ponownie się przyjrzeć gromadce na trawniku.

- A widzisz tego idącego mężczyznę?

- Tak.

- Myśli, że jest naszym Panem - rzekła milady. Spojrzała na mnie szeroko rozwartymi oczami. - Ale nie panującym nam królem, bynajmniej. On się uważa za Jezusa Chrystusa, naszego Pana i Zbawiciela. Niesamowite, prawda?

Znowu spojrzałam na wysokiego. Jak na mój gust, wyglądał raczej normalnie, no, może był nazbyt żylasty. Ledwie zdążyła o tym pomyśleć, kiedy milady kącikiem ust wymruczała:

- A ta damulka... Nie chcę jej wskazywać palcem... Jest w szarej sukience i siedzi z trzema innymi paniami pod sosną.

- Tak - rzekłam.

- Otóż ona jest święcie przekonana, że na jej ramionach żyją małe ludziki. Wczoraj po południu ktoś przypadkiem się z nią zderzył. Podniosła nieopisany rwetes. Bo, rozumiesz, wszystkie te ludziki pospadały na podłogę. Musieliśmy pomóc jej przy zbieraniu! Na podłodze, rzecz jasna, niczego nie było. No ale trzeba przecież biedaczkę pocieszyć. Powkładaliśmy je z powrotem na jej ramiona. Płakała jak dziecko. Tacy pacjenci, Bessy, są najciekawszi, ci, którzy wierzą w takie dziwactwa. Pozostali cierpią na melancholię albo mają śmieszne lęki, boją się rzeczy zupełnie niestrasznych, na przykład narożników i rogów rozmaitych przedmiotów. Tak, jeden z pacjentów boi się narożników i rogów.

Patrzyłam na milady, która sprawiała wrażenie bardzo ożywionej, wręcz podekscytowanej.

Głosem starannie obojętnym spytałam:

- A widziała się tu pani z Norą?

- O nie, Nora odeszła.

Obejrzała się przez ramię, by sprawdzić, czy nie ma kogoś w pobliżu. Staruszek, który otworzył mi bramę, przycinał żywopłot na końcu ogrodu, lecz był za daleko, by nas usłyszeć

- Właśnie o tym chciałam z tobą pomówić - rzekła milady, ściskając mnie za rękę. - Tak się cieszę, że przyjechałaś tu, Bessy! Bo widzisz... Nora i ja... Pamiętasz, że miałyśmy pozbyć się pani Gilfillan i jej pomagiera, aby nareszcie uwolnić Norę?

Nie wiedziałam, jak winnam zareagować, więc po prostu przytaknęłam.

Milady pokręciła głową, wywracając oczami.

- Muszę ci, Bessy, opowiedzieć o paru dość osobliwych sprawach - rzekła. - Rzecz najważniejsza: widziałam się z tą kobietą. Wierz albo nie, widziałam się z panią Gilfillan! Rozpoznałam ją natychmiast, jak tylko ją zobaczyłam. To był naprawdę łut szczęścia. Szukałam jej wszędzie, chociaż nie było mi łatwo, gdyż z pewnych względów musiałam trzymać się z dala od ludzkich oczu. Trafiłam jakoś na ulicę Dworcową. Zaczaiłam się w jednym z ogródków i wypatrywałam przez żywopłot, czekając, aż nikogo nie będzie na drodze. I nagle zjawiła się ona, wyłoniła się z gospody przy dworcu! Ta sama kobieta, co się kręciła pod Zamkiem Haivers, co nas ciągle obserwowała. A teraz szła drogą, we własnej osobie!

Aż mnie zemdliło ze strachu. Z niecierpliwością czekałam, co powie milady, a jednocześnie bałam się tego, co powiedzieć mi może.

- I co dalej? - spytałam.

- No cóż - rzekła milady. - Nie mogłam przepuścić takiej okazji. Wyszłam zza żywopłotu i pobiegłam za nią. Zniknęła gdzieś za gospodą, a gdy tam dotarłam, wyłoniła się zza sterty beczek. Przedstawiłam się i zagałam rozmowę, wspominając coś o koszarnej pogodzie. Z początku odnosiła się do mnie podejrzliwie, ale po kilku chwilach

udało mi się, jak sędzę, co nieco uspić jej czujność. Poprosiłam ją, by zechciała przejść się ze mną kawałek, bo chciałam coś jej pokazać. Idąc, ucięłyśmy sobie nader ciekawą pogawędkę. Gdyśmy znalazły się na wiadukcie, pokierowałam ją ku niskiej balustradzie... Nie będę się wdawać w zbędne szczegóły. Dość powiedzieć, że stosując niewielki przymus fizyczny, skłoniłam ją do zmiany położenia.

Uśmiechnęła się tajemniczo. Pomyślałam o rozczłonkowanym ciele matki, leżącym przy torach niecałe pół mili od wiaduktu. A więc to prawda. Moje podejrzenia okazały się trafne!

Milady ścisnęła mi dłonie.

- Muszę ci jeszcze, Bessy, powiedzieć rzecz najbardziej ze wszystkich niesamowitą. Nie uwierzysz.

- Tak? - rzekłam słabo.

- Bo wiesz... Tej kobiecie nie chodziło o Norę.

- Nie o nią?

Milady pokręciła głową.

- Nie, kochana - rzekła. - Jej chodziło o ciebie! To ciebie chciała zabrać do Glasgow. Co do Nory... udawała, że nic o niej nie wie! Ale gdy wymieniłam twoje imię i powiedziałam jej, że jesteś cudowną służącą, Gilfillan bardzo się ożywiła. Potem wywiązała się między nami mała polemika. Ta kobieta była naprawdę straszna! Toż to był istny potwór! Powiedziałam ci już, jak się ta sprawa skończyła. Przekonałam ją skutecznie, by dała ci spokój. Nie musisz się martwić, kochanie, ona nie zrobi ci krzywdy. Jesteś już zupełnie bezpieczna.

Głaskała mnie po policzku, patrząc mi w oczy.

- Kochana Bessy - rzekła. - O czym myślisz?

Pokręciłam głową i zamrugałam, by ukryć łzy.

- O niczym, proszę pani - odparłam. - O niczym.

Uśmiechnęła się.

- A wiesz, kochanie, że doszłam do pewnego wniosku na twój temat? Nora również taki wniosek wysnuła. Pytałam ją o to, a ona odrzekła, że całkowicie się ze mną zgadza.

- A... co to za wniosek, proszę pani?

- Że jesteś najbardziej lojalną, najodważniejszą i najszczerzą przyjaciółką, jaką można sobie wymarzyć. To wielkie szczęście, że cię znalazłam.

Co rzekłszy, znowu wlepiła wzrok w grających na trawniku pacjentów. W grze nastąpiła przerwa. Napoleon karcił członka swojej drużyny, a Jezus tymczasem okręcił się młynkiem, wywołując tym aplauz damskiej publiczności. Wszyscy oni zamazywali mi się w oczach.

- Intrygujący jest ten zakład, nieprawdaż? - odezwała się po chwili milady. - Doktor Lawrence też tak uważa. Nie wiem, jak długo tutaj zostanę, Bessy, ale póki tu jestem, nie wolno mi tracić ani chwili. Tyle czasu poświęciłam onegdaj badaniu służących i ich posłuszeństwa! Teraz, gdym się znalazła w szerokim świecie, widzę, że są ciekawsze tematy. Szaleńcy! Któż może lepiej oddawać charakter naszej epoki? To nimi się obecnie zajmuję. Dostałam już pióro i papier. Nie ujawniłam jeszcze tego publicznie, lecz tobie mogę w tajemnicy powiedzieć, że piszę kolejną książkę. - Spojrzała na mnie. - Musisz mi pomóc wymyślić tytuł. Jak niby zwało się moje dzieło poprzednie?

- *Obserwacje*, proszę pani.

Poprawiła się na ławce i znów uśmiechnęła.

- Zgadza się - rzekła. - *Obserwacje*. Wybacz, ale to chyba nie jest zbyt dobry tytuł, prawda? Nie, musimy tym razem wymyślić coś lepszego.

Miałam zamiar rozpocząć w tym miejscu następny rozdział, w którym opowiedziałabym o wszystkim, co wydarzyło się od czasu tamtej rozmowy. Wszelako nie lubię pożegnań, a potem były już tylko pożegnania. Spróbuję zatem wyrażać się zwięźle i nie rozrzewniać zanadto.

Chciałam na pewien czas zatrzymać się w Foulburn, bym mogła ponownie odwiedzić milady. Tegoż dnia najęłam kwatery w miejscowej gospodzie, a później wróciłam jeszcze do zakładu w porze popołudniowej herbatki. Ze zdumieniem obserwowałam, jak sprawnie wszystko tam urządzono: przy każdym stoliku siedziało po czterech panów, panie zaś roznosiły ciasteczka i kromki chleba z masłem.

Poznałam Jezusa i Napoleona. Jezus był całkiem w porządku, lecz od Napoleona bił straszny chłód. Z kolei pan bojący się rogów i narożników wzdygał się widząc trójkątne kawałki chleba.

Wieczorem wróciłam do swojej kwatery. Rozpakowując tobołek, natknęłam się na *Observacje*, którym wcześniej zawinęła w różne fatałaszki. Zapomniałam, że je wzięłam ze sobą, w końcu to było tak dawno temu. Pomyślałam, że spytam doktora Lawrence'a, czy pozwoli mi zwrócić milady jej dzieło. Książka ta nie wyglądała zbyt nęcąco i zbyt ładnie nie pachniała. Otworzyłam ją, stwierdziłam z zalem, że ogień dostał się też do środka. Czarno-biała karteczka z napisem **EX-BIBLIOTHECA-CASTELLUM-HAIVERS** była ciut nadpalona w jednym rogu, przez co dama i jej służąca z obrazka straciły obute w pantofle stopy.

Potem zauważyłam, że spod naklejonej karteczki wystaje kawałek papieru. Wyciągnęłam go. Okazało się, że jest to kilka złożonych kartek. Kiedy je rozprostowałam, rozpoznałam od razu staranne, kaligraficzne pismo Nory. Krawędzie po lewej były nierówne, jakby ktoś przeciął je nożyczkami. Wreszcie tedy znalazłam brakujące kartki z dziennika Nory.

Był to w istocie list, który Nora napisała do milady, a który pan James kazał małżonce zniszczyć. Nora nie miała pewnie papeterii, więc wycięła te kartki ze swego brulionu. A milady nie posłuchała męża i ukryła je pod karteczką wklejoną do *Observacji*.

List Nory był listem prywatnym, nie przytoczę go zatem w całości. Niech wystarczy tu informacja, że autorka próbowała przekonać milady, by ta nie czuła się winna. W akapicie ostatnim Nora pisała:

Moja droga Pani, wiem, że niełatwo Pani przyszło odprawić mnie stąd, ale wiem też, że wcale nie Pani o tym decydowała. Proszę się niczym nie martwić! W końcu spędziłyśmy razem dużo czasu i byliśmy wtedy szczęśliwe, prawda? Teraz, po tym co się wydarzyło, moje życie straciło sens. Gdybym miała żyć dalej, męczyłabym się okropnie. Przepraszam za wszystko, co Pani będzie musiała przejść, ale naprawdę proszę się nie smucić. Niech się Pani

za mnie modli, bo przecie nikt inny prócz mej cudnej Pani nie pomodli się za mnie. I niech Pani będzie szczęśliwa, skoro ja nie mogłam. Wyruszam teraz w niezwykłą podróż. Kiedyś na pewno się spotkamy.

Niech mnie Bóg doprowadzi do żywota wiecznego. Amen.

No, z tej Nory była prawdziwa święta, przeczyć mi nie wypada.

W końcu bym ją chyba polubiła. Byłyśmy bardziej do siebie podobne, niż odważyłabym się to przyznać sama przed sobą. A milady! Jakże ona musiała cierpieć, gdy przeczytała ten liścik, jakże się musiała przerazić! Klnę się na Boga, że chociaż nie zawsze dysponowała piątą klepką, to jedno nie ulega najmniejszej wątpliwości: ona zawsze się o nas troszczyła. Otaczała troską biedne służące, tułające się po świecie jak plewy, co je roznosi podmuch wiatru. Raz tutaj, raz tam. Z miejsca na miejsce. A kiedy żegnamy się z tym światem na dobre, nie zostaje po nas prawie żaden ślad, i nie wiadomo, gdzieśmy bywały, gdzie żyły. Ale milady nie wyrzuciła listu od Nory i postarała się, by jej służącej postawiono nagrobek. Zawsze miała dla nas miejsce w swym sercu.

Złożyłam pożegnalny list Nory i wsunęłam go z powrotem pod wklejoną karteczkę. Ten list, ta książka mogły wprawić w spory niepokój. Nie byłam pewna, czy dać je milady, czy nie. Postanowiłam, że przed wyjazdem z Foulburn przekazę *Obserwacje* na ręce doktora Lawrence'a. Niech on zdecyduje o dalszych ich losach.

Nazajutrz rano poszłam odwiedzić milady. Mijając po drodze jakiś sklep, w którego witrynie wywieszona są ogłoszenia, zauważyłam kartkę z napisem „**PILNE**. Potrzebna pomoc kuchenna”. Anons tej treści musiał zwrócić moją uwagę, bo czułam już, że czas by się za czymś wreszcie rozejrzeć i znaleźć sobie nową pracę. Przyjrawszy się kartce nieco uważniej, szczerze się zaciekawiłam, ponieważ rzeczoną posadę oferował tutejszy zakład dla obłąkanych! Ot, niespodzianka! Przez parę kolejnych dni rozważałam tę sprawę w głębi ducha, a później

zasięgnęłam rady milady. Co ona na to? Czy powinnam zgłosić się do tej pracy? To świetny pomysł, odparła. Byłybyśmy widywały się co dzień, przynajmniej tak długo, jak długo przyjdzie jej tu pozostać. Obawiałam się, że znajomość z jedną z pacjentek może podziałać na moją niekorzyść, lecz okazało się, iż nie ma to najmniejszego znaczenia. Zgłosiłam się więc do pani Robertson, ta zaś niemal błagała mnie na kolanach, bym tę posadę przyjęła. Niebawem uświadomiłam sobie, że - chociaż w zakładzie panowały komfortowe warunki - mało kto gotów był zatrudnić się w instytucji tego rodzaju. Mało kto lubi wariatów. Mnie jednak, szczerze powiedziawszy, ta praca podniosła na duchu, dała dużo satysfakcji i pozwoliła też czasem uśmieć się zdrowo.

Nie minął tydzień, a pracowałam już w kuchni. Kilka miesięcy później awansowano mnie na asystentkę, którą to funkcję sprawuję już od ponad trzech lat. To właśnie doktor Lawrence poprosił mnie o spisanie wszystkiego, co wiem o milady, uznawszy, że taka relacja może okazać się nader ciekawa i użyteczna zarówno dla niego samego, jak i dla jego kolegów po fachu, albowiem przypadek milady wciąż budzi niemałe zainteresowanie. Pierwszy rozdział pisać zaczęłam tuż po podjęciu pracy w zakładzie, ale wolnego czasu nie mam tu dużo, tedy robota nad tym tekstem zajęła mi w końcu parę lat. Z każdym miesiącem, jak mniemam, mój styl ulegał poprawie, lecz mam też pełną świadomość, że dalej zdarzają mi się błędy, bo jeśli nie skupię się porządnie, to piszę tak, jak mówię.

Milady jest tu przez cały czas. Coraz bardziej fascynują ją inni pacjenci. Nieustannie ich obserwuje i wciąż im zadaje pytania, podobnie jak mnie, kiedy byłam jej służącą, a ona pisała swe Obserwacje. Tym razem jej dzieło traktuje o szaleństwie. W zeszłym tygodniu spytałam ją, kiedy tę książkę ukończy. Spojrzawszy na mnie, odrzekła: - Bessy, przecież dopiero zaczęłam pisać.

Co się tyczy *Obserwacji*, to rękopis dalej jest w mym posiadaniu, i dalej dobrze mi się go czyta. Od pewnego czasu próbuję znaleźć dla niego dobrego wydawcę. Jak dotąd bez skutku. Może to jednak kwestia czasu, bo w ciągu tych kilku lat parę osób okazało już niejaki

zainteresowanie. Ba, jeśli nie liczyć kilku odpowiedzi odmownych na samym początku moich starań, *Obserwacje* przyjmowano z zachwytem wszędzie, gdzie je tylko posłałam.

By podać przykład, w odpowiedzi na mój pierwszy list pan R. ze znakomitego wydawnictwa William R. i Synowie poprosił mnie o natychmiastowe przesłanie rękopisu, a już tydzień później - uznawszy wprawdzie, że treść książki „niezupełnie” przypadła mu do gustu - zasugerował, by ją przedłożyć innym wydawcom. Ta błyskawiczna i jakże pomocna odpowiedź świadczy chyba niezbicie, że dzieło milady ma dużą wartość, nieprawdaż? Bez wątplenia tak być musi.

Wielce zachęcona, posłałam *Obserwacje* panu W. z oficyny Harold W. i S-ka. Tym razem reakcja okazała się inna. Ówże pan W. przetrzymywał manuskrypt tak długo, że w końcu doszłam do przekonania, iż zamierza on nas okraść i, nic mi nie mówiąc, wydać ten tekst pod innym tytułem, by zbić na nim ogromną fortunę. W końcu jednakże, po wielu miesiącach i kilkunastu listach, w których domagałam się odpowiedzi, pan W. zwrócił mi wreszcie rękopis. Oznajmił przy tym, że dzieło milady jest co prawda „nieźle skomponowane”, lecz jego firma nie będzie w tym roku publikować żadnych książek. Odniosłam wrażenie, że dziwny to sposób na prowadzenie interesów, i dałam swemu wrażeniu wyraz w kolejnym do niego liście. Uznawszy, że ten brak entuzjazmu wynika jedynie z dość osobliwej strategii handlowej (później pan W. skorzystał z mej rady, bo z tego co wiem, jego firma wydała w owym roku kilka książek), nie zraziłam się ani trochę i posłałam rękopis panu G. z oficyny G., B. i T.

Niedługo potem odpisał mi bezgranicznie zachwycony. Nigdy wcześniej, jak twierdził, nie czytał czegoś takiego. Zdziwiło mnie to odrobinę, bo rękopis wysłałam mu już rok wcześniej, tyle że pod pierwotnym tytułem *Obserwacje na temat natury i zwyczajów klasy służebnej w czasach obecnych*, sporządzone przez „pewną damę”. Wtedy jednak zwrócił mi tekst nieprzeczytany z krótkim dopiskiem: „Wykluczone”.

Tym razem spodobał mu się zapewne nowy tytuł, bo przysłał mi długi serdeczny list, w którym wychwalał „satyryczny ton” manuskryptu i błagał mnie o ujawnienie prawdziwej tożsamości „tajem-

niczej Arabelli R." Rzadko, oznajmił, spotyka się książkę tak świeżą i oryginalną na rynku pełnym „powieściadeł o biednych sierotach i milionerach”. Pan G. podał przykład: dopiero co spożył obiad z innym wydawcą, który okazał się człekiem naprawdę koszmarnym, na dodatek ukradł mu swego czasu jakąś książkę. Mój korespondent rozwozdił się długo i gorzko nad podłością owego łajdaka, obrzucając go obelgami niemalże grubiańskimi. Pod koniec listu, bodaj na jego dziewiątej stronie, pan G., jak się zdaje, odzyskał dobry humor. Przeprosił za plamę na manuskrypcie (ktoś w jego biurze przewrócił kieliszek wina) i zaprosił mnie na obiad, albowiem chciał się zapoznać z historią powstania tego „przezabawnego” rękopisu, nazwał mnie nadto „byстрыm facetem”. Szczerze mówiąc, niektóre fragmenty jego listu wskazywały niestety na to, że nie przeczytał *Obserwacji* w całości. Po pierwsze, pomylił mnie chyba z Arabella, a po drugie, nie zrozumiał wymowy książki. Mało tego (to po trzecie) wziął mnie chyba za mężczyznę, co za kobietę się tylko podaje!

Odpowiedziałam mu bezzwłocznie. Zapewniłam, że *Obserwacje* to niebagatelna praca badawcza, napisana z pełną powagą przez pewną damę. Z przyjemnością, dodałam, spotkam się z nim, aby omówić szczegóły dotyczące się publikacji tego dzieła. Pan G. jednakże najwyraźniej poczuł się czymś urażony, bo później się już nie odezwał. Być może nie pracuje już w oficynie G., B. i T. (Przedtem pisał mi o zawistnych spojrzaniach kolegów i że prawdopodobnie złoży wypowiedzenie).

Mam jeszcze kilka przykładów entuzjazmu, jaki *Obserwacje* wzbudziły, i jeśli sądzić po reakcjach dotychczasowych, to pół kraju pragnie przeczytać rękopis i błyskawicznie go opublikować! Proszę wszelako pamiętać, że trzeba najpierw zgłosić się do mnie, ja zaś zobaczę, co da się zrobić.

Co poza tym? Na początku pan James odwiedzał żonę dość często, lecz później z każdym kolejnym miesiącem zjawiał się tutaj coraz rzadziej, a od roku nie przyjechał tu ani razu. Z tego, co mi wiadomo,

mieszka on teraz w Manchesterze i jest ponoć grubą rybą w jednym z tamtejszych sądów.

Spuścizna pana Levyego dalej jest w mojej pieczy. Niestety trochę już wyschła, a w zeszłym roku zdarzył się mały wypadek i jest to obecnie szczypta kurzu w aksamitnej sakiewce. Mimo wszystko nie zamierzam się z nią rozstawać, bo przypomina mi o tym kochanym człowieku.

Skoro już mowa o zatwardzeniu... Wygląda na to, że na „obstrukcję twórczą” zapadł imię Davy Flemyng, a przynajmniej nie objawił on jeszcze światu swojego arcydzieła. Poza tym przeniósł się chyba do Corstorphine, licząc, że tam natchnie go muza.

Co jeszcze? Rzecz nader ciekawa: w roku 1866 pastor Pollock był na pokładzie SS „London”, gdy ów nieszczęsny parowiec zatonął w Zatoce Biskajskiej, nie dotarłszy do Australii. Pastor znalazł się pośród licznych ofiar tej katastrofy i zginął śmiercią zaiste okropną, przykryty przez fale, z kościelnym hymnem na ustach. Zatoka Biskajska leży u północnych wybrzeży Hiszpanii. Zawsze lubiłam ten kraj, choć oczywiście nigdy tam nie byłam.

Wiwat Hiszpania! Po trzykroć wiwat!

No i po trzykroć wiwat milady!

Wszyscy w zakładzie bardzo ją lubią i dalej jest śliczna jak różyczka. Często bawimy się tu przy muzyce, a ona nigdy nie musi długo czekać, aż ktoś ją poprosi do tańca. Tańce, sporty i obcowanie z ludźmi to najlepsze lekarstwo na wszelkie bóleczki. Tak twierdzi doktor Lawrence, a ja się z nim zgadzam, ponieważ nigdy w Zamku Haivers milady nie była tak szczęśliwa, jak jest szczęśliwa tu i teraz.

Wybaczcie mi proszę, Panowie, liczne błędy i uchybienia, jakie niniejszy dokument zawiera. Szczególnie chodzi mi o fragmenty, w których nadmiernie zajmuję się sobą. Wybaczcie też wszystkie przekleństwa i wyrażenia do przekleństw zbliżone, i wszystkie opisy spraw plugawych bądź tylko niezbyt przyjemnych. Proszono mnie wszakże o wierną relację, „bez żadnych upiększeń”, i zapewniono, że niezależnie od tego, co tu wyjawię, nie spotkają mnie żadne przykre konsekw-

wencji. Wierzę, że doktor Lawrence dopełni tego zobowiązania. Niedawno pokazał mi szafkę, w której rękopis mój będzie trzymany pod kluczem. Doktor Lawrence jest dobrym i uczciwym człowiekiem, i zależy mu tylko na rozpoznaniu przypadku milady, bo wtedy być może uda mu się jej pomóc.

No dobrze. Czas już najwyższy zamknąć ten interes. Nie umiałabym odpowiedzieć, jaki wynika morał z opisanych tu wypadków. Chyba jedynie taki, że szczęście można odnaleźć nawet w najosobliwszym miejscu na świecie, nawet wśród tych biedaków o przetrąconych umysłach. Doktor Lawrence zapytał mnie ostatnio, co myślę o swej ukończonej już pracy. Prawdę rzekłszy, dziwnie będę się czuła, nie ślęcząc więcej nad kartkami. Może napiszę coś nowego, by co dzień wypełnić tych kilka godzin, gdy obowiązki w zakładzie mam za sobą, a moja głowa nie przywarła jeszcze do poduszki. Jednakże tym razem nie opowiem o rzeczach, które zdarzyły się naprawdę, tylko sama cosik wymyślę, ponieważ wszystko, czegom się w życiu dowiedziała, com widziała i czuła, zawiera się w niniejszej relacji. Powiedziałam tu wszystko.

Żegnajcie więc, *au revoir*. Albo też, jak mówi się w moich stronach: bywajcie zdrowi.